R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
Part Code ST1316
DANES PICTA .COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19
Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
Inches
Centimetres

POLSKA AKADEMJA UMIEJĘTNOŚCI

TEODOR TOMASZ JEŻ
(ZYGMUNT MIŁKOWSKI)

OD KOLEBKI PRZEZ ŻYCIE

WSPOMNIENIA

DO DRUKU PRZYGOTOWAŁ ADAM LEWAK
WSTĘPEM POPRZEDZIŁ ALEKSANDER BRÜCKNER

Z ZASIŁKU FUNDUSZU KULTURY NARODOWEJ

TOM I

KRAKÓW 1936
NAKŁADEM POLSKIEJ AKADEMJI UMIEJĘTNOŚCI
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNIACH GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — ŁÓDŹ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

92(T.T. Jeż) : 884-3

28831/2

Drukarnia Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem J. Filipowskiego

SPIS TREŚCI TOMU I

Str.

Przedmowa, napisał Aleksander Brückner VII
Prace i idee polityczne pułk. Z. Miłkowskiego na tle jego wspomnień, napisał Adam Lewak XXII

I. Ród. Lata dziecinne 1
II. Pierwsze wrażenia (1830—1838) 62
III. Doba przełomowa (1838—1842) 121
IV. Odesa—Kijów (1843—1848) 179
V. Z Kijowa do Solnoka (1848) 239
VI. Na Węgrzech (1849) 299
VII. W Turcji. Na morzu (1849) 358
VIII. W Anglji (1850—1851) 416

PRZEDMOWA

Rządy zaborcze były przekonania, że, skreśliwszy państwo polskie z mapy europejskiej, ślubiwszy sobie nawzajem nazwiska Polski więcej nie wymieniać, spokojnie łupów troistych zażywać będą; dla większej pewności zabrali Prusacy z Wawelu insygnja królów polskich. O lud nikt ani pytał, on słuchać winien; pojęcia narodowości i praw narodowościowych jeszcze się nie wyklarowały; miało się przecież i na Śląsku „waserpolów“ i któż o nich pytał — nawet biskup wrocławski nie znał języka swych diecezjan. O arystokrację nie było obawy; wiedziano, że orderami, tytułami, choćby hrabskiemi, urzędami szambelańskiemi czy innemi łatwo ją skaptować; nic jej nie łączyło z ludem „nieestetycznym“, lud zaś patrzył na arystokrację w najlepszym razie z obojętnością, a na Rusi i z nienawiścią. Urzędnictwa polskiego nie było, pierwsze jego zalążki zdobyło dopiero Księstwo Warszawskie, a później Królestwo Kongresowe; w Prusiech urzędowali sami Niemcy, a w „Galicji“ Niemcy lub jeszcze od nich gorsi Czesi. Duchowieństwa jedynego obawiaćby się należało, ale i tutaj, na Śląsku zwłaszcza, napór niemczyzny na duchownych był znaczny; we Lwowie był i Czech arcybiskupem.

Rachunek był, zdawało się, niezawodny; zapomniano tylko o dwu pozycjach: jedna to średnia i drobna szlachta. Była nabożna lecz bez zbytnich skrupułów; patrjotyczna lecz nie utożsamiała jak dawniej klamki magnackiej z ojczyzną; uwielbiała wszelką tradycję, bo nie miała nic lepszego do podstawienia za fundament życia społecznego i rodzinnego; rwała się do konia i szabli, służyła nawet w wojsku rosyjskiem, nietylko w korpusie litewskim, ale i w huzarach i ułanach, rozlokowanych w Kraju Zabranym, stroniła po dawnemu od miast, od mieszczaństwa, od handlu i przemysłu; i bywali synowie

całkiem jak ojcowie i dziadowie. Onito wypełniali partje konfederackie barskie czy roty aresztanckie i sybirskie, oni opuszczali ojczyznę, aby jej zdala służyć, gdy zbliska niesposób; a była to warstwa silna duchem i liczbą; młodzież niezadowolona byle kompromisem, marząca o niezawisłości dawnej, w dawnych granicach. Jej towarzyszyła w niesieniu ofiar i poświęceniu warstwa miejska, głównie polskie czy spolszczone drobne mieszczaństwo, szczególnie warszawskie i wileńskie; lwowskiego nie było, krakowskie zbyt nieliczne.

W tychto dwu warstwach: drobnoszlacheckiej i drobnomieszczańskiej, pokutował „niespokojny“ duch polski, który narazie nie trwożył wcale zaborców, skoro najgorętsze głowy: dawni wojskowi czy nowi rekruci (galicyjscy), kraj opuścili. I zamarła Polska w aktach urzędowych, zato wskrzesła w pieśni legjonowej. Legjony rozbito, ale czego one nie dokonały, dokonał Napoleon, w rozmowach prywatnych inny niż w odezwach urzędowych, i po żołnierzu niegdyś kościuszkowskim nadszedł napoleoński, „warszawski“, o świadomym patrjotyzmie, obojętny wobec wielkiej polityki, zadowolony wkońcu i „Kongresówką“, wieszczącą (w poufnych zamiarach Aleksandrowych) i więcej. I popłynęło życie trybem staroszlacheckim, szczególniej na kresach.

Z takiejto szlachty wyszli i Miłkowscy: dziadek chorąży, syn porucznik wojska polskiego, wnuk pułkownik w r. 1863, co się zakonspirował T. T. Jeżem (biorąc *t*, *t*, od końcówek swych imion chrzestnych: Zygmunt Fortunat, a Jeża dodając) z tym wynikiem, że cenzura Jankulja, t. j. Hurki-Apuchtina, powieści „Jeżowe“ nowe z „dozwolonych“ w Kongresówce wykreśliła. Ależ nie pomiatajmy chronologją, a wróćmy do założenia. Otóż byli Miłkowscy szlachtą średnio zamożną w obu odroślach: sądeckiej i pobereskiej, a raczej (pierwotnej) podlaskiej; pieczętowali się i Abdankiem i Ślepowronem, a połączyli oba herby-zawołania w ten sposób, że to niby Ślepowronowi (na pamięć owej anegdoty o Skarbku i Henryku V) złoty pierścień do dzióba włożono, jak to tradycja domowa głosiła, nie łamiąc głowy nad zagadnieniem heraldycznem, jakby nie było nic pospolitszego nad to, że się rody szlacheckie tegoż imienia różnemi pieczętują herbami, np. Potoccy Pilawici i Potoccy Śreniawici i t. d. Wacław Potocki w *Ogrodzie fraszek* raz

z nich, widocznie z sądeckich (w Gorlicach utkwili), zażartował: zajechało do niego dwóch szlachciców przystojnych; przedstawili się: jeden Miłkowski, drugi Kochanowski; przerażony tą zgodnością nazwisk Potocki cały swój „fraucymer“ natychmiast do garderoby na noc wysłał. Zresztą o Miłkowskich, prócz paru nieosobliwszych wzmianek przygodnych u Niesieckiego (Paprockiego pomijamy), głucho.

Głucho i o panu chorążym, co żył tradycją kościuszkowską; syn Józef wykradł się z domu ojcowskiego, jak niegdyś chorąży, ze szkół do wojska uciekł i do wojska polskiego wstąpił, kampanję moskiewską odbył, i gdy wojsko polskie Aleksandrowem, a cogorsza Konstantowem zostało, służbę w stopniu porucznika porzucił. Wolał chodzić pan porucznik dzierżawami (aż wkońcu i rządcą dóbr pańskich został), a jakiej zażywał śród szlachty podolskiej opinji, najlepiej świadczyło, gdy umierający szlachcic, chcąc przy zgonie na uczciwego człowieka patrzyć, wyprosił księdza i krewnych, a o pana Józefa poprosił.

Porucznik pan Józef był demokratą, nie z tytułu, lecz z przekonania; szlachcicem był u niego, kto szlachetnie postępował, nie kto się z herbem urodził; z chłopami obchodził się zawsze po ludzku, narażając się na przytyki, że ludzi psuje. Chłopska Ruś szanowała rycerskiego Lacha i dowody tego szacunku nieraz złożyła; ależ nie myślimy powtarzać, co czytelnik sam z Pamiętnika pana pułkownika wyczytać winien. Tu już zaznaczamy zgóry, że i w dalszym ciągu nie przytaczamy treści samej pamiętnikowej, zadanie nasze zakreślamy wskazywaniem na szczegóły, głównie literackie, chociaż o literaturze sam pan pułkownik najmniej myślał i nadto mało wtajemniczał nas w jej szczegóły, tak że oczekiwania nasze poniekąd zawiódł, myśląc i prawiąc głównie o czynach i przejściach osobistych, a jaknajmniej o pracy swej literackiej, którą jakby mało cenił.

Ożenił się pan porucznik z panną Brudzewską, co karmazynów w rodzie miała, bracia też nieodrazu „mezaljans“ jej przebaczyli. Tradycje rodowe starannie pielęgnowano, wyniósł je z domu i Jeż, notujący jaknajskrzętniej stopnie choćby najdalszego pokrewieństwa; wypadałoby układać tablicę genealogiczną, żeby się czytelnik należycie śród Jeleńkowskich, Peretiatkiewiczów i t. d., choć nie karmazynów, rozpoznawał. Natomiast kart, nałogu szlachty ówczesnej ogólnego, u pp. Miłkow-

skich zupełnie nie znano, a chociaż w kresowym powiecie (Bałta!), „barbarzyństwo“ tam nie panowało. Krążyły, coprawda: w nielicznych egzemplarzach, książki od dworku do dworku, pan Józef odczytywał głośno i *Momusa* i *Wiadomości Brukowe*, a znał literaturę stanisławowską, nawet i o zygmuntowskiej miewał wiadomości; Winnica, Humań, a nadewszystko Krzemieniec, niby oazy w Saharze, wpływały szeroko, ależ o tem niech Jeż sam prawi. Tu zaznaczamy, że chociaż autor dopiero w r. 1884 rozpoczął swe wspomnienia (urodzony r. 1824), pamięć mu świetnie dopisywała; są luki, których nigdy nie zamazywał, zawsze przyznawał, co wyraźne, co mgliste, co pamiętał, a co zapomniał. Nawet gdy dzieckiem u W. Rzewuskiego (Emira) na kolanach siedział, dodał, że niepewien tego, czy to był sam Emir, czy ktoś z jego grona; wiarygodność zyskała przez tę szczerość wiele.

Nauki pobierał początkowe dawnym trybem szlacheckim w domu u „guwernerów“, jakich przypadek nadsyłał, a że zamłodu się tarnek ostrzy, więc nietylko sam fantazjował, ale młodszemu rodzeństwu powieści układał i opowiadał. Chłopca oddali rodzice do Niemirowa do gimnazji (autor używał nieraz tej formy rosyjskiej), gdzie brak znajomości rosyjskiego (pisma szczególniej) spoczątku zawadzał. W Niemirowie pogarszały się stosunki z roku na rok, dyrektorem był Polak, więc należało go wygryźć i „istynnym“ prawosławnym zastąpić, co się też „naczalstwu“ powiodło dzięki głupiej fanaberji gimnazjalnej, tworzącej coś w rodzaju spisku, rycerskiego czy Rinaldinowego, nie patrjotycznego. Studja niemirowskie doznały jednorocznej przerwy, bo rodzice musieli w domu odrabiać, co zły przykład starszych kolegów nadpsuł. Studja te wkońcu zupełnie przerwano, dlaczego? — *Syzyfowe prace* Żeromskiego, acz o pół wieku późniejsze, dokładnie objaśniają: jak się szuja moskiewska, wybrawszy inteligentnego chłopaka, o jego wynarodowienie kusiła, na szpiega go kierowała, obietnicami karjery łudziła, a Kaukazem straszyła. Z Niemirowa i naukowego okręgu kijowskiego, t. j. spod egidy Bibikowa-Strutyńskiego, przeszedł Jeż do okręgu odeskiego. Tam w liceum-uniwersytecie nauki (matematyczne głównie) przechodził, poczem do Kijowa na uniwersytet przeszedł, ale jaknajgorzej trafił, bo i Bibików i naczelna komenda wojskowa odrzuciły kandydata, zarażonego liberalnym

duchem odeskim; dopiero komenda saperów kandydata bez dalszych trudności przyjęła. Kandydat, gotujący się do służby wojskowej, chociaż na oku miał przyszłość profesorską, dalsze trudności sam wywołał, bo w Kijowie w wir młodzieży politykującej trafił, czego w Odesie nie było. „Wiosna ludów“ nadchodziła, Ukraińcy zaczęli się ruszać, nieprzerażeni pogromem Cyrylo-Metodowego bractwa, i u Polaków nauki spiskowania zdobywali. Zabrał się więc i Jeż do tworzenia spisku polskiego, do pisania memorjałów, obiegających rękopisemnie szlachtę kontraktową, szkicujących program, którego się za żywota Jeż nigdy nie wyparł; program był bardzo lakoniczny: Polak, republikanin, demokrata, — ależ ten program obowiązywał głównie w sprawie włościańskiej; zniesienie pańszczyzny i uwłaszczenie chłopa było warunkiem pierwszym, celem ostatecznym niepodległość Polski; drogą do niego tworzenie organizacji w Krajach Zabranych, aby przygotować powstanie ogólne.

Gdy Jeż po ferjach świątecznych do Kijowa wrócił, okazało się, że dalszy pobyt niemożliwy; zgłaszała się policja na jego stancji, mądra dziewczyna podała umyślnie jaknajfałszywszy rysopis, ależ to odwlokłoby tylko katastrofę: Kaukaz i „sałdaty“. Należało więc Kijów rzucić. Zwierza się więc ojcu z zamiaru przedostania się do Galicji, gdzie ruch narodowy już się rozpoczął; ojciec przystał na to w myśl tradycji rodowej. Zerwał więc Jeż z jedną „ojczyzną“, ale druga okazała się mimo rad i gwardyj narodowych arcyniepewną, i należało się obawiać, że po ogłoszeniu stanu oblężenia rząd austrjacki wyda niechybnie uciekiniera zza kordonu. Ale rozpętała się wojna węgierska; o włoskiej Jeż przemyśliwał, dla bezpaszportowca jednak Węgry były nierównie dogodniejsze; i tak dostał się Jeż do legjonów polskich na Węgrzech, kampanję szczęśliwie odbył, oficerem z niej wyszedł, z innymi po katastrofie do Turcji przeszedł, przecież w niej nie osiadł; w grozie śmierci pewnej za rozbiciem się okrętu, a głodowej w Londynie, w pracowni tapetów ocalał.

O literaturze jeszcze i myśli nie było, tylko z Pamiętnika wygląda stale pierwszorzędna zdolność literacka: bystry spostrzegacz, mistrz w spisywaniu wszelkich wrażeń w stylu jakby gawędziarskim, prosto, jaknajpłynniej, z największym spokojem o najdrażliwszych szczegółach zrównoważony rozprawiał.

Przewija się już tu i dalej setki najrozmaitszych osób, od bab na targowicy aż do głównodowodzącego wojskami otomańskiemi, do wielkiego wezyra i do hospodara mołdawskiego; w kilku słowach oddawał postać jak żywą, jeśli się tylko w pamięć głębiej wryła. Ciekaw wszystkiego: otoczenia, ludu, jego zabaw i potraw, nawyczek i zajęć, ludoznawstwo bułgarskie, rumuńskie, serbskie z czasów panowania czy protektoratu tureckiego odmalował wiernie, tu zbierał rysy dla tła, na którem tyle powieści bałkańskich, nie dla samego bajania, lecz i dla pokrzepienia serc, nieraz w ciągu dni kilkunastu utworzył. Pisywał zamłodu wiersze i powieści, zapełnił niemi gruby tom, ale za poradą ojca („Mickiewiczem nie będziesz") rzucił poezję i prozę. Do prozy wrócił z konieczności; w Londynie przystał — demokrata — do Worcella i in., Centralizacja wysłała go do Konstantynopola i stąd pisywał do *Demokraty Polskiego*, później do *Nowin* i *Dziennika Literackiego* Jana Dobrzańskiego we Lwowie, który honorarja obiecywał, lecz nie płacił; wkońcu do *Gazety Warszawskiej*, skąd go najsutsze dochodziły kwoty; pisał broszury o udziale polskim w sprawie wschodniej, zaczął świetny swój zawód beletrystyczny *Wasylem Hołubem* i *Handzią Zahornicką*. *Hołuba* przepchał Dobrzański przeciw opinji dalszej redakcji, Dzierzkowski ocenił dzieło jako „nieestetyczne" (moralne błocko lwowskie było widocznie estetyczniejsze).

Po zlikwidowaniu sprawy wschodniej wrócił Jeż do Londynu; wybrany jednogłośnie członkiem Centralizacji, o jej prądach i zabiegach stronniczo nie pisał, ale niczego też nie ukrywał. Jako członek Centralizacji musiał się zaznajamiać z koryfeuszami demokracji europejskiej: z Mazzinim, Hercenem i i.

Pomijam rysopis Włocha, lecz co do Hercena nie podzielam zdania autora. Wydawca *Kołokoła*, którego i sam Aleksander II czytywał, był raczej beletrystą niż poważnym politykiem, ale popularność *Kołokoła* załamała się na sprawie polskiej, czemu Jeż stanowczo przeczy. U nas zapominają zbyt łatwo, że antagonizm Moskwy przeciw Polsce był instynktowny, wedle zasady: *odisse quem laeseris*; taki Wiaziemski, przyjaciel nieobłudny Mickiewicza, przyznaje się, że w Warszawie wstręt go fizyczny przeciw Polsce przejmywał. Wzięcie i znaczenie *Kołokoła* upadło, bo się za Polską ujął; oddany wielbiciel Hercena i współpracownik gorliwy w oczy mu zarzucił, że *Kołokoł* polskie

„dzieło“ zabiło. Przecież dla sprawy polskiej poróżnił się Hercen nawet z Turgenjewem, nie mogąc mu wybaczyć, że przyczynił się datkiem do składki antypolskiej. Katkow wyrósł dzięki sprawie polskiej, *Kołokoł* dla niej runął. Przyczyniły się coprawda i występy pustaka Bakunina, których liberali moskiewscy przełknąć nie mogli. Mazzini zaimponował Jeżowi. Hercen bynajmniej.

A i do Jeża zgłaszali się zewsząd Polacy, między nimi i młody Spasowicz, który do śmierci pozostał taki, jakim się (wyelegantowany) u Jeża stawił; te same argumenty przytaczał, na których po latach i narodowi demokraci z Dmowskim wyjeżdżali. Wszyscy oni powtarzali jedną nutę: orjentację rosyjską. Wnioskowali tak: My kulturalnie nierównie wyżej stoimy niż Moskwa, my jej udzielimy naszej kultury, chociaż ich tyle razy więcej, podbijemy więc Moskwę umysłowo i to zwycięstwo zaręczy nam i dalsze; podobnie Grecy Rzym podbili. Najsłuszniej zarzuca Jeż: a jakąż z tego korzyść Grecja odniosła? Rzym się ucywilizował, tak i Rosja, — ale Polaków zagarnie, jak i Spasowicza samego sobie przywłaszczała, chociaż on tego nie przyznawał („eto istinnyj ruskij czełowiek“ — mówił mi o nim jego przyjaciel od serca Pypin, a Spasowicz bronił swej polskości i tem, że sny miewa polskie, że liczy mechanicznie po polsku).

Spotykał się Jeż z poetami i literatami w Konstantynopolu, w Londynie, Paryżu. Pierwszy poeta, którego poznał i z marzeń o poetach eterycznych się wyleczył, to Karol Brzozowski, a z nim i zapomniany dziś doszczętnie Henryk Jabłoński, który więcej rokował, niż dotrzymał, a pierwszy przed Jeżem *Grób Agamemnona* zadeklamował; Jeż w Czortkowie u Wróblewskich (pannę Zofję pokochał i poślubił) również *Grób* deklamował i tą najefektowniejszą próbką muzy Słowackiego czytelników mu zdobył, których Słowacki nie miał wcale, gdy się Krasińskim, specjalnie *Przedświtem*, zachwycano. Jako przyczynę tego zupełnego bezgłosu podaje Jeż, że zawiniło w tem, iż po Mickiewiczu przyszedł; ależ była inna, ważniejsza wina: w samej poezji Słowackiego. Z innych literatów wymienił Norwida i potwierdził co skądinąd wiemy, że jako mówca Norwid słuchaczów porywał, jako pisarz zaś ten „mistyk“ odstręczał. Przeciwnie Asnyk. Słyszał go Jeż, czytającego własne wiersze, ale słuchać go było męczarnią. Najściślej zgadza się Jeż z Kor-

nelem Ujejskim i, naogół skąpy w szczegółach, tutaj szczegółów nie skąpił, Zubrzę podelwowską opisał, jakoteż i biedną panią Kornelową, i kłopoty małżeńskie, i plany poetyckie, które się nie ziszczały, — wszystko to do biografji poety przyczynki pierwszorzędnego znaczenia. W Brukseli u Lelewela bywał, z nim specjalne piwo brukselskie pijał i o jego Marjannie-intrygantce wspomniał. Szujskiego poznał jeszcze czerwonym demokratą i zupełnie się z nim zsolidaryzował, ale ten później — *quantum mutatus ab illo*! U Henryka Szmitta przynajmniej kolor czerwony i na starość się nie odmienił. Poznał i innych poetów lwowskich: Pajgerta, Romanowskiego (Szajnochę minął), ale zbywa ich krótkiemi wzmiankami.

Obszerniejszych doczekali się naturalnie politycy: Smolka, szczególnie Ziemiałkowski, daleki jeszcze od barońswa, obaj Dzieduszyccy: Włodzimierz, słuchający brata Aleksandra jak wyroczni. Bardzo sympatyczny był mu Mieczysław Pawlikowski z Medyki. Poznawał i rozmaitych oryginałów, całkiem lub napoły pomieszanych; inni bzika pewnego miewali, np. Franciszek Duchiński z swoją mongolską Rusią, która Jeżowi bynajmniej nie zaimponowała. Poznał J. I. Kraszewskiego, ale z nim nie wiodło mu się, jak i z innymi literatami; dawali mu słowo honoru, a stale krewili. Nie myślę o Mierosławskim, który nietylko generał, ale i literat, zapewniał na honor, że się w sprawy przygotowawcze do powstania mieszać nie będzie, ale w istocie jego agenci wszędzie Jeżowi bróździli: mamyż o tem jego osobne pisemko, a tu zabawny wierszyk spowodu polemiki Klaczki z Mierosławskim. Wymógł Jeż od Kraszewskiego słowo honoru, że katedrę w Krakowie przyjmie, od swego Kornela, że za panią Wildową nie pojedzie do Meranu, — przecież pojechał. O zacnej (Rosjance z ojca) pannie Henryce Pustowójtównie szeroko się rozpisał, bo mu w Rumunji bróździła; fotografja jej wierna, lecz niebardzo korzystna. Poznajemy generałów Bema i Wysockiego. Dalej cały tłok najrozmaitszych figur, chłopów (prototypy Wasyla Hołuba, Ostapka i in.) i żydów (spora wiązka i takich i siakich), księży, od jowjalnego ks. Komarnickiego począwszy, polsko-ruskiego wierszoklety, aż do pragnących nawrotu dziesięcin dawnych. Szlachty coniemiara, od patrjotycznej istotnie (między nimi jeden, Hiszpan z imienia, z serca dobry Polak), aż do szermującej na słowa, a odjeżdżającej na-

gle, gdy się na coś zanosiło, albo wręcz odstępczej, hardej, nieprzystępnej. Jedno miała ta szlachta spólne: karciarstwo szalone; nietylko podczas kontraktów, ale przy każdej sposobności zielony stolik, a na nim preferans i sztos, faraon i maczki, rzadziej wint albo poetyczny marjasz; na Litwie panowało takież samo systematyczne zabójstwo czasu, mniejsze nieco w Królestwie. O bałagulstwie, które Jeż „szałem“ nazywa, jest tylko krótka wzmianka, tłumacząca je bezmyślnością chwili, brakiem jakiegokolwiek zajęcia. Poza szlachtą polską—rumuńska, z przedstawicielami Europy, kulturalnymi, moc Francuzów, wojskowych (myślących tylko o kobietach i awansie) i cywilnych, łupiących Turków. Mieszczan mnóstwo, począwszy od poczciwego Szwajcara Rotlendera, cukiernika dobrze Lwowianom znanego, który Jeża jako kolegę z wojny węgierskiej przed policją u siebie chronił i ciastkami wyszukanemi opychał, aż do ajenta policyjnego, słynnego wyławiacza emigrantów i republikanów.

Zasłużył na osobliwszą wzmiankę jeszcze biskup diakowski Józef Strosmajer, wielki patrjota, który wyrębywał olbrzymie lasy biskupie na fundusze dla kultury kroackiej, na Akademję Nauk zagrzebską i t. d., którego Madziarzy i Madziaroni nienawidzili z całego serca i na Franciszku Józefie wymogli, że biskupa cytował *ad audiendum verbum imperatoris*. Poznał go Jeż na wystawie paryskiej r. 1867 w sposób nieco zakonspirowany, bo emigrant czeski Frycz przedstawił go biskupowi w oddziale pedagogicznym wystawy, nazwisko zaś wymienił tak niewyraźnie, że Jeż nie wiedział, z kim też rozmawia. Rozmowa toczyła się więc najswobodniej, biskupa nic nie wydawało, ani ubiór, ani zasady postępowe (biskup należał na soborze watykańskim do opozycji) a sądy wytrawne; lecz po dalsze ciekawe szczegóły tych rozmów o czwartej rano w ogrodzie Tuilleryj odsyłam czytelnika do Pamiętnika samego. Charakterystyki bywają krótkie zazwyczaj, mimo to nadzwyczaj nieraz wyraźne, np. Kraszewskiego. Przy Zaleskich więcej mowy o majorze niż o poecie. Jest znakomity obraz towiańczyka Rettla i jego nieudałej propagandy, jest i kazanie ks. Jełowickiego i t. d. Z malarzami mało się stykał.

Galerja kobieca znacznie mniejsza, nie wspominam charakterystyk matki, żony, sióstr, ciotek i „babuni“, ich religji,

poświęcenia i innych cnót domowych; o pannie Pustowójtównie wyżej wspomniałem. Jest Delfina Potocka, co się z mężem (Mieczysławem) na stare lata pokumała, źle po polsku mówiła, a jeszcze gorzej pisała, o czem (też Zygmunt ale) Krasiński milczy. Jest Ludwika Śniadecka, co — sześćdziesięcioletnia — Jeża oczarowała, chociaż się na nią i o Korsakowa i o Sadyka gniewał; jest i Seweryna Duchińska, jak ona mężowi dług narodowy spłaciła; szczególnie zaś liczne wszelkie artystki, śpiewaczki i t. p.

Lecz to wszystko drobiazgi wobec kilkudziesięciu stronic, jakie Mickiewiczowi poświęcił. Ukląkł przed trumną jego w Konstantynopolu, lecz w Paryżu od żyjącego stronił, i z tego pragnął się wytłumaczyć, hołdując poecie, a człowieka ostro krytykując. Tu odezwała się demokracja, t. j. instynktowna niemal niechęć do uchylania głowy i oddawania hołdu żywym śmiertelnikom (przecież wszyscyśmy ludźmi!), do czego się Jeż i przy innych sposobnościach sam mimowoli przyznawał; nie chciał się niby narzucać i t. p., ależ i towiaństwo nie usprawiedliwiało stronienia od poety. Rozdzielił więc Jeż ściśle poetę genjalnego od człowieka odmiennego pokroju, który w Rzymie r. 1830 dał się zupełnie arystokracji i nabożności zawojować, przejął się pod wpływem Rzewuskiego i Chołoniewskiego jakoby rezygnacją, zwątpieniem o Polsce, i napisał wiersz *Do matki Polki*, w którym jej niby na serjo zalecał, żeby syna na Polaka nie kierowała. Ależ nie zważył pamiętnikarz, że to straszny ból patrjotyczny te tragiczne uwagi, tę pełnię gorzkiej ironji wywołał. Człowiek żył tylko wrażeniami poetyckiemi — stąd roszczenia do roli wodza, mistrza, któremu naród losy powierzać winien. Dla wrażeń dał się podbić uwagom, przestrogom przyjaciół Moskali; i zmyślił Jeż obszerny dialog między ślepcem Kozłowym a poetą polskim, gdzie lojalność rosyjska zwycięża nad oporem Polaka w imię zdrowego rozsądku i widocznej niemożliwości walki. Sarka Jeż na beztakt Januszkiewicza, który biednego Słowackiego dla umyślnej kompromitacji na ucztę Adamową 1840 r. zaprosił, i na całkiem stronnicze tej uczty opisy. Przeznaczenie Mickiewicza do utonięcia w mistyce wywodzi już od owego przypadku w rannem dzieciństwie, od wrażeń orłów napoleońskich i t. d. W *Konradzie Wallenrodzie* widzi apoteozę nie zdrady, lecz zemsty.

Na te i inne wywody trudno się zgodzić, ale jest między niemi jeden, świadczący o bystrości krytyka. Chodzi o poetów polskiego i rosyjskiego przed pomnikiem Piotra Wielkiego. Kto ów Rosjanin? Tradycja Puszkina stale wymienia, ale to myłka; był wtedy Puszkin nie w Petersburgu, lecz na Kaukazie (to myłka Jeża), „wieszczem przeto owym, co się z Mickiewiczem płaszczem jednym okrywał, być mógł albo Rylejew, albo wytwór fantazji poetycznej, potrzebny do artystycznego udekorowania opowiadania". Tu rozwiązał Jeż zagadkę: poeta ów to nie Puszkin, ani Rylejew, lecz zmyślenie, wytwór fantazji (wszelkie inne próby, moje własne, p. Lednickiego i in., uważam za chybione). Pomijam kilka innych drobnych zarzutów (dlaczego wyjazd do Drezna, nie do Krakowa np., dlaczego osobna uroczystość narodowa litewsko-ruska, nie spólna 29 listopada i in.); różnice były zasadnicze: z kwietyzmem politycznym towiańczyków nie mógł się pogodzić polityk czynu, jakim Jeż do końca życia pozostał.

Tacyto przeciętni, lecz nierównie częściej wcale nieprzeciętni ludzie przesuwają się w Pamiętniku przed naszemi oczyma, a losy ich bywały również nieprzeciętne, rzadko wesołe, z reguły tragiczne. Odzwierciedlają się w Pamiętniku losy rewolucjonistów i patrjotów z nadzwyczajną wypukłością. Jest np. rozdział p. t. „Emisarka", kiedyto Jeż w przebraniu chłopskiem dociera do Niemirowa, i jakich dobierają środków ciocia Jeleńkowska i rodzice, żeby przed domownikami ukryć niebezpiecznego gościa: dzieje to Zaliwskiego, Konarskiego, Wiśniowskiego i in. powtórzone. A jakie przejścia rodzinne! Miłkowscy tracą w jednym miesiącu trzech synów: jednego rozstrzelają Moskale, drugi pada od kuli tureckiej, a trzeci do Orenburga wysłany; wdowa po Erazmie (bracie) Miłkowskim traci jedynego, który jej pozostał, syna, zamorzyli go najniewinniejszego (przez nieporozumienie) Moskale w szpitalu więziennym. A tragedja Świętorzeckiego i tylu innych. Samemu Jeżowi losy sprzyjały jakotako. Nie dostał się do rąk rosyjskich, a i z austrjackich uszedł wobec zawziętości namiestnika Gołuchowskiego, skierowanej przeciw niemu; i Wielkopolskę spokojnie przejechać zdołał, którą koniecznie poznać pragnął, Litwy tylko nie zobaczył. Najobszerniej opowiedział o r. 1867, o wystąpieniu Floqueta z *vive la Pologne!* wobec Aleksandra II (który okrzyk

à la porte do siebie stosował), o procesie Berezowskiego po jego zamachu na cara; najwymowniejsze to karty Pamiętnika.

Tytuł Pamiętnika *Od kolebki przez życie* myli, zamiast: przez pół życia, bo Pamiętnik urywa się z 25 rozdziałem na r. 1873 i na Lozannie, a życie autora przeciągnęło się zgórą lat czterdzieści (rok śmierci 1915). Czynność zaś starego emigranta nabrała nowego kierunku i nowej podniety właśnie w latach ośmdziesiątych, gdy zaprotestował przeciw austrjackiej i rosyjskiej rezygnacji „szwarcgelberów“ i „ugodowców“ w imię niepodległej Polski, gdy żądał czynnego pogotowia i założenia Skarbu Narodowego, a stanął na czele Ligi Narodowej jako jej pierwszy przewodniczący (z niej wkońcu Narodowa Demokracja się rozwinęła). Doczekał się nareszcie, czego przez całe życie pragnął usilnie, że rozbiorcy dotychczasową harmonję nieposzlakowaną w bój na śmierć i życie odwrócili i — rzecz niesłychana — wszyscy trzej własnym zgonem to przepłacili.

Zaczął spisywać Pamiętnik r. 1884 i wracał coraz do niego, pisał go jeszcze 1909 r.; urywki z niego ogłaszał i w *Tygodniku Ilustrowanym* i w *Bibljotece Warszawskiej* i in., lecz dopiero teraz otrzymujemy go w całości.

Cóż prawi Pamiętnik o autorze i człowieku? Przyroda polska bywa odmienna, i w Pamiętniku przewijają się coraz postaci, co nie dotrzymały w latach późniejszych tego, co obiecywały zamłodu; wystarczy przypomnieć Szujskiego, „barona“ Ziemiałkowskiego (ten choć wpływom żony uległ), Smolki i in. Wobec nich imponuje Jeż, Katon demokracji polskiej, niewzruszonością zasad: co studentem kijowskim w memorjałach rękopisemnych głosił, to powtarzał czy w *Przeglądzie Rzeczy Polskich* z lat pięćdziesiątych, czy też, gdy z Mierosławskim wojował, czy w *Wolnem Słowie Polskiem*, gdy rezygnację polityczną, czyto Świętochowskiego i Spasowicza, czy też Daszyńskiego i Dmowskiego potępiał. Programu, któryśmy za nim w trzech słowach powtórzyli: Polak-republikanin-demokrata, nigdy ani na chwilę nie odstąpił, w żadne kompromisy się nie wdawał i bronił go, czy przeciw Strosmajerowi, olśniętemu przez potęgę niezwyciężoną Rosji, ufnemu w jej przyszłe przeobrażenie na modłę Zachodu i w to, że dzierżyć będzie prymat Słowiańszczyzny (ideał czeski, nie polski), — czy przeciw Spasowiczowi młodemu lub wreszcie przeciwko Wielopolskiemu.

Uznawał chętnie osobiste zasługi księży wszelakich, lecz nigdy z ultramontanizmem Kalinki nie paktował; ależ i komunizmu nie uznawał, był zachodowcem i wszelkiem odstępstwem się brzydził, więc już z tego tytułu z poturczeńcami (jak Sadyk pasza) się nie zgadzał; liberał-radykał, i antysemitą nie bywał.

Trzeźwość jego umysłowa nadzwyczajna; mierziły go frazesy, choć ich spokojnie wysłuchiwał, więc nietylko napuszony Mierosławski (co ten o Bogu prawił, żywo dzisiejszą sowiecką antyreligijność przypomina), ależ nawet czerwony na chwilę Kraszewski go raził. Łudził się może chwilami, wierząc np. w możliwość zgody Węgrów z Słowianami, lecz rychło i im i Rosjanom niedowierzał. Był fanatykiem niepodległości polskiej; we własne jej siły wierzył, ani Napoleonowi III ani Francuzom, mimo wielkiej, głębokiej sympatji (rok 1870 i jego pognębił), nie dowierzał; wymagał jednego: czujnej straży na wsze strony, wzywał, by być w pogotowiu: „chto w lisi, obzywajsia!“ Chłopomanem nie był, chociaż żywo odczuwał krzywdę wyrządzaną ludowi i winę pogorszenia stosunków między dworem a chatą na dwór składał, a w „rizuństwo“ chłopskie nie wierzył, szlachtę 1847 o obawę przed własnym cieniem oskarżał; rozróżniał między gniewem Ukrainy na „panów“, do których ich coś mimowoli ciągnęło, a ich nienawiścią wobec kacapów. Usposobienia chłopa polskiego nie miał sposobności badać.

Starał się o sąd przedmiotowy, mimo wszelkiej więc nienawiści przeciw Austrji uznawał chętnie, że pod jej zaborem nawet taki mizerny Złoczów wobec stokroć bogatszej Bałty i t. p. nierównie wyższą cywilizacją się odznaczał. Poglądy na świat miewał szerokie, niedarmoż się po nim tyle tułał; „włóczęgą“ się też sam tytułował, nigdy się do miejsca nie wiązał. Karty, lulka, wódka nigdy nim nie zawładły i coraz biadał nad spustoszeniami, jakie one śród szlachty sprawiały. Konie lubił, polowaniu się chętnie oddawał. Był natury dobrotliwej, łagodnej, dzielił się i ostatkami. Takt i delikatność nigdy go nie opuszczały, chociaż nadto skrupulatnym nie bywał, co wobec żelaznego musu, krępującego ojca rodziny, nie dziwi; z jego delikatności i Dobrzański i Lewental korzystali. Bywał „na wozie“, ale chyba częściej „pod wozem“ (tytuł jednego z rozdziałów), lecz nie rozpaczał, raz tylko był bliski samobójstwa (w Londynie). Głęboko odczu-

wał i pełnił wszelki obowiązek, dla ojczyzny poświęcał i rodzinę, acz do niej najgłębiej przywiązany; przygotowywał się starannie do każdej służby, wojskowej czy dyplomatycznej; karność żołnierska weszła mu w krew i nie znosił żadnego opuszczania, braku subordynacji poprostu nie rozumiał. Polak-kresowiec (wrażliwy na uroki niewieście, piękność umiał cenić) był w każdym calu prawym szlachcicem, chociaż — demokrata — ani o herby ani o koligacje nie pytał. Cenił ludzi, charaktery, więc taki np. Mieczysław Potocki tylko go wzgardą napawał. Doświadczył wiele, także zawodów, lecz wiary w człowieka nigdy nie stracił. Przez cały długi wiek (umarł w r. 90 życia) przeszedł z czołem podniesionem; lubili i cenili go wszyscy, co go poznali, chociaż ani zbytnią urodą, ani zwykłemi „talentami“ obywatelskiemi nie grzeszył. Zawiści, grasującej między literatami i demokratami, nie znał (nikt go też o nią nie pomówił), wrażeń estetycznych nie stępiły lata, chociaż się z niemi rzadko wydawał; towarzyskim był bardzo, ceremonij niezawsze przestrzegał.

Jaki człowiek, taki był i styl pisarza: prosty, płynny, dosadny; pisał, jak żył, otwarcie, szczerze, bez wymysłów czy fochów, patrzył bystro, a oddawał wiernie, obrazów olejnych nie tworzył, ale w pastelu celował. Polak-kresowiec, więc przed ukrainizmem się nie żachał; że „drybuszki“ taniec wiejski, to Rusin to wiedział (więc i Zimorowic słowa tego użył); widać to i w słownictwie: „opyt“ wcale częsty, „ślad“ wiatr może znaczy, niebrak tu i ówdzie jakiegoś narzeczowego słówka, co nie wadzi; więcej wadzi jakiś przestarzały szyk słów, przedział szeroki między przymiotnikiem a rzeczownikiem, zapełniony słowami, którebyśmy po nich położyli, usuwanie stale czasownika na sam koniec zdania, od czego dziś odwykamy. Poniewierał się Jeż (trudno odwyknąć od pseudonimu, jak i przy Prusie) zagranicą i od r. 1848 Polskę raczej przelotnie nawiedzał, w Galicji i Warszawie tylko kontrabandą przesiadywał, mimo to polszczyzna jego wzorowa, wolna i od francuszczyzny, chociaż Paryż, Bruksela, Genewa, Lozanna tyle mu lat zabrały.

Czyta się ten Pamiętnik z niegasnącem zajęciem; wstrzymywałem się umyślnie od wyławiania miejsc efektownych, odsyłając czytelnika do tekstu samego. Opowiadanie toczy się w nieprzerwanym ciągu, który tylko ekskurs o Mickiewiczu

przerwał, i dlatego odsunęliśmy go do dodatku. Nie usuwaliśmy powtarzań, bo ich ani wiele ani obszernych; nie tykaliśmy zresztą niczego, ani toku słów ani niejednego sądu ostrego, np. o „zdradzie Görgeja“; całość — szacowny to pomnik człowieka i czasów, tak nam bliskich latami, a tak dalekich już treścią!

Aleksander Brückner

PRACE I IDEE POLITYCZNE PUŁK. ZYGMUNTA MIŁKOWSKIEGO NA TLE JEGO WSPOMNIEŃ [1]

T. T. Jeż należał do najbardziej poczytnych pisarzy polskich. Powieści i nowele uważał jednak za środek, nie za cel swego działania. Mówi o tem wyraźnie: „Piszę, bo nie mam co innego robić". Celem życia była dla niego walka czynna o niepodległość Polski; wszystko inne: i powieści i artykuły polityczne i prace organizacyjne, miało być jedynie przygotowaniem do czynu, zbieraniem sił materjalnych i budzeniem świadomości narodowej. W testamencie z 6 sierpnia 1909, złożonym w Muzeum Narodowem w Rapperswilu, mówił o życiu swem jako o służbie „z orężem i piórem w ręku": „żegnając wszystkich, co po mnie przy życiu pozostali, przyjaciół i przeciwników moich, mając na myśli młodzież polską zwłaszcza, wypowiadam i zaznaczam najważniejszy przekaz mój testamentarny: wiarę w Polskę i nieprzerywalność w pracy dla odrodzenia Jej". Nie wymieniał żadnej ze swych licznych powieści, lecz do przedruku zalecał: „wstępne pióra mego artykuły w *Wolnem Polskiem Słowie*, dwutygodniku przeze mnie lat jedenaście redagowanym, których wydanie książkowe obdarzyłoby, zdaniem mojem, naukową literaturę polską nienajgorszem dziełem politycznem". Najważniejszym owocem półwiekowej działalności literackiej były więc dla niego programowe artykuły polityczne, które rzeczywiście, mimo zmienionych stosunków polskich, zasługują i dziś jeszcze na wydanie, jako ważny dokument polskiej myśli politycznej i potrzebne dla społeczeństwa wskazania, łączące teraźniejszość z tem, czem żyła emigracja od roku 1887 do 1899.

---

[1] Przy rozważaniu prac i idej politycznych T. T. Jeża wzięto pod uwagę jedynie pamiętnik *Od kolebki przez życie* i wspomnienia zawarte w jego pismach politycznych.

Uważał się przedewszystkiem za działacza politycznego i do historji przeszedł nietylko jako powieściopisarz, ale jako przedstawiciel programu walki czynnej. Na ukształtowanie się idej politycznych Z. Miłkowskiego wpływały: ziemia ukraińska, z której wyrósł, tradycja wojskowa i liberalna w domu ojca, nauki w Niemirowie i Odesie, konspirowanie w szkole i na Uniwersytecie Kijowskim, służba wojskowa na Węgrzech, walka o chleb w Anglji i udział w działaniach Polskiego Towarzystwa Demokratycznego, przeżycia w Polsce i na Bałkanach w roli emisarjusza Towarzystwa Demokratycznego, czynny udział w 1863 roku i wreszcie powtórna tułaczka emigracyjna po Serbji, Belgji, Francji i Szwajcarji. Na tworzenie się jego programu politycznego wpływali swoi i obcy, oddziaływała emigracja, która idee i hasła tworzyła, a nie miała sposobności poddania swych projektów i idej próbie życia codziennego: były tam wpływy Polskiego Towarzystwa Demokratycznego, Europejskiego Komitetu Rewolucyjnego, Zjednoczenia Emigracji Polskiej i genewskiej Ligi Wolności i Pokoju. Znać w nim echa rozmów z Worcellem, Daraszem i S. Elżanowskim; z obcych myślicieli wywarł najsilniejszy wpływ Józef Mazzini. Było wreszcie bodaj najwięcej tego, co T. T. Jeż widział i podziwiał, mieszkając w Szwajcarji przez czterdzieści ostatnich lat życia.

Program swój określa w testamencie z roku 1909 słowami: „Odrodzenie Polski całej, wolnej, niepodległej, w siostrzaną republikańsko-demokratyczną spójnię z Litwą i Rusią związanej i za wzór w dążeniach do ustroju federacyjnego na podobieństwo Związku Szwajcarskiego narodom pobratymczym i innym służącej“. Znaczenie Z. Miłkowskiego i jego wpływ na pokolenia drugiej połowy XIX i pierwszych lat XX wieku polegały nie na udziale jego w bezpośredniej pracy politycznej, lecz przedewszystkiem na propagandzie ideowej. Był jednym z twórców programu walki czynnej, najsilniej z pokolenia swego przeciwstawiał się lojalizmowi wobec zaborców i hasłom pracy organicznej. Wpływ jego porównać można z wpływem, który wywierał Henryk Kamieński przed r. 1846. Był najlepszym wyrazicielem tych przekonań, które żyły we wszystkich, był najbardziej nieustępliwym, najwyżej niósł sztandar Polski, gotującej się do nowych czasów. W liście otwartym *Do spółobywateli* w r. 1905 zwracał się przeciw

strajkom i przeciw łączeniu się z rewolucją w Rosji. Powtarzał przytem słowa Andrzeja Zamoyskiego z r. 1862 jako swój program na rok 1905: „O nic nie prosić! Zwrotu wszystkiego, co nam wydarto, domagać się! Wszystko nam zwrócone przyjmować! Z niczego nie kwitować!“.

Nie był to program polityka, uważającego, że przyszedł czas działania. Niemniej znaczenie T. T. Jeża i popularność jego była tak wielka, jak „pana Andrzeja“ Zamoyskiego w wilję wybuchu powstania styczniowego. Cnoty i wady Andrzeja Zamoyskiego przed r. 1863 a pułkownika Z. Miłkowskiego przed r. 1914, dodatnie i ujemne cechy ich postępowania mają wiele wspólnego. Prawość charakteru i nieustępliwość od programu maksymalnego, ale zarazem nierealność i brak konkretnego planu działania politycznego były i u Zamoyskiego i u T. T. Jeża źródłem ich wielkiej popularności i równocześnie ich słabą stroną.

Stosunek Z. Miłkowskiego do czytelnika był tak bezpośredni, jak u żadnego z pisarzy polskich. Nie umiał i nie chciał utrzymywać dystansu między sobą i czytelnikiem, nie znał koturnów, chwytliwy i bystry obserwator dzielił się z czytelnikiem swemi impresjami w sposób tak prosty i poufały, że dziś musi to razić w jego powieściach. Natomiast w pismach politycznych i w pamiętnikach jest to niewątpliwą zaletą. Jako działacz polityczny uważał swój publiczny rachunek sumienia za jeden ze swych obowiązków. Zależało mu na tem, aby idee jego objęły jaknajszersze warstwy, ogłaszał więc nie sam program, ale pisał, jak do niego doszedł. Bez najmniejszej chęci przeceniania swego udziału zdawał sprawę z każdej swej działalności politycznej i z największą szczerością pisał o swych pracach.

Pierwiastek autobiograficzny, częsty i ważny w powieściach T. T. Jeża, najsilniej występuje w jego artykułach i broszurach politycznych. W r. 1849 w Szumli wydawał ręcznie przepisywane pismo *Dziennik Emigracji*. Redagował w ten sposób nietylko gazetę dla współtowarzyszy rewolucji węgierskiej, internowanych w Turcji, ale notował przedewszystkiem to, co niósł każdy dzień, zbierał wiadomości bieżące tak, jakby układał dziennik własnych przeżyć.

Pierwszy drukowany artykuł Z. Miłkowskiego w poznań-

skim *Gońcu Polskim*[1] o wydawnictwie *Gwiazda* opiera się nietylko na przeczytaniu tej kijowskiej księgi zbiorowej, ale przedewszystkiem na znajomości stosunków na Ukrainie. Występuje w owym artykule zarówno przeciw *Tygodnikowi Petersburskiemu*, przeciw M. Grabowskiemu i H. Rzewuskiemu i ich panslawizmowi, jak i przeciw prądom klerykalnym *Przeglądu Poznańskiego*. Mówi o pracach Fisza, dra Kaczkowskiego i J. I. Kraszewskiego, o Krzemieńcu i Kijowie, których nastroje i zasługi znał z przeżyć własnych.

Artykuły w *Demokracie Polskim* w r. 1851 o *Ludzie rolniczym w Krajach Zabranych*, o *Szlachcie w Kraju Zabranym* i o *Znaczeniu rewolucyjnem Rusi*[2] są w dużej mierze wspomnieniem sprzed paru lat, echami dobrych stosunków ojca z chłopami klebańskimi oraz własnej agitacji za zniesieniem pańszczyzny w okolicach Krasnopólki, i tego, co sam przeżywał do roku 1847 na Rusi.

Ze wspomnieniami od r. 1824 do 1848, od kolebki do legjonu polskiego na Węgrzech, będzie się w życiu Miłkowskiego wiązało najwięcej. Okres ten wyidealizuje on, bo tęsknić będzie nietylko za latami dzieciństwa i młodości, ale także za ziemią rodzinną, którą opuścił w r. 1848, wychodząc na prawie siedemdziesięcioletnią tułaczkę emigracyjną. Z przeżyć swych w tym okresie życia wyniósł znajomość środowiska średniozamożnej szlachty, typy chłopskie w swych powieściach i ideał Rusina, uosobiony w postaci Kaspra Ciąglewicza, który, cierpiąc za Polskę, wyszedł z połamanemi nogami z Kufsteinu.

Czytane książki i pisma, ciągły kontakt z życiem politycznem Galicji oraz wspomnienia z lat 1860—4 przyczyniły się do znajomości zagadnienia ruskiego, ale niewątpliwie przeżycia z jego młodości wywarły wpływ największy. Czyto jako autor artykułów w *Demokracie Polskim* z roku 1858 i 1859 *(Dobrodziejstwa Aleksandra II, Marszałkowie szlachty i kwestja włościańska*[3]*)*, czy występując przeciwko *Kołokołowi* i Herzenowi[4], czy wreszcie w broszurze *Sprawa ruska. Prowodyrowie*

---

[1] Z 14 i 15 I 1851, nr 10 i 11.

[2] *Demokrata Polski*, Londyn, nr 6 i 7 z 16 i 23 II 1851, nr 18 z 4 V 1851, nr 19 z 11 V 1851.

[3] *Demokrata Polski*, Londyn, 15 V 1858 oraz tamże 15 VII 1858.

[4] Tamże 15 I i 28 II 1859.

Rusi współczesnej z r. 1879 [1], a nawet w publikacji z r. 1902 spowodu zamachu ukraińskiego na Uniwersytet Lwowski, p. t. *Sprawa ruska w stosunku do sprawy polskiej* [2], — za podstawę dla dowodzeń i dla programu politycznego ma ciągle wspomnienia z powiatu bałckiego, z Niemirowa, Odesy i Kijowa. Rozdziały Pamiętnika, odnoszące się do tego okresu, dają nowe oświetlenie konspiracji ukraińskiej i polskiej przed r. 1848, oraz przyczyniają się do poznania nastrojów i tła. Podkreślają ważne czynniki życia politycznego w Polsce w. XIX, kiedy mówią o rozpolitykowaniu młodzieży uniwersyteckiej w Kijowie jako o rezultacie braku życia politycznego w społeczeństwie, o stosunku do zbyt surowej cenzury i o przyzwyczajaniu się czytelników do czytania między wierszami.

Wspomnienia z rewolucji na Węgrzech nawiązują do tradycyj żołnierskich, które Z. Miłkowski wyniósł z domu rodzinnego. Wnoszą one wiele nowego światła do udziału Polski w rewolucji r. 1848 na Węgrzech, szczególnie do poznania nastroju, jaki panował wśród ochotników polskich, i do warunków materjalnych, w których Polacy pozostawali w rewolucyjnej armji węgierskiej. Miłkowski nie był wyjątkiem, kiedy, awansowany na oficera przy reorganizacji legjonów, zdawał sobie sprawę, jak bardzo jest obdarty. Munduru nie miał, tylko płaszcz podarty i popalony, ze spodni „nogawice jeno wyglądały jakotako“, buty bez podeszew, a spod czapki przeglądały włosy. Do wspomnień węgierskich wraca T. T. Jeż w r. 1863, opowiadając w *Przeglądzie Rzeczy Polskich* [3] oraz w r. 1867 w krótkich *Wspomnieniach z Węgier* [4] swe przeżycia z kampanji r. 1848 i 1849; ujmuje je jednakowoż inaczej niż w Pamiętniku. Znajomość spraw węgierskich wykazuje w artykułach politycznych, ogłaszanych w *Prawdzie* i w *Przeglądzie Społecznym* [5].

Czuł się na Węgrzech dobrze, przylgnął do towarzyszy

---

[1] Odbitka z *Dziennika Poznańskiego* 1879. [2] Druk. Lwów 1902.

[3] *Wspomnienia z wojny węgierskiej* (*Przegląd Rzeczy Polskich*, Paryż 17 I 1863, str. 1—20).

[4] Druk. w *Kalendarzu Polskim Illustrowanym* J. Jaworskiego, Warszawa 1867, str. 59—64.

[5] *Sprawa kroacka* (*Prawda* 1885, nr 2); *Madjari a Kroaci* (*Przegląd Społeczny*, Lwów 1886, nr 1).

broni, umiał patrzeć na przebieg wypadków, uczył się rzemiosła wojskowego i gromadził doświadczenia dla późniejszego działania politycznego. Jednakże nie nawiązał z Węgrami serdeczniejszych węzłów uczuciowych, rozumiał ich, podziwiał, widział ich zalety i wady, zdawał sobie sprawę z ich błędów politycznych, poznawał kraj i obyczaje, ale pozostali dla niego mimo wszystko obcymi. Na przeszkodzie stały trudności językowe i przedewszystkiem stosunek Madziarów do Słowaków i Słowian południowych.

Podobny był stosunek Miłkowskiego do Turków. Kilkakrotnie przebywał na terenie państwa otomańskiego. Czynił starania razem z Wysockim o utworzenie legjonu polskiego w czasie wojny krymskiej, pertraktował z wodzem naczelnym Omerem-paszą i był w sztabie Izmaiła-paszy. W dziesięć lat potem organizował na terenie tureckim wyprawę z Tulczy do Polski i mówił z wielkim wezyrem o sprawach powstania styczniowego. Z Turcji wyniesie jako powieściopisarz najliczniejszą galerję typów. Pisać będzie o tych czasach jedyne swe prace historyczne o *Udziale Polaków w wojnie wschodniej 1853—1856 r.*[1] i *W Galicji i na Wschodzie w 1863*[2]. Tak tam jak w *Sylwetach emigracyjnych*[3] w doborze faktów i w ocenie ludzi oraz stronnictw kierować się będzie przedewszystkiem tem, co widział, co sam przeżył i odczuł. Niektóre zdarzenia opisze trzykrotnie, jak np. śmierć A. Mickiewicza[4].

W Turcji przeżywał najbujniejsze swoje lata, pracował przy budowie fortecy, brał udział w wyprawie wojennej, był przedsiębiorcą handlowym, prowadził gospodę, był buchalterem, nauczycielem języków i tam rozpoczął swą pracę dla literatury polskiej. Ale jak Węgrzy, tak i Turcy pozostali mu obcymi, nie pochłonął go Wschód, nie został w Turcji, jak jego towarzysze: S. Bieliński, F. Sokulski czy Gropplerowie. Krytycznie odnosił się do Czajkowskiego, a nawet do Bema, i nie pochwalał jego przejścia na islamizm. Cele polityczne mogły usprawiedli-

---

[1] Druk. Paryż 1859. [2] Druk. Poznań 1880. [3] Druk. Lwów 1904.

[4] O śmierci i pogrzebie Mickiewicza w Konstantynopolu pisał: *Wyjątki z pamiętników włóczęgi* w *Dzienniku Literackim*, Lwów 1858, nr 35—41; — *Szczegóły niektóre o śmierci i eksportacji zwłok Mickiewicza w Konstantynopolu* w *Kraju*, Petersburg 1885, nr 46 w książce zbiorowej *Pamięci Adama*, Petersburg 1890, wreszcie w t. II. *Od kolebki przez życie*.

wiać porzucenie wiary przodków przez generała, nie usprawiedliwiłyby jednak pisarza, który miał pozyskać taki wpływ, jaki osiągnął T. T. Jeż. Prócz wiary oddzielały go od Turcji tradycje kresowych żołnierzy i przejęcie się cywilizacją zachodnią, żywą w domu rodzinnym, a pogłębioną przez pobyt w Anglji i we Francji od r. 1849 do 1851. Przeciw łączeniu się z Turcją wypowie się też spowodu ich polityki w stosunku do Słowian. Demokrata i liberał oburzać się będzie na podział społeczeństwa na panujących „Osmanlisów“ i na podległych „rajów“ słowiańskich, których spędzano do budowy twierdz, nie troszcząc się o ich pożywienie, i którzy musieli zeskakiwać z koni, jeżeli Turek przechodził ich drogą. Widział baszybuzuków tureckich w wojnie krymskiej, mordujących bezbronną ludność słowiańską, widział podziemne kryjówki po wsiach bułgarskich, w których chroniono się przed Turkami, więc mimo tego, że gotów był do każdej wojny przeciw Rosji, sprzeciwiał się legjonom polskim w Turcji w r. 1877, gdyż legjony te musiałyby wystąpić także przeciw Słowianom południowym, walczącym o swą niepodległość.

Pomost, łączący go uczuciowo ze Słowiańszczyzną południową, znalazł Z. Miłkowski na Dobrudży, gdzie liczna emigracja ruska i Kozacy przypominali mu czasy dzieciństwa i młodości, a Tulcza i inne miasta nie różniły się wiele od Niemirowa czy Bałty. Widział między Bułgarją i Serbją a Polską podobieństwo w cechach plemiennych ludności, w obyczajach, niemal w postawie mieszkańców i w ich rysach twarzy. Od r. 1849, od chwili przebywania podczas rewolucji węgierskiej w gościnnym domu Serba, poznawał ich aspiracje polityczne, zdawał sobie sprawę z dużej atrakcyjności ich pierwiastków narodowych i zaczął naukę języka i dziejów serbskich. Znajomość tę pogłębił w okresie wojny krymskiej. Czas jakiś bawił w Serbji jako emisarjusz demokratów emigracyjnych i rozpoczynał prace, mające na celu zorganizowanie tajnego związku między Belgradem, Serbami pod berłem habsburskiem i demokratami w Galicji. Pieszo przeszedł prawie całą Słowiańszczyznę południową, spotykał się wszędzie ze szczerą sympatją dla Polski i bez ustanku musiał porównywać niewolę turecką z zaborami w Polsce. W kilka lat potem, wysłany w r. 1864 z misją polityczną do Belgradu, pozostawał tam aż do r. 1866, prze-

żywał z żoną i dziećmi okres biedy i niepewności co do najbliższych dni, ale miał czas na studja stosunków, dziejów i języka serbskiego.

Kilkakrotny pobyt w południowej Słowiańszczyźnie dał mu tematy do całego szeregu najlepszych jego powieści z dziejów Serbji, Bułgarji, Albanji, Czarnogóry i Bośni. Pierwsza jego większa praca literacka, *Wyjątki z pamiętników włóczęgi* [1], ma za temat wrażenia z Bałkanów, z Dobrudży, Bułgarji i Serbji. Później, pisząc studja historyczne o Serbji, o Jerzym Czarnym, o jej pieśniach ludowych, prace i artykuły z dziedziny etnografji i sytuacji politycznej Słowian południowych [2], udowadnia, że jest jednym z najlepszych w Polsce znawców stosunków bałkańskich. To też Pamiętnik T. T. Jeża wnosi do spraw południowo-słowiańskich od 1849—66 materjał dużej wagi. Pertraktacje i plany, które miały na celu wspólne wystąpienia Włoch, Węgier, Serbji i Polski w r. 1864 przeciw Austrji, znajdują w Pamiętniku po raz pierwszy oświetlenie ze strony polskiej. Wiadomości o emigrantach polskich, mieszkających w Serbji a zasłużonych około cywilizacji serbskiej, stają się dopiero przez niniejszy Pamiętnik własnością nauki.

Wspomnienia Z. Miłkowskiego z Mołdawji i Wołoszczyzny, zjednoczonych od czasu wojny krymskiej w Księstwa Naddunajskie, rozpoczynają się wyprawą emisarską w r. 1850. Pobieżnie wspomina autor w Pamiętniku o pracach swych dla Rumunji w okresie wojny krymskiej, tymczasem w aktach Koła Polskiego w Paryżu i w rękopisach po gen. J. Wysockim [3] znajdują się między innemi wskazówki o tem, że

---

[1] *Dziennik Literacki*, Lwów 1856, nr 44—50, 1858, nr 35—136, 1860, nr 79—103.

[2] *O umysłowem życiu w Słowiańszczyźnie zadunajskiej* (*Dziennik Literacki* 1866, nr 17, 18). — *Serbja, studja historyczne* (*Przegląd Powszechny*, Drezno 1866, zeszyt 3). — *Słowiańszczyzna południowa*, pogląd społeczny (*Ateneum*, Warszawa 1877, t. I). — Przedmowa do *Pieśni serbskich o Kosowem Polu*, przekład I. Kopernickiego, Kraków 1889. — *Jerzy Czarny*, życie i czyny jego, Lwów 1897. — *Kwestja wschodnia w nowej fazie* (*Ateneum*, Warszawa 1878, t. IV). — *Le Congrès de Berlin et les Slaves du Sud*, Genève 1880. — *Serbki i Bułgarki* (*Świt*, Warszawa 1885, t. III). — *Z Południowej Słowiańszczyzny* (*Rodzina*, Warszawa 1885). — *Sytuacja polityczna na półwyspie bałkańskim* (*Przegląd Społeczny*, Lwów 1886, zeszyt 3).

[3] Archiwum Koła Polskiego w Paryżu, rpsy Bibljoteki Rapperswilskiej nr 997—1004.

Miłkowski przygotowywał pierwsze regulaminy wojskowe rumuńskie, a w r. 1855 opracował szczegółowy plan powstania w Księstwach przeciw okupacyjnym wojskom austryjackim. Dzięki kilkakrotnym podróżom swoim po Mołdawji i Wołoszczyźnie był na emigracji przed r. 1863 najkompetentniejszym w wyszukiwaniu dróg, łączących Polskę z emigracją przy ominięciu Austrji i Prus. Nawiązał szereg znajomości wśród patrjotów rumuńskich, znał licznych emigrantów polskich, pracujących w Księstwach w charakterze urzędników, agronomów, kupców i rzemieślników. Od r. 1859 osiadł w Michalenach na granicy Galicji i Rumunji jako agent emigracji, a później jako członek organizacji powstańczej, i pośredniczył między emigracją, Rusią i zaborem austrjackim, pomiędzy młodzieżą emigrującą „spod Moskala" a szkołą w Genui i Cuneo. Z Michalenami i z Galicją łączyły się najważniejsze chwile w życiu Z. Miłkowskiego. Rząd Narodowy powierzył mu najpierw organizację sił powstańczych na Rusi, a następnie dowództwo wyprawy tulczańskiej. Przeżycia swe z Paryża i Rumunji przed powstaniem opisał Z. Miłkowski w broszurze *L. Mierosławski oszkicowany* [1]. Do udziału w powstaniu powracał kilkakrotnie [2]. Opowiedział go w *Czasie* 1863 r. w *Opowiadaniu żołnierza polskiego o wyprawie z Tulczy*, w osobnej książce p. t. *W Galicji i na Wschodzie*, w wydawnictwie zbiorowem *W 40 rocznicę powstania styczniowego*, w *Przeglądzie Wszechpolskim* i wreszcie w niniejszym Pamiętniku.

Na idee pułk. Z. Miłkowskiego wpłynęły wypadki r. 1863 chyba najsilniej. Cechujący powstanie styczniowe [3] bardzo dobry stosunek oficera do podkomendnych występuje tu w całej pełni. W Pamiętniku chwali T. T. Jeż swych żołnierzy za patrjotyzm i odwagę, i podnosi ich zasługi ponad zwykłą miarę;

---

[1] Paryż 1869.

[2] *Czas* 1863, nr 164 i 170. — *Ojczyzna*, Bendlikon 1864, nr 2—9: *Opowiadanie żołnierza polskiego o wyprawie z Tulczy*. — A. Giller, *Polska w walce*, t. I. Paryż 1866, str. 247—297. — *W Galicji i na Wschodzie*, Poznań 1880. — *W 40 rocznicę powstania styczniowego*, Lwów 1903, str. 275—299: *Komitet Centralny*. — *Przegląd Wszechpolski*, sierpień 1897: *Krótkie urywki z pamiętnika r. 1863*.

[3] Podkreśla to pułkownik szwajcarski, uczestnik powstania styczniowego, F. d'Erlach w *Die Kriegsführung der Polen im J. 1863*, Leipzig 1866.

jednakże w działaniu jego w r. 1863 niebrak i błędów, typowych dla powstania. Na rozkaz Rządu Narodowego przygotowuje większą wyprawę na Ruś i dla niej powstrzymuje ochotników galicyjskich, gotowych do wymarszu na pole bitwy. Tymczasem przygotowywana wyprawa uległa zwłoce i pierwszy zapał zgłaszających się nie został z tego powodu wykorzystany. Mimo że należy do obozu demokratycznego, zbyt wiele obiecuje sobie po akcji dyplomatycznej w Szwecji i we Włoszech czy w Serbji. Ulega złudzeniom, które w r. 1863/4 podzielali wszyscy powstańcy, a właśnie te nadzieje na pomoc obcą odbierały zaciętość walce i przeradzały zbyt często walkę w demonstrację, mającą tylko dyplomatyczne cele na widoku.

W stosunku do Rumunów niema w Pamiętniku T. T. Jeża takiej sympatji, jaką darzył Słowian południowych. Pozostają dlań obcy. Po bitwie pod Kostangalją był dla nich rycerskim, pod Rynzesztami umiał ich pozyskać dla Polski, ale nie oszczędzał ich bynajmniej, mówiąc w Pamiętniku o stosunkach społecznych i o zepsuciu obyczajów w Rumunji. Mimo to niepodległość Księstw Naddunajskich była dla niego świętością i nie dał się skłonić ani po wojnie krymskiej do udziału w agitacji francuskiej o tron rumuński dla ks. Napoleona, ani w r. 1864 i 1866 do zamachu przeciw ks. Kuzie. Kuszenia, idące z Paryża w r. 1856 i późniejsze, które szły od rządu tureckiego, odepchnął z oburzeniem, uważał bowiem wszelkie mieszanie się obcych w sprawy wewnętrzne Rumunów za niebezpieczne dla ich państwa. O Rumunji i swych wrażeniach tamtejszych ogłaszał mniej niż o innych sprawach [1]. Pamiętnik wnosi do zagadnień rumuńskich ciekawy materjał, szczególnie obyczajowy.

Z. Miłkowski wyruszył na emigrację jako 23-letni student Uniwersytetu Kijowskiego, dalszych 67 lat swego życia spędził na emigracji. Sposób, w jaki reagował na wypadki i sprawy, musiał więc być typowo emigracyjny. Wszedł odrazu do Polskiego Towarzystwa Demokratycznego, podzielał opinje, uprzedzenia i walki stronnictwa demokratycznego przeciw wszyst-

---

[1] *Wyjątki z pamiętników włóczęgi: Mołdo-Wołoszczyzna.* (*Dziennik Literacki* 1860, nr 79—103). — *Wspomnienia z podróży na Wołoszczyznę* (*Rodzina*, Warszawa 1865—1866). — *Współczesna Rumunja* (*Ateneum*, Warszawa 1884, t. I—II).

kim, którzy nie należeli do Centralizacji londyńskiej czy do paryskiego Koła Polskiego. Na tworzenie się jego idej politycznych mniej jednakże wpłynął udział w pracach pisarskich i w polemice emigracyjnej niż fakt, że należał do wybranych wśród wychodztwa, do tych, co chodzili na „emisarkę“. Przedarcie się w r. 1851 przez kordon rosyjski, organizowanie na Ukrainie konspiracji w myśl wskazówek Centralizacji i Europejskiego Komitetu Rewolucyjnego, owo ponowne, świadome celów zetknięcie się z ziemią rodzinną dawało mu mocne poczucie własnej wartości. Tworzyło też koło niego legendę i wyrabiało mu szacunek wśród współemigrantów. Droga emisarjuszy była przecież drogą męczeństwa, śmierci i sławy Zawiszy Czarnego, Szymona Konarskiego i T. Wiśniowskiego. Miłkowski wywiązał się z poruczonych mu zadań dobrze, chociaż musiał spowodu wypadków politycznych r. 1851 zmieniać otrzymane instrukcje. Stworzył ogniska rewolucyjne wśród ziemiaństwa ukrainnego i wśród Polaków w wojsku rosyjskiem; pierwszemi ofiarami konspiracji byli bracia jego: jeden z nich został rozstrzelany, drugi zesłany na Sybir. T. T. Jeż stał się aż do 1863 jednym z najważniejszych pośredników między krajem a emigracją.

W pracach krajowych stykał się z rosyjskiemi robotami rewolucyjnemi, nie ufał im jednak i występował w *Demokracie Polskim* przeciw Herzenowi i jego pismu *Kołokoł*. Tradycje, wierność zasadom demokratycznym i pogląd na świat o typie zachodnim tworzyły między Miłkowskim a rewolucjonistami rosyjskimi zasadnicze różnice ideowe, nie do przebycia. Poznał ich prace na terenie ziem zabranych i, chociaż demokrata, mniej widział korzyści możliwych we współpracy z nimi niż np. ks. Wł. Czartoryski czy Z. Jordan, należący do stronnictwa monarchicznego. Pochodził z kresów, pracował czas dłuższy na wschodzie i dlatego ani Bakunin ani Herzen nie mieli dla niego tego uroku egzotyzmu, którym rewolucjoniści rosyjscy zjednywali sobie wielu emigrantów francuskich, włoskich czy nawet polskich, co, jak Darasz i Elżanowski, nigdy się ze Wschodem nie zetknęli.

W r. 1866 przenosi się T. T. Jeż z Serbji do Brukseli i prócz licznych korespondencyj do pism warszawskich, lwowskich i poznańskich obejmuje redakcję *Niepodległości*, pisma

głoszącego idee Zjednoczenia Emigracji Polskiej. Był jednym z przywódców Zjednoczenia, tym, który wytwarzał i reprezentował opinję ogółu emigracyjnego. Toteż kiedy w r. 1872 przeniósł się do Szwajcarji, wszedł jako przedstawiciel emigracji polskiej do Ligi Wolności i Pokoju, obradującej wówczas nad Lemanem.

Wspomnienia Z. Miłkowskiego wnoszą dużo do dziejów emigracji, do której, szczególnie w okresie po r. 1848, niewiele posiadamy pamiętników. Charakterystyki czasów, nastrojów, organizacyj i ludzi, kierujących opinją na emigracji, mają znaczenie bardzo ważnych źródeł historycznych. Pamiętnik jego uzupełnia bardzo szczęśliwie wspomnienia gen. Wł. Zamoyskiego i Władysława Mickiewicza, dając wypadkom i nastrojom odmienne, ale niemniej prawdziwe oświetlenie.

Tylko drobna część wspomnień emigracyjnych T. T. Jeża była znana dotychczas. O stosunkach swoich z L. Mierosławskim pisał w broszurze *Ludwik Mierosławski oszkicowany*, o Kraszewskim we *Wspomnieniach o J. I. Kraszewskim*[1], o dniach głodu w Anglji r. 1850—1851[2] i o Paryżu przed r. 1859[3], drukował wspomnienia w *Kraju* petersburskim o ludziach i wypadkach emigracyjnych wspominał też w *Sylwetach emigracyjnych* i w wielu powieściach (np. *Nad rzekami Babilonu*).

Źródła rękopiśmienne do życia pułk. Z. Miłkowskiego od chwili, na której urywa się Pamiętnik, t. j. od czasu przeniesienia się jego do Lozanny, znajdują się w Bibljotece Rapperswilskiej[4]. Część ich złożył autor w Rapperswilu jeszcze za życia swego, po jego śmierci rodzina oddała resztę do tejże Bibljoteki w Warszawie. Najważniejszem źródłem są jednakże jego pisma polityczne, z których można odtworzyć idee przewodnie i główne kierunki działania Z. Miłkowskiego. W r. 1871 powołany na miejsce po gen. J. Hauke-Bosaku do komitetu centralnego Ligi Wolności i Pokoju brał udział w jej pracach, w kongresach lozańskich, berneńskich i genewskich, oraz w propagan-

---

[1] Warszawa 1888.

[2] *Kraj*, Petersburg 1886, nr 46—51. Zob. również w krak. *Bibljotece nowej rodzinnej* (1890) opowiadanie *Dni głodu*.

[3] *Przegląd Literacki*, dodatek do *Kraju*, Petersburg 1888, nr 24—9.

[4] Rękopisy 2038—2064.

dzie i działaniach, przygotowujących wszystkie ważniejsze wystąpienia Ligi. Poprzednio stał Miłkowski blisko Rewolucyjnego Komitetu Europejskiego i J. Mazziniego, który głosił podobne idee i wpłynął na powstanie Ligi Wolności; teraz, zaprzyjaźniony z prezesem i jednym z twórców Ligi, K. Lemonnier, przemawiał często jako znawca spraw wschodnich i kwestyj skandynawskich. Rozwijał przedewszystkiem zasadę naczelną Ligi Wolności: *Si vis pacem para libertatem et justitiam.* W rezolucji, którą opracował na kongres w r. 1893, a wygłosił jako odczyt w r. 1894, *O moralności w polityce* [1], żądał podporządkowania polityki narodowej i stosunków między narodami zasadom moralności. Domagał się wprowadzenia przymusowego arbitrażu i rozbrojenia. Walczył o naczelne hasło Ligi, o federację ludów, o Stany Zjednoczone Europy. Spowodu kongresu berlińskiego poddawał ostrej krytyce postanowienia pokoju z r. 1879 i wskazywał na konfederację bałkańską jako na najsprawiedliwszy sposób załatwienia sprawy Słowian południowych [2].

Przedewszystkiem jednak reprezentował w Lozannie i Genewie Polskę i bronił jej sprawy. Jeden z pierwszych jego głosów w Lidze poświęcony był Polsce; spowodu żałoby narodowej w setną rocznicę drugiego rozbioru pisał o rządach obcych na ziemiach polskich [3]. Tymczasem po śmierci Lemonniera nastąpił w Lidze zwrot ku Rosji; w r. 1894 pułk. Miłkowski, wspomagany przez Z. Balickiego, przeprowadził wielką dyskusję zasadniczą na terenie Ligi z Bachmatiewem. Wpływy wrogie Polsce zdobywały w Lidze coraz większy posłuch. Toteż Jeż po 27 latach pracy w Lidze ustąpił z niej w r. 1899 [4].

Nie skończyły się jednakże zabiegi Miłkowskiego, mające na celu przypominanie i obronę spraw polskich na Zachodzie. Z okazji czy rugów polskich w Prusiech, czy wyodrębnienia Chełmszczyzny, przedstawiał kwestję pismom francuskim i szwajcarskim, nie opuszczał sposobności, jakie dawały obchody na

---

[1] *La morale dans la politique, rapport et résolution présenté 24 IX 1893.*

[2] *Le congrès de Berlin et les Slaves du Sud,* Genève 1880.

[3] *Un deuil national,* Genève 1893.

[4] O pracach w Lidze Wolności i Pokoju pisze Z. Miłkowski w *Na szlakach pokojowych,* Lwów 1908 i we *Wspomnieniach o J. I Kraszewskim,* Warszawa 1888.

cześć Reja i doroczne uroczytości listopadowe na emigracji, aby służyć propagandzie polskiej w najlepszy sposób. Spowodu procesu we Wrześni był razem z Marją Konopnicką inicjatorem protestu międzynarodowego przeciw gwałtom pruskim. Niemal w przeddzień zgonu umieścił w *Gazette de Lausanne* artykuł o Polsce w związku z wojną światową.

Broszura poświęcona pracom Ligi Wolności i Pokoju, wydana w r. 1908 p. t. *Na szlakach pokojowych*, niewiele ma akcentów polemicznych, natomiast w ostre wystąpienia polityczne obfituje pierwsze z r. 1887 wydanie najgłośniejszej i najważniejszej publikacji Z. Miłkowskiego: *Rzecz o obronie czynnej i o Skarbie Narodowym*, tudzież jego *Skarb Narodowy. Nieco o Lidze Narodowej* [1]. W broszurze pierwszej występował przedewszystkiem przeciw lojalizmowi szkoły krakowskiej, druga w sposobie przedstawienia dziejów Skarbu i Ligi Narodowej miała charakter pisma polemicznego, zwróconego w obronie zasady *liberum conspiro* przeciw E. Piltzowi i wszystkim kierunkom ugodowym. Zwraca się ona równocześnie przeciw socjalistom polskim w obronie idej i programu T. T. Jeża.

Idea Skarbu Narodowego i Ligi Polskiej była wspólną inicjatywą Agatona Gillera, Ludwika Michalskiego (Matyaska), który znaczną część majątku zdobytego na Sumatrze obrócił na Skarb Narodowy, i Z. Miłkowskiego. Wzorem dla Ligi Polskiej byli irlandcy fenjanie, zorganizowani w r. 1861, którzy najczynniejszą działalność przeciw Anglji rozwinęli około r. 1865. W tym samym czasie emigracja polska, w której działały niedobitki organizacji narodowej r. 1863, tworzyła Towarzystwo Wojskowe Polskie, L. Mierosławski próbował wskrzesić pod swojem naczelnictwem Towarzystwo Demokratyczne, a najliczniejszych zwolenników miało Zjednoczenie Emigracji Polskiej. W piśmie *Niepodległość* [2], organie Zjednoczenia, ukazał się już w r. 1867 artykuł Z. Miłkowskiego p. t. *Skarbonka na potrzeby Ojczyzny*. Wkrótce przy Zjednoczeniu Emigracji rozpoczęto zbieranie funduszów na Skarb, jednakże przepadły one w zawierusze r. 1870.

---

[1] *Skarb Narodowy. Nieco o Lidze Narodowej*. Jeden z rozdziałów z pamiętników *Od kolebki przez życie*, Lwów 1905, str. 212.

[2] Z dnia 20 kwietnia 1867.

T. T. Jeż należał do tych, co mimo upadku powstania 1863 r., mimo rozbicia emigracji po klęsce francuskiej 1870 r., najwyraźniej propagowali idee, zmierzające do odzyskania niepodległości. W przemówieniu do Towarzystwa Polaków w Liège w r. 1871 [1] mówił o nadziejach, które należy czerpać z „twardego gruntu demokratycznej pracy"; głosił zasady irredentystyczne w *Niepodległości*, przemawiał na rocznicach narodowych i propagował je w *Asanie* i innych powieściach, w których w gruncie rzeczy przedstawiał losy Polski, choć pisał o Słowianach południowych. Radykalizm narodowy, republikanizm i demokratyzm Jeża znajdowały zwolenników zarówno w kraju, który rozczytywał się w jego powieściach, jak i w emigracji, która znała jego artykuły i przemówienia. Dowodem był uroczysty obchód 25-letniej pracy literackiej T. T. Jeża, liczne adresy, szczególnie od młodzieży [2], i przemówienia, w których podkreślano przedewszystkiem momenty polityczne, łączono się z jego programem i protestowano przeciw kierunkom ugodowym.

Pod wpływem tej uroczystości oraz rozmów z Michalskim powstał manifest emigracji przeciw wyłączności pracy organicznej. Broszura *Rzecz o obronie czynnej i o Skarbie Narodowym*, wydana po raz pierwszy w r. 1887, przedrukowana w r. 1895 i w r. 1910 [3], konfiskowana i przepisywana potajemnie, miała bardzo duże znaczenie wychowawcze. Kończyła okres bezwładu po klęsce r. 1863, budziła społeczeństwo z apatji i dawała program polityki czynnej: „Nie porywać się do oręża z oczami zamkniętemi" — pisał T. T. Jeż — ale również „nie odżegnywać się od powstania i mieć je na widoku". Występował przeciw hasłu szkoły krakowskiej, „ochotniczej straży ogniowej" do walki z każdą ideą powstania zbrojnego. Wychodził z założenia, że istotą Polski jest wolność, „skłonność do poniżenia się nie tkwi w duszy polskiej", dalsza apatja nie postawi tamy niszczeniu polskości w zaborze rosyjskim i pruskim oraz wyzyskowi spo-

---

[1] Dn. 7 maja 1871.

[2] *Sprawozdanie z obchodu na cześć T. T. Jeża*, Genewa 1883, Impr. Polonaise, str. 45.

[3] Paryż 1887, druk. A. Reiff, str. 46, *Obrona czynna* przez Z. F. M., Paryż 1895, str. 31, i *Rzecz o obronie czynnej i o Skarbie Narodowym*, Kraków 1910, str. 126.

łeczeństwa przez Austrję. Polsce grozi, że chłop stanie się cesarskim i carskim, trzeba więc budzić i pielęgnować instynkt ludu, bronić i powiększać stan posiadania myśli i uczuć polskich.

Drogą, prowadzącą do celu, miała być tajna organizacja narodowa, tworząca w Polsce organizm, któryby, według *Rzeczy o obronie czynnej*, ogarnął wszystkie zabory. Organizacja ta powinnaby posiadać: wydział oświaty dla kierowania nauczaniem tajnem i prasą w duchu narodowym, wydział sprawiedliwości, któryby organizował sądy polubowne i pozwolił unikać sądownictwa państw zaborczych, oraz prowadził wielkie procesy o prześladowania polityczne i religijne. Wydział gospodarczy powinienby dbać o podniesienie bogactw krajowych, popierać banki i współdzielnie polskie. Wydział spraw wewnętrznych czuwałby nad organizacją, a Skarb Narodowy, prócz funduszów na cele doraźne, zbierałby środki potrzebne do przyszłej akcji zbrojnej. Wreszcie wydział spraw zewnętrznych miałby opiekę nad prasą zagraniczną i przygotowywałby chwilę odpowiednią do wystąpienia czynnego. Za taką uważał T. T. Jeż rewolucję w Rosji albo przyszłą wojnę między zaborcami. Osobny wydział wojny miałby przygotowywać kadry powstania i gromadziłby wiadomości o terenie przyszłej wojny.

Idee te rozwijał T. T. Jeż jako redaktor *Wolnego Polskiego Słowa,* jako autor szeregu artykułów w *Przeglądzie Wszechpolskim,* w *Tece,* w *Polaku* i *Dla Ojczyzny.* Przybrały one realne kształty, chociaż nie takie, jak je od początku Z. Miłkowski zarysowywał. W r. 1887 powstała Centralizacja Ligi Polskiej, później zależny od Ligi Związek Młodzieży Polskiej i Związek Wychodztwa Polskiego. Rozpoczęto pracę wśród młodzieży, w Narodowym Związku Robotniczym i propagandę wśród chłopów. W Królestwie, w Galicji i w zaborze pruskim doszło do procesów o należenie do Ligi i o popieranie Skarbu Narodowego; jako obwinieni występowali m. in. robotnicy w Nadrenji i młodzież szkolna z Poznańskiego. Siedzibę władz Ligi i Skarbu przeniesiono do Rapperswilu. Część prac politycznych przyjęła formy jawne, powstawały organizacje i stronnictwa polityczne. T. T. Jeż brał w tych pracach najczynniejszy udział. Przemiana Ligi Polskiej na Ligę Narodową, pozyskanie dla Skarbu Stanisława Szczepanowskiego i E. J. Jerzmanowskiego, spory z T. Witkowskim i z drem Gierszyńskim o zasadniczą

linję polityki polskiej, wszystkie ważniejsze sprawy Ligi i Skarbu opierały się o niego; opinja jego i decyzja znaczyły najwięcej.

W r. 1900 odbył Z. Miłkowski podróż do Ameryki Północnej, zwiedził wówczas, jako pełnomocnik Ligi Narodowej i Związku Wychodztwa Polskiego, New York, Buffalo, Chicago, Washington i liczne mniejsze miasta, przyjmowany wszędzie przez Związek Narodowy Polski i stowarzyszenia Polonji amerykańskiej. W ogłoszonem w r. 1902 *Opowiadaniu z wędrówki po kolonjach polskich*[1] dał ciekawy i ważny obraz ówczesnej kolonizacji polskiej w Ameryce. Książka jego przynosi wiele ciekawych spostrzeżeń o szkolnictwie, o Kościele, o życiu codziennem i o organizacjach polskich. Niemniej ciekawe są uwagi o kulturze amerykańskiej, o odrębnej od europejskiej formie życia tamtejszego, innej etyce, nawet o innem stawianiu pomników, przeprowadzaniu reklamy czy odżywianiu się.

Ostatnie pisma T. T. Jeża o charakterze wspomnień odnoszą się do Muzeum Narodowego w Rapperswilu[2]. W zatargu między bibljotekarzami rapperswilskimi, Karczewskim i Żeromskim z jednej a kustoszem Muzeum Rużyckim i dyrektorem Gałęzowskim z drugiej strony, stanął bardzo wyraźnie przeciw Rużyckiemu. Z. Miłkowski był członkiem Rady Muzeum w Rapperswilu od r. 1890, przez czas długi pełnił funkcje kontrolera z ramienia Rady. W Rapperswilu odbywały się ważne zebrania Ligi Narodowej i Rady Nadzorczej Skarbu Narodowego, tam około Muzeum Narodowego ogniskowały się wszystkie prace, które tworzył i w które wkładał całą duszę. Dla tych prac przeniósł się najpierw do Zurychu, później do Wetzikonu, położonego o godzinę drogi kolejowej od Rapperswilu. Od r. 1911 zamieszkał w Lozannie, gdzie też zmarł dnia 10 stycznia 1915 r.

Ogłoszony obecnie Pamiętnik pułk. Z. Miłkowskiego, zatytułowany przezeń *Od kolebki przez życie,* powstał między r. 1884 a 1909. T. T. Jeż spisał w r. 1884 i 1885 pierwszą część swoich wspomnień, obejmującą okres do czasu zamieszkania

---

[1] Druk. Paryż 1902, str. 266, nakł. *Gońca Polskiego.*

[2] *Dokument historyczny*, Lwów 1911, — *Nie zawadzi historji nieco*, Warszawa 1912.

w Michalenach; część drugą, obejmującą epokę od Komitetu Centralnego i udziału w przygotowaniach powstania styczniowego aż do zamieszkania w Serbji, opracował w r. 1897 i 1898. Wreszcie część trzecią, od wystawy paryskiej w r. 1867 do czasów lozańskich, pisał od r. 1906 do 1909.

Niewątpliwie zamierzał T. T. Jeż napisać swe wspomnienia także z lat późniejszych. Wskazywałby na to tytuł pamiętnika: *Od kolebki przez życie* i wzmianka w pracy *Skarb Narodowy. Nieco o Lidze Narodowej* [1], gdzie mówi o tem, że z odwiedzin w r. 1878... „zdaję sprawę na właściwem w pamiętnikach moich miejscu". Jednakże rękopis urywa się na r. 1873, i w papierach po T. T. Jeżu, tak zachowanych w rodzinie jak złożonych w Bibljotece Rapperswilskiej w Warszawie, nie zachowały się ślady dalszego ciągu tych wspomnień. Rękopis pamiętników składa się z 2.597 kart formatu 15 × 9.5 cm, zapisanych drobnem, równem, starannem i dość czytelnem pismem. Tu i ówdzie znajdują się drobne dodatki na kartkach doklejanych i pismem nieco odmiennem; widać, że autor przeglądał rękopis i tekst uzupełniał.

Dwa pierwsze rozdziały tych wspomnień: *Ród, Lata dziecinne* i *Pierwsze wrażenia*, opisujące okres do 1838, były drukowane w *Tygodniku Ilustrowanym* z r. 1901 [2]. Część rozdziału trzeciego ogłosiła (p. t. *Proces dzieciom wytoczony w gimn. niemirowskim r. 1839) Teka* z r. 1903 [3]. Czasy odeskie, opisane w rozdziale czwartym, opracował i ogłosił T. T. Jeż w broszurze *Ze wspomnień odeskich* [4]. Rozdziały piąty, szósty i siódmy (p. t. *Od kolebki przez życie),* obejmujące przekroczenie granicy galicyjskiej i służbę na Węgrzech aż do rozbicia się na morzu, drukowała *Bibljoteka Warszawska* z r. 1909 [5]. Fragmenty te zgadzają się z tekstem pierwszych siedmiu rozdziałów Pamiętnika. Inne, wspomniane już przez autora, jak *Udział Polaków w wojnie wschodniej*, *W Galicji i na Wschodzie* czy *L. Mierosławski oszkicowany*, mają charakter prac po-

---

[1] Druk. Lwów 1905, str. 53. Zresztą w tytule tej właśnie broszury zaznaczono, że jestto „jeden z rozdziałów pamiętnika *Od kolebki przez życie*".

[2] *Tygodnik Ilustrowany*, Warszawa 1901, nr 4—30.

[3] *Teka*, Lwów 1903, nr 5, str. 262—277.

[4] Druk. Warszawa 1893, str. 56.

[5] *Bibljoteka Warszawska*, 1909 od lipca do października.

litycznych i polemicznych a nie wspomnień. Nawet najciekawsze z nich *Wyjątki z pamiętników włóczęgi*, ogłaszane w *Dzienniku Literackim* od 1856 do 1860 r., zajmują się więcej geografją i etnografją Dobrudży i Bułgarji, Lewantyńczykami i Rumunami, niż przeżyciami Z. Miłkowskiego.

Adam Lewak

I

RÓD. LATA DZIECINNE

Rodzina moja, mimo że stara, szlachecka, zaznaczona u Paprockiego i Niesieckiego, nie zaznaczyła się jednak w historji narodowej. Według herbarzy Miłkowscy na dwa rozpadają się rody — może na dwie gałęzie: Abdanki i Ślepowrony. O pierwszych Paprocki powiada: „w sędomirskiem województwie, dom dawny i znaczny; był Jakób mężem znacznym przy Zamoyskim, hetmanie koronnym". Z czynów męża tego zapisanem jest jeno wystąpienie jego na turnieju, podczas wesela Zamoyskiego z Gryzeldą Batorówną. Zdaje się, że się do tych w czasach dawnych i fortuna uśmiechała, albowiem, jak świadczy Niesiecki: „Mikołaj z Miłkowic, za czasów Kazimierza Wielkiego, miał za sobą Katarzynę z Romiszowic dziedziczkę Rajska, Zbigniewic, Pokrzywki, Romiszowic, Przeczni, Polanki i Zawady". O Ślepowronach to się nie pisze. Paprocki wzmiankuje o nich lakonicznie: „z Podlasza dom rozrodzony". Niesiecki rozwodzi się szerzej nieco, powiada bowiem: „Miłkowski herbu Ślepowron, w podlaskiem województwie. Anna Miłkowska miecznikówna drohicka. Aleksander 1701 zeznał pod juramentem, że tonąc na Styrze po dwa razy, i już na dnie będąc, cudowną łaską Najśw. Panny do brzegu dopłynął. Aleksander, żona jego Zofja Wiktorówna. *Acta Castr. Sandec. 1628*"[1]. Od tych ostatnich wyprowadza się pochodzenie moje.

Podanie rodzinne, które w dzieciństwie mojem o uszy mi się obijało, Habdanka ze Ślepowronem łączyło, dokonywując połączenia tego na podstawie podanej przez Kromera legendy o poselstwie Skarbka do Henryka cesarza od Bolesława

[1] Paprocki B., *Herby* (1858), s. 935; Niesiecki K., *Herbarz* (1841), VI 413.

Krzywoustego. Cesarz Skarbkowi pokazywał złotem napełnione skrzynie, chwaląc się, że zapomocą złota tego Polaków pokona. „Złoto niech się ze złotem łączy — odrzekł poseł, pierścień z palca zdejmując i do skrzyni ciskając, — wolny na żelazie poprzestanie“. Cesarz odpowiedział: *Habe-dank*. Owóż owe *habe-dank* przeszło na Ślepowronów jako przydomek; na pamiątkę zaś czynu dodano krukowi w dziób pierścień. Stąd ci, co się Ślepowronem pieczętują, do przydomka Habdank prawo mają. Jest to podanie ustne, które mi do pamięci przylgnęło, a o którem wzmianki nie znalazłem nigdzie. Tłumaczenie to pierścienia wydaje się logiczniejsze, aniżeli tłumaczenia, podawane przez autorów herbarzy. Powtarzam je jako wspomnienie, nie przywiązując do onego wagi szczególnej.

Drugie, rzeczy pochodzenia rodowego tyczące się podanie głosiło, jakoby rodzina Miłkowskich wyprowadzała początek swój od Jadźwingów. Heraldycy mówią, że jest ona „z Podlasza“. Na Podlasiu wieś jedna nosi nazwę Miłkowszczyzny; w Sandomierskiem istniały Miłkowińce. Z Miłkowiniec wyszli Miłkowscy Abdanki, z Miłkowszczyzny — Miłkowscy Ślepowrony. Tak się wydaje. Niesiecki wyszukał dokumenty tych ostatnich w aktach grodu sandeckiego. Zapewne jeden z członków rodu tego przeniósł się w te strony i osiadł w ziemi sandeckiej, albowiem tam ich znajdujemy dziś, w mieście Gorlicach, które jest obecnie w posiadaniu Miłkowskich. Bodaj czy nie Gorlic właścicielem był pradziad mój. Ten miał synów kilku i córki. Z córek jedna była za Bobowskim Józefem i odegrywała rolę niekoniecznie zaszczytną we Lwowie przy dworze Ferdynanda d'Este[1], namiestnika Galicji; druga — nie wiem atoli napewne, córka czy wnuczka, — wyszła za Łubieńskiego Franciszka. Z synów zapamiętałem cztery imiona: Antoni, Ignacy, Maciej i Jan; który z nich przy Gorlicach się utrzymał, nie wiem; napewne nie Jan, dziad mój, ten bowiem gniazdo rodzinne opuścił w wieku młodzieńczym i założył gniazdo od Gorlic daleko.

Dziada mego nie znałem, dużom jednak o nim słyszał. Jak z opowiadań miarkuję, urodzić się on musiał około roku 1768. Do daty tej układają się następne życia jego wypadki, spomiędzy których na zanotowanie najpierwej ożenienie się jego za-

---

[1] Marszałek austrjacki, był gubernatorem Galicji (zm. 1850).

Ród. Lata dziecinne

Rodzina moja, mimo że stara, szlachecka, zamieszkała w Pajrochiego i Nieciechiego, nie zaznaczyła się jednak w historyi narodowej. Według herbarzy Miłkowscy na dwa rozpadają się rody (= mówiąc dwiema gałęziami): Abdanki i Ślepowrony. O pierwszych Pajroch powiada: "w sądomirskiem województwie dom dawny i znaczny; był Jakób więcej znaczniejszy przy Zamojskiem hetmaństwie koronnym." Z czy nie więc tego zapisanego jest jeszcze wspomnienia jego na trzeciej, podczas wesela Zamojskiego z Gryzelda Batorówna. Zdaje się, że i do tych w czasach dawnych i fortuna uśmiechała, albowiem, jak wiadomy Niesiecki. "Mikołaj z Miłkowic, za czasów Kazimierza Wielkiego, miał za żonę Katarzynę z Ronisszowic dziedziczkę Rajska, Zbiśmirzyc, Pokrzywki, Ronisszowic, Przeszni, Polanki i Zawady." O Ślepowronach tu się nie pisze. Pajroch wzmiankuje o nich latowiecznie: "z Podlasza dom rozrodzony" Niesiecki rozwodzi się więcej i powiada bowiem: "Miłkowski herbu Ślepowron

Autograf pierwszej strony »Wspomnień«

sługuje. Ojciec oddał go do szkół, do bazyljanów w Buczaczu. Nauki, jak się zdaje, nie miały dla niego powabu, opuścił bowiem szkoły potajemnie, to znaczy, uciekł, ale nie sam. Dopuścił się kontrawencji podwójnej. Nietylko ze szkół uciekł, ale pannę wykradł, — pannę z dobrego szlacheckiego domu Komarnickich. Na imię jej było Marja. Popełniwszy tę zbrodnię podwójną, nie miał poco do Gorlic wracać i nie mógł, jak się zdaje, w okolicach Buczacza pozostawać; z żoną młodą, sam młody — nie liczył bowiem wówczas lat wiele więcej jak dwadzieścia —, wyniósł się aż na kresy, w okolice Bałty, gdzie się zaciągnął jako towarzysz do kawalerji narodowej. W okolicach Bałty, na służbie kresowej upływały mu pierwsze pożycia małżeńskiego lata. Dzieci się rodziły. Na świat przyszedł najpierw syn Józef, ojciec mój, następnie córka, potem znów syn. Ten ostatni urodził się albo w początkach roku 1792, albo przy końcu 1791, był bowiem przy piersi, kiedy się zawiązała wojna pomiędzy Rzeczpospolitą Polską a Rosją. Dziad mój, w stopniu chorążego, na wojnę poszedł — poszedł z żoną i dziećmi.

„Bodajby się wojenka na dębie święciła, a kto po nią polezie, bodajby kark skręcił“.

Przysłowie to często powtarzała babka moja, gdy mój dziad opowiadał — a opowiadać lubił — o dwóch mianowicie faktach: o bitwach pod Szepetówką i na Boruszkowieckim moście.

Bitwa na Boruszkowieckim moście szczególnie się w historji rodziny mojej upamiętniła. Polegała ona, jak wiadomo, na przeprawianiu w odwrocie wojsk polskich przez groblę w obliczu nieprzyjaciela, który przeprawie przeszkodzić usiłował. Chodziło więc o to, ażeby przerzucić przedewszystkiem ciężary: pociągi, parki, artylerję. Śród pociągów znajdowała się bryka krakowska w trzy konie zaprzężona, a w bryce babka moja z trojgiem dzieci, jedno przy piersi. Powoził pachołek przy pomocy posługi, jaka się przy wojsku zwykle nastręcza, przy pociągach zwłaszcza. Dziad mój do bryki dowiadywał się często, mając o niej staranie ustawicznie. Kiedy pociągi przez groblę przechodziły, chorągiew, w której służył, zajmowała pozycję wcelu powstrzymywania naporu nieprzyjaciela, usiłującego groblę nieprzystępną dla Polaków uczynić. Dziad mój w szeregu był. Niepokój go trapił, myślał bowiem o żonie i dzieciach, a luboć nie przypuszczał, ażeby co złego spotkać

je miało, pragnął naocznie się przekonać, że po tej stronie grobli ich już niema. Dla uczynienia zadość pragnieniu temu wyprosił sobie u dowódcy chorągwi pozwolenie skoczenia do wozów. Dowódca pozwolenia udzielił. Jakież było dziada mego zdumienie, gdy w obozie nie zastał woza ani jednego, z wyjątkiem bryki swojej! Pociągi wszystkie poszły — bryka została i cogorzej niezaprzężona. Ujrzawszy to zdaleka, konia pocisnął, przypędził, do budy zajrzał: oczom jego przedstawił się widok kobiety płaczącej i dzieci do siebie tulącej.

— Co to znaczy?

— Konie gdzieś się zapodziały... — była odpowiedź. Pachołek poszedł po nie i nie wraca...

Położenie przedstawiło się w okropności całej. Czasu nie było nie to na odszukiwanie koni i pachołka, ale do namysłu nawet. Szeregi nieprzyjacielskie zbliżały się; kule harmatnie z gwizdem się przenosiły; kolumny polskie jedna po drugiej ku grobli zbiegały i z pośpiechem się na drugą przedostawały stronę.

Babka moja płakała. Widziała przed sobą męża — cóż jednak: czy przynosił on pomoc? czy była rada jaka? Pociecha jedyna na tem polegała, że się otwierała perspektywa dostania się do niewoli razem. Łączyło się to jednak z dezercją z szeregów — ze sromotą. Dowódca nie nato pozwolenia „skoczenia“ do obozu udzielił, ażeby się chorąży dla żony w niewolę oddał. Położenie stało się okropnem — wydawało się bez wyjścia: albo do szeregu wracać, żonę i dzieci na wolę bożą rzucając, albo...

To drugie „albo“ dokonało się w sposób następujący.

Ponieważ do namysłu czasu nie było, więc dziad mój bez namysłu z konia zeskoczył, konia do dyszla podprowadził i powierzch siodła szle na niego włożył. Był to koń wierzchowy. Zaprzęgając go, nie myślał o tem, że on w zaprzęgu nie chodził nigdy. Przyszło mu to na myśl nie pierwej, aż ruszać już trzeba było. A nuż koń posługi odmówi? Zapytanie to o rozpacz młodego małżonka przyprawiało i przyprowadziło go do tego, że, konia zaprzągłszy, z drugiej strony dyszla zaprzągł siebie, w szle się włożył i, jak towarzysz do towarzysza, z modlitewnem w duszy uczuciem a błagalnym tonem o pomoc wierzchowca wezwał:

— No, kosiu... wio... wio!...

Natężył się, koń zrobił toż samo.

— Wio... wio!

Dziad mój wespół z koniem brykę z miejsca ruszył i powiózł — i do grobli ją dowiózł — i przez groblę ciągnął, przeciągnął, i żonę z dziećmi uratował.

O wypadku tym opowiadać lubił. Opowiadanie o nim słyszałem z ust ojca. Ojciec mój tedy, licząc wieku lat nie więcej jak cztery, odbył kampanję, która się zakończyła przystąpieniem króla do Targowicy i rozstrzygnęła drugim rozbiorem kraju. Dziad mój wyszedł z niej ręką obronną, z wojska wystąpił i powrócił w okolice, w których na kresach służbę pełnił. Konia, co mu taką wielką oddał przysługę, zachował. Był to koń kary, na oko jedno ślepy: oko mu dziad mój sam wybił przypadkiem, gdy go w gniewie pięścią w łeb za to, że na siebie wsiadać nie dawał, uderzył. Koń ów zasłużony zdechł ze starości na chlebie łaskawym — na pamiątkę po nim skóra pozostała; skórę tę oglądałem w dzieciństwie, — nie wiem co się z nią później stało.

Jeszcze jedną pamiątkę dziad mój wyniósł z kampanji 1792. Był nią Kościuszki rozkaz, polecający towarzyszowi pułku przedniej straży szefostwa księcia Lubomirskiego, Miłkowskiemu, przyjmowanie żyta do magazynów w Niemirowie. Rozkaz ów nosi datę d. 6 maja 1792. Przypuszczać należy, że odnosił się on do czynności przygotowawczych przed wojną, przewidywaną już w momencie owym, na dwanaście dni przed wybuchem. Następnie dziad mój w szarży chorążego wykomenderowany został do magazynów w Czeczelniku.

Po wojnie, nie wiem jakich zbiegiem okoliczności, dziad mój znalazł się na Pobereżu. Zdaje się, że zarządzał majątkiem Jaroszyńskiego, mieszkał bowiem w Miaskówce, pozostawał z Jaroszyńskimi w stosunkach; z Miaskówki ojca mego do szkół, do Winnicy, posyłał i do wojska wyprawił. Może Miaskówkę w dzierżawie trzymał. Nie wiem. Ojciec mi we względzie tym objaśnienia nie dał. Wiem jeno, że w r. 1809 dziad mój w Miaskówce jeszcze mieszkał i że dla dzieci, dla synów zwłaszcza, Józefa, Ignacego, Antoniego, Macieja i Erazma, był ojcem na wzór i podobieństwo ojca Franciszka Karpińskiego: w ryzach ich trzymał, chłosty nie żałował. Względem córek (Marji, która

wyszła za Jana Biłgorajskiego, i Julji, która poślubiła Wincentego Janowczyka) łagodniejszym się okazywał. Babka moja pełniła wobec dzieci funkcję anioła opiekuńczego, ochraniającego je przed plagami, które za lada co spadały. Bił, czy było za co, czy nie było. Do szkół synów wyprawiając, chłostę im ręką własną wymierzał i upominał:

— Jeżeliś dobry, nie zepsujesz się, jeśliś zły, poprawisz się...

Korepetytorowi, którego do chłopców na wakacje brał, na odjezdnem kańczug uroczyście wręczał i powiadał:

— Bij!... za to ci płacę...

Wielkim był w domu kweres we wigilję pewną. Ojciec mój w szkołach nauczył się z prochu strzelniczego szmermele przyrządzać i puszczać. Przyjechawszy do rodziców na Boże Narodzenie, z umiejętności tej taki zrobił użytek, że zastosował ją w kuchni do pieca w chwili, kiedy się w nim dogotowywały jadła na wieczerzę Pańską przeznaczone. Przesadził snadź nabój, albowiem nastąpił wybuch, który garnki porozbijał, rondle powywracał i piec rozwalił. Pirotechnika wieczerzę Pańską wniwecz obróciła i nad głową sprawcy grozę zawiesiła. Babka moja znalazła się w kłopocie, który pojmą matki, znajdujące się w położeniu podobnem. Na szczęście dziad mój huku nie słyszał, i można było wypadek przed nim zataić. Wieczerza urządziła się w sposób pożyczany. Sąsiedzi dostawili: jeden barszczu, inny ryby, jeszcze inny kapusty z grochem, resztę dopełniły dania na zimno, takie jak suszenina, kutja, łamańce, pierogi, knyszyki etc., i ojcu memu upiekło się.

Upiekło się mu przy okazji ważniejszej. Na wieść o wojnie r. 1809 pomiędzy Francją a Austrją, do udziału w której wciągniętem zostało Księstwo Warszawskie, młodzieży dużo pogarnęło się zewsząd do szeregów tego ostatniego. Wielkość Napoleona I olśniewającym w czasie onym jaśniała blaskiem i wywierała siłę pociągającą. Dał się pociągnąć i rodzic mój, który pod on czas w Winnicy, w szkołach przebywał. Nie poszedł jednak za ojca swego przykładem — domu rodzicielskiego nie ominął. Szkoły rzucił i do ojca przybiegł.

— Poco?...

— Na wojnę...

Odpowiedź ta rozbroiła dziada mego: o surowości zapomniał, synowi na drogę sto dukatów w trzosie dał, szablę

mu swoją wręczył i z błogosławieństwem go wyprawił. Babka, która do wojny wstręt wielki czuła, głosu w sprawie tej nie miała. Wyjazdowi syna oprzeć się nie mogła. Ojciec mój wraz z towarzyszami kilku, taksamo jak on w gwiazdę napoleońską wpatrzonymi, ku granicy galicyjskiej ruszył. Z towarzyszy jego zapamiętałem jeno nazwisko Pawłowskiego. Puścili się furmanką najętą przez Podole i Wołyń; do granicy szczęśliwie dotarli, ukradkiem się przez takową przeprawili i wpadli odrazu w zamęt wojenny powstania obwodów pogranicznych, które walczyło przeciwko wojskom austrjackim. Ojciec mój wziął udział w rozprawach: pod Tarnopolem, Wieniawką, Zaleszczykami i w innych drobniejszych. Pod Wieniawką obecnym był w bitwie pamiętnej, w której generał austrjacki, zaatakowany przez powstańców śród trzęsawisk na grobli ze strony jednej i drugiej naraz, sił rozwinąć i przebić się nie mogąc, broń złożyć i w niewolę się oddać zmuszony został. W Galicji Tarnowski Marcin z Rzyszczewskim formowali kosztem własnym pułk jazdy. Do pułku tego, wcielonego następnie do armji Księstwa Warszawskiego i pozostawionego pod dowództwem Tarnowskiego, ojciec mój wstąpił i w nim do końca pozostał. Był to pułk szesnasty ułanów, przemianowany przy reorganizacji wojska w r. 1815 na pułk trzeci strzelców konnych.

Karjera tedy wojskowa ojca mego rozpoczęła się w Galicji, w szeregach powstańczych i przeniosła w ciągu dalszym do Księstwa Warszawskiego, do armji regularnej. Marcin Tarnowski był dowódcą pułku nominalnym. Kosztem własnym takowy wysztyftował, zostawiono go przeto na stanowisku wodza, powierzając dowództwo faktyczne podpułkownikom, co administrować umieli i służbę frontową znali. Jedno i drugie Tarnowskiemu obcem było. Figurował na czele i protegował sąsiadów, koligatów i krewnych, co się do pułku jego garnęli ochotniej, aniżeli do innych. W stosunkach takich inaczej być nie mogło i w czasie pokoju szkody niewiele sprawiało, ostatecznie bowiem i panicz na oficera dobrego wyrobić się może, gdy ma ochotę potemu.

Pokój panował przez lat trzy. W czasie tym ojciec mój wyawansował na wachmistrza i był na urlopie raz tylko, nie u rodziców jednak, ale u stryja, w Gorlicach. Do rodziców nie jeździł spowodu, iż pewnym nie był, czyby do szeregów po-

wrócić mógł, jako poddany rosyjski. Pomiędzy Księstwem Warszawskiem a cesarstwem rosyjskiem nie panowały stosunki takie serdeczne, ażeby to ostatnie okiem przychylnem patrzało na poddanych swoich, zasilających szeregi wojska, stanowiącego wysuniętą na wschód placówkę francuską. Spowodu tego na Pobereże nie jeździł. Stryj go uekwipował i konia mu darował. Z rodzicami utrzymywał rzadkie stosunki listowe, za pośrednictwem których dowiedział się, że ojciec kupił nad Dniestrem wioskę Saraceję i w niej się osiedlił. Kupno to nastąpiło zapewne wskutek otrzymania schedy, jaka dziadowi memu z Gorlic przypadała. Niby przez sen przypominam sobie, że o tyczących się kwestji tej rachunkach mowa była; sprawa jednak spadkowa jest mi całkowicie nieznaną. Kiedym był starszy, nic już o niej nie słyszałem, z lat zaś upływem stosunki pomiędzy ojcem moim a stryjami i ciotkami, jakoteż stryjecznymi braćmi i siostrami jego zerwały się zupełnie. Gałąź Miłkowskich, wychodząca z dziada mego, odłamała się od pnia gorlickiego i rozrosła zrazu bujnie, ażeby skurczyć się następnie.

Z pobytu ojca mego w Księstwie Warszawskiem nie mam do opowiedzenia wiele. Pułk stał cały zdaje się czas, jeżeli nie w Kutnie, to pomiędzy Kutnem a Warszawą. Ojciec mój w Warszawie bywał, wspominał o Żółkowskim starym, którego na scenie widywał, i o pierogach Rozengarta, których sławę głosił. Przytem poić się musiał w źródłach kastalskich, jakie w czasie owym w stolicy tryskały, oznajomił się bowiem dosyć dokładnie z literaturą epoki Stanisława Augusta, a nawet i zygmuntowskiej, o których zapewne wyniósł pojęcie niejakie ze szkół winnickich. Zajmował się tem atoli dorywczo, o ile mu czas na to pozwalał. Żołnierz, a do tego wachmistrz, gospodarz szwadronu miał do czynienia co innego, zwłaszcza że nieraz zastępować mu wypadało oficerów, co nie nato służyli, ażeby „na deszczu stali“, — woleli w Warszawie czas pędzić. Szwadrony rozlokowane były po wsiach, pełniły służbę, odbywały musztrę, występowały często na przeglądy, przysposabiały się do czynności bojowej, była to bowiem epoka, w której wojny przychodziły z łatwością niesłychaną. Każdy pokoju moment uważał się jako zawieszenie broni. Europa fermentowała zaczynem wojennym. Chwila jedna nie przemijała bez szczęku oręża, rozlegającego się nie tu, to tam. Jakoż zawie-

szenie broni, które nie pozwoliło Polsce wygoić zupełnie ran, odniesionych poprzednio, zakończyło się w r. 1812. Pułk szesnasty ułanów na linję bojową wystąpił, wcielony wraz z innemi kawalerji polskiej pułkami do korpusu jazdy generała Latour Maubourg.

Ojciec mój odbył kampanję roku 1812, wziął udział w bitwach wielkich, w których korpus Latour Maubourga uczestniczył, i nie musiał się prowadzić najgorzej, kiedy, awansowany na oficera, ozdobiony został krzyżem złotym *virtuti militari*, którym nie szafowano, a mianowicie nie rozdawano go tym, co protekcji nie posiadali. On nie posiadał żadnej. W bitwach omijały go kule, szable i groty. Rannym nawet nie był. Raz się od rany, a może śmierci wykręcił, dzięki szybkości nóg klaczki, na której siedział. Wysłany z oddziałem kilku żołnierzy na placówkę straconą, kiedy z takowej o wczesnym poranku wracał, napadniętym się ujrzał przez kozaków. Kozaków była setnia cała. O stawianiu im czoła ani myśleć było można. Nie pozostawało nic innego, jak w odwrocie szybkim zbawienia szukać. Droga prowadziła pod górę i wyprowadzała na płaszczyznę, na której armja obozowała. W przejeździe pod górę miał ojciec mój na uwadze to, ażeby koni nie zmachać, więc oszczędzał je, pomimo że się Maćkowie rwali i kozacy docierali. Szczęśliwie się wydostał na płaszczyznę i tam, puściwszy wiarę przodem z zaleceniem, ażeby koni nie żałowała, sam przyzostał, chcąc kozaka, któryby go dojechał, na szablę wziąść. W prawo nawpół zwrócony szablą wymachiwał i na rozlegające się zewszechstron wołania kozackie: „nie ujdiosz!“ odpowiadał tonem przedrwiwania:

— Nie ujdiosz!...

Gdy się do niego kilku razem zbliżało, wówczas klaczce cugle popuszczał i odsadzał się, następnie znów cugle ściągał i dalej drażnił. Powtórzyło się to razy parę śród tętentu, jaki sprawiało cwałowanie setki koni, a który go na wielkie naraził niebezpieczeństwo. Zwracając się w prawo, nie widział, co się dzieje na lewo, i nie słyszał zbliżania się na koniu białym majora, co zuchwalca skarcić pragnął. Nagle otrzymał cięcie w łeb. Kask rozcięty na głowie się mu przekrzywił, co zaś gorzej, uderzony silnie na płask brzeszczot szabli prysnął jak szklany, i ojcu memu w garści została rękojeść jeno. Żarty przeto na stronę

odłożyć należało. Ojciec mój puścił klaczkę pędem całym. Major na koniu białym nie odstawał. Jeden uciec, drugi doścignąć nie mógł i tak obydwa razem wpadli w szeregi polskie. Pierwszemu się nie stało nic; drugi odwagę szaloną życiem opłacił. Domyślano się, że odwagę tę natchnęła mu manierka, którą przy nim znaleziono wypróżnioną.

Trzeba było bardzo dobrego na ojca mego humoru, ażeby opowiadał o wypadkach, jakie go w czasie wojny tej spotkały. Zresztą — cóż go spotykać mogło? — to, co wszystkich innych: marsze, trudy, niedostatek, boje. Monotonność tę przerywały kiedy niekiedy zdarzenia szczególne. Takiem np. była amatorska przeciwko kozakom wyprawa, urządzona przez Latour Maubourga. Razu pewnego, kiedy armja obozem stała, generał przybył do pułku szesnastego ułanów i wyzwał oficerów, ażeby z nim razem okolicę przejrzeli. Rozumie się, wszyscy się wybrali i w lance uzbroili. Oddzialik ten wyborowy, oddaliwszy się od obozu o wiorst parę, zoczył podjazd kozaczy. Kozacy się rzucili wstecz, ułani ruszyli za nimi. Nastąpiła gonitwa, w ciągu której nagle z zasłoniętej lasami pozycji wysypały się tłumy kozactwa i skoczyły ku oddzialikowi. Generał, krzyknąwszy: *halt*! sformował hufiec swój we dwa szeregi w sposób taki, że konie jednego opierały się ogonami o ogony koni drugiego; zabezpieczył przytem stosownie skrzydła, kazał lance do ataku wziąść i z miejsca się nie ruszać. Kozacy z krzykiem i kwikiem dokoła obiegali, zbliżali się, lecz uderzyć nie śmieli. Trwało to czas jakiś i byłoby się skończyło fatalnie, gdyby się nie pokazał od strony obozu tuman kurzawy. Ktoś na tuman ów uwagę Latour Maubourga zwrócił. Generał na siodło kolanami wskoczył, przez lunetę chwilkę popatrzył, w siodło się spuścił i zakomenderował:

— *En avant*!... *vive l'empereur*!...

Szeregi, jak stały, w dwie przeciwne uderzyły strony. Kozacy w oka mgnieniu zmiatać poczęli. Parowy i lasy posłużyły im do ukrycia się spiesznego. Nie stało ich — jakby się w ziemię zapadli. Tuman ów, co się w stronie obozu pokazał, wzbiło szwadronów parę dragonów francuskich, z obozu nadbiegających.

Takie i tym podobne zdarzenia spotykały ojca mego w czasie, kiedy armja wielka do Moskwy ciągnęła. W odwrocie

zdarzył się mu wypadek smutny. Za furażem wysłanego kozacy napadli i do niewoli wzięli. Jeńcem atoli wojennym był niedługo. Ujętym został wraz z Pawłowskim, z którym przed laty trzema z domu wyjechał, i za jego namową a pomocą z noclegu pierwszego uciekł. Wartownicy tak ich pilnowali dobrze, że mogli nietylko wyjść z chałupy, co im za więzienie tymczasowe służyła, ale się i przebrać w odzież odpowiednią roli, jaką odegrywać mieli. Działo się to na lewym brzegu Dniepru, śród ludności, która niekoniecznie przyjazne dla członków armji napoleońskiej żywiła uczucia. Wymknięcie się z chałupy nastąpiło nadedniem. Zbiegowie, nim zaświta, ujśćby nie mogli daleko. Czekać musieli nocy następnej, dzień zaś spędzić gdzieś w ukryciu. Pawłowski na ten cel wybrał dół ze zboża wypróżniony. W dół ów spuścili się obydwa; znaleźli w nim słomy trochę, więcej jeszcze słomy nanieśli; okryli się i dzień przespali. Zwieczora w drogę ruszyli. Pochód całonocny do Dniepru ich zbliżył; przez dzień się znów ukrywali; Pawłowski, który biegle po rosyjsku mówił, wyspekulowywał jadło po wsiach, udając „dieńszczyka“, co pana swego szuka; rola ta mu się powodziła, dalszą przeto wędrówkę odbywali otwarcie, panów szukając i o armję się rozpytując. Niestety dowiedzieli się, że armja, do którejby się dostać pragnęli, znacznie ich wyprzedziła; z armją zaś rosyjską pomimo pana owego, którego niby szukali, a który był majorem, noszącym nazwisko przez Pawłowskiego wymyślone, łączyć się interesu nie mieli najmniejszego. Brali więc kierunek taki, ażeby się trzymać zboku, w oddaleniu niejakiem od traktu, służącego za oś operacyj wojennych. Przez Dniepr przeprawił ich włościanin jakiś. Za Dnieprem doszła zbiegów wiadomość o fatalnej dla armji francuskiej przez Berezynę przeprawie. Zaskoczyły ich śniegi i mrozy. Razy kilka udało się im we dworach i dworkach szlacheckich odpoczywać. Wzmacniało to im siły, lecz opóźniało podróż, celem której była Warszawa, spodziewali się bowiem, że tam się przecie odwrót Francuzów zatrzyma, i oni pułk swój odnajdą. Zawiodła ich nadzieja ta. Raz, kiedy się przez las jakiś wieczorem przebierali, szukając w takowym leśniczówki do podnocowania, natknęli się na obozowisko pogońców, pędzących dla wojska woły. Przy wozach namioty rozpięte, przed namiotami ognisko płomieniem wielkim się pali; przy ognisku ludzi kilku; oblicza ich

zafrasowane. Wędrowce nasi podeszli i siedzących przy ognisku pozdrowili. Na pozdrowienie pozdrowieniem im odpowiedziano. Nastąpiła wymiana wyrazów, zwykłych, gdy się ludzie obcy spotykają.

— Coście za jedni?... — zapytał starszy śród pogońców.

Pawłowski historję o szukaniu majora opowiedział.

— Phi... — odrzekł pogoniec —, gdybyście się nas trzymali, tobyście go odszukali najłatwiej...

— Trzymać się was?... hm? — była Pawłowskiego odpowiedź.

Ojciec mój w rozmowy się nie wdawał spowodu, że po rosyjsku nie mówił.

— Poczęstowalibyśmy was kaszą, gdyby jak ją ugotować można było... — odezwał się pogoniec.

— Krupy są?... — Pawłowski na to.

— I krupy, i sól, i omasta...

— Chyba kociołka niema...

— I kociołek jest...

— Czegóż brak?...

— Wody... — odpowiedział —, a bez wody...

— Kasza się nie ugotuje?... — podchwycił Pawłowski.

— No... nie...

— Czemu nie?... Dajcie mi kociołek jeno...

Nie bez zdziwienia podano mu kociołek, który on śniegiem napełnił i przy ogniu postawił.

— Ot mędrzec!... — zawołał starszy.

Do śniegu topniejącego dorzucał Pawłowski świeżego; wody przybywało corazto więcej; gdy połowę większą kociołka zajęła, pozostawiono ją, ażeby zawrzała; gdy zawrzała, krup wsypano, osolono, łopatką wymieszano, omastą zaprawiono, i kasza się ugotowała. Zaproszeni wędrowcy nasi jedli wraz z pogońcami, którzy ich przytem gorzałką częstowali i sami się zakrapiali. Posiłek wyszedł na ucztę, którą Pawłowski okrasić umiał dykteryjkami, pobudzającemi biesiadników do śmiechu. Rozochocony starszyna odezwał się:

— Ot!... gdyby nam teraz kto zagrał...

— Na czem?... — zapytał Pawłowski.

— Na skrzypcach...

— Ba!... a skrzypka?....

— Skrzypka jest; ale tego, co na niej grywał, niema...

— Pokażcie no ją...

Z pogońców jeden do woza poszedł i przyniósł instrument muzyczny. Pawłowski wręczył takowy ojcu memu. Ojciec mój nastroił, przyłożył się i wydobył ze strun tony, które słuchaczy w zachwyt wprawiły.

— Ej!... wyście dobrzy na towarzyszy... — odezwał się starszy. Nie odstępujcie chyba nas...

— Nie można... — odparł Pawłowski, — szukamy Iwana Jakowlewicza...

— Może go gdzie Chrancuzy zabili...

— E?...

— Czemu nie?... Nie szanują paskudnicy „czina" wyższego, aniżeli majorski... Nie uszanują generała nawet... Zwyczajnie, niechrzczeni...

— Czyż niechrzczeni oni?...

— Jak?... Wody im trochę na łeb zlewają... Tak i psa, „pażałuj", ochrzcić można... Chrzest taki do człowieka nie przystaje...

— Chyba że tak... — odrzekł Pawłowski, w interesie którego nie było w dysputę teologiczną się wdawać.

Pogońców tych zbiegowie się trzymali. Pawłowski ich dykteryjkami bawił, ojciec mój im na skrzypcach grywał; zaszli z nimi do Warszawy, przez wojska rosyjskie już zajętej.

Pawłowski sobie dieńszczykostwo wywróżył. W Warszawie u pułkownika jakiegoś furmańską przyjął służbę, zatrzymując przy sobie ojca mego, którego wskutek zapewne trudów choroba trapić poczynała. Zatrzymał go w charakterze brata swego młodszego, przydatnego do pomagania w kuchni i wyczyszczania stajni z gnojów. Dano Pawłowskiemu odzież furmańską kroju rosyjskiego, kaftan długi, pas, czapę czworograniastą nabok przechyloną. Brody zarosły im obydwom. Na koźle wyglądał pysznie, woził doskonale; pułkownikowa zachwycała się „kuczerem" swoim.

Niedługo to atoli trwało — do imienin pułkownika, które wypadły w marcu (1813). Gdy się imieniny zbliżały, kucharz dostał dyspozycję przysposobienia obiadu sutego i wykwintnego. Dyspozycja ta zafrasowała go srodze. W Warszawie w czasie owym panowała drożyzna, pochodząca z niedostatku artyku-

łów pożywienia, zwłaszcza zaś takich, które do rodzaju delikatnych należały. Brak było drobiu i zwierzyny, a bez drobiu i zwierzyny — czyż sposób ucztę sporządzić! Zafrasował się tedy kucharz i o kłopotach swoich przed służbą mówił. Doszło to do uszów Pawłowskiego.

— Jabym zaradził temu... — rzekł.

— W jaki sposób?...

— Niechby mnie jeno jego „wysoko-błahorodie“ za Warszawę do (miasteczko wymienił) wysłał... Nawiózłbym kur, gęsi, kaczek, zajęcy, kuropatw, wszystkiego, czego dusza zapragnie...

Kucharz słowa te powtórzył pułkownikowej, pułkownikowa pułkownikowi, i rezultat tego był taki, że Pawłowski dostał rozkaz udania się na prowincję celem zaopatrzenia kuchni w artykuły do uczty potrzebne. Dano mu na ten cel pieniądze w ilości odpowiedniej i pozwolono wziąść powózkę i konie ze stajni. Wziął więc powózkę, którą opatrzył należycie; koni tęgich trzy; zabrał ze sobą ojca mego, bardzo już na zdrowiu podupadłego, i pojechał nie po drób, ale poto, żeby się corychlej przedostać za linję demarkacyjną, zakreśloną układem o zawieszenie broni. Za Warszawą ojcu memu nadał rolę dieńszczyka, sam zaś przebrawszy się stosownie w odzież, w którą się zaopatrzył, wziął na siebie rolę oficera od kozaków, jadącego w charakterze kwatermistrza.

W rolach tych przejechali przez linję graniczną i nie pozbyli się ich poza nią, a to dlatego, że wojska francuskie nie trzymały na niej kordonu. W miasteczku, nazwa którego z pamięci mi wypadła, a w którem pułk szesnasty ułanów przed wojną kwaterował, zajechali wprost do burmistrza, znajomego im obydwom, zwłaszcza zaś ojcu memu, spowodu że u niego na kwaterze stał. Burmistrz był Niemcem i piwowarem, posiadał fortunkę donośną i córkę, jedynaczkę nieszpetną, na wydaniu. Ojciec mój na koźle przed domem pozostał; Pawłowski wszedł i oznajmił:

— Nadejdzie tu dziś na noc pułk kozaków, trzeba dla niego kwatery przysposobić...

Burmistrz oznajmienie przyjął, zadość uczynić onemu gotowość wszelką okazał i kwatermistrza mniemanego na przekąskę zaprosił. Pani burmistrzowa wyniosła wódki, chleba,

wędlin; Pawłowski do pokrzepiania się zasiadł i, miejsce za stołem zająwszy, poprosił, ażeby o zwoszczyku jego pamiętano.

— Czy go tu zawołać?... — zapytał Niemiec.

— Niech przyjdzie...

W chwilę później w izbie pojawił się ojciec mój i u progu stanął. Podczas kiedy dla niego burmistrz wódkę nalewał i chleb wydzielał, w alkierzu słyszeć się dało dwoiste szeptanie niewieście. Matka z córką coś ze sobą po niemiecku z ożywieniem mówiły. Wreszcie pani burmistrzowa wyszła i oczami wyrazu zapytania badawczego pełnemi przypatrywać się jęła kozakowi stojącemu u progu i kozakowi siedzącemu za stołem. Widocznem było, że poznawała. Przemówiła słów kilka do męża. Słowa te i jego do badawczego pobudziły spoglądania. Nie było co dłużej rzeczy ukrywać. Pawłowski, który dotychczas ton mówienia zmieniał i język akcentem przybranym kaleczył, czysto się po polsku odezwał:

— Cóż?... czy nas państwo poznajecie?

Na zapytanie to odpowiedzią były okrzyki radośne kobiece. Panna z alkierza wybiegła. Burmistrz i burmistrzowa zbiegów w ramiona brali i całunkami okrywali. Nastąpiła po chwili narada. Z narady wypadło, że mogą dni parę pozostać. Konie ich do stajni zabrano, bryczkę schowano; w browarze, w kadziach kąpiel dla nich przyrządzono: wykąpali się, brody sobie pogolili i odzież zmienili.

Podróż dalszą odbywać już mogli swobodnie. Kraj, który przebywać mieli, stanowił rodzaj pasa neutralnego, przez wojska francuskie oczyszczonego, przez rosyjskie niezajętego. Burmistrz miarkował, że posterunki polskie spotkać się dadzą gdzieś aż koło Częstochowy.

Zabawili więc do wieczora i dzień następny cały, podejmowani z uprzejmością, nieustępującą w niczem gościnności polskiej. Wyjazd nastąpić miał na dzień trzeci o świcie. We wigilję wyjazdu burmistrz wziął ojca mego na stronę, na rozmowę poufną i uczynił mu przedstawienie, w którem sprawy publiczne złączył ze sprawą prywatną.

— Z Napoleonem skończyło się już — prawił. Prusy go odstąpią i Austrja odstąpi. Wam, Polakom, trzymanie z nim nic nie pomoże. Jeżeli go nie odstąpicie, daremnie się jeno szarpać będziecie. Po takiej, jak w roku przeszłym, klęsce

dźwignąć się niesposób. Ślepym być trzeba, ażeby nie widzieć tego.

Nie do przekonania człowieka młodego, żołnierza, co pod sztandary od Smoleńska aż tu, porą zimową, wśród trudów i niebezpieczeństw, piechotą przeważnie podążał, trafić mogło rozumowanie podobne. Pochodziło ono przytem od Niemca, było więc podejrzane i spowodu tego nie przekonywało, ale oburzało. Przez wzgląd atoli na uprzejmość przyjęcia ojciec mój wybuch oburzenia w sobie powściągał i na argumenta burmistrza odpowiadał argumentami, czerpanemi w genjuszu Napoleona.

— Napoleon — powiadał — spowodu właśnie klęski przekonał się, że nad Wisłą potrzebnem jest dla porządku i spokoju w świecie nie Księstwo Warszawskie, ale państwo rozległe i silne, skojarzone z Francją przymierzem wieczystem...

Niemiec przekonanie to uwzględniał, lecz utrzymywał, że nic ono Polakom nie pomoże.

Ojciec mój nie przypuszczał, ażeby Napoleon pokonać się ostatecznie dał.

Rozumowanie burmistrza nie trafiało do umysłu młodego człowieka. Tamten atoli nastawał i nalegał, tak że wkońcu ojciec mój zniecierpliwiony zapytał:

— Do czego to... to wszystko?...

— Mnie ciebie żal, zmarnujesz się, przepadniesz...

— Jakaż na to rada?

— U nas zostań...

— U was?...

— Oddam ci córkę, a z córką browar i...

— Nie! dziękuję!... — przerwał pospiesznie i, ponieważ przerwanie brutalnie nieco zabrzmiało, dodał, usiłując wyrazom następnym nadać akcent serdeczny: — dziękuję... Po wojnie... może... Gdybym propozycję pańską przyjął, dopuściłbym się dezercji spod sztandarów... Tego ja zrobić za żadne świata skarby nie mogę... Nie!

— Dziewczyna za tobą przepada... — wyznał Niemiec.

Argument ten ze względu na wdzięki burmistrzówny miał znaczenie swoje, tem bardziej że łączył się z innym, który usuwał, jeżeli nie zupełnie, to do stopnia bardzo wysokiego skrupuł, tyczący się dezercji. Ojciec mój czuł chorobę w sobie:

niesmak w gębie, brak apetytu, osłabienie, stan gorączkowy. Z trudnością się na nogach trzymał. Gdyby nie Pawłowski, który nad nim z troskliwością iście braterską czuwał, byłby z Warszawy wyjść nie mógł, choroba bowiem tam go już trapiła. Wyszedł dlatego jedynie, że ten go wywiózł. W całej sprawie tej rola jego bierną była. Do wózka usiadł, pojechał i jechał. Wiedział jeno, że do pułku jedzie. To go moralnie podtrzymywało. Rola ojca mego czynną się stała na chwilę, w chwili, gdy o uszy jego obiła się propozycja piwowara. Odrzucił takową bez namysłu. Może — gdyby się namyślił był... Ale nie! O ile ojca mego znam, twierdzić mam prawo, iżby ją odrzucił po najdłuższym nawet namyśle. Była to natura, należąca do rodzaju niezłomnych w rzeczach przekonania. We względzie tym wystawiam mu świadectwo z całą rzeczy świadomością i z całym sumienia spokojem. Spod sztandaru on nie zbiegł do śmierci samej.

Nazajutrz przeto, na drogę w zapasy podróżne zaopatrzeni, ze łzami pożegnani i obłogosławieni, puścili się wędrowce nasi w drogę dalszą. Jechali swobodnie i spokojnie, noclegując i popasając, gdzie wypadało. Ojciec mój czuł się corazto gorzej. Pawłowski dla niego legowisko na wózku urządził i pospieszał. Celem podróży ich był Kraków. W Krakowie główną kwaterą stał książę Józef Poniatowski. Znajdowały się tam szpitale i pomoc lekarska, która się dla chorego corazto bardziej potrzebną okazywała.

Na drodze nie spotykali posterunków wojskowych, aż w Częstochowie. W Częstochowie dopiero do swoich przybyli i... swoi ich nie poznali. Na rogatce zatrzymani, gdy się w prawdziwym swoim podali charakterze, zostali na rozkaz komendanta placu celem sprawdzenia podania, które się mu nieprawdopodobnem wydało, do więzienia wtrąceni. W więzieniu dowiedzieli się, że komendant placu Miłkowski się nazywa. Dało to nadzieję niejaką skrócenia procederu. Ojciec mój zażądał pozwolenia widzenia się z komendantem. Żądaniu temu zadość uczyniono. Do komendy go odprowadzono; ponieważ jednak była to pora obiadowa i komendant przy stole siedział, pozostawiono więc go w przedpokoju, do izby jadalnej przyległym. Za drzwiami słyszeć się dawał brzęk talerzy, któremu towarzyszyła rozmowa. Obiad się wlókł. Ojciec mój, na nogach utrzymać się nie mogąc,

w kącie przysiadł i czekał. Czekanie się mu długiem wydawało. Wreszcie krzeseł suwanie znać dało, że się obiad skończył. W chwilę później do przedpokoju wyszło dwóch oficerów, z których jeden od piechoty był komendantem placu, drugi zaś dobrze ojcu memu znany major z pułku szesnastego ułanów.

— Majorze!... — zawołał ojciec mój z kąta, udźwignąć się nadaremnie usiłując. — Majorze, ratuj!...

— Coś za jeden? — zapytał ten ostatni, zatrzymując się i okiem wołającego mierząc.

— Czy mnie nie poznajesz?...

Major przypatrzył się bliżej i poznał. Fizjognomja ojca mego w pamięci się mu wraziła dzięki skardze, zaniesionej na niego do pułkownika, spowodu której ojciec mój, wachmistrz wówczas, skazanym został na maszerowanie przez dzień cały przed szwadronem piechotą. Skarga tyczyła się przyprowadzonej przez furażerów krowy. Major krowę tę widział i kazał ćwierć dla sztabu wydzielić. Ojciec mój zostawić kazał dla sztabu wnętrzności i, kiedy ordynansi po ćwierć przyszli, wnętrzności im pokazał i takowe zabrać pozwolił. Podobało się to żołnierzom, ale się nie podobało majorowi. Wachmistrza oskarżył i zapamiętał. Na zapytanie przeto: „Czy mnie nie poznajesz?“ — odrzekł:

— Miłkowski!..

— Tu nie wierzą mnie i Pawłowskiemu, żeśmy z szesnastego pułku ułanów...

— Skądżeście się tu wzięli?

— Z niewoli uciekamy... Poświadcz o nas, majorze!

Major poświadczył. Więźniów wnet na wolność wypuszczono, zwracając im wózek skonfiskowany i konie, użyte już do wożenia ziemi na okopy.

Podróż dalsza bez przeszkody się odbyła.

Do Krakowa przywiózł Pawłowski ojca mego w stanie nieprzytomności zupełnej. Zadeklarowała się gorączka zgniła. Leżał tygodni parę. Jak skoro zdrowie odzyskał, wnet do pułku powrócił.

Na wiosnę na nowo wojna się rozpoczęła — do miesiąca września przeciwko Rosji i Prusom, od miesiąca września przeciwko koalicji straszliwej Europy całej, do której nie przyłączyli się jeno Duńczycy, Sasi i Polacy. W stanie służby ojca

mego zaznaczone są bitwy i potyczki: w r. 1809 pod Tarnopolem, Wieniawką, Zaleszczykami; w r. 1812 pod Mirem, Romanowem, Możajskiem, Smoleńskiem, Jarosławcem i nad Berezyną; w r. 1813 pod Gabel, Loebau, Donau, Culm, Peterswalde, Pirną i Dreznem. Pułk szesnasty, wcielony do korpusu marszałka Gouvion-Saint-Cyr, podzielił korpusu tego los. Bitwa pod Dreznem jest jedyną, o przebiegu której ojciec mój szczegółowo opowiadał. Relację jego w opisach i na gruncie sprawdzałem, to jest, ilem razy o rozprawie tej czytał, zawsze opowiadanie ojcowskie w umyśle przytomne miałem, gdym zaś w Dreznie był, pole, na którem się ona odbyła, zwiedzałem. Pomiędzy opowiadaniem a opisami zachodziła zgodność zupełna. Nastąpiło to zapewne wskutek tego, że ponieważ pułk czas jakiś po bitwie w Dreznie załogą stał, żołnierze przeto rozpatrzyć się mogli dokładnie w teatrze, na którym czynną odegrali rolę. Korpus marszałka Gouvion-Saint-Cyr — jak wiadomo — kapitulował. Wojska polskie, które do składu onego wchodziły, Austrjacy internowali w Morawji i na Śląsku. Ojciec mój miesięcy kilka spędził w Cieszynie w charakterze jeńca wojennego, i z Cieszyna w r. 1814 udał się do Królestwa Polskiego, do szeregów armji, formującej się pod dowództwem Wielkiego Księcia Konstantego. Pułk szesnasty ułanów przerobiono na pułk trzeci strzelców konnych; dowództwo nad takowym powierzono Dziekońskiemu. Ojciec mój został adjutantem pułkowym i był nim lat parę, nie wiem bowiem, jak długo w szeregach armji Królestwa służył — do 1816 czy do 1817. Dymisję wziął i do domu powrócił.

Dziad mój mieszkał podówczas w gub. podolskiej, pow. bałtskim, we wsi Saracei. Wieś ta leży nad Dniestrem w okolicy stepowej, o wiorst sześć na północ od miasteczka Rybnicy, o mil trzy na południe od zalecającego się iście szwajcarskiem położeniem swojem Raszkowa. Położenie Saracei nie zaleca się zgoła. Wzgórza o płaszczyźnie szerokiej i jary kamieniste — oto jej topografja. Nazwa jej mówi o soli w języku rumuńskim (*sara*-sól) i forma nazwy tej rumuńską jest. Położona tuż naprzeciw, na gruncie besarabskim, wieś nazywa się Sołończany — także od soli, ale wziętej z języka rusińskiego. Nazwy zamieniły grunt: rumuńska przeszła na rusiński, rusińska na rumuński. To jednego i tegoż samego znaczenia nazwy do dwóch rzeką

jeno przedzielonych miejscowości przywiązanie nie jest bez racji może. Alem o racji nie słyszał. O znajdowaniu na gruncie saracejskim soli pod postacią taką lub inną nie mam wiadomości najmniejszej. Zaludnienie wioski składało się w połowie jednej z Rusinów, w drugiej z Rumunów. Wieś posiadała cerkiew; parafja rozciągała się na Mołokisz i Erżew. Nad Dniestrem, oddzielony jeno od rzeki ogrodem, starannie urządzonym a murem opasanym, wznosił się, murem także opasany, w guście włoskim pałac.

Pałac i dziad mój? — jeden z drugim nie licują, zwłaszcza że Saraceja była to wioska mała; posiadała ziemi dużo, morgów tysiące, ale mieszkańców nie więcej jak dusz sto. W czasach owych majątki ceniły się wedle nie ziemi, lecz dusz. Z dusz przeto saracejskich pałacu wyciągnąć nie było można. Toteż wyszedł on nie z nich, ale z Targowicy. Postawił takowy jakiś Chrząstowski czy Chrząszczewski, który w Targowicy palce umaczał i od którego dziad mój Saraceję nabył. O targowiczanach *vox populi* powiadał natenczas, że ich sumienie dręczy — że z siłą nieczystą stosunki mają. Powiadano to i o dawniejszym Saracei właścicielu, który sposobem, w jaki się zachowywał, usprawiedliwiał poczęści mniemanie to, nie co do stosunków z siłami nieczystemi, ale co do stanu sumienia. Po uspokojeniu się w kraju zamieszek zapomocą rozbioru drugiego postawił w Saracei pałac, urządził wspaniały ogród, w pałacu samotnie zamieszkał, zamknął się, z nikim nie żył i trudnił się alchemją. Złoto fabrykował. Niepowodzenie zapewne, jakiego fabrykacja ta doznała, zniewoliło go majątek sprzedać. Sprzedał i sam dokądsiś wyjechał — znikł, niby kamfora. Dziad mój pałacu nie kupował: dostał takowy w dodatku do wsi, wraz z laboratorjum całem, z ogrodem i winnicą. Na ogród wychodził balkon; przed balkonem rozlegał się trawnik, którego ozdobę stanowił ogromny klomb różany, przytulisko dla słowików na wiosnę; dalej wiły się ulice śród krzewów i zagajeń; część tylną ogrodu, do rzeki przylegającą, zajmowały drzewa owocowe w gatunkach najlepszych. Wszystko to dziadowi memu dostało się w dodatku do sta dusz; jaką zaś to, z wyjątkiem ogrodu, wartość dla niego miało, poznać można stąd, że połowa komnat pałacowych obrócona przezeń została na magazyny do składania i zsypywania narzędzi i produktów rolniczych; z sa-

lonów jeden zajmował owies, drugi groch, etc. Było to po barbarzyńsku może, ale „wedle staniku“. „Wedle stawu grobla“. Ci, co przez Saraceję przejeżdżali, widząc budynek elegancki, na piętro się wznoszący, płaskim, galerją kamienną otoczonym dachem przykryty i architektonicznie przyozdobiony, ani się domyślali, że to w połowie śpichlerz.

Dziad mój wszakże barbarzyńcą w ścisłem wyrazu tego znaczeniu nie był, i książki bowiem miał — w ilości niewielkiej wprawdzie, miał jednak, — i co ważniejsze, „zdobycze pługa czynił“. Osady — słobody — na rozległych polach saracejskich zakładał, lasy zasiewał, rolę starannie uprawiał; osadnicy się do niego tak zza Dniestru, jakoteż z głębi Podola garnęli, co działo się z gwałceniem prawa o poddanych. Chłopi woleli być w poddaństwie u dziada mego, aniżeli u innych. Nie przemawia to na niekorzyść jego. Wogóle, co się wspomnień o dziadku moim tyczy, nie doszła mnie wiadomość żadna, któraby stanowiła zgrzyt. Dobrym był mężem, ojcem, sąsiadem i panem. W Saracei się zagospodarował. W domu, pomimo że był to wielkopański pałac, panował małoszlachecki dostatek.

Do takiegoto domu ojciec mój po latach kilku nieobecności zawinął. Nie wiem, jak w rodzinie przyjętym został, — domyślam się, że dobrze. Zastał zmiany znaczne. Rodzeństwo podorastało. Siostra jedna zamężna już była, w sąsiedztwie rodziców mieszkała. Bracia szkoły pokończyli i jeden z nich, starszy, urzędował od wyborów; dwaj inni do wojska rosyjskiego, obydwa do piechoty, wstąpili. Tych wszystkich w domu nie było. Przy rodzicach pozostawali: siostra młodsza i najmłodszy z braci, Erazm, kalectwem głuchoty dotknięty i dlatego pozbawiony możności pobierania nauki szkolnej. Ojciec do niego nauczycieli domowych trzymał, a nauczyciele ci uczyli wraz ze stryjem moim i dzieci sąsiadów uboższych. Do tego się pałac w sam raz nadawał. I to też o barbarzyństwie niebardzo świadczyło.

W momencie przybycia ojca mego do Saracei w rodzinie panował frasunek wielki. Ów stryj mój, co urzędował, posiadał ducha spekulacyjnego. Spekulowano w czasie owym na woły. On przeto, zakupiwszy wołów partję znaczną, odkarmił je na wypasach saracejskich, do Włodawy popędził i nie wracał, ani znać o sobie dawał. Wyjechał był w jesieni bryką

w cztery konie, z dwoma ludźmi i powinien był w jesieni powrócić. Zima minęła — jego spowrotem nie było. Czekano, wyglądano — nadaremnie. Dziad mój do władzy się zgłosił z żądaniem zarządzenia poszukiwań. Poszukiwania żadnego nie sprowadziły rezultatu, ani nawet opytu wziąść nie mogły. Stryj mój Ignacy z dwoma ludźmi, z bryką i czterema końmi bez wieści przepadł. Wiadomość ostatnia, jaką dziadostwo moi z wyprawy tej o nim mieli, pochodziła od „hajdajów“ — tak nazywano tych, co do pędzenia wołów służyli. Hajdaje powrócili i powiadali, że stryj mój woły sprzedał i, z nimi się rozpłaciwszy, wyjechał.

I tyle. Przepadł. Zamiast niego przybył, miany także przez czas długi za straconego, ojciec mój.

Nie wiem, jakem powiedział powyżej, jak go rodzice przyjęli, ale wiem o tem, że ze strony obywatelstwa w powiecie doznał przyjęcia dobrego. Przypadały wybory na urzędników powiatowych: wybrano go w Bałcie na podsędka. Wkrótce potem, gdy rząd celem rozstrzygnięcia raz na zawsze mnogich, a do nieskończoności ciągnących się i ogromnie powikłanych procesów granicznych ustanowił po gubernjach tak zwane „sądy graniczne“ obywatelskie, ojca mego na sędziego wybrano. Do sądów tych, do których przydzieleni byli geometrowie, należało sprawy na gruncie rozpatrywać, wyrokować, rozgraniczać, mapy sporządzać i kopce przy sobie kazać sypać. Zajęcie to dało mu pracy dużo i wprawiło go w ruch ustawiczny. Jeździł z domu do domu, zatrzymując się tu krócej, ówdzie dłużej, i rozstrzygając sprawy wedle dokumentów nieczytelnych i świadectw niepewnych. W stronach tych nie było we zwyczaju na kopcach, dla wrażenia mieszkańcom narysu granicy w pamięci, chłopców wyrostków rózgami siec. Stąd ludzi starych pamięć zawodziła, na świadectwach ich opierać się nie było można, — uciekać się należało do kombinacyj niezmiernie niekiedy subtelnych, ażeby sprawiedliwości uczynić zadość. Epoka sądów granicznych zapomnianą już jest, a jest ona ciekawą pod względem historyczno-obyczajowym. Z czasów jej po archiwach istnieją dokumenty, których, o ile wiem, nikt specjalnie nie rozpatrywał.

Pracował tedy ojciec mój, jeździł i wyjeździł sobie towarzyszkę życia. Poznanie się z matką moją nastąpiło w Bahwie,

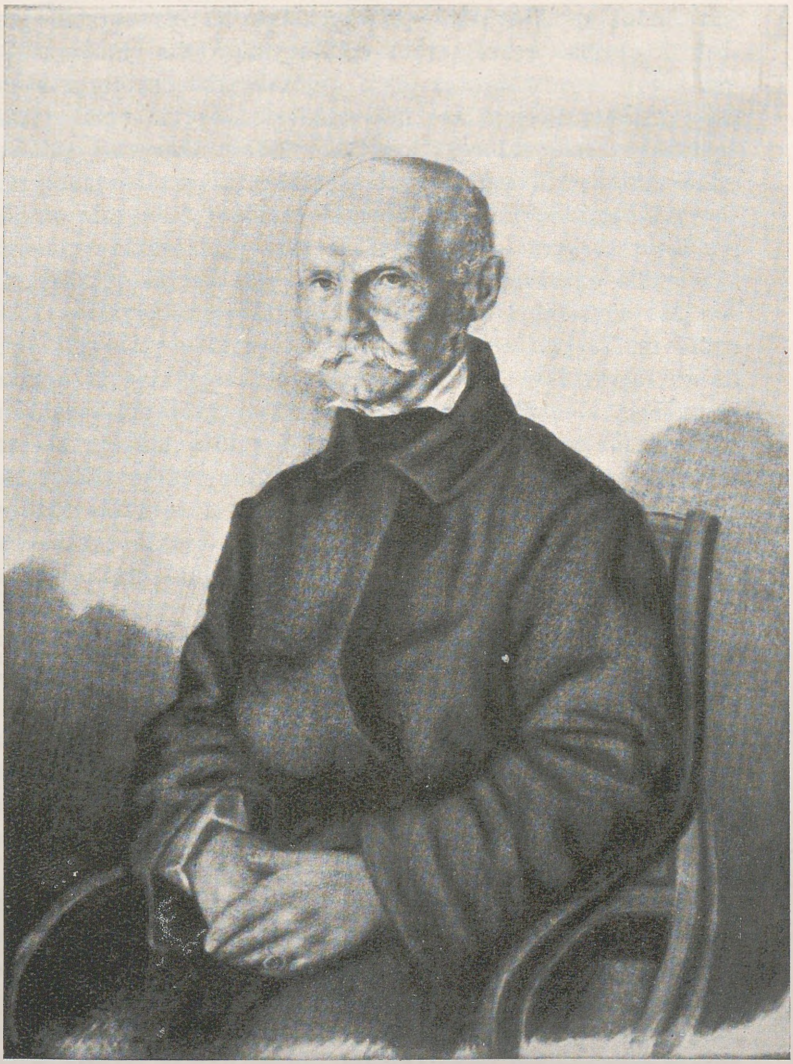

JÓZEF MIŁKOWSKI
ojciec Zygmunta

wsi ukraińskiej, którą prawem zastawniczem trzymał brat jej Maciej Brudzewski. Musieli się wzajemnie sobie podobać, nawet pokochać, albowiem matka moja, która sierotą i najmłodszą w rodzeństwie licznem była, zamąż wbrew woli i życzeniu rodziny wyszła. Rodzina jej, raz z racji posagu, jaki posiadała, powtóre dlatego że jako Brudzewska z senatorskiego pochodziła rodu, pragnęła dla niej partji świetnej. Zalecał się do niej jakiś Trębicki — hrabia. Pomiędzy hrabią a szaraczkiem wahanie się — jak się zdawało — miejsca mieć nie mogło. Matka się też moja nie wahała i szaraczka sobie wybrała. Obruszyło to krewnych jej bliższych i dalszych tak dalece, że nikt na weselu jej obecnym nie był z wyjątkiem brata starszego, wyżej wzmiankowanego Macieja, w którego domu ślub wzięła i z Bahwy do Saracei z mężem pojechała. Gniewano się na nią. Później atoli przekonano się, że gniewać się nie było za co. Matka moja z mężem rodzinę objechała i ta z łatwością przeprosić się dała, a nawet starsza matki mojej siostra, pani Jeleńkowska, starsza od niej o tyle, że miała córkę o lat kilka tylko od matki mojej młodszą, bardzo sobie ojca mego upodobała.

Był bo to człowiek, którego, bliżej poznawszy, nie pokochać trudno było. Uprzedzała o nim dobrze przedewszystkiem powierzchowność jego. Byłby skończenie pięknym jako typ czysto polski, gdyby mu nie brakło wzrostu. Nie należał do rodzaju ludzi małych, ale nie dochodził miary średniej: czoło wysokie, oko błękitne, nos troszeczkę garbaty, rysy oblicza regularne, wejrzenie słodkie, które się zmieniało w surowe, gdy mu gniew na czole skórę fałdował i brwi chmurzył, postawa szykowna, budowa mocna — oto rysopis jego niedokładny, niesposób bowiem słowami odmalować wyrazu, jaki się z postaci jego wypromieniał. Wyraz ów tłumaczył się zapomocą połączenia w jedno miękkości i hartu, łagodności i surowości w stopniu takim, że ojciec mój kazał siebie zarazem kochać i lękać się. Niedziw przeto, że tak ciotka Jeleńkowska, jak wszyscy matki mojej bracia: Maciej, Jan, Józef i Michał, wybaczyli siostrze to, co się im zrazu mezaljansem wydało, a co mezaljansem mogło być do stopnia pewnego w odniesieniu do Brudzewskich, karmazynów, liczących śród przodków wojewodów i kasztelanów, nie zaś w odniesieniu do rodzin, z któremi się oni spo-

krewnili na Ukrainie. Tacy naprzykład Jeleńkowscy, albo tacy Peretiatkiewicze (babka moja po kądzieli była Peretiatkiewiczówna), albo Szawłowscy różnili się jeno od dziada mego po mieczu pod względem majątkowym. Byli to nie magnaci, lecz ludzie bardzo zamożni, posesjonaci: jedni klucze całe dzierżawili, drudzy dobra własne posiadali, karetami jeździli, służbą się liczną otaczali. Szlachcic na jednej wiosce — a ojciec mój do wioski w siódmej jeno części prawo miał — mierzyć się z nimi nie mógł. Cóż, że w pałacu mieszkał. Co on z mieszkania tego zrobił... Na drewnianych stołkach siadał, a do stołu, o zgrozo! posługiwała mu dziewka. Szlachectwo jego, acz dobre, w rachubę nie szło i nie dawało mu wstępu do Potockich naprzykład, do których nie miałby czem pojechać nawet, nie posiadając w masztarni powozu na resorach ani jednego. Pierwszy tego rodzaju powóz, jaki się w Saracei w epoce władania nią przez Miłkowskich pojawił, był kocz żółty, który ojciec mój kupił, gdy na wesele swoje jechał. Kupił kocz żółty i pięć koni kasztanowatych. Piątką żonę przywiózł.

Dziad mój synowę otwartemi przyjął ramiony. Ucieszyła go ona ogromnie. Okazywał jej troskliwość jaknajwiększą i dogadzał jak istocie wyjątkowej a uprzywilejowanej. Używała prerogatyw szczególnych, jak np. wysypianie się rano. W domu co do tego panował porządek surowo przestrzegany: o godzinie dziewiątej wszyscy spać szli, o piątej wszyscy wstawali. Odstępowanie od reguły tej niemożliwem było, dziad mój bowiem z wieczora wymagał ciszy absolutnej; rano zaś, gdy sam wstał, tak hukał i stukał, taki hałas sprawiał, że nieżywy chyba nieobudzić się mógł. Gości jeno sen porankowy szanował. Był to wyjątek od reguły ogólnej. Wyjątek ten dla synowej w regułę zmienił: na palcach, póki się ona sama nie obudziła, chodził i ciszy w domu przestrzegał, uprzedzając jej życzenia, dogadzając gustom i przyzwyczajeniom, śledząc skinień. Matka moja przywiozła ze sobą pannę służącą, t. zw. stołową, — pannę Honoratę; dziad przyjął lokaja. Kucharz był dawniej, zwał się Jurek, — znałem go, pijak, wielce jednak w fachu swoim biegły: pobierał on dyspozycje od babki mojej, ale dyspozycje wszelkie iść musiały pod aprobatę młodej pani, która zajęła stanowisko nie rządzącej, ale panującej. Służyli jej wszyscy, a przed wszystkimi teść. Ten miejsca dla niej — jak to po-

wiadają — znaleźć nie umiał: służył jej, bawił ją — opowiadał jej ze szczegółami najdrobniejszemi o Szepetówce, zwłaszcza zaś o boruszkowieckim moście; spostrzegłszy się atoli, że opowiadanie to powtarza za często, do ojca mego z wymówką się zwracał:

— Cóż ty? Cóżeś na wojnie robił?... Opowiadaj!

Wyzywał, ale do słowa nie przypuszczał, przypominał bowiem sobie wnet szczegół jakiś o koniu karym, o bryce krakowskiej, o czemś innem, o Kościuszce, o Poniatowskim i bawił synowę.

Ojciec mój do opowiadań się nie rwał, dziad nie znał przeto szczegółów o bojach znaczniejszych, aniżeli boruszkowiecki i szepetowiecki, o trudach większych, aniżeli trudy kampanji dwumiesięcznej r. 1792 (od maja do lipca). Podejrzewał nawet syna, że mu wojna przeszła lekko. Wogóle Szepetówka i Boruszkowce zasłaniały dziadowi memu widok na boje napoleońskie, a Kościuszko zaćmiewał Napoleona. Z racji tej zlekka traktował wojaczkę syna, tem bardziej że syn, ojcu pierwszeństwa ustępując, nie opowiadał. Gdy kto nie opowiada, nie ma snadź o czem. Nie byłoby tak zapewne, gdyby mu nie przeszkadzał. Ile razy ojciec mój zaczynał o sprawie pod Borodinem np. lub pod Dreznem, regularnie mu dziad przerywał i na stół Szepetówkę albo Boruszkowce wytaczał. Boruszkowce i Szepetówka w cień spychały Smoleńska, Borodiny, Małe Jarosławce, Lützeny, Bautzeny, Drezna, a zdarzenie z bryką trudy pochodów i ucieczki z niewoli. Te wobec tamtych w mniemaniu dziada mego były jeżeli nie niczem, to czemś podrzędnem.

Mniemanie to zmienił gość niespodziany. Ojca mego odwiedził kolega Pawłowski. Gościowi grzeczność przerywać nie pozwalała. Opowiadanie na szeroką rozwinęło się skalę i popłynęło swobodnie. Koledzy jeden drugiemu przypominali i dziad mój przekonał się, że kampanje r. 1812 i 1813 były to nie przelewki, a zarazem dowiedział się, że synowi przeszły one twardo. Wzruszyło go to.

— A jam myślał... A jam myślał... — zaczął.

Łzy mu mówić nie dały. Głowę syna w dłonie wziął, do piersi przygarnął, całował go i płakał.

Nie przeszkodziło to temu, że później, po odjeździe Pawłowskiego, o Boruszkowcach i Szepetówce znów opowiadał.

Wydawało mu się, że to bawi matkę moją, która pilnie słuchała. A bawić ją, czas jej uprzyjemniać, służyć jej, stało się od chwili, jak próg domu saracejskiego przestąpiła, zadaniem jego głównem.

Nie trwało to jednak długo — miesięcy kilka zaledwie. Rodzice moi, celem złożenia atencji członkom wydatniejszym rodzin z rodziną Brudzewskich spokrewnionych, wyjechali, i w podróży doszła ich o śmierci ojca wiadomość.

Umarł nagle, w czasie drzemki poobiedniej, nie licząc wieku lat więcej nad pięćdziesiąt kilka. Zabiła go apopleksja. Ojciec mój na pogrzeb jego nie zdążył.

Śmierć dziada mego zmieniła postać rzeczy w Saracei. Ojciec mój objął zarząd majątecz ku, który — nie licząc wciąż spodziewanego, ale niewracającego stryja Ignacego — był spólną głów sześciu własnością, wymagającą stosowania się do spólnictwa tego. W perspektywie przedstawił się podział, dla dokonania którego trzeba było Saraceję sprzedać. Perspektywa ta ukazywała się w dali, przy życiu bowiem pozostawała matka, babka moja: wobec niej dzieci materji tej poruszać nie chciały. Pozostało więc tak, jak było przy życiu dziada mego: ciotki moje, obie już wówczas wydane i, zdaje się, wyposażone, w sąsiedztwie mieszkały; dwaj stryjowie w wojsku służyli; w domu pozostawali najmłodszy i najstarszy, który zajął faktycznie stanowisko administratora, obowiązanego wobec rodzeństwa młodszego do kalkulacji z dochodów.

Niebawem stan rzeczy uległ zmianie nowej.

Babka moja nie przeżyła męża dłużej, jak miesięcy dwa. Wnuczka nawet, co na świat przyjść miał, nie oglądała. Zgasła — legła na smętarzu w Rybnicy, obok towarzysza życia, z którym dzieliła dolę złą i dobrą, którego kochała duszą całą. Bez niego świat dla niej stanął „pustką głuchą“; za nim więc pośpieszyła. Śmierć dziada mego wywarła — jak mi opowiadano — na babkę wrażenie tak silne, że się kobieta do końca upamiętać nie mogła. Nie wierzyła, że go już niema. Ustawicznie się za nim oglądała. Umierała z tą myślą, że do niego idzie. Konając, na obliczu miała uśmiech, a w ustach wyraz:

— Jasiu...

Ze śmiercią jej dla matki mojej skończyła się w Saracei gościna. Zajęła stanowisko gospodyni domu, na którem jednak

nie potrzebowała występować w roli czynnej. Znalazła pomocnicę i wyręczycielkę w osobie kobiety, która do rodziny przyrosła. Była nią ciotka mego ojca, panna Teresa Komarnicka, starsza babki mojej, nie wiem czy rodzona, siostra. O chwili przybycia jej z Galicji, czyli — jak się wyrażała — „zza kordonu“, wiadomości nie mam żadnej. Znałem ją staruszką wzrostu małego, tuszy dobrej, wesołą, gospodarną, chustką głowę zawiązującą, tabakę zażywającą i kochającą dzieci siostrzana swego, jak wnuczęta rodzone. Ona gospodarstwo domowe w części onego kłopotliwej w ręce swoje wzięła, i matka moja nadal w roli panującej pozostała. Roli tej nikt jej nie zaprzeczał, ani zajrzał. Ojciec mój z ciotką swoją zajęcia pomiędzy siebie rozebrali: pierwszy pola i inwentarza pilnował, druga dozorowała spiżarni, piwnicy, nabiału, kurników, ogrodu, słowem wszystkiego, co na wsi do zakresu gospodarstwa kobiecego wchodzi. Oboje szli spać wcześnie, wstawali rano, czeladź budzili, i każde zosobna pełniło funkcję, jaka mu wedle rozkładu pracy przypadała. Matka moja dysponowała, sypiała długo, w łóżku kawę pijała, gości, gdy się trafili, bawiła i czasu resztę obracała na te roboty, co, robót pozór mając, są w istocie, jak je słusznie nazwano, „pracowitem próżniactwem“. Wyszła ze sfery, w której się pracowitość tego rodzaju praktykuje, i nie wyobrażała sobie, ażeby być mogło inaczej. Nie stawało się to atoli w pożyciu domowem powodem nieporozumienia najmniejszego. Nadane przez nieboszczyka dziada matce mojej stanowisko uprzywilejowane, uznane, utrzymało się, jako rzecz naturalna. Rzeczy w domu szły trybem regularnym. W gospodarstwie panował porządek, jak w szwadronie, tak dalece, że w sąsiedztwie powiadano, że do gospodarowania dobrego żołnierza potrzeba. O szkołach rolniczych podówczas wyobrażenia nie miano. Potrzeba takowych uczuwać się jeszcze nie dawała. Wystarczał porządek, przy którym orano, siano, zbierano wedle wskazówek ludzi starych i — poczęści — kalendarza berdyczowskiego.

Nie było jednak tak źle, ażeby w okolice te promienie światła nie przenikały. Przenikały one pod postacią odbłysków szkolnych, odłamujących się z ognisk takich, jakiemi były powstałe z dawnej, pod auspicjami Komisji Edukacyjnej organizacji — szkoły powiatowe i wojewódzkie, pomiędzy któremi ce-

lowały: Winnica, bardziej zaś Humań, a nad któremi stanął Krzemieniec. Dzięki im przejawiał się ruch umysłowy pod dachami najskromniejszych dworków szlacheckich. Pierwotną przejawów oświaty formą była mowa wiązana. Oglądałem w dzieciństwie mojem księgi grube poezyj, przepisanych ręką stryjamego Erazma. Kochanowski spotykał się tam z Naruszewiczem, Kniaźninem, Karpińskim, Węgierskim. Przepisywał poezje i ojciec mój. Działo się to w ten sposób, że, gdy się książka jaka w okolicy pojawiła, wnet ją sąsiedzi sobie z rąk do rąk podawali, a ci i owi odpisywali ustępy większe lub mniejsze. W wyborze we względzie tym kierowali się upodobaniem, nieodnoszącem się do reguł żadnych. Język nawet rzeczy nie stanowił, byle się autor zrozumieć dał. Widziałem w odpisie w księdze jednej *Myszeidę* Krasickiego i *Eneidę* Kotlarzewskiego. Ta ostatnia, bardzo czytana, ogromnej używała wziętości w sferach szlacheckich. Sąsiedzi dowozili ją sobie i głośno czytali. Zachwycała.

Sąsiedztwo saracejskie licznem nie było — ograniczało się do domów dwóch, z któremi rodzice moi w bliższych pozostawali stosunkach: Kożuchowskich w Rybnicy i Bentkowskich w Mołokiszu. Przyczyniały się do tego odległości. Z wyjątkiem Mołokisza, o wiorst dwie oddalonego, nie było wsi bliżej jak o milę, tak że odwiedzanie sąsiadów nie mogło się bez zanocowania obchodzić. Stąd z Bentkowskimi jednymi stosunki miały charakter ciągłości nieprzerwanej, co się obracało na dobre, Bentkowski bowiem, pan domu, należał do liczby ludzi ukształconych. *Noblesse oblige.* Wiedział on, że nosi nazwisko człowieka zasłużonego w literaturze naukowej, posiadał u siebie księgozbiór, a w tym, obok dzieł innych, *Pamiętnik Warszawski* i *Historję literatury polskiej*. Osobistość taka nie mogła nie oddziaływać. Oddziaływał on i przez swój księgozbiór, na wzór którego ojciec mój formował księgozbiór w Saracei, i przez osobę swoją, która do czytelnictwa wyzywała, i przez osobę siostry swojej, panny Ewy, starej panny, która się stawiała jako *hic mulier*, do wszystkich „ty“ mówiła i wszystkim prawdę w oczy rżnęła, nie obwijając wyrazów w bawełnę. Z Kożuchowskimi stosunki nie zachodziły takie ścisłe, a utrzymywały się głównie dzięki tej okoliczności, że Saraceja do parafji rybnickiej należała. Kożuchowski kolatorem był. Więc się kolatora odwiedzało i odwiedziny jego od czasu do czasu przyj-

BALBINA Z BRUDZEWSKICH MIŁKOWSKA
matka Zygmunta

mowało. W oddaleniu niejakiem trzymała sąsiadów różnica majątkowa. Kożuchowski należał do ludzi bardzo zamożnych — pan prawie; miał synów kilku i córkę; pokolenie młodsze, córka zwłaszcza, bardziej się do Saracei garnęło. Zresztą znajomym był powiat cały; goście przesuwali się często; śród odwiedzających figurowały nazwiska Bielińskich, Bonowskich, Różałowskich, Chomentowskich, Czarnomskich, Bajewskich, Podsiedlewiczów, Denysków, Ulatowskich, Bagockich, Popowskich etc. Za Popowskiego wyszła siostra stryjecznorodzona matki mojej i zamieszkała w powiecie bałtskim, we wsi Michalówce, położonej, jak Saraceja, nad Dniestrem, ale o wiorst czterdzieści niżej.

W r. 1822 rodzice moi po raz pierwszy rodzicami zostali. Urodził się im syn. Dali mu na chrzcie imię Konstanty. Cieszyli się nim atoli niedługo. Odkarmił się i umarł. W rok po śmierci jego, w dniu 11/23 marca r. 1824 przyszedł na świat syn drugi, ochrzczony przez proboszcza rybnickiego pod imieniem Zygmunta Fortunata, a trzymany do chrztu przez panią Kuczewską i przez oficera od artylerji J. Sierzputowskiego. W czasie onym w Rybnicy i okolicach artylerja stała. Nadawało to towarzyskim stosunkom ożywienie. Sierzputowski był ojca mego znajomym, bodaj czy nie kolegą dawnym.

Urodzinom moim towarzyszył wypadek zabawny. Na czas jakiś przedtem bawił w domu naszym wuj mój Józef; miał on lokaja murzyna, którego dla oryginalności skądeś dostał. Od nas przejeżdżał do Michalówki, z Michalówki wracał do nas. Murzyn był przedmiotem podziwu ogólnego. Ciotka moja Popowska spodziewała się także matką zostać i została nią równocześnie z mojem na świat przybyciem. Powiła chłopca koloru brunatnego, czarnego prawie; mnie zaś niańka celem zabezpieczenia przeciwko urokom, które się jej tem bardziej możliwemi wydały, że w czasie urodzin moich straszliwa na dworze panowała burza, znamionująca, jak wiadomo, tłuczenie się biesów, w kahlance, to jest w sadzy, skąpała. Ma to być na uroki środek niezawodny. Środek ten przedewszystkiem uczernił mnie, żem wyglądał niby węgiel w postaci nowonarodzonego dziecka. W chwili wydobycia mnie z kąpieli nadjechała pani Bentkowska, powracająca z Michalówki, z odwiedzin u ciotki mojej. Tam widziała chłopca prawie czarnego, tu zobaczyła

zupełnie czarnego. Wytłumaczyła sobie fenomen ten tak, że nastąpił on wskutek zapatrzenia się matek na murzyna, co wujowi memu lokajował. Tłumaczenie przeszło po okolicy w kurs, i przez czas jakiś brat mój cioteczny i ja uchodziliśmy za murzyniątka porody polskiej.

Chrzciny wyprawiono mi sute. Goście w połowie męskiej podochocili sobie. Wyjątek pod względem tym stanowił Sierzputowski, spowodu że wielki go przejmował frasunek. W pannie Kożuchowskiej się kochał, wzajemność panny posiadał: rodzice mu jej dać nie chcieli. Spowodu tego, uszedłszy z pośrodka ochocących się, usiadł przy łóżku matki mojej, obok kołyski, w której spoczywałem, i rozmowę prowadził. Wtem Biłgorajski, wuj mój, dobrze cięty wchodzi i do kołyski z rękami nastawionemi się pochyla.

— Bracie!... — matka moja na niego zawołała. — Co robisz?...

— Zdrowie chłopca pić chcemy... — odrzekł językiem, co mu się w gębie plątał.

— Ależ... nie... nie bierz!... dziecko śpi..., bracie! — prosić kobieta przestraszona poczęła.

Biłgorajski nie zważał na to. Ku kołysce się pochylał, za pieluchy imał, a na nogach się mocno trzymać nie zdołał. Groziło mi niebezpieczeństwo niemałe. Możeby nie upuścił, nie rozbił, ale — a nuż by mu na myśl przyszło winem mnie napoić! Byłoby to za wcześnie. Matka moja prosiła, zaklinała — nic nie pomagało. Już mnie imał, gdy Sierzputowski, z siedzenia wstając, ramię z gestem rozkazującym wyciągnął, na kołyskę wskazał i tonem nakazu do Biłgorajskiego przemówił:

— Weź go!...

— Co?... — ze zdziwieniem zapytał Biłgorajski, prostując się.

— Weź go!.. — powtórzył Sierzputowski.

— Rozkazywać mi tu chcesz?

— Weź go, powiadam ci!...

— Otóż... nie wezmę!... Hrm? jaki mi!...

Wyszedł. W sposób ten ochronił mnie od figurowania w gromadzie ochoczej Sierzputowski, który wkrótce potem pannę Kożuchowską wykradł i z nią się ożenił. Ojciec ją wydziedziczył; lecz po śmierci ojca bracia schedę siostrze co do

grosza wypłacili. Spomiędzy braci jej młody człowiek, rokujący nadzieje najpiękniejsze, Włodzimierz, zginął w pojedynku ze Stanisławem Denyską. Sierzputowski następnie awansował na generała. Jest to ten sam, co w wojnie r. 1853—56 dowodził naczelnie artylerją rosyjską. Jak się z tego, co powyżej, pokazuje, umiał rozkazów właściwie używać: zalety generalskie przejawiły się w nim w czasie chrzcin moich. Tego ojca mego chrzestnego widziałem później. Odwiedzał rodziców moich, kiedy był już, jeżeli się nie mylę, pułkownikiem. Miał orderów dużo, spomiędzy których zajmował mnie szczególnie jeden, zawieszony na szyi na wstędze czerwonej. W pamięci mojej Sierzputowski pozostaje w postaci człowieka poważnego, z czerwoną na szyi opaską.

Stał się tedy fakt w życiu mojem dla mnie bardzo ważny: urodziłem się. Wspomnieniami sięgam w dzieciństwo moje bardzo daleko; nie pamiętam atoli mego w Saracei mieszkania. Rodzice moi wyprowadzili się stamtąd, kiedym miał lat trzy i kiedy było nas już dwoje. Przybyła mi siostra, Bronisława. Jam przeto w Saracei i chodził już i mówił, i mógłbym przypominać sobie, jeżeli nie osobistości, to zdarzenia, jakie się tam przesunęły. A zaglądały tam osobistości wydatniejsze, jak np. Antoni Andrzejowski[1], który historję naturalną w Liceum Krzemienieckiem wykładał i parę wakacyj w Saracei spędził, zbierając zioła do zielnika, na podstawie którego wydał *Rys botaniczny*. Powinienbym przypominać sobie i księdza K. Komarnickiego, który siedział czas jakiś na probostwie w Rybnicy, tworzył wiersze po polsku i po rusku, i polował. Był to myśliwy zawzięty. Razu pewnego, gdy w jesieni późnej u rodziców moich gościł, znać dano, że na Dniestrze, który już lód był ściął, na oparzelisku stadko kaczek dzikich siadło. Usłyszawszy to, ksiądz za strzelbę i dalej, rewerendę zakasawszy i poleciwszy, ażeby jak skoro wystrzał słyszeć się da, z psami legawemi pośpieszyć. Po jakimś czasie wystrzał słyszeć się dał. Do rozporządzenia było dwa wyżły, jeden wielki, drugi mały. Że się wielki znajdował na podorędziu, z nim przeto i z gośćmi osób kilku udał się ojciec mój nad brzeg rzeki. Nad brzegiem stał ksiądz ze strzelbą w ręku, a na oparze-

---

[1] A. Andrzejowski, botanik, autor pamiętników: *Ramoty starego Detiuka o Wołyniu*.

lisku, otoczonem dokoła lodem szklistym, pływał duży kaczor podstrzelony. Pies, ażeby się tam dostać, przez lód przejść musiał.

— Pójdź dalej! — ksiądz do niego.

Wyżeł poszedł, kroków parę postąpił i wrócił. Instynkt samozachowawczy nie pozwalal mu ryzykować życia na lodzie cienkim, mogącym się pod nim załamać.

— Pójdź dalej... pójdź dalej...

Pies kręcił się, skomlił, próbował i odwazyć się nie mógł. Wzywanie, namawianie, głaskanie nie pomagały zgoła.

Stryj Erazm pośpieszył po małego.

Mały, jak skoro wezwanie usłyszał i ptaka zoczył, wnet ruszył, po lodzie ślizgając się przebiegł i w wodę skoczył. W wodę i do kaczora. Kaczor go skrzydłem chlasnął. On znów do niego — ptak go dziobem uderzył. Zawiązała się pomiędzy psem a ptakiem walka i walka ta żywo wszystkich, co na nią patrzyli, zajęła, szczególnie zaś księdza, który gorączki dostał.

— Pyf! Pyf!... — co chwila wywoływał głosem zmienionym.

Okrzyki wydawał, nogami tupał, pięści zaciskał i sam się na lód rwał, że go za poły przytrzymywać musiano. Walka trwała czasu sporo, zakończyła się atoli zwycięstwem psa. Wyżełek kaczora za skrzydło zębami chwycił, na lód z trudem niemałym wyciągnął i przyniósł. Ksiądz psa na ręce porwał, rewerendą osłonił, do piersi przytulił; ogrzewając go mocno zziębniętego ciepłem własnem, do domu z nim poszedł.

Ksiądz Komarnicki często w Saracei czytywał utwory swoje. Poezje jego nie dostąpiły zaszczytu druku i są, zdaje się, nie do odszukania. Szkoda! — Szkoda dlatego, że do epoki stanisławowskiej odnoszą się one, jak utwory Paska lub Wacława Potockiego, do epoki makaronicznej: pisane były nie wedle reguł retoryki oficjalnie uznanej. Ksiądz rymował nie dla druku. Rymy się mu układały same. Jadąc raz z Rybnicy do Saracei, zatrzymał się przy kapliczce ze statuą św. Mikołaja przy drodze stojącej i w skarbonkę zaopatrzonej, i ołówkiem na ścianie nakreślił:

Durno tu stoisz, Mykoło,
Teper w cilim switi hoło:
Lipsze idy do chaty,
Bo nema tobi szczo daty.

Niekoniecznie mile widzianym był w wyższych władzy duchownej sferach dla zasad liberalnych, jakie wyznawał i gło-

sił. Stąd probostw go często pozbawiano, na rekolekcje nawet skazywany bywał, — odsiadywał takowe i nie poprawiał się. Z Rybnicy na probostwo do Sawrania przeszedł; kapelanował przy Wacławie Rzewuskim (emirze). Szlachta go bardzo lubiła. Poznałem księdza Komarnickiego w Miaskówce, ale o tem później.

Z pobytu w Saracei wraziło mi się w pamięć jedno tylko zdarzenie, nic przez się nieznaczące. Przytoczę je jeno na świadectwo odległości, jakiej sięgają wspomnienia z lat dziecinnych. Pamiętam siebie na stole w Mołokiszu. Było to porą zimową. Rodzice moi do wyjazdu stamtąd się zabierali i w sali jadalnej futra przy pomocy gospodarstwa, państwa Bentkowskich, wdziewali. Mnie, celem okutania w okrycia ciepłe, ktoś z domowników na znajdującym się na środku stole okrągłym postawił. Ktoś zaproponował mi, ażebym na stole tym potańczył. Wzbraniałem się zapewne, albowiem dla zachęcenia mnie wyniesiono skrzypce, ojciec mój przy stole stanął i, jak w futrze niedźwiedziem był, tak zagrał. On grał, a jam tańczył. Scena ta stoi mi w pamięci, jakbym ją widział. Stół otoczony przez postacie stojące; przede mną ojciec w futrze, ze skrzypcami pod brodą i smyczkiem w ręku, uśmiechnięty i smyczkiem po strunach wodzący; ja pośrodku. Com i jak tańczył? — tego nie pamiętam. Miałem wówczas lat trzy najwyżej, dziś (1883) mam lat sześćdziesiąt. Przyjazd do Mołokisza, powrót do Saracei, pobyt w Saracei, wszystko to wpadło w otchłań zapomnienia, do której nie dostało się zdarzenie to jedno, jedyne. Ponieważ zdarzenie to tańca się tyczy, gdybym się był przeto na tancmistrza, na baletnika wykierował, posłużyćby mogło jako zaznaczenie powołania. Tak zaś pod żadną podciągnąć się nie da regułę. Jest atoli świadectwem odległości, na jaką sięgają wspomnienia osobiste ludzkie.

Saraceja, celem dokonania podziału pomiędzy rodzeństwem, sprzedaną być musiała. Nabył ją za sto tysięcy złotych matki mojej brat, Jan, a nabył ją wraz z matki mojej panną służącą, panną Honoratą, którą na ślubny poprowadził kobierzec. Jak się to stało, było to i jest dotychczas dla mnie tajemnicą. Zaślubiny poprzedzić musiał romans formalny, o którym wiadomość do mnie nie doszła. Fakt się dokonał i fakt ów w rodzinie Brudzewskich wywołał niezadowolenie

ogromne. Mezaljans ten, uważany za stokroć gorszy, aniżeli mezaljans, jakiego się dopuściła matka moja, uważany za wprost potworny, oburzył. Panna Honorata — nazwiska jej z niemiecka brzmiącego [1] nie piszę z obawy, ażebym go nie przekrzywił, — do szlachty się zaliczała: brat jej w gwardji w stopniu oficerskim służył i szlif generalskich się później dosłużył. Nie ważyło to jednak w oczach tych, co donaszali tytuły cześników, szambelanów i wgórę patrzyli. Rodzina z wujem Janem zerwała. Nie zerwała z nim wszakże matka moja — Honorcię bratową uznała. Za sprawą jej nawrócili się sczasem do niego jeden po drugim bracia, od Józefa zaczynając.

W Saracei przeto zamieszkał wuj Jan, który, nie wiem gdzie, przy mecenasie dependował i z prawem oznajomiony był. Tytułowano go sędzią, spowodu że w charakterze arbitra należał do kompromisu w sprawie czyjejś z Potockimi. Była to głowa otwarta, ale łeb przewrócony i przez zajączki zamieszkały.

Rodzice moi przenieśli się do Rybek.

W Rybkach upłynęło dzieciństwo moje, samo siebie już świadome, i dlatego szerzej nieco o wiosce tej pomówię.

Rybki leżą w tej Polski dawnej części, która nazwę Pobereża nosiła. Granice Pobereża nie miały oznaczenia ścisłego. Opierało się ono o hańszczyznę, a zatem na południu odgraniczała je rzeczka Kodyma, będąca prawobrzeżnym Bohu dopływem. Granica szła z jednej strony ku Dniestrowi, z drugiej ku Bohowi. Za oś niejako służył krainie grzbiet, dzielący w powiatach dzisiejszych olhopolskim i bałtskim dopływy Dniestrowe od dopływów Bohowych. Grzbietem tym idzie trakt zwany Szpakowym, a z północno-wschodniej pochyłości onego wypływa dwoma ramionami rzeczka Sawranka. Ramię lewe nosi nazwę Sawranki Czeczelnickiej, prawe prosto Sawranki. Źródła tej ostatniej znajdują się w jarze lasami porosłym i u tychto źródeł, w tymto jarze, na karczowisku założoną została przed laty osada, która, jak podanie miejscowe głosiło, nosiła pierwotnie nazwę Hrybek, od „hryby“ (grzyby). Musi to być prawda. Grzybów lasy rybeckie produkują [2] obfitość i rozma-

[1] Hejsman, jeżeli się nie mylę. (Nota T. T. Jeża).

[2] Produkowały, podobno bowiem lasów tych obecnie już niema. (Nota T. T. Jeża).

itość ogromną: produkują także i trufle, ale co się ryb tyczy, tych ani śladu, a to z tej racji, że sączący się przez wieś strumień latem wysycha i nie nadaje się nato, ażeby go zagroblić i, w staw a bodaj w stawek rozlawszy, zarybić. Wody mieszkańcom do picia, pojenia bydła i gotowania jadła dostarczają studnie (krynice) cembrowane, do prania zaś bielizny — kopanki płotem ogrodzone. Wioska rozrzuca się na dwóch pochyłościach, wspinając się na jednej ku lasowi, mimo którego przechodzi droga, łącząca Rybki z traktem, na drugiej ku polom, które lasy w dali wiankiem otaczają. Wioska stroną jedną wciska się niejako w parów lesisty, i w stronie tej za czasów moich znajdowało się chałup kilka, wysokiemi z ostrzeszkami płotami ogrodzonych, bardzo zasobnie wyglądających, przez szlachtę czynszową zamieszkałych. Chałupy chłopskie nie wyglądały też ubogo. Przy każdej widzieć się dawała zagroda, a w niej chlewy, szopy, tok, sadek owocowy i ogród warzywny. Z chłopów niektórzy hodowali frukta wyborne, a nie było ani jednego nieposiadającego bydła sztuk kilka rogatego lub nierogatego, drobiu i pasieki. Tej ostatniej nie posiadał rzadko który. Pola w stronę jedną ciągnęły się do lasu, w drugą rozlegały się za lasem nad traktem Szpakowym. Przez wioskę nie przechodziła komunikacja ważniejsza żadna, stąd też droga główna, co ją ze światem łączyła, odłamywała się od traktu Szpakowego, od karczmy, przy której w dniach pewnych jarmarki stawały, i od kołowrotu spuszczała się wdół, mimo smętarza na lewo i krzyża, co się na wzgórzu wznosił i nad całą panował osadą. Od kołowrotu zjeżdżało się w ulicę, co dołem wzdłuż strumienia przez wieś przechodziła. Na tej na lewo mijało się najprzód chałupy szlacheckie, dalej kuźnię, następnie dworek, położony wgłębi podwórza a przyparty do ogromnego sadu fruktowego. Za dworkiem, za sadem, droga się rozdzielała, jedna szła wprost, druga załamywała się w lewo i wspinała pod górę do drugiego kołowrotu, obok którego widzieć się dawał tok ze stertami, stodołą i spichlerzem, poprzedzony przez plac obszerny pusty, który za wygon służył, a na którym następnie stanął dom mieszkalny pokaźny. Plac ten stroną zewnętrzną przylegał do zabudowań gospodarskich, dwiema zaś innemi do dwóch ogrodów, do jednego, o którym wzmiankowałem powyżej, i drugiego, staczającego się w kotlinę,

w części jednej śliwkowego, w drugiej, o wiele większej, warzywnego. W tym ostatnim dołem sączyła się woda, dostarczana przez bijące powyżej nieco źródełko, i tworzyła strumień; za strumieniem wznosiło się lasem okryte wzgórze; obok wzgórza szmat znaczny pola zajmowały darniki, w których stała pasieka dworska; dalej pola uprawne, za polami lasy, — lasy dokoła. Gleba należała do rodzaju czarnoziemu, zmieniającego się w porę słotną w błoto niesłychanie grząskie. Położenie gruntów było niskie, skąd pochodziło, że mieszkańce woleli lata suche, aniżeli mokre.

Rybki cerkwi nie posiadały; posiadały jednak karczemkę, w środku wsi położoną, a służącą za mieszkanie rodzinie arendarskiej, co ją dzierżawiła dziedzicznie. Małżeństwo, przesiadujące w niej za moich czasów, nosiło imiona: on Moszko, ona Chaja. Otaczało ich potomstwo liczne.

Rybki wchodziły do składu majątków Lipińskiego, któremu, jeżeli się nie mylę, na imię było Fabjan. Mieszkał w Lubomirce, położonej nad Sawranką o mil kilka niżej. Ojciec mój, złożywszy schedę swoją z posagiem matki, wziął u niego wioskę prawem zastawniczem, to jest, trzymał ją za procent od kapitału wypożyczonego, z zastrzeżeniem bonifikacyj za meljoracje, jakieby poczynił. Wioska z wyjątkiem wody obfitowała zresztą we wszystko, zwłaszcza zaś w drzewo, którego było do zbytku. W lasach znajdował się kamień wapienny, więc wapno palono. Był to jedyny zakład przemysłowy, jaki w Rybkach funkcjonował. Zresztą nie było w tym rodzaju nic innego, chyba iżbyśmy do liczby zakładów przemysłowych dołączyli kuźnię, w której się podoski [1], zęby do bron i podkowy kuły, oraz krew puszczała i zęby rwały, czego wszystkiego dokonywał kowal pijak; jakoteż na słupie koło, na którem się kręciły skóry. Brak młyna czuć się dawał dotkliwie, ale okolica w młyny obfitowała.

Rozpatrzenie się w Rybkach wykazało ojcu memu osobliwość jedną, o której uprzedzonym nie był. Wioska ta stanowiła nie co innego, jeno kolonję złodziejską. W czasach, kiedy na prawach słobody jeszcze pozostawała, złodzieje się w niej osiedlali chętniej, aniżeli gdzieindziej, dla lasów, jarów

---

[1] Podosek, kawał żelaza, ochraniający oś drewnianą od tarcia piasty.

i ostępów, sprzyjających ukrywaniu zdobyczy. Nie ona zresztą jedna charakter ten posiadała. Tuż obok, u źródeł drugiego Sawranki ramienia położona Rozbójna tymże się odznaczała przymiotem, który w nazwie przechowała. Spośród złodziei i rozbójników tutejszych wyszedł Szpak, postać legendarna, od nazwiska której nazwanym został trakt przyległy. Od czasów Szpaka wody upłynęło dużo, mimo to charakter osad przechował się tradycyjnie — rzemiosło z pokolenia na pokolenie przechodziło i kwitło w najlepsze w chwili, kiedy ojciec mój wioskę we władanie wziął. Dotknęło go to niemile. Nie wiedział zrazu, jak poradzić sobie; po zastanowieniu jednak wpadł na myśl rozmówienia się z gromadą otwarcie. Zwołał więc ją i przemówił do chłopów, do serca i do rozumu zarazem, zapytując, co wolą: czy źle, czy dobrze z nim żyć?

— Mnie na złodzieja nie przerobicie... — tłumaczył im — będzie więc pomiędzy mną a wami niezgoda, na której ja wyjdę źle, ale wy jeszcze gorzej.... Chcecie niezgody?

— A niech nas Pan Bóg broni!.. — odpowiedzieli.

— Wstrzymajcie się zatem od złodziejstwa, bodaj na próbę, na tak długo przynajmniej, póki będziemy razem... Żyjmy ze sobą dobrze... po ludzku... po przyjacielsku... Jam człowiek taki jak wy, niechże nas nie różni to, żem nie złodziej, a wy złodzieje... Poradźcie się zresztą pomiędzy sobą i, jeżeli wola wasza, przyjdźcie i powiedzcie mi, coście uradzili...

Chłopi w dni parę później przyszli z oświadczeniem, że spróbować chcą i wytrwać w próbie solidarnie przyrzekają, z wyjątkiem, co się tyczy Ołeksy.

— Albo Ołeksa co?...

— On się z wami sam rozmówi... — była odpowiedź.

Ołeksa był to chłop lat za sześćdziesiąt, typowo piękny starzec białobrody, słuszny i krzepki, taki, co kosarzom przewodniczył, a w żniwa dziennie po półtory kopy stawiał, poważny, wymowny i zamożny. Odłączenie się jego w sprawie tej od solidarności gromadzkiej niedobrze wróżyło, zapowiadając przeciwdziałanie w sensie złodziejskim. Otwartość jeno dawała nadzieję niejaką. Niewiadomo zresztą było, co Ołeksa myśli. Obiecał przyjść wcelu rozmówienia się. Przyszedł.

— Cóż ty, Ołekso?...

— A cóż?... Nic, panie...

— Będziesz kradł?...

— Będę...

Ojciec mój jął mu przedstawiać i perswadować, odwołując się do praw ludzkich i boskich, do przepisów policyjnych i Dziesięciorga, do Sybiru i piekła: na nic się to wszystko zdało. Słuchał, wzdychał, głową wstrząsał, ale od postanowienia nie odstępował.

— Będziesz kradł?...

— Będę...

— Czemu?...

— Ano... Tak wypadło... Nie zmieniać się mi na starość..

— Właśnie dlatego, żeś stary, toś się zmienić powinien... Czy nie myślisz o śmierci i o tem, że staniesz przed sądem Najwyższego?

— To już tam Bóg miłosierny osądzi mnie, jak się Jemu podoba... Nie do mnie to należy...

— Od ciebie zależy grzechy zmazać...

— Cóż, kiedy nie mogę...

— Czemu?...

— Ciągnęło mnie i ciągnie...

Wyciągnąć go stamtąd sposobu nie było. Jedyne, jakie uczynił, ustępstwo na tem polegało, że mieszkańców Rybek oszczędzać obiecał. Niewielka to była pociecha. Przykład jego, ciągle działając, nie mógł wkońcu na gromadę nie oddziałać i w przyrzeczeniu jej najprzód szczerby czynić, następnie całkiem je obalić. Wobec perspektywy tej ojciec mój obmyślał sposoby neutralizowania wpływu Ołeksy, gdy wypadek z pomocą mu niespodzianie a spiesznie przyszedł. Wkrótce po rozmowie powyżej przytoczonej Ołeksa udał się do wsi sąsiedniej wcelu uprowadzenia pary wołów z obory pańskiej. Do obory wlazł, natknął się na wołu bodącego i ten tak go uderzył, że na miejscu zabił. Rzecz prosta, ze zdarzenia tego ojciec mój skorzystać nie omieszkał. Na chłopów wywarło ono wrażenie silne. Przyrzeczenia dotrzymali. Próba powiodła się tak dobrze, że od chwili tej z Rybek nie wyszło przez cały naszego we wsi tej pobytu czas złodziejstwo ani jedno.

Zdarzenie to, kto wie, czy nie wpłynęło na uregulowanie

pomiędzy gromadą a dworem stosunków, które się ułożyły i utrzymały bardzo pomyślnie ku zupełnemu stron obydwóch zadowoleniu. Było to zadanie niezbyt w czasach owych łatwe. Prawo uzbrajało szlachtę w prawo chłosty, ograniczone jeno we względzie życia poddanych. Wolno ich było bijać, co wlezie, byle nie zabić. Trzeba nie znać natury ludzkiej, ażeby myśleć, że łatwo miarkować się, gdy się wolność podobną posiada. Ojciec mój miarkować się umiał, bicia absolutnie sobie zabronił i zakazu tego nie złamał nigdy, jak długo w Rybkach pozostawał. Zadanie ułatwiała ogromnie bezpośrednia z chłopami styczność. Ekonoma nie trzymał. Zarząd cały ekonomiczny składał się z niego samego i z leśniczego: sam dyspozycje dawał, regestry utrzymywał, robocizn dozorował i miał do pomocy gumiennego, ekspodoficera od ułanów, nazwiskiem Domański, obok którego funkcjonował karbowy. Rybki — wieś mała — dopuszczały takiego administracji uproszczenia. Nie było ani dziesiętników, ani esaułów: pańszczyznę zapowiadał Domański, odbierając dyspozycje zwieczora, gdy klucze przynosił i na kołku je wieszał. Włościanie mieli do ojca mego przystęp o każdej dnia porze; przychodzili często i odbywali z nim długie nieraz narady, tyczące się spraw gospodarskich; niekiedy sądzili się w zajściach, jakie się pomiędzy nimi trafiały; niekiedy do sądu ojca mego odwoływali się w sporach, poza sferę chłopską wychodzących. Jeden ze sporów tego rodzaju w pamięć mi się wbił spowodu definicji szlachectwa, którą po raz pierwszy w życiu usłyszałem. Ojciec mój sprawę jakąś pomiędzy szlachcicem a chłopem na korzyść tego ostatniego rozstrzygnął. Szlachcic — był to szlachcic czynszowy, którego syn, Janek, funkcję furmańską we dworze pełnił, — obrażony się uczuł, do ojca mego przyszedł i głośno a dosadnie mu wyrzuty czynił, jako stronę szlachecką zdradza.

— Kiedyżeś ty zawinił... — perswadował mu ojciec.

— Alem ja szlachcic!..

— Szlachcicem jest nie ten, co się szlachcicem urodził, ale ten, co szlachetnie postępuje.

Miałem wówczas lat 5—6; zastanowiło mnie to spowodu, że sprawa interesowała furmana, który, jako przełożony nad stajnią i końmi, był przeze mnie cenionym wysoko, bardzo przeto pragnąłem, ażeby ojciec jego sprawę wygrał. Nie pamię-

tam, o co chodziło. Pamiętam jeno postawę szlachcica starego, na wyrok oburzonego i takowemu złorzeczącego, uniesienie gniewne ojca mego i odpowiedź jego, która mnie uderzyła. Powziąłem o szlachectwie pojęcie pierwsze głębsze, do momentu bowiem onego pojęcie polegało całkowicie na różnicy, jaka się w oczy rzucała. Szlachcice wyglądali inaczej aniżeli chłopi.

Rodzice moi sprowadzili się byli początkowo do dworku nadole. W dworku tym wspomnienia moje najdawniejsze odnoszą się do świąt Bożego Narodzenia. Pamiętam święta te dobrze. Mieliśmy gości. Przyjechała ciotka Jeleńkowska z synem Juljuszem, o lat jedenaście ode mnie starszym. Zdaje się, że były i panny, siostry moje cioteczne. Brat zachwycał mnie — nie odstępowałem go i nie mogłem się dosyć na niego napatrzyć. W domu naszym znajdowało się podówczas pism kilka, a mianowicie: *Momus* Żółkowskiego i *Brukowe Wiadomości* z winietą, przedstawiającą szlachcica na łopacie. Ojciec mój głośno ustępy odczytywał — słuchacze się śmieli. Jam czytać jeszcze nie umiał, niemniej atoli w słuchaniu udział brałem i podzielałem wesołość, jaką wywoływały koncepty humorystów. Szlachcic na łopacie zajmował mnie ogromnie, ale zajęcia szczególnego przedmiotem były święta: wigilja, snop zboża w kącie, stół sianem okryty, strucle, pierożki, knyszyki, kutja, wymiana wieczerzy pomiędzy gospodyniami wiejskiemi a dworem, nadewszystko zaś kolendy, — kolendy, które chłopcy i parobcy pod oknami wyśpiewywali, wywołując za strofą każdą: „Oj daj Boże!“, i kończąc odśpiewanie każde okrzykiem: „Światy weczir, dobry weczir, a wsim ludiam na weś weczir!“. Od okien oderwać mnie nie można było. Wsłuchiwałem się, usiłując wyrazy podchwytywać, i wpatrywałem się przez szyby w ciemne tło nocy, na którem pokazywały się mi postacie chłopców od zimna skulonych, z rękami w rękawy pochowanemi. Widzę ich dziś jeszcze.

Potem we wspomnieniach moich zachodzi przerwa, aż do przyjścia na świat brata mego Józefa, dnia 19 marca 1828. Ojciec mój pojechał był do Kijowa na kontrakty i nadjechał bodaj czy nie w tymże dniu. Były to imieniny jego. Brat mój, którego przyjście na świat poszło na rachunek wiązania solenizantowi, dostał na chrzcie imię, które przyniósł sobie. W roku

tym w marcu śniegi leżały jeszcze. Topnienie takowych nastąpiło w sposób gwałtowny. Naraz nagle mrozy zelżyły i wody ruszyły; strumień rybecki w rzekę się wydął; lasy napełniły się szumem i hukiem. Trwało to przez dni kilka. Z domu się ruszyć nie było można, najprzód dla wód, następnie dla błota, w którem koła po osie grzęzły. Było to najpierwsze moje świadome spotkanie się z wiosną. Czyniłem spostrzeżenia. Zajmowały mnie wielce potoki: pomniejsze próbowałem zatrzymywać grobelkami, do stawiania których używałem błota i kamyków; dopomagały mi w tem dzieci wiejskie, chłopcy i dziewczęta, bieglejsze w robocie tej aniżeli ja. One młynki nawet stawiały, czego ja dokazać nie mogłem. Zajęcie to jednak ustać musiało, wody bowiem spłynęły, — zazieleniało, zapachło; teatrem wycieczek moich stał się ogród, który zbiegiwałem wszerz i wzdłuż, zgóry nadół i zdołu dogóry, zaznajamiając się z osobliwościami, jakie co chwila odkrywałem. A osobliwością było wszystko: trawy, zioła i kwiaty, które pomiędzy wiśniami i czereśniami rosły, pokrzywy, łobody, łopuchy i inne chwasty, które przypłocia i zapuściska okrywały, listki, jagódki, gałęzie, szramy na korze drzewnej, mchy, narośla i klej, który mi się do jedzenia ogromnie smacznym wydawał. Niemniejszą osobliwością były wszelkie pełzające, chodzące i latające stworzenia: robaczki, żuczki, żuki, muszki, muchy, gąsienice, motyle, myszy, łasice, ptaszki, ptaki, wszystko, — wszystko, co się pod oczy nawijało, co się przesuwało i przelatywało, co brzęczało i śpiewało. Za wszystkiem tem czyniłem poszukiwania ustawiczne po ogrodzie, do którego ciągnęła mnie jeszcze osobliwość jedna — okolicznościowa. Ścieżką zdołu dogóry szło się na tok, a pod tokiem stawiał się dom nowy. Przy domie pracowali cieśle i mularze. Fabryka nęciła mnie. Uwijałem się pomiędzy belkami i wiórami, przypatrywałem się ciosaniu, struganiu, świdrowaniu, heblowaniu, stawianiu ścian, wciąganiu belek i krokwi, zaglądałem ciekawie wszędzie, wglądałem natrętnie we wszystko i dopuszczałem się niekiedy zbytków, mogących mieć następstwa smutne. Jednym ze zbytków tego rodzaju był następujący. Wynalazłem sposób dostania się na dach dworku starego. Na dach nie ciągnął mnie interes najmniejszy. Wlazłem jednak, oddołu posuwałem się ku grzbietowi i kiedym się ku kominowi zbliżał, trafiłem na dziurę, oparcia mi

pod nogami zbrakło — przez dach się przewaliłem. Stało się to nad sienią, nad którą sufitu nie było. Gdybym był spadł, złamanie ręki lub nogi, a może nadkręcenie karku było następstwem prawdopodobnem. Na szczęście, przewalając się przez słomę, uspiałem rękami za krokiew się schwycić — w powietrzu zawisłem i wrzeszczeć począłem. Na wrzask mój wybiegła babunia. Przeraziło ją położenie moje; w przerażeniu atoli przytomności umysłu nie straciła — wnet skoczyła i piernat wywlokła. Ona i służące znosiły pośpiesznie piernaty i poduszki, ułożyła się z tego wnet kupa wielka, i jam na tę kupę bez szwanku spadł. Zbytków podobnych dopuszczałem się niemało. Łaziłem po płotach, słupach i drzewach. Na pochwałę jednak swoją powiedzieć muszę, iż nie obarczyłem sumienia mego żadnem gniazdkiem wydartem, pomimo że chłopcy wiejscy, od których się odzieżą niewiele różniłem i jak oni boso chodziłem, stanowili zwyczajne towarzystwo moje. Skąd powściągliwość ta co do gniazd pochodziła? — nie wiem, — może z obawy ojca, któregom się lękał ogromnie. Lękałem się go i kochałem; z matką byłem na stopie poufałości zupełnej; orędowniczką zaś moją szczególną była babunia, ojca mego ciotka, która mnie pacierza uczyła i za pacierz grzecznie odmówiony przysmakami wynadgradzała: rano bułki lub obwarzanka kawałeczkiem, w kawie umaczanym, wieczorem czemeś, co pod poduszką, jako przez Bozię niby włożone, znajdowałem. Dzięki niekoniecznie na uznanie zasługującej metodzie wynadgradzania odmawiałem pacierz regularnie i grzecznie i zapytywałem niekiedy babuni o Bozię. Do niej się szczególnie z zapytaniem tem zwracałem, miałem ją bowiem we względzie tym za specjalistkę: słyszałem ją pacierze odmawiającą i widziałem czytającą w grubej, zatłuszczonej i tasiemką związywanej książce do nabożeństwa. Rodzice moi nie oddawali się praktykowaniu nabożeństwa w sposób taki, ażeby mi to w oczy wpadało. Do stołu siadając, żegnali się — oto było wszystko. Bibljoteka ich nabożna składała się z jednej książeczki, w safjan ciemnofioletowy oprawnej i złotobrzeżnej, która w szafie spoczywała, starannie przechowywana, a rzadko wydobywana. Toż samo tyczyło się obrazów na ścianie i znaków, które wierni na sobie noszą. Ściany zdobił obraz jedyny olejny na płótnie, głowa Chrystusa. Na odwrotnej obrazu tego stronie napisano, wyżej:

A. D. 1705; niżej zaś ojciec mój ręką własną dodał: „Leonardo de Vinci“, — i dalej: „Obraz ten Pana Jezusa, dopóki nazwisko Miłkowskich na świecie będzie, oby w domu najstarszego z familji był zachowany i szanowany. Dnia 1 listopada 1822 roku. Józef Miłkowski“. Wisiał on nad łóżkiem ojcowskiem. Pozatem ściany zdobiły obrazy świeckie. Babunia nosiła na sobie szkaplerze. Na ojcu moim i matce nie widziałem ani szkaplerza ani medalika; o medalikach, dopóki do szkół nie poszedłem, wyobrażenia nie miałem. Nie idzie za tem, ażeby się w domu naszym praktykowała antyreligijność. Bynajmniej. Rodzice moi dla religji całą zachowywali poszanę: do kościoła niekiedy jeździli; w domu naszym msza się od czasu do czasu w obrządku unickim odbywała; kwestarze, przyjmowani gościnnie, nie odjeżdżali z rękami próżnemi; gdy się trafił ksiądz obrządku czyto rzymskiego, czy wschodniego, okazywano mu uprzejmość jednakową, tak żem ja pomiędzy obrządkami nie widział i nie rozumiał różnicy innej, jeno tą, co się w oczy rzucała. Nie wiedziałem nawet, żem katolik. Z babunią pacierz odmawiałem i od niej się dowiadywałem, że Bóg stworzył świat i wszystko, co na świecie jest, że był On zawsze, jest i będzie, że się znajduje wszędzie i na każdem miejscu, wszystko widzi i słyszy, i zna największe serc ludzkich skrytości. Gdym o wiadomościach tych rodzicom mówił, oni je potwierdzali. W sposób ten w dziecinnym umyśle moim i w sercu szczepiły się zasady, których podkład stanowił deizm — rodzaj religji naturalnej, której babunia akcent nadawała pamiętliwością o pacierzu.

Dom nowy budował się i stanął w ciągu roku 1828. Zanimeśmy się do niego sprowadzili, trapiły rodzinę naszą choroby. Najprzód zapadł ojciec na reumatyzm, z którego leczył się i wyleczył wedle rady Michałka, lekarza samouczka, który pod Machnówką mieszkał i sławę ogromną uzyskał. (Michałek ów zwał się Wojciechowskim, studjował medycynę w Wiedniu i udawał samouka, dla zrobienia sobie wziętości. Sztuka udała mu się w zupełności, umarł człowiekiem bardzo bogatym). Leczenie polegało na wkładaniu nogi chorobą dotkniętej w worek, napełniony zrywanym z rosą przed słońca wschodem liściem brzozowym, i trzymaniu jej w worku aż do rozgrzania. Następnie zachorowała matka moja. Ojciec sprowadzał do niej

lekarza dra Uszczapowskiego z Bałty; ten leczył ją metodą homeopatyczną. Z metodą tą łączył się w czasach owych zakaz wszelakich zapachów. Ojciec mój fajki nie kurzył, póki matka do zdrowia nie powróciła. Gdy ona wyzdrowiała, zachorowałem ja, i w czasie, kiedym chorował, wypadła matce potrzeba jechania do ciotki Jeleńkowskiej, mieszkającej pod Humaniem, we wsi dziś nieistniejącej, zwanej Tańskie. Z Rybek do Humania liczyło się mil dwanaście. Podróż zabierała czasu dni dwa najmniej, — stanowiła wyprawę całą: jechało się nie inaczej, jak z pościelą i prowizją, na drodze bowiem, po zajazdach w miasteczkach Berszadzie i Ternówce, jakoteż po karczmach wiejskich, nie było ani na czem się przespać, ani co jeść. Matka przeto na tydzień przynajmniej opuszczała dziecko chore. Przyszła pożegnać się ze mną. Spałem; obudziłem się jednak w chwili, kiedy przy łóżeczku mojem uklękła, i wysłuchałem modlitwy jej, którą ona w głos wypowiedziała. „Boże — mówiła — zachowaj mi go przy życiu, jeżeli ma na dobrego wyróść człowieka; zabierz go, jeżeli ma być złym“. Słowa te w pamięć mi się wryły, tak że dziś widzę matkę moją klęczącą i słyszę ją mówiącą. W pokoju nie było tylko nas dwoje. Domownicy czekali na nią na ganku, przed którym stał powóz zaprzężony. Z klęczek wstała, ucałowała mnie, przeżegnała i odeszła. W podróż ze sobą zabrała dzieci dwoje: siostrę moją i brata, — tego ostatniego przy piersi. Byłbym pojechał i ja, gdybym był zdrów. Musiało się to dziać pod jesień i w czasie nieobecności matki mojej nastąpić musiały przenosiny z domu starego do nowego. Nie pamiętam tego. Z czasu przenosin nie przechowałem wrażenia żadnego. Wspomnienia moje przechodzą do domu na podmurowaniu, o oknach dużych, z gankiem, na który się wchodziło po schodkach. Z sieni troje drzwi prowadziło: na prawo do pokojów matki, których było dwa, na lewo do pokoju ojca, zwanego kancelarją, nawprost do sali jadalnej, za którą w rogu domu znajdował się pokój bawialny. Z sali na lewo wychodziło się na korytarz, który wyprowadzał na ganek boczny, a miał drzwi kilkoro: jedne do spieżarni ze schodami na strych, drugie do piekarni, trzecie do kuchni. Rozkład ten, przez ojca samego nakreślony, nie był koniecznie wygodny: zalecał się tem jeno, że kuchnię, piekarnię, spieżarnię i część mieszkalną pod jednym mieścił dachem;

nie posiadał jednak garderoby dla posługi żeńskiej, ani izby oddzielnej dla męskiej; służba przeto płci męskiej wynosić się musiała na noc do domu starego, o całą długość ogrodu oddalonego; służba płci żeńskiej sypiała w piekarni. Dom stary dostał nazwę folwarku; przy nim znajdowały się stajnie, obora, chlewy, kurniki i piwnica; babka, która nabiałem szczególnie zawiadywała, zmuszoną była chodzić zgóry nadół i zdołu dogóry. Kobiecie starej i ciężkiej nie przychodziło to z łatwością. Mieszkała i tu i tam; w domu nowym zajmowała pokój obok pokoju matczynego; z matką i babką mieściły się dzieci, z których jedno, gdy lat dwóch, trzech dochodziło, ojciec brał do siebie.

Pobyt w domu nowym upamiętnił się mi przedewszystkiem wspomnieniem pierwszego święconego w nim Nowego Roku. Służba folwarczna, jak zwyczaj miejscowy nakazuje, przyprowadzała kolejno wołu, jałówkę, konia; ze stadniny przyprowadzony został konik kary, łoszak, urodzony w roku zeszłym. Konika tego ojciec mi na gwiazdkę podarował. Radość moja granic nie miała. Gwiazdkowy podarunek stał się przedmiotem snów moich nocnych i rojeń na jawie. Było to w r. 1829. Liczyłem już lat pięć i już się mi roiło. Siostrze mojej opowiadałem o koniku tym i o sobie, wedle zasłyszanych jazdy konnej wypadków, łącząc takowe ze zdarzeniami z życia wojskowego, o których ojciec od czasu do czasu opowiadał, jakoteż z czynami nadzwyczajnemi, które do wiadomości mojej dochodziły za pośrednictwem kazek, opowiadanych przez niańki. Powieściopisarski mój talent czepiał się wytycznych, jakie się mi pod rękę nawijały, i snuł się na nich nakształt pajęczyny. Gdybym był zostawiony samemu sobie, byłbym się zapewne wykierował na jednego z naratorów, dzięki którym kształtuje się literatura ustna ludowa. Konikowi memu dokonywać kazałem rzeczy nadzwyczajnych: biegania na wyścigi z wiatrem, skakania przez góry, przepływania morza; zaopatrywałem go nawet w skrzydła, sam zaś na nim dokazywałem z pałaszem w ręku rzeczy niestworzonych, podając to wszystko nie jako czyny dokonać się mające, ale dokonane. Siostra, dziewczynka trzyletnia, słuchała i wierzyła temu. Szło to *crescendo*. Ochota komponowania zdarzeń niebywałych wzmagała się we mnie z latami w wieku dziecinnym.

Wypadki rzeczywiste układały się inaczej. Nie potrafię powtórzyć ich w porządku chronologicznym, powtórzę więc tak, jak się we wspomnieniach moich budzą.

Grono nasze domowe pomnożyło się przybyciem dwóch sióstr moich ciotecznych, Idalki i Józi Jeleńkowskich. Ciotka z dwiema córkami starszemi i z synem jeździła zagranicę, do Karlsbadu, modnego podówczas w sferze szlachty zamożnej, i na czas nieobecności swojej u nas dzieci młodsze zostawiła. Idalkę ojciec mój odwiózł na pensję do Winnicy, gdzie umieścił ją u pani Gutowskiej czy Gutkowskiej. Józia, o rok ode mnie starsza, nie kwalifikowała się jeszcze do edukacji szkolnej; przywiozła ze sobą elementarz, *Wiązanie Helenki* i *Pamiątkę po dobrej matce*[1], z matką moją czytywała, i bodaj czym przy okazji tej abecadła nie poznał. Nie przypominam sobie, ażebym się abecadła specjalnie uczył kiedy. Józia czytała; jam się przypatrywał i przysłuchiwał zboku, i przychodziły mi do głowy nocje najpierwsze o nauce, o nauczycielach, o szkołach.

Latem zjechało się do nas ludzi dużo obcych. Byli to z Humania i Winnicy członkowie ciała nauczającego, którzy do Rybek na wakacje ściągnęli. Postacie ich przedstawiają się mi mętnie. Widzę je jeno przy stole — osób kilkanaście płci obojej; było i dzieci kilkoro: rodzice moi podejmowali grono to gościnnie. Panie sypiały w domu, mężczyźni w stodole, na sianie. Towarzystwo odbywało przechadzki po lasach, w których się znajdowały polany rozkoszne i ustronia dzikiego wdzięku pełne. Zbierano poziomki i grzyby. Przy stole zazwyczaj zawiązywała się dyskusja w kwestji tej lub innej. Dwie materje w pamięci mi utkwiły: spór o Balzaka i spór o jotę. Czemu, nie umiejąc jeszcze czytać ani pisać, a zatem nie interesując się zgoła Balzakiem i jotą, zapamiętałem te, nie zaś inne szczegóły, na to odpowiedzieć nie umiem. Nie wiem nawet, o co chodziło. Wiem tylko, żem w kwestji joty za jotą był, a to dlatego, że się za nią ojciec mój oświadczał. Musiała się dyskusja ta wznawiać często, albowiem przez mgłę czasu widzę ją niejako. Widzę przy stole gości dużo, spożywających chołodziec, pieczeń huzarską, kurczęta z sałatą, pierogi ze śmietaną, i zawiązujących

---

[1] Książki Klementyny z Tańskich Hoffmanowej.

dyskusję. Jedzą i rozprawiają. Obiad się kończy, od stołu wstają i dalej rozprawiają. O uszy mi obijają się dwa wyrazy: Balzak i jota, z których jeden lub drugi stanowi przedmiot sporu żywego. Ten się unosi, ów gniewa. Powtarza się to dzień po dniu przez miesiąc cały — dłużej może.

Z wakacyj owych pozostały mi jeszcze wrażenia kwartetów, gry solo na skrzypcach ojca mego, który świetnie egzekwował polonezy Ogińskiego, i gry na gitarze jegomości jakiegoś z Humania, nazwiskiem Korytowski, Koryciński, Korytkowski, czy coś podobnego, który grał i malował. Do grania zasiadał wieczorem na ganku; wszyscy się usuwali; on pozostawał sam i dopóźna w nocy rzucał na echa leśne tony, któremi zachwycał rozlokowanych opodal nieco słuchaczy. Obecność ludzi grać mu przeszkadzała. Wakacje podobne powtórzyły się jeszcze w roku następnym. I już się nie powtarzały więcej.

Odbyłem podróży kilka.

Z matką jeździłem do Tańskiego, do ciotki Jeleńkowskiej na św. Katarzynę (było to imię młodszej z dwóch jej córek starszych), na bal. Na bal ów zjechała się humańszczyzna cała. Osób mnóstwo. Tańce do rana. Ciotka trzymała dom otwarty na stopie pańskiej prawie. Służby huk, lokaje stopni rozmaitych, fraucymer liczny, kucharz doskonały, piwnica pełna. Po balu zostało jeszcze osób dużo. Przypominam sobie przejażdżkę konno, w której udział wzięło kawalerów kilku i amazonek kilka. Panie na koniach były dla mnie widowiskiem nowem.

Z rodzicami obojgu jeździłem do ciotki innej, Biłgorajskiej, siostry ojca mego. Podróż ta tem się mi tylko zaznaczyła, że się odbyła saniami i że w Dojbanach, wsi, w której ciotka Biłgorajska część na własność posiadała, słomą w piecach palono. Przebywał tam na rezydencji szlachcic jakiś, który na teorbanie grał i który mi przepowiadał, że biskupem zostanę. Jam się od tego wymawiał — biskupem być nie chciałem, pomimo że szlachcic ów dowodził, że nic nad to lepszego być nie może.

— Spokój, ludzie szanują i wyżerka dobra...

Najpamiętniejszą atoli pozostała mi podróż do Saracei, która miejsce miała w porze roku zwanej babiem latem. Do Rybek przyjechał był wuj Józef Brudzewski: odwiedził siostrę i odwiedzić zamierzał brata, Jana, co w Saracei, w charakterze pana

i dziedzica, gospodarował. Rodzice mu mnie dali. Ruszyliśmy bryką krytą na resorach, zaprzężoną czterma tęgiemi końmi i obsługiwaną przez dwóch ludzi. Podróż szła nam gładko, aż trafiło się nieopodal od drogi dropi kilka. Wuj, jak skoro je zoczył, do strzelby, na cel wziął, strzelił i podstrzelił jednego. Drop podstrzelony umykać piechotą począł. Wuj z bryczki zeskoczył, za ptakiem w pogoń się puścił, utknął i nogę złamał. Na krzyk jego podbiegł lokaj. Okaleczonego przyniósł, na bryce ulokował, i ruszyliśmy dalej. Dalszy ciąg podróży źle poszedł. Wuj Józef jęczał. Dowlekliśmy się do Saracei, chorego zniesiono i natychmiast posłano, nie po lekarza, któregoby potrzeba było aż z Bałty o mil pięć sprowadzać, ale po kostoprawa, chłopa prostego, który przybył nazajutrz, nogę opatrzył, złożył, obandażował i ciepłą kaszą jęczmienną okładać kazał.

Spowodu choroby wuja Józefa pozostawałem w Saracei dłużej, aniżeli pozostawać miałem. Zabawiliśmy tam ze trzy tygodnie. Pobyt ten podobał mi się ogromnie. Podobały mi się szczególnie gruszki smażone, któremi mnie ciocia Honorcia częstowała. Wuj Jan brał mnie ze sobą na przechadzki; chodziłem z nim po jarach, gdzie on kamieni rodzaju pewnego poszukiwał, na tok, gdzie się odbywało młócenie zboża, i po chatach włościan, z którymi się obchodził po przyjacielsku. Człowiek ten miał ideje pewne. Nie przyznawał panom prawa posiadania chłopów na własność, to jest nie uznawał prawa poddaństwa i faktycznie uwolnił poddanych swoich. Uwolnił ich i uwłaszczył — ot tak, samowolnie, nie mógł bowiem uczynić tego inaczej, spowodu, iż sprzeciwiały się temu prawa, przestrzegające surowo utrzymania stosunku poddańczego. Wuj Jan pańszczyzny nie wymagał i pańszczyzna *de facto* w Saracei ustała. Gospodarstwo prowadził przy pomocy robocizny najmowanej, ale bez ładu, skąd powstawały niedobory, które go nie obchodziły, a które zwiększało jeszcze i to, że zrzekłszy się pańszczyzny, zrzekł się przytem i dochodów z propinacji, — karczmę skasował, zaprowadzając na miejscu jej gospodę bez napojów rozpalających. Zaprowadzenia tego następstwem było wypędzenie żydów z majątku. Do gospody zachodził często, z chłopami zasiadał i gawędki z nimi toczył. Gdy który z poddanych saracejskich w świat ruszyć chciał, wydawał mu bez trudności najmniejszej pozwolenie od ekonomji, które w w czasach owych miało znaczenie paszportu formalnego. Pasz-

porty tego rodzaju wydawał nietylko poddanym saracejskim. Udzielał je każdemu, kto się do niego zgłosił, dopuszczając się w ten sposób przewidzianego kodeksem występku, który pociągał za sobą karę pieniężną, zwaną „sztrafem“. Sztrafy się posypały i obarczały majątek długiem skarbowym, a dług ów wciąż narastający, w połączeniu z wynikającemi ze złego gospodarowania niedoborami, urabiał stan interesów opłakany. Nie martwiło go to zgoła, pomimo że o tem wiedział. Swoje robił. Gospodarował zapomocą najmu i paszporty wydawał poddanym cudzym i włóczęgom (burłakom) wszystkim, licznym bardzo na pograniczu Besarabji, która służyła za upływ dla zbiegów z Podola i Ukrainy od pańszczyzny i bata. Żył przytem bardzo skromnie, nie pozwalając sobie na zbytek w żadnym względzie, z wyjątkiem chyba we względzie książek, które kupował i rad czytywał. I w tem jednak ładu nie było. Książki kupował, odczytywał i rozdawał, o zwrot się nie upominając. Nie wypuszczał z rąk książki jednej tylko, a tą było dzieło księdza Krzysztofa Kluka p. t. *Rzeczy kopalnych osobliwie zdatniejszych szukanie, poznanie i zażycie*. Gdy go ci, co z nim poufale żyli, upominali, że majątek do ruiny prowadzi, uśmiechał się i odpowiadał:

— Ruiny Saraceja nie dopuści...

Mówił to z pewnością całą, a pewność czerpał w znajdowanych w ilości wielkiej na gruntach Saracei kamieniach, wydających połysk złoty i srebrny. Kamienie te, należące do gromady minerałów, znanych pod nazwą łyszczaków (mika), zawierały w sobie, według wuja Jana, złoto i srebro. Dowód na to znajdował w dziele księdza Kluka i wierzyć nie chciał ludziom, co mu powiadali, że się myli. Nie przekonała go nawet analiza, dla której później kamienie te do Kijowa posyłał. Ksiądz Kluk był dla niego wyrocznią, zapewniającą mu skarby niewyczerpane, wobec których — cóż znaczyły niedobory w gospodarstwie i sztrafy, obciążające mająteczek! Na skarby przeto oczekiwał i skarbom tym zgóry dawał przeznaczenie, tyczące się dobra powszechnego.

Był to człowiek w gruncie bardzo szlachetny, ale oryginalny, spowodu, że umysł jego podlegał nierównowadze, która go wkońcu do nieszkodliwego nikomu, tylko jemu samemu, obłąkania doprowadziła. Postać jego w oczach mi stoi. Wzrostu średniego, grubokościsty, w ramionach szeroki, twarzy dużej i pogodnej, czoła wysokiego, ubranego w ramy ciemnopłowych,

krótko przystrzyżonych włosów i oświeconego parą dużych, jasnobłękitnych, łagodnie patrzących oczów; brodę i wąsy golił; za odzież służył mu kubrak szary po kolana, niezwracający na siebie uwagi niczem osobliwem; głowę dużą i kształtną przykrywał latem prostym, chłopskim, słomianym kapeluszem, zimą czapką barankową; w wyrazie ogólnym oblicza miał coś pociągającego i dobrotliwego, nacechowanego spokojem, którego nic zachwiać nie zdołało. Wuj Jan nie gniewał się nigdy, ani nawet w razach, gdy się dopuszczał czynu gniew znamionującego[1].

Naprzykład.

Ponieważ burłakom paszporty wydawał, więc też ich u siebie przyjmował. Z racji tej urząd miał go na oku i usiłował pojmać na uczynku gorącym. Sposobność do tego nadarzyła się razu pewnego w czasie wozowicy. Robotnicy, co snopy wozili i sterty układali, wszyscy co do jednego byli burłacy. Kiedy śród nich wuj Jan na toku się znajdował i robocizną rozporządzał, nadjeżdża „zasidatel“ i pojawia się obok niego niespodzianie.

— Uszanowanie moje, panu sędziemu dobrodziejowi...

— Sługa najniższy...

— A co to za ludzie na toku?...

— Ludzie... no...

— Chciałbym się rozmówić z nimi...

— Oni do rozmowy z tobą czasu nie mają...

— O!.. — zasidatel na to. Ja tam ich o czas pytać nie będę...

— Nie będziesz?... To dobrze... Ale ja się pierwej sam rozmówię z tobą...

To rzekłszy, lewą ręką ujął silnie — a silnym był bardzo — zasidatela za rękę, prawą laskę sękatą, z którą zazwyczaj chodził, dogóry podniósł i na uda mu spuścił. Zrobił to raz, powtórzył i, puściwszy ciekawego do rozmowy gościa wkółko, powtarzał podnoszenie i spuszczanie laski razporaz

---

[1] Zanotować muszę osobliwość jedną. Gdym się po raz pierwszy z Bolesławem Prusem (Aleksandrem Głowackim) zeszedł, na widok jego drgnąłem, jakbym się nagle znalazł wobec wuja Jana zmartwychwstałego — takie między nimi zachodzi podobieństwo: ten sam wzrost, takie same wiązanie szkieletu, ten sam przy podobieństwie rysów wyraz oblicza i wejrzenia, takie same gesty i ta sama o dobro powszechne troska. (Nota T. T. Jeża).

tak długo, aż sam zauważył, że już tego dosyć. Rzecz naturalna, zasidatela rozgniewało to bardzo. Z toku wściekły wybiegł, do wózka wskoczył i kazał się wprost do Bałty wieść. Wkrótce po odjeździe jego wuj Jan, zmiarkowawszy, że nastąpi skarga, a ze skargi wywiąże się proces, do wózka sobie zaprząc kazał i do Bałty, celem zapewne rozmówienia się w sprawie tej z adwokatem, się udał. Jedzie i na drodze dopędza zasidatela, któremu pośpiech na złe wyszedł, albowiem mu oś u bryczki pękła. Wuj Jan zatrzymał się.

— A co to?...

Zasidatel nie odpowiadał.

— Oś, jak widzę, asanu pękła... Ano... hm? Wypadek. Wypadki rozmaite ludziom się zdarzają... Ot, siadaj asan ze mną, pojedziesz, a pachołek ci wózek przyciągnie...

— Nie... — zasidatel na to.

— Nie bądź kpem, z przeproszeniem... Siadaj... pogadamy.

Po wahaniu się niejakiem zasidatel koniec końcem namówić się dał i gdy obok wuja Jana miejsce zajął, ten po wstępie krótkim wspomniał mu o plastrze i o nawiązce na takowy.

— O tem słuchać ani chcę...

— Więc cóż myślisz?... — wuj Jan zapytał.

— Skarżyć będę...

— O co?...

— Jakto o co!.. — zawołał oburzony.

— Nie masz o co... We cztery oczy powiem tobie, żem cię ogrzmocił, ale przed sądem nie głupim się przyznać do tego... Masz świadków?... hę?

— Ludzi tyle!..

— Z których nie złapiesz ani jednego... Lepiej więc pomyśl i rzecz po przyjacielsku załatwimy...

Od słowa do słowa, poszkodowany przekonał się, że nic nie wskóra. Na nawiązkę się zgodził, jako na jedyną, która się nastręczała, satysfakcję.

— Ano... Niech tak będzie — rzekł.

— Otóż to... Będzie i wilk syty i koza cała...

Rzekłszy to, wuj Jan hamaniec[1] z kieszeni wyjął, pal-

[1] Hamaniec — woreczek na pieniądze.

cami w takowym pogmerał i ofiarował zasidatelowi — pięćdziesiąt groszy.

Ten się niby oparzony rzucił.

— Za kogo mnie pan masz?...

— Mało ci?!.. Ha... — odrzekł, do hamańca napowrót pięćdziesiątkę chowając. Wolisz mnie skarżyć, skarż, to i tego nie dostaniesz...

Nie wiem, jak się rzecz załatwiła; załatwiła się jednak, i wuj Jan w sprawie tej procesu nie miał.

Zapowiadało się mu obłąkanie i — nadeszło. Obłąkanie wysnuło się z punktu, którym była troska o dobro powszechne. Na cel ten przeznaczał skarb i siebie, i musiał nad tem myśleć, musiał na temat ten wodze fantazji puszczać, albowiem razu pewnego niebo się otworzyło, z nieba w otoczeniu aniołów zeszła Matka Boża i oznajmiła mu, że zostanie cesarzem rosyjskim i królem polskim. Naturalnie, uroczystemu temu oznajmieniu nie uwierzyć nie mógł. Uwierzył i spokojnie na intronizację swoją oczekiwał, obmyślając zawczasu sposoby, mające na celu uszczęśliwienie ludów. Śród sposobów owych za jeden z najważniejszych uważał religję i ułożył religję nową z pacierzem, który sam codziennie głośno odmawiał. Żona jego wydała mu się na cesarzową i królową niedosyć majestatyczną, oglądał się przeto za niewiastą majestatyczną i miał na oku kilka, z których jednej rękę swoją ofiarować zamierzał. Wreszcie w lat kilka po objawieniu wystosował do cesarza Mikołaja list, opowiadając mu, jak rzeczy stoją, i wzywając go, ażeby mu spokojnie tronu ustąpił. W odpowiedź na list ten wezwano go do Kamieńca i poddano egzaminowi zarządu lekarskiego (wraczebnoj uprawy), na orzeczenie którego, jako podlega manji, stanowiącej obłąkanie łagodne, wolno puszczonym został. Ciąg dalszy żywota jego upłynął na oczekiwaniu urzeczywistnienia zapowiedzi Matki Bożej. Śród tego pałac się walił i zwalił. Wuj Jan w ruinach izbę jedną zajmował, a ciotka Honorcia mieszkała w oficynie i czuwała nad zaspokojeniem potrzeb jego życiowych. Gdyby nie ona, aniby się odziewał, ani jadł; na cesarsko-królewski tron czekał i pod koniec żywota o gospodarstwo się już nie troszczył zgoła, majątek bowiem przeszedł pod opiekę dworzańską, która administratora wyznaczyła, i ten,

opłacając długi ze sztrafów pochodzące, alimenta mu dawał. Umarł w roku tysiąc osiemset sześćdziesiątym którymeś.

W r. 1829 w Saracei rzeczy do ostateczności tej nie doszły jeszcze były. Pałac, co w części za dziada mego zamieszkałej schludnie ale bardzo skromnie umeblowanym był, w całości stał. Ludno w nim było, luboć wujostwo dzieci nie mieli. Przyjmowano nas uprzejmie i podejmowano gościnnie. Wuj Józef na nogę się leczył. Wuj Jan mnie ze sobą na przechadzki zabierał i opowiadał mi historje różne ciekawe, między innemi o królu Łokietku, co mnie wielce zajmowało. Był to bowiem człowiek w stosunkach i obcowaniu bardzo miły, dzieci lubił, a z ludźmi dojrzałymi rozmówić się umiał o wszystkiem rozsądnie, rozumnie nawet, pod warunkiem niepotrącania materji objawienia Matki Boskiej. W punkcie tym okazywał się twardym, objekcje i uwagi przyjmował i odpowiadał na nie uśmiechem pobłażliwym. Przykrości nie wyrządzał nikomu, z wyjątkiem chyba wypadków takich, jak ten z zasidatelem, ale i wówczas nie unosił się: grzmocił flegmatycznie; gdy zaś ogrzmocony gniewał się, wprawiało go to w zdziwienie. Chłopi go bardzo lubili, kochali i w jego intronizację wierzyli. A wierzyli w nią nie chłopi tylko. Pomiędzy sąsiadami ze sfery szlacheckiej znajdowało się kilku takich, co liczyli na to. Sprawdziła się na wuju moim ta reguła, że kto pod wpływem niczyim nie pozostaje, ten sam wpływ wywiera, chociażby wpływ ów był natury ujemnej. Człowiek ten wpływowym być mógł, poza sferą bowiem manji swojej umiał i maksymę zdrową wygłosić i rady dobrej udzielić. Kiedym już czytał, radził mi, ażebym w autorach śledził błędów, to jest, ażebym czytał krytycznie.

Nie pamiętam, jakeśmy z wujem Józefem z Saracei do Rybek wrócili. Następstwo chronologiczne wypadków z tych dzieciństwa mego lat gubi się w mgle przeszłości oddalonej, w której przesuwają się postacie bądź zbiorowe, bądź pojedyńcze. Postacie zbiorowe są to goście, zbierający się przy okazjach takich, jak święta i imieniny, u nas i w sąsiedztwie. Na imieniny ojca mego, na świętego Józefa, wyglądaliśmy przyjezdnych z góry, przeciwległej tej, na której dwór stał. W porze owej błota zazwyczaj drogi zalewały. Stawiano więc wdole woły i wołami pojazdy do góry windowano. Wpobliżu Rybek mieszkało panów kilku: Jaroszyński Jan, Żyłok, Brzo-

zowski, Rzewuski Wacław, najbliżej zaś Czarnomski Mikołaj w Rozbójni, którą Czarnominem przezwał i pałac w niej postawił. Był to dorobkiewicz z rodu, który wydał szulera znakomitego. Z tymi znaliśmy się, ale zdaleka. Progi ich na nogi nasze za wysokie były. Z sąsiadów, z którymi w ściślejszej pozostawaliśmy zażyłości, przypominam sobie: Gabrjela Czarnomskiego, brata Mikołaja, z Honorówki, Zabłockiego nie pamiętam skąd, Gałęzowskiego z Serbów, Podsiedlewicza z Besztańkowa, Bajewskiego z Hrabowy, Chomentowskiego i szlachtę z dwóch kollokacyj, z których jedną było, jeżeli się nie mylę, parafjalne miasteczko Kodyma, drugą wieś Francuska. Do tej ostatniej sprowadził się ojca mego szwagier, Janowczyk, i zaprowadził pomiędzy Francuską a Rybkami pocztę listową: za listonosza służył chart. W celu tym uwiązywano mu list na szyi, brano do piwnicy, harapnikiem w piwnicy smagano i nagle wypuszczano. Gdy go ta operacja we Francusce spotykała, chart jak strzała pędził do Rybek, gdy w Rybkach — ruszał do Francuski. W sposób ten komunikacja się utrzymywała szybka i pewna. W Kodymie, zdaje mi się, znalazłem się był raz z rodzicami w gronie kontuszowem i w gronie tem uwydatniła mi się postać jakiegoś grubego, przysadkowatego, łysego szlachcica w bronzowym kontuszu, perłowym żupanie, żółtych butach i złotem dzierzganym pasie.

Spomiędzy osobistości, co Rybki odwiedzali, wbiło mi się w pamięć dwie szczególnie: matki mojej wuj, Florjan Peretiatkiewicz, i Wacław Rzewuski.

Florjan Peretiatkiewicz, jeden z najpiękniejszych i najpokaźniejszych, jakich mi się widzieć zdarzyło, ludzi, zasłynął w czasie swoim jako awanturnik. Awanturniczość jego polegała na niemożności stosowania się do porządku prawnego. Łamanie takowego było, zdaje się, natury jego potrzebą. W młodości swojej zaczął od tego, że dom rodzicielski pokryjomu opuścił i aż się we Włoszech w szeregach legjonów polskich oparł. Ojciec wydziedziczył go za to, i kiedy z Włoch powrócił, widzieć syna nie chciał. Florjan przemieszkiwał u krewnych, najczęściej w domu dziada mego po matce, Jana Brudzewskiego, za którym była siostra jego rodzona. Instancjom krewnych udało się ułagodzić ojca jego o tyle, że mu ciepłą ręką dał sto tysięcy złotych, nie znosząc z niego wydziedziczenia i nie

przypuszczając go do osoby swojej. On pieniądze prędko stracił i, gdy ojciec umarł, dwie wioski pod Starym Konstantynowem: Krasnosiółkę i Niemirówkę, zajechał i prawem kaduka dla siebie zabrał. Brat, dziedzic fortuny, która znaczną była, procesować się z nim nie chcąc, zostawił go przy wiosek tych posiadaniu; gdy zaś i brat umarł, synowcowie zaczepiać go się lękali. Tak tedy w zagarniętym bezprawnie majątku mieszkał i dochody z onego ciągnął, pozostając w zajściach ustawicznych z sąsiadami i władzami. Kiedy się na niego kondemnat nazbierało, wskazano go na wieżę w Starym Konstantynowie; wieżę w domu, co na rynek wychodził, odsiadywał i miał z sobą psy, któremi szczuł żydów, gdy ci, mimo przechodząc, czapek nie zdejmowali. Żydom starokonstantynowskim weszło we zwyczaj zdejmowanie czapek przed mieszkaniem Peretiatkiewicza. Owóż Peretiatkiewiczowi temu strzeliło raz do głowy majątek zrobić. Wykombinował sobie zamiar ten w sposób taki, że cały z roku jednego zboża zbiór do Odesy poprowadzi, sprzeda i za wyręczone ze sprzedaży pieniądze nakupi towarów, które na Wołyniu zbędzie. Nie obliczył ani odległości z Konstantynowa do Odesy, ani cła od towarów. Fury najął, zboże poprowadził, sprzedał i po opłaceniu kosztów transportu dostał połowę tego, coby mu kupiec był na miejscu zapłacił.

— Na towarach odbiję... — powiedział sobie.

Nakupił galanterji i materyj jedwabnych i wełnianych, cło opłacił i bryką przeładowaną wprost do Rybek przyjechał.

Zafrapowała mnie postawa jego. Chłop setny, oblicze marsowe, wąs zawiesisty, ton mówienia imponujący. Opowiadał rodzicom o swojej do Odesy wyprawie, o układach i zajściach z kupcami zbożowymi, o sprzedaży, o zakupnie towarów. We wszystkiem tem racja stale po jego znajdowała się stronie. Kazał wreszcie towary wnieść, rozwijał, rozkładał, pokazywał i sztukę jedną materji jedwabnej matce mojej darował.

— Wuju!... — zaprotestowała.

— Gardzisz? co?

— Nie... Ale... — tłumaczyć się chciała.

— Niema żadnego ale... Przyjmujesz, albo nie przyjmujesz... Nie przyjmujesz, zaprzęgać każę, jadę i noga moja w domu twoim nie postanie...

Na takie *dictum acerbum* do odpowiedzenia nie było nic

innego, tylko podarunek przyjąć. Do sztuki materji dodał chustkę czy szal i coś jeszcze i coś jeszcze, i byłby dodawał a dodawał, gdyby matka moja nie uprosiła go, ażeby zaprzestał.

Od nas pojechał do drugiej siostrzenicy, ciotki Jeleńkowskiej, i u niej rozdarowywanie towarów powtórzył na skalę większą, w Tańskiem bowiem zastał wnuczki: jedną już wdowę po Beklemiszowie, drugą pannę na wydaniu. Od ciotki Jeleńkowskiej puścił się dyszlem rzemiennym po domach bliższych i dalszych krewnych i w domu każdym coś z towarów odeskich w upominku zostawił, tak że wkońcu sprzedawać nie miał już co. Rozdarował wszystko. Na spekulacji wyszedł jaknajgorzej i wogóle na gospodarstwie wychodził nieosobliwie. Nie widziałem go więcej; nie znałem żony i dzieci jego; słyszałem jeno, że z prawami zawsze w niezgodzie pozostawał i majątek zmarnował nie sobie, ale synowcom, którzy ze swej strony marnowali i zmarnowali na Ukrainie majątek prześliczny, pomimo że się do takowego dołączył posag miljonowy. Jak Krasnosiółkę i Niemirówkę sam nierząd, tak Dubowę zjadły nierząd i charty. Polowanie stanowiło treść życia spadkobierców fortuny wielkiej. Jeden z synowców Florjana zasłynął posiadaniem wąsów ogromnych i zdolnością łgania bezgraniczną. — Ależ łgał! A był to człowiek, choć do rany przykładaj; ale — do niczego: przedstawiciel typowy tych pasorzytów pańszczyzny, dla których Aleksander Weryha[1] napisał: „Ukraino, kraju żyzny, co ty poczniesz bez pańszczyzny? — bez pańszczyzny i bez bata?... A to istny koniec świata“! Było niestety sporo takich, których on przedstawiał.

Z Wacławem Rzewuskim ojciec mój zjeżdżał się niekiedy: — gdzie? — nie wiem. Rzewuski posiadał majątki: Łuh, którego grunta z gruntami rybeckiemi graniczyły, oraz Sawrań (klucz sawrański), oddalony od Rybek o mil kilka. Zjeżdżanie się przeto musiało chyba odbywać się w Łuhu, trwało bowiem zwykle krótko i w porze wiosennej znaczyło się śniadaniami, przy których ojciec mój folgował sobie we względzie czostku młodego. Rozgustowania się w przysmaku tym Rzewuski nabrał zapewne na Wschodzie. Ojciec mój czostek lubił, ale w domu nie jadał dla matki mojej, nieznoszącej ro-

---

[1] A. Weryha Darowski, *Lament skwirski*. Bruksela 1862.

śliny tego zapachu. Z Rzewuskim we dwóch spożywali jej snopy całe.

Razu pewnego Rzewuski zamówił się do nas na obiad. Było to letnią porą. Matka moja odziać mnie kazała czysto i biało, i nakazywała mi grzeczność dla gościa, nauczając, jak mam się ukłonić, jak się trzymać, siedzieć etc. Grzeczność obowiązywała mnie wogóle dla gości wszystkich; w tym razie atoli nauczanie matki miało akcent szczególny, którego powodem było oczekiwanie wielkiego pana. Oczekiwałem go tedy wymyty, wyświeżony i biało ubrany. Przybył. Przyjechał konno — nie w turbanie jednak, jakby wedle podań o nim oczekiwać należało, lecz odziany jak szlachcic zwyczajny, — w towarzystwie ichmościów kilku, z kozakami styłu. Zjawiło się nagle przed gankiem jeźdzców z dziesiątek, z koni pozsiadali, panowie na ganek weszli, kozacy konie wkoło po podwórzu oprowadzać się jęli. Jam był grzeczny — w kąt się wcisnąłem i cały się zmieniłem w zmysł patrzenia. Konie zajęły mnie niesłychanie. Goście z ojcem do wnętrza domu weszli; jam pozostał i przypatrywał się, przypatrywał. Przypatrywałem się tak długo, aż kozacy z podwórza z końmi wyszli. I jam chciał iść za nimi do stajni, lecz wzgląd jakiś powstrzymał mnie od spełnienia tego i pchnął w stronę wręcz przeciwną. Zamiast do stajni udałem się poza dom na drewutnię, z drewutni pociągnąłem dalej, obszedłem karmniki i dostałem się do chałupy, pełniącej funkcję specjalną pralni. Przy chałupie wmurowanym był kocioł ogromny, który w chwili tej, spowodu że wmurowanie reparacji wymagało, wyjęty na boku leżał. Zajęło mnie to i zaintrygowało. Mur wpół rozwalony, ognisko wystygłe, węgle, żużle, kocioł wreszcie ciemnoczerwony wewnątrz, czarny zwierzchu, dużo mi do myślenia dawały. Chodziłem, oglądałem, miarkowałem, ręką próbowałem, zauważyłem wkońcu, że kotłowi można by inne nadać położenie, i jąłem się przestawiać takowy. Czynność ta na szwank wystawiała rąk moich czystość i odzieży mojej białość. Kocioł szczególnie na czystość i białość oddziaływał fatalnie, — tak dalece fatalnie, że nim dzieła dokończyłem, wyglądałem mało że nie tak jak kominiarczuk. Osmarowałem sobie na kolory różne, pomiędzy któremi czarny przeważał, ręce, oblicze i odzież. W stanie takim zabrałem się do powrotu i, powracając, maj-

strowałem przy korycie, w którym nierogaciźnie jeść dawano. Oporządziłem się więc pod względem czystości należycie, gdym usłyszał wołanie:

— Paniczu!.. Paniczu!..

Wołanie pochodziło od wyprawionej w celu odszukania mnie służącej. Odezwałem się. Służąca mi oznajmiła, że obiad na stole. Wnet zajęcie moje przy korycie rzuciłem, pędem ruszyłem i z rozpędem do sali wpadłem. Goście tylko co do stołu siedli. Na widok mój matce z ust okrzyk przerażenia się wydarł, okrzyk, który na mnie uwagę powszechną zwrócił. Matka się podniosła w zamiarze wypchnięcia mnie za drzwi; zanim jednak zamiar ten do skutku doprowadziła, ojciec za rękę mnie ujął, przed Rzewuskim postawił i rzekł:

— Prezentuję panom dobrodziejom mego syna...

— Przebrać go potrzeba!... — odezwała się matka.

— Nie potrzeba — odparł Rzewuski. — Jemu tak do twarzy...

Matka przy swojem obstawała.

— Niechże go pani tak zostawi... — prosił Rzewuski.

— Taki uwalany!...

— I nam się to trafiało, gdyśmy w wieku jego byli...

I żeby snadź osobę moją przeciwko zamiarom matki zagwarantować, do siebie mnie przygarnął, na kolanie posadził i zapytał:

— Gdzieżeś się to tak uszlachcił? No? Rozpowiedz no mi! Usmarowałeś się, jak widzę, na czarno i na brunatno. Jakże to było?

Com odpowiadał i czym odpowiadał — nie pamiętam. I o wypadku samym wspomnienie zatarłoby się było, gdyby mi onego nie odświeżało w pamięci opowiadanie matki, która wyznawała, że podobnego jak wówczas wstydu nie zaznała nigdy. Zatarła mi się w pamięci postać Wacława Rzewuskiego, pomimo żem przy nim obiad ów cały przesiedział. Przez mgłę niby widzę człowieka szykownego, o oczach błękitnych i o płowym, rudawym nieco zaroście. Nie wiem atoli napewne, czy to był on, czyli też jeden z przybyłych z nim razem jego towarzyszy. Wyraźniej przypominają się mi konie, a jeszcze wyraźniej siodła kozacze, srebrem kute, na siodłach poduszki wyszywane i na łbach końskich uzdeczki cienkie, srebrem nabijane. Siodła

i uzdeczki oczy mi zrywały i tak silnie na wyobraźnię moją działały, że zasłoniły postać taką jak Wacław Rzewuski. Było ich razem czterech czy pięciu, i nie wiem, który z nich był Tadż-ul-Fehr. Zresztą wszyscy oni mętnie mi się w pamięci przedstawiają — nie tak wyraźnie, jak jeden z koni, jasnogniady, z grzywą czarną, któregobym odmalował, gdybym malować umiał. Przyjechali — odjechali; z oczów i z myśli znikli. Nazwisko Rzewuskiego często mi w uszach brzmiało. Mówiono przy mnie o nim, o interesach jego, o pani Rzewuskiej, jego matce; spraw tych nie rozumiałem i nie obchodziły mnie one.

Bywał u nas niekiedy Zabłocki niejaki, o którym nic innego powiedzieć nie umiem, tylko żem od rodziców słyszał, że to człowiek rozumny. Ton, z jakim ojciec i matka wyraz ten wymawiali, przejmował mnie dla człowieka tego szacunkiem, dzięki któremu zapamiętałem powierzchowność jego. Był to człek wzrostu słusznego, poważny, nosił na sobie granatowy, niżej kolan sięgający żupan i pasem się podpasywał. Że był rozumnym, to mnie dla niego czcią przejmowało, nie dla czego innego, jeno dla akcentu, z jakim wyraz ten z ust rodziców moich wychodził.

— Rozumna kobieta...

Wyrazy te obijały się mi o uszy przy nazwisku pani Żyłłokowej, która w Besztańkowie mieszkała. Nie wiem, jak ona była z domu, — bodaj czy nie Jaroszyńska; zdaje mi się, że z pierwszym mężem Jełowickim miała synów[1], a jednym z synów jej był głośny w czasie swoim zmartwychwstaniec, ksiądz Aleksander Jełowicki. Jest to domysł, nieoparty na żadnych danych pewnych. Pewnem jest to tylko, że mówiono o niej jako o kobiecie rozumnej, i że, gdy kobieta ta, za pierwszą swoją u nas bytnością, zapytała mnie: „Co ty umiesz?“ — doznałem uczucia wstydu, wysłowić się niedającego. Czułem, że gdyby się pode mną ziemia rozwarła i mnie pochłonęła, byłoby to mi satysfakcję zrobiło. Pani Żyłłokowa obeszła się ze mną niemiłosiernie.

— Cóż ty umiesz?... — pytała.

---

[1] Honorata z Jaroszyńskich 1mo voto Wacławowa Jełowicka, 2do voto Adamowa Żyłłokowa, um. w 1848 r.

— Umie biegać znakomicie — odpowiedział ojciec, we mnie bowiem mowa zamarła.

— To niedosyć... Przy bieganiu umieć można i coś jeszcze... Co ty o tem myślisz?

Jam zapewne nic o tem nie myślał, przynajmniej w chwili owej.

— Ile mu lat? — zapytała pani Żyłłokowa ojca mego.

— Sześć...

— Myślałam, że więcej... Duży chłopiec.

— Do lat siedmiu zostawiam go, żeby się wybrykał... — była ojca mego odpowiedź.

Rok siódmy zacząłem w r. 1830 w nastroju, który mnie — że się tak wyrażę — do nauki pchał. Był to nastrój otaczającej mnie atmosfery, a wyrażał się szacunkiem dla ludzi rozumnych i poszaną dla książek. Przybycie do księgozbiorku ojcowskiego książki nowej witanem było radośnie. Mówiono o tem. O uszy obijały się mi nazwiska autorów i tytuły dzieł; ojciec, który czytał prześlicznie, w głos często odczytywał ustępy prozą i wierszem. Jeszczem liter rozpoznawać nie umiał, a wiedziałem już o Kochanowskim, Naruszewiczu, Krasickim, Karpińskim, o Długoszu, Kremerze, o Śniadeckich, o Koperniku i innych; wiedziałem o *Psalmach*, o *Myszeidzie*, o pracach historycznych Naruszewicza, najwięcej atoli — nie rozumiem dla jakiej racji — o *Jerozolimie wyzwolonej* i *Eneidzie*. Odczytywane z dwóch utworów tych ustępy tkwiły mi w głowie silniej, aniżeli co innego, i rozbudzały imaginację, wprowadzając do niej żywioł nowy. Z opowiadaniami ojcowskiemi o zdarzeniach wojennych, przezeń doznanych, łączyłem opowiadania Tassa i Wirgiljusza, i tworzyłem z tego powieści, w których sobie wyznaczałem rolę ważną. Młodsza ode mnie siostra moja i starsza Józia Jeleńkowska powieści tych z zajęciem słuchały. Grono słuchaczy powiększyło się sczasem o osobę jedną, gdy podrósł nieco brat mój, Józef. Do opowiadań czułem rodzaj pociągu namiętnego. Gdy mi się rzecz w wyobraźni ułożyła, rady sobie dać nie mogłem, ażem jej słuchaczom moim zwyczajnym udzielił. Zabierałem się z nimi do kącika jakiego — letnią porą w cień na dworze — i prawiłem im rzeczy niestworzone.

Rodzice, zdaje się, uwagi na to nie zwracali. Wogóle w dzieciństwie mojem swobody miałem dużo, że jednak byłem

swawolny i dopuszczałem się niekiedy zbytków, spadały więc na mnie kary, zastosowane do wysokości przewinienia: stawiano mnie w kącie, przywiązywano sznurkiem do stołu i ubierano w ścierkę. Nie skazywano mnie nigdy ani na klęczenie ani na bicie. Ubranie w ścierkę stanowiło karę najsroższą, od której się wypraszałem z płaczem rozpaczliwym. Zwykle wypraszały mnie babunia i siostra, ta ostatnia podejmowała się za mnie odpokutowywać. Raz nade mną rózga zawisła była. Nabroiłem; matka mnie do spieżarni zamknęła, i ja, wysypawszy z worka jednego krupy hreczane, z drugiego jaglane, z trzeciego groch, zmieszałem to razem. Zbytek był za wielki, ażeby ujść mógł bezkarnie. Matka po rózgę posłała i ze mną i z dwiema dziewkami, w kancelarji — ojca w domu nie było — zamknąwszy się, do operacji się zabrała. Ja dalejże w płacz i w prośby — płaczem i prośbami broniłem się z rozpaczą; byłbym się jednak nie obronił, gdyby, w chwili kiedy już wszelka dla mnie nikła nadzieja, słyszeć się nie dało gwałtowne we drzwi kułakami walenie, połączone z głośnem, od zadyszania ochrypłem wołaniem:

— Otwórz! na miłość Boga, otwórz!...

Otucha w serce mi wstąpiła — poznałem głos babuni. Otworzono jej. Wnet się na mnie rzuciła i ciałem mnie swojem osłoniła.

Gdy mi niebezpieczeństwo zagroziło, znajdowała się staruszka na folwarku, pilnując roboty masła. Jakaś litościwa dusza znać jej dała o zamiarze matki. Zerwała się, pod górę pędem wybiegła i w porę zdążyła. Gdyby się była o minut kilka spóźniła, byłoby już po harapie. Dzięki jej wspomnień moich nie wzbogaca rózga. Domowe wychowanie moje obeszło się bez tego za moralizujący i rozumu do głowy napędzający uważanego środka. Ludzi bitych nie widziałem i sam bity nie byłem. Ojcam się lękał, luboć on mnie nigdy palcem nie tknął. Matki nie bałem się ani trochę, pomimo że od niej kary na mnie częściej spadały, a raz nawet oćwiczyć mnie chciała.

II

PIERWSZE WRAŻENIA

Zdaje mi się, że z nauczeniem mnie czytania kłopotu i zachodów szczególnych nie było. Nie pamiętam siebie uczącego się abecadła. Czytałem już, kiedy pierwszego dostałem nauczyciela w osobie niejakiego Targońskiego, który z węzełkiem na plecach i laską w ręku piechotą przyszedł. Przyjście jego przypominam sobie. Zjawił się, jak się od czasu do czasu pojawiali kucharze i furmani, za służbą chodzący; miał na sobie surdut tabaczkowy i czapkę z daszkiem dużym; na ganek wszedł, ukłonił się i pozdrowił:

— Niech będzie pochwalony...

— Na wieki wieków... A co tam wasan powiesz?

— Za służbą, wielmożny panie...

— Za jaką?...

— Pisarza... rachmistrza...

— Piszę i rachuję sobie sam... — ojciec mu na to.

— Nauczyciela... — dodał, ręką na mnie wskazując.

Ojciec mój pomyślał chwilkę i rzekł:

— Dobrze... Chodź wasan ze mną...

Do kancelarji go wprowadził, drzwi zamknął i po chwili mnie zawołał.

— Pan Targoński będzie cię pisać uczył...

Pisać na papierze woskowanym uczyłem się atramentem białym. Pan Targoński sam papier woskował, sam atrament z kredy sproszkowanej preparował i sam — rzecz prosta — pióra temperował. Lekcje odbywały się regularnie rano w sali jadalnej i polegały wyłącznie na pisaniu. Po pałkach, esach i kółkach nastąpiły litery, a po tych wyrazy i sentencje. Wzór najpierwszy przez nauczyciela nakreślony, który kopjowałem, był to podpis mój, ze wszystkiemi tytułami możliwemi, a mia-

nowicie: „herbu Ślepowron, sędzic, syn porucznika wojsk polskich, kawalera orderu *virtuti militari*“. Przepisałem to razy ze sto. Dalej kopjowałem: „Bóg stworzył świat z niczego“. „Bóg jest jeden we trzech osobach: Bóg Ojciec, Bóg Syn i Bóg Duch Święty“. Zdaje się, żem się o tem po raz pierwszy od p. Targońskiego dowiedział. Wreszcie nauczyciel atrament biały na czarny mi zmienił i na seksternie pisać kazał. Pisałem pod okiem jego, ale niedługo. Nauka z nim zajęła czasu nie więcej, jak miesięcy trzy. Nastąpiła po niej przerwa, zapełniona dystrakcją wielką, sprawioną przez ruch niezwykły, jaki w domu naszym nastał. Ojciec mój sprowadził kilka koni wierzchowych i przyjął kilku ludzi do usług. Nie usprawiedliwiała tego potrzeba żadna miejscowa. Liczyłem już lat siedem i posiadałem do stopnia pewnego zdolność kombinowania. Nie wykombinowywałem jednak nic wyraźnego, pomimo żem wiedział o wypadkach, których teatrem było Królestwo Polskie. Wiadomości, jakie stamtąd dochodziły i o uszy się mi obijały, pobudzały we mnie fantazjowanie, zasnute na tle *Jerozolimy wyzwolonej*, *Eneidy* i opowiadań ojcowskich. Z prętem w ręku atakowałem zastępy burzanów, do środka się wdzierałem i ścinałem na prawo i na lewo łby bodjakom, pod postacią których wyobrażałem sobie wojowników, z którymi walczyli rycerze krzyżowi, towarzysze Eneasza i ojciec mój. Konie zajmowały mnie niezależnie od tego. Przypatrywałem się im z ciekawością najwyższą tak w stajni, jakoteż gdy je przejeżdżano. Uwagę moją zwracał szczególnie na siebie ogier turecki, który się w klatce kręcił ustawicznie i rżał głośno. Na nim ojciec mój jeździł; gdy nań wsiadał, koń wędzidło gryzł, kopytem ziemię grzebał i nogami przedniemi dogóry się wspinał. Usiłowałem go naśladować w tem wszystkiem: jak on, rżałem, skakałem i, na kiju jeżdżąc, brykałem. Był to wzór mój, naśladownictwo którego posuwałem tak daleko, żem siano i obrok jeść próbował, żując, jak to Turek czynił. Turek — była to ogiera tego nazwa; jeden z koni nazywał się Mołdawan; nazw innych nie zapamiętałem, ale kształty zwierząt tych w oczach mi stoją. Do nich dobrani byli jeźdzcy, młodzi chłopcy, z których jeden, na imię Piotr, kucharzował, drugi Kalennik lokajował, dwaj inni przy stajni się trzymali. Nie wiem, jakim zbiegiem okoliczności wszyscy oni pochodzili z Kumanówki, byli poddanymi

Kumanowskiego — tego, co go chłopi później zamordowali. Odbywała się też krzątanina około siodeł i oręża. Raz na toku siedziałem długo obok Domańskiego, gumiennego, który, zmłocków doglądając, odczyszczał strzelby, pistolety i szable, i tłumaczył chłopom, że Francuzi idą. Chłopi mu pomagali, gdy pomocy zapotrzebował. Innym znów razem poszedłem z ojcem do kuźni, gdy się konie kuły, — te właśnie nowo kupione. W dni parę później, gdym się rano obudził, ujrzałem obok łóżka mego matkę płaczącą. Pocałowała mnie i odeszła. Jam się zerwał, prędko ubrał i do babuni na pacierz i na śniadanie pobiegł. Babunia, kiedym ukląkł, poleciła mi, ażebym pacierz odmówił nabożnie dla uproszenia u Boga czuwania nad tatkiem.

Po pacierzu zapytałem:

— Alboż co... tatko?

— Pojechał...

Ojciec mój odjeżdżał nieraz, nie wydało mi się to więc niczem nadzwyczajnem. Po śniadaniu atoli, kiedym się po domu obejrzał i do stajni zaglądnął, dostrzegłem braku Piotra, Kalennika, ludzi stajennych i koni. Zapytywałem, co się z nimi stało: nikt mi zadowalniającej dawać nie umiał, czy nie chciał, odpowiedzi. Czegoś się domyślałem, i domysły poprowadziły mnie do tego, żem z większą jak zwykle zapalczywością z bodjakami wojował. Wojna, boje po głowie mi się snuły. Tak upłynął dzień jeden i drugi. W dniu trzecim matka dokądeś wyjechała. Pozostaliśmy z babunią, — a było nas już czworo, do rodziny bowiem naszej przybył chłopiec, brat mój drugi, Jan, któremu jeszcze za łoże służyła kołyska. W domu zrobiło się cicho i jakoś niby głucho po gwarze, jaki przez czas pewien panował. Inaczej nic się nie zmieniło. Robocizna szła porządkiem zwyczajnym pod dozorem Domańskiego. Do dworu dojeżdżał leśniczy, od którego się dowiedziałem, że matka pojechała do Bałty.

— A tatko?... — zapytałem.

— I tatko do Bałty pojechał...

Za dobrą przyjąłem to monetę i powtarzałem wszystkim o wyjeździe do Bałty rodziców moich, którzy nie powracali i nie powracali. W czasie ich nieobecności zawitało do Rybek wojsko rosyjskie w liczbie żołnierzy kilkudziesięciu od pie-

choty pod dowództwem oficera. Żołnierze dom otoczyli, oficer zarządził rewizję ścisłą i rozpytywał domowników o ojca.

— Do Bałty państwo pojechali... — odpowiadali wszyscy jednozgodnie.

Zapytany i ja mówiłem to samo.

Rewizja bawiła mnie. Chodziłem za żołnierzami, którzy przepatrywali i przetrząsali schowki wszystkie i którym babunia otwierała zamki, jakie były. Szukali oręża i powstańców i, rzecz prosta, nie znajdowali ani jednego ani drugich. Zwiedzili tok, stodołę, szpichlerze, folwark, stajnie, szopy. Nigdzie nic podejrzanego do odszukania nie było. Chodzili, karabinami stukali, odgrażali się, — brata mego, który w kołysce spał, z kołyski wyjąć kazali i pościółkę jego wyrzucili, w sienniki bagnetami szturchali, w piece zaglądali: nie znalazło się nigdzie nic. Rewizja skończyła się tem, że dano żołnierzom wódki, chleba, sera, podjedli sobie i odeszli, zostawiając w domu wszystko przewróconem nogami dogóry.

W czas jakiś później rodzice powrócili. Do stajni, z koni powrócił Turek jeden; co się zaś ludzi tyczy, znaleźli się spowrotem Piotr i Kalennik: pierwszy w kuchni do rondlów stanął, drugi pełnił funkcję lokajską, jak przedtem. W trybie życia zmiana nie zaszła żadna. Ojciec gospodarstwo po dawnemu prowadził i znaku niepokoju po sobie nie dawał. Domysły moje upadły, tem bardziej że uwagę moją zajął nauczyciel, o którym mi powiedziało z rodziców któreś, wymieniając nazwisko jego. Miał to być Augustyn Janowski, syn oficjalisty z dóbr Komara, przebywający u rodziców swoich w Płoti. Był w szkołach; lecz że szkoły zamknięto, więc bez zajęcia pozostawał. Wyglądałem go, — przyjechał na koniu srokatym i bardzo dobre odrazu sprawił na mnie wrażenie. Był to człowiek młodziutki, miły bardzo i szykowny. Nastręczył go niejaki Tomasz Szczotkowski, ojca mego kolega wojskowy, który u Komara zarząd dóbr objął i sprowadził się świeżo w okolicę naszą z żoną, prześliczną, rodem z Galicji, kobietą. Przekonany byłem, że nauka moja niezwłocznie się rozpocznie. Wcelu tym przysposobiłem książki, książeczki i seksterny, i doznałem uczucia żalu niewysłowionego, gdy, ukończywszy gromadzenie bibljoteki mojej naukowej, ujrzałem go na koń wsiadającego. On odjechał; jam się za nim przez ogród na-

przełaj z książką w ręku puścił. Książką były *Rozrywki* panny Tańskiej. Wyprzedziłem odjeżdżającego, czekałem na niego na płocie i kiedy się zbliżył, wołać począłem:

— Panie!... Panie!... a nauka?

Janowski się zatrzymał, słów kilka do mnie przemówił i obiecał, że powróci niebawem.

W dni kilka później ojciec mnie do kancelarji zawołał. Wszedłszy, zastałem tam jegomościa jakiegoś, poważnego i niemłodego, który, ujrzawszy mnie, głową skinął, uśmiechnął się i rzekł:

— A... dobrze...

W chwili tej ojciec przemówił do mnie:

— Oto nauczyciel twój... pan (nazwał, lecz jak, zapomniałem)... Bądźże mu posłuszny i szanuj go...

Zdziwiła mnie ta niespodziana zamiana Janowskiego na jegomościa, co niby z nieba spadł, nie widziałem go bowiem przychodzącego ani przyjeżdżającego. Skąd on się wziął? Nie zastanawiałem się atoli nad tem. Wziąłem na serjo tego niespodzianie zdarzonego nauczyciela, tak niepodobnego ani do Targońskiego, traktowanego narówni ze służącymi, ani do Janowskiego, młodziutkiego i dla ojca mego ugrzecznionego; on zaś do mnie się jakoś odniechcenia zwracał.

— Cóż ty umiesz?... — zapytał.

— Czytać... pisać... — zacząłem.

— A milczeć?...

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć na to. Coś za mnie ojciec odpowiedział.

— Wieszże ty co... — nauczyciel ów przemówił do mnie. — Rozpoczniemy naukę dziś...

— Po obiedzie... — dodał ojciec.

— Tak... dobrze... po obiedzie... — odrzekł jegomość.

Ojciec odejść mi kazał, i jam wnet po domu całym rozniósł wiadomość, że nauczyciela mam. Udzieliłem jej Piotrowi kucharzowi, a on mi na to:

— Oho... taki to nauczyciel...

— Dziś po obiedzie uczyć mnie będzie...

Po obiedzie wykwintniejszym jak zwykle, przy którym rodzice moi okazywali nauczycielowi uprzejmość wielką, wezwał on mnie z sobą do kancelarji ojcowskiej.

— Chodź... będziemy się uczyli...

— Zaraz... odrzekłem — książka...

— Książka? I;... bez książki się obejdzie... To nie sztuka z książki być mądrym... Sztuka — rozumnym być bez książki... Chodźno, ja cię rozumu nauczę...

Wywracało to wszelkie moje o uczeniu się pojęcia. Rodzice wpajali mi dla książek szacunek i o rozumie powiadali zupełnie co innego. Dyskutować jednak nie mogłem. Poszedłem za nauczycielem, który, do kancelarji wszedłszy i drzwi za sobą zamknąwszy, na łóżku się nawznak położył i po chwili tak do mnie przemówił:

— Zeno, mędrzec grecki, z uczniami swoimi naukę zaczynał od tego, że im milczeć kazał przez lat siedem... Ja ciebie taksamo uczyć będę... Milczeć ci każę nie siedem lat, ale godzinkę... Usiądźże sobie na krześle, siedź, nie ruszaj się i milcz...

Usiadłem, milczałem i wpatrywałem się w nauczyciela mego, który po chwili zasnął. On spał, jam siedział. Siedziałem, jak kołek, nie wiem jak długo, dłużej zapewne aniżeli godzinkę, wkońcu bowiem nudzić się mi już zaczęło. Nauczyciel spał. Obudził się wreszcie, ziewnął, wyciągnął się, na łóżku usiadł i tak się do mnie odezwał:

— Dobrze... Pierwsza lekcja poszła doskonale... Znudziłeś się jednak... co?...

— Znudziłem się... — odrzekłem.

— Nie przywykłeś... Przyzwyczaisz się sczasem i poznasz kiedyś, że milczenie jest mądrością... Terazże idź już... Jutro po obiedzie znów lekcję będziemy mieli...

Dziwna ta lekcja niebardzo mnie pociągała. Zdałem z niej sprawę matce i babce i tak od jednej jak od drugiej usłyszałem, że ten mój nauczyciel jest to człowiek bardzo rozumny. Czekałem lekcji następnej; nie doczekałem się jej atoli, w tym samym bowiem dniu wieczorem przyjechało do nas gości dużo: pani Bielińska z synem wyrostkiem i pani Bonowska z dziećmi. Nauczyciel mój tę ostatnią witał uściskami serdecznemi; ona płakała; dzieci się do niego garnęły; z dzieci najstarsza, panienka lat siedemnastu-osiemnastu, po rękach go całowała; w spotkaniu tem odegrała się scena odszukania straconego. Gdy się scena ta zakończyła, nastąpiła rozmowa, śród której nauczyciel mój do mnie się zwrócił i rzekł:

— Mówiłem ci, że milczenie jest mądrością, spodziewam się przeto, że będziesz milczał...

Nieodrazum się domyślił, o co chodzi, niebawem jednak dowiedziałem się, że ów Zenona wyznawca jest Bonowskim, poszukiwanym przez władzę za udział w powstaniu. Nauczycielstwo jego było rolą przybraną dla oszukania służby. Rola ta odegrywaną była bardzo źle. Bonowskiego zdradzała żona, zdradzały dzieci, zdradzał się sam: nie zdradziła służba. Spowodu służby nie doznał przykrości ani on, ani przybyły w dni parę później Bieliński, znajdujący się w położeniu takiem samem. Służba wiedziała — jeżeli zaś nie wiedziała, to domyślała się — co to za jedni, słuchając opowiadań o wypadkach smutnych, o których wieści co chwila nadchodziły, przywożone przez licznych odwiedzających. Dom nasz stał się punktem zbornym dla sąsiedztwa całego. Codziennie do stołu zasiadało osób kilkanaście, niekiedy kilkadziesiąt. Pomiędzy gośćmi trafiały się figury urzędowe, z któremi panowie konferowali na osobności. Przypominam sobie jedną mianowicie, tytułowaną sowietnikiem, — człowieka wesołego, o którym powiadano, że nigdy wody nie pija. Jeżeli się nie mylę, nazywał się on Gałęzowskim.

W gwarze tym o nauce mojej mowy być nie mogło. Bujałem sobie swobodnie, kręcąc się śród ludzi, przysłuchując się, gdy coś, co mnie zajęło, w ucho mi wpadło, i uganiając po podwórzu, po ogrodach, po zabudowaniach gospodarskich. Ciekawość pociągała mnie do furmanów i koni gościnnych, które, spowodu znacznej onych ilości, po szopach stały. Tum coś usłyszał, ówdzie zobaczył. Ciekawość fermentowała we mnie i razu pewnego wieczorem, kiedy goście przy wieczerzy siedzieli, zaprowadziła mnie pod okno pokoju matki mojej, oddanego na mieszkanie pani Bonowskiej z rodziną. Pod okno to dostać się nie można było inaczej, jak po przymurku wysokim a wąskim, po którym się nie chodziło. Niemożliwość jednak absolutna dla ludzi słusznych nie istniała dla mnie. Czepiając się futryn okiennych w miejscach, gdzie takowe do ujęcia były, w innych zaś wystawiając równowagę ciała mego na próby, przesuwałem się wzdłuż ściany po gzymsie i doszedłem do okna, ku któremu mnie wabiło światło, bijące ze środka pokoju. Co światło to znaczy? Było to dla mnie zagadką, dla rozwiązania której nie zawahałem się zaryzykować

na to, że z wysokości dwóch łokci blisko spaść i potłuc się mogę.

Zagadka się rozwiązała. Gdym się do okna dostał i przez szybę spojrzał, oczom moim przedstawiło się widowisko o ile niespodziane, o tyle ciekawe. Na stole gorzała świeca, a przed stołem stała panna Bonowska, boso, w koszuli jednej, którą na sobie obracała, raz ją podnosząc, znów zniżając i szukając w niej pilnie pcheł. Gdy którą złapała, wnet ją na stole paznokciem mordowała i natychmiast do poszukiwania dalszego wracała. Niekiedy koszulę podnosiła tak wysoko, iż ją całkowicie ponad głowę podejmowała. Widowisku temu, które w życiu po raz pierwszy oglądałem, napatrzyć się dosyć nie mogłem. Nie wiedziałem, czy są to wdzięki, czy nie, — panienka młoda była i bardzo ładna: do miejsca przykuwało mnie nie co innego, jeno ciekawość prosta do tego, co osłanianem jest, co zatem w oczach moich miało urok owocu zakazanego. Zakazanego dla oczów, byłem bowiem wówczas jeszcze we względzie stosunku płci absolutnie ciemny. Patrzyłem przeto, jak się patrzy na obrazek, napatrzyłem się i tyle.

Śród gwaru gości przyjechał do mnie nauczyciel prawdziwy, Augustyn Janowski. Gwar trwał jeszcze czas jakiś, aż się goście rozjeżdżać poczęli i rozjechali. Niebawem do Rybek przybyła komisja śledcza, złożona z urzędników kilku i z księdza prawosławnego; urzędowała przez dni dwa, a czynność jej polegała na badaniu domowników i mieszkańców Rybek we względzie zachowywania się w czasie powstania ojca mego. Piotr i Kalennik na ten czas pochowali się. Inni powoływani byli do przysięgi, przysięgę składali i na zadawane im zapytania odpowiadali. Gromada składała przysięgę zbiorowo na podwórzu, na położoną na postumencie wysokim Ewangelję, za którą stał ksiądz w ornacie z krzyżem w ręku. Chłopi zapytani, czy co widzieli i o czem słyszeli, odpowiedzieli, że nic nie widzieli i nie słyszeli o niczem. Sprawa ta drażliwa i niebezpieczna rozstrzygnęła się dla ojca mego pomyślnie, sprowadziła jednak na dom nasz rodzaj interdyktu. Sąsiedzi przez wzgląd na siebie i na rodziców moich nie odwiedzali nas.

Wyjątek co do tego stanowili państwo Szczotkowscy, którzy mieszkali w Płoti i przyjeżdżali do Rybek często, bądź oboje, bądź jedno z nich, najczęściej on sam. Bywał co

dni kilka. Do ojca mego zbliżało go koleżeństwo wojskowe w strzelcach konnych, które zmieniło się w przyjaźń. Skąd pochodził i jaką była jego przeszłość, nie wiem; po wyjściu z wojska zarządzał majątkami wielkich panów i z czasów służby w szeregach zachował postawę marsową i akcent wojskowy. Zanim funkcję rządcy objął u Komara, bywał w Galicji, gdzie akcent swój wojskowy spotęgował wdawaniem się z huzarami węgierskimi i gdzie pojął za żonę córkę naturalną Franciszka Turkuła, kobietę prześliczną. Blondynka, jasnooka, wiotka, w postaci, w wejrzeniu, w uśmiechu posiadała siłę czarującą, z której użytek robić umiała, przy pomocy ogłady towarzyskiej, we Lwowie nabytej, dowcipu wrodzonego i uprzejmości wielkiej. Mąż dumny nią był i dogadzał jej; ona przyjaciół męża uważała za swoich i dla ojca mego okazywała serdeczność, któraby wzbudzać mogła podejrzenia, gdyby się nie objawiała otwarcie, w obecności męża jej i matki mojej. Stworzenie to wydawało się wcieleniem prostoty, naiwności i niewinności, ozłoconych polorem wielkiego świata, odbijającym jaskrawo od pań pobereskich, grzeszących brakiem akcentu.

Przyjaźń Szczotkowskich nadała się ojcu memu wkrótce po przybyciu ich w strony nasze. Od ciotki Jeleńkowskiej nadeszła alarmująca o Juljuszu wiadomość. Juljusz, brat mój cioteczny, do powstania poszedł, bił się pod Daszowem, pod Obodnem, pod Majdankiem i spod Majdanka wraz z innymi do Galicji się dostał. Chodziło o takie go stamtąd wycofanie, ażeby zasłonić i bytność jego zagranicą i udział w ruchu powstańczym. Ciotka się z tem do ojca mego zwróciła. Rzecz do zrobienia łatwą nie była. Należało pojechać: ale — jak? — za paszportem? Paszportu ojciec mój, mocno podejrzany, uzyskaćby nie mógł. Pozostawało przeto ryzykować się na przekroczenie granicy bez paszportu, do czego byłoby może przyszło, gdyby nie Szczotkowski, który paszport posiadał na siebie i dwóch służących. Z jego paszportem i pod jego nazwiskiem ojciec mój pojechał. Wyjechał wkrótce po dniu, w którym doszła nas wiadomość o upadku Warszawy. W dniu owym panował w domu naszym smutek głęboki. Płakałem, widziałem bowiem płaczącą matkę i babkę, zgryzionego ojca, pomieszanych domowników wszystkich, mianowicie zaś Piotra kucharza, człowieka rezolutnego, który nożem kuchennym wy-

wijał i klął. Wieczorem miała miejsce scena charakterystyczna i rozrzewniająca. Przyszło do dworu chłopów kilku z sotskim imieniem Josyp naczele; — pokłonili się, pozdrowili, i po zamianie frazesów kilku ojciec zapytał ich:

— Cóż mi tam powiecie?

— A oto myśmy słyszeli — odrzekł sotski, — że, panie, odjeżdżacie...

— Odjeżdżam...

— Otóż przyszliśmy łaski pańskiej prosić, ażebyście już nie odjeżdżali...

— Ano?... — odezwał się ojciec, zdziwiony akcentem, jaki zabrzmiał w wyrazie ostatnim.

— Nie odjeżdżajcie, z nami zostańcie... dziateczki macie... Nu, nieszczęście... nieszczęście spadło, i wy go nie odwrócicie... W kupie, jak ten powiada, zniesie się ono; gdy zaś odjedziecie i, broń Boże, gdzie się zaprzepaścicie, pomyślcie, w jakim smutku pani ta, dziateczki wasze zostaną... Bo to ono tak, pojechać, jak ten powiada, łatwo, ale wrócić trudno...

Ojcu memu łzy w oczach stanęły. Podziękował im i wytłumaczył, że podróż jego nie ma celu takiego, jak im się wydaje. Dodał, że odjeżdża nie wie na jak długo, i przez czas nieobecności swojej żonę i dzieci opiece ich powierza.

Jako autorowi zarzucano mi idealizowanie chłopów. Fakt powyższy nie jest wyidealizowanym ani trochę. Komu fakty podobne we wspomnieniach tkwią, ten ma prawo, ba, obowiązek nawet, przedstawiać postacie chłopskie ze strony niekoniecznie ujemnej. Śród chłopów rybeckich wzrastałem; oni narówni z rodzicami wpływali na pierwotne wychowanie moje; spośród nich nie wyniosłem przykładu gorszącego ani jednego; zato wyniosłem wspomnienia, których wyobrazicielstwem jest fakt powyżej przytoczony. Zachodzi pytanie: skąd się fakt taki wziął? Nie skądinąd, jeno ze stosunku, jaki się pomiędzy gromadą a ojcem moim ułożył, ze stosunku, który całkowicie i wyłącznie od ojca mego zależał. Wuja Popowskiego związali i do sądu odstawili; ojca zaś mego przed komisją osłonili i gdy podejrzewali, że mimo wszystko osobą swoją hazarduje, przyszli go prosić, ażeby pamiętał o „ditoczkach“ swoich. Stosunek pomiędzy dworem a gromadą włościańską nie od włościan zależy.

Ojciec mój pojechał. Nie było go miesięcy kilka, — zdaje

się przez zimę całą. Przez ten czas na serjo rozpoczęła się nauka moja. Nie samo już czytanie i pisanie na stole było; uczyłem się częścią na rozum, częścią na pamięć arytmetyki, geografji, katechizmu, poezyj. Pan Augustyn odbywał lekcje regularnie i pilnie, czas od zajęć ze mną wolny obracając na wybieganie ze strzelbą na kaczki, na zające, na gołębie dzikie, na słomki. Wychodził bądź z Domańskim, bądź sam. Jam się z nim rwał, ale mi matka nie pozwalała, poprzestawałem przeto na marzeniach o strzelbie i na pukaniu z pistoletów drewnianych, które dla mnie ten i ów z domowej lub folwarcznej służby fabrykował, a do których prochu wypraszałem sobie to u pana Augustyna, to u Domańskiego. Straszyłem wróble, sroki i wrony, a wzrokiem i pragnieniem ścigałem jastrzębie, co krążyły wysoko. Obok tego nie zaniedbywałem rojeń o heroizmie wojennym, owszem rozwijałem je w sobie, a to z tej racji, żem sam *Jerozolimę wyzwoloną* i *Eneidę* czytał. Bohaterem moim, ku któremum się ze szczególną zwracał predylekcją, był Nizus: *Nisus erat portae custos, Hyrtacides.* Deklamowałem sam sobie:

Nizus był stróżem bramy, syn Hyrtaka śmiały,
Zręczny i rohatyną i lekkiemi strzały.

Na miejsce „Nizus“ podstawiałem „Zygmunt“. Rytmu to nie psuło, a miłości mojej własnej dogadzało. Nie powiadałem tego atoli nikomu i wogóle zaprzestałem opowiadań rodzeństwu młodszemu, a zastąpiłem je opowiadaniami samemu sobie, które snułem na dwa sposoby: albo myślą w cichości próżności mojej, albo też głośno, wybierając na ten cel miejsca ustronne. W miejscach takich gadałem sam do siebie, wydawałem rozkazy, słuchałem raportów, toczyłem z tworzonemi przez wyobraźnię moją osobistościami rozmowy. Sprawiało mi to zadowolenie wielkie, — tak dalece wielkie, żem się wyosabniał umyślnie, celem spędzenia chwilki czasu w tym świecie zmyślonym. Nie byłyż to sny na jawie? — sny dziecinne, które prześladowały mnie później nawet, kiedym już w wiek młodzieńczy wkraczał. Drogą tą dochodzi się do domu warjatów. Dowiedziałem się o tem zboku; było to jednak później, później. Tymczasem droga ta niewiele mi w nauce przeszkadzała. Uczyłem się z ochotą: reguł dodawania i odciągania, tabliczki Pitagoresa, dzielenia, rozpoznawałem części świata, dowiadywałem się o tajemnicach wiary etc.

Ojciec odbył podróż pomyślnie tam i spowrotem. W Galicji widział się z jedynym, co przy życiu pozostawał jeszcze, przedstawicielem poprzedniego Miłkowskich z Gorlic pokolenia, stryjem swoim, Maciejem; widział się oraz z Romualdem Szawłowskim, który mieszkał pod Buczaczem. Rezydencja Szawłowskiego była podróży jego celem, tam bowiem przebywał Juljusz Jeleńkowski tytułem pokrewieństwa bliskiego, jakie przez Brudzewską z domu łączyło Szawłowskich z Brudzewskimi płci obojej. Szawłowscy Romuald, Roch i Gabrjel z Brudzewskiej się rodzili i byli ciotecznorodzonymi ojca matki Juljusza, matki mojej i wujów naszych. Gabrjel posiadał majątek na Wołyniu, lecz majątek ten przez kufel ciekł i przeciekł. Roch był właścicielem wsi Biała pod Czortkowem, rozpił się, zdziwaczał, dzieci nie miał i rodzinie naprzekór majątek Wolańskiemu z Rzepiniec zapisał. Romuald również bezdzietny, a rządny i zapobiegliwy, dorobił się fortuny znacznej, reprezentowanej przez miasteczko Barysz, kilka, w glebie doskonałej i położeniu rozkosznem, wsi i przez kapitały w gotówce. Ten ostatni utrzymywał z matką moją, a zapewne i z ciotką Jeleńkowską, jakoteż z wujami, korespondencję ustawiczną. Pisał sposobem drukowanym, donosił o sobie, mianowicie zaś o ustanowieniu na majątku nieruchomym fideikomisu, mocą którego dobra te, zagwarantowane przeciwko zadłużeniu, przechodziły na synów Gabrjela, w razie zaś, gdyby ci bezpotomnie zeszli, na dzieci Jana Brudzewskiego, „ukochanego brata mego wujecznorodzonego“, jak się wyrażał. Powtarzał o tem w listach często, jakby chciał rzecz tę w pamięci matki mojej ugruntować. U niegoto Juljusz bawił i od niego ojciec mój go zabrał i przekradanym sposobem przez granicę przewiózłszy, matce jego do rąk oddał. Świadectwa udziału jego w powstaniu zatrzeć się udało, — małoletnim był, liczył lat nie więcej jak dwadzieścia. Upiekło się mu. Wraz z Juljuszem przewiózł ojciec mój sprawunków trochę i książek kilka, a także rękopis części trzeciej *Dziadów* Mickiewicza.

Dla mnie była to pierwsza o Mickiewiczu świadomość, zaznaczająca dla niego śród poetów naszych miejsce odrębne. Zgruba bowiem wiedziałem już o nim. Kiedym czytać nie umiał, umiałem *Pana Twardowskiego* („Jedzą, piją, lulki palą“) napamięć i balladę tę recytowałem gościom. Świadomość

jednak dokładną powziąłem teraz dopiero, a powziąłem ją w sposób tajemniczy, z czytania wieczornego przy drzwiach zamkniętych, powtarzającego się od czasu do czasu: niekiedy przy okazji, gdy ktoś przyjechał z ludzi takich, którym niebezpieczną tajemnicę tę powierzyć było można, — niekiedy bez okazji. Czytelnikiem był zawsze ojciec mój, słuchaczami: matka, babka, pan Augustyn i ja. Spłakiwaliśmy się wszyscy regularnie przy scenie, w której pani Rollisonowa o syna się upomina. Ojciec mój czytał po mistrzowsku. Po przeczytaniu rękopis, do blaszanej puszki włożony, chował się, nie wiedziałem gdzie.

W czasie tym napływać poczęły do Rybek pieśni i piosnki, opowiadania o bitwie pod Daszowem i zniknięciu tajemniczem Rzewuskiego, o czynach heroicznych Aleksandra Sobańskiego, o znalezieniu się pod Obodnem kozaka Rawskiego, o niedołęstwie Kołyski i t. p. Rozprawiano, krytykowano. Pieśni i piosnek, które, nie wiem, jaką się do nas dostawały drogą, wyuczałem się napamięć. Powiedzieć można, że poezja brała za niepowodzenie odwet i niosła pociechę i otuchę w serca zbolałe.

W roku następnym ojciec mój jeździł do Kijowa na kontrakty; powrócił, przywiózł ze sobą, obok kawjoru, śledzi holenderskich, skórek na trzewiki i sprawunków innych — książek z zakresu literatury nadobnej kilkanaście, a także książek naukowych dla mnie, atlas geograficzny i mapę dużą ścienną, którą w sali jadalnej przybito. Z książkami przywiezionemi zawitała pod dach nasz literatura szkoły romantycznej: Brodziński i Mickiewicz. Nie z samego jednak Kijowa tylko książki do nas napływały. Od czasu do czasu zajeżdżała do Rybek bryka krakowska, wyprawiana z Kamieńca przez Czecha (księgarza), wyładowana książkami na sprzedaż. Bryka ta nie odjeżdżała bez utargowania czegoś. W sposób ten księgozbiorek pomnażał się powoli, zbogacając się przeważnie dziełami, należącemi do działu literatury nadobnej, któremu nie brakowało na romansach nawet. W Rybkach czytałem utwory Bernatowicza, Walter Scotta, Bronikowskiego, *Lejbę i Siorę* Niemcewicza, *Adolfa i Julję* Kropińskiego [1], czytałem z zapałem, bez odry-

[1] W tekście Krupińskiego:. Powieść *Julja i Adolf czyli nadzwyczajna miłość dwojga kochanków nad brzegami Dniestru*, napisał Ludwik Kropiński, druk. Warszawa 1824, tłumaczona była na rosyjskie i francuskie.

wania się, nocami, wykradając sobie świece, które u nas regularnie o godzinie dziewiątej gaszono. Sypiałem w sali jadalnej, gdzie mi na sofie słano.

Raz z racji czytania zaalarmowałem ojca. Nie przypominam sobie tytułu romansu, w którym Walter Scott czy Bronikowski o napadzie jakimś strasznym opowiada. Opowiadanie imaginację mi rozogniło. Od książki wzrok przeniosłem na okno i trwoga mnie przejęła. W oknie groźnego nic widzieć nie mogłem, było bowiem zzewnątrz zamknięte okiennicą, która się przyśrubowywała ze środka. Groźnego coś jednak widziałem w czarności połyskliwej szyb i, gdym się w nie lepiej wpatrywał, wydało mi się, że się kółko od śruby powoli obraca. Przyszło mi na myśl, że ktoś okiennicę z nadworu odśrubowuje. Straszno mi się zrobiło. Mimowolnie krzyczeć począłem. Na krzyk mój wyszedł ojciec.

— Co to?... — zapytał surowo, ujrzawszy mnie w łóżku z książką.

— Ktoś śrubę odkręca... — odpowiedziałem.

Ojciec do okna podszedł, śruby spróbował i rzekł:

— Et... kiep jesteś... Świecę zgaś!..

Nazajutrz nic mi nie powiedział, ale już więcej w łóżku czytać nie mogłem. Sam sobiem szkodę zrobił.

Po powrocie ojca z Kijowa zawitała wiosna wczesna, tak że na świętego Józefa było już sucho i ciepło. Na imieniny ojcowskie zjechało się gości huk. Przyjechała ciotka Jeleńkowska w towarzystwie licznem: dwie córki starsze, syn, narzeczony Katarzyny Augustyn Kurzański i narzeczony Seweryny jakiś Szawłowski, oficer z wojska polskiego, który się sprezentował w mundurze z wyłogami żółtemi. Mundur ten atoli noszony był ukradkiem i pobyt jego miał charakter ukradkowy. Pamiętam go jeno po mundurze; następnie znikł, zagranicę wyjechał; narzeczona na powrót jego czekała, nie doczekała się i w lat kilka później za kogo innego wyszła. Gości zjechało się tyle, że na pomieszczenie ich w domu miejsca nie stało. Rozkwaterowano ich na wsi, u chłopów. Zrana po wsi po chałupach kawę i herbatę roznoszono. Bawiło mnie to bardzo. Chciałem kwaterować z Juljuszem, lecz mi nie pozwolono; zabiegałem jednak do niego co rano, w łóżkum go zastawał i jużem go nie od-

stępował. Z owoczesnego jego u nas pobytu zachowałem pamiątkę. Nauczył mnie wiersza[1]:

Polak za zbytki do piekła wskazany,
Lecz zawsze poczciwa dusza,
Z innemi cieniami gnany,
Sam jeden wesoło rusza etc.

Goście bawili tydzień zgórą. Liczbę tych, co z dalszych przybywali okolic, a którzy dniowali i nocowali, powiększali sąsiedzi: Szczotkowscy, Bajewscy z córkami i inni. Pani Szczotkowska pięknością swoją gasiła najpiękniejsze Ukrainki i Pobereżanki. Bajewski miał za żonę Rosjankę, kuzynkę jakąś Tutulmina, obdarowanego Raszkowem przez cesarza Pawła i żyjącego tem życiem „szerokiem", które zjada fortuny największe. Pani Bajewska miała jakąś do niego pretensję majątkową, rozstrzygającą się na drodze procesu, dla którego w Petersburgu przemieszkiwać musiała. Była to dama wielkoświatowa, starannie wychowana, po francusku mówiąca doskonale, po polsku zupełnie dobrze i bardzo przystojna. W Petersburgu posiadała stosunki w sferach wysokich szeroko rozgałęzione i dzięki stosunkom tym mąż jej, gadatywus wielki, dyplomata i prawnik, uchodził za wyrocznię w kwestjach politycznych. Miał do powiedzenia zawsze coś niesłychanie ważnego, coś — co się odnosiło do cesarza Pawła, do którego nawracał od chwili obecnej i na którego planach budował plany na przyszłość. Cesarz Paweł stanowił w kombinacjach jego politycznych punkt wychodni i punkt dochodni: pod punkt ten podporządkowywał wszystko, co jest i co będzie, świadcząc się słowami, jakie żona jego w Petersburgu słyszała z ust dygnitarzy, z którymi się w interesie procesu spotykała. Proces jednak skończył się skandalicznie. Pani Bajewska sprawę przegrała i powróciła do domu z — wychowanką. Ona utrzymywała, że to wychowanka; mąż twierdził, że córka, i nie przyjął żony pod strzechę domową. Stało się to atoli znacznie później, w lat kilka po imieninach, o których sprawę zdaję. Na imieninach rzeczonych małżeństwo znajdowało się w harmonji jaknajlepszej: on mężczyznom wykładał plany cesarza Pawła; ona paniom opowiadała o stolicy. Bawiono się wyśmienicie.

---

[1] Wiersz K. Brodzińskiego: *Polak w piekle.*

Pisząc o trybie życia w domu rodziców moich, nie wspominam o rzeczy jednej, która stanowiła atrybucję życia szlacheckiego, a mianowicie: o kartach. Nie wspominam, albowiem wspominać nie mam o czem. W Rybkach kart nie widziałem, pojęcia o nich nie miałem. Nie było w domu naszym ani kart, ani warcab, ani szachów, ani gry żadnej, i obchodzono się bez tego. Kiedy się meblował dom nowy, ojciec kupił stolik z suknem zielonem. Stolik ten nie odmykał się nigdy. Towarzystwo się od czasu do czasu zgromadzało, goście się zbierali i nie uczuwali potrzeby uciekania do tego sposobu przepędzenia czasu. Czas spędzano na rozmowach, które się wiązały i zasnuwały około przedmiotów rozmaitych: około urodzajów, cen zboża, pogody, stanu dróg, polityki, literatury i t. p., około uprawy ogrodowizn, wydatności lnu i konopi, półsetków, kroju sukien, form kapeluszy, urodzajności, kur, etc. Zależało to od doboru towarzystwa. Niekiedy ojciec mój, gdy w dobrym był humorze, opowiadał przy pomocy Szczotkowskiego o wypadkach wojennych z epoki r. 1812. Niekiedy opowiadanie prowadził ktoś z gości. Czas upływał bez interwencji kart, których — powtarzam — w Rybkach nie widziałem. Z domowników nikt pasjansa nie ciągnął; nawet poetyczny marjasz był u nas nieznany. Bez gości — a bez gości upływały niekiedy tygodnie całe — matka w domu porządek utrzymywała, kuchni doglądała, szyła, pończochę robiła, czytywała; babka około nabiału, kurników i spieżarni, pończochy z rąk nie wypuszczając, krzątała się; ojciec gospodarował i czytał, — czytał dużo, obracając nato cały czas zbywający. Pasjansa przeto lub marjasza wetknąć gdzie nie było. Porą dni, w której czynność gospodarska ustawała, był moment pomiędzy wieczerzą a pójściem do łóżka. W momencie tym ojciec się po pokoju przechadzał i gawędka jakaś toczyła się; godzina dziewiąta wybiła — wszyscy spać szli.

Do imienin wracam jeszcze, przywiązuje się bowiem do nich wspomnienie wypadku jedynego, przy którym widziałem ojca w stanie podpitym. Nie zdarzyło mu się to w czasie, kiedy gości podejmował, ale aż na ostatku samym. Wieś się z zakwaterowanych po chatach wypróżniła; wypróżnił się i dom; pozostała jeno jeszcze ciotka Jeleńkowska z córkami. Wybierała się z wyjazdem z dnia na dzień i z dnia na dzień, na prośby

usilne zostawała — do jutra. Jutra mijały, aż nadeszło to, w którem ciotka wyjechać postanowiła. Podano śniadanie ranne i przy temto śniadaniu spełnianie zdrowia ciotki i pomyślności dwóch przyszłych stadeł małżeńskich, w jakie wejść miały dwie córki jej starsze, spowodowało przebranie miarki. Ojciec mój wyprowadził ciotkę do pojazdu, na stopniach stanął i grzeczności jej prawił; żegnał się z nią i pożegnać się nie mógł; wreszcie do pojazdu wsiadł, wina wynieść kazał, zdrowie jej pił i wysiadać nie chciał. Doszło do tego, że dla wyprowadzenia go ciotka wysiąść sama musiała; gdy zaś wysiadła, wsiąść napowrót nie mogła i w dniu tym nie wyjechała już. Jedyne to wspomnienie wypadku tego rodzaju.

Okazje takie jak imieniny sprowadzały w nauce mojej przerwę. Po przerwie nauka powracała do praw swoich, których nie nadwerężali zgoła goście zwyczajni ani nawet nadzwyczajni. Pan Augustyn pełnił obowiązek swój rzetelnie i sumiennie, w czem ze strony rodziców moich miał pomoc zupełną, ze strony zaś mojej przeszkód nie doznawał. Uczyłem się ochoczo, luboć regularność zegarkowa, z jaką lekcje odrabiać musiałem, nudziła mnie i niecierpliwiła niekiedy i bardzom rad był wszelkiego rodzaju świętom, na które pan Augustyn do rodziców swoich odjeżdżał. W jedno ze świąt rodzice moi wybrali się w odwiedziny do Szczotkowskich i mnie ze sobą wzięli. Wyobrazić sobie łatwo, jaką to mi radość sprawiło. W Płoti mieszkali pana Augustyna rodzice. Odwiedziliśmy ich. Znalazłem się tam w gronie dzieci, złożonem z trochę starszych i trochę młodszych ode mnie dziewczynek, które się do mnie uprzejmie pogarnęły. Lecz nie one mnie zajmowały. Uwagę moją pochłonęła całkowicie strzelba, własność młodszego pana Augustyna brata, który ją przy mnie rozśrubowywał i czyścił. Ach! ta strzelba. Zachciało mi się raz — raz jeden tylko — strzelić z niej. Ze sposobu, w jaki pan Leon traktował mnie, mówił ze mną, wydawało się, iżby mi tego nie odmówił, gdybym go o to poprosił. Niestety, na poproszenie czasu nie stało. Pojechaliśmy na komisarję. Tam mnie zajęło co innego. Na oborze zoczyłem osła, istotę mi dotąd ze słyszenia jeno znaną. Posunąłem do niego, zrazu trzymałem się zdaleka, następnie podchodzić zacząłem, zbliżyłem się, dotknąłem, głaskałem, wkońcu na osła wsiadłem i po oborze w kółko na nim jeździłem.

Jeździłem a jeździłem, zapomniawszy dla osła o pobycie w gościach, o przysmakach ugoszczenia i o piękności gospodyni domu. Na oborze spędziłem czas cały i byłbym z niej nie wyszedł, gdyby na mnie nie zawołano. Rodzice odjeżdżali. Na drodze ojciec mi powiedział:

— Wiesz, co o tobie państwo Szczotkowscy myśleli?

Na zapytanie to odpowiedziałem milczeniem.

— Nie mogli — ciągnął ojciec — myśleć czego innego, tylko że osioł na ośle jeździ... Wstyduś mi narobił...

Zawstydziło mnie to mocno. Osioł ów w myśli mi stanął, niby zgryzota sumienia, zapomnieć o nim się starałem i na sprowadzenie zapomnienia znalazło się strzelby pana Leona wspomnienie, do którego przylgnąłem. O! gdybyż mi strzelić pozwolił. Medytowałem nad tem i wpadłem na pomysł, że najprostszym na uzyskanie pozwolenia tego środkiem byłoby ożenienie się z jedną z sióstr jego. Byłem już rozgarnionym o tyle, żem rozumiał, że do ożenienia nie kwalifikuję się jeszcze. Mogę się jednak zaręczyć. Wiedziałem przytem, że się przed zaręczeniem zakochać potrzeba. Postanowiłem więc sobie zakochać się. Postanowienie to skierowałem do jednej z panien Janowskich, ćwiartkę papieru polinjowałem i w dwóch linjach list do niej z wyznaniem miłości wystosowałem. List ów doszedł rąk wybranej mojej; nie wiem, czy była to ta sama, której piękność później zasłynęła i późniejszego właściciela Raszkowa o ruinę doszczętną majątku przyprawiła. Doszły mnie o tem posłuchy dalekie, gdy lata dziecinne daleko już za mną pozostały. Kiedym jej — a może z jej sióstr której — wyznanie miłości złożył, winszowano rodzicom moim syna, zaczynającego tak wcześnie listy romansowe pisywać. Nie wiedziano o istotnej zapału miłosnego podniecie. Żartowano ze mnie, jam się nie przyznawał, że racja miłości tej spoczywała w pragnieniu strzelenia raz jeden — raz jeden tylko — ze strzelby brata panienki.

Dystrakcja, jaką mi miłość ta pierwsza sprawiła, nie wpłynęła na nauki w sposób ujemny. Zresztą przeminęła ona prędko. Ponieważ celu nie dopiąłem, więc miłość zgasła. Postępowałem dalej w sztuce pisania i czytania, wzbogacałem umysł mój wiadomościami katechizmowemi, gramatycznemi, geograficznemi, arytmetycznemi i historycznemi. *Historja polska*

przez Lelewela *synowcom opowiedziana*, służyła mi za podręcznik do czytania, *Historja* zaś Miklaszewskiego, ozdobiona wizerunkami królów polskich, za książkę do nauki. Historja polska wytworzyła dokoła mnie niejako atmosferę naukową, obejmującą wszystkich, co mnie otaczali. Oddychaliśmy nią. Stanowiła ona przedmiot rozmów w kółku domowem i interesowała nietylko mnie samego, ale oraz siostrę moją, która się już uczyć poczynała, i brata mego, Józefa, który się nauce przypatrywał i przysłuchiwał, okazując ciekawość wielką. Przy nauce atoli nie siedzieliśmy kołkiem. Urozmaicały ją przechadzki po lasach, a przeplatały zbytki, jakich się dopuszczałem ze szkodą niekiedy własną, niekiedy cudzą. Sobie raz wyrządziłem szkodę bolesną, gdy pyszczek stojącego na samowarze czajnika do ust wziąłem i powietrze w siebie wciągnąłem. Następstwo stąd wynikło takie, że mi ukrop gębę napełnił, i żem sparzył sobie język, podniebienie i policzki wewnątrz. Stało się to przy gościach. Wynikło stąd dla mnie cierpienie, dla matki zmartwienie. Słyszałem, jak ją ktoś pocieszał, że mi się złego nic nie stanie, wypadek zaś sam wskazuje, że będzie ze mnie adwokat znakomity, albowiem gębęm sobie wyparzył zawczasu. Złego w rzeczy samej nie stało mi się nic, ale się przepowiednia, co się adwokatury tyczy, nie sprawdziła. Innym znów razem urządziłem historję taką. Przyjechały do nas panie jakieś w maskach i w kapeluszach modnych. Damy w czasach owych masek do podróży używały dla ochrony płci. Widywać mi się to zdarzało dosyć często i nie to mnie zastanowiło, ale kapelusze — kapelusze duże, ze wstążkami i kwiatami. Gdy je one z głów pozdejmowały i w pokoju bawialnym z rodzicami rozmową się zabawiały, jam je szczegółowo wespół z rodzeństwem młodszem opatrywał i opatrzywszy brata mego najmłodszego Jana do jednego wsadził i po podłodze woził. Toż samo zrobiłem następnie z drugim kapeluszem. Bawiło to nas ogromnie. Łatwo wyobrazić sobie, w co operacja ta kapelusze zmieniła i jaka właścicielki onych, gdy ujrzały, w jakim znajdują się stanie, zgroza opanowała. Za zbytek ten kara mnie nie ominęła; nie byłem jednak osmagany, — postawiony zostałem na dłużej jak zwykle do kąta, ścierką okryty. Żałowałem, poprawę obiecałem i jużem się po raz drugi zbytku podobnego niedopuścił.

Dopuszczałem się zato innych. Jednego spłatałem ojcu

memu, najzupełniej niewinnie, z namowy wuja mego Michała, najmłodszego matki mojej brata, który w domu naszym przez miesięcy kilka bawił. Z nim, z panem Augustynem i z rodzeństwem młodszem udałem się dnia pewnego do lasu na przechadzkę. Po lesie błądząc, odkryliśmy szeregiem siedzące na gałęzi sowy: dwoje starych i kilkoro młodych. Zarządziliśmy na nie obławę i z trudem niemałym pojmać się nam udało, nie pamiętam dokładnie ile, czworo czy pięcioro. Gdyśmy z połowem wracali, wuj Michał zalecił nam zachowanie przed rodzicami tajemnicy absolutnej i kiedyśmy do domu przyszli, kazał mi sowięta ojcu pod łóżko puścić. Hałas, jaki one w nocy narobiły, obudził ojca; świecę zapalił — sowięta się pochowały. Zaledwie jednak, światło zgasiwszy, usypiać począł, znów hałas, i znów świecę zapalać musiał. Powtórzyło się to razy kilka. Ojciec spać nie mógł, co zaś gorzej, wytłumaczyć sobie nie umiał powodu powtarzających się za każdem ciemności nastaniem hałasów. Nazajutrz dopiero zagadka się dla niego rozwiązała. Zbytku tego nie odpokutowywałem, wuj Michał bowiem wyznał, że mnie namówił.

Ów wuj Michał figle różne płodził: straszył nas, pana Augustyna wyzywał do włażenia na drzewa i z drzewa go strząsał, dziewczęta wiejskie, gdy na kopankach chusty prały, do wody wtrącał i t. p. Przyczyną pobytu jego u nas była całkowita utrata majątku, który w przeciągu lat trzech puścił w Warszawie. Był to człowiek młody, bardzo przystojny i elegancki. Nazwisko swoje przyozdobił tytułem hrabiego, który uważał, że mu się, potomkowi wojewodów i kasztelanów, słusznie należy, i jako hrabia Brudzewski używał uciech stolicy, póki fortuna starczyła. Zrujnował się sam i na straty znaczne naraził brata swego najstarszego Macieja, który się na paru rewersach jego jako poręczyciel podpisał. Gdy nic już nie posiadał, do głowy mu przyszło, zamiast do szeregów wojskowych się schronić, w ożenieniu ratunku szukać. Nie powiodło się to, a przeszkodziło rehabilitowaniu się na teatrze wojny. Opuścił sposobność zginięcia z honorem na polu bitwy i zginął z ręki własnej. U nas zabawił miesięcy kilka; do Tańskiego, do ciotki Jeleńkowskiej pojechał i tam sobie życie odebrał. Tak smutno skończył człowiek wesoły: wesołym był bowiem wujaszek Michał; nam, dzieciom, w swawoli przewodniczył; nigdyśmy się

tak dużo nie śmieli, tyle nie biegali i tak dużo zbytków nie płodzili, co w czasie pobytu jego w Rybkach. On nas nauczył z rozjazdem i wabikiem na przepiórki chodzić, na wędkę wrony łapać, z łuków strzelać, z trzciny piszczałki fabrykować i z psem legawym w lesie trufli szukać.

W czasie pobytu jego spotkała ojca przykrość wielka. Rozstać się musiał z wiernymi i poczciwymi sługami towarzyszami: Piotrem kucharzem i Kalennikiem. Dziedzic ich dowiedział się, gdzie oni przebywają, i ojcu memu proces o nich wytoczył. Osnową procesu było: przytrzymywanie nieprawe poddanych cudzych. Nie wiem, jak się sprawa ta rozstrzygnęła; to jednak pewna, że nie zostali oni wydani w ręce pana, co się po tyrańsku z poddanymi obchodził. Zaopatrzeni w świadectwa i pieniądze poszli losu szukać — zdaje się — na Besarabji czy w chersońszczyźnie.

Rok, do którego się ta grupa wspomnień moich odnosi, zapisał się na długo w pamięci ludzkiej, jako rok klęski ogólnej: głodu i powietrza. Posucha sprowadziła nieurodzaj powszechny. Zboża chybiły wszędzie, z wyjątkiem Rybek. Nizinne wioski tej grunta dopisały w sposób nadzwyczajny. Posiewy, tak ozime jak jare, na snopy i na ziarno wydały plon, znamionujący urodzaj wielki. Ceny się podnosiły; ojciec mój, pomimo że się kupce nastręczali, ze sprzedażą nie spieszył, nie miał bowiem potrzeby zboża na pniu sprzedawać; gdy zaś zebrał, ceny podskoczyły tak wysoko, że brać tyle nie pozwalało mu — sumienie. Człowiek ten się wyraźnie na spekulanta nie rodził. Powiadał, że z nieszczęścia ludzkiego korzystać nie chce. Cenę umiarkowaną naznaczył i sprzedawał — nie żydom, ale włościanom okolicznym, którzy wozami przyjeżdżali i ziarno z toku wprost spod cepów zabierali, płacąc gotówką. Tok znajdował się przez tygodni kilka w oblężeniu. Dokoła fur pełno; jedna po drugiej pokolei wjeżdżały, karbowy mierzył; chłopi worki napełniali i gotówką płacili. Co wieczora ojciec mój w pole, albo Domański w czapce, karbowańce, monetę srebrną drobną, miedziaki nawet do domu przynosili. Chłopi okoliczni tę odnosili korzyść, że dostawali zboże z pierwszej ręki po cenie o połowę niższej od tej, jaką ojcu memu kupce ofiarowali. Toteż kupce głowami kręcili, cmokali, — dziwili się. Ojciec mój stracił w ten sposób rubli kilka tysięcy. Ha! — na spekulanta się nie rodził, kiedy

tego nie zrozumiał, że spekulacji waga cała polega właśnie na korzystaniu z potrzeby cudzej. Czas płaci, czas traci, — dla niego stracił. Okazja podobna nie powtórzyła się już więcej: nie skarżył się nigdy, że tę opuścił.

W roku następnym rozstałem się z pierwszym nauczycielem moim, poczciwym panem Augustynem Janowskim. Nastąpiła reorganizacja szkół; w Kijowie otworzono uniwersytet, i on do Kijowa się udał wcelu kończenia nauk, do których pociąg czuł.

Reorganizacja szkolna wogóle niechętnie przyjętą została. Słyszałem ojca mego, jak komuś powiedział:

— Wolę, ażeby synowie moi świnie paśli, niżby w szkołach takich nauk słuchać mieli...

Zmiany, wprowadzone odrazowo a brutalnie, podobać się nie mogły, tem bardziej że towarzyszyło im zwinięcie zakładów naukowych, które rzeczywistą społeczeństwu korzyść niosły. Nic nie usprawiedliwiało zniesienia Liceum Krzemienieckiego, szkół międzyborskich i szkół humańskich. Takie społeczeństwa kułakowanie, wyrażające się zapomocą ujmowania światła, grzeszyło mocno pod względem politycznym. Wielu było takich, co powiadali jak ojciec mój, i szukali przywrócenia nadwerężonej w szkołach równowagi edukacyjnej w edukacji domowej. Ojcu memu wydało się, że to rzecz możliwa. Gdy się przeto Aug. Janowski oddalił, szukać jął nauczyciela, człowieka poważnego i o tyle ukształconego, ażeby udzielić mógł nauk w tym zakresie, jaki wyznaczonym był przez Komisję Edukacyjną dla szkół wojewódzkich. Zakres to był dość wielki, obejmował bowiem edukację średnią, postawioną na stopniu dosyć wysokim, wkluczającym nauki przyrodnicze oraz znajomość łaciny i języka francuskiego. Ojciec mój nie obrachował się z siłami; wydawało się mu, że zadaniu podoła, zwłaszcza że zachęcały go przykłady. Tego samego środka chwycił się wuj Popowski. Przyjął do dwóch synów swoich, Augusta i Bolesława, nauczyciela w osobie p. Padlewskiego, człowieka wartości wysokiej. Ojcu memu trafił się p. Chondzyński, brat aptekarza z Raszkowa. Z nim się umówił i na jego intencję w Rybkach istną założył szkołę. Uczelnia moja była dotychczas przenośna. Odbywałem lekcje bądź w sali jadalnej, bądź w kancelarji ojcowskiej. Sprawiało to dystrakcję, dla usunięcia której

postawił ojciec oficynę; w niej izba osobna z wchodem oddzielnym przeznaczoną była na klasę. W izbie tej nie mieszkał nikt; sprzęty w niej składały się ze stoła, stołków, tablicy, półek na książki i map. Personel uczący się pomnożył się, przybywało bowiem dwoje z rodzeństwa mego, dziewczynka i chłopiec; okrom tego p. Chondzyński przywiózł dwóch synowców swoich: jeden ode mnie trochę starszy, drugi trochę młodszy. Było nas przeto uczniów pięciu. Dla p. Chondzyńskiego z synowcami dano pomieszkanie w starym domu. Jak skoro się sprowadzili, rozpoczęła się nauka w ciągu dalszym, w rozwoju znacznie szerszym aniżeli dotychczas.

P. Chondzyński był pedagogiem fachowym, posiadającym przymioty, czyniące z niego nauczyciela domowego doskonałego. Spokojny, nieunoszący się, umiał kazać siebie słuchać i szanować. Kłopotu niemałego nabawiała go siostra moja, swawolna nad wyraz wszelki, — on z nią sobie radę dawał. Nie zdradzał żadnej śmiesznej ani słabej strony; nie trapiło go dziwactwo żadne; widzieliśmy w nim człowieka zwyczajnego i o rozumie jego mieliśmy wyobrażenie wysokie; ojciec i matka nasza otaczali go szacunkiem; wszystko przeto składało się na to, ażeby nauka obracała się na korzyść naszą.

I obracała się. Przez dwa lata pobytu jego w domu naszym każde z nas rozszerzyło zakres wiedzy stosownie do wieku. Przeszedłem katechizm cały, historję świętą całą, historję polską całą, geografję i fizyczną i polityczną całą, i z arytmetyki działania z liczbami całemi i z ułamkami, jakoteż regułę trzech; obok tego uczyłem się gramatyki łacińskiej i niemieckiej, i robiłem ćwiczenia łacińskie i niemieckie; z języka zaś francuskiego skorzystałem tyle, żem po francusku mówił.

Lekcje odbywały się regularnie i bezprzeszkodnie. Żadni goście, żadna okazja nie naruszały porządku zegarkowego, wedle którego rozpoczynaliśmy i kończyli zajęcia nasze każdodzienne, zaznaczone w programie, czyli rozkładzie godzin, przybitym na ścianie. Porządkowi temu takie nadać umiano znaczenie, że naruszenie onego wydawało się nam świętokradztwem — zbrodnią, — ach!...

Zanotować muszę wrażenie oryginalne, jakie sprawił na mnie język francuski, kiedym do uczenia się mowy Gallów przystąpił. Uczyłem się naturalnie słów napamięć. Owóż wy-

dało się mi, że znaczenie słów w języku polskim i w języku francuskim odnosi się nie do wyrazów w całości wziętych, ale do sylab. I tak naprzykład: człowiek — *homme* tłumaczy się przez czło — *hom* i wiek — *me*. Wyobrażałem przeto sobie, że wszystkie wyrazy polskie, w skład których zgłoska „czło“ lub „wiek“ wchodzi, mają wyrazy francuskie odpowiednie ze zgłoskami *hom* i *me*. Wypadało mi stąd, że „wiek“ jest po francusku *me* i wielcem się zdziwił, gdym się dowiedział, że się wyraża zapomocą *siècle*. Zapowiadało to, że nie będzie filolog ze mnie.

Do języka francuskiego wagę wielką przywiązywała matka moja, — większą aniżeli ojciec. Do mówienia językiem tym zaprowadzona została „marka“ w postaci tabliczki, którą się zawieszało na szyi jako znak kary za mówienie po polsku, pociągającej za sobą obowiązek wyuczenia się napamięć liczby pewnej słów francuskich. W ten forsowny sposób szybko przychodziła znajomość języka, uważana w czasie owym za oznakę wychowania dobrego.

W tem pobereskiem, leśnem ustroniu rozległy się dźwięki mowy Fenelona i Bossueta ku niemałemu mieszkańców rybeckich zdziwieniu. Dzieci wiejskie słuchy na nie ciekawie nastawiały, najwięcej atoli ciekawości okazywali chłopcy arendarza, który we wsi karczmę trzymał, a zwał się Moszko i miał za małżonkę Chanę. Karczma bez zajazdu stała na pochyłości w niewielkiej od dworu odległości. Moszko i Chana uważani byli przeze mnie za członków rodziny gromadzkiej, różniących się odzieżą i mową dla racji, której nie znałem i nad którą się nie zastanawiałem zgoła. Różnica wiary ich w oczy mi wpadała dlatego tylko, że się inaczej aniżeli chrześcijanie modlili. Widziałem ją na nich, jakoteż na żydach innych. Od czasu do czasu sprowadzali rodzice moi z którego z miasteczek pobliskich krawców, którzy nas obszywali i którzy co rana ręce obwijali rzemieniami, czoła przyozdabiali kwadracikami czarnemi, kiwali się i wyśpiewywali.

— Modlą się — powiadali mi rodzice i domownicy.

W wyrazie tym brzmiał akcent szacunku, który we mnie szacunek wzbudzał i rzecz całkowicie tłumaczył. Szanowałem modlitwę żydowską narówni z chrześcijańską, stosując się we względzie tym do równouprawnienia religijnego zupełnego a bez-

warunkowego, jakie w Rybkach faktycznie dzięki rodzicom moim panowało. Najnabożniejsza pomiędzy nami babka nie naruszała we względzie tym harmonji. Z ust jej nie słyszałem nigdy o różnicy wiar, o wyższości jednej nad drugą, o prawdziwości tej a nieprawdziwości tamtej. O tem wszystkiem wyobrażenia nie miałem najmniejszego i tę różnicę, co mi się w oczy rzucała, tłumaczyłem sobie w ten sposób, że żydzi modlą się „po swojemu“, jak chrześcijanie „po swojemu“. Dalej pojęciami na drodze tej nie szedłem; co się zaś Moszka i Chany tyczy, czułem do nich pociąg sympatyczny, którego racja polegała zapewne na sposobie, w jaki się oni do mnie odnosili. Moszko z jarmarków przywoził mi bubliki i pierniki; Chana od czasu do czasu obdarzała mnie orzechami; w czasie świąt Kuczek arendarstwo przynosiło do dworu hamanowe ucho, makagigi i owoce. Ujmowało mnie to dla nich i byłbym w usposobieniu życzliwem pozostał dla żydów wogóle bez zmiany, gdyby mi nauka katechizmu i historji świętej oczów we względzie różnicy religijnej nie otworzyła. Różnicę poznałem i pretensję do żydów poczułem. Z Chondzyńskimi młodymi często o tem mowa była. Budził się w nas żal tego rodzaju, co w chłopach po kazaniach, na których słyszą opowiadanie o umęczeniu Chrystusa. Obmyślaliśmy sposoby odwetu i obmyślanie prowadziło nas do czynów, wchodzących do kategorji zbytków. Krawcom naprzykład do jadła, które dla nich osobno przyrządzano, wrzucaliśmy kawałeczki słoniny; smarowaliśmy im placki smalcem wieprzowym i t. p. Zdobyliśmy się jednak raz na zbytek, który się nam wydał czynem zasługi i po którym spodziewaliśmy się następstw ważnych. Moszkostwo mieli dwóch chłopców, od nas trochę młodszych. Chłopców tych razu pewnego zwabiliśmy do dworu starego, do mieszkania Chondzyńskich, i tam pochrzciliśmy obydwóch. Chondzyńscy przytrzymywali, ja zaś, na mocy tego, że chrzcić może każdy wedle formuły, której się w katechizmie nauczyłem, wodę na głowy najprzód jednemu, następnie drugiemu zlewałem i uroczyście wymawiałem wyrazy sakramentalne. Stało się to, rzecz prosta, w nieobecności stryja kolegów moich. Żydkowie chrzest przyjęli — bez wielkiego nawet ze strony ich oporu. Po chrzcie czas jakiś jeszcze z nami zabawili. Nazywaliśmy ich imionami, jakieśmy im nadali. Byliśmy prze-

konani, że oni o tem rodzicom swoim powiedzą, że wywiąże się stąd sprawa, że podziała „znamię raz wyryte i nigdy niezmazane“ i że urośnie dla nas zasługa pozyskania dla chrześcijaństwa dwóch dusz. Czekaliśmy. Czekaliśmy jednak nadaremnie. Ani sprawa się nie wywiązała, ani „znamię“ nie podziałało. Żydkowie żydami pozostali — zasługa nasza przepadła.

Wspomniałem wyżej o wuju Popowskim i o pełniącym u niego funkcje nauczyciela domowego Padlewskim. Popowski mieszkał w Michalówce nad Dniestrem i był dla mnie wujem z tego tytułu, że miał za sobą stryjecznorodzoną matki mojej siostrę, kobietę, która z mężem kontrast stanowiła. O ile on był spokojny, poważny, małomówiący, słowem, prezes typowy — na prezesa też stale wybierany bywał — o tyle ona była żywą, gadatliwą i spokoju nieznającą. Wiecznie nią coś kręciło, jeden zaś z powodów niepokoju jej tkwił w zazdrości, jaką ją mąż przejmował. Posiadała przytem talent pisywania listów długich. Posłaniec z Michalówki, ile razy przyjeżdżał, zawsze przywoził pakiet opieczętowany, zawierający w sobie kilka dużego rozmiaru arkuszy, zapisanych na strony wszystkie. Owóż razu pewnego, w miesiącu marcu czy kwietniu, posłaniec przyjechał i przywiózł list z oznajmieniem, że wujostwo Popowscy z synami i nauczycielem przybędą do Rybek w maju na majówkę. Wiadomość ta, gdy jej nam matka udzieliła, stała się dla nas powodem radości wielkiej. Wyglądaliśmy maja z niecierpliwością najwyższą. Nadszedł nareszcie. Wujostwo przyjechali. Dwa zakłady edukacji domowej złączyły się. Odbyły się najprzód popisy — rodzaj egzaminu konkursowego, który wypadł zadowalająco. Popisy przeniosły się na pole zabaw i niespodzianek. Chodziliśmy na przechadzki dalekie, grywaliśmy w piłkę, biegaliśmy na wyścigi, jadaliśmy w lesie podwieczorki. Jeden z podwieczorków zastawiono nam pod drzewem, na którem pomiędzy liściami ujrzeliśmy ku wysłowić się niedającemu zdumieniu naszemu pomarańcz pełno. Toż to była uciecha!

Padlewski nad nauczycielem moim tę posiadał wyższość, że naukę ożywiać umiał, że nie był taki, jak Chondzyński, sztywny. Sztywność ta jednak ani rażącą, ani zrażającą nie była, a to jeno sprawiała, że nauczyciel nie pochłaniał mnie,

że tak się wyrażę, osobistością swoją, nie neutralizował we mnie popędów naturalnych. Po lekcji skończonej stawałem się sobą, garnąłem się po dawnemu do dzieci włościańskich, biegałem na tok, wymykałem się do pasieki, do dziada, który prawić lubił o czasach dawnych. Dziadowie wogóle wzbudzali we mnie ciekawość, szacunkiem podszytą. W czasach onych chodzili jeszcze po wsiach lirnicy. O, jakże mnie zachwycali oni!

Raz w jesieni, pod niebytność p. Chondzyńskiego, który był na dni kilka dla interesów swoich do Raszkowa odjechał, z matką i panią Szczotkowską rodzeństwo moje i ja pojechaliśmy na oddalony o wiorst kilka od Rybek futor. Na futorze tym mieszkał dziad. Niesposób wyobrazić sobie czegoś rozkoszniejszego w rodzaju sadyby włościańskiej. Chata duża, widna i biała; przy chacie ogród fruktowy obszerny i drzew pełny; na podwórzu dokoła zabudowania gospodarskie i narzędzia, takie jak pług, brona, koziołek do strugania obręczy, stępy do bicia jagieł: wszystko to w porządku. Gospodarz, człek siwy a krzepki, przyjął nas uprzejmie, na przyzbie posadził i rozmową zabawiał a gościł. Po chwili poprowadził nas do winnicy, która do sadu przylegała. Na krzakach wisiały dokoła grona dojrzałe. Dziad dla pani Szczotkowskiej i matki mojej wyniósł stołeczki, pod krzakami najobfitszemi je postawił i prosił ich, ażeby usiadły i jadły; nam zaś biegać po winnicy całej pozwolił, zalecając jeno, ażebyśmy gron niezupełnie dojrzałych nie zrywali.

— Bo to szkoda — tłumaczył. — Szkody robić nie godzi się.

Za powrotem z winnicy na podwórze zastaliśmy misę pierogów ze śmietaną; kiedyśmy zaś odjeżdżali, znaleźliśmy w powozie winogradu sporo: „na drogę“.

Pomimo przeto, żem się po francusku uczył, pomiędzy mną a sferą ludową nie zrywał się ten węzeł, który się nawiązał, kiedym się nie uczył. Działo się to bez premedytacji ze strony rodziców moich, ale samą siłą przykładu, który szedł od nich. Oni się od sfery tej nie odosabniali, więcem lgnął do niej. Odbywało się to w sposób naturalny, a potęgowało dzięki akcentowi demokratycznemu, jaki ojciec mój wychowaniu memu również bez premedytacji nadawał. W dzieciństwie mojem

wyraz „demokracja“ o uszy moje nie obijał się nigdy. Alem widział ją w czynie, w ciągłości postępowania, owianego ideą, która, gdy się kiedy tłumaczyła słowem, to nigdy takiem, coby z nią w sprzeczności stawało. Ojciec mój twierdził, że szlachectwo na szlachetności polega i na wykazanie w świetle właściwem szlachectwa nieszlachetnego miał bajkę Niemcewicza *Człowiek i zwierzęta*, którą często z pamięci mówił, wygłaszając z akcentem odpowiedź świni, daną człowiekowi na zapytanie, co robić umie:

Nigdy się świnia podłością nie zmaże,
W najpierwszym zwierząt postawiona rzędzie,
Nie robiła, nie robi, i robić nie będzie.

Na dziecinny umysł nie mogło to wrażenia nie wywierać. Szlachcic próżniak przedstawiał się mi pod postacią zwierzęcia, tarzającego się w błocie i okrytego pogardą. Obok tego widziałem wszystkich pracujących, to jest pracą uszlachetnionych i uszlachetnieniem tem zrównanych. Pracował ojciec mój — pan, rozkazodawca; pracował poddany każdy. Zajęcia różniły się pod względem rozmiarów, ale nie pod względem natężenia, które w razach pewnych ze strony ojca bywało większe, aniżeli ze strony chłopów. Widywałem go przytem pouczającego robotników, pokazującego kosarzom, żeńcom, zmłockom, cieślom, jak kosić, żąć, młócić, ciesać należy. Stąd udział jego w pracy okazywał się mi takim, jakim w istocie był: dodatnim i rzeczywistym, a powtarzającym się dzień po dniu od świtu do zmroku, odpowiednio do pracy chłopskiej. Demokratyzm przeto, nieznany mi jako doktryna, poznawałem ze strony praktycznej, działającej na wyobraźnię dziecka, wrażającej się w umysł i przenikającej sumienie. Robiło się to — powtarzam — samo przez się, bez pomocy moralizacji i praktyk religijnych.

Tych ostatnich, poza pacierzem, który z babką odmawiałem, nie znałem wcale. Śród odwiedzających nas raz liczniej, znów mniej licznie, gości rzadko przewijała się sukienka kapłańska. Bywał u nas niekiedy staruszek ksiądz Browczyński z Łuhu, unita, który prawosławia, czyli, jak mówiono podówczas: „błahoczestja“, nie przyjął. Przyjeżdżał nawet od czasu do czasu ze mszą; nabożeństwo odprawiał w pokoju bawialnym; schodzili się na nie szlachcice czynszowi i włościanie, niektórzy się spowiadali i komunikowali; spowiadała się i komunikowała

zazwyczaj babka, i to na mnie wpływało o tyle, żem dla modlitwy był z szacunkiem głębokim, dostrojonym do nastroju, jaki dokoła mnie panował.

Odwiedzał Rybki, bodaj czy nie rokrocznie w porze jesiennej, kwestarz, zawsze jeden i ten sam, kapucyn z Winnicy. Ten zazwyczaj po dni kilka bawił; raz — pamiętam — miód sycił; zapytywał mnie regularnie, czy Ojcze nasz i Dziesięcioro umiem, ogórkami mi, gdybym nie umiał, groził i facecje różne prawił.

Proboszcza z Kodymy w progach naszych nie przypominam sobie, — nie pamiętam, boć przyjeżdżać musiał dla chrzcin, które się w Rybkach powtarzały razy cztery, wszyscy bowiem młodsi bracia moi: Józef, Jan, Szczęsny i Justynjan, w Rybkach na świat przyszli. Zdaje się atoli, że, jeżeli nie wszystkich, to niektórych z nich, chrzcił ksiądz Browczyński. Z pewnością tego nie mówię; dziwi mnie wszakże, dlaczego mi postać proboszcza kodymskiego ze wspomnień usunęła się całkowicie. Nie dzieje się to bez przyczyny, kiedy przypominam sobie postać organisty, przywożącego przed Bożem Narodzeniem opłatki, jakoteż tę okoliczność, że na Wielkanoc święcone święcił ojciec mój sam, używając na cel ten kropidła, zrobionego z kłosów zbożowych.

Na święta, zwłaszcza Bożego Narodzenia, zjeżdżał do nas zwykle ktoś z ojca mego rodziny; bądź stryjowie: Antoni, co w wojsku służył, lub Erazm, który ciotce Biłgorajskiej, gdy owdowiawszy część w Dojbanach kupiła, gospodarował; bądź też ciotka Biłgorajska z dziećmi. Ta ostatnia córkę starszą, Józefę, za Karpowa majora, później generała, wydała i przyjechała raz z zięciem. Stryj Antoni umarł niebawem. Stryj Maciej, z wojska przed wojną turecką jeszcze wyszedłszy, ożenił się z panną Czernicką i wziął w dzierżawę wieś skarbową Gwozdawkę, którą długo trzymał, aż spadła na niego klęska rodzinna. W przeciągu miesięcy kilku śmierć mu zabrała dzieci kilkoro i żonę bez żadnej napozór przyczyny. Tak się złożyło. Po pogrzebie jednym następował wkrótce drugi, a umieranie rozpoczęła córka najstarsza zamężna, której życie wydarł połóg. Cios ten odczuła matka tak silnie, że za córką poszła. Po matce zgasło jeszcze dzieci dwoje. Wskutek klęski tej stryj z pozostającem mu jeszcze pięciorgiem dzieci Gwozdawkę opuścił i do Chersoń-

szczyzny się przeniósł. Nastąpiło to w roku 1847. W czasie pobytu naszego w Rybkach rodzina jego przedstawiała obraz szczęścia domowego zupełnego. Gospodarstwo się wiodło; dzieci się zdrowo i ślicznie rodziły, i ślicznie a zdrowo rosły; w domu panowała harmonja jaknajlepsza, którą akcentował stryj humorem dobrym, zaprawnym dowcipem, sypiącym żarty jak z rękawa. Rzadko mi się zdarzało widzieć człowieka weselszego i w towarzystwie milszego. Odwiedzał on nas rzadko, raz spowodu odległości, wymagającej wydalania się z domu na dni kilka, powtóre dlatego, że mu na wyjeżdżanie nie pozwalało gospodarstwo i urzędowanie. Podsędkował w Bałcie od wyborów do wyborów. Klęska, o której wyżej wspominam, złamała go. Zabrakło mu hartu do zniesienia nieszczęścia.

Do Rybek wiążą się wspomnienia moje najrozkoszniejsze i najjaśniejsze. Wspomnienia te, rozpatrywane z tej odległości, z jakiej na nie spoglądam, i porównywane z tem, com w życiu późniejszem obserwował i czego doznałem, przejmują mnie uczuciem wdzięczności głębokiej dla ludzi, którzy na drodze poznawania wskazówki mi najpierwsze dawali. Wytknęli mi oni „drogę a prostą“, a wytknęli mi ją tak, że pozostawało mi iść nią do końca. Jeżelim błądził, to nie z ich winy. Oni, co do nich należało, zrobili sumiennie i w rozciągłości całej: dali mnie światu czystego jak łza. Świecili mi przykładem, a przykład rodzicielski w wychowaniu dzieci rzadko kiedy nie pełni funkcji igły magnesowej, wedle której ludzie kierują się w wieku dojrzałym nawet.

Ojciec mój mógłby był Rybki na własność nabyć: przez zastaw je trzymał, a właściciel funduszu na spłacenie go nie posiadał. Byłoby to zapewne nastąpiło, gdyby się wywabić nie dał na świat o rozleglejszych aniżeli rybecki horyzontach. Zrobił to dla matki mojej, która się zbliżyć pragnęła do ukochanej przez nią siostry swojej starszej, ciotki Jeleńkowskiej. Zbliżenie się przedstawiało ponętnie, pod postacią spółki gospodarskiej, aspektów świetnych pełnej. Większe gospodarstwo większe rokuje korzyści, — tak reguła głosi. Dzierżawa, ojcu memu przez ciotkę Jeleńkowską proponowana, posiadała, jak się zdawało, warunki powodzenia wszystkie: ziemię dobrą, grunt orny, sianożęcie, wypasy, las, wodę, młyny, propinację, i leżała pod Tulczynem, to znaczy w okolicy zbytu zbożowego łatwego, poza

promień dostawy do Odesy niewychodzącego. Nazywała się Klebań. Niedogodność jej cała na tem tylko polegała, że była to własność Mieczysława Potockiego, o którym sława chodziła niedobra. Nie zarzucano mu wszakże w stosunkach z dzierżawcami nierzetelności. Wymagał on od nich jednego: regularnej i akuratnej wypłaty tenuty, co było rzeczą zupełnie słuszną, zresztą się do niczego nie wtrącał. Wszystkie dobra jego wypuszczone były w dzierżawę i dzierżawcy dobrze się mieli. Informacje tego rodzaju zachęcające były. Ojciec mój zgodził się na spółkę, złożoną z trzech uczestników: ciotka Jeleńkowska, zięć jej Augustyn Kurzański i on. Rybki odstąpił Bajewskiemu, który ojca mego spłacił. Nastąpiło to w roku 1835, to jest, w życia mego jedenastym.

Interes załatwił się w styczniu, na kontraktach kijowskich. Warunki z jurysdatorem ograniczały się na płaceniu w terminie. Warunki spółki komplikowało utrzymywanie trzech domów, czerpać mających z jednych i tychże samych spichrzów, zasieków i stogów. Komplikacja ta atoli do usunięcia była, zapomocą ścisłości w rachunkach, do których się spólnicy zobowiązywali. Spółka ojcu memu powierzała dyrekcję ogólną nad gospodarstwem, którego prowadzenie wymagało personelu administracyjnego licznego: rządcy, trzech ekonomów, pisarzy prowentowych, służby tokowej, służby folwarcznej, atamanów, essaułów.

Klebań leży o milę zgórą na wschód od Tulczyna nad rzeczką Sielnicą, do której od południa wpada inna, nieznanej mi nazwy, rzeczułka i we wsi z pierwszą się łączy. Dwie te rzeczki, groblami zatrzymane, formują dwa olbrzymie stawy. Jeden wierzchowiną sięga prawie Kinaszowa, dotykającego Tulczyna; nad drugim, w podkowę wygiętym, rozrzuca się w nieładzie wieś ogromna, tysiąc kilkaset dusz ludności licząca. W czasach owych na dusze się majątki obliczały i szacowały. Dusza oznaczała mniejwięcej mórg wysiewu w każdą rękę wedle gospodarstwa trzechpolowego, nie licząc w to sianożęci i wypasów. Tysiąc dusz znaczyło tysiąc morgów pod oziminę, tysiąc pod jarzynę i tysiąc odłogujących, co dawało dziesiątki tysięcy korcy zbiorów. Ogromna przeto pomiędzy Rybkami a Klebanią zachodziła różnica. Część trzecia większą była o razy cztery.

Spólnicy zamierzyli gospodarstwo na szeroką prowadzić skalę. Klebań nie posiadała gorzelni — postanowili gorzelnię

postawić; włościanom brakło sprzężaju — zobowiązali się wołów nakupić i rozdać je pomiędzy chłopów na wypłaty częściowe na lat dwanaście, to jest na przeciąg czasu kontraktu dzierżawnego rozłożone. Niezależnie od tego ze spólników każdy wchodził z inwentarzem żywym i martwym w ilości rozmiarów gospodarstwa odpowiedniej. Wszystko to razem wzięte pociągnęło za sobą znaczny na fundusz nakładowy wydatek, który należało w przeciągu lat dwunastu samemu sobie z procentem zwrócić.

Klebań posiadała dwa dwory mieszkalne. Dwa te dwory zajęli ciotka i Kurzańscy. Ojciec mój, który miał do budowania słabość, rad był okazji stawiania sobie domu nowego. Że jednak mieszkać gdzieś musiał, wynajął więc sobie domek u jednego z księży, który w Klebani, dzielącej się na dwie parafje, pełnił funkcje proboszcza. Do domku tego sprowadziliśmy się. Pamiętam chwilę przyjazdu naszego. Ta wieś ogromna ze stawami i cerkwiami była dla mnie przedmiotem podziwu nadzwyczajnego. Nie mogłem się w niej rozpoznać. Wszystko mnie zastanawiało. Wierzby? — jam wierzb w Rybkach nie widział. Wybiegałem ponad staw i napatrzyć się dosyć nie mogłem ogromnemu zbiorowisku wody. Kiedym zaś zobaczył wdali czółno, ach, do czółna dusza się mi rwała. Przez dni kilka pozostawałem w stanie zachwytu nieustającego.

Właścicielem domku był ksiądz, starzec piękny, siwowłosy i białobrody, który mieszkał w domu drugim, znajdującym się na podwórzu tem samem. Niegdyś unita, mówił po polsku czysto i był człowiekiem wykształconym. Jako taki za spotkaniem najpierwszem o naukę mnie zaczepił.

— A uczysz się, kawalerze?... Próżnujesz!.. Przyjdźno do mnie, ja ci na próżnowanie lekarstwo dam...

Poszedłem do niego; on mnie przy stole posadził i, ćwiartkę papieru przede mną położywszy, dyktował:

Jak na niedźwiedzia, gdy szyszka spadnie,
On przeraźliwie i hardo mruczy;
Milczy pokornie, milczy przykładnie,
Kiedy mu gałąź dobrze dokuczy.

Skończył, kazał mi odejść i przyjść później. Przyszedłem później — zastałem go podochoconym. Częste podochocanie sobie stanowiło słabość jego.

Do Klebani przyjechaliśmy na wiosnę. Na Zielone Święta

ojciec do Bałty jeździł wcelu zakupna koni folwarcznych. Po powrocie jego matka pojechała do Niemirowa. O uszy moje obił się po raz pierwszy wyraz: szkoły.

Od wyjazdu z Rybek bajdykowałem. Chondzyński rozstał się z nami dlatego głównie, że brat jego, aptekarz w Raszkowie, umarł, i on musiał interesami bratowej się zająć. Pozostałem więc bez nauczyciela. Prawdę powiedziawszy, nie zawadzało mi to. Używałem życia: tom uganiał, tom ryby na wędkę łowił, to, gdy pocieplało, kąpieli używałem. Raz, za daleko w wodę zaszedłszy, grunt pod nogami straciłem i byłbym się utopił, gdybym ratując się, nie natrafił instynktownie na sposób pływania. Sposobum tego się chwycił i pływać się nauczyłem. W domku księżowskim przyciasno nam było, i dlatego zapewne mało na to, co robię, uwagi zwracano. Nas dzieci często zabierali do siebie, jeżeli nie ciotka, to Kurzańscy.

W Niemirowie, o mil cztery od Klebani oddalonym, matka zabawiła dni kilka. Zadaniem jej było pomieszczenie dla mnie wyszukać. Wyszukała takowe u Gonzala, nauczyciela rysunków. Powróciła z informacjami, tyczącemi się porządków nowych szkolnych, jakoteż pobytu mego na upatrzonej przez nią stancji. Gonzal i żona jego zrobili na niej wrażenie jaknajlepsze; matka panią Gonzal uprzedziła, żem swawolny i brzydki, i prosiła jej o pobłażliwość dla mnie we względzie tak jednym, jak drugim; ona ją uspokoiła, mianowicie co do przymiotu drugiego, o który pomiędzy rodzicami moimi a babką zachodziło nieporozumienie ustawiczne. Oni utrzymywali, żem brzydki; ona zawsze jedną i tąż samą miała na to odpowiedź:

— Nie rozumiem, czego od dziecka tego chcecie!...

Brzydota moja ludzi razić nie musiała, albowiem faworyzowała mnie wielce ciotka Jeleńkowska, która przy okazji każdej wywoływała mnie na deklamowanie wierszy.

Pomiędzy informacjami, jakie matka przywiozła, znajdowała się jedna, odnosząca się do odzieży. Nakazano uczniom noszenie mundurów wedle formy przepisanej: na dzień powszedni granatowe krojem wojskowym surduty ze stojącemi a na haftki zapinanemi kołnierzami czerwonemi i tegoż koloru spodnie, od parady fraki; kaszkiety z obwódką czerwoną i od zimna płaszcze nie inne, jak wedle formy. Ojca to gniewało, mnie bawiło. Kazano dla mnie robić mundurek z ojcowskiego

surduta; matka zaś i babka zajęły się zaopatrzeniem mnie w bieliznę i pościel. Przyrządzano na użytek mój kuferek z kłódką i nauczano, jak mam rzeczy swoje utrzymywać w porządku i czystości. Zajmowało mnie to, — uśmiechało mi się życie nowe, roiłem o niem. Instrukcje moralne, jakie z ust rodziców słyszałem, do przekonania mego trafiały i szczerą zapewne miałem intencję stosowania się do takowych. Wyprawę wreszcie ukończono, przyszedł moment wyjazdu.

O! jakże moment ów wstrząsnął mną. Nigdym w życiu łez tyle, jak przy pożegnaniu z matką i babką, z siostrą i braćmi, nie wylał.

Czułem, jakby się zrywał drogi, bardzo drogi węzeł jakiś. Wstępowałem w inne, w zagadek pełne życie. A przecież życia tego ciekawy byłem. Nie powiem, żebym się do niego rwał. O tem nie wiem. Wspomnienia nie przedstawiają mi jasno owoczesnego duszy mojej stanu. Nie opuszczałem atoli rodziców z niechęcią. Żal mi za nimi było; żal mi wypełniał serce po brzegi i tłumaczył się łzami, których długo, na wózku już obok ojca siedząc, powstrzymać w stanie nie byłem. Com płakać przestał, to znów zaczynałem. Ojciec mnie łagodnie uspokajał. Uspokoiłem się wreszcie, nieprędzej atoli, aż w Bracławiu, to znaczy na połowie drogi z Klebani do Niemirowa. Druga połowa upłynęła mi na rozpatrywaniu się po okolicy, przyległej do traktu pocztowego, który ze słupami wiorstowemi i chodnikami drzewami wysadzonemi był nowością dla mnie. Pogoda nam sprzyjała. Widok Niemirowa, który mi się przedstawił z góry, mocno mnie zajął. Wieże kościoła, kopuły cerkwi kilku, czerwone dachy domów, zwierciadlane szyby stawów tworzyły nową zupełnie dla mnie panoramę, ponętnie się prezentującą w oświetleniu słońca zachodzącego. Widok ten tem mi się ponętniejszym wydawał, żem się wychował w lesie. Wpatrywałem się weń z zajęciem wielkiem i zajęcie nie opuściło mnie w mieście. Stanęliśmy w zajeździe tuż obok kościoła. Gospodarz był dawnym ojca znajomym; znał go dzieckiem, znał dziada mego. Żyd staruszek Kościuszkę pamiętał i rad o nim wspominał. Gdy mnie zobaczył, głową pokręcił, cmokał i mówił:

— Ny, wielmożny pan doczekał się już syna takiego dużego...

Gdyśmy się roztasowali, poszliśmy do księdza, którego wówczas widziałem po raz pierwszy i ostatni: człek niemłody i poważny. Witał on ojca mego, jak dawnego, dobrego znajomego, i udzielał mu informacyj, tyczących się szkół. Byliśmy u niego na herbacie. Za powrotem do zajazdu, przy wieczerzy, złożonej z prowizyj, w jakie nas babka zaopatrzyła, mieliśmy gościa, jegomościa jakiegoś, który ojcu szeroko rozpowiadał o jakimś bardzo szacownym i ważnym a rzadkim, przez niego znalezionym rękopisie, odnoszącym się do wojen kozackich. Notuję szczegóły te dla wykazania, jak mi się drobiazgi wszystkie z momentu onego w pamięci wraziły. Wszystko przypominam sobie: ruch, gest każdy; mógłbym opisać chwilę każdą pobytu pod dachem domostwa żydowskiego z czasu pierwszego mego do Niemirowa przyjazdu.

Nazajutrz, około dziesiątej rano, ojciec mnie do dyrektora poprowadził. Dyrektorem był Jan Miładowski. Zastaliśmy go w kancelarji, w której pośrodku stał stół długi, suknem okryty i krzesłami obstawiony, naprzeciwko na ścianie wisiał duży, w ramach złoconych, portret cesarza Mikołaja, zboku znajdowały się szafy z książkami. Miładowski ojca mego uprzejmie jak znajomego powitał, — był w Winnicy nauczycielem jego.

— A!... syna... syna nam pan przyprowadzasz... — mówił prędko, szkiełko, co mu na szyi wisiało, do oka przykładając i mnie się przypatrując.

— Do szkół... — odpowiedział ojciec.

— Czy się czego uczył?... — zapytał, szkiełko z rąk wypuścił, palce poślinił i brwi sobie pogładził.

— Uczył się... — odrzekł ojciec.

— Czyta, pisze, rachuje?

— Umie on coś z geografji i historji...

— A ba... — rzucił i usta sobie dłonią wycierał, zdradzając w gestach i ruchach żywość, jakby nim co we środku kręciło. Ile jest części świata?... — zapytał, do mnie się zwracając.

Odpowiedziałem.

Zadał mi następnie z geografji, z łaciny i z arytmetyki pytań kilka i, wetknąwszy mi w ręce książkę otwartą, rzekł:

— Czytaj...

Jam na książkę popatrzył i — ani weź. Była to książka rosyjska.

— Uhm... odezwał się. — Wszystko nanic... Mógłby pójść do klasy drugiej, tak zaś do pierwszej wejść nie może...

— Szkodaby go niżej oddawać... — zauważył ojciec.

— Szkoda... zapewne; cóż jednak pan dobrodziej chcesz?... Gdyby po rosyjsku czytać przynajmniej umiał...

— Nauczy się...

— Nauczy, pan powiadasz?... — podchwycił i, zwracając się wnet do stojącego obok we fraku granatowym krzywoustego jegomości, zapytał: — Co?...

Jegomość krzywousty, który był, jakem się później dowiedział, nauczycielem języka łacińskiego, szyję wyciągnął, głową skinął i słów parę półgłosem powiedział.

— Nauczy się?... — znów się Miładowski do ojca mego zwrócił.

— Od niego to zależy... — odparł ojciec — i zdaje się...

— Nauczysz się?... — przerwał mu dyrektor, ku mnie się pochylając.

Obiecałem.

— No... słowo mi na to daj... — rękę mi podał.

Jam dłoń moją wyciągnął, on ją uścisnął i przystąpił do zaciągania mnie w regestr. Ojciec złożył metrykę moją i dowód szlachectwa. Gdy do zapisywania tytułów ojca mego przyszło, powstała kwestja, jak po rosyjsku „porucznik". Kwestji tej ojciec rozwiązać nie umiał i jakoś ona przez Miładowskiego wespół z nauczycielem łaciny rozwiązana została.

Po załatwieniu formalności dyrektor zapytał:

— Gdzież pan dobrodziej chłopca na stancji postawisz?

— U pana Gonzala...

— To dobrze... to bardzo dobrze... — odrzekł. — Powiem Gonzalowi, ażeby go w języku rosyjskim dopilnował... Spodziewam się, że się będziemy uczyli i prowadzili dobrze — do mnie na odchodnem przemówił.

W dniu tymże samym ojciec mnie na stancji zainstalował. Gdy mnie państwu Gonzalostwu przedstawił, pani, kobieta miła i dobra, odrazu zaprotestowała przeciwko reputacji, jaką mi matka zrobiła.

— Wszak on wcale nie brzydki...

— Liczę na to, że go ozdobi nauka — odrzekł ojciec.

— O tak... nauka ozdabia — ona na to.

Udaliśmy się jeszcze do zajazdu po kuferek mój. Ojciec konie założyć kazał, odwiózł mnie, pożegnał i do Klebani odjechał.

Pozostałem po raz pierwszy bez rodziców. Myśl ta łzy mi wyciskała. Od płaczu powściągnąć się starałem i dokazałem tego przy pomocy pani Gonzal, która mnie do siebie przygarnęła, ugłaskiwała i pocieszała.

Dostałem się w ręce dobre, dobroć których głównie na pani polegała. Póki ona żyła, szło wszystko, jak należy. Gonzal sam — krzemieńczanin, jeżeli się nie mylę, — był typem guwernera dla panów wielkich: znał języki: francuski i niemiecki, malował, na fortepianie i skrzypcach grał, tańczył i był eleganckim bez pretensji, człowiekiem manier wytwornych i tonu dobrego. Zakład jego nie był stancją zwyczajną, ale półpensją. Chłopcy, do szkół chodząc, pobierali w domu lekcje prywatne języków i rysunków, do których się Gonzal zobowiązywał. Za muzykę i tańce płaciło się osobno.

Stancje uczniowskie podlegały nadzorowi szkolnemu, który wglądał w kwalifikacje osób uczniów trzymających. Kwalifikacje tyczyły się konduity. Władza szkolna wyznaczała instruktorów (korepetytorów), bądź spomiędzy uczniów klas wyższych, bądź spomiędzy osób spoza szkół, do niesienia pomocy naukowej usposobionych. Utrzymujący uczniów obowiązani byli dawać instruktorom pomieszkanie i pożywienie, uczniowie zaś od siebie płacili im retrybucję lekką. Dla studentów ubogich i dla ludzi, którzy wskutek reorganizacji szkolnej na bruku się znaleźli, stanowisko instruktorów było dobrodziejstwem ogromnem. I Gonzal przeto instruktora trzymał, którego opłacał z kieszeni własnej. Kiedym się u niego na stancji znalazł, zastałem instruktora w osobie młodzieńca, który zrazu, nie rozumiem dlaczego, plątał się w pamięci mojej pod nazwiskiem Puchalskiego, którym jednak był wsławiony później na polu badań i hipotez etnograficznych Franciszek H. Duchiński.

Wogóle rok pierwszy pobytu mego u Gonzala mętnie mi na tle wspomnień występuje. Było nas chłopców niewielu, sześciu czy ośmiu. Nazwiska ich w pamięci mojej mieszają się z nazwiskami tych, co w roku następnym przybyli w liczbie tak znacznej, że się w domu, albo raczej w przybudowaniu

onego, zrobiło pełno i ciasno. Z roku pierwszego zarysowuje się mi najwyraźniej postać instruktora, chłopca młodego, lat szesnastu, siedemnastu, smukłego, oblicza białego z rumieńcami silnemi, ciemnowłosego, który ze mną na tablicy arytmetykę przerabiał, lekcyj słuchał i odrabiania zadań pilnował. Był on dla nas przedmiotem podziwu do śmiechu pobudzającego spowodu ruchów dziwacznych, jakich się ciałem i twarzą dopuszczał. Wykrzywiał się, wyginał i ramionami rzucał. Bawiło nas jednak najbardziej jego do łóżka, gdy spać się kładł, wchodzenie. Usiłował do pościeli wskoczyć, tak jak nurek do wody skacze. Nie udawało mu się to, pomimo że w sztuce tej wieczora każdego się ćwiczył. Nastawiał się, podskakiwał, przysiadał, balansował się, dłonie nad głową składał, próbował, próbował, i my, patrząc na to, ze śmiechuśmy się pod kołderkami dusili. Rys ten przyda się może do biografji Duchińskiego, o którym z czasu onego nic więcej powiedzieć nie umiem. Nie zaznaczył się we wspomnieniach moich niczem, coby za zapowiedź powołania etnograficznego uważać można. Zresztą — we względzie tym postrzegacz ze mnie był niekompetentny. W latach jedenastu postrzegaczem nie jest się jeszcze.

Nasz tryb życia tak się układał. Mieszkaliśmy w jednej dużej izbie, będącej zarazem sypialnią, uczelnią i jadalnią. Wzdłuż ścian dokoła stały łóżeczka uczniów, pośrodku stół długi z ławkami po stronach dłuższych, ze stołkami po krótszych, nad łóżkami półeczki, a na nich książki i kajety. Latem i zimą wstawaliśmy o szóstej, umywaliśmy się, ubierali, pacierz odmawiali i o siódmej do śniadania zasiadali. Ci, dla których rodzice herbatę, kawę lub mleko wymówili, pili herbatę, kawę lub mleko, inni dostawali zacierkę, krupnik jaglany lub hreczany, polewkę mączną lub coś podobnego. Jam do tych ostatnich należał. O pół do ósmej odzywał się dzwonek szkolny, szykowaliśmy się w ordynek i szli pod dozorem instruktora. Od ósmej do jedenastej lekcje, po półtory godziny jedna z kilkuminutową przerwą, w której nas na podwórze szkolne wypuszczano. O jedenastej powrót na stancję w ordynku, o dwunastej obiad, zupa lub barszcz, mięso, jarzyna lub kasza, o pół do drugiej na odgłos dzwonka do szkołyśmy się udawali znów i pozostawali w niej do piątej. Po powrocie popołudniowym dostawaliśmy po kromce chleba z masłem lub po-

widłami, bawiliśmy się pół godziny i zasiadali do uczenia się lekcyj i odrabiania zadań. Wieczerzaliśmy o pół do ósmej a szli spać po pacierzu, o dziewiątej. Na lekcje prywatne czas brał się bądź w porze obiadowej, bądź po wieczerzy, na którą miewaliśmy najczęściej krupniczek jakiś lub bigosik z jabłkami. Krupniczek dawano nam ze schabem, a w schabie znajdowało się często pełno śrutu drobnego. Pochodziło to stąd, że się mięso wędziło pod daszkiem nad kominem i gdy się z komina nie dymiło, do mięsa zaglądały wrony, które Gonzal strzelał.

W zasadzie Gonzalostwo jadać z nami byli powinni, i tak się było zaczęło, ale trwało to niedługo. Pani chorowała; z racji choroby pani nie siadał do stołu pan: jadali z dziećmi (dwóch synków mieli) osobno. Nam prezydował instruktor. Gonzal przychodził niekiedy, w progu stawał i czas jakiś naglądał, czyniąc od czasu do czasu uwagi, tyczące się przyzwoitości przy stole. Zjawiał się niby Jowisz, co miało dobrą swoją stronę: nie powszedniał nam i słowo jego każde znaczenie miało doniosłe.

Do stołu posługiwali, jakoteż obuwie i mundurki czyścili nam chłopcy, przysyłani wraz z synami przez ojców niektórych, dbałych o to, ażeby dzieci ich miały obsługę własną. Takich zawsze było paru. Podhorski Zygmunt miał ze sobą kozaka starego, chodzącego w kurcie szafirowej i w szarawarach szerokich, zakładającego sełedec za ucho i noszącego w uchu jednem duży srebrny kólczyk. Kólczyk ów intrygował mnie; zapytałem kozaka, naco go nosi; odpowiedział mi, że dzięki onemu słyszy, jak trawa rośnie.

— Do ciebie — tłumaczył mi — trawa nic nie mówi, a do mnie mówi: bzzz...

Pierwszy rok w szkołach przeszedł mi bardzo dobrze. W naukach zaszła była przerwa kilkotygodniowa: zapadłem na kur (odrę); wynagrodziłem jednak czas stracony i po egzaminach dostałem do klasy drugiej promocję z zaznaczeniem: w naukach „celujący“ (otlicznyj), w konduicie „przykładny“ (priminyj). Trudność językową przełamałem z łatwością. Zresztą w istocie nie była to trudność ze względu na to, że nauczyciele, w większości swojej jeszcze Polacy, pomagali nam do przełamywania takowej, tłumacząc po polsku, czegośmy po rosyjsku zrozumieć nie mogli. Jeden z nich, Mokijewski, — geografję wykładał — przemawiał do nas po rusińsku. Ze

strony nauczycielskiej, za wpływem zapewne Miładowskiego, chęć złagodzenia ostrości rozporządzenia, podstawiającego nagle mowę jedną zamiast drugiej. była szczerą i ogólną. Wszakże i w gronie nauczycieli trafiali się tacy, co się do porządku nowego nałamać nie mogli. Język niemiecki wykładał nam Grudziński niejaki, człowieczek stary, chudy, malutki, mówiący po polsku z mocnym akcentem niemieckim, zabawny nad wyraz wszelki: ten po rosyjsku słowa jednego wymówić nie był w stanie. Język mu nie służył. Gdy usiłował mówić po rosyjsku, mówił po niemiecku, z niemieckiego zaś tłumaczył po polsku. Z tego koła zaczarowanego wyjście dla niego niepodobieństwem było. Wyrazy kaleczył, rzucał się, wykrzywiał i wywoływał w klasie śmiech, spowodu którego w gniew srogi wpadał. Z klasą, liczącą stu zgórą chłopaków, niełatwo było do ładu trafić, zwłaszcza że Grudziński sam sobie zadanie utrudniał, przyjąwszy do nauczania języka niemieckiego metodę praktyczną.

— Gramatyka — powtarzał z akcentem przysłowiowym — to stara baba, co młode dzieci męczy...

Uczył więc nas w klasie mówić. Zdania wymawiał i nam powtarzać kazał, wygłosiwszy na początku roku trzy zdania, z których w jednem znajdował się rzeczownik *Katze*, w drugiem *Mütze*, w trzeciem *Knopf*. Powtarzanie sprawiało hałas straszliwy, ogłuszający, dla uniknięcia którego wprowadził wymawianie frazesu jednego i tegoż samego kolejno przez uczniów wszystkich. Skończyło się na tem, że uczniowie wyuczyli się doskonale trzech zdań owych i gdy Grudziński zażądał, ażeby sami z pomysłu własnego zdania tworzyli, każdy budował frazes na podstawie *Katze*, *Mütze* albo *Knopf*. Wyjść stąd — ani rusz. Doszło do tego, że go to we wściekłość wprawiało. Zakazał używania trzech tych wyrazów i zagroził, że kto jeden z nich wymówi, temu laskę na głowie roztrzaska. Tego jeno brakowało, ażeby uczniowie nie wymawiali wyrazów innych. Grudziński na wymawiającego z laską podniesioną się rzucał; ten pod ławkę nurka dawał. Powtarzał to razy kilka i laskę roztrzaskiwał, nie o głowę jednak niczyją, ale o ławkę. Mimo to był to człowiek bardzo dobry, dzieci go lubiły, ile razy się na niepokój pożalił i o spokój poprosił,w klasie zapanowywała cisza i lekcja odbywała się dobrze. Gniewał się, i unosił, ale ani sam karał, ani skarżył.

W momencie owym za sprawą J. J. Rousseau i Pestalozziego krążyły po Europie nowe poglądy edukacyjne; za sprawą zaś Miładowskiego poglądy te przenikały w Niemirowie do umysłów ludzi tak nauczających, jak uczących się. Śród tych ostatnich wyrażały się one pod postacią tego przekonania, że lekcje wydawać należy słowami swojemi, to jest nie recytować ale opowiadać. Przekonanie to wszakże nauczyciele podzielali niewszyscy. Jeden mianowicie odznaczał się opornością we względzie tym. Był nim Mokijewski, człowiek na nogę jedną kulawy, który nam geografję wykładał. Wykładał przedmiot swój cale starannie, pod tym zwłaszcza względem, iż nam mapy kreślić kazał, w czem z uczniów niektórzy do zadziwiającej dochodzili doskonałości. Ale, co się „słów swoich“ tyczy, okazywał się nieugięty. Niedosyć, że zadawał „stąd-dotąd“, ale jeszcze w książkach elementarnych wykreślał ołówkiem wyrazy, które za zbyteczne uważał, wymagając wyuczania się tych, co pozostawił, dosłownie, w porządku, w jakim następowały jedne po drugich. Gdy kto wyraz zmienił, jeden nadto wtrącił, lub porządek przeinaczył, wnet poprawiał, niekiedy lekcję za nieumianą uważał, tłumaczącemu się zaś, że mówi słowami swojemi, odpowiadał:

— Jaż od ciebie nie wymagam, ażebyś mówił słowami cudzemi... Wyucz się napamięć i mów, a będą to słowa twoje, bo z niczyich jeno z twoich wyjdą ust...

O nauczycielach innych z czasów pierwszoklaśnikostwa mego wspomnienia mi się w pamięci nie wraziły. Język rosyjski wykładał Rosjanin z nazwiskiem polskiem, mówiący po polsku wybornie; łacińskiego ów krzywousty, o którym powyżej wspomniałem; nazwiska ich z pamięci mi wypadły. Arytmetyki nauczał Miładowski, katechizmu proboszcz niemirowski, ksiądz Antoszewski, francuskiego Féron, kaligrafji i rysunków Gonzal. Katechizm był przedmiotem jedynym, który się w polskim wykładał języku. Ton nauczaniu nadawał Miładowski i utrzymywał takowy w nastroju ojcowskiej dla młodzieży życzliwości. Rozumiał on zadanie edukacyjne i umiał je rozwiązywać, imponując podwładnym swoim nietylko wyższością wiedzy, ale oraz postawą. Z dziećmi i młodzieżą pod wąsem, co zaludniała najwyższą podówczas w Niemirowie klasę czwartą, obchodził się po ojcowsku, — po ojcowsku w takim nawet razie,

gdy karę wymierzał. Ach, nie zapomnę strachu, jakiego się razu pewnego nabrałem. Czułem ze strachu omdlewanie, umieranie.

Było to po majówce, na którą wyprawiliśmy się w całej, za dawniejszych czasów praktykowanej paradzie: ordynkiem, z korpusem nauczycielskim, poprzedzanym przez dwa przez uczniów starszych niesione berła naczele, z muzyką, z nadzieją uciech. Pora sprzyjała. Majówka powiodła się doskonale. Dzień cały spędziliśmy na polanie w lesie, bawiąc się w gry różne, zjadając przysmaki i spoczywając, lub błądząc w cieniu drzew. W ciągu dnia gromadka chłopaków w wieku moim, a z nimi i ja, zwróciliśmy się w kierunku, który nas doprowadził do płotu wysokiego.

— Co to? — zapytał któryś z nas.

— To zwierzyniec... — odpowiedział najstarszy i najrezolutniejszy, Mieczysław Mysłowski. — Chcecie? chodźmy...

— Do środka? — jeden zapytanie rzucił.

— Ano... Zobaczymy jelenie, daniele, sarny, bażanty...

Nie potrzeba nas było do tego zachęcać. Mysłowski, którego rodzice pod Niemirowem mieszkali, miejscowość znał i nas do bramy poprowadził. Bramęśmy przekroczyli, po zwierzyńcu pochodzili, zwierzynę zdaleka oglądnęli i powrócili. W tem, zdaje się, zdrożnego nie było nic, luboć odwiedzanie zwierzyńca należało może do rzeczy zabronionych. Nie wiedziałem o tem i żaden z nas nie wiedział. Gdyśmy wchodzili, nikt nie bronił, ze środka nikt nie wypraszał, pomimo że nas widziano. Nie mieliśmy do wyrzucenia sobie przewinienia najmniejszego; niemałem przeto było zdziwienie nasze, gdy w parę po majówce dni wszystkich nas, cośmy w zwierzyńcu byli, po lekcjach do dyrektora, do kancelarji wezwano. Miładowski na nas czekał; ale cogorzej, wchodząc, widzieliśmy w sionkach stróżów i kalafaktora, którego obowiązek polegał na dzwonieniu w dzwonek i biciu w skórę.

— Ah!... — odezwał się dyrektor, gdyśmy się u proga uszykowali. — Do zwierzyńcaście chodzili?...

— Kiedy?... — tonem protestu odparł Mysłowski.

— W czasie majówki...

— A niech nas Pan Bóg broni!...

— Nie chodziłeś?...

— Ja?... Nie... Może kto, ale nie ja...

— A ty?... — zapytał stojącego obok.

— Ja? — odpowiedział zapytany głosem niepewnym.

— Chodziłeś?...

— Cho-o-chodzi-łem... — wyjąkał.

Zapytanie przeszło szereg od końca do końca; przyznali się wszyscy.

Przyznać się musiał i Mysłowski, tłumacząc się, że zapytania nie zrozumiał.

Nastąpił jednak potem nie w formie zapytania już zarzut, który nas w zdumienie wprawił.

— Chodziliście i jelonkowi róg złamali...

— A niechże nas Pan Bóg broni!... — zawołał Mysłowski z akcentem pewności.

Niestety! z takimże samym akcentem poprzednio pod obronę Pana Boga się uciekał.

— Owóż, żebyście wiedzieli, że do zagrody cudzej chodzić i szkody w niej robić nie wolno... — zaczął Miładowski, na protestację nie zważając — hej!... — zawołał.

Kalafaktor z rózgą w ręku i dwaj stróże do kancelarji wkroczyli.

— Weźcie go... — na Mysłowskiego wskazał.

— Ojcze!... tatku!... tatuńciu!... — jął się wskazany, dłonie składając, wywoływać.

— Nie przyznawałeś się...

— Przyznaję się... Chodziłem... Dalibóg chodziłem, ale już więcej póki życia, do śmierci, nie pójdę i dziesiątemu zakażę...

Wypraszał się, modlił, obiecywał, podczas kiedy stróże mundurek rozpiąwszy, od szarawarek szelki odpinali.

— Przyznaję się, do wszystkiego przyznaję... Chodziłem... róg złamałem...

Wyznanie ostatnie kłamstwem było, kłamstwem, na które skipiałem, zgubionym się uczułem. Dzikie, rozpaczliwe przez głowę mknęły mi myśli. Bolała mnie zgóry niesprawiedliwość, której ofiarą paść miałem, bolała mnie hańba, która szła do mnie. Mysłowskiego tymczasem, wzywającego wciąż przebaczenia i politowania, zaklinającego się na świętości wszystkie i tytułującego Miładowskiego ojcem, wyciągnięto i smagać poczęto. Za uderzeniem każdem wołał „dosyć!“. Dostał rózeg pięć — puszczono go.

— A teraz... — zaczął Miładowski, do nas mowę zwra-

cając. Widzieliście? Młodsi jesteście... Macie przykład... Pilnujcież się!.. Idźcie!..

Ręką naodlew skinął. Wynieśliśmy się.

Nimeśmy z podwórza wyszli, Mysłowski nas dopędził i wyrzuty nam czynił: dlaczegośmy się nie zaparli chodzenia do zwierzyńca.

— Tchórze... durnie... Durnie... tchórze... tfu!.. — powtarzał.

— A dlaczegoś się ty przyznał do złamania roga? — któryś z nas się zapytał.

— Dlaczego? Ty nie wiesz dlaczego? Na siebie winę przyjąłem za wszystkich...

I zasługę jeszcze stąd sobie wykrzesał.

Z wyjątkiem jednego tego wypadku zagrożenia nie spotkała mnie żadna w klasie pierwszej nieprzyjemność. W ciągu roku matka mnie odwiedzała; na Boże Narodzenie i na Wielkanoc do domu jeździłem, nie do domku już atoli księdza, ale do dworu nowego na wzgórzu w położeniu pięknem postawionego, w którym tylko oficyna zupełnie ukończoną była, dwór zaś, poszyty i oszklony, we środku się wykańczał. Każde rodziców odwiedzenie sprawiało mi rozkosz niewysłowioną, która w spotęgowaniu wystąpiła w czasie wakacyj. Przyjechałem z promocją i z książką pochwalną, arytmetyką w okładkach czerwonych, otrzymaną z rąk feldmarszałka Wittgensteina, który rozdawnictwu nagród prezydował. W atmosferze rodzinnej odświeżyłem się i powróciłem do szkół, znów do Gonzala na stancję.

U Gonzala zaszły zmiany znaczne. W czasie wakacyj umarła mu żona i on, tłumiąc dla interesu żal, ożenił się powtórnie z jedną z dwóch przy Miładowskim mieszkających Miładowskiego synowic. Miładowski, ożeniony z panną Groza, siostrą rodzoną Aleksandra Grozy, pozostawał bezdzietnym. Młoda pani Gonzal objęła zarząd gospodarski zakładu w warunkach trudniejszych nieco, jak poprzednio. Młodzieży zjechało się huk — głów ze dwadzieścia: Rebczyńskich trzech, Korzeniowskich (Apollo — poeta) dwóch, Kiendrzyckich dwóch, Łaski, Rytwiański, Bratkowski, Rudzki, Podhorski, Kołb-Sielecki, ja, i jeszcze, i jeszcze. Miejsce Duchińskiego, który Niemirów opuścił, zajął Hoszowski, małego wzrostu, dużej głowy,

gruby, przysadkowaty czwartoklaśnik. Nieboszczkaby się bardzo była przydała. Zastępczyni jej od chłopców stroniła — trzymała się od nas zdaleka, z akcentem niechęci; zabrakło przeto tego wpływu niewieściego, który łagodzi, powściąga i wszczepia poczucie przyzwoitości, wystrzegającej się rzeczy zdrożnych w czynie, w mowie i w myśli nawet. Kobieta z taktem wydziela z siebie wstydliwość, która się młodzieży czepia. Młodej pani Gonzal taktu brakło. Co zaś do Gonzala samego, ten pozostał, jakim był.

Trapił mnie niedostatek pewien. Koledzy moi przywozili ze sobą i nadsyłano im pieniądze na kupowanie łakoci i tych fatałaszków, które dzieciom radość sprawiają: scyzoryków, piórników, kałamarzyków i t. p. Mnie rodzice nie dawali więcej, jak złotych dwa; babka zaś, gdym z domu odjeżdżał, zaopatrywała mnie w prowizje, złożone z pierożków, knyszyków, pierników, któremi się w Niemirowie z kolegami dzieliłem. Po dokonaniu podziału pozostawałem przy dwóch złotych, widząc u tego rubli parę, u innego więcej. Czułem upośledzenie moje i przedstawiałem je matce, nie odważając się z ojcem w materji tej mówić. Matka dodała mi razy parę po złotówce, dodając przytem morały o pożyteczności szanowania grosza i szkodliwości marnotrawstwa. Uznawałem to; niemniej przeto upośledzenie mi dokuczało, tem bardziej że od czasu do czasu ten i ów z kolegów przymawiał mi; co zaś mnie bolało bardziej, przymawiał rodzicom moim, zarzucając im sknerstwo.

— Tatko... sakiewkę przed synkiem zamyka, złotówki w szkatule dusi... Mama pieniądze w pończosze pod poduszką trzyma, Zygmusiowi nie daje...

Przymówki podobne dzieciom dolegają. Razy parę poczubiłem się za nie, alem na tem źle wyszedł. Jeden z dowcipnych przezwał mnie „pięćdziesiątówką“; jam go za to kułakiem grzmotnął, on mi oddał; pobiliśmy się i pokrwawili. Wygrałem na tem to, że przez tygodni parę przezwisko „pięćdziesiątówka“ w uszach mi brzmiało, aż się zmieniło na inne — na „dalaj-lama“, zdaje się. Przezwisk nosiłem dużo rozmaitych. Przezywałem ja, przezywano mnie, najbardziej jednak mnie to dotykało, kiedy złośliwość przezwiska zwracała się ostrzem przeciwko bezpieniężności mojej. Koledzy kupowali drobiazgi różne — jam kupować nie mógł. Przychodził Mordko z ko-

szykiem, w którym obnosił karmelki i makaroniki; oni nabierali, jedli, jam ślinę połykał. Uważany byłem za absolutnie niekompetentnego do wypowiadania opinji o sprawunkach i o smaku łakoci. Jakżem się mógł na czemkolwiek znać.

W pierwszej atoli klasie nie tak mi to dolegało, jak w drugiej, kiedy na stancję do Gonzala zjechało się chłopców dużo, starszych i młodszych. Rozmaitość wieku, temperamentu i wychowania sprawiła zamęt moralny, tem niebezpieczniejszy, że mu brakło kierunku, zdolnego zło neutralizować, a dobre utwierdzać. Katechizm w połączeniu z praktykami religijnemi nie wystarczał; bojaźń boża ukazywała się w perspektywie za zbyt oddalonej, ażeby oddziaływać mogła na konduitę, ocierającą się o zasadzki wrodzonego w ludziach, małoletnich zwłaszcza, ducha opozycji. Duch ów wyrażał się pod niebezpieczną wielce postacią przyniesionego przez chłopców paru zuchostwa. Za zucha uchodził ten, co przepisy łamał; że zaś łamanie przepisów otwarte narażało na kary, które przykrość sprawiały, chodziło więc o to, ażeby od kar się osłaniać. Na to jeden tylko był sposób: łamanie przepisów podstępne, w tajemnicy dokonywane.

Dla mnie było to rzeczą obcą i dlatego właśnie tem niebezpieczniejszą. Oddany do szkół w nieświadomości złego istotnego, w nieświadomości tej upłynął dla mnie rok pierwszy cały. Wobec przykładów, jakie w drugim przede mną stanęły, znajdowałem się bezbronny; na pokusy nie miałem środka zaradczego. Przedstawiły mi się one przedewszystkiem pod dwiema postaciami: pod postacią zbytków dziecinnych i pod postacią facjendy, noszącej nazwę techniczną „szachrajstwa“. Zbytki do spółki z szachrajstwem wytworzyły bardzo prędko grunt moralny, na który wszedłem i zepsułem się. Pierwsze polegały spoczątku na czynach swawoli, które jednak trzeba było w tajemnicy chować. Tak naprzykład. Dla państwa Gonzałostwa przyrządzała się śmietanka w garnuszeczkach, i garnuszeczki owe stawiano na półce w śpieżarni, której okno wychodziło na podwórze. Podpatrzyliśmy to. Odszukaliśmy w oknie dziureczkę, przesuwaliśmy przez takową słomkę długą i zapomocą słomki, kożuszków nie nadwerężając, wypijaliśmy śmietankę. Gonzal, pani i kucharka głowy sobie łamali — fenomenu wytłumaczyć nie mogli. Śmietanka znikała, kożuszek

pozostawał. Coby to znaczyć miało? Fenomen ten w postaci zapytania dostał się do wiadomości naszej, i jeden z chłopców powiedział, że zdarza się on w domu rodziców jego: śmietanka wysycha. Objaśnienie to za dobrą przyjęte zostało monetę. Gonzalostwo uwierzyli we własność wysychania śmietanki pod kożuszkiem. Zbytek ten powiódł się nam znakomicie. Inny znów polegał na walaniu wychodka, który Gonzal dla siebie wydzielił i na klucz zamykał. Figiel ten nie poszedł tak gładko. Do wytłumaczenia onego nie znalazł się fenomen żaden. Przeprowadzone śledztwo wykryło sprawcę, który sprawcą nie był i rózgą dostał. Wiedziałem, że karę ponosi niewinny; lecz ponieważ niewinny ów miru w gronie kolegów nie posiadał, więc przez solidarność koleżeńską milczałem. Solidarność pociągnąć mnie miała na bezdroże.

Wszczęły się facjendy: mienianie seksternów na podwieczorki, ołówków na piórniki, scyzoryków na kamizelki, grzebyków na krawatki, etc. etc. Wystąpiły na plac: szkatułeczki, lak różnokolorowy, papier listowy, penzle, farby, kredki. Szachrowaliśmy. Handel wrzał; że zaś handel nie obchodzi się bez kredytu, więc się pojawił i kredyt, pod postacią zadłużania się jednych u drugich. Ten winien był temu, ów owemu. Długi prowadziły do nieporozumień, zajść i zatargów, w których pięść pośredniczyła.

Pojawiła się i gra hazardowna w guziki i w rzucankę. Ta ostatnia polegała na rzucaniu pieniędzy dogóry i odgadywaniu którą, z orłem czy odwrotną, upadną stroną. Odgadujący wygrywał, przegrywający płacił.

Wszystko to stanowiło przekroczenia, z któremi się ukrywać solidarnie należało.

Z wszystkiego tego nic z domu nie wyniosłem. Były to dla mnie rzeczy nowe, ciekawe jak grzech, ponętne jak owoc zakazany i wywierające ten pociąg, skutkiem którego dzieci i ludzie prości przedmioty po raz pierwszy widziane palcem dotykają. W sposób ten wyraża się wrodzony do doświadczeń popęd. Ulegając popędowi temu, próbowałem.

— Przeszachruj mi...

Nie pamiętam, który z kolegów do jakiej wezwał mnie facjendy; coś przefacjendowałem. Najtrudniej było zacząć. Gdym zaczął, poszło. Nauczyłem się niebawem sposobów

zaopatrywania się w artykuły, służyć mogące jako przedmiot zamiany. Gonzal dostarczał nam drobiazgów do nauki potrzebnych, które zapisywał do regestrzyków i podawał rachunek rodzicom. Nabierałem u niego wszystkiego, co do brania było. Niektóre z artykułów spieniężać mi się udawało. Bywały przeto i pieniądze. Na pieniądze atoli otworzyło się mi źródło za wskazówką z kolegów jednego. Rodzice kazali mi brać lekcje muzyki. Nauczyciel muzyki dawał lekcje za biletami i tę nam robił dogodność, że pozwalał dawać sobie bilety za lekcje niedawane, za które zapłatę do rąk uczniów jaknajrzetelniej składał. Nie wymieniam nazwiska tego człowieka rzetelnego, co nam taką oddawał przysługę. Dzięki przysłudze tej znajdowałem się w możności dotrzymywania sprawy tym, co pieniędzy do rozporządzenia więcej aniżeli ja posiadali.

Psułem się. Zawiązałem przyjaźń z chłopcem o lat parę ode mnie starszym, który był praktykiem w rzeczach zabronionych. Ten stał się mistrzem moim i, gdy mi coś nowego pokazał, upewniał mnie, że składa mi dowód przyjaźni. Z nim ukradkiem paliłem fajkę; z nim ukradkiem pijałem likiery i wino; za jego przykładem począłem być elegantem, przyprawiając sobie do spodeniek strzemiączka i dając spodeńki krawcowi do przerabiania na, o ile można, najbardziej obcisłe. Raz obcisłość doprowadziłem do stopnia takiego, że część ta odzieży rozeszła się na mnie, gdym ją na siebie włożył. Na dobitek, z racji przerabiania tego, zadłużyłem się u krawca.

Zadłużyłem się u krawca; zadłużyłem się u cukiernika; zadłużyłem się u żyda, do którego przyjaciel na miód mnie zaprowadził.

I piłem przeto. Dodać atoli pospieszam, żem się nie upijał. Do doskonałości tej nie doszedłem, pomimo że nic na drodze nie stało, najmniej zaś dozór, który nibyto był, ale luźny, do obchodzenia łatwy. Na miasto np. nie wolno nam było bez pozwolenia chodzić; nie było jednak trudno pozwolenie uzyskać; zależało ono od instruktora, który wydawał karteczki, każdy bowiem z nauczycieli miał prawo spotkanego na mieście ucznia o pozwolenie zapytać. Zaopatrzeni w takowe, ruszaliśmy we dwóch lub we trzech. Na miód szliśmy do żyda, który szynku nie trzymał. Był to człowiek stary i poważny, przyjmował nas uprzejmie, częstował miodem i placuszkami

i na borg dawał. W jednym ze sklepów korzennych znajdowaliśmy likier i czekoladę w tabliczkach, tameśmy jednak płacić musieli gotówką. Łakocie smakowały mi, i wielce rad byłem temu, kiedym kupić mógł fig, rodzynków, rożków, makagig, pierników, jabłek, orzechów, placuszków lub obwarzanków. Punkt honoru nie pozwalał mi używać samemu; kupowałem i z kolegami się dzieliłem, oni zaś wzajemnością mi płacili. Formowaliśmy towarzystwo tajemne, niezwiązane żadnemi statutami, żadną umową, a jednak trzymające się solidarnie wobec instruktora, który pobłażał, i Gonzala, który o niczem nie wiedział, nie zwracając uwagi na to, co się śród powierzonych pieczy jego dzieci działo. Działy się zaś rzeczy gorsze od tych, które powyżej wymieniłem. Wkradł się samogwałt. Chłopcy starsi oglądali się za przedstawicielkami płci odmiennej i natrafiali na takie, które jej zaszczytu nie przynoszą. Mularz, wezwany do poprawiania kominów, stanął do roboty z córką, co mu pomagała i na studentów łaskawą się okazywała. Gonzalostwo przyjęli kucharkę, która chłopakom niczego nie odmawiała. Dla mnie było to odkryciem. Do roku drugiego pobytu mego w szkołach o niczem w materji tej nie wiedziałem; oczy się mi otwierały i jeżelim obronną wyszedł ręką, to z racji obawy jakiejś niewytłumaczonej, która mnie powściągała i na żarty kolegów wystawiała. Żartowano ze mnie; jam jednak w sobie obawy przełamać nie mógł; patrzyłem, alem udziału czynnego nie brał.

Na stancji, która była przed rokiem wzorową, zapanowało zepsucie obyczajowe, wciskające się pod postaciami wszystkiemi możliwemi.

Uczyłem się jednak dobrze; nie tak świetnie, jak w klasie pierwszej, robiłem wszakże postępy o tyle zadowalniające, że naznaczono mnie na audytora.

Instytucja audytorów na tem polegała, że klasa dzieliła się na dziesiątki, i dziesiątek każdy posiadał przełożonego, z grona uczniów wyznaczonego, którego obowiązkiem było przesłuchiwanie przed przyjściem nauczyciela lekcyj zadanych i zapisywanie stopni w umyślnie na ten cel sporządzonych książeczkach. Prowadziło to do nadużyć. Uczniowie, co lekcyj nie umieli, dawali audytorom kubany za stopnie dobre. Kubanów nie brałem. Stopnie zapisywałem rzetelnie i z tego powodu ze

strony nauczycieli, którzy takowe sprawdzali, nie miałem nigdy wymówki najmniejszej.

Na audytorów naznaczano uczniów lepszych. Trzymałem się więc stale pomiędzy lepszymi, pomimo dystrakcji, jaką mi konduita sprawiała, zwracając uwagę moją w stronę, w której nauka nie przyświecała. Dystrakcja ta tak była wielka, że głuszyła we mnie skłonność do czytania, jaką z domu wyniosłem. Nie czytałem nic. Lekcjem odrabiał w sposób pańszczyźniany i resztę czasu obracałem bądź na dowiadywanie się o rzeczach, o których nie wiedziałem, bądź na załatwianie spraw, przedstawiających się pod postacią corazto nową. Rzeczy owe i sprawy z nauką i literaturą spólnego nie miały nic. Brnąłem.

Nie bez tego jednak, żeby się od czasu do czasu nie budziło poczucie estetyczne. Sposobność do tego dawał teatr. Do Niemirowa przyjeżdżała trupa jakaś i w domu zajezdnym, przerobiwszy stajnię na scenę, dawała przedstawienia, na które uczniom chodzić pozwalano. Byłem w teatrze razy parę; zachwyciła mnie *Natałka Półtawka*: roiłem, śniłem o niej, i był moment, w którym niczego nie pragnąłem tak gorąco, jak w postaci Petrusia na scenie wystąpić. Zajmowały mnie też i sztuki konne, połączone ze skokami na linie, kozłami gimnastyków i żartami pajaców, które w porze jesiennej do Niemirowa zaglądały. Na stancji mieliśmy raz reprezentację teatralną, urządzoną przez Apolla Korzeniowskiego w ogrodzie. Była to tragedja jakaś, której nie pamiętam ani tytułu, ani akcji. Rzecz działa się pod sporządzonym z prześcieradeł namiotem i zakończyła morderstwem. Rolę zamordowanego grał Apollo i nie wywiązał się z niej należycie. Nie udał mu się upadek. Upadł na kołek, skaleczył się i zerwał. Z tragedji tej śmieliśmy się długo.

Wspomniałem powyżej, żem się uczył muzyki. Zacząłem był na fortepianie, lecz nauczyciel mój grał na trąbie i trąba tak mi się podobała, iż dla niej fortepian zaniechałem. Z nauki tej atoli nie odniosłem korzyści najmniejszej. Czas i pieniądze daremnie przepadły. Brałem przytem lekcje tańców, których Gonzal nam udzielał, ale i z temi szło mi nie lepiej, jak z muzyką. Pomiędzy tymi, co lekcje te brali, zajmowałem miejsce ostatnie, nie dlatego, ażeby mi natura odmówiła uzdolnienia do suwania nogami i wykonywania odpowiednich *pas* i *entrechats*, ale ochoty nie miałem. Ochoty więcej okazywałem do

fechtunku, który dawał Włoch nazwiskiem Orsini; mieszkał przez drogę, naprzeciwko, u trzymającego stancję taką samą jak Gonzal Muczkowskiego i udzielał lekcyj dwa razy na tydzień. Chodziłem regularnie i biłem się w pałasze i na szpady z gustem.

Do domu, jak zwykle, jeździłem na Boże Narodzenie i na Wielkanoc. Rodzice mieszkali już w domu nowym, pomimo że nie był jeszcze skończony zupełnie. Budowa domu w Klebani postępowała nie tak raźnie, jak w Rybkach. Wyporządzono zaledwie dwa pokoje: w jednym z nich ojciec zainstalował kancelarję, drugi służył za sypialnię; oficynę zajmowała babka i w oficynach znajdował się pokój jadalny i bawialny zarazem.

Święta Bożego Narodzenia przeszły mi wesoło na wizytach ustawicznych u ciotki Jeleńkowskiej, u Kurzańskich, u Rubczyńskich, sąsiadów, co także u Potockiego wieś dzierżawili i mieli dzieci duże, z których syn najstarszy, chłopiec w wieku moim, był w szkołach w Winnicy. Rubczyński sam w tejże Winnicy z ojcem moim niegdyś kolegował. Ona, Migurska z domu, kobieta prześliczna, wydawała na świat dzieci często i przeszła wkońcu liczbę dwudzieściorga; przy życiu jednak pozostało — zdaje się — synów trzech czy czterech i córek cztery czy pięć. Jeździliśmy tedy do nich; jeździliśmy jeszcze i do Tulczyna; urządzono polowanie, w którem po raz pierwszy w życiu jako świadek udział brałem. Słowem, czas mi upłynął na rozrywkach ustawicznych, a śród rozrywek tych jedyną, jaką doznałem, przykrością była trudność wytłumaczenia się przed matką i babką z opłakanego garderoby i bielizny mojej stanu. Nie przyznawałem się, że stan ów sprowadziła facjenda. Matka zaradziła temu. Oporządzony od stóp do głowy do Niemirowa wyjechałem i w kilka tygodni później znów w domu byłem. Trafiła się mi okazja na zapusty. Sąsiad rodziców moich, Iżycki, przez Niemirów przejeżdżał i mnie zabrał. Iżyccy mieszkali w Kinaszówce, na drodze z Tulczyna do Klebani. W czasie bytności u nich dowiedziałem się o znaczeniu kabały, do której służą karty. Panny zapomocą kabały tłumaczyły sobie sny, jakie w nocy miały. Słyszałem, że jest to w użyciu, lecz użycia nie widziałem dotychczas, z ciekawością też wielką przypatrywałem się składaniu i układaniu

kart, nie rozumiejąc zgoła tajemnicy operacji, która mnie zastanowiła. Powaga, z jaką ona dokonywaną była, wierzyć mi kazała, że w tem coś jest, że nie jest to przesąd prosty, podtrzymywany przez nieświadomość i próżniactwo. W domu państwa Iżyckich przesiadywali wówczas dwaj szeregowcy z wojska rosyjskiego, Krasuscy, których ojciec w sołdaty z fantazji oddał. Byli to ludzie młodzi, zagrożeni w przyszłości majątkiem dużym. Być może, iż sny panieńskie i kabały do nich się odnosiły. Badźcobądź kabała mnie zajęła i z nabitą nią wyobraźnią przyjechałem do domu, gdzie mnie wielki spotkał smutek. Nie zastałem babki przy życiu. Poczciwa ta, a mnie nad wszystko kochająca kobieta przed tygodniami paru ze świata tego zeszła. Dowiedziałem się o tem niespodzianie. Powitawszy rodziców, którym przybycie moje siurpryzę sprawiło, zwróciłem się, chcąc do oficyn iść.

— Dokąd?... — zapytał ojciec.

— Do babuni...

— Babuni — ręką skinął i głową pokiwał — nie znajdziesz... Umarła....

Odczułem cios ten bardzo boleśnie. Spłakałem się serdecznie. W żalum się długo ukoić nie mógł. Na Boże Narodzenie zostawiłem ją zdrową zupełnie. Staruszka nigdy nie chorowała; zachorowała i umarła. Zabawiłem w domu krótko, na zapusty bowiem wolnych miałem dni trzy tylko, we środę przeto popielcową ojciec mnie odesłał i w Niemirowie w ciągu dalszym prowadziłem życie, jakiem rozpoczął z początkiem roku szkolnego. Na Wielkanoc garderoba i bielizna moja znów odnowienia całkowitego potrzebowały.

Łotrowałem. Czułem, że idę drogą złą, — powstrzymać się w stanie nie byłem. Znajdowałem się na pochyłości niebezpiecznej, zagrażającej zdrowiu memu, zarówno moralnemu, jak fizycznemu.

Stan garderoby i bielizny był wymownem konduity mojej świadectwem. Przywoziłem ze sobą części odzieży z facjend pochodzące i przedmioty różne, których mi rodzice nie dawali. Matkę to dziwiło. Zapytywała mnie; dawałem odpowiedzi wykrętne, które jej zadowolnić nie mogły. Przed odjazdem z wakacyj wielkanocnych prosiłem matki usilnie o pieniądze, a gdy mnie zapytała naco, przyznałem się do długów. Była z tego

powodu długa pomiędzy mną a matką rozmowa, która mnie rozrzewniła, wzruszyła i do przyrzeczenia poprawy doprowadziła. Kilka rubli na spłacenie długów, które więcej nie wynosiły, dostałem. Dotrzymać przyrzeczenia miałem postanowienie szczere, — postanowienie, które niestety nie wytrzymało zetknięcia się z gruntem niemirowskim. Do Niemirowa przyjechałem wieczorem i powinienem był na stancji nocować. Czując atoli pieniądze w kieszeni, zachciało mi się zabawić w człowieka słusznego i stanąłem na noc w domu zajezdnym. Kazałem sobie na wieczerzę podać ryby po żydowsku i piwa; po wieczerzy udałem się do założonego naprzeciwko przez Migurskiego sklepu galanteryjnego, w którym nakupiłem: papieru różnokolorowego, laku pachnącego, perfum, mydełek, guziczków, szpinek i różnych innych tym podobnych artykułów, których potrzeba usprawiedliwiała się jeno ochotą pochwalenia się przed kolegami. Miałem się też nazajutrz chwalić czem! Wszystkich perfumowałem, lakiem dom zakadzałem, guziczkami i szpinkami admirację wzbudzałem, niebawem jedno wyekspensowałem, drugie pomieniałem i nie spłaciłem ani krawca, co mi spodnie obcisłe robił, ani żyda, który mi miód borgował, ani Mordka, u którego brałem karmelki i makaroniki. Musiałem mieć długi inne jeszcze, — nie przypominam sobie. Wiem jeno, że rosły i rosły, i że spłacenie takowych odkładałem do wakacyj, licząc na matkę.

Przeliczyłem się jednak.

Przed wakacjami mieliśmy egzamina. W czasie egzaminów, które mi szły dosyć pomyślnie, wracając ze szkoły na stancję, spotkałem niespodzianie na zakręcie ulicy żyda, imieniem Bendyk, który u ojca mego pełnił funkcję wiernika. Z rodziną, z której on pochodził, ojca mego wiązały stosunki jakieś dawne. Bendyk z ojcem swoim Ickiem, człowiekiem bardzo starym, przybyli do nas do Klebani bardzo biedni — łapserdaki ostatnie. Ojciec mój dał im zajęcie jakieś; Icek umarł wkrótce, syn zaś jego pozostał *domui adscriptus*, w charakterze człowieka zaufanego, używanego do pokupek, sprzedaży i dostaw rozmaitych. Mieszkał tak, jak mieszkają parobcy, wszędzie i nigdzie; w jedzeniu niekoniecznie koszeru przestrzegał; patrzał spodełba i zewnętrznym pozorem swoim przedstawiał obraz człowieka krępego, silnego i zuchwałego. Bracia moi młodsi lubili go bar-

dzo: on im batożki robił i na konie ich sadzał. Owóż Bendyk ów zjawił się mi w Niemirowie niespodzianie.

— A... zawołałem, ujrzawszy go. Przyjechałeś?

— Nu... przyjechałem...

— Masz list do mnie?...

— Nie — odrzekł, jakby go zapytanie moje zdziwiło. Listu nie mam żadnego...

— Pocóżeś przyjechał?

— Tak sobie...

— Nie do mnie chyba?

— Nie...

Chciałem go rozpytywać jeszcze, lecz on odszedł, i napróżno się spodziewałem, że na stancję zajdzie. Pokazał się i znikł. Nie rozumiałem, coby to oznaczać miało. Nie miałem jednak czasu nad tem się zastanawiać, egzamina bowiem pochłaniały uwagę moją całą. Egzamina się wreszcie skończyły. Nagrody nie dostałem. Świadectwo jednak moje nie było najgorsze; przechodziłem do klasy wyższej z honorem, luboć bez dystynkcji.

Po rozdawnictwie nagród i ogłoszeniu promocyj nie pozostawało, jak czekać na przybycie bryczki, która mnie do domu zabrać miała. Przybycia tego pragnąłem i obawiałem się. Poczuwałem się do wielkich względem rodziców win, a poczuwałem się do takowych, pomimo że wierzyciele moi okazali dla mnie, gdy ich o cierpliwość do powrotu mego z wakacyj prosiłem względności więcej, aniżelim się spodziewać mógł. Z tej strony przeto obaw nie miałem. Mimo to doznawałem w sumieniu niepokoju, pochodzącego stąd, żem obecnie na wakacje przedstawiał się rodzicom inaczej, aniżeli poprzednio. Miałem przed nimi do ukrywania dużo, dużo. Trapiło mnie to; układałem sobie zgóry, jaką wobec nich postawę przybrać, zwłaszcza żem miał matkę znów o pieniądze prosić; i czekałem na bryczkę, której wyglądałem lada chwila. Dzień upływał — upłynął. Koledzy, jedni powyjeżdżali, drudzy się wybierali. Jam się spakował. Czekałem. Wreszcie wieczorem zjawił się Bendyk.

— Cóż tu robisz? — zawołałem

— Przyjechałem po was...

— Gdzież bryczka?...

— W karczmie... Wybierajcie się, pojedziemy jutro...

— Przyjedź dziś, w karczmie przenocuję, a jutro...

— A naco wam w karczmie nocować... — odparł, przerywając mi. Ja mam tu w mieście do chodzenia...

Nazajutrz, dosyć nawet nierano, Bendyk przyjechał, zabrał mnie i do domu powiózł.

Dopytać się u niego chciałem, czemu ojciec jego, nie zaś, jak zwykle, furmana przysłał. Zbywał mnie ni tem, ni owem. Dowiedzieć się pragnąłem, jakie on w Niemirowie interesy miał. Odpowiedział:

— Żydowskie...

Zachowywanie się jego nie raziło mnie, był on bowiem zazwyczaj milczący i ponury, rozpogadzając jeno oblicze, gdy którego z braci moich na ręce brał i ten go za brodę targał. Wówczas uśmiechał się.

W Hrynenkach popaśliśmy. W Klebani przed gankiem bryczka się zatrzymała na godzinę może przed słońca zachodem. Zapomniałem o obawach wszystkich, które mnie trapiły, z siedzenia wyskoczyłem i rzuciłem się do ojca, który się w progu ukazał.

Nigdy powitania tego nie zapomnę.

Ojciec wychodził; jam go za rękę pochwycił i rękę jego do ust moich przycisnął. Ręka ojca mego była niby drewniana. Nie cofnął jej, ale gdym ją puścił, opadła, i ojciec dalej poszedł. Słowa jednego do mnie nie przemówił, nie uśmiechnął się, pomimo żem w obliczu surowości ani zagniewania nie widział. Osłupiałem. Nie wiedziałem, co ze sobą począć. Ruszyłem do matki; zastałem ją w pokoju przed oknem; stała i patrzyła. Do ręki jej ustami przylgnąłem. Nie przygarnęła mnie do siebie, nie pocałowała w czoło; odezwała się jeno głosem, niezdradzającym wzruszenia najmniejszego:

— Kazałam kuferek twój zanieść do przygotowanego dla ciebie pokoju... Idź tam...

Odszedłem złamany, nie śmiąc zapytywać o rodzeństwo moje, któregom nie widział. W przygotowanym dla mnie pokoju zastałem łóżko posłane, stolik, stołków kilka, na ścianach mapy, w kącie tablica czarna do arytmetyki, zawieszone półki na książki. Serce mi się ścisnęło: uczułem się jakby wygnańcem. Na łóżkum się twarzą do poduszki położył i rzewnie zapłakał. Nie wiedziałem, jak się to stało, alem się domyślił, że rodzice o wszystkiem wiedzą. Nie wątpiłem, że o tem będzie mowa, że nieprawości moje będą mi wypowiedziane. Powziąłem zamiar nie bro-

nić się, wszystko wyznać i poprawić się. Zamiar ten chwalebny zaledwie się zrodził, wnet się w postanowienie, które w intencji szczerem było, zmienił. Nie miałem jednak czasu rozwijać onego. Przeszkodzili mi siostra i bracia, którzy do mnie przybiegli, otoczyli mnie i, zwarzeni niby, dopytywali się:

— Czego ty płaczesz?...

Nie umiałem im odpowiedzieć na to.

Wkrótce wezwano nas do wieczerzy. Przy stole toczyła się rozmowa jakaś, która z przyjazdem moim nic wspólnego nie miała. O szkołach ani słówka. W obchodzeniu się ze mną rodzice przybrali ton taki, jakbym nie wyjeżdżał i nie przyjechał. Charakter gościa znikł we mnie odrazu. Było mi z tem nijako, jakbym się znajdował w położeniu fałszywem, z którego wyjście przedstawiało się mi nie pierwej, aż po rozmowie z rodzicami, po wypowiedzeniu mi przez nich wszystkich, jakich się dopuściłem, bezeceństw, po wytarciu mi należycie kapituły. Oczekiwałem na to, jak się oczekuje na wypłatę należności ze strony dłużnika rzetelnego. Ojciec winien mi był, jeżeli nie co innego, to surową, ostrą, gruntowną naukę moralną. Zasłużyłem na nią. Czułem to i uznawałem, wiedząc zgóry wszystko, co usłyszę. Ojciec inny byłby synowi, co się tak jak ja prowadził, *verba veritatis* przy akompanjamencie argumentów brzozowych wypowiedział. Jam był pewien, że mnie to ostatnie nie spotka; pewny jednak byłem nauki moralnej i uważałem ją za wiszącą nade mną. Oczekiwałem jej po kolacji. Po kolacji, o dziewiątej poszliśmy spać. Oczekiwałem jej nazajutrz przed obiadem i po obiedzie, przed kolacją i po kolacji: nie spadała. Do konduity mojej w szkołach nie usłyszałem aluzji najmniejszej. Stosunek mój do rodziców wszedł w tryby zwyczajne, jakby z nich nie wychodził. W przeciągu dni kilku utarło się to i po niejakimeś czasie tak się zrobiło, że rok ów fatalny z rachuby życia niby wypadł. Ani ja, ani nikt o nim nie mówił.

Przypuszczać można, iżby on był z rachuby nie wypadł, gdybym po wakacjach do Niemirowa powrócił. Nastąpiłoby to, co po Wielkiej Nocy. Też same przyczyny sprowadziłyby skutki takie same. Celem zapobieżenia temu zastosowano do mnie system, jaki się używa w chorobach zaraźliwych. Zmieniono powietrze. Do Niemirowa mnie nie wysłano. Przed końcem

wakacyj przyjechał jegomość jakiś słuszny, suchy, wygolony, surowy; dowiedziałem się, że to nauczyciel i że się nazywa Kulczycki. Kulczycki ów ze mną nauki rozpoczął, pozostawał jednak w domu naszym nie dłużej, jak miesiąc. Odjechał — nie wiem dlaczego, czy dlatego, że się jemu nie podobało, czyli też dlatego, że się on nie podobał. Miejsce jego zastąpił Romuald Sakowicz, człowiek młody, przybywający wprost z Galicji, z Tarnopola, gdzie u oo. jezuitów edukację pobierał, znający wybornie języki: niemiecki i łaciński, trochę francuski, posiadający wykształcenie naukowe ogólne, tancmistrz, fechmistrz i elegant.

Wznowiła się dla mnie edukacja domowa w odmiennej aniżeli poprzednio postaci i rozłożyła na dwa warstaty. Ciotka Jeleńkowska miała do edukowania córkę najmłodszą Józefę. Wynalazła dla niej guwernantkę w osobie panny Bukowskiej, która zakład, zwany Smolny Monaster, skończyła, z dyplomem wyszła i znała doskonale języki: francuski i rosyjski. Z Józią uczyła się siostra moja Bronisia. U ciotki Jeleńkowskiej znajdowała się szkoła żeńska, u nas męska. Sakowicz uczył mnie i Józefa, że zaś po rosyjsku nie umiał, więc panna Bukowska udzielała mi języka tego i uzupełniała zakres potrzebnych wiadomości. Na lekcje do niej chodziłem. Odległość wynosiła wiorst ze trzy: może mniej, może więcej trochę, co upoważniało mnie bądź do jeżdżenia konno, bądź do przeprawiania się przez staw czółnem rybackiem. Edukacja szła raźno, schodząc nieznacznie na ten grunt literacki, na jakim stała w Rybkach, a który się mi spod nóg wysunął był w Niemirowie. Nauczyciel mój chorował nieco na wierszomanję; czytywał mi utwory swoje, deklamował utwory poetów polskich i niemieckich; wprawiałem się przy nim w język niemiecki i począłem ukradkiem sam rymy składać.

Rok cały w domu rodzicielskim spędziłem i rok ów obróconym był na reparowanie tego, co się we mnie w szkołach popsuło. Reparacja polegała na przerwaniu ciągłości, któraby się nie przerwała, gdybym był po wakacjach dostał się do warunków, które zepsucie sprowadziły. Warunki, śród których się w Klebani znalazłem, zmieniły się całkowicie. Zmieniłem się też i ja. Zbliżał się dla mnie moment młodzieńczości i budzić się we mnie poczynały popędy i poglądy, znamionujące przechód do życia pełniejszego. Wydało się mi np., że pora mi

już zakochać się. Zakochałem się. Za przedmiot miłości wybrałem sobie ciotecznorodzoną siostrę moją, pisywałem do niej wiersze i marzyłem o podróży do Rzymu, celem uproszenia papieża o dyspensę. Dla miłości tej począłem bardziej się o wyglądanie moje troszczyć, elegantem być chciałem, alem ani sztuki tej, ani uzdolnienia do niej nie posiadał. Raz na Chorosze (ogród pałacowy w Tulczynie) wybrałem się w towarzystwie licznem, w surducie ojcowskim, upomadowawszy sobie głowę tak, że pomada spływała. Surdut człowieka dojrzałego na chłopcu trzynastoletnim leżał jak worek i wyglądałem w nim zabawnie. Daleko lepiej wiodły mi się popisy na koniu. Jeździłem dobrze i śmiało, co mnie często na wypadki narażało, na szczęście bez szwanku, pomimo że razy kilka udało mi się spaść w warunkach karkołomnych: raz w pędzie całym zgóry nadół, drugi raz w skoku przez rów szeroki, znów na kamieniach. Dosiadałem koni niejeżdżonych. Tłukłem się, alem wychodził cało. Ojciec mój charty trzymał, mnie ze sobą na polowanie nie brał, ale polować mi nie bronił; szczułem więc zające i lisy z zamiłowaniem, nacechowanem namiętnością. Gdy zając pomknął, traciłem przytomność umysłu i pomykałem za nim, nie zważając na płoty i rowy. Razu pewnego w rzadkim lesie zawadziłem o gałąź i spadłem z konia nawznak, przez zad, głową nadół, tak że skręcenie karku byłoby nie zdziwiło nikogo. Wyszedłem jednak cało. Wybiegałem i ze strzelbą na kaczki, i do lasu; lecz w tego rodzaju polowaniu ani powodzenia, ani takiego jak z chartami zamiłowania nie miałem. Nie byłem nigdy strzelcem dobrym; a to dlatego zapewne, żem wprawy nie miał i przykładu mi nikt nie dawał. Ojciec się w broni palnej nie kochał, ze strzelbą nie chodził, na błotach nie polował. Mimo to miałem raz spowodu broni palnej wypadek bolesny. Wieczorem przy świecy przesypywałem proch do rożka i dla zabawki na patyczek pośliniony brałem po kilka ziarnek prochu i wkładałem takowe w płomyk świecy. Operacji tej z drugiej strony stołu przypatrywał się brat mój Józef. Powtórzyłem ją razy parę. Gdym raz jeszcze patyczek do prochu włożył, nastąpił wybuch, świeca zgasła, oparzyłem sobie rękę prawą tak, że z całej skóra zlazła. Na rękę tę leczyłem się przez tygodni parę, szczęście, że się na tem skończyło.

Swobody rodzice zostawiali mi dużo. Poza godzinami lekcyj byłem wolny i wolności tej używałem rozmaicie, np. spędzając wieczory na słuchaniu kazek, opowiadanych przez parobków, pomiędzy którymi jeden szczególnie, Josyp, opowiadał i śpiewał. Podobało mi się to ogromnie. Powieści o upiorach przejmowały mnie ciekawością i grozą. Pragnąłem się z upiorem oko w oko spotkać; fantazja moja tworzyła rozmaite sytuacje dramatyczne na tle życia ludowego, któremu też spowodu tego przypatrywałem się zbliska i widywałem je ze strony powszedniej, ze strony romantycznej i ze strony — że tak powiem — przygodnej. Na drodze tej bez wiedzy mojej gromadziły się w umyśle moim materjały, które zużytkowywać począłem we dwadzieścia lat później.

Nauka, czytanie, polowanie, stosunki z sąsiadami, stosunki z ludem, trochę rojeń romantycznych, bezwiedne pióra próby, oto co mi zapełniło rok poprawy. Z nauki dużą, jakąm odniósł, korzyścią, był język niemiecki. Po niemiecku czytałem i mówiłem. Zgryzłem też łacinę, którą mi Sakowicz uprzystępnił. Największa atoli korzyść polegała na obmyciu się z brudów, w jakie się w Niemirowie uwalałem. Oczyściła mnie atmosfera rodzinna, czystość tego powietrza, jakie mnie owionęło na wsi, przy rodzicach, którzy mi same dobre dawali przykłady, którzy mnie kochali i których ja szanowałem i kochałem duszą całą.

III

DOBA PRZEŁOMOWA

W Klebani przed oczami mojemi przesuwały się zdarzenia i sprawy, znamionujące charakter stosunków towarzyskich i społecznych w sferze ludowej i szlacheckiej, jakoteż w tej, w której dwie te sfery w styczność wchodziły. Postrzeżenia przyjmowałem *in crudo*, bez badania przyczyn, bez wyciągania wniosków. Com widział, to mi się tak, jak widziałem, w umyśle układało i w pamięci pozostawało. Chłopi — nie byli to chłopi rybeccy, co się uważali za członków rodziny naszej. Stanowili oni świat odrębny, mający interesy i widoki własne, ale nieróżniący się od świata szlacheckiego czem innem, jak polorem i stopniem wykształcenia intelektualnego. Namiętności te same, sprawy te same, sposoby takie same, — wzięcie się jeno odmienne. Widziałem to zbliska. Szczegóły na gorącym imałem uczynku, co mi szło tem łatwiej, żem się dotknął ujemnych w stosunkach ludzkich stron, — stron, których w Rybkach nie przeczuwałem nawet.

Do administrowania majątku tak dużego potrzebną była ilość znaczna oficjalistów: rządca, ekonomowie, pisarze. Onito stanowili sferę pośrednią pomiędzy spólnikami a włościanami i stawali się powodem zajść romantycznych, obrażających niekiedy obyczajność. Przypomina mi się oddanie w rekruty młodego człowieka, co się był świeżo ożenił. Nastąpiło to wskutek intrygi, usnutej przez jednego z oficjalistów w porozumieniu z panną młodą. Rzecz ukartowaną i dokonaną była bardzo zręcznie. W oczy mi się rzucił wpływ demoralizacyjny, jaki klasa inteligentna wywiera na klasę ciemną. Jeszczeż wpływ ten w Klebani, dzięki obyczajności przestrzeganej we dworach, nie mógł być taki silny, jak gdzieindziej. Nie było tu ani panów kawalerów, pozwalających sobie, ani paniczów, którymby punkt

honoru nakazywał bałamucić dziewczęta i mołodyce wiejskie. Dowiedziałem się wszakże, że tak bywa; co zaś więcej, dowiedziałem się o rodzaju haremu, który Mieczysław Potocki z poddanek pięknych w Tulczynie utrzymywał. Pośredniczył mu w tem kozak wierny, Iwo. Bardzom był ciekaw oglądać kozaka tego; roiło mi się po głowie palladyństwo; pragnąłem spotkać się z nim i stanąć w obronie piękności jakiej, przezeń porywanej. Wcelu tym rozpytywałem kogo mogłem o szczegóły i nasłuchałem się o dziewczętach porywanych, zaprzepaszczonych, obłąkanych, o wisielicach, co się po polach błąkają, o topielicach, co w noc księżycową z wody wychodzą i płaczą. Udało mi się razy kilka spędzić wieczór dopóźna na wieczornicy i podpatrzyć romans u przełazu, przy krynicy, w burzanach. Iwa atoli nie spotkałem, i ochota moja rycerska spełzła na niczem.

Gromada klebańska nie była to — jakem wyżej powiedział — gromada rybecka; jednakże w częstych zetknięciach z chłopami nie spostrzegłem u nich najmniejszej dla szlachty niechęci. Byłem chłopcem wyrostkiem i byłem już w stanie spostrzegać. Chłopi uważali siebie za „zaprzedanych“ przez grafa ojcu memu na lat dwanaście i przyjmowali to jako rzecz całkiem naturalną. We wsi panował spokój i porządek, zamącany od czasu do czasu wrzawą, sprowadzaną przez okazje takie, jak praźnik, wesela, święta. Wesela i święta nie odbywały się inaczej jak za spółudziałem dworu, do którego panna młoda zachodziła po błogosławieństwo, do którego grono weselne przychodziło na tańce i częstunek, któremu gospodynie wiejskie przynosiły we wigilję Bożego Narodzenia kutję, a gospodarze na Wielkanoc kołacze i kraszanki. Nie było w stosunkach tych naciągania najmniejszego. Wyznanie nawet nie różniło, albowiem my, dzieci, bywaliśmy w cerkwi i uważaliśmy to za rzecz całkiem naturalną. W kłopotach chłopi u ojca mego znajdowali poradę i pomoc. Ojciec z nimi mówić umiał; posiadał takt, którym serca chłopskie podbijał, uzupełniając podbój rzetelnością w postępowaniu z poddanymi, od których nie wymagał niczego nad to, co się od nich prawnie należało. Stąd pochodziło, że wszędzie, gdzie dzierżawę trzymał, zostawiał po sobie w gromadzie wspomnienie jaknajlepsze. Brakowało mu jeno majątku własnego a dużego, ażeby się

stał wzorem obywatela. Dzierżawca — ściągał na siebie zarzut „rozpieszczania“ chłopów. Nigdy w ustach ojca mego nie postało narzekanie lub uskarżanie się, któregoby chłopi przedmiotem byli.

A narzekał i uskarżał się i gderał, znajdując do tego materjał obfity w złych czasach, w braku deszczu, w zbytku deszczu i w rozmaitych drobnych niepowodzeniach lub uchybieniach gospodarskich — drobnych przedewszystkiem. Do gderań ojca mego zastosowaćby można dyktowany mi przez proboszcza klebańskiego wiersz: „Jak na niedźwiedzia, gdy szyszka spadnie...“ Klęski wielkie znosił bez szemrania. Klęska ogromna na wiosnę, w czasie pobytu mego w domu, spadła na nas pod postacią pomorku na bydło. Był to widok dogłębi przejmujący. Woły, krowy, sztuki młodzieży ginęły jedna po drugiej. Stałem raz obok ojca i patrzałem na dogorywającego byczka paroletniego. Byczek na nas spoglądał, jakby ratunku wzywał. Ojciec się odezwał:

— Ludzkim patrzy wzrokiem... Cóż ja mu pomogę...

Sprowadzano weterynarza; dawano bydłu zalewania; oczyszczano powietrze zapomocą palenia ziół pewnych wraz z mierzwą; nic nie pomagało: pomorek ustał, zabrawszy trzy czwarte z obory i tyleż spomiędzy wołów roboczych. Była to strata czysta, wówczas bowiem asekuracyj nie znano jeszcze z nazwy nawet. Owóż ojciec mój nie skarżył się, ani żalił, pomimo ogromu straty, jaką poniósł.

Pamięć wywołuje mi przed oczy cztery zdarzenia, które się o Klebań otarły, — wszystkie cztery romansowe.

Pierwsze oparło się o Kurzańskich. Krewny Kurzańskiego, Gracjan Jotejko wykradł pannę Rylską i szlub z nią wziął. Sprawę tę cechował dawny despotyzm rodzicielski. Ojciec panny wydać ją chciał za kogoś, co był jej niemiłym, i ta wyjść wolała za Jotejkę, człowieka młodego, wykształconego, bardzo przyzwoitego, ale niebogatego. Romans ten ta zaznaczała osobliwość, że nie pośredniczyła onemu miłość. Stary Rylski córkę zniewalał; ona pod naciskiem oddała się pierwszemu, co w niej wstrętu nie budził. Była to kobieta bardzo ładna i posażna. Jotejko z posagu żony korzystać nie mógł, ojciec bowiem ją wydziedziczył; zamieszkał więc w Odesie, otworzył dom komisowy i nieźle mu się powodziło.

Drugiem zdarzeniem było przybycie do nas Bajewskiej z wychowanką, przywiezioną z Petersburga, dziewczynką w pieluchach. Bajewska podawała ją za wychowankę; mąż twierdził, że to jej córka, i żony do domu przyjąć nie chciał. Wywiązała się stąd sprawa skandaliczna. Kobieta bez dachu nad głową i bez grosza w kieszeni do rodziców moich się zwróciła z prośbą o ratunek. Rodzice moi przytułek jej dali. Bawiła u nas miesięcy kilka, wkońcu się do Tulczyna wyprowadziła. Nie wiem, co się z nią stało następnie.

Zdarzenie trzecie wielkie na mnie sprawiło wrażenie. Na dni parę przed Bożem Narodzeniem, w mróz trzaskający przybył do Klebani konno Jan Darowski z Krasnego. Podróżowanie konno w porę taką nie było we zwyczaju, spowodowało więc takowe coś niezwyczajnego. W rzeczy samej podróż tę nadzwyczajność cechowała. Jan Darowski rozgorzał miłością do panny Olgi Zalutyńskiej i do niejto spieszył. Kraśne od Humania, w okolicach którego panna mieszkała, oddzielała odległość znaczna, potrzeba przeto było kochać gorąco, a zarazem po rycersku, ażeby się ryzykować na zamarznięcie w drodze. Ryzyko to podobało mi się wielce. Myślałem o niem i marzyłem o złożeniu kiedyś dowodu miłości w sposób podobny. Jana Darowskiego po raz pierwszy wówczas widziałem; słyszałem następnie, że nie uzyskawszy wzajemności, z rozpaczy do huzarów wstąpił; spotkałem się z nim w lat dwadzieścia kilka później, w okolicznościach, o których opowiem na miejscu swojem.

W opowiadaniu o zdarzeniu czwartem zachować muszę ostrożność niejaką ze względu na to, że rolę główną odegrywa w niem matka dziś żyjącego i bardzo zacnego człowieka, któremuby wspomnienie to przykrość niemałą sprawiło. Nazwę ją panią K. Była to kobieta młoda, piękna, bogata i mająca za męża dziwaka. W okolicy, w której mieszkała, stał szwadron huzarów, szwadronowi przewodniczył rotmistrz, rodem z Węgier, nazwiskiem Hatzfeld. Pomiędzy panią K. a rotmistrzem zawiązał się stosuneczek, — może nie występny nawet, taki jednak, który się panu K. nie podobał. Rozwiązał się on w sposób skandaliczny. Pan K. rotmistrza, gdy ten do niego przyjechał, ująć, do stajni odprowadzić i nahajem obić kazał. Takie w sposób drażliwy sprawy drażliwej załatwienie pozostać nie

mogło bez następstw. Rotmistrz wyzwał pana K. na pojedynek, ten atoli stanąć mu nie chciał i stanąć za niego podjął się brat młodszy. Sprawa ta pojedynkowa załatwiała się w domu naszym. Rotmistrz bawił u nas dla niej dni kilka; przyjechał następnie antagonista jego, do którego on pretensji nie miał najmniejszej; umawiali się, na plac boju pojechali; bardzom pragnął być walki świadkiem, nie udało mi się to; pojedynek atoli rozstrzygnął się bez wypadku. Odbywał się na pistolety. O wszystkiem tem wiedziałem, pomimo żem był wiedzieć nie powinien, rzecz bowiem w tajemnicy przede mną ukrywaną była. Dowód to, jak trudno rodzicom wobec dzieci tajemnice zachowywać.

Inny jednak pojedynek, który się odbył nie wiem gdzie, a z którego jeden z uczestników wprost do nas przyjechał, smutno się rozstrzygnął, zakończył się bowiem śmiercią. Zginął w nim pełen nadziei młody człowiek, Włodzimierz Kożuchowski. Zginął z ręki Stanisława Denyski, syna generała, który jest jedną z osobistości, działających w powieści mojej p. t. *Krwawe dzieje*. Stanisław Denysko bawił u nas dni parę; że zaś podróż odbywał na perekładnych, a stacja pocztowa znajdowała się w Tulczynie, więc go ojciec mój do Tulczyna bryczką swoją odsyłał i on wszystkich nas chłopców ze sobą zabrał. Powróciliśmy z Tulczyna obdarzeni przezeń cukierkami, figami, daktylami i innemi łakociami, których po funtów kilka nakupił. Na drodze nauki moralne nam dawał, nauki, osią których było to, ażebyśmy pamiętali, żeśmy Polacy. W Tulczynie byliśmy z nim na Choroszem. Kiedyśmy przez podwórze pałacowe przechodzili, zatrzymał się i jednemu z braci moich przeczytać kazał napis na pałacu: „Oby zawsze wolnych i cnotliwych był mieszkaniem“.

— Otóż widzicie, — odezwał się — co to napisy warte... Nie mieszkał tu nigdy nikt wolny, ani cnotliwy... Wolność nie na słowie polega; cnota nie wypisuje się literami złotemi... Gdzie cnota mieszka?... — zapytał brata mego, Józefa, liczącego wówczas wieku lat dziewięć.

— Tu... — odpowiedział Józef, na serce sobie palcem wskazując.

— Dobrze, chłopcze... Przechowujże ją tam i trzymaj się jej, a będziesz więcej wart, jak ci, co tam — na pałac wskazał — mieszkali i mieszkają...

Denysko imponował wzrostem, postawą, zamaszystością kozaczą, którą łagodziła ogłada towarzyska i naukowa, nabyta w Krzemieńcu, zdaje się, jakoteż śmiałością, z jaką wypowiadał to, co w myśli miał. Było ich trzech. Majątkiem się nie dzielili. Stanisław gospodarował, dwaj zaś inni Denyskowie w Petersburgu przemieszkiwali dla interesów jakicheś. Jeden z nich ożenić się i majątek cały na własność objąć miał. Taki był pomiędzy braćmi układ; układ ten wszakże w ten rozstrzygnął się sposób, że się z nich żaden nie ożenił, postarzeli się, pomarli i majątek przeszedł w ręce krewnych dalszych. Jeżeli się nie mylę, na nich wygasł ród Denysków-Mokosijów, starej szlachty ruskiej, która Rzeczypospolitej Polskiej wojowników niemało dostarczyła. Denyskowie przez pokoleń kilka trzymali starostwo krzemienieckie, odstąpili je wkońcu królowej Bonie. Ostatnim z rodu tego, co rolę polityczną odegrał, był wódz wyprawy orężnej, dokonanej w r. 1796 przez wychodźców polskich przeciwko Austrji. Wyszedłszy z opałów tych ręką obronną, ożenił się i w spokoju żywota dokonał. Majątek Denysków leżał w powiecie bałckim. Z Kurzańskimi łączyło ich pokrewieństwo jakieś. Stanisław posiadał warunki wszystkie do zajęcia w społeczeństwie stanowiska wydatnego. Nie zajął takowego dzięki okolicznościom, które zdolności tłumiły; na wsi się zakopał i gospodarował na rachunek zajaśnieć mającego rodu; przeminął bez pozostawienia po sobie innej, jak wspomnienie tych, co go bliżej znali, pamiątki. Zajście, które doprowadziło do honorowej z Kożuchowskim rozprawy, jest mi nieznanem. Wiem jeno, że się wyzwali w Kamieńcu, w czasie wyborów, i bili się na pałasze. Kożuchowskiego żałowano powszechnie.

Dużo jeszcze ciśnie mi się do pamięci wspomnień, niesposób notować wszystkich. Jednego atoli pominąć milczeniem nie mogę; jest bowiem w rodzaju swoim charakterystycznem. Miałem przy sobie nauczyciela; nauczyciel zaś mój miał matkę, mieszkającą — jeżeli mnie pamięć nie zawodzi — w Piszczanie. Kochał ją sercem całem i ona na miłość syna zasługiwała, wychowanie bowiem jego było z jej strony owocem poświęceń, posuwanych do heroizmu prawie. Odwiozła go do Tarnopola — odwiozła, to znaczy, granicę z nim przekradła i, ulokowawszy w konwikcie u jezuitów, do domu powróciła spo-

sobem przekradanym. Sposobem też przekradanym nad nim czuwała. Wiedzieć należy, że była to kobieta uboga i mieszkała od granicy o mil kilkadziesiąt. Nie stanowiło to dla niej przeszkody. Paszportu mieć nie mogła; w czasach owych paszporty dla ludzi niezamożnych były niemożliwe; nie starała się nawet o takowy: ile razy za synem się stęschniła, jechała, granicę przekradała, subsydja zawoziła i wracała poto, ażeby na naukę syna zasiłek nowy gromadzić. W sposób ten opłacała konwikt z roku na rok. Cała edukacja syna odbyła się na drodze kontrabandy. Gdy młody człowiek szkoły skończył, matka przyjechała, zabrała go, granicę z nim przekradła i do domu przywiozła. Natychmiast po powrocie trafiła się mu kondycja u nas. W kilka miesięcy później, porą zimową, pani S. przyjechała do syna w odwiedziny. Zabawiła dni kilka i wszystkich sobie ujęła. Kobieta uprzejma, wesoła, gadatliwa, rozpowiadała z akcentem humorystycznym o wypadkach na granicy, o Tarnopolu, o ojcach jezuitach, do których nabożeństwa zgoła nie miała. Słuchaliśmy jej godzinami całemi. Odjechała wreszcie, obiecała atoli za dni kilka powrócić, udawała się bowiem nie do domu, ale dla interesu jakiegoś w stronę wręcz przeciwną, do Winnicy. W tydzień później syn jej otrzymał przez umyślnego list, po odczytaniu którego zerwał się, do ojca mego wpadł i głosem rozpaczą nabrzmiałym wzywać go się jął o spieszenie na ratunek matki.

— Cóż się stało?...

— Nie wiem... przyaresztowana...

— Gdzie?

— W Bracławiu...

— Za co?...

Z listu nie można się było domyślić niczego. Zaklinała syna, ażeby nie przyjeżdżał, mógłby bowiem położenie jej pogorszyć, ale domagała się usilnie przyjazdu ojca mego.

— Panie, ratuj mi matkę... — błagał syn.

Ojciec mój wyjechał, nie tracąc chwilki jednej.

W czasie nieobecności jego rozpacz młodego człowieka nie ustawała na chwilę. Matka moja pocieszała go, jak mogła; dla pociech nieprzystępnym się okazywał i ustawicznie co do powodu aresztowania czynił przypuszczenia, w których się gubił. Rzeczą najprawdopodobniejszą wydawała mu się kompro-

mitacja polityczna. Była to pora, w której przebywał w kraju Szymon Konarski i pomiędzy szlachtą krążyły formuły pojęć demokratycznych, surowo zabronionych, pomieszane z bałagulstwem, które ruch pewien sprawiało. Przedmiotów zabronionych znajdowała się ilość znaczna: książki, obrazki, rękopisy nawet. Nic nie było łatwiejszego, jak skompromitować się. Prowadziło do tego byle co. Domysł przeto nauczyciela mego wydawał się racjonalnym; był to jednak domysł tylko, na którego sprawdzenie czekać było potrzeba do powrotu ojca mego. Minął dzień, minął drugi. Niepokój młodego człowieka wzrastał. Wreszcie ojciec mój powrócił i przywiózł uspokojenie pod postacią listu pani S. do syna, który, jak skoro list oczami przebiegł, zawołał:

— A co... jam się domyślał tego...

Pani S. pisała, że przyaresztowaną została spowodu wierszów patrjotycznych, które przy sobie miała, i że na wstawienie się i za poręką ojca mego na wolność wypuszczona, pojechała z Bracławia do domu wprost. W rzeczy samej ojca mego wstawienie się wydobyło ją z więzienia; lecz powód uwięzienia był cale inny. Biedną kobietę trapiła choroba, znana pod nazwą kleptomanji. Polega ona, jak wiadomo, na przyswajaniu sobie własności cudzej. W podróży do Winnicy zawiozła do jednego z kupców winnickich przez siebie napisany list od pełnomocnika Bolesława Potockiego, zamawiający u kupca owego na rzecz skarbu niemirowskiego towary. Kupiec towary dał, lecz wnet skarb o tem zawiadomił. Pani S. czasu nie miała zniknąć. Została na gorącym pochwycona uczynku. Ojciec mój, jak skoro się o istocie rzeczy dowiedział, udał się do Niemirowa i znalazłszy w pełnomocniku człowieka wyrozumiałego, wyjednał u niego cofnięcie skargi, przez co proces w zawiązku samym umorzony został. Robiło się to dla syna, który też nie wiedział o niczem. Miłość dla niego wywołała u niej chorobę. Zapragnęła wychować go inaczej, aniżeli położenie jej towarzyskie i majątkowe na to pozwalało; opanowała ją we względzie tym manja i z manji tej wyrodziła się kleptomanja. Edukacja młodego człowieka odbyła się całkowicie sposobem kradzionym. Oczywiście syn temu winien nie był. Rodzice moi nie dawali mu tego ani poznać, ani uczuć. Nie wiem, co się z nim następnie stało, znikł bowiem z horyzontu w okolicach

naszych i po odejściu jego od nas nic już o nim nie słyszałem. Zagranicą, w roku 1869 wpadło mi w ucho w postaci wieści imię i nazwisko jego, ale nie wiem, czy to on. Fakt ten czyż nie wchodzi do kategorji fortun owych źle nabytych, z których korzystają spadkobiercy? „Maleparta idzie do czarta"; zdarza się tak, ale zdarza i inaczej. Jest to kwestja ciekawa dla prawników, psychjatrów i moralistów.

Wspomniałem wyżej o pojęciach demokratycznych i o bałagulstwie. Jedno z drugiem łączyło się i minowało społeczność szlachecką, znajdującą w tem sposób do zapełnienia próżni życia, na jaką ją okoliczności wskazywały. Był to sytuacji wynik naturalny, niemal konieczny. Pojęcia demokratyczne, przejęte częściowo, a przez niektórych żywo, wyzywały zastosowanie, na jakie społeczność zdobyć się mogła. Zastosowanie przeto poszło w kierunkach rozmaitych, śród których uwydatniły się głównie dwa: poważny i lekkomyślny. Pierwszy wyraził się pod postacią głośnej Konarskiego sprawy, która gdyby dziś rozpatrywaną i sądzoną była, z pewnościąby klęsk takich na rodzin dużo nie ściągnęła. Drugiego nazwać inaczej nie można, jak szałem. Ludzi młodych, życiem kipiących i nic lepszego do czynienia niemających, opanował szał, który się zaszczepił na tle przyrosłej do gruntu tradycji hulaszczej kozaczej. Rozrósł się on szeroko, ale do Klebani nie wszedł, — nie miał do kogo. Domy ciotki Jeleńkowskiej, Kurzańskich i nasz nie nadawały się do przyhołubienia onego, nie zawierały w sobie żywiołu odpowiedniego. Ja byłem jeszcze małoletni, nie mogłem przeto w ruchu bałagulskim roli odgrywać żadnej, pomimo że mi się — wyznać muszę — ruch ów popobał. Podobał się on i nauczycielowi memu; ten atoli widział w nim co innego, aniżeli to, co w rzeczy samej było: wiązał takowy z Voltairem, którego był wielbicielem bezwarunkowym. Nie licowało to z jego u jezuitów wychowaniem. Sprzeczność ta atoli zdarza się dosyć często. Sam Voltaire z rąk jezuitów wyszedł. Pan S. śród kilkunastu książek, które jego szczupły, ale wielce przezeń ceniony księgozbiór stanowiły, posiadał Voltaire'a *Listy filozoficzne* i opowiadał mi, jak się z niemi w Tarnopolu przed ojcami ukrywać musiał. Opowiadał mi też o *Dictionnaire philosophique*, jako o książce nad książkami. *Listy* czytałem, o *Słowniku filozoficznym* marzyłem. Było to okienko,

przez które po raz pierwszy spojrzałem na filozofję. Nie zajęła mnie ona wyłącznie, ale zainteresowała bardzo.

Po wakacjach (1838) roku następnego mnie i brata mego młodszego odwiózł ojciec do Niemirowa napowrót. Promocja, jaką przed rokiem otrzymałem, została mi policzoną. Wszedłem do klasy trzeciej, to znaczy rok straciłem. Ulokowaniśmy zostali nie u Gonzala już, ale na stancji skromniejszej i tańszej, pod dozorem Czerniewicza, a na wikcie pani Ryzopowej, której mąż stolarką się trudnił, ona zaś studentów utrzymywała. Czerniewicz, człowiek lat średnich, eksnauczyciel domowy, poważny i uczciwy, z nami jadał i sypiał, i pilnie nas w naukach doglądał. Pod dozorem jego zebrała się uczniów gromadka spora, szesnastu czy osiemnastu. Zajmowaliśmy domek cały, który frontem na ulicę wychodził; w podwórzu zaś, w oficynie, mieściła się gospodyni z rodziną i służbą. Karmiono nas lepiej aniżeli u Gonzala i czuwano nad nami bez porównania troskliwiej.

W szkole zastałem zmiany znaczne w personelu nauczycielskim w tym sensie, że nauczycieli kilku Polaków ubyło, a miejsca ich zastąpili Rosjanie, których ilość powiększyła się jeszcze i przez to, że otworzono klasy równoległe. Dobór nie był koniecznie szczęśliwy. Język rosyjski w klasach niższych wykładał niejaki Czunichin, pijak skończony, brutal i nieumiejący nauczać inaczej, tylko z gramatyki Wostokowa, z której zadawał „stąd-dotąd“ i dosłownie recytować sobie kazał. Język łaciński także się pijakowi, ale człowiekowi przyzwoitszemu, dostał. Najciekawszą atoli w rodzaju swoim figurą był nauczyciel historji rosyjskiej, pełniący zarazem funkcję inspektora, niejaki Orda, pochodzenia prawdopodobnie polskiego, śledziennik i złośliwiec. Ten do uczniów nie przemawiał inaczej, jeno lżąc słowami ostatniemi: „czorban“ [1], „czuczeło“ [2], “durak“, „padlec“, „skatina“ i t. p. Raziło to nas zrazu; przywykliśmy jednak następnie. Dyrekcja pozostawała zawsze w ręku Miładowskiego, czuć się jednak dawało podkopywanie stanowiska przezeń zajmowanego. Gdy z uczniów który przez inspektora złajany żalił się przed nim, on się unosił i odpowiadał:

— Nie gadaj mi tego, nie gadaj!... Zasłużyć musiałeś... Dobrze ci tak.

---

[1] Kloc. [2] Straszydło.

W Kowalówce zamieszkał kurator od wyborów, hr. Bolesław Potocki, właściciel Niemirowa i fundator szkół. Ten się szkołami gorliwie zajmował, ale w sensie bardziej ujemnym, aniżeli dodatnim. Lubił się dziećmi otaczać i bawić się niemi. Było to zamiłowanie tego rodzaju, co w pieskach lub papugach. Co sobota dwoma lub trzema pojazdami zabierał kilkunastu lub kilkudziesięciu chłopaków, przez dobę całą karmił ich, poił i rozrywek im różnych dostarczał. Lubił szczególnie dzieci ładne i te faworyzował. Dla okazywania się bezstronnym brał i starszych chłopców. Niemało na koszcie jego nauki pobierało, ale trzeba było umieć do niego trafić, podobać się mu, łaski jego sobie zaskarbić. Wytwarzało to różnice od „łaski" zależne i wywierało wpływ moralny niekoniecznie dobry. Na tem się oddziaływanie ze strony kuratora ograniczało. Kiedy mu opowiadano o połajankach Ordy, śmieszyło go to wielce, powtarzać sobie kazał wyrazy i wynadgradzał specjalnie tych, co Ordę trafnie prezentować umieli.

Bywanie u Potockiego wywołało śród młodzi szkolnej spółubieganie się, które się wyrażało rozmaicie.

Stanąłem był raz do spółzawodnictwa i ja, ale mi się nie udało. Jeden ze sposobów polegał na napisaniu wierszy po polsku. Była to kontrawencja [1], hrabia kontrawencję tę faworyzował. Napisałem przeto odę jakąś, nadaremnie jednak: widać oda moja nie wzniosła się na te wyżyny, na których świeciła łaskawość kuratora. Jako gość Potockiego nie byłem nigdy ani w Kowalówce ani w Niemirowie.

W naukach trzymałem się dobrze; pod względem konduity nic mi do zarzucenia nie było. Zerwanie tradycji zapomocą pobytu przez cały rok w domu okazało się w następstwach zbawiennem. Anim długów nie zaciągał, anim się facjendą bawił, anim w miodzie i likierach smakował. W klasie trzeciej stałem się takim, jakim byłem w pierwszej; ale...

Zaszło jedno ale, które mi nie dało zasłużyć na zupełne przełożonych szkolnych zadowolenie.

Sprawa Konarskiego odbiła się po szkołach echem. Opowiadano o niej pocichu; jedni z uczniów wiedzieli więcej, drudzy mniej, wszyscy zaś, co się nią interesowali, uważali

[1] Kontrawencja, uchybienie przepisom.

za obowiązek swój uczyć się napamięć i przepisywać ilość jaknajwiększą wierszyków zabronionych. Wierszyki mieszały się z pojęciami, zasadami, i naodwrót, zwyczajnie jak w głowach dziecinnych. Przybyło chłopców paru z Kijowa. Jeden z nich deklamował Szewczenki *Kaukaz* i *Posłanje*; drugi stroił miny tajemnicze i dawał do poznania, że jest członkiem sprzysiężenia jakiegoś. Intrygowało nas to. Chłopak ów, lat 16—17, nazwiskiem Ordyński, syn wysłużonego w armji rosyjskiej majora, posiadał zdolność pozowania, przywiązaną do postawy jego. Było to w nim naturalne. Z tem atoli i nienaturalność się łączyła, nienaturalność w ten tłumacząca się sposób, że się przed tym i owym zwierzył, jakoby był wysłańcem nie sprzysiężenia ani stowarzyszenia żadnego politycznego, ale zakonu. Miał to być zakon na wzór kawalerów krzyża, kawalerów miecza, templarjuszów. Należeli do niego jakoby Anglicy, Francuzi, Szwedzi. Znajdował się on w momencie zawiązku — gromadził rycerzy, a to w tym celu, ażeby po zgromadzeniu takowych w liczbie dostatecznej zwrócić się do cesarza Mikołaja i wyjednać u niego miejsce na instalację. Ordyński zapewniał, że kwestję instalacji uważać można za zgóry załatwioną, i opisywał nam uzbrojenie (pancerze i szyszaki), ozdoby (szarfy i pióra), formę płaszczów rycerskich, sztandary, rękawice, pierścienie, etc. Nie wchodzę w te szczegóły, których zresztą nie pamiętam dokładnie. Co do zadania, jakie miał zakon ów do spełnienia, nie było ono dosyć jasne. Tkwiło w niem wyswobodzenie Polski, ale zamaskowane, co tem mocniej nęciło. Dzięki ogólnemu usposobieniu umysłów, jakie zapanowało wskutek sprawy Konarskiego, wszystko, co się tajemniczością oblekało, posiadało urok szczególny. Tragiczny koniec Konarskiego i tragiczny koniec templarjuszów wydawały się zdarzeniami — mimo ogromny przedział czasu — pokrewnemi i nastrajały nam wysoko imaginację dziecinną. Ordyński zalecał tajemnicę absolutną, a przytem przepisywał znaki, po których mieliśmy się poznawać: paski druciane, kaszkiety z daszkami kształtu osobliwego, coś jeszcze i nazwiska. Mnie dostało się nazwisko: Noel las Stuart. Sprawiłem sobie pasek i kaszkiet i byłem temu rad niezmiernie, zwłaszcza żem zajmował stanowisko wysokie. Wedle z angielskiego czy hiszpańskiego jakoby tłumaczonych statutów, które nam Ordyński czytał,

zakonnicy dzielili się na rycerzy i towarzyszy; pierwsi stanowili związek ściślejszy. Należałem do tych właśnie. Było nas takich wszystkiego pięciu: Ordyński, Bratkowski (Fortunat), Kowalski, Morgulec (Antoni) i ja. Kowalski, Morgulec i ja mieliśmy po lat trzynaście, czternaście, Bratkowski nie liczył chyba więcej jak szesnaście, Ordyński siedemnaście. Schodziliśmy się, naradzali, werbowaliśmy towarzyszy; Ordyński komunikował nam wiadomości zakonu się tyczące, które, jak się zdaje, z własnej snuł głowy. Powiedział nam razu pewnego np., że Anglik, rycerz zakonu naszego, wynalazł zwierciadło palące, zapomocą którego spalić można odrazu armję całą największą. O! jakże się mi wynalazek ten podobał. Spalenie armji moskiewskiej wyzwalało Polskę bez wojny.

Sprzysiężenie to (nie składaliśmy wszakże przysięgi) zawiązało się przed Bożem Narodzeniem. Na święta rozjechaliśmy się jako rycerze. Po nas dwóch (po mnie i brata mego) przysłał ojciec konie; przysiadł się z nami Czerniewicz; zabawiliśmy przez święta i nazajutrz po Trzech Królach ruszyliśmy do Niemirowa spowrotem. W czasie podróży tej, którąśmy odbywali w mróz trzaskący, po śniegu, dopędziliśmy, do Bracławia dojeżdżając, kacapa bez czapki, w koszuli, ze skrępowanemi wtył rękami. Po śniegu brnął i, gdyśmy się z nim zrównali, zawołał na nas:

— Batiuszki!..

Czerniewicz kazał stanąć.

— Co ci?... — zapytał. — Kto cię związał?

— Syn... syn mi tak dogodził... Byłby zabił, alem się mu wyrwał i uciekł: do sądu na niego ze skargą idę... Rozwiążcie, dla Boga!

Czerniewicz go rozwiązał, i on tak w koszuli, bez czapki, ze śniegiem we włosy nabitym poszedł, na syna się odgrażając.

Wieczorem tego dnia nocowaliśmy u Ryzopowej. Pilno mi było dowiedzieć się, jak stoją sprawy zakonu. Stały doskonale. W dni kilka później zgromadziliśmy się — „rycerze“, odbyliśmy naradę i prowadzili czynność naszą dalej równolegle z zajęciami naukowemi, w których ci z nas, co się uczyli dobrze, w naukach zgoła nie słabli.

Że jednak to nasze sprzysiężenie tajemnicą pozostawać nie mogło, to rzecz naturalna. Wydawała się ona przez to samo,

żeśmy werbowali „towarzyszy“. Jednemu się mówiło więcej, drugiemu mniej. Ordyński tajemniczością zachowywania się swego wzbudzał ciekawość. Koledzy dostrzegli na nas pasków drucianych. Domyślano się, że śród nas pięciu coś się knuje. Budziliśmy szacunek ku sobie.

Razu pewnego, gdym po lekcji z klasy z kolegami wychodził, spotkał mnie u drzwi inspektor i, za sobą iść kazawszy, do kancelarji swojej zaprowadził. Zastałem tam jednego z dwóch do Niemirowa przysłanych subinspektorów, nazwiskiem Sztajn. Inspektor kazał mi surdut rozpiąć i, nic nie mówiąc, po kieszeniach szukać począł. Zwykle miałem kieszenie wierszykami wypchane; tym razem atoli, czystym wypadkiem, rękopisy wszystkie złożyłem razem i wsunąłem sobie na pierś pod koszulę. Kiedy mnie inspektor obszukiwał, pierś wypiąłem w sposób taki, że kamizelka papier przycisnęła; gdy zaś nic nie znalazł, zapytałem go:

— Czy i kamizelkę rozpiąć?...

— Nie potrzeba... — odparł i zaczął: — Ach ty, czorban, czuczeło, padlec! i t. d.

Wtem ktoś do drzwi zapukał, inspektor wyjrzał, wyszedł, po chwilce wrócił i, do mnie mowę zwracając, groźnie się odezwał:

— Do dyrektora idź... Paszoł won!...

Udałem się do kancelarji Miładowskiego, który, jak skorom próg przestąpił, drzwi od sieni i drzwi wewnętrzne zamknął i zapytanie mi zadał:

— Co z tobą inspektor robił?

— Rewidował...

— Znalazł co?...

— Nic...

— Hm... — mruknął i groźnie w oczy mi patrząc, zapytał: — I ty nie masz przy sobie nic?... Co?...

Zmieszało mnie zapytanie to.

— Co?... — powtórzył.

— Mam... — odrzekłem.

— Gdzie?...

Rozpiąłem kamizelkę i pokazałem.

— I on nie znalazł?...

— Nie...

— Daj to tu...

Plik zza koszuli wyjąłem i Miładowskiemu wręczyłem. Pochwycił i, prędko przeglądając, a uwagę to na tym, to na owym rękopisie dłużej nieco zatrzymując, powtarzał:

— Wierszyki!... ha, wierszyki... wierszydła!... ha!... o!... wierszyki... Czy ty wiesz — zaczął, we mnie się wpatrując, — czy wiesz, że za to czeka ciebie spacer tam, gdzie się sobole hodują?... żeś nieszczęśliwym zrobił ojca i matkę?... Wiesz ty?... Myślisz może, że ja ciebie zasłonię?... jabym zasłaniać miał ciebie i zgubić siebie?... Nie chcę się ja gubić dla błazna takiego... Ach! błaźnie ty jakiś!... Wierszyki... wierszyki... I dla wierszyków marnych przepaść marnie... Biedny ojciec, biedna matka. Cóż ty na to?... — zapytał nagle.

— A cóż... — odrzekłem.

— Nacóż ty mi to dał?...

— Pan dyrektor kazał...

— Kazałem?... Ach, ty błaźnie jakiś!

Mówiąc to, po izbie się oglądał, zamilkł, szyję wyciągał, jakby nasłuchiwał, wreszcie tak się do mnie, plikiem wstrząsając, odezwał:

— Słuchaj, ja to zniszczę, spalę, ale ty o tem słówka nie piśnij nikomu... Mnie zgubisz, mnie... rozumiesz?... Ja ciebie gubić nie chcę dla twoich rodziców biednych; nie gubże ty mnie... Idź precz, a gdyby cię inspektor pytał, coś tu robił, powiedz mu, żem ciebie kpał i żem ci groził ze szkół wypędzeniem... idź precz!...

Odszedłem. Inspektor mnie nie spotkał, więc o nic nie pytał. W domu dowiedziałem się, że podczas lekcji rewizji w książkach i kajetach moich dokonał.

Nie pojmuję, dlaczego spomiędzy sprzysiężonych mnie natenczas jednego rewizja spotkała. Że zaś była to w Niemirowie rewizja w tym rodzaju pierwsza, sprawiła więc mi śród kolegów wziętość wielką. Sprzysiężenie na tem zyskało. Miładowskiemu tajemnicy dochowałem. Zdradzam ją teraz dopiero w przekonaniu, że zdrada ta pamięci jego uszczerbku nie przyniesie, — przeciwnie chyba.

Na tem jednak rzecz się nie skończyła. W tygodni kilka później nadchodziły święta wielkanocne i, kiedy już po nas konie przyszły i myśmy się do domu wybierali, stróż szkolny do inspektora, nie do kancelarji, ale do mieszkania jego mnie

wezwał. Poszedłem. Przyjął mnie, fajkę na długim cybuchu paląc i do mnie łagodnie przemawiając. Punkt, z którego wyszedł, był ten, że zamiarem jego jest zagrażające mi nieszczęście odwrócić, i dlatego domaga się ode mnie otwartości zupełnej. Po wstępie tym jął się rozpytywać mnie o „coś, co ma pozór zmowy“.

— Co to jest?...

— Nie wiem o niczem — odpowiedziałem.

— Łżesz („wriosz“), ale ty nie łżyj... Ja tobie źle nie życzę... Tyś chłopiec zdolny, ciebie czeka przyszłość piękna, którą napewne sobie zepsujesz, jeżeli mi prawdy całej nie odkryjesz.

— Ależ bo ja nie wiem, o co panu inspektorowi chodzi...

— Ty nie wiesz... O! wiesz ty... Eh! dlaczego ciebie dyrektor tak długo w kancelarji trzymał?...

— Kiedy?...

— A tego dnia, kiedym ja ciebie zrewidował?...

— Łajał mnie...

— Tylko?

— I groził, że mnie ze szkół wypędzi...

— Za co?

— Jeżeli na siebie będę podejrzenia ściągał...

— Ahm?... A z kimże ty spomiędzy uczniów przyjaźnisz się najbardziej?

— Ja z każdym jestem dobrze...

— Z każdym dobrze, ale z kimeś najlepiej...

— Dnia jednego lepiej z jednym, drugiego z drugim...

— Uhm... — głową wstrząsnął, brwi zmarszczył i, po chwili ton mowy zmieniając, zaczął: — Słuchaj, jam cię wezwał nie nato, ażebyś mi wykrętami odpowiadał. Mów prawdę, w przeciwnym bowiem razie zgnoję ciebie, zgniotę, zdruzgocę, jak... ot...

Przy słowie ostatniem fajką o podłogę trzasnął, tak że się rozsypała w kawałki.

— Co to pomiędzy wami za zmowa?

— Nie wiem o żadnej zmowie...

— Wiesz!...

Ramionami ścisnąłem.

— Wiesz i opowiadaj mi wszystko... siej-czas!...

Milczałem.

— Nu?... — zapytał. — Gadaj!...

— Kiedyż nie mam co...

— Gadaj! padlec, durak, mierzawiec!.. Anu!..

— Nie wiem o niczem....

— Nie wiesz?...

— Nie wiem...

— Paszoł won! durak... Będziesz ty gadał... Kleszczami ci z języka gadanie wyciągnę... Paszoł won!..

Drzwi mi pokazał. Pospieszyłem na kwaterę, gdzie Józef, na bryczce już siedząc, niecierpliwił się. Pojechaliśmy na święta. Ojciec czekał na nas w Klebani. Zastaliśmy go w humorze jaknajgorszym.

Z dzierżawą klebańską rzeczy zły wzięły obrót. Trzy lata nieurodzajów i cen niskich uczyniły niemożliwem dalsze przy niej trzymanie się. Spólnicy wymówili ją jurysdatorowi i ten przyjął zrzucenie się z kontraktu, usuwając wszakże pretensje, jakie do niego dzierżawcy rościli o meljoracje, zwłaszcza zaś o gorzelnię, którą postawili, i o woły, które włościanom rozdali. Co do tych dwóch i innych jeszcze punktów odesłał ich na drogę sądową. Termin władania wychodził dzierżawcom 13 marca 1839 r. W dniu tym tracili prawo używalności majątku, lecz nie tracili prawa do zbiorów zeszłorocznych, które w stertach złożone zapełniały toki. Spólnicy, celem uniknienia przy ostatku rachunków i mogących stąd wyniknąć nieporozumień, na rok przedtem podzielili się: ciotka Jeleńkowska i Kurzański wydzielili sobie 2/3, ojciec mój sobie 1/3, i ojciec mój pilnował części swojej, którą zebrał, zwiózł i co do której na kupca czekał. Kupiec nie trafiał się w jesieni; trafił się na wiosnę, tak że zmłockę na wiosnę dopiero rozpocząć było można. Wszystko to znajdowało się w porządku. Ojciec mój postarał się o dzierżawę inną, wziął Wysoką Groblę, wioskę pod Miaskówką, należącą do Jana Jaroszyńskiego, i przeniósł się tam; wyprawił matkę moją z dziećmi młodszemi i przeprowadził żywy i martwy gospodarski inwentarz; sam zaś w Klebani pozostał celem dokonania omłotu zboża i oddania takowego kupcowi. Było tego dużo, kóp kilka tysięcy zboża tak ozimego, jak jarego, — krescencja cała. Na zboże to niespodzianie trafił się kupiec w osobie samego Mieczysława Potockiego, który, wydzieliwszy sobie Klebań na gospodarowanie w niej osobiście, potrzebował ziarna do pędzenia gorzelni. Zgłosił się atoli za

późno: kontrakt z żydem był już podpisany, i ojciec mój Potockiemu sprzedaży odmówił, robotnika najął i zboże młócić rozpoczął. Robota na toku zawrzała. Snopy ze stert przechodziły pod cepy kilkuset zmłocków i ziarno oczyszczone zsypywano w stodole, skąd miał je kupiec częściowo zabierać. W stanie tym zastał robociznę dzień 13 marca. W dniu tym do wsi zjechał Mieczysław Potocki, wieźć siebie kazał tu i ówdzie, wreszcie na tok, gdzie na widok omłotu okazał zdziwienie.

— A ttto cooo?... — zapytał, jąkając się, jak to w naturze jego było.

Odpowiedziano mu, że dzierżawca zboże swoje młóci.

— Wyrzucić mi to precz, natychmiast!...

Rozkazał z toku wyrzucić sterty, ziarno, wszystko, co się tam jako własność ojca mego znajdowało. Powtórzyć musiał rozkaz razy parę, zanim zrozumiano takowy. Gdy się wreszcie do wykonania rozkazu zabrano, dano znać o tem ojcu memu, który, na tok przybiegłszy i ujrzawszy co się dzieje, ruszył wnet do Bracławia, dla wyjednania obrony sądowej („sudiebnaja zaszczita"). W Bracławiu dano mu inwalidów kilku; przywiózł ich, ale już bronić nie było co; inwalidzi skonstatowali jeno fakt gwałtu; ojciec mój skargę zaniósł i byłby do Wysokiej Grobli wyjechał, gdyby nie musiał czekać dni kilka na nas.

W takimto momencie przyjechaliśmy z Niemirowa, niedziw przeto, żeśmy ojca zastali w humorze jaknajgorszym. Zrujnowany został doszczętnie. Do strat, jakie spowodowały nieurodzaje i ceny niskie, jakoteż wydatki meljoracyjne, przyłączyła się jeszcze utrata całkowita zbioru, stanowiącego cały ojca mego majątek. Pozostał jeno inwentarz, ruchomości i opłacona w części za Wysoką Groblę tenuta dzierżawna. Strata, licząc w to rozdane włościanom woły, gorzelnię, zabudowania gospodarskie i postawiony przez ojca dom, obliczoną została na 50.000 rubli. Czyn ten nie ustępuje w niczem gwałtom, jakich się dopuszczał Starosta kaniowski. Pozostawało dochodzenie krzywdy na drodze procesu, — procesu pomiędzy człowiekiem doszczętnie zrujnowanym a magnatem. Ojciec mój wygrał w instancji pierwszej; wygrałby zapewne w drugiej i trzeciej, gdyby sprawę popierać miał czem. Dochodzenia sądowego zaniechać musiał.

Dla sprawy tej wyprzedzę kolej wypadków i opowiem rozwiązanie jej.

Ciotka Jeleńkowska i Kurzański procesowali Potockiego o nakłady meljoracyjne i po latach a latach proces wygrali. Ojciec mój, najmocniej dotknięty i najbardziej skrzywdzony, sprawy swojej nie popierał, na czasy lepsze czekał i doczekał się tego, że na skutek skargi przez żonę, z domu Szwejkowską, przeciwko Potockiemu do cesarza Mikołaja zaniesionej Potocki do Saratowa zesłany został i majątek jego sekwestracji na rzecz syna małoletniego uległ. Nastąpiło to bez sądu, a to dla uniknienia skandalu, jakiby wywołało sądowe skargi rozpatrywanie. Żona tyle, takich i tak mocno uzasadnionych zarzuciła mężowi zbrodni, że wywleczenie onych najaw skompromitowałoby sam rząd, pod którym rzeczy podobne dziać się mogły. Były tam gwałty wszelkiego rodzaju, podpalania, trucia, duszenia, gwałcenia dziewcząt małoletnich, wreszcie głodzenie i chłodzenie żony. Była to jego druga żona; wziął ją po rozwiedzeniu się z pierwszą, sławną dzięki Zygmuntowi Krasińskiemu Delfiną z domu Komar, nato tylko, ażeby mieć z niej spadkobiercę. Gdy mu tedy syna powiła, uważał ją za zbyteczny w domu sprzęt i trzymał w pałacu tulczynieckim o głodzie i chłodzie, traktując z brutalnością całą. Przy niej mieszkała matka. Ta materjał do skargi zbierała i kiedy się przekonała, że córce jej wyżyć z mężem niema sposobu, urządziła ucieczkę. Matka i córka, dziecko zabrawszy, schroniły się pod opiekę konsystującego podówczas w Tulczynie generała (Siewersa, zdaje się) i pod jego opieką udały się wprost do Kijowa, gdzie w momencie owym znajdował się cesarz. Skarga wprost się do rąk cesarskich dostała. Potocki w ślad za kobietami do Kijowa pojechał, celem otrząśnięcia się z kłopotu zapomocą pieniędzy. Pieniądze jednak nie zdały się nanic. Rozkaz cesarski, umarzając proces, miał moc dekretu bez apelacji. Dekret to był bardzo łagodny. Na mocy onego Potockiego w Kijowie przyaresztowano i na miejsce wyznaczonego dlań mieszkania niezwłocznie odesłano; majątek zaś jego, jemu odebrany, przeszedł pod administrację, mającą czuwać nad takowym do czasu bądźto pełnoletności syna, bądź też ulaskawienia skazanego.

Dla ojca mego nie było to zgoła polepszeniem sprawy, zawsze bowiem potrzeba było prowadzić proces, na który

środki posiadać należało. W braku takowych matce mojej wydało się, że samotność w Saratowie, gdzie został internowanym, pobudzi Potockiego do rozmyślania, a rozmyślanie do skruchy. Napisała więc do niego i, o dziwo! odpowiedź od niego otrzymała. Potocki nietylko jej odpisał, ale słuszność pretensji przyznał. Nie pochodziło to ze skruchy. Potocki, w Saratowie się znalazłszy, nie chciał zrazu wierzyć, ażeby wygnanie było na serjo; gdy zaś się przekonał, że na serjo jest, wpadł na pomysł pozyskania łaski monarszej zapomocą zmiany religji. Przyjął prawosławie i syna kazał wedle obrządku wschodniego Kościoła ochrzcić. Nie pomogło mu to. Próbował następnie ucieczki celem wydostania się zagranicę, gdzie na bankach posiadał kapitały ogromne, konfiskatą na rzecz syna nieobjęte; w Paryżu, przy ulicy Friedlein, wznosi się jego pałac wspaniały. Ucieczka mu się nie powiodła. Niepowodzenia te zirytowały go przeciwko synowi, którego znienawidził i zubożyć postanowił. Dokazać tego inaczej nie mógł, jak przyznając pretensje wszelkie, jakie kto do majątku tulczynieckiego rościć mógł. Powstało stąd fortun kilka. Ludzie zręczni korzystali z tego, wyrabiali sobie rewersy i wytaczali procesy. Uznanie słuszności pretensji, jakie uzyskali rodzice moi, stanowiło dokument ważny, ale do procesu. Kwestja procesu stała zawsze twardo i uniemożliwiała dochodzenie krzywdy dzięki brakowi środków. Ojciec mój list ów u adwokata jakiegoś złożył i na czasy lepsze oczekiwał.

Lata mijały. Po śmierci cesarza Mikołaja Potocki na mocy amnestji, przez cesarza Aleksandra II udzielonej, Saratow opuścił i do Paryża wyjechał.

W roku 1868 (czy 69), gdy mieszkałem w Brukseli, nie wiem, jaką drogą doszła ojca mego wiadomość, jakoby Potocki, w Paryżu mieszkając, zbliżył się do pierwszej żony swojej i nic jej do odmówienia nie ma. Starałem się rzecz tę sprawdzić. W rzeczy samej Delfina Potocka na szeroką skalę dobroczynność praktykowała w Nicy, utrzymywała sieroty, zakładała ochronki, i fundusze na cele te zawsze, ile razy się zgłosiła, znajdowała u Mieczysława Potockiego. Doniosłem o tem ojcu; ojciec do niego na ręce moje napisał; ja list ten przesłałem Delfinie Potockiej, dołączając do takowego szczegółowy opis zdarzenia i prośbę o wstawienie się w sprawie, odnoszącej się bezpośrednio do sprawiedliwości prostej a zwyczajnej. Na pisanie moje otrzymałem

odpowiedź. List Delfiny Potockiej, pełen błędów ortograficznych, oznajmiał mi, że się ona do wpływu na Mieczysława Potockiego nie poczuwa, że mu list ojca mego odesłała z poleceniem, nad które nic więcej zrobić nie może. M. Potocki nie odpisał. W czas jakiś później (1873) — było to już po śmierci ojca mego — dowiedziałem się, że Potocki miał zagranicą z nieprawego łoża syna, którego ukochał i uczynił spadkobiercą całej w gotówce fortuny, i że mu syn ten umarł, co na niego takie jakoby zrobiło wrażenie, że przywołał do boku swego syna z prawego łoża i, czując zbliżający się koniec żywota, czynił z nim obrachunek krzywd, jakich się dopuścił, w zamiarze wynagrodzenia takowych. Zgłosiłem się do niego, przypomniałem mu i gwałt i list jego, i — nie doczekałem się odpowiedzi żadnej. W lat kilka potem M. Potocki umarł. Kołatałem jeszcze w r. 1880 do syna jego, Mikołaja, w Paryżu mieszkającego; widziałem się z nim; przedstawiłem mu rzecz po francusku, po polsku bowiem nie rozumie nawet, i otrzymałem od niego odpowiedź, że on, gdyby pretensji mojej uczynił zadość, potępiłby przez to ojca, czego, jako syn, uczynić nie może. Tak się sprawa skończyła. W drugiej połowie wieku XIX jest ona ciekawą stosunków sprawiedliwość regulujących ilustracją. Wielki pan człowieka dla fantazji zrujnował i — przepadło.

Sprawa ta w r. 1839 zawiązała się. Przyjechaliśmy (Józef i ja) z Niemirowa na gorące onej ślady. Ojciec nasz nic nam o tem nie mówił. Zastaliśmy go zirytowanego głęboko; na twarz mu występowały wypiekańce czerwone, a czoło i łysina bielały; usta zagryzał. Starał się być dla nas (dla Józefa i dla mnie) uprzejmym; lecz mu to nie szło. Jeździliśmy z pożegnaniem do ciotki Jeleńkowskiej, która się wybierała; Kurzańscy się już byli wyprowadzili. Noc spędziliśmy pokotem na sianie, dom bowiem był już wyprzątnięty. Nazajutrz, skoro świt, puściliśmy się w podróż do Wysokiej Grobli, oddalonej od Klebani o mil cztery. Droga prowadziła na Tulczyn, na Tymanówkę, własność wsławionego niepomiarkowaną otyłością księcia Leopolda Czetwertyńskiego, na Wierzbową, w której w ślicznym pałacu mieszkał dotknięty taką samą, jak pani S., chorobą ks. Gotfryd Czetwertyński, w którego majątku kradli wszyscy: on, służba, oficjaliści, włościanie, — na Markówkę wreszcie.

Wysoka Grobla leży na porzeczu dniestrzanem, nad Szu-

miłówką, której wody, groblą z młynem przecięte, formują we wsi staw spory, ryb a szczególnie raków pełen. Raków tam było moc niezmierna, nie zdarzyło mi się nigdzie widzieć większych. Wieś, licząca wówczas dusz 300 bezmała, leży w glebie dobrej, w położeniu wzgórkowatem; odznaczała się tem, że mieszkańcy jej, Rusini, wyznawali wszyscy obrządek rzymsko-katolicki, nie posiadali jednak kościoła własnego,—należeli do parafji miaskowieckiej. Spowodu tego zwano ich Mazurami, pomimo że mazurskiego nic w sobie nie mieli, mówili i modlili się po rusku; tylko pomiędzy kobietami w chacie każdej być musiała Wanda albo Jadwiga, albo Wanda i Jadwiga.

Zastaliśmy tam domek skromny o pięciu pokojach i zabudowania gospodarskie w komplecie. Przez wieś nie prowadził żaden z traktów ważniejszych, nie było więc w niej karczmy z zajazdem. Pól i lasów, sianożęci i wygonów miała pod dostatkiem. Ojciec mój wziął ją w dzierżawę na lat trzy, liczył jednak na to, że się dzierżawa na dłużej przeciągnie.

Zejście się z matką oddziałało na niego zbawiennie. Uspokoił się i humor odzyskał. Zapowiadało się polepszenie bytu, warsztat bowiem do pracy przedstawiał się obiecująco, a obok tego i sąsiedztwo składało z ludzi życzliwych. W Miaskówce o wiorst trzy oddalonej mieszkał Szczotkowski, który u Jaroszyńskiego obowiązek rządcy przyjął; w Miaskówce probostwo objął ksiądz Komarnicki, przyjaciel dawny; w Hołubeczu rodzina Weidlichów, w Zieleniance domów kilka na kollokacji, w Horodyszczu Zakrzewscy, w Nowosiółce Rubczyński, marszałek powiatowy, szkolny ojca mego kolega, i t. p.

Pobyt nasz (mój i Józefa) pierwszy w Wysokiej Grobli, na święta wielkanocne, upłynął wyłącznie prawie w domu. Raz jeno byliśmy u Szczotkowskich i jam się popisywał z deklamacją. Recytowałem z pamięci utworów kilka, pomiędzy innemi Seweryna Goszczyńskiego:

Urodził się nad kresami, etc.

Zyskałem aplauz ogólny i pochwałę pani Szczotkowskiej, co mi się podobało szczególnie spowodu, że pochodziło od kobiety prześlicznej.

Matkę moją niepokoiło moje z inspektorem zajście, które jej opowiedziałem. Dopytywała mnie, coby to znaczyć miało;

ja, dla podniesienia wartości swojej, tłumaczyłem rzecz w sposób, ukazujący w perspektywie następstwa ważne. Opowiadałem przytem, jakbymto stanął przed plutonem, gdybym rozstrzeliwany był. Matka mnie zaklinała, ażebym się na ostrożności miał. Prawiłem o obowiązkach naszych. To jej nie uspokajało zgoła. Biedne te matki z synami, którym się w głowie pali!...

Powrót nasz do Niemirowa upamiętniła mi droga fatalna. Odwoził nas Bendyk bryczką i paru końmi. Bryczka w błocie po osie grzęzła, konie niby w pługu szły; na dobitek złego zbłądziliśmy, zajechaliśmy śladem drogi zimowej w staw jakiś po nocy i ledwieśmy się dobić zdołali do wsi nieznanej. Bendyk udał się do pierwszej z brzegu chaty, prosząc o nocleg. Chłop przyjął nas tak uprzejmie i gościnnie, jak uprzejmiej i gościnniej wymagać nie można. Konie pod szopą postawił, jeść im dał, — wypoczęły; nas gospodyni mlekiem grzanem napoiła, nakarmiła, do snu nas ułożyła. Posługiwała nam, matce pomagając, prześliczna dziewczyna. Nazajutrz gospodarz odprowadzał nas dla pokazania drogi i wynadgrodzenia wziąść nie chciał. Wieś nazywała się Kiernasówka.

W Niemirowie na wstępie nie spotkało mnie nic osobliwego. Upłynęło tygodni parę, rozeszła się była pomiędzy nami wieść głucha o mającej zjechać z Kijowa komisji. W dni kilka później dowiedzieliśmy się o aresztowaniu Ordyńskiego przez umyślnie w celu tym przysłanych żandarmów. Ordyński w rzeczy samej przyaresztowanym został, nie wiem atoli, czy przez żandarmów. W dniu tym samym wezwany zostałem do Miładowskiego, który, drzwi zamknąwszy i obejrzawszy się, tak do mnie przemówił:

— Nawarzyliście piwa... no!... Potrzeba tego było!... Stało się jednak... Słuchaj, — tu palec podniósł i grozić począł — na wszystko, o coby się ciebie pytali, odpowiadaj: „Znat' nie znaju, wiedat' nie wiedaju". Szepnij to wszystkim innym, ale nie mów, żem ja ci powiedział... Rozumiesz?...

— Rozumiem... — odrzekłem.

— A gdyby cię kto zapytał, pocom ciebie wołał, mów, żem ci kazał o metrykę do ojca pisać... Rozumiesz?... — znów zapytał.

— Rozumiem...

— „Znat' nie znaju, wiedat' nie wiedaju"... — powtórzył i dodał: No, idź, a pamiętaj, że masz ojca, matkę i rodzeństwo młodsze...

Wyrazy ostatnie tonem tak rzewnym wymówił, że mnie rzewność przejęła. Mało brakło, żebym nie zapłakał. W słowach jego czuć się dał akcent ojcowski: wyrzutów nie czynił, nie łajał, odejść mi kazał; odszedłem, poznawszy, że to, co zaszło, to nie przelewki.

Nazajutrz skoro świt przyszedł po mnie żołnierz odstawny, stróż szkolny, i wezwał mnie ze sobą do komisji. Wyraz „komisja" miał dla mnie coś zagadkowego i przerażającego. Prędkom się odział i, zasłyszawszy na wychodnem z ust Czerniewicza szepnięcie w ucho: „Znat' nie znaju, wiedat' nie wiedaju", udałem się za żołnierzem, który zaprowadził mnie do domu nieopodal od gimnazjum, zamieszkałego przez nauczyciela języka rosyjskiego, Siemianowskiego. Gdyśmy weszli, spotkał nas Sztajn, subinspektor, który mi za sobą kazał iść. Znalazłem się w pokoju bawialnym. Widok, jaki mi się w oczy rzucił, był to obraz jegomości jakiegoś, leżącego w pościeli, zasłanej na kanapie za stojącym przed kanapą dużym stolikiem krągłym. Sztajn mnie przed stolikiem postawił, a sam zboku usiadł. Jegomość ów, jasny szatyn, cery żółtawej, dobrze odpasiony, wyglądający na człowieka w sile wieku, nie wywarł na mnie wrażenia złego. Był wpół kołdrą okryty, piersi rozwarte, w ręku trzymał książkę — jeden z tych miesięczników grubych, jakie w czasie owym wychodziły (*Otieczestwiennyja Zapiski,* jeżeli się nie mylę). Gdym przed nim stanął, okiem mnie zmierzył i odezwał się:

— Wot i dieło...

I wdał się ze mną w gawędkę obojętną, śród której rzucał mi od czasu do czasu zapytania, tyczące się stosunku mego do kolegów. Wreszcie wręcz zapytanie rzucił:

— Coście wy tam zamierzyli?... Powiedzno mi, jak to było?

— Co?... — zapytałem.

— Co?... Widzisz, mój miły, nie ja tobie, ale ty mnie odpowiadać powinieneś... A uprzedzam ciebie, prawdę mów, bo gdy skłamiesz, poznam się na kłamstwie odrazu... Niedaremnie jestem profesorem prawa w uniwersytecie...

Był to profesor na wydziale prawnym w Uniwersytecie Kijowskim, Fiedotow-Czachowskij.

— Prawdę mów... — zalecił raz jeszcze. Oto przystępuję do „doprosów“ [1] formalnych...

Wpół się na pościeli podniósł i po papier sięgnął. Sztajn poskoczył, ofiarując się do pisania protokołu.

— Nie trzeba... rzekł Fiedotow. My tę rzecz urządzimy w sposób szczególny... On sam — na mnie wskazał — wszystko nam napisze...

Usiąść mi przy stoliku naprzeciwko kazał, posunął ku mnie papier, pióro i atrament. W chwili, kiedy coś przemówić miał, drzwi się boczne otworzyły i weszła służąca, niosąc na tacy zastawę całą herbacianą, a za nią jejmość jakaś w szlafroczku i czepeczku. Za wejściem jejmości Fiedotow kołdrę na siebie naciągnął, przepraszać się jął, ona zaś do niego słów kilka przemówiła. Jak skoro się odezwała, zaledwie wyrazy z ust jej wypłynęły — osłupiałem. W życiu mojem po raz pierwszy w ustach kobiety usłyszałem mowę rosyjską. Wpatrzyłem się w nią ze zdumieniem. Wydało mi się to sprzecznem naturze. Jejmość gadała, do profesora się mizdrzyła, wpatrywałem się w nią, aż — wszedł mąż jej, Siemianowski, z którym wnet profesor zawiązał rozmowę o jakimeś w Przeglądzie przeczytanym artykule. Ona odeszła, niebawem oddalił się i małżonek jej; Fiedotow, herbatę pijąc, do mnie się zwrócił i rzekł:

— Pisz... Podyktuję ci pytania numerowane... Ty na pytanie każde odpowiedź napiszesz, następnie z ogólnego zapytań moich i odpowiedzi twoich sensu zrobisz streszczenie i od siebie dodasz uzupełnienie... Panimajesz?

— Panimaju... — odpowiedziałem.

— A zatem... pisz...

I jął się dyktować mi zapytania: najprzód ogólne, następnie szczegółowe. Te ostatnie tyczyły się znajomości mojej z Ordyńskim, Bratkowskim, Morgulcem i Kowalskim: jak się i kiedy takowa z każdym z nich zawiązała, o czem mówiliśmy najczęściej, czyśmy się schodzili razem, czyśmy przysięgę i jaką składali, czyśmy mieli hasła, znaki, statuty pisane, jakie były

---

[1] Pytania.

zamiary nasze, etc. Szczegółów nie pamiętam, ale wszystkie one tyczyły się spisku formalnego, a raczej form spiskowych.

Kiedym spisywanie zapytań numerowanych skończył, Fiedotow kazał mi przy stoliku osobnym na numer każdy szczegółowo odpisać, powiadając, że wedle stopnia szczerości odpowiedzi będzie mi wymierzona kara: albo wielka, albo mała, albo nawet, jeżeli nie utaję niczego, żadna. Jąłem się tedy odpowiadać. Odpowiadałem szczegółowo na pytania formalne, któremi się protokóły wszelkie rozpoczynają; na szczegółowe zaś dawałem odpowiedzi, albo „nie pamiętam“, albo „nie wiem“. W konkluzji napisałem, że nie rozumiem, o co tu chodzi i co to wszystko znaczy. Skończyłem. Przez czas, jakem pisał, Fiedotow, leżąc, książkę czytał. Gdym mu arkusze zapisane podał, okiem na nie rzucił i sucho się do mnie odezwał:

— Możesz odejść...

Wróciłem do domu. Lekcje przedpołudniem opuściłem; popołudniu byłem w klasie, widzieć się chciałem z Bratkowskim, Kowalskim lub Morgulcem, ale ich spotkać nie mogłem. Koledzy okazywali mi szacunek i spółczucie. Pomiędzy uczniami z ust do ust krążyły nazwiska zdrajców domniemanych, co nas jakoby wydali. Ktoś nas wydał — to pewne, ale kto — nie wiem dotychczas. To także pewne, że ten, co wydał, nie wiedział, na czem spisek ów polega. Spisek istniał; istota jednak onego znajdowała się z zabawą w Rinaldiniego w pokrewieństwie tak bliskiem, że, gdyby znaną była, przypuszczać się godzi, iżby zapobiegła raportowi inspektora (zapewne), który burzę tę całą nawołał. Ale spisek istniał i spiskowcy istnieli.

Ja i wszyscy „zakonni“ koledzy moi, z wyjątkiem trzymanego w zamknięciu Ordyńskiego, z wolnej odpowiadaliśmy stopy. Do klas uczęszczaliśmy jak zwykle. Do Fiedotowa wzywano nas kolejno.

Po indagacji pierwszej, wieczorem, Czerniewicz kazał mi czapkę wziąść i ze sobą iść. Udaliśmy się do domu zajezdnego, do stancji zajętej przez Żółkiewskiego, który miał dwóch synów w szkołach. Żółkiewski z herbatą na nas czekał. Jam synów jego znał, ale jego nie znałem i zdziwiłem się temu nieco, że mnie Czerniewicz do niego zaprowadził. Rację jednak zrozumiałem niebawem. Żółkiewski ów, obywatel z powiatu bałckiego, był trochę prawnikiem i jako taki instrukcje mi dawał.

— Na wszystko — nauczał — odpowiadaj: „Znat' nie znaju, wiedat' nie wiedaju...". Fiedotow jest to sędzia śledczy; nazwie cię głupcem, na to nie zważaj, swoje rżnij: „Znat' nie znaju, wiedat' nie wiedaju...". Chodzi o to, ażebyś się nie przyznał... W *Swodzie zakonow* [1] dowód winy na przyznawaniu się polega: póki się nie przyznasz, dowodu niema... Trzymajże się i niczego nie lękaj...

W dni parę później przyjechała matka moja, zaniepokojona, znękana, schorowana. Chciała mi pomocy jakiejś udzielić, wstawiać się za mną, prawami matki mnie osłaniać. Silna migrena, której często podlegała, przetrzymała ją w łóżku dni dwa, gdy zaś przeminęła, uprosiłem jej, ażeby żadnych nie czyniła starań. Bałem się dla niej upokorzeń. Perswadowałem jej, że się obronię sam. Poszła więc jeno do Miładowskiego. Miładowska (z domu Groza, rodzona Aleksandra Grozy siostra) pocieszała ją. Miładowski oświadczył jej, że nie może nic, że atoli sprawa nasza jest dzieciństwem, z którego chcą zrobić wielką rzecz i zwrócić takową nietyle przeciwko nam, co przeciwko niemu. Polecił jej powtórzenie mi, ażebym się przy „znat' nie znaju, wiedat' nie wiedaju" trzymał, i uspokoić się ją starał. Matka odjechała. Przekonawszy się, że ludzie nie pomogą, zwróciła się do Boga, ślub sobie zrobiła boso, piechotą, do kościoła w Miaskówce chodzić i, do domu powróciwszy, ślubowania tego dotrzymywała skrupulatnie. O! matki...

Proces rozwijał się porządkiem swoim. Na indagację drugą zaprowadzono mnie do pokoju tego samego, co poprzednio, zastałem jednak Fiedotowa nie w łóżku. Przyjął mnie na kanapie, przy stoliku siedząc; Sztajn siedział zawsze zboku. Oblicze Fiedotowa wyrażało surowość; do mnie się zwrócił i tak zaczął:

— Coś napisał, wszystko to kłamstwo... kłamstwo!... I ty myślisz, ty, malcziszka, że mnie okłamać potrafisz?... Mylisz się, gołąbeczku... Odpowiadaj!... — rzekł tonem rozkazującym.

Jął się zapytania zadawać.

Odpowiedzi moje brzmiały niezmiennie: albo „nie pamiętam", albo: „znat' nie znaju, wiedat' nie wiedaju..." Z formuły

[1] Zbiór praw.

tej nie wychodziłem. Zirytowało to Fiedotowa wkońcu: powiadał, że wie o wszystkiem; pokazywał mi arkusze, zapisane jakoby zeznaniami Ordyńskiego; zerwał się, z zaiskrzonemi oczami do mnie przyskoczył i zaciśnięte pięści ku twarzy mi rzucał; krzyknął wreszcie:

— Rózeg!...

Dwaj sałdaci pęk rózeg do izby wnieśli i obok stanęli. Fiedotow usiadł. Zadał mi zapytań parę, na które odpowiedziałem, jak poprzednio.

— Więc ty prawdy mówić nie chcesz?...

— Prawdę mówię... — odrzekłem.

— Prawdę?... To taka u was Polaczków prawda?... Paszoł won, mierzawiec! — krzyknął. — Daję ci jeszcze czas do namysłu; a gdy wezwę i ty mi całej nie opowiesz prawdy, rózgami od stóp do głowy tak zsiekę, że cię nie pozna matka rodzona... Paszoł won!...

Drzwi mi gestem wskazał. Wyszedłem.

W dni parę później znów wezwany zostałem. Fiedotow oznajmił mi, że mnie badać nie będzie, a tylko mu chodzi o formalność jakąś. Nie pamiętam, co to za formalność była. Gdym ją załatwił, przemawiał do mnie łagodnie. Mówił mi, że dostrzegł we mnie zdolności, które mi mogą zapewnić przyszłość świetną, pod warunkiem, ażebym jej sam sobie nie popsuł. Przyszłość ta czeka mnie na drodze prawdy. Raz jeszcze zalecił mi, ażebym się namyślił i, po ramieniu mnie dobrotliwie poklepawszy, pożegnał.

Dodawać nie potrzeba, że proces ów nauce nie pomagał. Lekcyj się uczyłem i zadania odrabiałem w roztargnieniu; wstawałem bardzo rano i poranki zazwyczaj spędzałem w ogrodzie na rozmyślaniu tak o tem, co mnie spotkało, jak o tem, co spotkać jeszcze może. Razu pewnego — było to o wschodzie słońca — do ogrodu, przez płot, ze strony wygonu, o który się stroną tylną ogród opierał, wskoczył niespodzianie jeden z kolegów moich, Mieczysław Mysłowski. Zdziwiło mnie to.

— Co tu robisz?

— Ach! ja do ciebie... — odpowiedział. — Chwała Bogu, żem cię spotkał... Przychodzę powiedzieć ci, że Ordyński wszystko wygadał...

— Ach... — zawołałem, palce u rąk splatając, — tośmy zgubieni!...

— Wszystko wygadał, i teraz już bić was będą, póki się nie przyznacie...

— Nieszczęście!... — dodałem i zapytałem: — Cóż ty myślisz, Mieczysławie?

— Myślę, żebyś nie ukrywał nic, bo to będzie daremnie... Naco ciebie bić mają? Na Boga, nie mów tylko nikomu, żem ja cię ostrzegł...

Powiedziawszy to, przez płot przeskoczył i znikł.

W godzin parę później z klasy mnie do Fiedotowa wezwano. Zastałem u niego Sztajna, oprócz niego Ordę i kogoś jeszcze. Fiedotow przy nich, indagując mnie, nagle zapytał:

— Co znaczył wykrzyknik, jaki wydałeś dziś rano: „Tośmy zgubieni!“?

— Jam nie wydawał wykrzyknika żadnego...

— I nie mówiłeś: „Nieszczęście“?...

— Nie mówiłem...

Fiedotow na Sztajna skinął i ten zza drzwi bocznych wprowadził Mysłowskiego.

—Do oczów mu gadaj... — rzekł Fiedotow do tego ostatniego.

Mysłowski od słowa do słowa powtórzył rozmowę ze mną w ogrodzie.

Podczas kiedy on opowiadał, oburzenie mnie rozsadzało niejako. Gdy skończył, palce splotłem, ręce wdół wyciągnąłem i, w oczy mu patrząc, odparłem:

— Mysłowski... i ty możesz kłamać tak bezczelnie!... Jam ciebie dziś nie widział wcale.

Łatwo wyobrazić sobie minę Mysłowskiego i miny tych panów. Mysłowski się zmieszał. Skłamałem tak bezczelnie; w bezczelności mojej taka zabrzmiała prawda, że podstęp, zapomocą którego złapać mnie chciano, na moją obrócił się korzyść. Fiedotow Mysłowskiemu odejść, mnie zaś protokóły odczytać i podpisać kazał. Odczytałem, podpisałem: był to akt ostatni procesu, który w czasie swoim rozgłos miał.

Bratkowski, Kowalski i Morgulec trzymali się równie dobrze, jak ja. Bratkowski tak ściśle do instrukcji się stosował, że na zapytania, jak się nazywa, kiedy się urodził i t. p. odpowiadał: „Znat' nie znaju, wiedat' nie wiedaju“.

Kara jednak nie ominęła nas. Ordyński, „zaczinszczik“, (herszt), skazany został na wypędzenie ze szkół; ojciec jego, wojskowy Bibikowa kolega, w tej samej co on ranny i taksamo ręki pozbawiony bitwie, oddał go podobno do wojska; nie widziałem się z nim później i nic o nim nie słyszałem. Nam czterem zabroniono na wakacje do domów rodzicielskich jechać. Bratkowski i Kowalski jednak pojechali: rodzice ich ze szkół odebrali. Morgulec pojechał także na mocy świadectwa lekarza, który mu kurację nakazał. Uległem karze ja jeden. Kara atoli najsroższa spotkała Miładowskiego: ze służby go wydalono. Zdaje się, że o to głównie — o pozbycie się Polaka ze stanowiska dyrektora gimnazjalnego — chodziło, że nato spisek ów wynaleziony został. Myśmy nabroili, odpokutował i ucierpiał on. Potocki wypuścił mu w dzierżąwę wioskę Supruszówkę pod Niemirowem, w której zacny ten człowiek żywota dokonał.

O procesie tym opowiadanie obejść się bez sensu moralnego nie może. Kto w nim udział wziął? Z jednej strony ludzie dojrzali, mężowie poważni, naukowi i moralni przewodnicy młodzieży, z drugiej — dzieci. Strony walczyły ze sobą orężem podstępów, wybiegów i kłamstwa. Kłamią nauczyciele, profesor uniwersytetu, kłamią uczniowie. Kto tu za kłamstwa, nie: bardziej, ale jedynie i istotnie, jest odpowiedzialny? Po stronie oskarżającej i sądzącej fakt wykierowania jednego z uczniów na szpiega stronę tę okrywa hańbą ostateczną. Uczniowie bronili się tym, jakim ich atakowano orężem, — orężem tym samym, którym się państwa zaborcze posługiwały przy ojczyzny ich rozbiorach. Grzechu tego pierworodnego nie pozbyły się one i pozbyć się nigdy nie zdołają.

Sprawa ta jedną jeszcze nasuwa uwagę. Zmowa owa za zbyt była dziecinną, ażeby poważnego dochodzenia śledczego przedmiotem stać się mogła. Stała się przecież. Cudzoziemiec każdy, z wyjątkiem Prusaków chyba, naśladujących we względzie tym Moskali, powiedziałby, że, gdyby się byli „spiskowcy“ odrazu przyznali, ani śledztwo, ani proces, ani sądy żadne miejscaby nie miały. O! nie. Przyznanie się od śledztwaby nie zwolniło, a na kary surowe naraziło. Wszelka zmowa, bez względu na cel, jest w Rosji przestępstwem; obok tego w naszej zakonnej zmowie tkwił cel, zbrodnią stanu brzemienny,

za który czekało nas, jako małoletnich, wskazanie w t. zw. „kantonisty“ — oddanie do szkół podoficerskich i sałdackich dzieci płci męskiej. Żeśmy obronną z tych opałów wyszli ręką, zawdzięczamy temu, żeśmy się nie przyznali.

Na wakacje r. 1839 ojciec nasz, który po nas przyjechał, Józefa do domu zabrał, mnie zaś ulokował u Rożna, — nie pamiętam, jak mu na imię było.

Ktoby się interesował zawiązkiem karjery mojej literackiej, ten niech się dowie, że najpierwszy ku niej zwrot nastąpił na wakacje owe. Rożen mi ją pierwszy wskazał. Uczynił on to bez premedytacji, dlatego poprostu, że się tak zrobiło. Sam był literatem,— literatem chybionym wprawdzie, ale rozmiłowanym w przedmiocie i posiadającym gruntowną w zakresie pewnym onego znajomość. Był to wychowaniec szkół krzemienieckich, które ukończył świetnie, wyszedł bowiem z medalem złotym, i z wiadomości nabytych użytku odpowiedniego nie zrobił dlatego tylko, że się przywiązał do niego nałóg brzydki: rozpił się. W Niemirowie kupił sobie w Lipkach domek i osiadł w takowym z żoną i dwojgiem dzieci. Żona, kobieta bardzo zacna, uczniów utrzymywała; syn jej starszy, będący wieku mniejwięcej brata mego, do szkół chodził. Z tego się utrzymywali. Nałóg Rożna objawiał się w sposób cichy i spokojny, ale ustawiczny. Nie spijał się nazabój nigdy, nigdy atoli trzeźwym nie był całkowicie; przytem z ust fajki nie wypuszczał. Wzrostu małego, szczupły, mizerny, cery śniadej, z piórkiem sczernionem od cybuszka w zębach i z cybuszkiem w ręku, przedstawiał obraz dziadka kościanego, któremuby brakowało jeszcze włosów siwych. Człowiek ten znał literaturę francuską nawylot i przejęty był dla niej rodzajem rozmodlenia. Boileau był dla niego wyrocznią, Corneille, Racine, Molière, Voltaire, Delille wzorami niedoścignionemi. Dla nich o wódce nawet zapominał, gdy znalazł kogo, komuby mógł opowiadać o tajemnicach ich kunsztu i wykazywać piękności w utworach ich rozsypane. Amatorowie tego rodzaju trafiali się mu rzadko. Jam się trafił jeden z takich — ciekawy i pojętności niepozbawiony.

Rozmowa, niby gawędka obojętna, zawiązywała się rano przy herbacie i nie ustawała już ani przed obiadem, ani po obiedzie. Rożen czytał, opowiadał, wykładał, wydostawał tłumaczenia swoje i porównywał tekst francuski z przekładem

polskim, wykazując trudności zwrotów, pochodzące z właściwości języków. Rożen potłumaczył tragedyj i komedyj francuskich dużo; posiadał pliki całe kajetów, starannie zapisanych. Zajmowało mnie to ogromnie. Tłumaczenia Rożna wydawały się mi doskonałe. Uwaga moja zwracała się na sztukę, sztukę piękną, którą miłowałem zdawna, której jednak zgoła nie znałem ze strony, że się tak wyrażę, konstrukcyjnej. Zacząłem i ja tłumaczeń próbować. Tłumaczyłem bądź ustępy, bądź też utwory pomniejsze poetów francuskich i niemieckich, którzy mi się pod ręce nawijali. Nie pamiętam, co mianowicie tłumaczyłem. Pokazywałem próby, które mi się lepszemi wydawały, Rożnowi i on je analizował, a przy analizie do opowiedzenia miał zawsze szczegół jakiś lub anegdotę, bądź o autorach francuskich, bądź też o Czackim, o Alojzym Felińskim, którego wysoko cenił, o Euzebjuszu Słowackim, o stosunkach krzemienieckich, o profesorach, etc. Rozczytywałem się w *Barbarze* Felińskiego i w *Dziełach* Słowackiego. Służyły mi one niejako jako skazówki na przyszłość, której nie odgadywałem ani w marzeniach nawet. Studjowanie z Rożnem autorów francuskich i czytanie zajmowało mi większą połowę czasu. Nad wieczorem przychodził do mnie ktoś z kolegów, w Niemirowie mieszkających, lub ja do którego szedłem, i odbywaliśmy dalekie w okolicach Niemirowa spacery. Noce księżycowe zatrzymywały nas dopóźna. Jedną noc taką spędziliśmy na wałach, pamiątce po wojnach kozaczych.

Pod koniec wakacyj o mało nie oszalałem. Wpadła mi w ręce *Marja* Malczewskiego. Odczytawszy ją, ziemi pod sobą nie czułem. Odczytałem, odczytywałem, wchłaniałem ją w siebie — w przeciągu dni paru napamięć się jej wyuczyłem. Jakże mnie ona zachwycała! — bez porównania bardziej aniżeli *Konrad Wallenrod,* którego znałem dawniej i z którego ustępy także napamięć umiałem.

I do literatury powieściowej przychwytywać się począłem: *Cztery wesela, Wielki świat małego miasteczka, Anna* Czajkowskiego, *Historja o bladej dziewczynie, Pan Karol* [1] etc., ach! i będący marzeń moich celem *Dictionnaire philosophique.*

---

[1] *Cztery wesela, Wielki świat małego miasteczka, Historja o bladej dziewczynie* i *Pan Karol* — powieści J. I. Kraszewskiego.

Rzecz naturalna, że mi to w głowie porządku nie zaprowadzało. Porządek w sprawach takich jest następstwem systemu, którego nie było w czytaniu dorywczem. Czytanie nie obalało we mnie wierzeń religijnych, przejętych z katechizmu, ale wskazywało mi jeno rodzaj zuchwalstwa, które miało dla mnie urok pewien. Nie tłumaczyłem sobie rzeczy jasno; brakło rozumowaniu memu logiki; spowodu tego na takie naprzykład narażałem siebie wyskoki. Obowiązani byliśmy odbywać spowiedź i przyjmować komunję. Spowiadali nas księża przy konfesjonałach, i każdy z uczniów podawał kartkę z nazwiskiem swojem, która służyła jako świadectwo. Mnie udało się kartkę podać i spowiedzi nie odbyć, następnie do komunji przystąpiłem. Wnet potem gardło mnie boleć zaczęło. Ból ów gardła mocno mnie w sumieniu mojem zaniepokoił. Pomyślałem sobie: czy nie kara to boża i czyby nie wypadało do zbrodni tej księdzu się przyznać? Od tego powstrzymał mnie wstyd; ból gardła przeminął i niepokój ustąpił. Następnie spowiedź uważałem za formalność, którą dokonywałem z nakazu i dokonywać zaprzestałem, jak skoro przymus ustał.

Nareszcie wakacje się skończyły. Ojciec przyjechał z Józefem i ulokował nas na stancji u pani Prażmowskiej, pod dozorem brata jej, Modrzewskiego, człowieka lat trzydziestu kilku, który wstąpił do szkół, do klasy piątej. Czerniewicz z Niemirowa wyjechał, i dlatego zmiana ta konieczną się stała. Niceśmy na niej nie stracili. Modrzewski posiadał w stopniu wysokim takt pedagogiczny; na nieszczęście nie posiadał zdrowia, trapiły go suchoty, które mu śmierć wprędce sprowadziły. Po śmierci jego przez czas jakiś, jako uczeń klasy czwartej, pełniłem funkcję instruktora, miałem do tego prawo, ale prawu memu brakło sankcji władzy szkolnej, w oczach której uchodziłem za „niebłahonadiożnawo“, pomimo żem się uczył dobrze.

Władza szkolna okazywała się względem osoby mojej wielce niełaskawą. Naczele jej stał dyrektor, Kulżyński niejaki, przysłany na miejsce Miładowskiego przed wakacjami jeszcze. Pod jego dyrekcją egzamina zdawałem i egzaminowany byłem z tym naciskiem nieżyczliwym, który ma na celu zmieszanie ucznia. Wytrzymałem to. Promocja z numerem dosyć wysokim nie ominęła mnie. Łaski jednak dyrektora nie uzyskałem. Uważał mnie za „parszywą owcę“ i dlatego nietylko

mnie instruktorem nie zamianował, ale rozciągał nade mną dozór szczególny, wyrażający się zapomocą częstych rewizyj, jakim podlegały książki i kajety moje. Miałem się na ostrożności, raz atoli nie ustrzegłem się. Ukazał się był noworocznik pod tytułem *Rusałka*, wydany przez Grozę, a drukowany w Kijowie i zaopatrzony w jaknajformalniejsze pozwolenie cenzury. Noworocznik ten kupiłem i jeszczem go w zupełności odczytać nie uśpiał, kiedy mi skonfiskowany został. Posiadanie onego nie stanowiło zbrodni ani występku nawet, ale ohydstwo. Tak rzecz tę przedstawił nam Kulżyński. Przyszedł z biedną *Rusałką* do klasy i tłumaczył nam, że czytanie książek podobnych naraża na stratę czasu i psucie sobie smaku, że literatura polska nie posiada nic, coby czytać było warto, że język polski nie nadaje się do poezji, budowa bowiem wiersza opiera się na liczbie zgłosek, co znamionuje ubóstwo językowe. Odczytywał z *Rusałki* wierszyki niektóre i przedrzeźniał je. Wytykał mnie, jako takiego, co się wstydzić powinien zaprzątania sobie wyobraźni błazeństwami takiemi. Przyznam się, żem wstydu nie czuł. Żałowałem, żem książeczki lepiej nie schował. Wkrótce potem kupiłem *Króla zamczyska* i nie dałem go już skonfiskować sobie.

Z przybyciem Kulżyńskiego przybywać poczęli nauczyciele, rekrutowani śród młodzieży, kończącej Uniwersytet Kijowski. Nauczyciele ci wartością o niebo całe przewyższali tych, których nasyłano dawniej. Byli to sami Małorusi zza Dniepru, ludzie młodzi i ukształceni. Rola ich wobec nas odpowiadała roli Czechów, którymi rząd austrjacki Galicję napełniał. Pozapominałem nazwiska ich; nie zapomniałem wszakże nazwiska Taraszczenki, nauczyciela języka łacińskiego. Przybycie jego poprzedził rodzaj reklamy. Krążyła pomiędzy nami pogłoska, że był on jednym z najlepszych w uniwersytecie studentów, że po łacinie mówił i pisał, że za rozprawę wynadgrodzony został medalem złotym, a ministerstwo oświaty kazało ją w *Żurnale Min. Proswieszczenja* drukować, i ona z druku wyszła z dewizą: „Idy dytia moje w swit, szczasty tobi Boże“. Z ciekawością i w dobrem usposobieniu wyglądaliśmy pojawienia się znakomitości tej. Przybył, do klasy go wprowadził dyrektor; Taraszczenko katedrę zajął i przemówił. Trudno opisać zdziwienie, jakie na nas widok jego sprawił. Najprzód, człowiekowi do małpy po-

dobniejszym być nie można, jak on podobnym był: nos perkaty i rozdwojony, oblicze małe i skupione, ręce długie, gęba wielka, włosy na głowie jak u murzyna, a nad czołem czubek wdół spadający; następnie, organ mowy piskliwy i szepleniący. Odezwał się; słowa jego przyjęliśmy w milczeniu. Lekcja się rozpoczęła i w ciągu takowej słyszeć się dało w ławkach szeptanie. Taraszczenko spojrzał w tę stronę wzrokiem, który miał być surowy, a który był nad wyraz śmiesznym. Szeptanie ucichło i niebawem wznowiło się. Spojrzenie powtórne. Za trzecim razem nauczyciel krzyknął:

— Małcat'!...

Nakaz ten wywarł skutek nie ten, jakiego się Taraszczenko spodziewał, zerwał się więc, stanął, o stół się rękami oparł, korpus wygiął i z przyciskiem następujące wygłosił wyrazy:

— Gaspada ruskij car i ruskij narod sałostiej[1] nie liubliat...

Na wyrazy te odpowiedział wybuch śmiechu klasy całej, najliczniejszej w gimnazjum, była to bowiem klasa czwarta, w której skupiali się uczniowie promowani z dwóch paralelek klasy trzeciej. Rzecz prosta, zirytowało to Taraszczenkę, który się jął rzucać, kontorsje wyprawiać i krzyczeć. Im bardziej on krzyczał, temeśmy się mocniej śmieli; poznał wreszcie, że zaradzić temu nie zdoła, z katedry skoczył, z klasy wybiegł, do dyrektora ze skargą popędził. Dyrektor powrócił z nim i napomnienie nam surowe dał; lecz, jak skoro wyszedł, śmiech znów się rozpoczął i nie ustał do końca lekcji. Na lekcję następną powtórzyło się to samo, na następną — to samo, i tak dalej, z tą różnicą, że co było zrazu wybuchem naturalnym, to się zmieniło w czynność uorganizowaną. Uczniowie przynosili piszczałki, kołatki, bębenki i urządzali kocią muzykę formalną. Nic nie pomagały śledztwa i kary. Wykład łaciny stał się wkońcu niemożliwym. Taraszczenko nie wytrzymał tygodni kilku. Usunięto go, czy przeniesiono; miejsce jego zajął Ludwik Grudziński, syn tego Grudzińskiego, który język niemiecki wykładał, a o którym poprzednio wspominałem. L. Grudziński przybywał z Uniwersytetu Charkowskiego. Nie wiem dlaczego, mimo że Polak, dostał w Niemirowie posadę nauczycielską. Zdaje się,

---

[1] Swawoli.

że katolikiem nie był. O nim będę miał słówko do powiedzenia później.

Rok w klasie czwartej upłynął mi spokojnie. Uczyłem się dobrze, prowadziłem się dobrze; z Rożnem utrzymywałem stosunki, pomiędzy kolegami miałem mir, do czego przyczyniały się raz wspomnienia procesowe, których byłem reprezentantem wespół z Morgulcem, następnie zaś ta okoliczność, że należałem do grona młodzieży, pisującej wiersze. Było nas takich kilku: żaden się na poetę nie wykierował, pomimo że niejeden posiadał talent rzeczywisty. Juljan Kędrzycki zostawił po sobie dźwięków kilka. Nie mówię o Apollonie Korzeniowskim, który szkoły niemirowskie wcześnie opuścił i, jak się zdaje, w Petersburgu edukację kończył.

Na święta i na wakacje zabierali nas rodzice do domu. Ojciec do dwóch braci moich młodszych, Jana i Szczęsnego, przyjął nauczyciela, który ich do szkół przysposabiał: był to kolega mój, chłopiec ubogi, nazywał się Karpowicz. Siostra moja, Bronisława, uczyła się u guwernantki, którą Rubczyńscy w Iéce do córek swoich trzymali. Wydatki na edukację dzieci zwiększały się, a dwoje jeszcze, Justynjan i Leonida, znajdowały się w wieku szczęśliwym, z książką styczności niemającym.

W domu rozkosz była. Ojciec uważał mnie już za młodzieńca, ze sobą na polowania brał i samemu wyjeżdżać pozwalał. Odwiedziłem kolegę mego Morgulca. Siostra jego, ode mnie o lat kilka starsza, zrobiła na mnie wrażenie. Dla przypodobania się jej, przetłumaczyłem z Lamartina odę do Napoleona:

Ci gît — point de nom, demandez à la terre etc.

Zdawało mi się, żem się w niej zakochał, alem poznał pannę Kornelę Weidlich, i miłość moja wahać się poczęła, tem bardziej żem do tej ostatniej konno dojeżdżał i po nocy zwykle wracał. Wahanie się spotęgowało, kiedym poznał pannę Zakrzewską w Horodyszczu. Rozumie się, że ani jedna, ani druga, ani trzecia nie domyślały się zgoła zapałów, jakie we mnie wzbudziły. Zapały te zresztą służyły mi do układania mniej lub bardziej dźwięcznych i mniej lub bardziej regułom gramatyki odpowiadających strof, z których kilka w pamięci mi zostało:

Kochanko moja, naco warkocze
Perłową spinasz iglicą?
Czyliż twe piękne, błękitne oczy
Lepiej jak perły nie świecą? etc.

albo:

Gwiazdko mego przeznaczenia,
Ty tam wgórze, tam jaśniejesz,
To czerwienisz, to bledniejesz
I przesyłasz mi westchnienia. etc.

albo, gdym wyobrażał sobie, że wyznanie miłości złożyłem:

Wielki ciężar z duszy się mi zwalił,
Tak mi lubo, słodko i wesoło!
Jasny ogień w sercu się zapalił,
Jasny ogień goreje wokoło,
Ogień widzę na ziemi i niebie,
Płomień czyści, ulotnia me ciało.
Ach! bom zrzucił, co mnie ugniatało,
Bom powiedział ci, że — kocham ciebie.

U Zakrzewskich dowiedziałem się po raz pierwszy o istnieniu Juljusza Słowackiego. Starsza ich córka wydaną była za Koszarskiego, który z młodą, jak centofolja rozkwitłą żoną przyjechał był na imieniny matki żoninej. Na imieninach tych znajdowałem się i ja. Przyjechaliśmy z Weidlichem młodym, uczniem gimnazjum winnickiego. Po obiedzie towarzystwo zajęło wychodzący na wspaniały ogród balkon obszerny; panowie fajki kurzyli, Koszarski opowiadał o zagranicy i emigracji. Słuchano go z zajęciem wielkiem: zagranica była w czasach owych światem zakazanym. Nie wiem, czy Koszarski opowiadał o tem, co sam widział, czyli też ze słyszenia. Dawał nazwiska generałów, posłów, podawał zdarzenia i odezwał się:

— Wyobraźcie sobie, państwo, pojawił się młody człowiek, poeta, co siebie z Mickiewiczem równa!...

Ogólne, przeciągłe, a zdziwieniem uakcentowane „aaa!" było na słowa te odpowiedzią.

— Nazywa się Juljusz Słowacki... — ciągnął opowiadający — jest synem Euzebjusza...

Wydało mi się to potwornością. Nie przypuszczałem, ażeby Mickiewiczowi dorównać można było. Spowodu Euzebjusza Słowackiego, którego pisma znałem, zapamiętałem nazwisko zuchwalca i zaciekawiłem się do utworów jego. Nierychło później

danem mi było poznać się z niemi. Ćwierć wieku upłynęło od chwili usłyszenia po raz pierwszy nazwiska autora *Beniowskiego* do chwili, w której po raz pierwszy spotkałem się z podpisaną przezeń książką. Mickiewicz miał tę wielką szansę, że pierwej aniżeli Słowacki na świat przyszedł. Publiczność powiedziała sobie, że mu nikt nie dorówna, i zdania tego trzymała się. Słowacki długo był nieznany. Do kraju pierwej aniżeli on przeniknął Krasiński. Znanymi byli: Bohdan Zaleski, Seweryn Goszczyński; znanym być poczynał Olizarowski. O nim było głucho.

Na wakacjach w Wysokiej Grobli spotkało mnie raz zdziwienie niemałe. Proboszczem w Miaskówce był ksiądz Komarnicki. Słyszałem o nim jako o człowieku rozumnym; że zaś dla rozumu miałem od dzieciństwa wszczepiony kult, więc go poznać pragnąłem. Pragnieniu memu stało się zadość. Byłem z ojcem na probostwie w dzień powszechni; ojciec miał do niego interes jakiś i o interesie z nim rozmawiał, moją zaś uwagę zaprzątnął całkowicie szpak, który, po podłodze chodząc, *Pater noster* po łacinie recytował. W czas jakiś później ksiądz Komarnicki z wikarym, księdzem Kuleszą, do nas przyjechał. Celem jazdy jego było uroczysko zwane „księżym laskiem“, które do kościoła należało, a do którego z Miaskówki droga na Wysoką Groblę prowadziła. Księża z godzinkę u nas zabawili i, odjeżdżając, zaproponowali mi, ażebym się do nich przysiadł. Propozycję przyjąłem z ochotą. Na drodze ksiądz Komarnicki w następujący zaczepił mnie sposób:

— Umiesz ty zagadki rozwiązywać?

— Nie wiem... — odrzekłem.

— Spróbujemy... Zadam ci zagadkę; namyśl się dobrze i rozwiąż ją... Jechał chłop na kobyle i było cztery łysiny: jak to się stać mogło?

— Kobyła łysa i chłop łysy... — zacząłem.

— Dobrze... to dwie... Gdzież dwie jeszcze?

Myślałem, medytowałem.

— No?... — dopytywał się mnie ksiądz od czasu do czasu.

— Nie wiem... — wyznałem wkońcu.

— Nie domyślasz się?

— Nie...

— Niedomyślnyś... Chłop miał na kolanach spodnie dziurawe...

— Aha... — krzyknąłem.

— A widzisz...

Zdziwiło mnie to mianowicie, żem z ust człowieka rozumnego nic rozumniejszego nie usłyszał. Sposobność się nie nadarzyła. Ksiądz Komarnicki niedługo na probostwie miaskowieckiem popasał. Poszły na niego do kapituły denuncjacje i skargi od dusz pobożnych; na dobitek wygłosił kazanie niekoniecznie pod względem praw kanonicznych poprawne: pomimo więc że biskupa, gdy ten do Miaskówki na poświęcenie kościoła nowego zjeżdżał, przyjmował, probostwa pozbawiony i na rekolekcje wskazany został. Nie chciało mu się już jednak rekolekcyj, po raz nie wiem który, odbywać. Zamieszkał w Horodyszczu u Zakrzewskich i u nich żywota dokonał. Kiedym go poznał, był to człowiek lat około sześćdziesięciu, słuszny, grubokościsty, w plecach szeroki, twarzy ściągłej i surowej, mówiący basem. Po nim pozostać musiały rękopisy, o których wie coś rodzina Zakrzewskich. Pisał po polsku i po rusińsku, prace jego byłyby cennym do historji kultury prowincji materjałem, było to bowiem dziecko Podola, wykarmione „mlekiem dum i mleczem kwiecia“ krainy rodzinnej.

Wspomniałem o poświęceniu kościoła miaskowieckiego. Przy ceremonji tej zaszło zdarzenie, zasługujące na zanotowanie. Biskup — Mackiewicz — po dokonaniu poświęcenia bierzmował; ludu zeszło się tyle, że kościół wszystkich pomieścić nie mógł i tłum zalegał plac przed kościołem; równocześnie malarz znaczył wewnątrz krzyże na ścianach i, robotę skończywszy, z kościoła, ciżbę rozpychając, z garnuszkiem i kwaczem wyszedł.

— A co tam?...—zaczepiono go ze stron kilku zapytaniem.

— No... biskup bierzmuje...

— Cóż ty tu w ręku niesiesz?

— Olej święty...

— Naco?

— A ot... stareńki się zmęczył i zmiarkował, że olejem pomazać ludzi tyle nie zdoła, dał mi więc ten oto garnuszek i ten kwacz, ażebym, kto zechce, naznaczył...

Ofiarował się wnet ochotnik jeden, drugi, dziesiąty; malarz każdemu siną farbą krzyż na czole namalował. Otoczono go, ciśnięto się do niego, on precz znaczył mężczyzn, baby, dzieci, póki się ktoś świadomy rzeczy nie wmieszał i interwencji

policyjnej nie sprowadził. Podobno ten biskupa wyręczyciel w kozie za tę sztukę czas jakiś odsiedział.

Po usunięciu księdza Komarnickiego usunął się z Miaskówki i drugi sąsiad, Szczotkowski. Dla nieznanego mi powodu rozstał się z Jaroszyńskim i zamieszkał w Zieleniance, a żonę wyprawił do Lwowa, dokąd ona corocznie podróż odbywała, aż jeździć zaczęła do Warszawy i stała się bohaterką romansu, który się dla niej smutno zakończył. Będzie o tem na swojem miejscu, tymczasem zaś powrócę do stosunków szkolnych.

Z klasy czwartej pomimo niełaski, jaką mnie zaszczycały władze szkolne, przeszedłem do piątej. Ojciec nas po wakacjach odwiózł z zamiarem umieszczenia nadal u pani Prażmowskiej; lecz zastaliśmy reformę, dokonaną w przeciągu wakacyj, a zmieniającą do gruntu położenie uczniów. Zaprowadzono tak zwane „obszczïje kwartiry“, rodzaj konwiktów, podzielonych na trzy oddziały: pierwszy, drugi i trzeci—dla zamożnych, mniej zamożnych i niezamożnych. Przezwaliśmy je koszarami. Uczniowie, co w Niemirowie nie mieli rodziców ani krewnych, lokować się musieli w koszarach, których cel był widoczny: przeistoczenie Polaków na Rosjan zapomocą skupienia dozoru. Nie podobało się to rodzicom, ale rady na to nie było. Inowacja ta dotknęła bezpośrednio klasy, która największego do szkół dostarczała kontyngensu, a mianowicie oficjalistów prywatnych. Na stancjach lokowali oni dzieci bardzo tanio, płacąc gotówką rubli kilkanaście, niekiedy kilka, i dopłacając artykułami pożywienia: krupami, mąką, mięsem solonem, zbożem w ziarnie, omastą. Obliczało się to wedle tego, ile chłopiec przez miesięcy dziesięć spożyje. Stancyj dużo na warunkach tych uczniów trzymało. Ubodzy uczyć się mogli. Ciosem dla nich wielkim były mundury. Koszary stały się plagą. Wydać nagle przyszło gotówką najmniej rubli sto, nie licząc umundurowania, pościeli, książek, kajetów i opłaty szkolnej: skąd się na wydatek taki znaczny zdobyć mógł człowiek, co sam pensji nie pobierał wyższej nad złotych czterysta? Pomijając więc wszystko inne, to samo przynosiło społeczeństwu szkodę ogromną, niepowetowaną, odtrącając od przystępu do nauki tę właśnie sferę, która naukę najskuteczniej uprawia dla tego samego, że w niej chleba szuka. Nie było jednak, jak powiadam, na to rady. Rady u ojców rodzin nie zasięgano do obarczenia ich tym ciężarem. Stało

się Nie pozostawało, jak zastosować się do położenia nakazanego.

Śród tych, co studentów utrzymywali i z tego żyli, skwierk był ogromny. Kilkadziesiąt rodzin w Niemirowie znalazło się nagle bez kawałka chleba. Żal serce ściskał. Stało się.

Przez wakacje stanął od roku rozpoczęty nowy gmach gimnazjalny, wzniesiony kosztem Potockiego. Budynek stary obrócony został na koszary; tam nas ulokował ojciec.

Zarząd koszar składał się z dozorcy i dwóch poddozorców, obowiązanych czuwać nad nauką, konduitą, zdrowiem chłopców, a także nad tem szczególnie, ażeby nie mówili po polsku. Do przerabiania lekcyj zachowani byli instruktorowie spomiędzy słuchaczów klas wyższych. Pomiędzy nich podzieleni byli uczniowie klas niższych. Poddozorców obowiązek polegał na asystowaniu nieodstępnie przy czynnościach wszelkich, jakie chłopcy odbywali, przy nauce i zabawie, na przechadzkach, w kościele. Zwano ich „nadziratielami". Jeden miał pod sobą dział jeden, drugi drugi, stosownie do liczby głów i do rozkładu w sypialniach. Sypialnie, przerobione z klas dawniejszych, ciągnęły się rzędem jedna za drugą. Sala obchodów publicznych przemieniona została na jadalnię. Żywił nas ekonom. Usługiwali nam żołnierze dymisjonowani, „kuriennyje". Ujęci zostaliśmy w ramy, w których wedle rachunku tych, co ramy te sporządzili, powinniśmy byli przerobić się niezawodnie.

Dozorca nazywał się Wnuczkowski; „nadziratieli" nazwiska pozapominałem. Nie pozapominałem jednak postaci tych mężów szanownych, którzy względem nas pełnili funkcję czynników chemicznych, służących do przemienienia koloru i własności roztworów.

Dozorca był produktem miejscowym. Przed rokiem 1831 wykładał język rosyjski; przed zaprowadzeniem zaś koszar pełnił funkcje dozorcy stancyjnego, taką samą jak Czerniewicz i wielu innych. Wszyscy inni na bruku osiedli, on jeden awansował na dozorcę koszar. Wyróżnienie to zawdzięczał temu, że był wyznawcą Kościoła wschodniego. Zdaje się jednak, że się mu wydawało, iż posiadał wartość niezależnie od tego, spoważniał bowiem ogromnie i z powagą swoją rady sobie dać nie umiał. Usta zaciskał, oczy przymrużał, chodząc, wykonywał ruch głową, jak pantarka, ale od pantarki różnił się tem,

że wyglądał niby nabity, czerwony a twardy; gdy mówił, szyję wyciągał, głowę przekrzywiał i dłonią zboku przy nosie sobie kiwał. Zgroza go przejmowała, kiedy się do niego kto po polsku odezwał.

— Nie panimaju... nie panimaju!... — protestował.

Rozgniewawszy się jednak lub wzruszywszy, w zapomnieniu sam po polsku przemawiał.

„Niedziratiel“ był to „praporczyk“ czy podporucznik od piechoty w „odstawce“, człek stateczny i gorliwy, ale mający słabość do gorzałki, zwłaszcza zaś do przepalanki na cukrze. W koszarach nie mógł folgować sobie, dlatego jaknajczęściej wyprowadzał nas na spacer i za miastem, w krzakach, przyrządzaliśmy mu trunek jego ulubiony; spijał się, stawał się niezmiernie czuły, przyznawał się, że „Palaczków“ ogromnie lubi, zasypiał i, póki się nie obudził, używaliśmy swobody zupełnej. Spacery te zastępowały majówki, o których mowy nie było, dlatego, że przypominały czasy polskie.

Jeszcze jedną postacią, wiążącą się ze wspomnieniem koszar, jest Leśniewicz, ekonom, żywiciel nasz. Miał on żonę, siostrę żony i córkę, dziewczynę lat 15—16. Ten niekiedy w rozmowy się z nami wdawał, mówił o dawniejszym dobrym bycie swoim, o polowaniach z wyżłem, do którego wołał: — Waruj! pójdź dalej!.. nie płosz!.. pyf!.., — o tem, że mu żona, jak Abrahamowi Sara, w starości lat córkę powiła i że córka jego liczy „wiosen szesnaście“. Chłopcy wyrażenia jego podchwycili i z ukrycia na niego krzyczeli:

— Leśniewicz!... pójdź dalej!... nie płosz!... pyf!

Wprawiało go to w gniew straszliwy, jak niemniej, gdy studenci, zakradłszy się wieczorem pod kuchnię, żonie jego głosem wielkim zwiastowali:

— Saro, Saro, będziesz miała syna, któremu dasz imię: Pyf!...

Swawolom tym przewodniczył Edmund Zapolski, mając ku pomocy dwóch Sagatowskich i Konstantego Zapolskiego. Czwórce tej sekundowali inni, ale ona rej wiodła. Po wieczerzy regularnie urządzała się sztuka taka. Z sali wychodziło się po schodach kilku dogóry. Chłopcy zza stołów wstawali i na schody biegli. E. Zapolski i kompanja w tłumie skakali i wydawali z siebie odgłosy trąbiące, które się za nieprzyzwoite

uważają. Wyćwiczyli się w tem tak, że się słyszeć dawały grzmoty istne. Za przykładem ich szli inni. Robił się hałas okrutny, który dozorca uspokoić się starał, ręce podnosząc, oczy zawracając, Boga na pomoc wzywając i wołając:

— Stydno, a stydno!... Ziemia się rozstąpi i pochłonie bezecników takich... Panie Zapolski, wielmożny panie Zapolski, uhamuj się, na Boga! uhamuj się...

Dozorca ów miał zwyczaj wieczora każdego, kiedy się chłopcy pokładli, wychodzić z pokoju swego w szlafroku i pantoflach ze stoczkiem w ręku i czynić przegląd łóżek, czy każde jest zajętem. Razu pewnego Edmund Zapolski w kłębek się zwinął i na poduszkę wysunął uda, a głowę i nogi kołdrą okrył. Dozorcę uderzyła forma niezwykła, jaką na łóżku leżącą ujrzał. Podszedł, stoczek i szyję wyciągnął, ostrożnie kołdrę podniósł, popatrzył i odrazu nie poznał części ciała na poduszce złożonej. Przypatrzył się jednak lepiej i poznał. Poznał, przeraził się — odskoczył. My, sceny tej świadkowie, powściągnąć nie mogliśmy w sobie wybuchów śmiechu, który się ozwał we wszystkich naraz łóżkach. Dozorca, rejterując od łóżka Zapolskiego z godnością, powtarzał po polsku:

— A ogiery!... ogiery!... ogiery!!...

Tak się to ułożył nasz do dozoru w koszarach stosunek. Ze strony władzy brak uczuć przyjaznych i życzliwych wywoływał ze strony podwładnych brak szacunku. Ufność wzajemna nie istniała, skąd wynikła niemożliwość nawiązania węzła moralnego, nadającego zakładowi edukacyjnemu charakter grona rodzinnego. Myśmy się zwierzchników wystrzegali, jak się wystrzegać zwykło przeciwników, dybiących na własność lub cześć naszą. Stosunek nasz do nich polegał na pilnowaniu się w przekraczaniu formy przepisanej i kłamaniu uczuć i przekonań odpowiednich tym, jakie w nas wpoić chcieli. Stąd też cel zakładów koszarowych chybiony został. Nauczyliśmy się w nich wprawdzie po rosyjsku, aleśmy się zgoła nie przeistaczali. Środki przymusowe urabiały w nas opozycyjność zaciętą, ale nieuchwytną. Owoc zakazany nęcił nas i droższym się nam stawał. Książki polskie czytały się ukradkiem, z zamiłowaniem tem silniejszem i z uwagą tem większą pod okiem dozoru, który tego głównie przestrzegał, ażeby się nam do rąk nie dostawały.

W koszarach czytałem i studjowałem: Mochnackiego *O literaturze polskiej*, Grabowskiego Michała *Literaturę i krytykę*; czytałem powieści Kraszewskiego, w miarę jak się one pojawiały. Książki polskie pomiędzy nami z rąk do rąk krążyły, mimo łańcucha sanitarnego, naciągniętego wcelu niedopuszczania takowych.

Zajmowała mnie też żywo literatura niemiecka. Stało to się w sposób przypadkowy. Śród kolegów w koszarach zbliżyłem się najbardziej do Ernesta Szlegla i zaprzyjaźniłem się z nim. Szlegel pochodził z rodziny niemieckiej, osiadłej w okolicach naszych, a składającej się z ludzi wykształconych: ojciec jego był agronomem uczonym, stryj architektą; niemieckość miłowali i posiadali w domach bibljoteki, zaopatrzone w dzieła wyborowe. Korzystał z tego Ernest, którego natura obdarzyła zdolnościami ogromnemi i wyobraźnią ognistą. Śród młodzieży w koszarach ja jeden dzięki Sakowiczowi oznajomiony byłem nieco z literaturą niemiecką. To nas zbliżyło. Na przechadzkach i w chwilach swobodnych odosabnialiśmy się i toczyli rozmowy nieskończone o utworach Göthego, Schillera, Körnera, Bürgera etc., etc. Ernest mnóstwo poezyj umiał napamięć, deklamował. Dostawał dla mnie książki — czytałem. Przeczytałem wówczas Schillera całego i Augusta W. Schlegla, tłumaczenia dramatów Szekspira. W rozmowach zapędzaliśmy się na pole filozoficzne, i Ernest mi wykładał, wedle tego jak od ojca i stryja słyszał, systematy szkół różnych; traktaty filozoficzne dostawał — czytywaliśmy je razem. Stąd poszło, żeśmy filozofowali sami. Pamiętam, że nas mocno zajęła była kwestja jedna, a mianowicie granica, której rozum ludzki przekraczać nie może: kto granicę tę zakreślił i czy ona w rzeczy samej istnieje? Błądziliśmy oczywiście w labiryncie: Prometeusz był wówczas bohaterem rojeń moich.

Rojenia te, snujące się poza sferę szkolną, nie mogły na nauki nie oddziaływać. Uczyłem się zawsze dobrze; przykładałem się szczególnie do matematyki; zajmowały mnie jednak historja i literatura. Literaturę, rosyjską naturalnie, wykładał nam niejaki Andrejewskij. Wykładał ją sposobem zwyczajnym: uczyliśmy się napamięć, pisywali na tematy zadane ćwiczenia. Raz Andrejewskij zadał nam ćwiczenie na temat: „Jermak“ (zdobywca Syberji). Napisałem, podałem. W dni

kilka później Andrejewskij, przyniósłszy do klasy plik ćwiczeń do rozdania pomiędzy autorów takowych, położył je przed sobą na katedrze i, wziąwszy jedno, czytać głośno począł. Słucham— to moje. Zrobiło mi się gorąco. Po raz pierwszy czytanie podobne w klasie się zdarzyło, nie rozumiałem przeto, coby to znaczyć miało. Rzecz była niedługa; Andrejewskij skończył i, do mnie się zwracając, rzekł:

— Atliczno!... Jest to ćwiczenie, któreby do druku podać można...

Koledzy wszyscy oczy na mnie zwrócili. Dystynkcja podobna nikogo nie spotkała była jeszcze. Mnie ona zmieszała, luboć przywykłem do tego, że za ćwiczenia dostawałem zwykle stopień celujący, zaznaczany cyfrą 5. Czytanie jednak publiczne nie praktykowało się. Był to dla mnie triumf, który spotkał mnie zapewne z tej racji, żem się nie zamykał w sferze nauk szkolnych, że ciekaw byłem do tego, com słyszał od Rożna i Szlegla, co wyczytywałem w książkach francuskich, niemieckich i polskich. Ćwiczenie to być musiało odbiciem cyklu całego autorów prozą i wierszem, których pochłonąłem. Onito sprawili, żem pisał lepiej, aniżeli koledzy moi, i że miałem pojęcie niejakie o literaturach i o wpływach, jakie wywiera jedna na drugą. Kiedy bowiem ten sam Andrejewskij zapytał nas razu pewnego o wpływach, jakim ulegał Puszkin w kompozycjach swoich, koledzy nie wiedzieli, ja zaś wiedziałem. Odpowiedziałem, że naśladował Ariosta i Byrona. Znaczyła się już wówczas we mnie ciekawość literacka, zaspokajana w sposób dorywczy i przekradany.

Do pobytu w koszarach odnosi się wspomnienie pojedynku, — tak, pojedynku regularnego. Odbył się on z powodu następującego. Jeden z kolegów moich, Włodzimierz Rubczyński, wielkim był elegantem, wymyślnym w odzieży i starannym około włosów, które układał sobie na głowie w ten sposób, że nad czołem miał nabok odchylony czub, zlewający się z puklami, osłaniającemi skronie. Ładny był chłopiec i do twarzy mu z tem było. On o tem wiedział, skąd wynikało, że do włosów swoich przywiązywał wagę ogromną. Razu pewnego Rubczyński z kilku innymi z kolegów na łóżku w sypialni siedział, ja zaś, nożyce w ręku trzymając, przechadzałem się, — o czemś rozmawialiśmy. Nagle strzeliła mi do głowy myśl do Rubczyń-

skiego podejść, za czuprynę go lewą ręką ująć, nożyce sobie pod garść wsunąć i powiedzieć:

— Włodziu, ja ci czuprynę utnę...

— Utnij... spróbuj... — on na to.

Na słowa te nożycem ścisnął i pukiel wspaniały przy skórze samej od głowy oddzieliłem.

Niesposób opisać egzasperacji chłopaka. Osłupiał zrazu, następnie z żalu i gniewu posiniał, skoczył, na mnie się rzucił, garściami obydwiema za włosy mnie pochwycił i ciągnął. Że mi garści dwóch włosów nie wyrwał, to nie jego była wina. Puścił, ale na satysfakcji tej nie poprzestał. Wyzwał mnie. Jam wyzwanie przyjął. Dobraliśmy sobie sekundantów, wyznaczyli plac boju, naznaczyli godzinę, stanęli i bili się. Biliśmy się na pistolety. Do mnie, jako wyzwanego, należał strzał pierwszy. Strzeliłem i chybiłem. Rubczyński strzelił i trafił mnie w piersi, w okolicy serca. Stałem bokiem, stroną prawą naprzód, osłoniwszy sobie pistoletem skroń, kula przeto ukośnie pośluzem przeszła i skórę mi na ziobrze przerwała. Gdybym był bardziej nieco lewą stronę naprzód wystawił, byłaby mi się pod ziobrem ulokowała i pasmo mego żywota przecięła. Upiekło mi się jednak. Podaliśmy sobie dłonie. I przeciwnik mój i ja trzymaliśmy się dobrze wobec śmierci. Co do mnie, kiedym pod strzałem stał, doznawałem sensacji takiej, jakbym — jak to powiadają — na stu koniach jechał. Tajemnica pomiędzy nami utonęła. Poszedłem do Popowskiego, który był lekarzem gimnazjalnym, pokazałem mu ranę i powiedziałem, żem się stłukł, a on na to:

— Hm?... hm?...

Ranę opatrzył, obandażował, gojenia jej sposób przepisał i o nic nie pytał. Zagoiła się. Pozostała mi po niej blizna na życie całe.

Przeciwnik mój nieosobliwie w życiu się pokierował. Po ukończeniu gimnazjum powziął był zamiar iść na medycynę, lecz stryj mu tego zabronił pod groźbą wydziedziczenia. Nie chciał, ażeby synowiec jego na „pigułkarza“ wyszedł. Uważał to za hańbę. Młody człowiek przeto wstąpił w Kijowie na wydział nauk przyrodniczych, którego zdaje się nie skończył i następnie w domu obłąkanych żywota dokonał. Wypadek ten służyć może jako dowód prawa dziedziczności w chorobach umysłowych. Rodzony wuj jego, Migurski, także na obłąkanie

skończył; założył był w Niemirowie sklep galanteryjny celem dania szlachcie przykładu imania się handlu i dał przykład niepociągający. Sklep ten przeszedł następnie w ręce Młodeckiego niejakiego, który na nim robił interesy dobre, ale dlatego, że przy zdrowych był zmysłach.

Do zanotowania nadaje się jeszcze kompromitacja fatalna, jaka mnie spotkała na wieczorku u p. Denis, nauczyciela języka francuskiego. Ów p. Denis miał za żonę pannę Bukowską, siostrę panny Tekli Bukowskiej, co u ciotki Jeleńkowskiej w Klebani guwernantkowała. Wyszła za wdowca jakiegoś, co potrzebował żony z dyplomem, celem utrzymania pensjonu panieńskiego; z mężem się rozstała i pensję w Niemirowie założyła. Z tytułu znajomości z nią zabrałem znajomość z panią Denis i zostałem przez nią zaproszony w czasie karnawału. Siostra jej na wieczorek przyprowadziła panienki. Bawiliśmy się, tańczyli, i mnie walc tak fatalnie poszedł, żem tancerkę moją wywrócił i potłukł, co mnie takim przejęło wstydem, żem się ucieczką salwował. Rozeszła się pogłoska, jakoby mnie Denis wyprosił; była to atoli pogłoska fałszywa. Nie wypraszał mnie nikt, uciekłem sam z dobrej i nieprzymuszonej woli.

Święta i wakacje spędzaliśmy w domu. Wyobrazić sobie trudno coś bardziej ożywionego, jak wyjazd z zakładu takiego jak koszary chłopców, zimową zwłaszcza porą. Zapanowuje nagle ruch nie do opisania. Zajeżdżają co moment sanie i sanki, zaprzężone parą lub czterema w lejc końmi, i zabierają nieposiadającą się z uradowania młódź. Pożegnania pomiędzy kolegami odbywają się szybko, przechwałki w powietrzu się krzyżują. Przedmiotem przechwałek były konie. Ten, po kogo przysłano chmyzy folwarczne, nos na kwintę spuszczał. Ten, po kogo zajechały konie stajenne, czwanił się i wynosił.

— Chodź ino, zobacz: w dyszlu wilczaty, w lejcu siwy, o których ci opowiadałem... Na szyjach mają dzwonki...

Fantazja ukraińska grała. Najjaskrawiej z nią występowali Zapolscy i Sagatowscy. Starszy Sagatowski, chłopak rudy i piegowaty, gdy po niego sanki w cztery konie zaprzężone zaszły, natychmiast na kozioł wskoczył, furmana po tłumoki wysłał, i począł po podwórzu ósemki wywijać, strzelając z bata z ręki raz prawej, znów lewej. Szło mu to doskonale. Konie chodziły, jak skoczki po linie, wykonywując zwroty, jakie im

nadawała wprawna młodego woźnicy ręka. W chwili tej przez podwórze przechodził inspektor, którym był zawsze jeszcze Orda. Sagatowski, mimo niego przejeżdżając, nad uchem mu z bata tak palnął, że aż mu w uszach zadzwoniło.

— Mierzawiec! skatina! niegadiaj!... — zaczął ten ostatni, i do kancelarji Sagatowskiego wezwał.

Sagatowski pod drzwi kancelarji podjechał; furmanowi, który właśnie tłumok wyniósł i przy sobie panicza młodszego miał, lejce wręczył, sam się za inspektorem udał. Nie pokazywał się chwil kilka, — przez ten czas w skórę dostał; wyszedł wreszcie i tak się do furmana swego odezwał:

— Ne były, tylki paskudyły... tfu!...

Rzekłszy to, na kozioł wsiadł, lejce ujął, bat rozwinął:

— Wio, ha-hi!... — na konie huknął i pojechał.

Po nas w czasie owym przyjechała była matka. Oprócz nas dwóch miała jeszcze do zabrania siostrę moją Bronisię, która się uczyła w Iće[1], u państwa Rubczyńskich, rodziców pojedynkowego przeciwnika mego. Podróż mieliśmy bardzo uciążliwą. Gdyśmy już do domu dojeżdżali, zaskoczyła nas noc i zawieja śnieżna. Minęliśmy Markówkę; do Wysokiej Grobli mieliśmy niewięcej, jak pół mili; na pół mili tej zbłądziliśmy i trzykrotnie do Markówki wracali. Konie lejcowe w jar jakiś wpadły, wydobywać je trzeba było. Furman i lokaj uparli się, do domu dojechać koniecznie chcieli; musieli jednak ustąpić: nocowaliśmy w Markówce.

Rodzice moi umieścili nas w koszarach dlatego tylko, że inaczej zrobić nie mogli; przemyśliwali wszelako nad sposobami wydobycia nas stamtąd, tem bardziej że zbliżała się krokiem wielkim pora oddania do szkół braci naszych młodszych, Jana i Szczęsnego. Sposób się nastręczał bardzo dobry. Wuj Maciej Brudzewski pokończył procesy, dostał kwotę pewną w gotówce i zamierzał koniec lat swoich spędzić na chwaleniu Boga. Wcelu tym osiąść postanowił w jakiemś miasteczku, przy kościele. Niemirów był miasteczkiem i posiadał kościół, to jest łączył te warunki, jakie wuj Maciej uważał za nieodzowne. Przyjechał do rodziców moich naradzić się w przedmiocie tym. Z narady wypadło postanowienie kupienia w Niemirowie domu i zamiesz-

---

[1] Ićka, Idźka — wieś w pow. bracławskim.

kania w takowym dla edukacji naszej. Wuj Maciej miał być nabywcą i osłoną wobec władz szkolnych, które dopuszczały uczniom mieszkać przy krewnych. Na tem stanęło. Pozostawało jeno dom odpowiedni znaleźć. Wynalezienie domu nie przedstawiało trudności żadnych, pomimo że w czasie owym rodziców wiele celem uniknięcia koszar myśl tę samą co rodzice moi powzięło. Było więc spółubieganie się. Mimo to wujowi trafił się dom tuż obok gimnazjum, składający się z pokoi ośmiu z kuchnią, pralnią, stajenką, wozownią, drewutnią i ogrodem. Budowla nie zalecała się ani wytwornością, ani mocą. Stawiał takowy stelmach, wcelu trzymania uczniów na stancji i, gdy cel ów chybiony został, miał go na zbyciu. Nie wiem, co on kosztował; wiem jeno, że kupiony został, i po wakacjach sprowadziliśmy się z matką, która zamieszkała dlatego, ażeby usunąć wszelkie możliwe z władzą szkolną spory. Nie zamieszkała jednak na stałe, a to raz dlatego, że miała gospodarstwo wiejskie, przy którem obecność jej potrzebną była, powtóre dla tej racji, że połowa domu na prawo zajętą była przez lokatora, niejakiego Twardowskiego z rodziną. Twardowski ów Niemcem i pedagogiem był; do Niemirowa się sprowadził, rachując na to, że będzie mógł kwalifikacje swoje narodowe i pedagogiczne zużytkować. Reforma szkolna nadzieje jego zburzyła. Na lodzie został. Ze skwapliwością przeto podchwycił kombinację, jaka się spowodu naszego nasunęła, a polegała na tem, że on, za należny od niego czynsz i za stosowną dopłatę, żywić będzie wuja z chłopakiem do usług, matkę moją, ile razy będzie w Niemirowie przemieszkiwała, i nas czterech. Dodatkowo ofiarował się być nam we względzie naukowym pomocnym; ofiara ta atoli zbyteczną była, mnie bowiem z natury rzeczy przypadała funkcja instruktora wobec moich braci młodszych. Byłem już uczniem klasy szóstej, i uczniem jednym z lepszych. Odmówić mi instruktorstwa u rodziców moich zwierzchność szkolna nie mogła.

Przyjechaliśmy tedy z matką, z wujem i ze sprzętami, i zajęli lewą stronę domu, składającą się z trzech pokoi: jednego dużego, w którym stanęliśmy my, drugiego, który dla siebie urządził wuj, i trzeciego dla matki mojej przeznaczonego.

Matka zabawiła tygodni kilka. Przez czas obecności jej szło wszystko doskonale. Żywiono nas dostatnio, wymyślnie

nawet; kucharka Twardowskich, Niemka stara, sporządzała melszpajzy znakomicie; pani, która po polsku słowa nie rozumiała, wydawała się słodyczą samą, pan okazywał się usłużnym i nadskakującym, dzieci zachowywały się przyzwoicie. Jak skoro jednak matka moja odjechała, wszystko się naraz zmieniło. Na prawej stronie domu wszczęły się kłótnie i bójki. Twardowski podpijał sobie, podchmielony awantury wyprawiał i nie uspokajał się, aż żona i kucharka, zbiwszy go należycie, co im nie przychodziło z łatwością, były to bowiem kobiety wątłe i delikatne, obezwładniały. On się czupurzył, jurzył, chodził we fraku granatowym z kołnierzem aksamitnym i guzikami mosiężnemi, podawał siebie za człowieka wielkiego, odgrażał się i w zaniepokojeniu ustawicznem dom cały utrzymywał. Myśmy z nim nie mieli styczności żadnej, z wyjątkiem tej, żeśmy byli jego stołownikami. Na stołownictwie też odbijała się awanturniczość jego. Zdarzało się, że Rizi (kucharka), zajęta obroną pani, nie miała czasu obiadu lub wieczerzy ugotować. Irytowało to szczególnie wuja mego. Nie było jednak sposobu temu zaradzić, umowa bowiem zawartą została na rok, trzeba więc było znosić.

Rok ów zaznaczył się ciężką chorobą Szczęsnego, który w klasie pierwszej odrazu jako pierwszy uczeń stanął; upłynął zresztą spokojnie. Zarządzono u mnie rewizyj kilka i przy jednej skonfiskowano Waltera Scotta w tłumaczeniu polskiem. Konfiskaty dokonał subinspektor na tej podstawie, że jest to rzeczą niemożliwą, ażeby człowiek „Skotem“ nazywać się mógł. „skot“ po rosyjsku znaczy „bydlę“. Takichto mieliśmy zwierzchników mądrych. Niewszyscy atoli takimi byli. Zabrano nam Kulżyńskiego i Ordę. Miejsce Ordy zajął spokojny, przyzwoitszy i ociężały trochę nauczyciel łaciny, któregośmy „szkatułą poczciwą“ przezwali; Kulżyńskiego zaś zastąpił słodki, gładki a przebiegły Zimowski.

Zimowski okazywał mi względy szczególne, pomimo że rewizje u mnie z jego odbywały się rozkazu. Oddał mi naprzykład skonfiskowanego Waltera Scotta i przy okazji tej subinspektora nazwał bydlęciem, a ze mną zawiązał rozmowę o literaturze polskiej, podnosząc wysoko Mickiewicza. Miałem się jednak na ostrożności, udawałem we względzie tym ignoranta, nie przyznawałem się do tego, żem jakiekolwiek książki polskie

w życiu kiedy czytał. Zdaje się atoli, że on temu nie wierzył; ignorancję moją wszakże za dobrą przyjął monetę i zamówił mnie do siebie na herbatę. Przy herbacie okazywał mi gościnność i uprzejmość, nakręcając rozmowę na ten nastrój polityczny, jakim nabrzmiały jest *Kraj* petersburski. Nie przeczyłem, nie potakiwałem, trzymałem się biernie, czułem jednak, że dyrektor na śliską drogę wprowadzić mnie chce. Nie mnie zresztą jednego zaszczyt ten spotykał. Wabił do siebie z klas wszystkich uczniów lepszych, dzieci cukierkami częstował, starszych spoufalić z sobą się starał i jednemu z klasy siódmej kwestję w taki postawił sposób, że ten szkoły opuścił i do Nieżyna, do liceum, które jeden tylko wydział prawny posiadało i uczniów z klasy szóstej przyjmowało, pojechał. Za przykładem jego — zdaje mi się, że był to Ignacy Postępski, — poszło kilku innych. Rok pobytu w Nieżynie otwierał im wstęp do Uniwersytetu Kijowskiego i do każdego innego w imperjum. Nie chciałem za przykładem tym iść dla braci młodszych, którym potrzebny byłem. Trzymałem się więc. Z Zimowskim miałem się na ostrożności i swoją drogą, za parawanem wujaszka, uprawiałem, o ile zdołałem, niwę literacką polską. Parawan do tego mi służył, żem u wuja obok jego książek do nabożeństwa, których on miał kolekcję znaczną, składał moje książki i skrypty.

Skrypty się u mnie mnożyły wierszem i prozą nawet. Prozą pisałem kilka rzeczy wedle wzorów, które umysł mój uderzały. Wedle Czajkowskiego opisałem był polowanie na wilki. Ogromnie zaintrygowała mnie powieść Kraszewskiego *Świat i poeta*, i wedle niej sporządziłem powieść pod tytułem, którego nie pamiętam. Powieść tę do Kraszewskiego, do wydawanego przez niego wówczas *Athenaeum* wyprawiłem wraz z listem, proszącym go, ażeby ją drukował w razie, gdy ją za godną druku uzna, w razie zaś przeciwnym, ażeby z niej zrobił użytek wiadomy. Zapewne, że to ostatnie uczynił, ani mi bowiem odpisał, anim śladu najmniejszego, jako rąk jego doszła, w piśmie nie znalazł. A *Athenaeum* pilnie czytałem.

Czytałem również inne rzeczy: Rzewuskiego *Mieszaniny obyczajowe,* które we mnie żółć poruszały; *Tygodnik Literacki* poznański, który się do nas, nie wiem jaką, dostawał drogą; Bychowca, Cieszkowskiego i Trentowskiego. Trentowskiego *Chowanna* sprawiła na mnie wrażenie ogromne. Pożerałem ją.

Otworzyła ona niejako przed oczami mojemi horyzonty nowe i nasunęła do głowy kwestyj pełno, mających znaczenie i doniosłość problematów życiowych. Nie mnie jednak jednego to spotkało. Dzieła Trentowskiego przyczyniły się znacznie do poruszenia umysłów. Rzewuski poruszył żółć, Trentowski umysły. Jeden „sięgnął do wnętrza trzew i zatargał“, drugi na niwę rodzajną pełną garścią ziarna idei sypnął. Odegrali oni ważną w rozwoju umysłowym u nas rolę, którą im zapamiętać i zaznaczyć należy.

Wierszowania nie zaniechiwałem i do wierszowania dostałem bodźca nowego w osobie Ludwika Grudzińskiego, o którym wspominałem wyżej jako o nauczycielu gimnazjalnym, Polaku już jedynym, który w Niemirowie w gronie nauczycielskiem w r. 1841 pozostawał. Był to człowiek młody, bardzo ładny, dobry i słodki. Ożenił się był świeżo i kochał żonę swoją gorąco. Zajmował mieszkanie nieopodal od domu naszego, wgłębi podwórza, z cienistym i obszernym ogrodem. Dla niego, jako dla nauczyciela, uprawianie niwy literatury polskiej stanowiło rodzaj zbrodni stanu. A przecie uprawiał ją: pisał prozą i wierszem, nic nie drukował, żonie swojej utwory swoje czytywał. Była to tajemnica pomiędzy niemi dwojgiem. Nie wiem, kto dał mu tłumaczenie moje z niemieckiego:

Kennst du das Land, wo die Citronen blühen?

Spotkał mnie raz na ulicy i zaczepił?

— Tyś to tłumaczył?...

— Ja, panie profesorze...

— Przyjdźno do mnie...

Naznaczył dzień i godzinę, stawiłem się; on ze mną na ogród wyszedł i tam jął się tłumaczenie moje analizować. Przypominam sobie dziś błędy, jakie w strofie pierwszej wytknął:

Znasz ty ten kraj, gdzie kwitną cytryny?
Gdzie złotych pomarańcz liść zwisa cienisty?
Gdzie wietrzyk powiewa łagodny i czysty,
Mirt skromny wyrasta i bujne wawrzyny?
A znasz ty ten kraj?

— „Zwisa“... — powiadał — to naprowadza na myśl ciężar... Liść pomarańcz nie jest ciężkim, nie „zwisa“... „Cienisty“ i „czysty“, dwa przymiotniki zrymowane... rym ubogi... „Ty

ten kraj", trzy jednosylabowe twarde wyrazy: język po nich idzie, jak po grudzie...

Wykładał mi reguły konstrukcji i harmonji wiersza. Jam go zapytywał o różne tyczące się tej materji rzeczy; odpowiadał, jak człowiek znający się i wtajemniczony. Od słowa do słowa do tego przyszło, że mi wyznał, że i on muzom hołduje.

— Piszę... piszę... Ale ty o tem nikomu nie mów... Poczekaj... — rzekł.

Odszedł i za chwilę powrócił z kajetem w ręku. Była to *Paryzyna*, poemat Byrona w tłumaczeniu polskiem. Odczytał mi ustępów kilka, a kiedym wyraził ochotę poznania całości pracy, powierzył mi takową, zalecając ostrożność jaknajwiększą.

Odtąd stałem się powiernikiem Grudzińskiego. Dawał mi do czytania tłumaczenia swoje, po większej części z Byrona, i utwory oryginalne. Raz wręczył mi zeszyt napisany starannie na papierze gatunku wyborowego, zszyty jedwabiem kolorowym.

— Nie powalaj tego... Przygotowałem to dla żony mojej na imieniny...

Była to proza — opis piękności natury w Szwajcarji. Nie wiem, czy w Szwajcarji profesor był. Opis podobał mi się bardzo: mówił o ciemieniach skał, o porostach mchów, o wstęgach kaskad, o warkoczach bluszczów i powoi, strojnych w kwiaty, o ciszy, spokoju i swobodzie, jaką dysze w krainie wolnej powietrze, przeniknione wonią balsamiczną. Okresy pełne i harmonijne wiązały się w całość wdzięczną.

Ile razy mogłem, wymykałem się do Grudzińskiego i trawiłem z nim godziny na rozmowie o poezji angielskiej i niemieckiej.

Nie słyszałem, ażeby prace jego wyszły na widok publiczny [1]. Kiedy się w literaturze pojawiło nazwisko Stanisława Grudzińskiego, zmarłego tak młodo w r. 1884, wydało mi się, że to chyba syn jego, miał bowiem synka, któremu, jeżeli się nie mylę, na imię było Staś. Ale Staś ów byłby starszy od autora *Akordów zerwanych*, liczyłby w r. 1884 nie 32 ale 43 lata. Ludwika Grudzińskiego z oczów następnie straciłem,— nie wiem, co się z nim

---

[1] Pisałem to w r. 1884, nie wiedząc, że w r. 1881 wyszły we Lwowie utwory Ludwika Grudzińskiego bezimiennie, p. t. *Pieśni śpiewaka znad Dniepru*, — bardzo niestety słabe. (Nota T. T. Jeża).

stało. Co się stało z pracami jego? Była to natura nawskroś poetyczna: o sobie nie pamiętał, żona się z nim jak z dzieckiem obchodziła; staranność jego cała wyrażała się zapomocą lękliwości wobec władz szkolnych, przed któremi zdradzić się bał, że wiersze po polsku pisze. Może obawę tę posunął tak daleko, że prace swoje poniszczył? Raz z pamięci wyrecytowałem mu utwór mój pod tytułem *Konarski*, zaczynający się tak:

Na garści zgniłej słomy, w podziemnem więzieniu
Leżał młody niewolnik przykuty do ściany.

Słuchał. Kiedy zmiarkował, o co chodzi, przerwał:

— Dosyć... Ja tego słuchać nie mogę... Nie... Nie... „Niet, nie lzia“ — zaczął po rosyjsku i zadumał się.

Ofiarowanie przez Grudzińskiego opisu Szwajcarji na imieniny żonie posłużyło mi za przykład do wystąpienia także z wiązaniem literackiem. Napisałem tragedję wierszem p. t., nie pamiętam: *Stefan Potocki*, czy *Żółte Wody*, czy też *Stefan Potocki pod Żółtemi Wodami* i ofiarowałem ją na imieniny ojcu memu. Oto na com się był porwał w siedemnastu latach życia mego. Młodzieniaszkom, jak pijanym, morze wydaje się po kolana. Sprawiłem sobie dużą *in folio* księgę, w tekturę oprawną, i w nią utwory moje wszystkie wciągałem. Księga ta znajdowała się pod pieczą wujaszka, modlącego się od rana do wieczora.

Bracia moi uczyli się; jam się uczył, tragedje, poematy, wiersze ulotne i powieści tworzył; wujaszek się modlił; Twardowski awantury wyprawiał, — tak nam upłynął rok, przeplatany wyjazdami na święta do domu. Wszakże Wielkiej Nocy, która w roku tym przypadła, z rodziną nie spędziłem. Zbliżyłem się i zaprzyjaźniłem z jednym z kolegów moich, Henrykiem Podhorodeńskim, którego ojciec był właścicielem części Krasnego, miasteczka w powiecie jampolskim położonego, o mil cztery od Niemirowa oddalonego. Podhorodeński prosił mnie, ażebym z nim na święta pojechał. Wymawiałem się zrazu; on nalegał, — przystałem. Pociągała mnie nowość spędzenia świąt w domu obcym, pociągnęło mnie i to, co mi kolega o rodzinie swojej opowiadał. Był bez matki. Rodzina jego składała się z ojca i sióstr czterech, pomiędzy któremi jedna, mówił mi.

— Z tobą się zgodzi...

— Czemu?... — zapytałem...

— Dlatego, że lubi książki, poezje...

— Jak jej na imię?

— Karolina...

Nazywał ją egzaltowaną trochę.

Siostra ta, „egzaltowana trochę“, mocno mnie do siebie zaciekawiła. Pytać nie śmiałem, ładna czy brzydka. Zgóry pod względem wdzięków czyniłem koncesje wszelkie i wyobraziłem sobie pannę Karolinę pod postacią strofy przyobleczonej w kształty dziewicze, unoszącej się w powietrzu przy dźwięku lutni.

Jeszcze jedno, co mnie do Krasnego zachęcało, była to duma Gosławskiego p. t. *Neczaj*, opiewająca bój Kozaków pod Krasnem przeciwko Lachom i wspominająca o mogile Neczaja.

— Czy mogiła ta jest?... — zapytałem Henryka.

— Jest... Pojedziem oglądać ją... Wznosi się na wzgórzu, za stawkiem i błotami, w których koń Neczaja ugrzązł...

Pociągało mnie to. Uzyskałem u rodziców pozwolenie, pojechałem.

Dom Podhorodeńskich podobał mi się bardzo. Urządzonym on był na stopę trochę pańską, trochę staroszlachecką, podszytą gościnnością uprzejmą, a nacechowaną tonem przyzwoitym. Pan, tytułowany, nie wiem z racji jakiej, prezesem, człowiek wykształcony i poważny, zrobił na mnie wrażenie jaknajlepsze. Panny przedstawiły mi się bardzo dobrze: najmłodsza — dzieckiem jeszcze lat 12—13 była. Szukałem okiem panny Karoliny i wydało mi się, że odgadłem ją w blondynce czarnookiej, wyglądającej polotniej jakoś, aniżeli siostry jej.

— To chyba ona... — powiedziałem sobie.

W rzeczy samej była to ona: smukła, wiotka, szykowna, przejrzysta niby, niebrzydka i pełna tego uroku, jakim postacie niewieście oblewa zagadkowość poetyczna, obłoczna a promienna.

Panny otoczyły mnie życzliwością uprzejmą, i prędko pomiędzy niemi a mną nastąpiło spoufalenie. Chłopak siedemnastoosiemnastoletni wobec kobiet odegrywa zawsze rolę pazia, jaką mu nadają opowiadania rycerskie z wieków średnich. Przytem przyjaźń z bratem była dla mnie tytułem, który mi przystępność zapewniał. Po paru posiedzeniach preliminarnych weszła pomiędzy nas poezja pod postacią *Harmonij* Lamartine'a. Lamartine w czasach owych posiadał wziętość ogromną. Poezja dokonała — że się tak wyrażę — selekcji naturalnej. Pomiędzy

panną Karoliną a mną nastąpiło zbliżenie, zbliżenie natury takiej, że po upływie dni dwóch czy trzech byłem rozkochany po uszy.

Zakochałem się wedle wszelkich romantyczności reguł i zawiązałem romans, który ma prawo najzupełniejsze do miana romansu nawskróś poetycznego. Ziemskości nie wchodziło do niego ani odrobiny. Cały tkwił w eterach i tłumaczył się w ten sposób, że sprowadził szereg długi manifestacyj niemych, polegających na westchnieniach, spojrzeniach, udzielaniu sobie wzajemnie na pamiątkę niezabudek, powtarzaniu po polsku i po francusku ustępów poetycznych, znaczenia zagadkowego pełnych, na trzymaniu się razem na spacerach, na tańczeniu ze sobą na wieczorkach i na uściskaniu sobie przy okazji każdej wzajemnie dłoni dłużej trochę i mocniej, aniżeli wymaga tego witanie się lub żegnanie. Kiedy wieczorem wszyscy się rozchodzili, myśmy we dwójkę pozostawali i — nic do siebie nie mówili. Zdarzało się to często. Siedzieliśmy jedno obok drugiego w milczeniu i przesiadywalibyśmy tak do ranka, gdyby mi nie przychodziło na myśl, że kochanka moja spać chcieć musi.

— Dobranoc pani...

— Dobranoc panu...

— Do jutra...

— Do jutra...

Nie przeszkadzało mi to pisać wierszy, rozpoczynających się od strofy takiej naprzykład:

Zmieniają się godziny, jako straż pułkowa,
Z pamięci wszystko znika, co było przed chwilką,
Wszystko znika, uchodzi — pozostają tylko
Ostatnie lubej rozmowy słowa.

Rozmowy nasze były nijakie. Rozmawialiśmy o wszystkiem, o miłości nawet, ale nie o naszej. Wyrazu „kocham“ wykrztusić w stanie nie byłem, luboć czułem niejako powinność, a wgłębi duszy pragnienie, wyznać miłość. Czy mi się wydawało, że wyraz ten będzie za słabym do oddania wielkości uczucia mego? Może, — nie wiem, — sprawy sobie z tego nie zdawałem.

Powróciłem po świętach z sercem przepełnionem i przystąpiłem do przygotowywania się do egzaminu z klasy szóstej. Wziąłem się do tego z gorliwością jaknajwiększą, do której

podnietę w miłości mojej znajdowałem. Czyż nie powtarzałem sobie:

Kochanko moja, wszystkiebym ci skarby
Powietrza, wody, ziemi podesłał pod nogi!

Do zdobycia skarbów jakichkolwiek potrzebną była przedewszystkiem promocja do klasy siódmej. Zresztą wstydby mnie był spalił, gdybym jej nie dostał. Przygotowałem się więc, do egzaminu przystąpiłem i — we środku przerwałem. Powodem tego stał się Zimowski, który łaskawość swoją względem mnie posunął tak daleko, że mi wręcz zaproponował spółpracownictwo. Nie zrozumiałem tego. On, celem wyłożenia rzeczy jasno, wskazał mi przedewszystkiem w perspektywie drogę karjery świetnej i powiedział, że spółpracownictwo moje polega na zawiadamianiu go o tem, co młodzież w szkołach myśli, mówi i czyni. Jam skipiał i żachnął się; on dodał:

— W okręgu naukowym kijowskim jesteś bardzo źle notowany i musisz się wobec władz rehabilitować, jeżeli chcesz do uniwersytetu wstąpić i od Kaukazu się zabezpieczyć... Tyś zdolny; ciebie szkoda na to, ażebyś górali kaukaskich dusił... namyśl się...

Wymogłem na sobie tyle, żem mu grzecznie podziękował za to, że mi czas do namysłu dał. Napisałem wnet do ojca, prosząc go o pozwolenia wyjścia ze szkół i obiecując, że się będę przygotowywał w domu, wcelu wstąpienia do innego, aniżeli kijowski, uniwersytetu. Wspomniałem mu o powodach. Ojciec mi pozwolenie przez posłańca umyślnego przysłał. Poszedłem do Zimowskiego i przedstawiłem mu prośbę o uwolnienie. Spojrzał na mnie; od stóp do głowy okiem mnie zmierzył i głosem słodkim jął się mi perswadować; kiedy zaś oświadczyłem mu, że postanowienie moje jest niezłomnem, radził mi, ażebym zamiast używać życia szlachcica młodego, lub chwytać się karjery innej, do wojska wstąpił. Zapewniał mnie przytem, że dobrze mi życzy. Kazał mi wydać świadectwo z zaznaczeniem postępów naukowych i konduity. Pierwsze brzmiały: „atliczno“ lub „oczeń charaszo“, druga była dla mnie rekomendacją nieosobliwą: „Powiedienje niebłagonadiożnoje“ — konduita nieobiecująca nic dobrego. Utrudniało to zgóry położenie moje w uniwersytecie każdym: przecież w uniwersytetach innych bardziej się żeno-

wano, aniżeli w kijowskim, ze wskazywaniem młodzieży za byle co „w sałdaty“ na Kaukaz.

Na wakacje przeto r. 1842 przestałem być uczniem gimnazjum niemirowskiego. Pojechałem do Krasnego, stamtąd do domu, po wakacjach do Niemirowa. Ponieważ spółka z Twardowskim okazała się niemożliwą, matka więc sama zamieszkać z nami postanowiła. Z Twardowskim kłopot był ogromny. Wyprowadzać się nie chciał. Trzeba się było aż do policyjnej odwoływać interwencji. Zajęliśmy wreszcie dom cały. Mnie, jako od zwierzchności szkolnej niezależnemu, nie wolno było w charakterze instruktora przy braciach moich pozostawać. Wzięliśmy Leona Czerniewicza, brata młodszego tego Czerniewicza, o którym pisałem wyżej, ucznia klasy szóstej, chłopaka zacności wielkiej. Stryj Maciej dał nam syna swego, Konrada, który był w wieku Jana. Jam zamieszkał osobno, w pokoiku wychodzącym na ogród, i dzieliłem czas swój pomiędzy naukę, poezję a dojeżdżanie do Krasnego. Ojciec dla wygody matki mojej zaopatrzył ją w konie i pojazd. Była to dla mnie wygoda wielka, matka bowiem pozwalała mi konie brać przy okazji każdej. Jeździłem na imieniny Prezesa w jesieni, w porze błotnej; jeździłem zimą i na wiosnę, w maju, w porze słowików, dla koncertu których, powracając, część większą nocy przestałem nad Bohem. Romans mój nastrajał mnie do koncertów słowiczych, snując się sam niby koncert w duszy mojej.

Mam prawo całe domyślać się, że panna Karolina krzywą mi nie była. Przyjmowała mnie zawsze uprzejmie, bardziej aniżeli uprzejmie. Rada mi była i przy ludziach i na osobności. Wydzielaliśmy się często we dwoje. I dobrze nam tak było. Ale wyraz sakramentalny pomiędzy nami nie zabrzmiał ani razu. Jam się na wypowiedzenie wyrazu tego odważyć nie mógł. Miłość ta młodzieńcza pozostawała wciąż w eterach, i w eterach — rozpłynęła się, ale (wyznać to muszę w starości) nie przeminęła bez korzyści dla mnie. Nade mną, chłopcem, wkraczającym w życie młodzieńcze, czuwała ona nakształt genjusza dobrego. Czułem się nią związanym i odpowiedzialnością honorową obarczonym wobec istoty, którą miałem za siostrzycę aniołów, jaśniejącą dobrocią i czystością kryształową.

IV

ODESA—KIJÓW

Ojcu memu w Wysokiej Grobli cale nieźle się wiodło; powodzenie jednak dla niego nie było snadź w księdze przeznaczeń zapisane. Jurysdator po trzech latach nie chciał mu wsi na drugich lat trzy — spowodu że chłopów rozpieszczał — w dzierżawę puścić. Ojciec na to nie liczył, zawczasu się nie zabezpieczył, gdy więc termin wyszedł, na bruku się znalazł. Na wiosnę tedy roku 1843, ulokowawszy na przechowaniu przez rok inwentarz żywy i martwy gospodarki, sprowadził się na mieszkanie do Niemirowa. Wkrótce po zainstalowaniu się ciężko na pleurę zachorował i nie pozwalał posługi sobie czynić nikomu innemu, tylko mnie. Nagniewałże się na mnie! Leczył go dr Maratowski. Dzięki staraniom tego dobrego lekarza i zacnego człowieka przyszedł do zdrowia rychło. Kłopotu nieco było z Józefem, który, spowodu że mu mijało lat czternaście, szumieć zaczynał, sprawdzając na sobie przysłowie o piwie młodem. Natura obdarzyła go temperamentem wesołym, niewyczerpany był na swawolę i zbytki, które płatał bez względu na następstwa. Wynikały stąd przykrości niemałe. Raz w nocy spadła nagle rewizja. Józef brał ze stajni konie i urządzał kolegom swoim przejażdżki przy blasku gwiazd. Nocy pewnej wyjechał i, na szczęście swoje, nie wziął ze sobą konia drugiego. Kolega czekał na niego w koszarach; on go zawiadomić chciał, że przejażdżki dziś nie będzie, wjechał więc konno na podwórze i pod oknem znak umówiony dał. Zdaje się, że dozór koszarowy wycieczki te podpatrzył, albowiem jak skoro Józef, z siodła się pochyliwszy, do okna zapukał, wnet wrota się zamknęły, stróże się pokazali i rozległy się wołania:

— Dzierżi!... ławi!...

Józef koniem zawinął, uczuł się w samotrzasku; fantazji atoli nie stracił, konia przez podwórze pędem całym ku płotowi puścił i przez płot, do przylegającego ogrodu wskoczył. Ogrodów jeden za drugim było trzy i on trzy razy jeszcze skoki wykonywać musiał. Wydostał się wreszcie na czyste pole, ale do domu wracać nie mógł, pościg bowiem drogę mu zabiegał, a przytem wybrała się za nim pogoń konno. Ruszył przeto wprost przed siebie za miasto drożyną krętą, która prowadziła mimo okopiska żydowskiego. I na drożynie tej naprzełaj mu zastępowano. On na okopisko skręcił. Że zaś się tam schować nie było gdzie, a przytem mu do domu wrócić potrzeba było koniecznie, więc puścił się ku urwisku, którem się okopisko kończyło, a które w staw wchodziło, i z urwiska tego do wody się z koniem rzucił. Z głową się zanurzył, spłynął i na drugą przedostał się stronę. Tu się już pogoni nie lękał, a dostanie się do domu wymagało jeno szybkości, celem uprzedzenia rewizji, przewidywać się dającej. Uczynił wedle rady udzielonej przez poetę Neczajowi, ściganemu po przegranej pod Krasnem:

Nie szczędź konia, synu stepów,
Wypoczniesz mu lepszą dobą.

Wichru pędem dostał się do traktu winnickiego, kłusem przejechał przez groblę i tyle zyskał czasu, że zanim subinspektor nadszedł, już w łóżku leżał i głęboko uśpionego udawał.

Tego rodzaju były zbytki, jakich się Józef dopuszczał. Nie cechowało ich łotrostwo, tylko swawola; sprawiały jednak rodzicom kłopotu i zmartwienia niemało, zwłaszcza że oprócz mnie i Józefa mieli jeszcze chłopców trzech, z których każdy „szumieć“ miał. Z nas żaden nie zapowiadał się od dzieciństwa jako luby, grzeczny, spokojny chłopczyk. Każdym coś kręciło i pchało do wkładania palców w ogień, do wyciągania rąk po owoce zakazane. Rodziców biednych twarde w przyszłości czekały próby, ograniczające się tymczasowie do czuwania nad dziećmi, czemu się matka oddawała głównie, jeżeli nie wyłącznie.

Rodzice moi nie prowadzili w Niemirowie domu otwartego. W miasteczku małem znaliśmy się ze wszystkimi i odwiedzaliśmy się, ale sposobem zachodzenia. Zachodził ktoś do nas, ktoś od nas zachodził do kogoś, i na tem się kończyło. Jednym

z bliższych, z kim widywaliśmy się częściej, był Antoni Andrzejowski, który się do Niemirowa sprowadził dla wychowania dzieci. Znajomość z nim datowała jeszcze z Saracei, kiedy on, młody profesor Liceum Krzemienieckiego, przyjeżdżał w czasie wakacyj wcelu czynienia poszukiwań botanicznych. W Niemirowie jawił się jako staruszek wzrostu małego, szczupły, rudawy, łysy i wesoły. Z Krzemieńca przeniesiono go do Kijowa na lektora języka francuskiego; z Kijowa — również na lektora — do Charkowa, gdzie emeryturę wysłużył i ze służby rządowej wyszedł. Przed zamieszkaniem w Niemirowie zajmował się zakładaniem wielkim panom ogrodów. Przeniesienia jego z Kijowa do Charkowa powodem był odkryty pomiędzy studentami uniwersytetu związek, znany pod nazwą spisku Gordona. Andrzejowski do związku nie należał, mimo to ucierpiał za to, że Gordonowi, w czasie, kiedy go policja poszukiwała, przytułku użyczył. Następstwo czynu tego okazało się w Niemirowie w sposób o ile dziwny, o tyle oryginalny. Andrzejowski w Kijowie pełnił funkcję bibljotekarza i do utrzymywania sal bibljotecznych w porządku i czystości miał na rozporządzenie swoje stróża, legitymowanego szlachcica. Gordon, schronienia poszukując, jawił się do niego chory na gorączkę. Chorego ukryć nie było gdzieindziej, jak w bibljotece, i nie można było uczynić tego inaczej, jak za porozumieniem się ze stróżem, który zbiega przechował, w chorobie doglądał i wyprawił. Wydało się to. Andrzejowski i stróż pociągnięci zostali do odpowiedzialności: pierwszego za niedozór do Charkowa przeniesiono; drugi, jako sprawca, skazany został „w sałdaty“, i wysłany na Kaukaz. Pozostała po nim żona, którą Andrzejowscy za kucharkę wzięli i która z nimi była w Charkowie i przyjechała do Niemirowa. W Niemirowie razu pewnego jawi się u nich wojskowy jakiś w szlifach majorskich, nieznajomy. Gdy się nazwał, pokazało się, że był to ów stróż bibljoteczny, przed laty „w sałdaty“ oddany. Jako szlachcic dosłużył się stopnia oficerskiego i awansował, a tak się zmienił, że go nie poznała żona własna, tem bardziej że słuch o nim był zaginął.

Rok szkolny dla mnie upływał; co do wyboru uniwersytetu zdecydowany nie byłem. Napewne do Kijowa jechać nie mogłem, zresztą wahałem się pomiędzy Petersburgiem, Moskwą a Charkowem. Ojciec, celem poinformowania się, pisał

do kogoś ze znajomych dawnych, co w stolicy państwa wysokie zajmował stanowisko; pisał, zapytując o szkoły wojskowe, do ojca mego chrzestnego, generała Sierzputowskiego: ani od pierwszego, ani od drugiego odpowiedzi nie otrzymał. Kwestja się rozstrzygnęła w sposób wypadkowy. W Niemirowie pojawił się młody człowiek w mundurze uniwersyteckim, różniącym się od mundurów uniwersytetów kijowskiego, petersburskiego, moskiewskiego etc. tem jeno, że miał guziki białe zamiast żółtych. Zaintrygował nas student ów. Zasięgnęliśmy informacji i dowiedzieliśmy się, że był to Paternowski, brat nauczyciela muzyki w Niemirowie, student Liceum Odeskiego. Zabraliśmy z nim znajomość. Udzielił nam o liceum szczegółów, z których pokazało się, że zakład ten różni się od uniwersytetu tem najprzód, iż nie posiada wydziału medycznego, i tem następnie, że nie udziela stopni naukowych wyższych nad stopień rzeczywistego studenta, dający w służbie rządowej, cywilnej i wojskowej, prawa te same, co stopnie uniwersyteckie. Że zaś prawa te stanowiły miarę wartości zakładów naukowych, że przytem okręg naukowy odeski traktowany był z większą aniżeli okręgi inne względnością, więc nietylko ja, ale kilku jeszcze kolegów, a mianowicie Zaleski Jan, Dąbrowski Witold, Zawadzki Józef i Kłodnicki, którzy w Kijowie źle notowani nie byli, postanowiliśmy do Odesy jechać. Koledzy inni, co siódmą klasę w roku tym skończyli, a w liczbie których był Henryk Podhorodeński i przeciwnik mój pojedynkowy Rubczyński, udali się do Kijowa. Niektórym z tych, co egzamina ostateczne zdawali, z pomocą przyszedłem. Od ćwiczenia, znamionującego postęp w języku rosyjskim, zależały medale i ranga klasy czternastej. Dwóch umówiło się ze mną, że, gdy ich do klas osobnych dla pisania ćwiczeń pozamykają, oni tematy swoje na sznureczkach przez okna pospuszczają, i ja tą samą drogą ćwiczenia do skopjowania im poszlę. Tak się zrobiło. Napisałem dwa ćwiczenia, za które jeden dostał medal złoty, drugi srebrny. Mnie egzamin czekał w Odesie. Byłem co do takowego zupełnie spokojny, czułem się bowiem przysposobiony należycie.

Przed wyjazdem miałem z ojcem kilkakrotnie rozprawę co do wyboru wydziału. Do wyboru miałem tyle: prawny, kameralny, języki wschodnie i matematyko-fizyczny. Ojciec

mój był za medycyną albo prawem, — dla chleba; mnie ciągnęło do matematyki, do której czułem zamiłowanie. Nie mogliśmy się zgodzić. Ojciec jednak podawał racje, którym trudno było słuszności odmówić. Przedstawiał mi, że nie posiadam majątku żadnego, myśleć więc powinienem o karjerze praktycznej. Możeż być co praktyczniejszego, jak medycyna lub prawo? Replikowałem, że matematyka zapewnia karjerę wojskową, w artylerji i inżynierji. Przeciwko temu ojciec mój oświadczał się stanowczo.

— Gdyby cię czekał zaszczyt służenia w szeregach, w których ojciec twój i dziad służyli, sambym cię wyprawił; tak jednak... byłoby to zaparciem się krwi własnej... Jako medyk lub prawnik służyć będziesz społeczeństwu... Nie mówię, gdy nie można inaczej, ale tobie służy wybór...

Szukałem argumentów w istocie nauki, na te atoli znajdowałem odparcie racjonalne w tej prawdzie, że nauki wszelkie kształcą umysł i każda z nich potrzebną jest w rozwoju ogólnym. Prawnicy zresztą wywierają wpływ w kołach bez porównania szerszych, aniżeli matematycy.

Medycyna w Odesie odpadała. Pozostawało jeno prawo, przy którem ojciec mój tak obstawał, żem się zdecydował zadość życzeniu jego uczynić. Na pożegnanie zalecił mi jeszcze:

— Wstrzymaj się od pisania wierszy... Mickiewiczowi nie wyrównasz, a tylko sobie roztargnienie w naukach sprawiać będziesz...

Przyrzekłem i przyrzeczenia dotrzymałem. Przez czas cały pobytu w Odesie dwóch rymów nie skleciłem.

Z wyborem jednak fakultetu inaczej się stało. Przedstawiłem się do egzaminu i zapisałem na wydział prawny; po egzaminie atoli, gdym się dowiedział, że przyjęty zostałem, taki mnie zdjął żal, że w nocy przez sen płakałem. Sen ów — ze wstydem się do tego przyznaję — wpłynął na postanowienie moje. Nazajutrz przeniosłem się na wydział matematyczny.

Podróż do Odesy odbyłem w towarzystwie Paternowskich, dwóch ich bowiem było: starszy student liceum, młodszy uczeń gimnazjum. Z nimi w Odesie zamieszkałem, nie na długo atoli; przeszkadzali mi: jeden na wiolenczeli, drugi nie pomnę na jakim instrumencie, grał; ćwiczyli się ustawicznie, żem nie mógł ani czytać, ani myśleć. Wyprowadziłem się więc od nich.

Mamże opisywać podróż do Odesy i wjazd do miasta? Mamże przypominać wrażenia, jakich doznałem na widok morza, o którem jeno roiłem, na widok grodu, jakiemu równego nigdy przedtem nie oglądałem? Wyznać jednak muszę, że morze nie uderzyło mnie tak, jak czasu onego staw klebański. Na umysł dziecinny wrażenia działają potężniej. Na ogrom wody, na las masztów, na okręty w ruchu nie patrzyłem obojętnie. Nieobojętność ta wszakże nie była zachwytem owym, jaki w dziecku wywołał widok łódki rybackiej, chybocącej się na toniach, odbijających w sobie wierzby i chałupy. Zato miasto zafrapowało mnie. Wydało się mi imponującem. Napatrzyć się dosyć nie mogłem na gmachy, place, budowle, pomniki. Gawroniłem się, jak to czynić zwykli wieśniacy; błądziłem; w przeciągu dni kilku atoli rozpoznałem się w labiryncie ulic, które są zresztą regularne, i oswoiłem się z miastem.

Łatwiej mi to przyszło, aniżeli oswojenie się z niezależnością zupełną, z sampaństwem nieograniczonem. Dotychczas znajdowałem się ustawicznie pod okiem czyjemś; zacni i rozumni ludzie, jakimi byli rodzice moi, czuwali nade mną. Naraz czuwanie wszelkie ustało. Pozostawiony zostałem zupełnie samemu sobie. Natura nie obdarzyła mnie tym duchem ostrożności, co to sprawia, że młody człowiek, stawiając kroki, patrzy pierwej, na co noga jego stąpić ma, i obchodzi przeszkody. Mnie widniało się coś w dali; z tego, com widział, słyszał, doznał, czuł, wyrozumował, ukształtował się cel, ku któremu podążanie szykowałem sobie wedle przepisów tej autora nieznajomego pieśni kozaczej:

Tutki hora, a tam staw,
Ruszaj, ruszaj, kudy schocz!
Czerez wodu można wpław,
Czerez horu pereskocz.

Z usposobieniem takiem trudno mi było kierować się na człowieka porządnego, na pracownika, składającego sobie zawczasu grosz do grosza celem zabezpieczenia się na starość. Ojciec o tem myślał i chciał mnie na drogę praktyczną wprowadzić, doradzając mi prawo. Wybrałem matematykę raz z zamiłowania, a potem dlatego, że widziałem powinowactwo pomiędzy nią a karjerą wojskową, która mnie pociągała. Pociągała mnie ona raz jako syna, wnuka, prawnuka żołnierzy,

powtóre zagadkowością samą. Nie wiedziałem napewne: „w jakiej stronie walczyć będę i od jakiej broni zginę“, i to właśnie stanowiło urok, pod którym pozostawałem od dzieciństwa. Kiedym był dzieckiem, zachwycał mnie Nizus, co „był stróżem bramy“. Pragnąłem być na miejscu jego, wyobrażałem sobie nawet, że Nizusem jestem. Gdym na młodzieńca wyrósł i w świecie się rozpatrzył, rojenia dziecinne ustąpiły miejsca rojeniom nabrzmiałym żądzą naprawiania krzywd, sprowadzenia triumfu sprawiedliwości. Droga dojścia do celu tego nie przedstawiała się mi bez przeszkód; przeciwnie — przeszkody i wielkie widziałem, alem powiadał sobie: „Czerez wodu można wpław, czerez horu pereskocz“. W takim ducha nastroju przestąpiłem progi liceum.

W liceum ze strony władz i profesorów znalazłem to, co mi w gimnazjum było obcem: życzliwość. Na naznaczoną w świadectwie mojem „niebłagonadiożnost'“ konduity nikt uwagi nie zwrócił najmniejszej. W Odesie czuć się dawała Europa. Owiewał ją duch liberalny, który szedł zgóry, od generał-gubernatora, hr. Woroncowa. Egzamina zdałem i *sans phrases* przyjęty zostałem w poczet słuchaczy regularnych. Sprawiłem sobie mundur, kapelusz stosowany i szpadę. Odzież ta dogadzała próżności mojej, czułem się niejako wywyższony ponad wszystkich, co w mundurach nie chodzą. Rozpocząłem uczęszczanie na kursa.

Na wydziale fizyko-matematycznym wykładały się przedmioty nietylko do zakresu nauk ścisłych należące. Z zakresu tego słuchaliśmy: matematyki, mechaniki, astronomji, meteorologji, fizyki, chemji z mineralogją, anatomji porównawczej, botaniki i zoologji; poza nim: historji powszechnej i rosyjskiej, filozofji, historji literatury rosyjskiej, rosyjskich starożytności i teologji dogmatycznej. W gronie profesorskiem znakomitości, z wyjątkiem chyba Nordmana, który nauki naturalne wykładał, świeciły nieobecnością. Nie było jednak, z wyjątkiem Murzakiewicza, wyplatającego koszałki opałki na lekcjach historji rosyjskiej i starożytności rosyjskich, całkiem lichych. Każdy przedmiot swój znał i wykładał takowy dobrze: Brun Karol matematykę czystą, Piotrowski astronomję i mechanikę, Lewteropulo fizykę, Hashagen chemję, Brun Filip historję powszechną, Michniewicz, pełniący funkcję inspektora, filozofję, Zieleniecki

historję literatury, o Nordmanie i Murzakiewiczu wspomniałem powyżej. Mówię tylko o profesorach, których słuchałem. Korzystać od nich było można. Nie mieliśmy laboratorjów do ćwiczeń w fizyce, chemji i anatomji porównawczej, i poprzestawać musieliśmy na tych jeno doświadczeniach, jakie profesorowie w audytorjach pokazywali; ale w czasie owym laboratorja tego rodzaju przy żadnym jeszcze nie istniały uniwersytecie. System nauczania w Liceum Odeskiem polegał na tem, że profesor wykładał, słuchacze notowali i z notat tych każdy kolejno obowiązany był układać tak zwany „żurnał", który profesor odczytywał i poprawiał. Z „żurnałów" formowały się kursy, służące do przygotowań do egzaminów. Miało to tę swoją słabą stronę, że studenci, spuszczając się na kursa owe, nie studjowali przedmiotów z dzieł naukowych, traktujących o takowych, i zwracali uwagę większą na egzamina, aniżeli na naukę. Wszakże reguła ta ogólna nie była bez wyjątków. Niektórzy przywiązywali się do przedmiotów specjalnych i studjowali takowe. Mnie, obok matematyki, zajęła żywo historja powszechna i historja filozofji. W pierwszym atoli roku nowość położenia sprawiała mi roztargnienie: na wykłady chodziłem i notowałem, lecz w domu zajmowałem się mało. Byłem studentem wedle określenia jednego z profesorów: „Student jest to istota przez rok cały próżnująca, a w miesiącu maju nadzwyczajnie pracowita". W maju wziąłem się do pracy z gorliwością w rzeczy samej nadzwyczajną, stanąłem do egzaminów i nietylko na kurs drugi przeszedłem, alem przeszedł pierwszy. O mało sztuki tej zdrowiem nie przepłaciłem.

Do pracy ciągłej i powolnej przeszkadzało mi roztargnienie, które co moment zmieniało postać. Spiłem się dwukrotnie po krótkim raz po razie przestanku: raz oblewaliśmy mundury studenckie, drugi raz z kolegów jeden uważał za rzecz potrzebną wyprawić imieniny swoje. Zainteresował mnie następnie niezmiernie teatr. Odesa posiadała operę włoską, która mnie niby w tajemniczy, uroków pełen, wprowadziła świat. Na wieśniaka oddziaływało to mocno. Tony mi się rylcem niejako w duszy rzeźbiły; z przedstawienia każdego wychodziłem przesiąknięty niem. Opera każda słyszana odegrywała się we mnie przez dni kilka ustawicznie. Przyszły dalej tajemnice miasta, do wglądania w które ciekawość mnie wciągała. Ze wszystkiego

tego, obok roztargnienia uczyć się przeszkadzającego, to jeszcze smutne wynikło następstwo, żem szybko strwonił pieniądze, przez ojca mi dane. Zaopatrzony byłem na pół roku; miałem nawet na wydatki nieprzewidziane; takie jednak mnóstwo tych ostatnich się nasunęło, że wyszły na plan pierwszy i pochłonęły zapas mój bardzo prędko. Pisałem do ojca. Ojciec pieniędzy nadesłał i dołączył do takowych surową dla mnie za marnotrawność naganę, na którą w zupełności zasługiwałem. W skutek nagany tej postanowiłem oszczędzać się i wziąłem sobie mieszkanie więcej niż skromne, wilgotne i ciemne. Nie wytrzymałem na niem długo, miesiąc tylko. Potrzebujących się oszczędzać znalazło się pomiędzy kolegami sporo. Porozumieliśmy się i ułożyli spółkę, której wynalazcą i twórcą był niejaki Grodzki. Wykalkulował on, że gdybyśmy najęli apartament z kilku pokoi i wynaleźli kobietę, któraby w apartamencie tym porządek utrzymywać i nas żywić się podjęła, wypadłaby na każdego z nas opłata stosunkowo niewysoka. Umówiliśmy się we czterech: on, Zygmunt Małachowski, Witołd Dąbrowski i ja. Grodzki apartament i gospodynię wyszukał, zgodził: sprowadziliśmy się. Każdy z nas miał pokój osobny, było nam dobrze i wesoło. Nauczyłem się dwóch rzeczy, bez których obejść się bym wygodnie mógł: tytoń palić i w karty grać. Z tytoniem znałem się dawniej, próbowałem i nawet zacząłem był fajkę kurzyć, alem zarzucił spowodu opozycji, jaką ojciec mój założył. Ojciec, mimo że sam fajkę palił, razu pewnego, dostrzegłszy snadź, że go naśladuję, powstał mocno przeciwko nawykowi temu, spowodowującemu puszczanie pieniędzy z dymem i szkodliwemu na zdrowie. Było to przy obiedzie; domyśliłem się, że ojciec do mnie pije, zapytałem go przeto, czemu sam pali. W odpowiedzi na to o stół kułakiem uderzył i odrzekł:

— Od chwili tej palić przestaję!...

Po obiedzie zapas cały tytoniu, fajki i cybuchy posłał w prezencie doktorowi Maratowskiemu i od chwili tej palić w rzeczy samej przestał. Wstrzymałem się i ja. W Odesie atoli spotkałem się z nieznanemi jeszcze podówczas na prowincji papierosami, próbowałem, próbowałem i na nowo przywykłem.

Karty znanemi mi były z widzenia jeno w domach obcych. W domu rodziców moich nie grywano nigdy; tu i ówdzie

jednak zdarzało mi się być spektatorem wista. Intrygowali mnie mężowie poważni, zatapiający się w kombinacjach lew przy stoliku zielonym, spierający się o zadanie waleta zamiast młódki i zaznaczający honory. Partja, robry, wist z dziadkiem: o wszystkiem tem wyobrażenie miałem jakietakie. Wist wzbudzał we mnie pewien rodzaj szacunku ze względu na powagę ludzi, którzy się mu oddawali. O grach hazardownych słyszałem i czytałem jako o pladze towarzyskiej. Preferans byłby mi nieznanym, gdyby nie kolegów kilku w gimnazjum, nb. synów ekonomskich, z którymi bliżej żyłem i którzy zawzięcie w preferansa grywali. Widywałem jeszcze furmanów, grywających w marjasza. Oto wszystko. Do przyjazdu mego do Odesy mogłem ze słusznością zupełną o sobie powiedzieć, żem kart w ręku nie trzymał. Nastąpiło to w Odesie dopiero. Koledzy, wspólnie ze mną mieszkający, grywali, przysiadłem się więc do nich. Zamiłowania jednak do kart nie nabrałem. Grywałem w preferansa; gdy atoli z preferansa wytwarzał się sztosik, przypatrywałem się, alem ani sam nie stawiał, ani przystawiał. Raz jeno Małachowski z pokoju swego zawołał do mnie:

— Zygmuncie, bank...

— Ciągnij!... — odpowiedziałem mu, nie ruszając się.

— Stawiaj!...

Wymieniłem kwotę i kartę.

— Wygrałeś!... — rzekł do mnie po chwili.

— Parol!...

— Wygrałeś!...

— Na pe!...

— Wygrałeś!...

Wstałem, do pokoju Małachowskiego wszedłem i w krótkim czasie, zdwajając stawki, doszedłem do stu rubli wygranej. Postawiłem sto rubli: przegrałem. To mnie zachęcić było powinno. Nie miałem jednak widać do tego żyłki. Siedzenie przy preferansie nudziło mnie; pomimo przeto że tak preferans, jak sztos, były śród młodzieży licealnej w użyciu, nie wciągnąłem się ani do jednego, ani do drugiego. Próbowałem bilardu, — i do tego zamiłowania nie nabrałem. Szachy były mi obce. Słowem, gra żadna, ani towarzyska, ani hazardowa, adepta we mnie nie uzyskała. Groźne to niebezpieczeństwo mimo się przesunęło i mnie nie zahaczyło.

Na święta żadne odległość nie pozwalała mi rodziców odwiedzać. Boże Narodzenie i Wielkanoc spędziłem w Odesie. Na wakacje ojciec po mnie konie przysłał.

Ojciec mój w ciągu roku pobytu mego w Odesie znalazł sobie dzierżawę i sprowadził się do takowej. Była nią Krasnopółka, wieś w powiecie hajsyńskim, położona na trakcie, prowadzącym z Hajsyna do Humania, duża, w glebie dobrej, w pozycji handlowej korzystnej, dzieląca się na dwie połowy, należące do właścicieli różnych. Połowa jedna należała do Ułaszyna, który miał sześć córek i wszystkie w Krasnopółce wyposażył, wydzielając dla każdej dusz pięćdziesiąt z odpowiednią gruntu ilością. Wszystkie one zamąż powychodziły i każda z mężem w Krasnopółce zamieszkała. W sposób ten sformowała się kollokacja siostrzana. Druga, o sto dusz większa, wsi połowa była własnością niejakich Sośnickich, dwóch braci, ludzi młodych, z których jeden, młodszy, w wojsku służył, starszy zaś, chorowity, gospodarować nie umiał. Ojciec mój u nich dzierżawę wziął, przystępując do spółki ze starszym pod tym warunkiem, ażeby się on do gospodarstwa nie wtrącał. Układ nastąpił w Kijowie na kontraktach. Ojciec mój w Krasnopółce zamieszkał, zajmując dworek przy trakcie położony. We dworze większym mieszkał Sośnicki.

Z Odesy jechałem do domu dyszlem rzemiennym. Droga wypadała mi nie na Bałtę, jak z Niemirowa, ale na Krzywe-Jezioro, wpobliżu którego mieszkali krewni moi Kurzańscy i Zwolińscy. Od nich na Sawrań podążyłem do Krasnopółki. Najpierwszą osobistością z rodziny, którą spotkałem, był ojciec. Gdym do wrót dojeżdżał, zoczyłem go na drodze, — wracał z toku. Wyskoczyłem z bryczki, rzuciłem się do niego; on mnie do piersi przycisnął; jam mu ręce i kolana pocałunkami okrywał.

— Tatku, jakże tatko posiwiał!... — były pierwsze słowa moje, gdy mi wzruszenie przemówić pozwoliło.

Przez rok jeden troska o przyszłość, która bardzo chwiejną dzięki Potockiemu się stała, włos mu ubieliła.

Nastąpiły wnet powitania z matką, z siostrami, z braćmi. Rok cały nie byłem z nimi. Oglądali mnie, pytali, i jedna rzecz ich we mnie uderzyła: zmizerniałem. Policzki mi i oczy wpadły.

— Czyś nie chory? — zapytała matka.

Nie choroba mnie znękała, ale egzamina.

W kilka dni później ojciec wyprawił mnie do Niemirowa — do Maratowskiego — z listem, w którym go prosił, ażeby dokonał nade mną oględzin lekarskich i udzielił mi skazówek, jakich stan mój wymaga. Maratowski wyegzaminował mnie szczegółowo i przekonawszy się, że organizmu mego nie dotyka choroba żadna, a złe wyglądanie pochodzi nie skądinąd, jeno ze znużenia, przepisał mi ruchu jaknajwięcej, polowanie na kaczki i bekasy, i niezaglądanie do książek przez wakacje całe. Z Niemirowa zniosłem się listownie z Podhorodeńskim. Naznaczyliśmy sobie zjazd w Tulczynie. Zabawiłem w domu dni kilka i pojechałem do Tulczyna, gdzie zebrało się nas więcej studentów z Odesy i Kijowa; był Rubczyński i ktoś jeszcze. Spędziliśmy dni parę hałaśliwie trochę. Z Tulczyna udałem się do Krasnego. Wznowiły się dla mnie momenty zachwytu. Wyraz „kocham“ znów mi się z ust niejako parł, tym razem jednak umyślnie wstrzymywałem się z wymówieniem onego, odkładając to na później. Wchodził tu już rachunek. Obliczałem, że przed skończeniem liceum żadne ze strony mojej postanowienie powziętem być nie może. Odkładałem więc rzecz na później w zamiarze wyrzeczenia wyrazu sakramentalnego wówczas dopiero, kiedy wyraz ów będzie mógł mieć znaczenie ściśle określone. Nie powiadałem tego, — czyż bowiem był sposób powiedzenia? Zabawiłem w Krasnem tydzień; czas mi upłynął rozkosznie; pojechałem do Szpikowa.

Szpików dzierżawił wówczas Juljusz Jeleńkowski. Majątek ten, wielki i piękny, był własnością Leona Szwejkowskiego, który w nim mieszkał z trzecią, młodą, prześliczną żoną, z domu Lachmanówną. Szwejkowski zajmował pałac, Juljusz pomieszkanie, urządzone dla koniuszego na piętrze nad stajniami, pomieszkanie murowane, bardzo porządne, lecz utrzymywane na stopie przytuliska popasowego. Umeblowanie onego składało się ze sprzętów prostych, obozowych prawie. Na ścianach strzelby, rogi myśliwskie, smycze, harapniki, na koziołkach siodła i rynsztunki. Stoły i stołki drewniane; zamiast łóżek siano codzień odświeżane i dywanami okryte; na dywanach skóry losiowe. Czuć tam było bardziej myśliwego aniżeli gospodarza, luboć jako gospodarzowi Juljuszowi nic do zarzu-

cenia nie było. Przyjazd mój uradował go. Zdaje się, że był o nim i o tem, co Maratowski radził, przez ojca mego zawiadomionym, albowiem dwa tygodnie, com u niego spędził, utrzymywał mnie w ruchu ustawicznym. Wstawaliśmy o czwartej rano, piliśmy mleko świeże, i natychmiast siodłano nam konie. Nie zsiadaliśmy z koni do południa. O południu obiad i spoczynek krótki, poczem jechaliśmy z wyżłami bądź na błota, bądź na kaczki. Wracaliśmy i znów na konieśmy wsiadali celem objeżdżania łanów obszernych, na których odbywały się żniwa. I tak dzień w dzień. Z konia przesiadałem się na bryczkę, z bryczki znów na konia, aż wieczorem, znużony, waliłem się na siano i spałem niby zabity. Raz nad wieczorem spotkaliśmy panią Szwejkowską, używającą przejażdżki konnej. Była ona daleką kuzynką naszą przez matkę Paszkowską z domu, spokrewnioną z Brudzewskimi. Juljusz mnie jej przedstawił. Uśmiechnęła się do mnie wdzięcznie, zapraszała, ażebym ją odwiedził, alem nie był u niej, pomimo żem razy parę towarzyszył jej na przechadzce jako dobry znajomy i kuzynek. Było to stworzenie prześliczne, coś piękniejszego w postaci niewieściej wyobrazić sobie niesposób. Wdzięki jej przyprawiły jej małżonka o ruinę majątku i czci. Wówczas jednak przewidywać to się jeszcze nie dawało. Szwejkowski odegrywał rolę męża surowego i na punkcie honoru twardego. Odegrywał rolę tę tak długo, póki żona honoru jego nie puściła w kurs na giełdzie galanterji europejskiej i nie zlikwidowała onego ostatecznie na rachunek markiza francuskiego. Losy dwojga ludzi tych obróciły się ciekawie we względzie spekulacji romantycznej. Szwejkowską widziałem w blasku całym młodości i piękności.

U Juljusza bawiłem ze dwa tygodnie, jeżeli nie dłużej. Od niego powróciłem do rodziców i pozostałem z nimi do końca wakacyj.

Co do Odesy ułożyła się kombinacja nowa, powodem której była trudność, w jakiej się ojciec mój znajdował, utrzymywania dwóch domów i mnie osobno. Polegała ona na tem, ażeby bracia jechali ze mną. Rzecz ta zawiązała się przed wakacjami jeszcze na drodze listowej, ułożyłem się przeto z jednym z kolegów moich, Kłodnickim Edwardem, o wynajęcie apartamentu obszernego i zaprowadzenie gospodarstwa wła-

snego. Gospodarowania podejmował się Kłodnicki, jako człowiek praktyczny i rachunkowy. Przed wakacjami jeszcze upatrzyliśmy i zgodzili apartament stosowny, składający się z pokoi kilku z kuchnią i dodatkami. Była to oficyna w podwórzu domu piętrowego, wychodzącego frontem na ulicę. Zajęliśmy ją całą. Kłodnicki pozostał w Odesie i zaopatrzył mieszkanie w sprzęty potrzebne, tak że gdym z braćmi moimi, Józefem, Janem i Szczęsnym, przyjechał, znalazłem wszystko w pogotowiu i porządku. Zainstalowaliśmy się. Bracia wstąpili do gimnazji, ja kontynuowałem nauki w liceum. Szło nam dobrze. Kłodnicki ze swego zadania gospodarczego wywiązywał się ku zadowoleniu ogólnemu: prowizje kupował, kucharkę obliczał, rachunki prowadził ściśle. Mieliśmy lokatorów: kwaterował u nas Leon Czerniewicz i Jakób Miłkowski, imiennik nasz. Jam wobec braci moich funkcję korepetytora pełnił. Rok upłynął nam bez żadnego wypadku, któryby na zaznaczenie zasługiwał. Spotkała nas jeno przyjemność wielka. Odwiedził nas ojciec, który przy okazji tej po raz pierwszy, od czasu jak gospodarował, pszenicę do Odesy wprost na sprzedaż poprowadził i sprzedał takową korzystnie. Przyjeżdżał z Justysiem, bratem moim najmłodszym, chłopakiem, liczącym nie więcej, jak lat sześć. Byliśmy wszyscy w teatrze na *Normie*[1]. Justyś, gdy po podniesieniu kurtyny druidowie na scenę wpadli, srodze się tego przeląkł, a następnie, kiedyśmy go pytali, co widział, powiadał:

— On i ona stawali naprzeciw siebie; ona do niego: auu! on do niej: auu!...

Tegoto rodzaju wrażenie zrobiła na nim opera. I mnie nie zajmowała już ona tak żywo, jak w początkach. Zobojętniałem dla tajemnic miejskich. Interesowała mnie bardziej nauka, interesowały kwestje, które poruszały Europę i echem dostawały się do nas pod postacią książek, broszur, pism ulotnych, numerów pojedyńczych dzienników. Dzięki im szykowały się mi w umyśle przekonania. Studjowałem dla nich historję i filozofję, przystępując do takowych z podkładem matematyki i poezji. Wykłady profesorskie służyły jako rodzaj pewien wytycznych, nadających kierunek systematyczny czytaniu, któ-

[1] Opera Belliniego (1822).

remu się oddawałem z zamiłowaniem. Literatura polska, historja i losy narodu, którego członkiem byłem, stanowiły zawsze punkt ogniskowy, skupiający w sobie uczucia i myśli moje, nacechowane miłością ojczyzny bezwzględną, lecz niepewne jeszcze we względzie kierunku przekonań politycznych, dzielących opinję publiczną na obozy: postępowy i konserwatywny, demokratyczny i arystokratyczny. Miałem skazówki, zalecające mi pierwszy, skazówki wyniesione z domu, z przykładów rodzicielskich, z nastroju ogólnego, jaki zapanował w sferze szlacheckiej dzięki dwóm faktom, które na umysły wpływ ogromny wywarły: procesowi Konarskiego i *Mieszaninom* Jarosza Bejły[1]. Oburzenie, wywołane przez te ostatnie, przyczyniło się do ukonsolidowania idei demokratycznej, którą pierwszy zaszczepił, a którą podtrzymywał ruch umysłowy, odbywający się w czasie owym pod hasłami demokratycznemi w Wielkopolsce. Ruch ów przedostawał się do nas, wywołując odzew sympatyczny, śród młodzieży zwłaszcza. Świstek najmniejszy, jaki nam w ręce wpadał, czytany i komentowany, służył do budowania systematów, doktryn, na wzór tego, jak zoolog ze znalezionej kości jednej mamuta całość odbudowuje. *Demokraty Polskiego*[2] krążyły w Odesie numery luźne. Jakże one czytane były!

Przypomina mi się tu zdarzenie, charakteryzujące duch, jaki w sferach rządzących panował. Dostałem był pism kilka zabronionych, włożyłem je do kieszeni tylnej w surducie i zaszedłem z niemi do cukierni w Palais Royal. Gdym wychodził, pisma te z kieszeni się wysunęły i pozostały na kanapie, na której siedziałem. Spostrzegłem się na tem, lecz nie reklamowałem z obawy zdradzenia się, żem się znajdował w posiadaniu onych. Minęło dni kilka. Nagle dostaję od pułkownika żandarmerji wezwanie, ażebym o godzinie oznaczonej u niego się stawił. Zdziwiło mnie to. Stawiłem się. Pułkownik, jak skoro mnie przed sobą ujrzał, wydobył z biurka pisma i pokazując mi takowe, zapytał:

— To pańskie?...

---

[1] H. Rzewuskiego, wydane w Wilnie 1841—1843.

[2] Organ Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, wychodził wówczas w Paryżu.

— Moje... — odrzekłem, ujęty spokojnym i przyzwoitym zapytania tonem.

— Proszęż z tem po cukierniach nie chodzić i po kanapach rzeczy takich nie zostawiać...

Pisma mi oddał. Jam się mu skłonił, podziękowałem i odszedłem.

Wedle pism tego rodzaju, dostarczanych nam szczególnie przez Duchińskiego — brata etnografa —, który w handlu księgarskim, czy też w komitecie cenzury stanowisko zajmował, kształtowały się przekonania nasze. Manifestowały się one u jednych żywiej, u drugich mniej żywo, u innych zgoła bez akcentu. Wrażenie silne i wpływ ogromny wywarła praca *O prawdach żywotnych narodu polskiego* [1], która się do rąk moich dostała z nieporozcinanemi jeszcze kartami. Dała ona ciało myślom, utrwaliła punkty zasadnicze i wskazała cel dążeniom. To wszystko, co się nagromadziło na drodze studjów historycznych i filozoficznych, wlało się niejako w koryto o brzegach stałych. Dla abstrakcji znalazł się grunt, dla teoryj ukazało się w perspektywie zastosowanie. Znaczenie poddaństwa i pańszczyzny stanęło mi w oczach nakształt wyrzutu sumienia, a raczej śmiertelnego, historyczno-społecznego grzechu, który zmazać należało. W materji tej deliberacje i dyskusje pomiędzy młodzieżą polską, uczęszczającą do liceum, znajdowały się ustawicznie na porządku dziennym. Żadnemu z nas jednak na myśl nie przychodziło tworzenie związku, zawiązywanie stowarzyszenia, konspiracji lub czegoś podobnego, pomimo że nie brakło na to materjału.

Polaków w liceum znajdowało się sporo; więcej aniżeli lat poprzednich. Kontyngensu młodzieży dostarczyły przeważnie, o ile przypominam sobie, gimnazja: niemirowskie, rówieńskie i żytomierskie. Młodzież ta pochodziła wyłącznie z gubernij południowo-zachodnich, t. j. z podolskiej, wołyńskiej i kijowskiej. Talentów wybitniejszych pomiędzy nią za czasów mojej w Odesie bytności nie było. Grono jednak nasze liczyło osobistości kilka zdolnych, jak np. Jan Zaleski na wydziale matematycznym, Penczyński i Rukier czy Rukiert na kameralnym. Pierwszy i drugi, zdawało się, zaznaczą się na polu naukowem;

---

[1] Henryka Kamieńskiego, wydana w Brukseli 1844 r.

trzeci odznaczał się pamięcią niezrównaną. Zawiedli oni oczekiwania. Wymieniłbym jeszcze jednego, którego zajmowała ogromnie ekonomja polityczna, gdyby nie to, że ten nietylko oczekiwania zawiódł, ale znalazł się w ostatku, niestety, w szeregu wierszokletów najmizerniejszych. Tamci wykierowali się przynajmniej, jakem słyszał, na ludzi zwyczajnych wykształconych; ten — biedaczysko — ugrzązł w prozie rymowanej w przekonaniu, że posłannictwo wieszcze pełni, i — zmarnował się. Wogóle wszakże Polacy w liceum uczyli się bardzo dobrze, — celowali w naukach. Nazwiska kolegów, z którymi znajdowałem się w stosunkach bliższych, przypominają się mi następujące: Jan Zaleski, Józef Zawadzki, Czapski, Wulfart, Petion, Witold Dąbrowski, Jakób Miłkowski, Leon Czerniewicz, Malinowski, Rukier, Teodor Grodzki, Penczyński, Edward Kłodnicki, Zygmunt Małachowski. Sarneccy, Lipkowscy przybyli później; znałem ich z widzenia tylko. Najbardziej przyjaźniłem się z Małachowskim, który pochodził z Wołynia, ojciec jego posiadał pod Krzemieńcem wioskę.

Czas w Odesie spędzony należy do najmilszych młodości mojej wspomnień. Swoboda, jakiej używaliśmy, sprawiała to, że stosunki pomiędzy nami zachowały charakter towarzyski. Nie wiązaliśmy się w kółka ani w stowarzyszenia regularnie ukonstytuowane dlatego, że nie było nam to wzbronionem. Zgromadzaliśmy się często, odwiedzaliśmy się i gdy się nas zebrało kilku, nigdy prawie nie obeszło się bez wytoczenia na stół kwestji jakiejś naukowej lub politycznej. Polacy — trzymaliśmy się razem, związani poczuciem solidarności wobec kolegów narodowości innych: Rosjan, Rusinów, Włochów, Francuzów, Niemców, Bułgarów kilku. Umieliśmy znajdować jedni drugich w mieście i za miastem. Rozkoszne futory nad morzem służyły nam za cel przechadzek, posuwanych aż do uroczyska, zwanego Wielkim Fontałem. W jesieni na dni kilka wybieraliśmy się na Suchy Liman, na polowanie i winograd. Na polowaniu zdarzył mi się raz wypadek. Było to w nocy; poprzedzałem kolegów, z pretensją służenia im za przewodnika, i takem przewodniczył dobrze, żem wpadł w jar i stłukł się boleśnie. Towarzysze moi, zamiast spółczucie mi okazać, — śmiać się i drwić ze mnie poczęli, co mnie do takiej doprowadziło wściekłości, że strzelić do nich chciałem. Dokonaniu chcenia tego na przeszkodzie stanęło jeno to, żem

strzelbę złamał. Ból przeminął, z jaru wylazłem, przenocowaliśmy i dzień następny upłynął nam jaknajlepiej. Za wolność spożywania przez dzień cały winogradu płaciliśmy zazwyczaj rubla od wszystkich.

W najętem przez Kłodnickiego mieszkaniu pozostawałem rok. Na rok następny dla siebie i dla braci wynająłem inne, nad morzem, na piętrze, składające się z trzech pokoików z kuchenką; przywieźliśmy ze sobą z Krasnopółki kuchtę i ten nam jeść gotował. Był to rok ostatni pobytu mego w Odesie. Kończyłem liceum; skończyłem. Za rozprawę konkursową przyznano mi medal złoty, którego nie dostałem, spowodu że, dobra co do treści, grzeszyła we względzie języka, naszpikowanego polonizmami. W Odesie po rosyjsku pisać się oduczyłem; czytywałem i pisałem dużo po polsku, jakoteż po francusku, niemiecku i angielsku. Języka angielskiego lekcje w Odesie brałem, skorzystałem jednak tyle tylko, żem czytał i rozumiał.

Towarzystwo polskie w Odesie składało się przeważnie z komisantów zbożowych, zamieszkałych z rodzinami, i z kilku domów, przebywających czasowo. Z komisantów znałem Łysakowskiego, Hieronima Zbyszewskiego i Gracjana Jotejkę. Bywałem u nich od czasu do czasu. Łysakowski prowadził dom na wysoką skalę, urządzony na stopę wielkopańską i etykietalną, ożeniony był bowiem z Włoszką, z domu Siccard, której rodzina zajmowała w sferze handlowej stanowisko wydatne. Odwiedzałem go rzadko. Najwięcej przyjemności znajdowałem u Jotejkostwa, spowodu tak pani, kobiety bardzo miłej i uprzejmej, jako też pana, człowieka wesołego, dowcipnego i czytającego znakomicie humorystyczne Augusta Wilkońskiego utwory. Wieczory całe spędzałem na słuchaniu, jak on czytał. W ustach jego poezja szczególnym dzwoniła wdziękiem. Odwiedzałem niekiedy rodzinę Monasterskich, szlachty z Ukrainy, związanej, jak mi się zdaje, węzłem pokrewieństwa, może tylko znajomości, z Michałem Grabowskim. Stosunek ten majaczy się mi w pamięci z tego powodu, że u Monasterskich często o Grabowskim mowa była. Zajmowano się tam literaturą polską; że zaś w rodzinie znajdowały się panny, niekiedy przeto improwizowały się wieczorki tańcujące i gry towarzyskie, trwające dopóźna w noc. Zresztą zaglądali często, przyjezdni dla interesów, sprawunków i przepędzenia czasu, krewni moi i obcy. Pewnej jesieni Ku-

rzański i Zwoliński przyjechali z pszenicą na sprzedaż; przyjeżdżała Kurzańska z siostrą, ciotka Józefowa Brudzewska z córką, ciotka Popowska z córką i z synem Bolesławem, który, mimo że rówieśnik mój, skończył Liceum Odeskie w roku poprzedzającym wstąpienie moje. Był to chłopak głowy otwartej i serca złotego; czas z nim w Odesie spędzony należy do milszych życia mego wspomnień. Ciotka ogromne robiła zakupna, dnie całe po magazynach się uwijała i sprowadzała do hotelu pakunki artykułów, należących do toalety damskiej, nie zważając zgoła na to, że z Odesy wywozić wszystko to trzeba było przez komorę celną. Kobieta oprzeć się nie mogła ponęcie sprawunków i grzeczności kupców. Kupowała a kupowała. Wreszcie wybiła godzina wyjazdu — *quart d'heure de Rabelais* [1]. Komora w myśli jej stanęła. Co tu począć? Z kłopotu tego Bolesław matkę wyprowadził, uorganizowawszy kontrabandę przy mojej i młodego Deribasa, syna czy wnuka dawniejszego gubernatora Odesy, pomocy. Poobwijaliśmy się szalami, chustkami i sztukami materji pod odzieżą, ponapychaliśmy sobie perkalików i muszlinków za podszewki surdutów i płaszczów, przedmioty pomniejsze porozbieraliśmy po kieszeniach; panie i panna służąca uczyniły toż samo; ciotka tuzinów kilka wąskich a długich flaszek wody kolońskiej kazała sobie wszyć rzędami kilku w spodnicę; na nas sześciorgu było na tysięcy kilka rubli kontrabandy, za którą, gdybyśmy pojmani zostali, komora kilkanaście, a może kilkadziesiąt tysięcy kary zapłacićby sobie kazała. Aleśmy się nie zdradzili. Rewizja w walizach i tłumokach nic podejrzanego nie znalazła. Dojechaliśmy szczęśliwie do Sewerynówki na noc i tam dopiero spotkał ciotkę wypadek smutny. Spodnicę z wodą kolońską, którą, spowodu że jej zawadzała, zsunęła z siebie w powozie, panna służąca do izby wniosła i pod ścianą położyła; lokaj na nią walizę postawił i flakony wszystkie rozgniótł. Na szczęście Sewerynówka znajdowała się poza pasem granicznym. Pomimo przeto, że woń, która karczmę całą zapełniła, podejrzenie wzbudzić i objeszczyków naprowadzić mogła, skończyło się na zmyciu podłogi wodą kolońską. Ciotkę, która była bardzo porywczą, od wybuchu rozpaczy i gniewu powstrzy-

[1] Powiedzenie żartobliwe — chwila, w której trzeba zapłacić rachunek za to, co się spożyło.

mała obecność Deribasa. Deribas i ja nocowaliśmy w Sewerynówce i nazajutrz pocztą byliśmy spowrotem w Odesie.

Czy w Odesie kto z panów wielkich naszych mieszkał, nie wiem, — nie znałem się z nimi. O znajomościach innych, jakie pozabierałem, mętne mi jeno pozostały wspomnienia. W oczach mi stoją postacie męskie i niewieście, pomiędzy któremi najwyraźniej w pamięci zachowałem postać Józefa Kotoniego, poety i artysty. Jako poeta pozostawił po sobie kilka drobnych utworów, drukowanych w wydawanej przez Grozę *Rusałce*; kilka innych krążyło w rękopisach. Umiałem napamięć jego *Mazura,* zaczynającego się od słów:

Dalej, bracia, dalej w koło!
Jak kto może, niech się mieści.
Precz tu od nas żal niewieści!
Raźniej, bracia, a wesoło!

Raźniej krzeszwa podkówkami,
Aż sybirski zagrzmi kraniec,
Gdy usłyszy nowy taniec.
Hej, nadziejo, zawsze z nami! i t. d.

Umiałem napamięć nietylko wyrazy, ale i nutę, jegoż (Kotoniego) kompozycji. Była to natura nawylot poetyczna. Widziałem go po raz pierwszy na wsi u Łozińskich, którzy mieli posiadłość w humańszczyźnie; dawał pannie lekcje fortepianu, lecz sam nigdy przy ludziach nie grywał. Słyszeć go grającego można było jeno z drugiego pokoju. Od ludzi stronił, — dziwaczył. W Odesie z lekcyj muzyki się utrzymywał i znał się z kilkoma z młodzieży polskiej, uczęszczającej do liceum, najbliżej z Penczyńskim. Znajomość też z nim zabrałem za pośrednictwem Penczyńskiego, który umiał go do grania nastrajać. Czynił to zapomocą gwizdania cichego. Kotoni zrazu na to nie zważał, następnie się wsłuchiwał, dalej do fortepianu się zbliżał, siadał, instrument otwierał i, gdy w klawisze uderzył, potrzeba było, jeżeli się go słuchać chciało, nie odzywać się ani słowa. Za pierwszem przemówieniem grać przestawał. Raz przyszliśmy do niego i on się rozegrał; zaczął sztukę jakąś, do nas się odwrócił i rzekł:

— Posłuchajcie no, jak to nas Francuzi okradają...

Sztuka się nam ogromnie podobała. Osnowę jej stanowił motyw narodowy: ukraiński czy mazowiecki.

— A co!... — odezwał się Kotoni, kończąc sztukę jedną i zaczynając wnet drugą.

Druga takąż samą odznaczała się osobliwością. Skończywszy tę, Kotoni od fortepianu wstał, obok nas usiadł i przemówił:

— Tak to... Posiadamy skarby, z których użytku robić nie umiemy... Trzeba, żeby Francuz je nam sprzed nosa zabrał...

— Jak się nazywa?... — wtrąciłem zapytanie.

— Chopin... — odpowiedział.

Po raz pierwszy wówczas nazwisko Chopina o uszy się mi obiło. Niebawem później dowiedziałem się, że nie należy on do narodowości francuskiej. Dowiedziałem się o tem od Kotoniego. Spotkałem się z nim na ulicy.

— A wiesz!... — zawołał — wiesz, że Chopin to Polak...

— Chopin?... Polak? — odparłem.

— Nie wolnoż Polakowi z francuska się nazywać? Alboż Kotoni... ja, czym Włoch?

W rzeczy samej Włochem nie był. Duszą, sercem i postawą nawet Polaka wydawał.

Nie wiem, co się z nim później stało. Opyt o nim straciłem. W czasie owym utwory jego muzyczne znane były na Rusi w domu każdym, a *Mazur*, z którego pierwszą powyżej przytoczyłem strofę, wielkiej i zasłużonej używał wziętości. „Kotoni Józef — czytam w *Słowniku muzyków polskich* Alberta Sowińskiego — kompozytor, rodem z Podola, ur. r. 1804. Dumki jego odznaczają się rzewnością. Umiał Kotoni przejąć się duchem narodowym w swoich kompozycjach. Jego polonezy i mazury są bardzo cenione, ale niewiadomo, czy były drukowane“ [1]. I tyle. Nie zdarzyło mi się czytać o nim wzmianki obszerniejszej. Jeżeli niewiadomo, czy jego utwory muzyczne były drukowane, to napewno utwory poetyczne drukowanemi nie były. Wiem, że pisał, tworzył: cóż się z rękopisami stało? We wspomnieniach swoich trzeciego już oto zaznaczam poetę dla literatury zagubionego: księdza Komarnickiego, Ludwika Grudzińskiego i Józefa Kotoniego. Zagubili się — dla braku ogniska, któreby ich przygarnąć mogło. Szkoda! Takich „za-

---

[1] A. Sowiński, *Słownik muzyków polskich*. Paryż 1874, str. 201.

gubionych" posiadamy zapewne więcej. Kotoni na odszukanie zasługuje. Pisał on po polsku i po rusińsku, i podejrzewam go o autorstwo znanej pieśni:

Hej, kozacze, w imia Boha,
Wże hołosyt' w cerkwi dzwin i t. d.

Dowodów na to nie posiadam żadnych. Przypominam sobie jeno, że kiedy razu pewnego była przy Kotonim mowa o tem, że Skalkowski[1] odnosi pieśń tę do wieku XVI, on śmiał się śmiechem dwuznacznym. Śmiech ów niczego nie dowodzi, najwięcej tego chyba, że się Skalkowski wedle Kotoniego myli, przypisując pieśni tej pochodzenie takie dawne. Stworzył ją może Kotoni, może ksiądz Komarnicki, może kto inny, to pewne, że nie wiek XVI ani XVII, ale najprawdopodobniej XIX.

W przedostatnim, jeżeli nie w ostatnim pobytu mego w Odesie roku przybyło do Odesy kilku z Uniwersytetu Kijowskiego studentów i w liczbie ich przyjaciel mój z gimnazji Ernest Szlegiel, z psem i lokajem, przezwanym przezeń Quasimodo. Przyjechał na wózku cudzym, bez grosza przy duszy i rozburszowany do *nec plus ultra*. Były to odwiedziny dla przyjemności. Szlegla otwartemi przyjąłem ramionami, nie podobało mi się to jednak, że na drodze burszostwa zaszedł za daleko. W Odesie znalazł się w położeniu dosyć oryginalnem, zmuszony będąc starać się o pożywienie dla psa, lokaja i siebie, a chcąc zarazem zabawić się, pohulać sobie. Pohulanki nie wiodły się: udało mu się upić razy parę zaledwie, a marzył o nocach rajskich w towarzystwie płci niewieściej, której bez pieniędzy dostać nie było można. Próbował mnie na kosztowanie słodyczy tych namówić, alem się namówić nie dał; usiłował dowieść mi, że życia ludzkiego zadanie na używaniu rozkoszy polega, ale mnie przekonać nie potrafił. W braku środków poprzestać musiał biedaczysko na przyjemnościach niewinnych: na błąkaniu się po mieście, na przechadzkach za miastem. Dusza się do czego innego rwała. Szukał awantury jakiejś — jakiejkolwiek, chociażby romansowej, — nie znalazł. Niekiedym mu na przechadzkach towarzyszył. Razu pewnego przechodziliśmy przez ogród skarbowy i w alei spotkaliśmy idącego na-

[1] Skalkowski Apollon, (1808—1897), historyk rosyjski, mieszkał w Odesie jako dyrektor tamtejszego archiwum.

przeciw gubernatora miasta, generała Achliostyszewa, odzianego w oznaki generalskie. Jam mimo przeszedł i mocnom się zdziwił, gdym nagle obok siebie Szlegla z oczów stracił. Obejrzałem się. Zdziwienie moje spotęgowało się, gdym go ujrzał w postawie żołnierskiej, salutującego generała. Studenci w Kijowie byli do tego przyzwyczajeni; myśmy formy tej nie znali. W Odesie panował duch liberalny, któremu hołdował naczelnik kraju, Woroncow, i który przenikał sfery rządzące. Od granicy gubernji chersońskiej poczynał się inny świat, który wyraz swój formalny znajdował w metropoli czarnomorskiej. Wolność tam jaśniała większa aniżeli na Rusi, nie bez ograniczeń i ścieśnień wszelako. I tak np.: z Palais-Royal lub z bulwarów w porach dnia, kiedy się tam publiczność elegancka zgromadzała, żyda w łapserdaku, robotnika z portu lub czumaka policja wypędzała. Ograniczenie to wydawało się rzeczą o ile godziwą, o tyle naturalną.

Odesa co do rozrywek nie ustępowała żadnemu z miast zagranicznych. W Palais-Royal i na bulwarach grywała muzyka wojskowa, artyści przyjeżdżali z koncertami, teatr popisywał się z operami nowemi; zimową porą kluby i korporacje różne dawały bale składkowe. W rozrywkach tych wszystkich udział brałem, alem się do nich nie garnął z zamiłowaniem. Ciągnęła mnie bardziej ciekawość niż co innego. Serca w nie nie wkładałem; sercowe zaś sprawy pozostawały w zawieszeniu, pomimo że, gdybym kochliwy był, mógłbym dogodzić sobie, tem bardziej że ze strony panny Karoliny nastąpiło zerwanie, które spowodował pełen pretensyj i wymówek ostrych list przez brata jej Henryka do mnie wystosowany. Nie wypowiadał on wyraźnie, co mi wymawiał, alem się domyślił, że albo mnie na szwagra nie życzy sobie, albo żąda ode mnie rzeczy niemożliwej, zobowiązania się na przyszłość, która dla mnie nie istniała jeszcze. Ostro mu też odpisałem. Stosunek się zerwał. Nie mówiłem o tem nikomu, zawsze bowiem stosunek ów miał dla mnie znaczenie pewnego rodzaju świętości, której profanować nie chciałem. Być może, że ta niewyznana miłość była dla mnie puklerzem, broniącym od strzałów Kupidyna. Pamiętałem o niej i szanowałem ją; w młodzieńczych marzeniach moich odegrywała ona rolę nagrody rycerskiej, mającej mi się dostać kiedyś. Nie przychodziła mi na myśl sta-

rość, mająca „kiedyś“ owe za kres. Są ludzie, co w dwudziestu latach życia swego o starości myślą; jam do liczby ich nie należał.

Spokojnie, swobodnie i bez szwanku, a z zapasem sporym wiadomości i widoków skończyłem liceum. Kończyło nas razem Polaków około dwudziestu. Sprawiliśmy sobie wieczorek pożegnalny, na który zaprosiliśmy osób kilka z miasta. Gospodarzył Grodzki, który na ten cel wynalazł lokal z ogródkiem. Zeszliśmy się i spędziliśmy godzin parę pod drzewami. Było nam smutno. Kilka butelek wina, które służyło do spełniania toastów, nie rozweseliły nam serc. Wiedzieliśmy, cośmy za sobą zostawiali; przyszłość każdemu z nas przedstawiała się pod postacią zagadki. Mówiliśmy o niej. Czuliśmy w sobie siły; żaden z nas jednak odgadnąć nie umiał, jak się one zużytkować dadzą: czy się nie zmarnują? Nie było dla nich celu jasnego. Służba społeczeństwu, do której czuliśmy się powołani, przedstawiała się pełną przeszkód i jam wilczych. Mnie, synowi i wnukowi żołnierzy, uśmiechały się szeregi wojskowe, nie takie jednak, jakie się nadarzały. Takich, do których się dusza moja rwała, nie było. Zapadły się w trzęsieniach dziejowych, wystawiając na próby ciężkie i z sumieniem własnem walki moralne tych, co służyć potrzebowali dla chleba, a służyć pragnęli dla dobra ogółu. Przedstawiało się to nam jako do pogodzenia trudna sprzeczność. Mówiliśmy o tem, było nam niewesoło i rozstaliśmy się w niewesołem ducha usposobieniu.

Co się mnie tyczy, przyszłość moja tonęła dla mnie w cieniach zagadkowych. Podszyłem się matematyką w tym głównie celu, ażeby nauka ta podtrzymywała mnie na drodze karjery wojskowej, zamierzałem bowiem wstąpić do inżynierji albo do artylerji, tłumacząc sobie, że będzie to szkoła. Szkoła ta atoli wymagała zobowiązań, do brania których pociągu w sobie nie czułem najmniejszego, ani nawet pod naciskiem przymusu, dopuszczającego i usprawiedliwiającego, wedle zdania gdzieniektórych, restrykcje mentalne. Nie wydawało mi się to rzeczą godziwą. Pomimo więc że mnie wojskowość mocno nęciła, wahałem się, doznawałem skrupułów, nie mogłem się zdecydować i przechylałem się na stronę drogi naukowej, na której nie jaśniały szlify generalskie, na której jednak i sobie skromny chleba kawałek zapewnić i społeczeństwu służyć było można.

Nie decydowałem się jednak ani na to, ani na owo. Decyzję w odwłokę puściłem, perswadując sobie, że przed przedsięwzięciem postanowienia zastanowić się jeszcze i ludzi poradzić potrzeba. Liczyłem przytem na wypadki.

Był to rok 1846. W roku tym uczuwać się już dawały pociągi wiatrów, które we dwa lata później burzę sprowadziły. Pociągi owe i o nas się ocierały, wyrażając się takiemi do głębi duszy i serc polskich przenikającemi faktami, jak rzeź galicyjska i proces berliński. Przewidywać się dawały wypadki, i wobec przewidywania tego nie chciało mi się wiązać niczem takiem, coby pociągać za sobą musiało w następstwie targanie węzłów takich lub innych.

W usposobieniu takiem wyjechałem z Odesy w towarzystwie Małachowskiego i paru innych kolegów, których przypomnieć sobie nie mogę. Wynajęliśmy brykę żydowską. Oni puszczali się w podróż daleką, na Wołyń, ja zaś miałem przed sobą drogę o wiele krótszą, która skracała się jeszcze przez to, że w gubernji chersońskiej, przy trakcie z Odesy do Krzywego Jeziora, o milę od miasteczka tego zamieszkał stryj mój, Maciej. Od stryja do domu rodziców moich nie potrzebowałem już koni najmować, a przejeżdżać od krewnego do krewnego, przesiadając się z bryczki na bryczkę. Stryj dzierżawił folwark. Po śmierci żony i po stracie dzieci kilkorga podupadł ogromnie, zarówno na majątku jak na duchu. Nie oduczył się jednak przyjmować gości uprzejmie. Gościnność była to słabość jego, rzec można, organiczna. Przejazd przez stepy chersońskie odbyliśmy wesoło, polując na dropie i kulony; stryj ugościł kolegów moich, z którymi pod dachem jego rozstałem się ostatecznie. Oni dalej pojechali, jam został dni parę. Stryjowi z licznej rodziny pozostało jeszcze dwie córki i trzech synów. Córki były starsze — panny na wydaniu już, dziewczęta miłe, dobre i bardzo ładne; jedna, Konstancja, zaręczona Kowalskiemu, za którego później wyszła; do drugiej, Aurelji, zalecał się mój nauczyciel niegdyś, Augustyn Janowski, który w Charkowie medycynę studjował, przerywając sobie naukę nauczycielstwem domowem. W nauczycielstwie na naukę środki czerpał. W roku 1846 zajmował posadę w bliskiem sąsiedztwie stryja i w czasie mego u niego pobytu przyjeżdżał. Wielką mi to sprawiało przyjemność. Rad byłem uprojektowanemu związ-

kowi, który jednak dla nieznanych mi powodów do skutku nie przyszedł. Konstancja za Kowalskiego wyszła; Aurelja, łącząca w sobie wszystkie zdolne w pożyciu domowem zapewnić szczęście zalety, nie wyszła za nikogo.

Nie przypominam sobie, jakim porządkiem od stryja dostałem się do Krasnopółki, gdzie bracia wyprzedzili mnie na miesiąc. Wyjechali oni z Odesy rychlej dlatego, że się w gimnazji wakacje rychlej zaczynały. Józef był w klasie szóstej, Jan i Szczęsny w czwartej; dla Justynjana wybiła godzina wstępowania do szkół; siostra najmłodsza podrastała. Ojcu memu dotkliwie czuć się dawała krzywda, jaką mu Potocki wyrządził, pozostawało bowiem pięcioro dzieci — chłopców czterech i dziewczyna jedna — do edukowania, a tu się końce rwały. Dzierżawa krasnopólska starczyć nie mogła. Licząc na głowę przecięciowo po rubli dwieście, potrzeba było z dochodów wydzielać rubli tysiąc corocznie na utrzymanie dzieci w szkołach. Wątpię, azali dochód całkowity tyle wynosił. Zachodziła przeto potrzeba zaoszczędzenia się bodaj na czas jakiś, ażeby następnie było skąd pociągnąć. Zachodziła przytem potrzeba inna jeszcze, a mianowicie: wybrania spomiędzy braci moich tych, którym nauka korzyść przynieść może, i zwrócenia na nich całej forsy edukacyjnej. Przedstawiało się to jako konieczność bardzo smutna, nieunikniona jednak. Wszystkich edukować nie było za co. Los wyrok taki wydał w instancji ostatniej, apelacji niedopuszczającej. Wyrok ów determinowały skazówki, które omyłki zgóry usuwały, skazówki bowiem polegały na doświadczeniu. Od nauki nie godziło się odrywać Józefa, który był na ukończeniu gimnazji, i Szczęsnego, który zdradzał zdolności niepospolite. Jan się uczyć nie chciał. O Justynjanie nic jeszcze decydować nie można było. W czasach dzisiejszych kwestja wychowania braci moich rozstrzygnęłaby się w ten sposób, iż ci, co nauce podołać nie mogli, poszliby do rzemiosła. W czasach owych dla szlachcica rzemiosło nie istniało; istniała zaś służba, bądź prywatna, przy gospodarstwie, bądź też publiczna, cywilna lub wojskowa. Buta szlachecka ratowała się we względzie tym zapomocą wybiegu. Służba uzależniała od przełożonych, ale zarazem zapewniała przełożeństwo jakieś. Ten, co rozkazów słuchał, miał jednak takich, którym rozkazywał. Zawierała się w tem kom-

pensata, dzięki której o igle, szydle, heblu, młotku etc. szlachcic żaden ani pomyślał dla dziecka swego. Ani pomyślał też i ojciec mój, inaczej bowiem byłby bodaj próbował Jana na rzemieślnika kierować. Na naradzie familijnej, jakąśmy odbyli, o tem mowy zgoła nie było. W naradzie udział wzięli rodzice moi i ja. Jam oświadczył, że zamierzam iść drogą naukową, kierując się ku katedrze uniwersyteckiej. Dla dojścia drogą tą do celu potrzeba mi było zdobywać stopnie naukowe: kandydata, magistra, doktora. Prawo nie pozwalało mi stawać do egzaminu na kandydata rychlej, jak w rok po skończeniu liceum. Miałem przeto przed sobą rok czasu i czas ten ofiarowałem rodzicom moim nato, ażeby im kosztów edukacyjnych oszczędzić. Podjąłem się Józefa przysposobić w domu do liceum, Szczęsnego do klasy szóstej, Jana uczyć w tym celu, ażeby mu sumę wiadomości powiększyć do rozmiarów możliwych, i Justynjana do szkół przygotowywać. Ofiarę moją rodzice przyjęli. Zostałem przeto przy braciach moich nauczycielem domowym — założyłem w Krasnopółce warsztat szkolny.

Warsztat ów wyglądał po obozowemu trochę: zainstalowałem takowy... w stodole. Robiło się, co było można, co robili filozofowie greccy w Atenach, nauczając na placach publicznych, na przechadzkach, pod portykami. Stodoła bez uszczerbku w gospodarstwie nadawała się na ten użytek, była to bowiem nie stodoła o rozmiarach wielkich — taka się znajdowała na toku —, ale stodółka, przeznaczona na zsypy zboża i składy produktów i narzędzi. Ojciec ją oczyścić kazał. Urządziliśmy się w niej tak, że służyła nam jako sypialnia i uczelnia. Łóżka nasze stały pod ścianami wgłębi, na środku zaś — stoły, stołki, tablica, na której do geografji zawieszały się mapy, na półkach mieściły się książki; nie brakło niczego, co się do nauczania nadawać mogło. Papieru, ołówków, piór, atramentu, kredy białej, kredy czarnej do rysunku dostarczał ojciec w obfitości. Instalacja ta, rzecz prosta, służyć nie mogła w porze roku zimowej. Niedogodność ta jednak była do usunięcia. Dziedzic (Sośnicki) zajmował dwór obszerny o ośmiu pokojach, z którego miał się wyprowadzić w jesieni celem osiedlenia się na południu, w klimacie łagodnym, któryby był łaskawszym na trapiącą go chorobę piersiową. Jakoż w rzeczy samej wyprowadził się — na tamten świat. Umarł, nie licząc lat trzydziestu

wieku. Do grobu wtrąciło go życie nieporządne, kieliszek i podwika, przy kompleksji wątłej. W Krasnopółce rzadko która dziewczyna wiejska osłaniała się po ślubie pasem czerwonym, zato mało która, zamąż wychodząc, nie była przez dziedzica wyposażoną hojnie. Po śmierci jego przeprowadziliśmy się do dworu, w którym szkoła nasza znalazła na zimę pomieszczenie dogodne.

Funkcję moją nauczycielską pełniłem — zdaje mi się — sumiennie. Trzymałem się ściśle programu szkolnego, wykładałem, tłumaczyłem, lekcje zadawałem, ćwiczenia wyznaczałem i takowe poprawiałem, z językami francuskim i niemieckim uczniów moich oswajałem, dołączając do wykładów język, historję i literaturę polską. Pomagali mi Józef i Szczęsny w tym względzie, że jeden i drugi przerabiali lekcje z młodszymi. Nauka szła raźnie, tak początkowo w stodole, jakoteż później we dworze.

Była chwila, w której zdawało mi się, że szkoła ta improwizowana zainstaluje się we wiosce sąsiedniej, w Kiwaczówce. Właściciel Kiwaczówki, Karol Zbyszewski, po powrocie moim z Odesy zgłosił się do ojca mego z propozycją powierzenia mi edukacji dwóch synów swoich. Propozycję tę przyjąłem pod warunkiem, ażeby wraz ze Zbyszewskimi młodymi uczyli się bracia moi. Zbyszewski wziął to pod rozwagę, namyślał się i ostatecznie podany przeze mnie warunek odrzucił, podwyższając mi natomiast pensję i zobowiązując się na stajni swojej trzymać konie moje. Układy te rozeszły się. Żałowałem, że do skutku nie przyszły ze względu na ulgę, jakiejby doznali byli rodzice moi, a również ze względu na to, że szkoła w Kiwaczówce przedstawiała się mi fundamentalniej aniżeli w Krasnopółce. Karol Zbyszewski był to człowiek zamożny, rozgarnięty, głowy otwartej i smaku wykształconego. Świadectwo smaku składał w zamiłowaniu malarstwa. U niego oglądałem kopję sławnej w czasie owym *Magdaleny* Tysiewicza, o której następnie słuch zaginął, pokazało się bowiem, że było to nie dzieło sztuki, ale światłocieniowa sztuczka. Zbyszewski urządził sobie ogród wspaniały na wzór i podobieństwo Zofjówki i zaopatrzył dom w meble, sztychy i malowidła, nacechowane piętnem znawstwa ze strony człowieka, co je kupował. W domu tym mieszkał w osamotnieniu, z żoną nie żył, rad jednak bywał

gościom, gdy się takowi trafili. Słabą jego stronę stanowiło jadło, był bowiem smakoszem i obżartuchem, doprowadził też objętość swoją do rozmiarów, do jakich nie doprowadza siebie śmiertelnik, używający darów bożych z umiarkowaniem. Jest on stryjem Władysława Zbyszewskiego, marynarza, który w roku 1884 stawał przed sądem w Lyonie w sprawie bankowej, i stryjem, a może ojcem księdza zmartwychwstańca, autora, który po roku 1863 książek parę treści polityczno-kościelnej opublikował.

Nie znam powodu, dla którego właściciel Kiwaczówki warunek mój odrzucił. Nie przypuszczam, ażeby takowy polegać miał na przybytku czterech gąb do miski. Domyślam się powodu innego, który tkwił we mnie. Zdradziłem się. Przyjechałem z Odesy z przekonaniami o stosunkach pomiędzy szlachtą a włościaństwem, niezgadzającemi się z praktyką, i wydawało mi się, że stosunki te naprawićby się mogły, gdyby szlachta zrozumiała całą ich ekonomiczną, społeczną i polityczną szkodliwość. Mówiłem z ojcem o potrzebie uwolnienia i uwłaszczenia chłopów, ojciec potrzebę tę uznawał i racje, jakie podawałem, znajdował słusznemi. Ale — cóż on mógł! Do inicjatywy w sprawie tej znaleźć należało człowieka, którego przykład miałby znaczenie, pociągające za sobą naśladownictwa.

— Nie ma tatko kogo takiego w sąsiedztwie? — zapytałem.

— Nie... — odpowiedział — ale możnaby o tem z tym i z owym pomówić...

— Z kim, naprzykład?

— Ze Zbyszewskim...

Ze Zbyszewskim traktowałem właśnie o szkołę.

Wskazówka ojcowska do myślenia mi dała, myślenie zaś doprowadziło do postanowienia napisania na użytek szlachty memorjału, któryby kwestję uregulowania stosunków włościańskich przedstawił wyczerpująco. Napisałem memorjał ów. Odczytałem go ojcu, podobał się mu w zupełności. W czasie tym przyjechał z Kiwaczówki posłaniec z listem, zapraszającym nas na obiad, a zarazem oznajmującym o obecności w Kiwaczówce gości, osób kilka. Pojechaliśmy. Jam memorjał wziął ze sobą i na drodze ojciec mój wziął na siebie wyzwa-

nie mnie do odczytania onego, jak skoro się okazja po temu nastręczy. Okazja nastręczyła się sama przez się. Po obiedzie, przy fajkach, na balkonie, z którego przepyszny na ogród rozwijał się widok, zawiązała się rozmowa polityczna, osnuta około wypadków galicyjskich, w których kwestja poddaństwa odegrywała rolę przeważną. Analizowano ją w odniesieniu do stosunków miejscowych. Śród gości Zbyszewskiego znajdował się Fudakowski, szwagier jego (nie wiem, czy za Fudakowskim była Zbyszewska, czy za Zbyszewskim Fudakowska), który u Branickich zajmował posadę jakąś, plenipotenta zdaje się. Fudakowski w rozmowie prym trzymał i najracjonalniej na rzeczy się zapatrywał. Ojciec mój, podchwyciwszy moment stosowny, oznajmił obecnym, żem ja w sprawie tej pisał.

— A?... — odezwał się Fudakowski. Czy ma pan to przy sobie?...

— Mam... — odparłem. — Umyślnie wziąłem...

— Proszęż nam odczytać...

— I owszem...

Wydobyłem rękopis z zanadrza i odczytałem memorjał, który rzecz przedstawiał krótko a dosadnie i doprowadzał do konkluzji, stawiającej zniesienie poddaństwa i pańszczyzny jako akt sprawiedliwości dziejowo-społecznej i krok w sensie politycznym odporno-zaczepny. Memorjał napisanym i czytanym być musiał dobrze, słuchany był bowiem z uwagą wielką. Fudakowski we mnie się wpatrzył, głową wstrząsał i zrobił mi uwag parę, nieobalających poglądów zasadniczych. Wywiązała się stąd dyskusja, tycząca się zastosowania do praktyki zasad, stanowiących wiązanie memorjału. Ojciec mój utrzymywał, że na przeszkodzie stoi jeno zrozumienie rzeczy i dobra wola. Dyskusję zamknął Zbyszewski słowami następującemi:

— Ej, poruczniku kochany, gdyby ludzie byli aniołami, a przynajmniej takimi, jak ty, urządzilibyśmy sobie raik na ziemi...

— Podobny — podchwycił ojciec mój — do dworku w Kiwaczówce...

— Z obiadkami pana Karola... — ktoś dodał.

Na tem się skończyło. Owóż — nie twierdzę napewno, ale zdaje mi się, że memorjał ów zburzył szkołę w Kiwaczówce. Nie przyszła ona do skutku, nie dla czterech gąb, których

żywienia nie liczyło się na wsi, ani dla koleżeństwa, jakieby się pomiędzy młodymi Zbyszewskimi a braćmi moimi zawiązało, ale dzięki memorjałowi, z którym się nie w porę wyrwałem. Ojciec mój i ja zrobiliśmy we względzie tym to, co Francuzi nazywają *un pas de clerc* [1]. Popsuliśmy sobie sprawę sami.

Szkoła pozostała w Krasnopółce. Prowadziłem ją przez rok cały, jak w założeniu było. Uczniowie moi czynili postępy, Józef i Szczęsny zwłaszcza. Jan mi kłopoty sprawiał. Pojęcia mu nie brakło, ale w naturze jego tkwiło coś buntowniczego, nieznoszącego więzów żadnych, towarzyskich ani naukowych. Wymykał się niekiedy i na dni parę przepadał, co matkę do rozpaczy doprowadzało. Nie pomagały na niego środki łagodne ani surowe: uspokajał się na czas jakiś, uczył się, i nagle dopuszczał się wybryku jakiegoś nieprzewidzianego. Jedynym na niego środkiem wydawały się szeregi wojskowe — karby dyscypliny surowej; do wojska też wstąpił i pod Oltenicą [2] zginął. Nastąpiło to w dziesięć lat później od chwili, o której piszę. Wówczas nie liczył lat więcej, jak szesnaście. Temperament taki znalazłby dla siebie ujście właściwe na Zaporożu, gdyby takowe istniało.

Rzecz prosta, że ani braciom moim, ani mnie nauka nie zajmowała czasu całego. Oddanie się jej wyłączne nie byłoby z korzyścią dla niej. Żyliśmy przeto tem życiem, jakie nas otaczało, biorąc udział w tych stosunkach, w jakich pozostawali rodzice w odniesieniu do gospodarstwa, do włościan i do sfery szlacheckiej. Rozrywkę, której się z zamiłowaniem oddawałem, stanowiło dla mnie polowanie z chartami. Ojciec mój trzymał charty doskonałe i odhodowywał trzy wilczarze, które w jesieni w pierwszem wystąpić miały polu. Miałem z niemi zdarzenie, które mi się w pamięć wraziło. Wkrótce po przyjeździe moim z Odesy wybrałem się konno w las; charty ze mną pobiegły; na skraju lasu spotkałem się niespodzianie z wilkiem. Poszczułem, psy go doszły, przytrzymały i zagryzły. Nie posiadałem się z radości i nie wątpiłem na chwilę, że wypadek ten ojca mego uraduje. Umyśliłem niespodziankę mu sprawić. Z trudem niemałym przetransporto-

---

[1] Krok niezręczny. [2] W czasie wojny krymskiej w r. 1855.

wałem uszczutego wilka z lasu do wsi, sposobem przekradanym wniosłem go do domu i, położywszy w ganku wpoprzek przed progiem, prosiłem ojca, ażeby wyszedł. Ojciec wyszedł, na progu stanął i, kiedy ja z miną triumfującą śledziłem na obliczu jego objawu zdziwienia, ujrzałem, ku zdziwieniu memu, wyraz gniewu.

— Ach! durniu ty jakiś!... — zawołał, ku mnie się zwracając. Nie domyśliłeś się tego, żeś mógł charty na zawsze zbawić?...

— Ależ... one... wilka... wzięły... — wyjąkałem.

— A gdyby były nie wzięły, toby nie brały już nigdy...

— Ale wzięły...

— Błazen jesteś!... — rzucił ojciec, odwrócił się, odszedł i przy stoliku swoim, łokciami się podparłszy, nad książką jakąś usiadł.

Zrozumiałem, żem postąpił nierozważnie, ryzykując psy młode, które, gdyby im się nie powiodło, gdyby je był wilk pokaleczył, byłyby się zraziły i do niczego stały. Dostałem kpa, pomimo żem nauki uniwersyteckie skończył. A oberwałem go nie w tym jedynym razie. Sprowadzały mi takowy okazje różne, pomiędzy innemi poezja. Wyjeżdżając do liceum, powierzyłem był siostrze mojej, Bronisławie, księgę grubą, zapisaną produkcjami natchnień moich. Siostra dała ją do schowania ojciu, ten wieczora pewnego, gdy o poezji mowa była, z szafy ją wydobył i mnie podał. Otworzyłem.

— Poznajesz?... — zapytał ojciec.

— Poznaję... — odrzekłem głosem niepewnym.

— Odczytaj to sobie, przekonasz się, jakimeś był kpem...

Przekonałem się bez odczytywania, a następstwem przekonania było to, żem poezje moje z dymem puścił. Księgę w ogień rzuciłem. Od lat trzech zgórą nie zrymowałem dwóch wierszy; przerwa ta posłużyła do tego, żem na utwory własne wyrok surowy wydał i sam wyrok ten wykonał. Odtąd jużem się w poezję nie wdawał, — miłowałem ją, zachwycałem się utworami poetów naszych i obcych, alem spółzawodniczyć z nimi nie próbował, luboć do próbowania nie brakło podniety, która pochodziła stąd, że poezja była w rodzinie naszej w poszanowaniu wielkiem. Epoka mickiewiczowska znajdowała się w rozkwicie i dosyłała nam produkcje swoje celniejsze. Nie

znaliśmy Słowackiego, aleśmy już znali Krasińskiego i Pola. *Przedświt* i *Pieśń o ziemi naszej* czytane i odczytywane były; *Pieśni Janusza* napamięć powtarzano; *Gawęda Dorosza* regularnie łzy z oczów ojcu memu wyciskała w tem miejscu, w którem wachmistrz żali się:

Lecz mi, panie, konia szkoda, bo to mi się koń marnuje.

Czytanie poezji odbywało się zazwyczaj porą wieczorną, kiedyśmy byli sami domowi. Prozą zasilał nas hojnie Kraszewski. Książki krążyły w okolicy, przenosząc się z rąk do rąk, z dworku do dworku.

Na sąsiedztwie nam nie brakło. Ze Zbyszewskim zachowywaliśmy stosunki przyjazne, pomimo że układ o nauczycielstwo do skutku nie przyszedł. W Topolówce mieszkała staruszka Niewiadomska z dwoma synami, z których jeden gospodarzył zawzięcie, drugi bzika hodował, i z trzema córkami pannami, z których najstarsza przejrzała, najmłodsza przejrzewała, a wszystkie na małżonków czekały i doczekać się nie mogły; w domu ich panowała uprzejmość i gościnność wielka. Syczówkę pod Iwangrodem dzierżawił Ziółkowski, za Iwangrodem zaś rozpoczynała się humańszczyzna, napełniona znajomymi, koligatami i krewniakami. Przytem położenie Krasnopółki nad traktem sprowadzało nam często gości ze stron dalszych. Między innymi przypominam sobie Spirydjona Ostaszewskiego, autora *Piw kopy kazok*, a przypominam go sobie głównie spowodu rozmowy o historji, jaką ze mną zawiązał i w której banialuk tyle nagadał, że mnie zdumił swadą, z jaką je wypowiadał, nie zważając zgoła na uwagi i sprostowywania moje. W oczach mi stoi postać jego pleczysta, wąsata, marsowa.

— He, co wy wiecie!... — przerywał mi, ilem razy gębę otworzył i prawił, zestawiając zdarzenia, łącząc daty i wyprowadzają, następstwa z przyczyn, logicznie się wyprowadzać nie dające.

Kiedym ojcu memu powiedział, że Ostaszewski głupstwa plótł, odparł mi:

— Zachciałeś!... Zato się na koniach zna lepiej, aniżeli ty...

Odwiedzała nas niekiedy panna Kaja Chaborska, osobliwość w rodzaju swoim, kobieta męskim obdarzona tempera-

mentem; dzierżawami chodziła, sama gospodarowała i zajmowała się wychowaniem ubogich chłopców szlacheckich, których kilku na ludzi wykierowała. Wyglądała zamaszyście, do każdego mówiła „ty“, w domu jej bawiono się wesoło.

— Oho! kawalerze, nie spisałeś się!... — zawołała razu pewnego do mnie, kiedym, powożąc czterma końmi, zatrzymał bryczkę nie przed gankiem samym, ale o kroków parę dalej.

Wykładała mi następnie, gestykulując, że młody człowiek powozić i na koniu jeździć powinien „*arte* — niby z nut“, inaczej licha wart.

Żył jeszcze podówczas ojciec jej i był nowożeńcem. Staruszek w młodych latach swoich kochał się w pannie Jeleńkowskiej. Panna wyszła za Dunina, on się ożenił. Dwie te pary długo żyły i dzieci dużo miały. Wreszcie Duninowej umarł mąż, a Chaborskiemu żona. Wdowiec i wdowa przypomnieli sobie dawne czasy i pobrali się.

Z wydatniejszych w okolicy tej postaci przypomina się mi marszałek Jasiński, o którym przysłowie powiadało: „Seło Werchniaczka, młyn drapaczka, pan brechaczka“. Był to człowiek w wieku już, mieszkał w Werchniaczce i w tym jeno względzie przysłowie rację miało; co się bowiem tyczy młyna „drapaczki“, ten chyba charakteryzować nie mógł dużego i porządnie zagospodarowanego majątku, co zaś do pana „brechaczki“, na przydomek ten nie zasługiwał człowiek, używający poważania powszechnego i zaufania obywatelstwa. Wybierano go zazwyczaj na superarbitra w sądach polubownych, na opiekuna małoletnich. W humańszczyźnie marszałek Jasiński świecił niby brylant pierwszej wody, tem bardziej że związki jakieś familijne łączyły go z osobistościami, wysokie w Petersburgu zajmującemi stanowiska. Raz wypadkiem wpadłem do niego z Józefem na bal, dawany na cześć owych petersburskich krewnych. Tańczyliśmy do dnia białego. Panny petersburszczanki, które się, jeżeli mnie pamięć nie zawodzi, Zełtuchin nazywały, popisywały się z nieznaną w czasie owym u nas polką *tremblante*. Tańcząc trzęsły się, jak dziewki nasze wiejskie w drybuszkach. Nie wydawało się to nam pięknem. Jasiński umarł około r. 1850. Słyszałem, że synowie jego zmarnowali majątek, który był jednym z najpiękniejszych na Ukrainie.

Niesposób mi wspominać o sąsiadach wszystkich i o wszystkich, których widywałem pod strzechą rodzicielską, o Zapolskich, Podhorskich, Czarkowskich, Popowskich, Markowskich, Ulanieckich, Opackich, etc. etc., o oficerach od huzarów i ułanów, których dostarczały pułki, konsystujące na tak zwanych „posieleniach“ (kolonjach) wojskowych, otaczających Krasnopółkę dokoła: w hajsyńszczyźnie, w granowszczyźnie, w humańszczyźnie. W pułkach tych służyło Polaków dużo. Szlachta w jesieni zgromadzała się tu i ówdzie na polowania, które bardzo lubiłem tak dla polowań samych, jako też opowiadań, najczęściej zmyślanych, i anegdot a dowcipów, z jakiemi się popisywali niektórzy. Celowali w tem Stefan Zapolski i Fortunat Peretiatkiewicz, jeden zrujnowany, drugi rujnujący się na konie, psy i karty, mianowicie zaś na bezrząd, w jakim majątek swój utrzymywał, ale obydwa zuchy. Peretiatkiewicz był bliskim krewnym moim. Na polowaniu w Syczówce o małom go nie postrzelił, strzeliwszy do wilka, który się pomiędzy nim a mną przemknął i którego następnie ojciec mój poszczuł. Wilk uciekł. Spowodu tego opowiadał o nim Peretiatkiewicz, że przez Miłkowskich przyciśnięty uratował się, krzyknąwszy: „Jezus, Marja!“

Sąsiedztwa najbliższe mieliśmy w Krasnopółce samej, której połowa była kollokacją, zamieszkałą przez sześć Ułaszynówien, powydawanych zamąż. Jeden z ich mężów na wzmiankę zasługuje jako okaz w rodzaju swoim osobliwy. Nazywał się Pracki; owdowiał i od świata się odosobnił. U nikogo nie bywał, nikogo do siebie nie dopuszczał. Powiadano o nim, że pieniądze zbiera i dusi, a wiedziano, że chorował, — dlatego krewni się nim interesowali. Człowiek jest śmiertelnym. Jakoś wieść się rozeszła, że umiera. Pospieszyli do niego szwagrowie, jeden księdza sprowadził. Umierający księdza wypędził, krewnym powiedział, że w godzinie ostatniej patrzeć chce na człowieka uczciwego; zażądał ojca mego i w obecności jego umarł niespowiadany. Wynikł stąd ambaras z pogrzebem. Ksiądz wypędzony chować nie chciał. Było z tej racji gadaniny i zgorszenia dużo, jakkolwiek bowiem śród sąsiadów naszych spostrzegać się nie dawała szczególna w rzeczach wiary gorliwość, nie wydało się im to jednak rzeczą roztropną: przenosić się

na tamten świat bez zabezpieczenia sobie na wszelki wypadek przyjęcia dobrego.

— Coby to Prackiemu było zaszkodziło, gdyby się wyspowiadał?... — tłumaczył mi jeden.

Zapewne.

Z sąsiadami tymi pozostawaliśmy w stosunkach bardzo dobrych. Niektórzy z nich odznaczali się gościnnością. W każdej dnia i nocy porze można było u nich kogoś obcego zastać, a gdy się zebrało osób kilka, wnet na stół występował preferans.

Preferans był wielkim resursem towarzyskim, do którego się nie uciekano u nas tylko. Grano w karty powszechnie i bez wytchnienia; grali bogaci i ubodzy, panowie i oficjaliści, grano i grano. Trafiały się wszakże wyjątki. Trzej bracia Hulaniccy, Cezar, Gracjan i Narcyz, ślubowali sobie kart nie tykać i ślubu dotrzymywali. O Narcyzie powiadano, że waleta od króla odróżnić nie umie. Stanowili oni osobliwość, którą też jako taką zaznaczam, jak zaznaczyłem bezbożność Prackiego. Wyjątek reguły nie obala. Ogół i spowiadał się i w karty grał.

Grywałem i ja. Uprawiałem preferans kiedy niekiedy, gdym się znalazł w towarzystwie, w którem co inszego do czynienia nie było. Nie czułem jednak do kart pociągu i nie puszczałem się na gry hazardowne, z wyjątkiem razu jednego, który mi na życie całe pamiętnym pozostał. Działo się to zimową porą. Ojciec oznajmił mi, że posłać mnie chce do Niemirowa w interesie pieniężnym.

— Doktór Maratowski da ci tysiąc peców[1] i ty mi je przywieziesz.

Z interesem tym łączył się inny jeszcze jakiś, którego dziś nie pamiętam. Wybrałem się w podróż bardzo rano, a że droga sanna była dobra i czterem w lejc zaprzężonym koniom lekko było ciągnąć sanki odkryte, stanąłem w Niemirowie nad wieczorem. Do domostwa na noc zajechawszy, udałem się wnet do doktora i ten mi pieniądze wręczył: dziesięć rulonów, po sto peców w każdym. Pięć rulonów włożyłem do kieszeni jednej, pięć do drugiej i, do zajazdu wracając, wstąpiłem do handlu Mołodeckiego. Ciemność już panowała, sklep był zamknięty; w pokoju, który do przyjmowania gości służył, zasta-

---

[1] Pec — półimperjał, moneta złota wartości pięciu rubli.

łem osób kilka, otaczających stolik, przy którym Mołodecki bank ciągnął, a inni poniterowali. Poniędzy poniterami znajdował się kolega mój szkolny K. Nie wymieniam nazwiska jego — może po nim pozostały dzieci. Wejście moje gry nie przerwało, a tylko po przywitaniu K. raz i drugi odezwał się do mnie, zachęcając, ażebym w grze udział wziął.

— Postaw, spróbuj... — namawiał. — Rubli parę przegrasz, albo wygrasz, to rzeczy nie stanowi.

Żem miał przy sobie kilka czy kilkanaście rubli, niezależnie od złota w rulonach, więcem się namówić dał. Zaryzykowałem i w pociągnięciach kilku wszystkom przegrał, tak że nie miałem czem rozpłacić się w domu zajezdnym. Celem odegrania się, zdwoiłem stawkę, wydobywając z kieszni z rulonów jeden. Znów przegrałem, znów stawkę zdwoiłem i przytomność umysłu straciłem. Uczucia, jakie mnie opanowało, nazwać nie umiem. Stawiałem dalej, powtarzając: „Kwita dubl“, i — wypróżniłem kieszenię jedną. Sięgnąłem do drugiej. Pięć rulonów na stole położyłem.

— Kwita dubl...

Ktoś odezwał się z uwagą, że bankier ma prawo nie przyjąć stawki tak wysokiej. Gdyby był nie przyjął, byłbym się temu, co uwagę tę uczynił, do gardła rzucił. Nie rzuciłem się, usłyszałem bowiem odpowiedź bankiera:

— Idzie...

Karty padać na prawo i na lewo poczęły, — wygrałem. Odegrałem wszystko. Uczułem, żem odżył. Pieniądze zgarnąłem, schowałem i, na wejrzenia ironiczne, przekąsy i przymówki nie zważając, z handlu się wyniosłem. Noc całą spędziłem, oka nie zmrużywszy. Znajdowałem się pod wpływem przerażenia, które mnie uciskało. Nazajutrz zająłem się załatwieniem interesów, jakie mi ojciec polecił, i z południa dopiero do domu zajezdnego powróciłem. W izbie zastałem kolegę K.

— Jedziesz... kiedy?... — zapytał.

— Dziś...

— Hm?... — odchrząknął. — Mam interesy w Humaniu: nie mógłbyś mnie podwieść?...

— Czemu nie...

— Więc ja tu z tłumoczkiem moim przyjdę...

Konie obrok zjadły; wyruszyliśmy około drugiej popołu-

dniu i stanęliśmy na noc w Rajgródku. Przed pójściem do łóżek K. karty wydobył, coś niby pasjans ciągnął i odniechcenia do mnie się odezwał.

— Stawiam w banku dziesięć rubelków... co?...

— Nie... — odparłem.

— Rubli parę przegrasz, albo wygrasz, to rzeczy nie stanowi...

— Niewygrać wolę...

— Ph... — burknął i ciągnął pasjans dalej.

Alem się ja położył i on położyć się musiał.

Na drugi dzień ojcu w całości tysiąc peców oddałem z uczuciem człowieka, co się przemknął szczęśliwie nad przepaścią.

Do gry hazardownej zasiadłem jeszcze raz w życiu, ale o tem na swojem wspomnę miejscu. Tu dodam jeno, że wypadek ten uleczył mnie zupełnie od pokusy karcianej, pomimo że się takowa nastręczała mi nieraz.

Rok nauczycielstwa mego przy braciach moich dobiegł pomyślnie do końca. Józef i Szczęsny przygotowani byli należycie. Ojciec ich do Odesy wyprawił, zamierzając, gdy się oni zainstalują, posłać im Justynjana. Dla Jana obmyślić należało zajęcie jakieś, zatrzymując go tymczasowo przy gospodarstwie, które samo przez się mogło mu sposób do życia zapewnić. Jam się wybierał do Kijowa, celem zdawania egzaminu na kandydata.

Nie przypominam sobie, jaki powód powstrzymał mnie od pojechania do Kijowa wówczas, kiedy bracia moi do Odesy wyjeżdżali. Prawdopodobnie chciałem użyć swobody, z jesieni skorzystać i napolować się. Czekała mnie praca — miałem się wprząc w jarzmo na życie całe. Celem marzeń moich była katedra uniwersytecka; lecz ukazywała się ona w perspektywie oddalonej, do której dojść należało, przechodząc przez nauczycielstwo gimnazjalne. Do katedry nauczycielskiej miałem prawo w okręgu naukowym odeskim. Z prawa tego korzystać nie chciałem spowodu widoków dalszych, którychbym się zrzec musiał, gdybym osadzony został w Kierczu np. albo Kiszyniowie. Wolałem przeto pracować dla pozostania w okręgu kijowskim i przebijania się ku wytkniętemu celowi. Że mi się nie spieszyło do zaprzęgania się do pracy, temu zapewne nikt

dziwić się nie będzie. Koń, powiewy od stepów, swoboda miały dla mnie uroki, osłabiające mocno pociąg do geometrji analitycznej i rachunku różniczkowego. Dla uroków też tych zapewne przedłużyłem sobie wakacje do Nowego Roku.

Ludzie, których osoba moja interesowała, inaczej sobie zamiary moje wytłumaczyli. Wydało się im, że skończę tak, jak dziewięć dziesiątych młodzieży szlacheckiej kończyło, to znaczy: spróbuję ożenić się. Ożenienie dla mnie nie przedstawiało szans pomyślnych. Do panny posażnej zwracać się nie mogłem, nie miałem na to tytułów żadnych; z nieposażną zaś jakby się obróciła przyszłość moja? Ugrzęznąłbym na dzierżawinie jakiejś i zmarnował te zadatki, w jakiem się na drodze edukacyjnej zaopatrzył. Perspektywa ta potworną wydała się tym, co mi sprzyjali, mianowicie zaś ciotce Jeleńkowskiej. Odwiedziłem ciotkę w Niemirowie, gdzie dom sobie kupiła i zamieszkała. Zastałem ją samą. Śród rozmowy rzuciła mi pytanie, co ze sobą robić zamyślam. Dałem odpowiedź wymijającą.

— Nie pojedziesz do Krasnego?...

— Może... — odrzekłem.

Otóż mi głowę zmyła! Za punkt wychodni wzięła pannę Karolinę, nie wiedząc, że dzięki zamianie listów z Henrykiem stosunek pomiędzy nią a mną był zerwany. Punkt honoru nie pozwalał mi do Krasnego zaglądać. Na ochocie mi wprawdzie nie zbywało, alem czekał na znak jakiś, świadczący, że byłbym gościem mile witanym. Na znak ów czekałem nadaremnie. Było to dla mnie wskazówką, że rodzina panny nie życzyła mnie sobie, a może i panna dla mnie ostygła. Ciotka Jeleńkowska o tem wszystkiem nie wiedziała, nie chwaliłem się przed nią rzeczą, która miała dla mnie znaczenie odkosza; moralizowała więc mnie ostro, przedstawiając przedewszystkiem niestosowność wieku. Liczyłem lat dwadzieścia trzy, panna Karolina była odemnie o lat dwa starszą.

— Kobieta starzeje się prędko... — wykładała ciotka. — Będzie żona twoja kobietą starą, kiedy ty będziesz w sile wieku... A przytem — dodawała —, wziąwszy na siebie obowiązki, którym nie podołasz może, świat sobie zawiążesz, świat, który przed tobą otworem stoi...

Nie tak bardzo świat przede mną otworem stał, jak się

ciotce wydawało. Pomiędzy światem owym a mną zachodziła niezgoda, która tak czy owak położenie moje na drodze służby publicznej fałszywem czyniła. Ciotka nie uwzględniała tego. Zirytowana przypuszczeniem ożenienia mego gromiła mnie — kpała, mówiąc wyraźnie, — i słuchać nie chciała tłumaczenia mego.

— Nie siedź w domu... — prawiła. — Weź się do czego...

— Ależ ja po Nowym Roku do Kijowa wyjadę...

Ledwie nieledwie ułagodzić ją zdołałem.

Rozprawa ta sprowadziła następstwo jedno, któregom się sam nie spodziewał. Nie zamierzałem ja „w domu siedzieć“, alem o ożenieniu nie myślał. Po rozmowie z ciotką myśl ta głowy się mi czepiła. Wyobraziłem sobie, że się przecie ożenić muszę. Wszak się ludzie żenią! I mnie przeto los ten czeka, los, który wypaść może dobrze lub źle, stosownie do wartości osoby, z którą życie dzielić będę. Tyle się już nasłuchałem i naczytałem o małżeństwach niedobranych, żem sobie zgoła nie życzył liczbę ich powiększyć. Dlatego często i serjo rozmyślałem o przyszłej dozgonnej towarzyszce mojej, rozbierałem zalety różnych znanych mi panien na wydaniu i znalazłem jedną, która mi się wydała doskonałością wcieloną. Tem pewniej o niej sądziłem, żem ją znał od dziecka. Była nią siostra moja ciotecznorodzona, Józefa Jeleńkowska. Rozmówiłem się w materji tej z matką moją i z siostrą Bronisławą. Postawiłem kwestję tak, że przedewszystkiem wyrobię sobie stanowisko, i pragnąłbym jeno, jeżeli można, zapewnić się, że Józia mi ręki swojej nie odmówi. Matce i siostrze bardzo się to podobało. Podjęły się z Józią pomówić: — pomówiły i uzyskały nietylko przyzwolenie jej, ale i obietnicę, że będzie na mnie czekała. Stało się to dla mnie podnietą silną do myślenia o stanowisku. Otoczyłem się dziełami matematycznemi, wziąłem się do pracy i musiałem takową zawiesić dzięki zdarzeniu, które zaszło niespodzianie.

Bracia moi, Józef i Szczęsny, pojechali, jakem rzekł wyżej, do Odesy. Z Odesy pisywali — pisywali obydwa, wkońcu jednak listy od samego jeno Szczęsnego nadchodziły. Ostatnim razem Józef donosił, że do egzaminu staje. I urwał nagle. Szczęsny egzamin swój zdał, do gimnazjum chodził, pisał o sobie; o Józefie jednak wzmianki żadnej nie czynił.

— Józef się na egzaminie oberżnął — był domysł ojca i mój.

Czekaliśmy wiadomości następnych i po upływie tygodni kilku doczekaliśmy się doniesienia Szczęsnego o nieobecności Józefa w Odesie. Doniesienie to zaniepokoiło nas. Szczęściem, nie doszło ono wiadomości matki, ułożyliśmy się przeto, że, zanim się rzecz nie wyjaśni, zachowamy ją w tajemnicy. Zapytałem listownie w sposób naglący Szczęsnego o wyjaśnienia i Szczęsny odpisał, że wyjaśnienia żadnego dać nie może, albowiem sam nie wie, co się stało. Józef znikł nagle.

— Jedźże ty... — odezwał się do mnie ojciec — i postaraj się zagadkę tę rozwiązać.

Przed matką łatwo było podróż moją upowodować. Ruszyłem niezwłocznie. Po drodze wstąpiłem jeno do stryja Macieja; trafiłem w dobrą porę, stryj bowiem, pszenicę wyprawiwszy, sam także do Odesy jechał i pomoc mi w poszukiwaniach przyrzekł. Stanąłem u celu podróży na trzeci dzień i, czasu chwili nie tracąc, zająłem się śledzeniem istoty tajemniczego tego zniknięcia. Rozpytywałem wszystkich, co coś o Józefie wiedzieć mogli, zgłosiłem się do policji: dowiedziałem się jeno, że Józef poranka pewnego na stancję, na której kwaterował, dorożką przyjechał, rzeczy swoje zabrał i odjechał, nie mówiąc poco i dokąd. Od chwili tej ślady jego znikły, zatarły się całkowicie. Szczęsny go w dniu tym nie widział. Pewnem jeno było, że dokądeś wyjechał, z nikim się ze znajomych nie pożegnawszy i nie stawiwszy się do egzaminu, do którego się był podał. Błąkałem się śród domysłów i domyślić się nie mogłem.

Poszukiwania za Józefem naprowadziły mnie na odkrycie tajemnic Szczęsnego, przebywającego krizis tę samą, dla której rodzice odebrać mnie musieli z Niemirowa, z drugiej klasy. Przyszła ona na niego później aniżeli na mnie i zamanifestowała się jaskrawiej, spowodu że się odbywała w mieście, posiadającem resursów więcej aniżeli Niemirów. Niebezpieczeństwo było tem większe, że zagroziło chłopcu, obdarzonemu zdolnościami świetnemi i zaletami cennemi. Szczęsny pomiędzy nami stał pod względem jednym i drugim najwyżej. Przy głowie otwartej posiadał serce szlachetne i odwagę cywilną ogromną. Natury tego rodzaju, pochopne do poszukiwania dróg nowych i próbowania się na takowych, podlegają zazwyczaj tym przełomom, które zaznaczo-

nemi zostały w przysłowiu jako burzenie się piwa młodego. Ferment niekiedy beczkę rozsadza, jeżeli piwowar zaradzić temu nie umie. Jam się wobec Szczęsnego znalazł w roli piwowara, poczułem się do obowiązku ratowania go i nie umiałem wymyślić czego innego, jak przenieść go z Odesy do szkół, znajdujących się od Krasnopółki bliżej aniżeli Odesa. W celu tym ze szkół go odebrałem i, przekonawszy się, że o Józefie opytu innego wziąść nie mogę, jak tylko, że dokądeś wyjechał, ruszyłem do domu spowrotem. Przypuszczałem, że się może gdzie po drodze o niego dopytam. Miał on znajomych w gubernji chersońskiej, z którymi się przyjaźnił. Zajechałem najprzód do nich.

Byli to ludzie młodzi, dwaj bracia: posiadali o mil kilka od Odesy majątek i prowadzili gospodarstwo stepowe. Nie udzielili mi oni wskazówki żadnej; gościnnie mnie przyjęli i uraczyli polowaniem na wilki, na forsowanego. Polowanie tego rodzaju, możliwe jeno na stepach, polega na tem, że kilka, kilkanaście wierzchowców, jadąc w linji, gdy wilka ruszą, ścigają go pędem równym a niebardzo wielkim, bacząc na to, ażeby zwierz, który usiłuje poza linję na prawo lub na lewo wyjść, nie wyszedł poza takową. Wcelu tym jeźdzce skrzydłowi zawracają go i zmuszają do czynienia zygzaków wielkich od skrzydła jednego do drugiego. Doprowadza to zwierza do zmęczenia takiego, że wkońcu zziajany siada. Wówczas z jeźdzców jeden z konia zeskakuje, za ogon go chwyta, podnosi i pod ogon mu kordelas po rękojeść wsadza i zakręca. W sposób ten futro wilcze nie ponosi szwanku najmniejszego. Polowanie to wielce mi się podobało. Zapomniałem nazwę wsi i gospodarzy gościnnych, którzy mi je poznać dali. Wyjechaliśmy rano i na obiad powróciliśmy z dwoma wilkami, które w burzanach na zdobycz czekały. Stamtąd dalej jechałem rzemiennym dyszlem, odwiedzając po drodze najprzód stryja, następnie zięcia jego, Tustanowskiego, owdowiałego po siostrze mojej stryjecznej Anieli i powtórnie ożenionego, dalej Kurzańskiego i Zwolińskiego, z których pierwszy miał za sobą Katarzynę Jeleńkowską, drugi nosił żałobę po siostrze jej starszej, Sewerynie.

Z podróży tej mam do zapisania wspomnień parę.

Od stryja do Kurzańskich droga wypadała mi na Krzywe Jezioro i czyniła kąt ostry dla mostu, rzuconego na Kodymie, oddzielającej gubernję chersońską od podolskiej. Krzywe Je-

zioro leży nad Kodymą, niżej zaś, o mil parę odległości, nad rzeką tąż samą położone są Berezki, wieś spora, którą Kurzański dzierżawił. Od stryja do Berezek w linji prostej było o mil dwie przynajmniej bliżej, aniżeli na Krzywe Jezioro. Kodyma jednak na przeszkodzie stała, a to pomimo że w Berezkach znajdował się młyn i zagroblenie. Zagroblenie to nie służyło do komunikacji wozowej, nie przejeżdżano tamtędy, przechodzono jednak. Wydało się mi, iżbym się mógł przeprawić tamtędy, przechodząc, konie po jednemu przeprowadzając i wózek przenosząc. Przyszło mi to na myśl, gdym od stryja wyjechał; zapytałem furmana, czyby tego uskutecznić nie można. Furman, człek młody, krasnopolski poddany, nazwiskiem Hnat, rzecz tę za możliwą uważał, mając ku pomocy kozaczka, który funkcję lokajską pełnił. Szczęsnemu także nie wydało się to rzeczą niemożliwą. Chodziło jeno o wynalezienie przekątnej przez step i wyprostowanie drogi na młyn w Berezkach. I to się niepodobnem nie wydało. Wzięliśmy się więc w prawo, z traktu zjeżdżając, i puściliśmy się w kierunku ukośnym, bacząc na to, ażeby się trzymać linji prostej, któraby nas poniżej Krzywego Jeziora nad brzeg Kodymy zaprowadziła. Jazda nam dobrze szła, do Kodymyśmy się dostali, aleśmy nie wyjechali na Berezki i zmiarkować nie mogli, czy leżą one powyżej, czyli też poniżej. Słońce zachodziło, rozpytać nie było kogo. Oglądaliśmy się, czekali, podjechali trochę wgórę rzeki, wrócili i nie wiedzieli, czego się ostatecznie chwycić.

— Gdyby się tak za rzekę dostać — odezwał się ktoś spomiędzy nas —, to na tamtej stronie kogośby się przecie spotkało.

Tamtą stroną równolegle do rzeki przechodził trakt pocztowy z Bałty do Olhopola. Widzieliśmy w dali przebiegające bryczki i ciągnące wałki czumackie, uszów naszych dochodziły odgłosy, świadczące o ruchu podróżnych; aleśmy z tego korzystać celem dowiedzenia się o położeniu Berezek nie mogli.

— A czyżby wpław przejechać nie można? — rzucił bodaj czy nie Szczęsny.

— Onoby to można — odrzekł Hnat.

— Gdyby nie to, iżby się można utopić... — wtrąciłem.

— Ij... — podchwycił furman. Niby to nie, jak ten powiada, raz matka rodziła?...

— Próbuj... — rzekłem, tknięty w miłości mojej własnej tem, że Hnat okazał się odważniejszym ode mnie.

Do przeprawy podobnej miejscowość nadawała się o tyle, że grunt twardy i napół piaszczysty wybrzeża świadczył o twardości gruntu rzeki, przepływającej śród oczeretów, porastających na jednym i drugim brzegu. Spomiędzy oczeretów ukazywał się nurt, który od słońca zachodzącego brał połysk szklisty. Hnat nie kazał sobie dwa razy wyrazu „próbuj“ powtarzać. Huknął na konie, odjechał trochę od rzeki, nawrócił, wziął prostopadły do brzegu kierunek i, rozwinąwszy bat, palnął nad końmi, które się nieco przed oczeretem wzdragały.

— Wio, ha-hi!... — z naciskiem zawołał.

Konie lejcowe w oczerety weszły. Poszły za niemi i dyszlowe. Bryczka wtoczyła się z szumem, jaki sprawiało łamanie się roślin w połączeniu z pluskiem wody. Niebawem wydostaliśmy się na nurt. Konie szły równo, zagłębiając się coraz bardziej. Wreszcie lejcowe spłynęły i na prawo w kierunku biegu rzeki się zwróciły.

— Wio, ha-hi!... — huknął Hnat i naręcznego batem smagnął.

Moment ten był momentem decydującym. Przeminął on prędko. Gdy konie dyszłowe skolei spłynęły, lejcowe kopytami już się gruntu chwyciły i bryczkę, która się całkowicie zanurzyła, tak że nam woda ramion dostała, wyciągnęły. Na brzegu przeciwnym znowuśmy się przez oczerety darli, przedarliśmy się i szczęśliwie z toni wydostali. W chwilę później na trakcie, wodą ociekając, zaczepiliśmy człowieka o drogę do Berezek.

— A wyż skąd?... — zapytał zdziwiony tem, żeśmy w dniu suchym tak zmoknąć potrafili.

— Z Kodymy... kąpaliśmy się...

— Chyba że tak... — odrzekł i drogę nam wskazał.

Myliż mi Kurzańscy głowę, co się zowie, gdym im o przeprawie rozpowiedział!... Mieli rację. Wybryk ten należał do wybryków tego rodzaju, za które życiem się płaci najniepotrzebniej w świecie. Niewszystkim on jednak niepodobał się. W Berezkach w momencie owym ludno było: dzieci pełno i Kurzańskich i Zwolińskiego, który mieszkał o milę, w Łukjanówce, bliżej od Krzywego Jeziora, a przytem bawiły tam panny Jeleńkowskie, Idalja i Józefa, moja prawie narzeczona.

Zauważyłem, że przeprawa moja nie sprawiła na nich wrażenia złego; Zwoliński zaś głośno czyn mój pochwalał, powiadając, że lubi zuchów takich. Zwoliński był to żołnierz dawny, odbywał kampanję r. 1809 i na postaci swojej nosił cechy rycerstwa owoczesnego: minę miał ostrą, wąs podkręcony, pewność siebie niezachwianą i wyobrażenie o patrjotyzmie własnym wysokie. Głowa jego pełna zawsze była kombinacyj, mających na celu przywrócenie niepodległości Polski, a wysnuwanych bądź ze zdarzeń biegących, bądź też wprost z fantazji. Wymógł na mnie przyrzeczenie odwiedzenia go.

— Będzie u mnie — powiadał — osób kilka... Prosiłem Paszkowskich pułkownikostwa, przyjedzie z nimi oficerów gromadka...

W Krzywem Jeziorze, które, jak Bałta, dzieliło się na połowę podolską, własność prywatną, i chersońską, należącą do dóbr skarbowych, znajdowała się kwatera pułkowa pułku huzarów aleksandryjskich, stanowiącego jedną z kolonij wojskowych. Pułkiem dowodził Paszkowski, z nami spokrewniony i z Gałecką ożeniony; korpus oficerów w połowie większej z Polaków się składał. Do Zwolińskiego jako do ekswojskowego polskiego garnęli się oni chętnie i okazywali mu szacunek. Na pogrzebie żony jego stawił się korpus oficerski cały prawie, nie licząc obywatelstwa, które się licznie zjechało. Śród obywatelstwa znajdowała się pani Ch., kobieta młoda i zalotna, lubiąca szczególnie huzarów. Na rachunek jej krążyły różne opowiadania romantyczne. Obecność jej w kościele, obok katafalku, na którym spoczywały zwłoki nieboszczki, zirytowała Zwolińskiego do tego stopnia, że przed katafalkiem stojąc zapłakany i zbolały, ręce do góry wzniósł i wielkim głosem zawołał:

— Panie! zabrałeś żonę moją, kobietę poczciwą, matkę wzorową, świętą, a czemużeś nie zabrał raczej tej oto ladacznicy?...

Do pani Ch. się zwrócił i na nią wskazał.

Pamiętano mu tę do Boga zaniesioną skargę, która go malowała trafnie. Zaprosił mnie tedy, zamawiając sobie, ażebym przyjechał do niego rano, a to dlatego, że — jak powiadał — ma ze mną o rzeczach ważnych do pomówienia. Przybyłem do Łukjanówki przed południem, zjedliśmy we dwóch obiad i po

obiedzie, w ganku, Zwoliński mi interes swój przedstawił. Interes w głównej osnowie swojej polegał na tem, że powierzyć mi chciał opiekę nad synem, chłopasiem, liczącym podówczas lat niewięcej jak trzy — cztery.

— Ja umrę — mówił — o! umrę... Po śmierci nieboszczki mojej myślałem, że mnie żal rozsadzi... Wytrzymałem; czuję jednak, niedługiem już życie moje... Bóg mnie przy życiu zachował dlatego może, ażeby z tobą pogadać... O tak, nieinaczej...

Miał mi do powiedzenia o rzeczach ważnych, o tem mianowicie, że przez Odesę przyjdą Francuzi i odbudują Polskę.

— Przez Odesę?... — zapytałem tonem zdziwienia.

— O tak... — odparł. — Mam na to dowód, o którym ludziom nie powiadam, bo co z durniami gadać!... ale tobie powiem, ty masz rozum. Oznajmiła mi to Matka Boska...

W milczeniu słuchałem, on prawił dalej, opowiadając, jak i kiedy z Matką Boską się widział.

— Widziałem ją, jak w chwili tej widzę ciebie, i mówiłem z nią, jak z tobą mówię... Pocieszała mnie po śmierci świętej, błogosławionej pamięci Seweryny; gdyby nie ona, byłbym sobie łeb gdzie o słup jaki roztrzaskał... O Polskę jej zapytałem, a ona mi na to spokojnie i wyraźnie odpowiedziała, że Francuzi przez Odesę przyjdą i Polskę wyzwolą... o... uważasz...

W chwili tej przez podwórze parobek przechodził. Zwoliński brwi sfałdował, oczy mu się gniewem zaiskrzyły, rękę wyciągnął i, na parobka palcem wskazując, z przyciskiem złośliwym zawołał:

— A wówczas z huncwotów tych będziemy pasy darli...

Zrozumiałem niepoczytalność jego i nie wdawałem się z nim w dyskusję żadną. On prawił dalej; rozwodził się nad niegodziwością chłopstwa, odgrażał się; jam milczał i milczeniem zaskarbiłem sobie względy jego tak dalece, że gościom, którzy nad wieczorem zjeżdżać się poczęli, oznajmiał, iż sprosił ich wcelu uczczenia obecności mojej. Przyjechali Kurzańscy i z nimi osób kilka; przyjechał płk. Paszkowski powozem odkrytym, towarzyszył mu synek jego na kucyku; przyjechała pani pułkownikowa konno, a z nią dwunastu oficerów młodych, śród których znajdowało się szkolnych moich kolegów paru, Żółkiewski, Rybiński, Rubczyński i ktoś jeszcze. Pułkownikowa,

bardzo przystojna młoda kobiecina, jak skoro z konia zsiadła, wnet stała się ogniskiem towarzystwa. Prawiono jej komplementa, unoszono się nad jej jazdą i wywołano wiadomość, jako i Józia Jeleńkowska konia dosiadać umie. Wiadomość ta wywarła wrażenie. Pułkownikowa ofiarowała Józi konia swego do przejechania się; oficerowie ofiarowali się towarzyszyć jej. Wszczęły się prośby i nalegania, którym się ona opierała, wkońcu uległa, ale pod tym warunkiem, ażeby jej nikt z wyjątkiem mnie nie towarzyszył. Warunek ów spowodował targi, że jednak postawionym był niezłomnie, został przeto przyjęty. Ona dosiadła konia pułkownikowej, mnie dano konia jednego z oficerów, wybraliśmy się w pole i spędziliśmy godzinę, jeżeli nie więcej, na przejeżdżaniu z sugłówka na sugłówek [1]. Jazda wiodła się nam doskonale. Zażywaliśmy konie raz stępem, znów kłusem, niekiedy galopem. Gdyśmy wracali, towarzyszka moja odezwała się do mnie:

— Zajedziem przed oficynę... Nie chciałabym, ażeby oficerowie do zsiadania mi pomagali...

Od wrót wprost skierowaliśmy się do oficyny; jam z konia zeskoczył, celem wyniesienia stołka, bez pomocy którego płeć piękna ani wsiadać ani zsiadać nie może i, gdym ze stołkiem wyszedł, już w ogrodzie śród krzewów pokazywały się głowy oficerów, pospieszających do panny z usługami.

— Prędzej!... prędzej... — nagliła Józia.

Stołek przystawiłem, ramiona do niej wyciągnąłem; ona mi się w ramiona spuściła, ale tak jakoś niefortunnie, że spód dolnej części odzieży jej o kulę od siodła się zaczepił. Na ziemię się osunęła w kształcie z grządki wyjętej pietruszki. Z siłą rozpaczy szarpnąłem spódnice, rozdarłem je i osłoniłem zmieszaną dziewczynę, która, za ręce mnie chwytając, zwróciła się do mnie z nabrzmiałem niepokojem najwyższym zapytaniem:

— Widzieli?...

— Ktoby miał widzieć z wyjątkiem mnie — odrzekłem.

Oficerowie nadbiegli, po niewczasie jednak. Nie udało się im oglądać widowiska ciekawego.

Rzemienny podróży mojej dyszel na Zwolińskim się nie zakończył. Celem dostania o Józefie języka zajeżdżałem jeszcze

---

[1] Sugłówek — ścieżka polna, miedza.

do domów kilku i pomiędzy innemi do jednego, — zapomniałem nazwę wsi i właściciela onej. Zastałem tam Bolesława Popowskiego, przeobrażonego na żołnierza, spowrotem z Petersburga, dokąd jeździł celem zdawania egzaminu; wstąpił bowiem do artylerji. Przysługiwało mu, jako takiemu co nauki wyższe skończył, prawo awansu na stopień oficerski po sześciomiesięcznej służbie w szeregach. W artylerji i saperach korzystanie z prawa tego obwarowywał egzamin, który, jak się zdaje, niekoniecznie się Bolesławowi powiódł, albowiem, ponieważ mu stopnia odmówić nie można było, przeniesiono go z artylerji do ułanów, do pułku wozneseńskiego, zajmującego kolonje hajsyńskie. W Hajsynie kwaterował sztab pułkowy. Bolesław przeto zamieszkać miał w bliskiem Krasnopółki sąsiedztwie. Przykład jego zachęcał mnie. Rozpytywałem go o egzamina w Petersburgu, rezerwując sobie na wypadek wszelki służbę wojskową, do której wgłębi duszy pociąg czułem i, gdyby nie skrupuły, byłbym w szeregach oddawna.

W domu niedługośmy pozostawali w niewiadomości o losach Józefa. Bodaj czy nie przed moim z Odesy powrotem nadszedł od niego list datowany z Trebizondy. W liście tym, w którym stawał jako oskarżyciel samego siebie, opowiadał, co go na brzegi azyjskie zapędziło. Zabrał znajomość z kapitanem statku przewozowego, należącego do floty czarnomorskiej i pełniącego służbę w portach wojennych. Znajomość w krótkim czasie zmieniła się w przyjaźń. Kapitan pokochał go i zaproponował mu zwiedzenie Krymu, dokąd wyruszać miał. Propozycja nagła nagły spowodowała wyjazd, który się Józefowi przedstawił tak ponętnie, że egzamin wstępny do liceum odłożył na później, perswadując sobie, że liceum nie ucieknie, a taka dobra sposobność zwiedzenia Krymu nie zdarzy się powtórnie. Zamiast tedy do egzaminu stawać, na statek się udał i, gdy się już na pokładzie znajdował, dowiedział się, że kapitan dostał rozkaz płynąć, zamiast do Sewastopola, do jednego z portów kaukaskich, nie pomnę do którego. Wydało się mu rzeczą niewłaściwą dla zmiany tej od zamiaru odstępować. Kaukaz jest także krainą ciekawą. Na pokładzie więc pozostał, popłynął; ponieważ zaś wiatry przeciwne okręt do Trebizondy zapędziły, zatem i on się tam znalazł. Do winy się przyznawał, poprawę obiecywał i przyznawał się, iżby do

domu powrócił, gdyby miał za co. Podawał przytem adres swój w Anapie, zdaje się, pod którym oczekiwał na listy od rodziców. O pieniądze nie prosił. Ojciec do niego napisał i, posyłając mu zasiłek pieniężny, wezwał go, ażeby drogą jaknajprostszą jaknajprędzej do domu przybywał. List od niego następny datowany był z Kierczu. W mieście, którego adres pierwotnie podał, nie był, a zatem listu ojcowskiego z pieniędzmi nie otrzymał. Ojciec wnet drugą posyłkę uskutecznił. Z tą drugą zrobiło się toż samo. Rąk Józefa doszła dopiero trzecia i on w roku następnym około Wielkiej Nocy pod strzechą rodzicielską się znalazł, witany jak ewangeliczny syn marnotrawny, a z takim humorem dobrym okazujący żal za grzechy, że ojciec, mimo że czuł, iż skarcićby go wypadało, pogniewać się na niego nie umiał. Raz jednak przy obiedzie na gniew się zdobył. Jął mu wyrzuty gorzkie czynić za zmarnowanie pieniędzy i czasu, za to, że się do niczego nie usposobił i niczego nie nauczył.

— Byłeś pomiędzy Tatarami — prawił. Mniejbym miał żalu do ciebie, gdybyś się przynajmniej po tatarsku nauczył...

— Skądże tatko wie, że po tatarsku nie umiem?... — podchwycił w milczeniu dotąd morałów słuchający Józef.

— Umiesz?...

— Jakże!... cale nawet nieźle...

— Mówić?...

— Kołduny zawijać, a przytem i mówić... Chce się tatko przekonać? o... (powiedział kilka językiem niezrozumiałym wyrazów). Wie tatko, co to znaczy?

— No? — zapytał ojciec rozbrojony.

— To znaczy: Proszę się na mnie nie gniewać, bo ja i sam wiem, żem głupstwo zrobił... Zwiedziłem jednak obce kraje... Widziałem Turków, Czerkiesów, Tatarów, kołatałem się po morzu...

I opowiadał coś, czemu nadać umiał akcent humorystyczny.

Wkrótce po powrocie zaciągnął się Józef do wojska, wstąpił do piechoty i we dwa lata później otrzymał szlify oficerskie. Nie był to człowiek głową lub sercem przerastający poziom śmiertelników zwyczajnych, ale w sercu zwłaszcza posiadał zalety wielkie. Kto śmierć przyjmuje z obliczem po-

godnem, kto wobec plutonu egzekucyjnego oczów sobie zawiązać nie pozwala i sam głosem pewnym ognia komenderuje, temu się należy wspomnienie dobre. Jeżeli poziomu śmiertelniczego nie przerósł, to się pod poziom nie zniżył. Skończył świetnie, w chwili ostatniej okazał się człowiekiem dzielnym, w życiu zaś nie odznaczył się niczem. Dobry humor, niewyczerpany dowcipu zasób i uczynność jednały mu przyjaciół śród znajomych. Toteż śmierć jego przedwczesna, która zapoczątkowała śmierć braci moich młodszych, wywołała żal powszechny. Za nim w ciągu tegoż roku 1853 poszedł Jan. Józef zginął od kul rosyjskich, Jan od tureckich.

Do śmierci Józefa wrócę jeszcze w dalszym opowiadania mego ciągu. W roku 1847 nic jej jeszcze nie zapowiadało. Powróciłem z Odesy ze Szczęsnym, dla którego należało ciąg dalszy edukacji szkolnej obmyślić. Oddawać go do Niemirowa nie można było spowodu Zimowskiego, który tam wciąż dyrektorował i któryby Szczęsnego nie zniósł. Chcieliśmy się jednak dowiedzieć i przekonać. Wcelu tym matka z Bronisią i ja do Niemirowaśmy jeździli. Z podróży tej zanotował mi się w pamięci wypadek. Jechaliśmy na Rajgródek. Droga do miasteczka prowadzi z góry stromej i kamienistej. Ja na koźle powoziłem czterema końmi wporącz; matka z kocza krytego wysiadać chciała, prosiłem, żeby nie wysiadała; kazałem pojazd zahamować, a furmanowi i lokajowi obok iść i baczenie na koła dawać. Spuszczanie się z góry szło zrazu pomyślnie, aż nagle przy zsuwaniu się zahamowanego koła z kamienia hama [1] zeskoczyła, powóz się potoczył mocno i jednemu z koni dyszlowych naszelnik pękł. W warunkach takich wywrócenie się pojazdu, jakoteż potłuczenie się i pokaleczenie osób w nim siedzących, było więcej aniżeli prawdopodobnem. Zdobyłem się wszelako na przytomność umysłu i znalazłem środek zaradczy w jednem oka mgnieniu. Jak skoro naszelnik pękł, w chwili tej konie w pęd wielki puściłem. Spuściliśmy się z góry z szybkością piorunną, tak że matka przestraszyła się, kiedy już niebezpieczeństwo przeminęło. Gdyby to panna Kaja widziała, nie powiedziałaby, że wozić nie umiem. Nie każdy z bałagułów najdokumentniejszych na sztukę taką zdobyćby

[1] Hama — hamulec.

się potrafił. W szeregach bałagulskich zajaśniałbym gwiazdą pierwszej wielkości, gdybym umiał jeszcze wódkę szklanką pić i do awantur czuł skłonność. Na przymiotach tych mi zbywało. Wozić atoli umiałem cale nieźle, kiedym na jednym naszelniku, bez hamy, pojazd ciężki z góry stromej sprowadził i bez szwanku matkę do Niemirowa zawiózł. Cel podróży tej chybiony był. Dowiedzieliśmy się, o czemeśmy wiedzieli. Oddawanie w ręce Zimowskiemu Szczęsnego było to pisanie na tego ostatniego wyroku zgóry. Wpływ na niego dodatni mógł mieć jeno człowiek rozumny, prawy i honorowy, słowem taki, coby zasługiwał na szacunek jego. Zimowski, obdarzony zaletami urzędnika policji tajnej, nie posiadał przymiotów przewodnika młodzieży, młodzieży zwłaszcza takiej jak Szczęsnego natury, szlachetnej a zuchwałej. Wedle informacyj, jakie się nam zebrać udało, człowiek uczciwy stał naczele gimnazji, przeniesionej w tym właśnie roku z Winnicy do Białej Cerkwi. Do Niemirowa z Krasnopółki liczyło się mil sześć, do Białej Cerkwi osiem. W odległości różnica zachodziła nieznaczna, a zatem ojciec, matka i ja, za porozumieniem spólnem, powzięliśmy postanowienie umieszczenia Szczęsnego w gimnazji białocerkiewskiej. Szczęsny się nie sprzeciwiał temu, — przeciwnie. Ułożyliśmy sobie, że go odwiozę po Nowym Roku; że zaś po Nowym Roku do Kijowa się wybierałem, jedno więc godziło się z drugiem, zwłaszcza żem się umówił był z Juljuszem Jeleńkowskim, który jeździł co roku na kontrakty i miał mnie z Białej Cerkwi do Kijowa zabrać. Wedle planu tego wszystko się dokonało. Wybraliśmy się z domu tak, ażeby przed Trzema Królami w Białej Cerkwi stanąć. Ojciec zaopatrzył mnie w list do kolegi swego szkolnego, który był pełnomocnikiem u Branickich i głównie zajmował się przeniesieniem gimnazji i zainstalowaniem takowej. Nazywał się, jeżeli mnie pamięć nie myli, Przesmycki, mógł mi pomocnym być w razie, gdyby z władzami szkolnemi zachodziły trudności jakie co do przyjęcia Szczęsnego. Trudności nie przewidywaliśmy żadnych. Przyjechaliśmy, stanęli w domu zajezdnym, i udałem się wnet do inspektora, znanego mi osobiście z Niemirowa, gdzie był nauczycielem literatury rosyjskiej. Inspektor Andrejewskij przyjął mnie uprzejmie, rozpytał i do dyrektora odesłał. Temu ostatniemu przedstawiłem się nazajutrz ze Szczęsnym, wyra-

ziłem mu żądanie i złożyłem świadectwo szkolne wraz z dokumentami innemi.

— Z Odesy?... — zapytał, na świadectwo okiem rzuciwszy.

— Z Odesy... — odpowiedziałem.

— Czemuż w Odesie nadal nie pozostaje?

— Spowodu odległości... — odrzekłem.

Głową pokiwał, chwilkę pomyślał i dał mi odpowiedź odmowną, tłumacząc, że przyjmować nie może uczniów z okręgu naukowego odeskiego spowodu liberalizmu, jaki w okręgu tym panuje.

— Nie chcę — prawił — zarazy liberalnej wszczepiać do gimnazji młodej, za którą odpowiedzialny jestem. Chcę ją od takowej uchronić, zwłaszcza na początku samym... Brat pański przesiąkł nią mimowolnie... będzie nam tu bróździł.

Na postawioną w sposób ten kwestję nie było rady innej, jak interwencja osobistości, którejby dyrektor dla powodów takich lub innych nie odmówił. Osobistością taką wydał mi się pełnomocnik Branickich. Miałem w zanadrzu do niego list od ojca. Z gmachu przeto szkolnego udałem się wprost do mieszkania jego i natknąłem się na przyjęcie, jakie mnie nigdy jeszcze w życiu mojem nie spotkało. Zastałem go w towarzystwie dwóch księży prawosławnych, którzy obok siedzieli. Skłoniłem się mu i list podałem. Wziął, otworzył, brwi zmarszczył, czytać zaczął i, ćwiartkę odwróciwszy, a na podpis spojrzawszy, zapytanie mi rzucił:

— Kto pan taki?...

Wymieniłem nazwisko moje.

— Więc list sam od siebie przynosisz?

— To list od ojca mego...

— Więc cóż?... solicytacja jakaś?

Ton zapytań tych oburzał mnie. Wrzałem i czułem się zmieszany. Odpowiedziałem:

— Niech pan odczytać raczy...

Na słowa te, wymówione zapewne nie tak, jak solicytorowie mówią, otrzymałem odpowiedź następującą:

— Powiedz asan ojcu swemu, że mu nic do odpowiedzenia nie mam...

Wyniosłem się od niego natychmiast. Krew mi wrzała,

w uszach dzwoniło. W blasku całym przedstawił się mi sługa magnacki, pomiatający tymi, co mu nie imponują. Ojciec mój był tylko człowiekiem uczciwym. Co to za tytuł dla pełnomocnika Branickich? Tytuł ów wzmacniało koleżeństwo — romans, niegodny ludzi, zajmujących stanowisko tak wysokie. Postać męża tego w pamięć mi się wraziła. Był to człowiek krępy, nabity, o wejrzeniu surowem i szklannem. Dziśbym go odmalował, gdybym malować umiał. Po wyjściu od niego czułem się upokorzony, zmięty, zelżony, długom się uspokoić nie mógł i, uspokoiwszy się, poszedłem do dyrektora powtórnie, licząc jeszcze na to, że go uspokoić co do zaraźliwości Szczęsnego potrafię. Rachuba ta zawiodła mnie. Wymowa moja nanic się nie zdała. Nie pozostawało nic innego, jak wyprawić Szczęsnego po wakacjach do Odesy napowrót. Wyprawiłem go więc do Krasnopółki z listem do rodziców, w którym opowiedziałem im wszystko z wyjątkiem przyjęcia, jakiego doznałem u pełnomocnika Branickich. Nie chciałem ranić ojca. Przykrość zachowałem dla siebie.

W Białej Cerkwi zabawiłem tydzień cały, czekając na przyjazd Juljusza, który przybył w licznem kontraktowiczów towarzystwie. Do towarzystwa tego przyłączyłem się i ja. Podróż odbywaliśmy wesoło. Sani kilkanaście, każde czterema końmi w lejc zaprzężone, wiozło do Kijowa szlachciców, mających na celu nietyle interesy, co zabawę: używanie miasta, zaopatrującego się na czas kontraktowy w resursy, dogadzające gustom szlacheckim i przerywające monotonność życia wiejskiego. Pospieszaliśmy powoli. Z Białej Cerkwi do Kijowa można w dniu jednym zajechać. Zatrzymaliśmy się na noc w Wasylkowie; zajęliśmy dom zajezdny cały; w izbie największej stanęły stoliki zielone, podróżni się kartami późno w noc zabawiali. Powtórzyło się to w Kijowie, gdzieśmy mieszkali w jednym z domów prywatnych, wynajmowanych przez właścicieli na czas kontraktowy. Dom posiadał salon obszerny i pokoi kilka. Jeden z pokojów służył za sypialnię Juljuszowi i mnie, inne — innym; w salonie zaś gra w karty przerywała się rano, niekiedy aż około południa, nato ażeby wieczorem rozpoczynać się na nowo. Ponawiało się to dzień po dniu; stół otaczało osób po trzydzieści — czterdzieści, przeważnie Ukraińców z humańszczyzny. Ukraińcy z okolic innych, podolacy, woły-

niacy, zgromadzali się po domach innych. A wszędzie w karty grano — grano zawzięcie, bez wytchnienia w djabełka, faraona, sztosa. Zauważyłem wieczora pewnego młodego szlachcica jakiegoś, który poniterował stojący, nogę jedną na krześle postawił i na kolanie łokciem wsparty, stawiał i parole giął. Spać poszedłem, wyspałem się i gdym nazajutrz wstał, znalazłem go w pozycji tejże samej. Stał, noga jedna na krześle, na kolanie łokieć wsparł i poniterował. Przypatrywałem się szałowi temu, alem udziału w nim nie brał. Juljusz grał, idąc spać, kiedym ja wstawał. Nie ryzykował się wszakże bezwzględnie. W dniu naszego do Kijowa przyjazdu wręczył mi pakiet, zawierający kilkadziesiąt tysięcy rubli, z zaleceniem, ażebym mu takowego nie dawał, chociażby mnie po kolanach całował.

— Ani na interes? — zapytałem.

— No... nie... — odrzekł. — Gdybym go u ciebie zażądał, nie dawaj, aż ci powiem, że to nie na karty...

Nie zgrał się zapewne, albowiem pieniądze te wziął u mnie pod koniec, kiedy już stoliki zielone złożone zostały.

Podczas kiedy towarzysze moi podróżni emocjom się oddawali, jam się na wolnego słuchacza do uniwersytetu podał i porozumiał z kolegami, których liczbę sporą w Kijowie znalazłem. Uczniowie niemirowscy zaludniali uniwersytet w liczbie znacznej. Zastałem Postępskiego, dwóch Kędrzyckich, dwóch Zaleskich (Włodzimierza i Zygmunta), Kopczyńskiego, Prażmowskiego, Strzelbickiego, Kaczyńskiego, Kłopotowicza i innych. Nająłem sobie kwaterę do spółki z Postępskim nieopodal od uniwersytetu, w dzielnicy zwanej Nowoje Strojenje, i uczęszczać zacząłem na wykłady, których uzupełnienia do egzaminu potrzebowałem, mianowicie zaś na matematykę czystą, astronomję i chemję. Tę ostatnią wykładał Fomberg. Za pośrednictwem kolegów niemirowskich zabrałem znajomości liczne z młodzieżą, pochodzącą ze stron kraju rozmaitych.

Uniwersytet Kijowski pod względem narodowości słuchaczy był w epoce onej przeważnie polskim. Polacy stanowili większość ogromną. Po nich szli Rusini, przezywani „Italjancami zadnieprowskimi“. Rosjan nie było prawie, kilku zaledwie: siostrzeniec generał-gubernatora, kuratora uniwersytetu, generała Bibikowa, oprócz niego Gurjew niejaki i paru jeszcze. Gurjewa wymieniam, zabrałem z nim bowiem za pośrednic-

twem Szlegla znajomość przypadkową, upamiętnioną pierwszem i jedynem, jakiego świadkiem byłem, morderstwem. Spotkałem się z nimi w Skarbowym ogrodzie („Kazionnyj sad"); noc była prześliczna, księżycowa; jeden z nich zaproponował przejażdżkę łódką po Dnieprze, który, odbijając w sobie księżyc i gwiazdy, roztaczał wspaniale u stóp naszych tonie kryształowe. Propozycja z ochotą przyjęta została. Zeszliśmy na brzeg rzeki ścieżką stromą i idąc wzdłuż brzegu, znaleźliśmy do słupka uwiązaną łódkę z rzuconemi we środku wiosłami. Gurjew do łódki wskoczył, wiosło pochwycił i wezwał nas do wsiadania. W chwili tej słyszeć się dało wołanie: „Stój, nie ruszaj", — nadbiegł człowiek, który celem przytrzymania łodzi nachylił się. Gurjew go wiosłem z siły całej w łeb grzmotnął. Odbiliśmy i popłynęli. Nie wiedzieliśmy, że człowiek ten, żołnierz dymisjonowany, na miejscu zabity został. Pływaliśmy długo po Dnieprze. O morderstwie dowiedziałem się w dni kilka później z ogłoszeń policyjnych; nie pamiętam, czym o niem ze Szleglem mówił; z Gurjewem nie mówiłem, bom go nie oglądał więcej. Zdaje się, że uniwersytet opuścił, był to bowiem jeden ze studentów błędnych, który w Rosji uniwersytety wszystkie obszedł i w uniwersytetach przez wszystkie fakultety przeszedł, nie trudniąc się czem innem, jeno kieliszkiem. Szlegiel z nim w bliskich pozostawał stosunkach, sam atoli w Kijowie czuł się wykolejonym, goniąc resztkami werwy burszowskiej, która już echa nie znajdowała.

Uniwersytet Kijowski pod względem konduity młodzieży uległ na niedługo przed przybyciem mojem zmianie radykalnej. Panująca dawniej a przez kuratora faworyzowana hulaszczość ustała. Zmianę tę sprowadziła młodzież sama, główny zaś wpływ wywarli Białorusini, którzy w liczbie trzydziestu chłopaków zdrowych i silnych przybyli razem z gimnazji mińskiej z powziętem w Mińsku postanowieniem zreformowania obyczajów uniwersyteckich. Zmowa ta poparcie w Kijowie znalazła i bez poparcia jednak była sama przez się dość silną i zdeterminowaną. Mińszczuki zagrozili, że będą kijami bili tych, co się oddadzą grze w karty, pijatyce i włóczędze po domach podejrzanych. Groźba poskutkowała. Rozpusta śród młodzieży znikła. Na miejsce jej weszła nauka, a z nauką polityka.

Niedopuszczenie w uniwersytetach polityki, w krajach zwłaszcza życia politycznego pozbawionych, jest rzeczą absolutnie niemożliwą. Wyradza się ona z nauki, z którą ma związek ścisły i bezpośredni, i owłada umysły młode, które nauka zaopatruje w materjał analizy krytycznej. Młodzież z materjału tego użytek robi, a użytek ten odpowiada nastrojowi chwili danej. Wynika to z natury rzeczy, i dlatego też zaradzić temu niesposób. Nastrój chwili młodzież żywo odczuwa; w kierunku tym rzuca się; niekiedy miarę przekracza; żądać od niej atoli, ażeby bądźcobądź pozostawała spektatorką lub słuchaczką obojętną, jest to żądać, ażeby w przeciągu lat dwudziestu pięćdziesiąt przynajmniej przeżywała i powściągała w sobie te do naprawiania złego porywy, które są zaczynem i warunkiem rozwoju moralności w łonie społeczeństw ludzkich, a które działają i w ludziach starych, ale z żywością przez wiek przytępioną. Młodzież jest młodzieżą zawsze i wszędzie; czuje się silną i do wszystkiego uzdolnioną; a tem silniejszą i zdolniejszą, że znajduje się w gromadzie i że w gromadzie tem łatwiej krążą hasła, pokazują się cele i formują doktryny. Słówko jedno — jedno nic — staje się nieraz szkołą, tu filozoficzną, ówdzie polityczną, gdzieindziej socjalną, stosownie do warunków i sytuacji, w jakiej się kraj znajduje.

W Europie na początku roku 1848 hasła ponętne wydawały rodzaj szumu głuchego, odbijającego się echem śród Polaków pod rosyjskiem panowaniem, pomimo że przeciwko nim specjalnie pogranicza obstawione były szczelnie gęstemi łańcuchami wart. Nie mógł prorok iść do góry, góra szła do proroka. Pochód jej rozpoczął się od chwili rzezi galicyjskiej, wynalezionej jako niezawodny środek leczniczy przez Bismarcka owoczesnego, księcia Metternicha. Środek ten sprowadził następstwa niezgodne z oczekiwaniem mężów stanu: nie zastraszył, ale rozbudził w zadrzemaniu pogrążone społeczeństwa, i z początkiem już roku 1848 zaznaczać się poczęły symptomy rozbudzenia wielce niepokojące.

Wieści o ruchach i rozruchach we Włoszech, które poprzedziły rewolucję lutową paryską, dochodziły wiadomości naszej. Przedostawały się one za pośrednictwem dzienników, ujętych w popręgi cenzury niemiłosiernej, ciekawej jako pomnik publicystyczny, w rodzaju swoim jedyny. Ciekawość jej

polegała na tem, że się publiczność wydoskonaliła w czytaniu gazet naopak. Wywiązywało się stąd podnoszenie doniosłości zdarzeń i dodawanie na domysł takich, które miejsca zgoła nie miały. Przypominam sobie wieść o powstaniu w Czernihowie, przyrównanem do dawnych buntów kozaczych. Wieść ta tak dalece jakiegoś na pensji wieku swego dożywającego generała zaniepokoiła, że wziął do domu studenta Polaka, jako rękojmię bezpieczeństwa osoby swojej. O papieżu i liberalnem działaniu, jakiem się zaznaczyły początki rządów jego, mówiono szeroko. Z ust imię Piusa IX nie schodziło. Na rachunek ten krążyła w Kijowie anegdota. Czegadajew, dowódca korpusu IV, kwaterujący w Kijowie, naczytawszy się i nasłuchawszy o Piusie IX, zapytał razu pewnego Bibikowa:

— „Pij diewiatyj!... Pij diewiatyj!... Skażitie, pażałujsta, kak jemu imia-otczestwo?“ [1]

— „Etakawo niegadiaja imieni-otczestwa znat' nie stoit...“ — Bibikow na to.

Niedziw przeto, że polityka zajęła młodzież w Kijowie.

A zachodziła przytem racja inna jeszcze, miejscowa.

Od czasu spisku, zwanego od nazwiska herszta domniemanego spiskiem Gordona, spisków żadnych nie było. Nie przeszkadzało to wcale posądzaniu o takowe młodzieży polskiej, która spowodu tego regularnie haracz dawała Minotaurowi, pochłaniającemu ją na Kaukazie. Rok prawie nie mijał, ażeby ilość jakaś studentów „w sałdaty“ nie szła. I to jednak od czasu niejakiego ustało. Zahuczała hulaszczość, która jako środek odwodowy służyła. Bibikow, gdy razu pewnego roztrząsał sprawkę o pohulankę z dziewczętami i pobicie szyldwacha, srodze to ostatnie młodym ludziom wyrzucał, dodając, że co do dziewcząt to rzecz mniejsza.

— I jam się, będąc młodym, za dziewczętami włóczył...

Syczugow, inspektor studentów, człek bez nosa i pułkownik gwardji, ile razy, wizytując kwatery studenckie, zastał młodzież przy kartach albo w towarzystwie płci odmiennej, ręce zacierał i powiadał:

— Niczewo... niczewo!... Zabawiajcie się, panowie, nie przeszkadzam.

[1] Nazwisko z imienia ojca. W autografie mylnie: „atieczestwo“, ojczyzna.

Praktykowanie tolerancji tego rodzaju sprowadziło przerwę w praktykowaniu oddawania „w sałdaty“ za domniemane spiski, albo poprostu za „złoumyszlennost'“. Nie wyszło to młodzieży na dobre. Ofiar Minotaurowi od lat kilku nie dawała, składając ofiary Wenerze, Bachusowi i Satyrom nieleśnym. Od lat trzech czy czterech o spiskach, a nawet i o „złoumyszlennosti“, mowy w odniesieniu do Polaków nie było. Zato zagadano o spisku pomiędzy Rusinami. Spadł on, niby grom w dzień pogodny.

Historja spisku onego, znana i wyjaśniona obecnie w sposób wyczerpujący, wykazuje, że był on ani trochę niegroźniejszy i bynajmniej dla państwa, porządku i spokoju publicznego nieniebezpieczniejszy, jak nasz niemirowski. Różnica pomiędzy jednym a drugim zachodzi ta, że w pierwszym udział wzięli mężowie po lat 13—15 wieku liczący, uczestnicy zaś drugiego dźwigali na grzbietach swoich po dwa zgórą krzyżyki. Należeli do onego: Kostomarow, Kulisz, Szewczenko; sądzono ich i skazano; sąd i wyrok sprawiły to wrażenie, że zmowa, w istocie swojej literacka i niewinna, urosła w podaniach do rozmiarów sprawy doniosłości wielkiej. Otaczała ją tajemniczość, mająca własność nadawania przedmiotom kształtów olbrzymich. Oddziaływało to szczególnie na Rusinów, którzy ani się domyślali istnienia sprawy ruskiej. Wstyd się im niewiadomości własnej we względzie tym zrobiło. Zamyślać poczęli o poprawie, upatrując drogę do takowej na drodze działania przez władze zabronionego, tajemniczego, słowem — spiskowego.

Rusini spisek zakroili, spisek prawdziwy, gruntowny, nacechowany jaknajwiększą zbrodnią stanu. Gdy atoli do czynu przystąpili, pokazało się, że rzecz podobną łatwiej zakroić, aniżeli dokonać. Odbyli pomiędzy sobą naradę jedną i drugą i zawnioskowali, że się we względzie tym poradzić kogoś należy: — kogóż, jeżeli nie Polaków? Któż spiskuje? Kto w rzeczy tej mieć może doświadczenia najwięcej? Od wniosku takiego do przeświadczenia, że Polacy mają spisek zawiązany i funkcjonujący, krok jeden tylko; od przeświadczenia zaś tego do chęci wejścia ze spiskiem tym w stosunki, do sprzymierzenia mającego się zawiązać spisku rusińskiego z głęboko ukrytym polskim — jeszcze bliżej. Na mocy wnioskowania, przeświadczenia i chcenia powyżej zaznaczonego Rusini roz-

patrywali się śród Polaków i upatrzyli sobie Postępskiego, który nie spiskował nigdy, ale z miny na spiskowca wyglądał: odznaczał się zimną krwią, umiejętnością milczenia i znienackowością dowcipu. Do niego się zwrócili z żądaniem nauczenia ich spiskowania i wprowadzenia w styczność ze spiskiem polskim. Postępski milczeniem nieistnienie instytucji tej pomiędzy Polakami pokrył i dał im odpowiedź wymijającą — puszczającą rzecz na delatę, czyniącą uczynienie zadość żądaniu zależnem od czegoś, czego nie wypowiadał wyraźnie. Otrzymałem o tem od niego w Krasnopółce zawiadomienie, połączone z wezwaniem mnie, ażebym do Kijowa przybywał wcelu załatwienia sprawy ważnej. Zawiadomienie to na pismie wyrażało się głucho. Postępski w czasie wakacyj r. 1847 do mnie przyjechał i opowiedział mi szczegółowo o stanie rzeczy, dodając, że trzeba, ażebyśmy Rusinom „coś“ pokazali i rękę im podali, I mnie się zdawało, że trzeba. Na ławach szkolnych pomiędzy kolegami pojedyńczymi i pomiędzy zbiorowościami ludzkiemi zawiązują się stosunki — i przyjazne, i takie jak pomiędzy ojcem moim a pełnomocnikiem Branickich, i inne. Owe inne wydały się mi możliwe.

W Kijowie przeto wszedłem odrazu na grunt przepaścistości politycznych. Koledzy moi niemirowscy dzięki procesowi z r. 1839, z którego sam jeden wyszedłem cało, mieli mnie za uzdolnionego specjalnie do spraw spiskowych i zrobili mi we względzie tym reputację, która mnie poprzedziła. Znajomi nowi widzieli w osobie mojej człowieka mało że nie opatrznościowego. Spowodu tego doznałem śród młodzieży przyjęcia uprzejmego, serdecznego i przyjacielskiego, a podszytego oczekiwaniem czynu, mającego zogniskować działalność obywatelską zastępu uczących się i nadać jej kierunek pożyteczności dla kraju. Taką dla mnie sytuację przesadną koledzy wytworzyli. Wszedłem w nią — wejść musiałem — z racji temperamentu, jakim mnie natura obdarzyła, a który mi przeszkadzał drogą legalną porządku i przyzwoitości iść ku zapewnieniu sobie na starość chleba kawałka.

Pierwszą tedy czynnością, do której przystąpiłem, było zawiązanie spisku. Dobraliśmy się w liczbie nie pamiętam jakiej, jak również przypomnieć sobie napewno nie mogę osób, które do zawiązku weszły. W każdym razie znajdował się

w nim Postępski. Jam się podjął napisania statutu, wedle którego związek dzielił się na trzy stopnie: ścisły, obszerny, i złożony z takich, którzy brać mogą i chcą udział w czynnościach ogólnych, niestanowiących zbrodni stanu, cechującej cel. Pierwszy siedlisko stałe miał mieć w Kijowie, drugi, mianowicie zaś trzeci, obejmował prowincję, na której szerzyć się miała propaganda zasad demokratycznych w połączeniu z propagandą czynu orężnego. W statucie nie brakło komy jednej z tego, z czego się składa materjał procesu, brzemiennego wyrokiem na śmierć, nie brakło bowiem nawet zaznaczenia dla propagandy celu śród urzędników cywilnych i w wojsku, szczególnie w wojsku. Napisałem statut ów, odczytałem związkowym stopnia pierwszego — przyjęty został. Przystąpiliśmy niezwłocznie do czynności, to jest do zorganizowania stopnia drugiego, do którego dobieraliśmy ludzi pewnych. Znalazło się ich dużo, między innymi: Kędrzyccy obydwa, Kopernicki Izydor, Szumowski, Korejwa, Waryński i inni, i inni. Porozumieliśmy się z Rusinami, udzielając im skazówek, do zawiązania spisku potrzebnych. Napisałem odezwę, która była zmienionym co do formy powtórzeniem memorjału czytanego w Kiwaczówce, i odezwę tę w kopjach odręcznych, sporządzonych przez wtajemniczonych, w ilości egzemplarzy paruset rozdaliśmy obywatelstwu na kontrakty zgromadzonemu. Brakło jednego tylko: tego, żeby czynność nasza wydała się i statut do rąk władzy się dostał, a byłaby i szubienica się ugarnirowała i Syberja udział swój dostała i armja kaukazka uzyskała żołnierzy, wykarmionych matematyką wyższą, naukami przyrodniczemi, medycyną, pandektami, filologją, filozofją. Takem się to do egzaminu na kandydata nauk matematycznych przygotowywał!

V

Z KIJOWA DO SOLNOKA

Nie zdradził się nasz związek kijowski, i było to dla nas szczęściem wielkiem, albowiem nagrzeszyliśmy tyle, ile tylko wobec skazujących w sołdaty i na Sybir sądów nagrzeszyć było można. Z grzechów, o ile mi się takowe przypominają, zanotuję niektóre. Należą one do zakulisowej kraju historji, do tej historji, która jest historją kraju właściwą, wzięły się bowiem z przyczyn, warunkujących bytowanie narodowe. Niewszystkie bez niejakich przeminęły następstw. Z następstw jedno wyraziło się podczas wyborów szlacheckich, które miały miejsce w ciągu kontraktów, czy też po kontraktach, — nie pamiętam. Przed wyborami na miesięcy parę objeżdżał szlachtę Juljusz Strutyński, adjutant przy Bibikowie. Strutyński, jako właściciel dóbr, wyborami interesować się miał prawo. Z tytułu tego szlachtę ukraińską namawiał usilnie do skorzystania z okazji wyborów i podania do cesarza adresu z wyrażeniem uczuć wiernopoddańczych i z prośbą o opiekę wobec nacisku z zagranicy idei wywrotnych. Szlachta, w sposób ten zaskoczona przez człowieka gładkiego i o przemawianie językiem półoficjalnym podejrzewanego, w wielkim znalazła się kłopocie. Nie wiedziała, co z fantem tym począć. Nam — spiskowcom — wydało się to rzeczą nieczystą bodaj dlatego tylko, że namowa od Strutyńskiego pochodziła. Postanowiliśmy niedopuścić do tego. Napisałem odezwę (pisanie odezw stało się specjalnością moją), rozesłaliśmy ją tak jak poprzednią, z tą jeno różnicą, że niektórym z obywatelstwa wręczaną była osobiście przez członków związku, między innymi Henrykowi Tyszkiewiczowi, marszałkowi guberskiemu. Tyszkiewicz przyrzekł adresu nie wywoływać. Przyrzeczenie podobne dali wszyscy, do których

się zgłaszano osobiście. Zachodziła jednak trudność jedna, polegająca na tem, co począć w razie, gdy propozycja Strutyńskiego w sali wyborczej wniesioną zostanie. Obywatele Polacy zobowiązali się niewnosić. Ale w gubernji kijowskiej posiadali majątki i Rosjanie. Z tych mógł ją wnieść który — a wówczas?... Sprawa ta wszystkich żywo zajmowała, mówiono o niej dużo, ale nie znajdowano rady. Zagrozić chcieliśmy śmiercią tym, ze strony których spodziewać się można było wniosku; ale się na chętce skończyło. Uskutecznienia zamiaru tego odradził Szczuka, adwokat, u którego do śniadania zasiadało codziennie prawie po kilku, niekiedy kilkunastu młodzieży uniwersyteckiej. Perswadował on, że jakoś się temu zaradzi. I zaradziło się. Na uczyniony przez Butowicza zdaje się wniosek, po którym w sali zapanowała cisza głucha, Szczuka głos zabrał i wytłumaczył, że adres, wyrażając uczucia wiernopoddańcze, znamionowałby, jakby cesarz o wiernopoddańczości szlachty kijowskiej wątpił; prośba zaś o opiekę oznaczałaby, jakby szlachta wątpiła o ojcowskiej Najjaśniejszego Pana troskliwości: byłby więc krokiem fałszywym i w stopniu wysokim stronie tak jednej, jak drugiej ubliżającym. Szlachta tłumaczenie to za dobre uznała — wniosek upadł, coby zapewne nie nastąpiło bez agitacji, jaką młodzież przeprowadziła, a przez którą zaznaczyła się inherencja jej do spraw obywatelskich. Dodało to nam otuchy. Założyliśmy bibljotekę studencką, złożoną z książek zabronionych, i organizować poczęliśmy zebrania-schadzki, mając na celu zaznajamianie się i szerzenie związku.

Najznaczniejsza ze schadzek tego rodzaju odbyła się wostatki, w Metropolicim lasku („Mietropolitieczeskaja roszcza"), w domu, służącym metropolicie za mieszkanie letnie. Ktoś z młodzieży porozumiał się z dozorcą domu tego i ten wynajął go nam na całą noc. Zapusty katolickie, wedle stylu starego, dłuższe są od prawosławnych o dni trzy. W jednym z dni tych, brnąc po śniegu, wyciągnęliśmy gromadkami po kilku za miasto i zebraliśmy się w ilości głów trzystu zgórą. Dom posiadał salony obszerne, było nam przestronnie i wygodnie. Zgromadzeniu nadaliśmy pozór zabawy karnawałowej, gwoli której złożyliśmy się na herbatę, wino, rum, ciastka i owoce. Celem wszakże była propaganda związkowa, streszczona i za-

dokumentowana niejako w mowie improwizowanej, przeze mnie wygłoszonej. Koledzy zasiedli w półkole, jam pośrodku stanął i mówił, a mówiąc, patrzałem w oczy szafirowe młodziutkiego studenta jakiegoś, który we mnie wzrok wlepił. Oczy te, duże, inteligentne a spokojne, i wyraz ich w pamięci mi pozostały. We trzydzieści lat później, w Genewie, znać mi dano, że jegomość jakiś przyszedł i w salonie na mnie czeka. Pospieszyłem na przyjęcie gościa; drzwi otwieram, wchodzę i uderzają mnie oczy, które sobie odrazu przypomniałem.

— W Kijowie!... — zawołałem.

— W Metropolicim lasku... — odpowiedział gość i wymówił nazwisko swoje: — Jachimowicz, doktor...

W r. 1848 znajdował się na pierwszym kursie, na medycznym fakultecie. Oczy jego w pamięć mi się wraziły z tej zapewne racji, że stanowiły oprawę niejako pierwszej, jaką w życiu wygłosiłem, mowy.

Krzątanie się nasze wydawało owoce pomyślne. Młodzież garnęła się, cisnęła do związku. Razu pewnego przyszedł do mnie Bobrzyński czy Bobrzycki, chłopak bardzo zacny i zdolny, ale utrapiony wzrostem malutkim i kompleksją wątłą. Należał on do gromady, grupującej się około ogniska centralnego, ale mu to nie wystarczało. Domyślał się czynności bardziej zbrodniczej i w takowej udział wziąć pragnął. Przedstawił mi to. Odpowiedziałem mu, że spełni obowiązek swój, jeżeli się chlubnie wywiąże z zadania, jakie wziął na siebie. Na to począł mi gorzkie czynić wymówki, powiadając, że pogardzamy nim dla wzrostu i postawy jego, wreszcie rozpłakał się i przede mną na kolana padłszy, jął mnie zaklinać, ażebym mu wyznaczył zadanie jaknajniebezpieczniejsze.

— Nie zważaj na to, żem ciałem ułomny!.. Czuję w sobie siłę ducha, zdolną przenieść wszystko, męczarnie nawet...

Podniosłem go i uspokoiłem.

Z chwilą zawiązania — powiedzieć chciałem: „sprzysiężenia“, aleśmy nie przysięgali i wogóle formalizmu spiskowego unikali — pozbyłem się skrupułów, trzymających mnie zdala od służby rządowej. Zamierzaliśmy przecie związek śród urzędników i w wojsku szerzyć. Powziąłem przeto postanowienie celem utrwalenia pobytu mego w Kijowie przywdziać na siebie skórę urzędową. W celu tym kołatać począłem do podwoi

służbowych, najprzód do kancelarji generał-gubernatorskiej. Napisałem więc podanie i stawiłem się na audjencji u Bibikowa. Bibikow petentów przyjmował stojąc. Podanie moje, ponieważ on bez ręki był, rozłożył przed oczami jego oficer jakiś w akselbantach. On je przeczytał i, do mnie się zwracając, rzekł:

— Z Odesy? Nie. Dla tych, co z Odesy, u mnie miejsca niema.

Odmówił mi dla racji tej samej, dla której dyrektor gimnazji białocerkiewskiej Szczęsnego nie przyjął. Odesa w Kijowie nie cieszyła się reputacją dobrą.

Odpalony z tej strony zwróciłem się w wojskową. Z podaniem i dokumentami udałem się do naczelnika kancelarji korpuśnej. W kancelarji doznałem odprawy takiej samej, jaką mi dał pełnomocnik Branickich, z tą różnicą, że rolę odprawcy odegrał „dienszczyk“, który patrzał na mnie z arogancją taką samą jak pełnomocnik, i do naczelnika dopuścić mnie nie chciał. Nie nalegałem.

Zakołatałem jeszcze w jedno miejsce: do korpusu saperów, których bataljon jeden stał w Kijowie. Nie liczyłem na powodzenie; zawiodłem się jednak. I generał, i szef sztabu okazali mi uprzejmość wielką, podanie moje przyjęli, dokumenty złożyć kazali i do kontroli mnie wciągnęli. Do służby wojskowej wstąpiłem, ale — że się tak wyrażę — nogą jedną, albowiem przy składaniu dokumentów nie dołożyłem dokumentu o szlachectwie mojem świadczącego, który miałem u siebie. Szef sztabu podjął się odwołać do heroldji i zażądać od niej przysłania wyciągu z ksiąg szlacheckich. Ponieważ księgi te znajdują się w Petersburgu, sprowadzało więc to zwłokę parumiesięczną. Dokument zachowałem u siebie dlatego, żeby się nie angażować ostatecznie, zwłaszcza zaś nie składać przysięgi przed wyklarowaniem się rzeczy, wysuniętych naprzód przez wypadki lutowe paryskie, o których wiadomość doszła nas w czasie, kiedym się do saperów podał. Przysięga mi zawsze zawadzała, bądźcobądź zawsze mi się pod postacią krzywoprzysięstwa przedstawiała. Wolałbym uniknąć ostateczności tej. Bez niej na sumieniu czułem się swobodnym w wybraniu drogi i powzięciu postanowienia. Dlategom ją odłożył i dalej na wykłady do uniwersytetu chodził.

Łatwo wyobrazić sobie, jakie wiadomość o wypadkach paryskich sprawiła na nas wrażenie. Nastąpiły niebawem wypadki wiedeńskie. Pod wrażeniem tem, zasilanem co moment wieściami nowemi, organizacja nasza jak na drożdżach rosła. Nie wiem, czy znajdował się Polak, słuchacz uniwersytetu, coby do niej nie należał. Rusini snuli rzecz swoją obok. Utrzymywaliśmy z nimi stosunki przyjazne, schodziliśmy się, śpiewaliśmy razem: „Hej, kto w lisi obizwysia", radziliśmy, aleśmy przeważnie zajęci byli sobą. Związek nasz wypełniał Kijów po brzegi, należało go wyprowadzić nazewnątrz, na prowincję. Nadchodziły święta wielkanocne, z okazji których wykłady uniwersyteckie zamykały się na tygodni parę. Młodzieży część znaczna do domów rodzicielskich się rozjeżdżała, a wyjeżdżając, brała na siebie obowiązek roznoszenia zasad związkowych. Obowiązek ten wziąłem na siebie i ja. Wyjechałem z Kijowa w towarzystwie Prażmowskiego na perekładnych, obydwaśmy podążali do Krasnopółki, gdzie on miał wuja, dzierżawiącego dział jeden na kollokacji. Za miastem wjeżdża się w piaski. Wózek pocztowy posuwał się noga za nogą, podążając za karetą sześcią końmi pocztowemi zaprzężoną, która się również powoli wlokła. Wysiadłem i puściłem się ścieżyną obok drogi, śród krzaków sosnowych udeptaną. Idąc, dopędziłem jegomościa jakiegoś, słusznego, chudego, niemłodego, mającego na sobie wojskowe spodnie i wojskową furażerkę. Gdym go mijał, zaczepił mnie, rzucając słów kilka o piasku. Odpowiedziałem mu. Od słowa do słowa zawiązała się pomiędzy nami rozmowa, która z ogólnikowej zmieniła się wprędce na szczegółową o wypadkach bieżących.

— Was uniwersytetczyków wypadki te żywo obchodzić muszą — odezwał się.

— Jak wszystkich — odpowiedziałem.

— Bardziej. Młodzież w razach takich ma zazwyczaj ważną do odegrania rolę...

— Nie w Rosji chyba — zauważyłem, przez wzgląd na odznaki i ton, zdradzające w interlokutorze moim oficera rangi wysokiej.

— Ach! i w Rosji — odparł. Rosja się opiera bijącym w nią prądom, kto wie jednak, jak długo opierać się zdoła. Historja nie próżnuje. Prowadzi ona naprzód ludzkość całą

drogą postępu i niemasz racji słusznej, ażeby na nią nie wprowadziła i Rosji. Na drodze tej trafiają się rzeczy różne, jak naprzykład rewolucje.

— Czyżby rewolucja w Rosji możliwą była!... — zawołałem.

— Czemu nie, tem bardziej że przywiązała sobie do boku zaczyn rewolucyjny w postaci Polski.

W ten sposób i tym tonem rozmowa toczyła się i rozwijała. Towarzysz mój wygłaszał poglądy, nacechowane sądem o rzeczach wytrawnym i śmiałym, a usprawiedliwiającym te nadzieje i widoki, które nam, młodym, piersi rozdymały. Jam się ośmielił i otwarcie mówić zaczął. Rozmowa ta, na którąm się przypadkiem natknął, żywo mnie zajmowała, tak że mi żal za nią się zrobiło, gdy kareta i wózek pocztowy na twardy weszły grunt. Interlokutor mój dłoń mi podał i ja, żegnając się z nim, powiedziałem mu nazwisko moje, dodając zapytanie:

— Z kimże miałem zaszczyt?

— Dannenberg, generał.

Nazwisko to było mi nieznane. Słyszałem je i później, alem się z człowiekiem, noszącym takowe, nie spotkał więcej. Rozmowa mi się w pamięci jako swego rodzaju osobliwość zanotowała.

Osobliwość rodzaju innego spotkała mnie w Hrebenkach, na trzeciej od Kijowa stacji pocztowej. Odbywał się tam jarmark. Kiedy konie zmieniano, wyszedłem na targowicę celem rozprostowania nóg. Prażmowski przy tłumokach pozostał i na powrót mój dwie godziny czekał. Perekładnę dla nas przygotowaną oddano podróżnemu innemu. Niecierpliwił się, gniewał i zgorszył się, gdy za powrotem moim na zapytanie, gdziem siedział, odpowiedziałem mu, żem się na targowicy mołodycom przypatrywał. Piękność kobiet wiejskich tak mnie zachwyciła, żem się zapomniał i miarę czasu stracił. Napatrzyć się dosyć nie mogłem Ukrainkom, od których piękniejszych niema chyba na Rusi całej.

W Taraszczy — osobliwość nowa. Na środku rynku uderzył mnie słup czarny z ramieniem. Odgadnąć nie mogłem, na jakiby użytek słup ten służył mógł, zapytałem więc pocztyljona:

— Co to?

— Szubienica. — odpowiedział.

— Na kogo?

— Na Polaków.

Był to wystawiony postrach, jak się stawiają postrachy na wróble.

W Krasnopółce stanęliśmy nazajutrz. Zastałem w domu usposobienie niewesołe spowodu zmiany, jaka nastąpiła. Jurysdator wypuścił wieś w dzierżawę szwagrowi swemu, i ojciec mój znów się przenosić musiał. Trafiła się mu wioska pod Niemirowem, Sażki czy Szaszki, w dobrach Bolesława Potockiego. Wyszukała ją ciotka Jeleńkowska, która pragnęła mieć siostrę, matkę moją, blisko siebie. Ojca irytowało to, że wchodził w stosunki z bratem rodzonym Mieczysława Potockiego, który go tak okrutnie skrzywdził. Rady jednak nie było. Do Szaszek wyprawił inwentarz i ekonoma, sam zaś przeprowadzić się miał po świętach, po ukończeniu omłotu zboża i oddania kupcowi ziarna.

W Krasnopółce ojcu memu wiodło się nieźle. Urodzaje dobre następowały rok po roku i w roku jednym doszły do tego, że na morgu żęto pszenicy po kóp szesnaście. Zboże trzymało się w cenie. Stosunki z sąsiadami i z włościanami ułożyły się zadowalniająco. Co do tych ostatnich, to jest do stosunków z włościanami, na rachunek ojca mego do zakarbowania jest czyn obywatelski. W r. 1847, nie wiedzieć skąd i dlaczego, rozeszła się była wieść, że na Wielkanoc przysposabia się wielka rzeź szlachty. Wieść ta przybierała rozmiary corazto groźniejsze, w miarę jak się zbliżały święta, i sprawiła wkońcu to, że na dni parę przed świętami popłoch wymiótł szlachtę nieco zamożniejszą z siół do miast i miasteczek, zaopatrzonych w siłę orężną. Bogatsi wcześniej trochę wynieśli się aż do Odesy, inni później do Granowa, Hajsyna, Humania. W Wielki Piątek, wracając skądeś przez Humań, spotkałem się tam z paru sąsiadami, którzy mocno powstawali na ojca mego za „dziwactwo“ pozostawania śród chłopstwa. Nazywali to uporem i gorzej. Pospieszyłem do domu. W Oradijówce zatrzymałem się dla wytchnienia koniom przed karczmą, pamiętną tem, że w niej cesarz Aleksander I odpoczywał. Zdziwiłem się, ujrzawszy przed nią tłum ludu. Furmana mego, co, kieliszek gorzałki wypiwszy, wracał, zapytałem, coby to znaczyć miało.

— A to — odpowiedział —, paniczu, powiadają, że my was rżnąć będziemy.

Słowa te bliżej stojący chłopi usłyszeli i, podchodząc powoli, bryczkę moją otoczyli. Jeden, w oczy mi patrząc, ramionami wzruszył i rzekł:

— Powiadają.

— Cóż wy na to? — zapytałem.

— A cóż. Słuchamy.

— Rżnęlibyście może, ale niema kogo.

Uśmiechali się i głowami kiwali.

Oradijówka należała do dwóch panów. Obydwa z rodzinami do Humania się wynieśli.

Z tem wszystkiem markotno mi było. Tęgim kłusem pospieszałem do domu i, gdym przyjechał, zastałem matkę w niepokoju ogromnym. Niepokoiły ją wieści groźne. Jak skoro mnie ujrzała, wnet mi o ojcu mówić poczęła, o uporze jego, który nazywała niepojętym, i zażądała ode mnie, ażebym mu wyperswadował. Poszedłem do niego. Chodził po pokoju z rękami wtył założonemi; zaledwiem usta otworzył, stanął, palec podniósł i rzekł:

— Wolę, ażeby mnie chłopi zarznęli, niż żeby mnie bronić miało... wojsko.

Podobała mi się ta demokratyczność postanowienia. Perswadowałem nie ojcu, ale matce, starałem się ją uspokoić. Doczekaliśmy się Wielkiej Nocy i doznaliśmy tej satysfakcji, żeśmy wbrew wszystkim rację mieli. Podwórze zapełnił tłum chłopów, którzy wedle zwyczaju przyszli z powinszowaniem i upominkami. Była o rzezi mowa. Pokazało się, że wieść tę szlachta sama stworzyła i w obieg puściła. Zlękła się cienia własnego. Prześladowało ją widmo, wylęgłe w wypadkach galicyjskich r. 1846.

Od Wielkiej Nocy owej upłynął rok, kiedym z Kijowa przyjechał. Tym razem rzeczy odmienną przybrały postać. Miejsce obawy zajęły nadzieje; zamiast o rzezi chłopskiej mówiono o wypadkach europejskich, liczono na takowe, czyniono kombinacje rozliczne i zgadzano się powszechnie na to, że szczęście ażeby przyszło, należy mu rękę podać. Do wniosku tego przyczyniała się w części znacznej działalność władz krajowych. Nakazano złożyć wszelki, jaki kto ze szlachciców posiadał, oręż palny i sieczny. Tego było dosyć, ażeby każdy starał się oręż posiadany ukryć i nowy nabyć, a przytem konie wierzchowe

specjalną otoczyć troskliwością i siodła opatrzyć. Nakazy podobne mają znaczenie prowokacyjne. Znalazłem na prowincji przysposabianie się nie do ruchu samoistnego, ale do poparcia ruchu, mającego przyjść zzewnątrz. Manifestowało się ono rozmaicie: tu spokojnie, ze względem jedynie na to, ażeby wypadki znienacka nie zaskoczyły; ówdzie w sposób gorączkowy, z niecierpliwością; gdzieindziej śmiesznie i głupio. Szlachcic pewien, którego nazwiska, spowodu że nie jestem pewny onego, nie podaję, a któremu zawadzały zaprowadzone przed rokiem prawidła inwentarskie, regulujące robociznę pańszczyźnianą, zarządził zmłockę wbrew regulacji. Chłopi na toku się zeszli, lecz do roboty brać się nie chcieli. Uwiadomiony o tem szlachcic na tok idzie i zapytuje, co to znaczy.

— Car... ukaz... — bąkać poczęli zapytani.

— Co tam car! — zawołał szlachcic głosem podniesionym. — Car sam za tydzień będzie tu u mnie na toku młócił.

Patrjota ten za powiedzenie to do kozy się dostał, — odwieziono go do Kijowa; padł ofiarą głupoty własnej. Powiedzieć jednak na pochwałę szlachty naszej należy, że patrjoci tego rodzaju trafiali się wyjątkowo. Nastrój ogólny prowadził do czekania na wypadki w pogotowiu. Juljusz kupił ze stadniny Sanguszki dwa konie: jednego siwego dla siebie, drugiego kasztanowatego dla mnie. Kiedym mu o celu wyjazdu mego z Kijowa powiedział, zaprosił do siebie kilka osób: Hulanickiego Feliksa, Zapolskiego Jana, Trzcińskiego i innych; przedstawiłem im rzecz i postawiłem wyraźnie kwestję powstania, które wydawało mi się możliwem i potrzebnem. Kwestja ta usunięta została na plan drugi — na później, na „zobaczymy, niechajno!".

— Czekajmy w pogotowiu.

— Na co? — zapytałem.

— W Galicji organizuje się gwardja narodowa.

Mnie gwardja owa, o której krążyły wieści głuche, wydawała się podnietą do działania natychmiastowego; oni znajdowali w niej powód do czekania. Nurtowało we mnie wrzenie wewnętrzne. Racji im przyznać nie chciałem, ustąpić jednak musiałem, pocieszając się jeno zapewnieniem, że pora czekania obróconą zostanie na przysposabianie kadrów po powiatach.

Widziałem się z Bolesławem Popowskim, który służył

w ułanach. Przez niego zapoznałem się z kilkoma oficerami pułku wozneseńskiego, między innymi z Edwardem Rulikowskim i z rotmistrzem, którego nazwisko z pamięci mi wypadło. Według nich pułk był do wzięcia. Zobowiązywali się myśleć o tem, sondować oficerów i ujmować sobie podoficerów.

Przyznać sobie muszę, żem czasu świątecznego nie stracił. Po świętach do Kijowa spowrotem ruszyłem. Nająłem sobie chłopa i ten wiózł mnie krótszą drogą na Tetijów. Uczyniłem to dlatego, ażeby poznać usposobienie ludu. Sposób ten nie doprowadził do niczego, naraził mnie jeno na noc bezsenną, spędzoną w karczemce w polu, w której na nocleg stanąłem. Karczmarz posłał mi w alkierzu, a w izbie szynkowej chłopi pili, hałasy czynili i namawiali jeden drugiego:

— Ano, chodźmy, zbudźmy Laszka... Zbudźmy go... My nie śpimy, on śpi... Zbudźmy go, niech nam gorzałki postawi...

O ile jednak, tak w Krasnopółce, jak wogóle, zauważyć mogłem, usposobienie nie było względem szlachty nieprzychylne. Chłopi zdawali się nie wiedzieć o niczem, luboć później przekonałem się, że wiedzieli. Powiem o tem na miejscu swojem.

W Kijowie na wstępie samym spotkała mnie niespodzianka niemiła. Zajechałem wprost na kwaterę, na której przed świętami mieszkałem, z zamiarem zamieszkania w niej na nowo. Gospodyni, mieszczanki kijowskiej, w domu nie było. Zastałem córkę jej, dziewczynę młodą, która mi oznajmiła, że się o mnie policja rozpytywała, że rysopis mój podyktować i o powrocie moim zawiadomić kazała.

— Kto rysopis dyktował? — zapytałem.

— Ja... — odrzekła.

— No?

— Powiedziałam, żeście czarniawy, słuszny, cienki, że macie brodawkę na nosie.

— Czemuż taki! — zawołałem.

— Ażeby was policja nie poznała...

Dziewczyna podała rysopis mój fałszywy. Mimo to wiadomość ta niedobrze wróżyła. Podziękowałem dziewczynie za ostrzeżenie i udałem się do Kędrzyckich, którzy zajmowali dwa pokoje. Dowiedzieć się chciałem, czem mogła osobistość moja policję zainteresować. Wiadomości tej zasięgnąć było można

za pośrednictwem urzędnika pewnego, pozostającego z nami w stosunkach, spowodu że brat jego na uniwersytet chodził. W dni parę później rzecz się wyjaśniła. Policja poszukiwała autora odezw i zwróciła na mnie uwagę z powodu z odezwami w najmniejszym niepozostającego stosunku. Ktoś w cukierni Pfeifera wyciął z gazety manifest cesarski, zaczynający się od wyrazów: „S nami Boh, pokoriajtiesia jarycy“ [1]. Posądzenie padło na mnie i zbrodnia ta posłużyła za wskazówkę w poszukiwaniu autora. Dlaczego posądzenie na mnie padło, jest to dla mnie zagadką. Było ono niesłusznem; wiązało się jednak z podejrzeniem, które, chociażby nie doprowadziło do dowiedzenia mi autorstwa odezw, w każdym razie narażało mnie na proces, połączony z więzieniem Bóg wie jak długiem. Myśl o więzieniu w momencie tym przerażała mnie. Dać się obezwładnić w chwili, kiedy świat ruchem wrzał, wydawało mi się czemś takiem, od czego, gdyby mnie spotkało, głowębym sobie o mur roztrzaskał. Wzgląd ten nasuwał się na myśl nie mnie tylko. Uwagi, które czyniłem sam sobie, czynili mi koledzy wszyscy, którzy urządzili rodzaj warty około osoby mojej. Do więzienia jednak dostałbym się prędzej-później. Groziło mi to nie dziś, to jutro, i to w całym generał-gubernatorstwa kijowskiego obrębie, a może i poza nim. Perspektywa ta przyjemności mi zgoła nie czyniła, tem bardziej że się poza nią odsłaniała inna, ponętna, powabów zagadkowych pełna a rozległa, szeroka jak świat. Droga do niej była gotowa. Wskazywała mi takową tradycja rodzinna.

Nie przypominam sobie, czym ja pierwszy, czy z kolegów który nasunął mi myśl odgrodzenia się od wrót więziennych granicą galicyjską. Myśl ta urodziła się w Kijowie. Umówiłem się z kolegami, że w Galicji będę delegatem związku, obowiązanym pamiętać o nim i wprowadzić go w styczność z tem, co się tam robi. Wydawało się nam, że się tam sposobi czynność wojenna, mająca się zwrócić ku nam. Do czynności tej, bez przesady powiedzieć mogę, rwała się dusza moja, zwłaszcza mając na widoku więzienie. Umówiwszy się przeto, ogadawszy — jak mi się zdawało — wszystko, pożegnałem

---

[1] Manifest Mikołaja I z 19 III 1848 przeciw rewolucyjnym ruchom: „Z nami Bóg, rozumiejcie ludy i korzcie się“...

kolegów, którzy się zobowiązali dzieło rozpoczęte utrzymywać i dalej prowadzić, i opuściłem Kijów. Wyjechałem bryką żydowską, którą nająłem do Lipowca. Pod Lipowcem mieszkał Juljusz. U niego dowiedziałem się, że ojciec mój, zapytywany z urzędu o mnie, odpowiedział, żem do Kijowa pojechał. Udałem się więc do rodziców, do Szaszek, i miesiąc zgórą przemieszkałem częścią pod Niemirowem, częścią pod Lipowcem, przerzucając się z miejsca na miejsce, jak zając, zaskakujący tu i ówdzie przez ostrożność. Ostrożność, jak się zdaje, zbyteczną nie była.

Ku granicy ruszyłem z Niemirowa, od ciotki Jeleńkowskiej, przyjechawszy do niej wczesnym rankiem. O świcie prawie żegnałem rodziców. Ojciec wiedział o celu podróży mojej, którego nie wyjawiałem matce z obawy o wątłe jej zdrowie. Matka jednak snadź przeczuwała, obłogosławiła mnie bowiem i czułem na czole mojem łzy jej. Rodzeństwo młodsze w łóżkach zostawiłem. Dotychczas w oczach mi stoi jasna siostry najmłodszej, Leonidki, główka, która, gdym ją w czoło całował, zbudziła się i senna z uśmiechem na szyję moją rączęta zarzuciła. Józef, Jan, Szczęsny, Justynjan nie wiedzieli, co pożegnanie moje znaczy, inaczej bowiem dwaj starsi byliby mi towarzyszyć chcieli. Wiedziała siostra, Bronisława. Ostatnia z bliskich mi istota, z którą się żegnałem, była Józefa Jeleńkowska, moja prawie narzeczona. Płakała. Żegnałem ją:

— Dowidzenia za lat najdalej... cztery.

Wydawało mi się niepodobieństwem, ażebym, w razie gdybym przy życiu pozostał, przed czterma laty spowrotem w domu nie był. Zaręczało mi to przeczucie, które okazało się zwodniczem.

— Będę na ciebie czekała — odrzekła.

— Nie dłużej...

— Ach... chociażby jaknajdłużej...

Przyrzeczenie to bożek miłości strzałą z wiadomego kołczana na wodzie zapisał. Nim lat cztery minęło, dowiedziałem się... „tfu, że zamąż poszła“ — i to w roku, w którym przyrzeczenie dokonanem było.

Nie przewidując tego, uniosłem w sercu żal wielki z rozstania i w bryce żydowskiej, co mnie uwoziła, długom się utulić nie mógł z żalu za wszystkimi, co mi drogimi byli: za ojcem

i matką, za braćmi i siostrami, i za nią. Żal mnie ten nie opuszcza dotychczas, mimo że lat tyle minęło i że w chwili, kiedy słowa te piszę, wszyscy ci, do których się on odnosi, z wyjątkiem jednej tylko istoty, siostry mojej Bronisławy, w grobie już legli. At!...

Podróż moja odbywała się pomyślnie. Celem onej były Jakimowce, wieś w krzemienieckiem, własność ojca jednego z kolegów moich odeskich, Zygmunta Małachowskiego. Podążałem na Winnicę, Lityn, Stary Konstantynów i Jampol. Zygmunta w domu zastałem. Rad temu byłem i on mi był rad. Poznałem rodzinę jego, składającą się z rodziców i dwóch braci. Nie sprawiła ona na mnie wrażenia dobrego. Czuć się dawało coś niby zwichnionego w ojcu bez nosa, w matce elegantce przeżytej, w bracie starszym, co na uniwersytecie w Kijowie był, i młodszym, który szkół żadnych nie zaznał, młodych ludziach, dorodnych, pięknych, zdrowych, a lekkomyślnych, rozrzuconych, mających na ustach ustawicznie posagi, w rękach karty. Karty stanowiły męskiej części rodziny zajęcie główne i stałe. Preferans ze stolika nie schodził i wieńczył się zazwyczaj sztosikiem. Grać musiał każdy, co się trafił, w braku zaś gości grał ojciec z synami, wpadał bez trzech, czterech na osiem i płakał — synowie się śmieli. Nieład stanowił ton w domu tym panujący; duszność jakaś czuć się dawała, a przecie był to dom szlachcica zamożnego, właściciela wsi pięknej, wychowańca Liceum Krzemienieckiego. W rodzinie Zygmunt niby brylant świecił, wyróżniał się, jakby do niej nie należał. Punktem jedynym, w którym się z nią schodził, był stolik zielony. Oprzeć się pociągowi, jaki stolik ów wywiera, przechodziło snadź siły jego.

Z Zygmuntem otwarcie mówiłem o robotach kijowskich i w tym celu nawet Jakimowce jako punkt rekonesansowy do przejścia granicy wybrałem. Zobowiązałem go do zajęcia się propagandą i organizacją. Równocześnie ze mną przyjechał po ukończeniu uniwersytetu w Dorpacie Mogilnicki, młody człowiek, który sprawił na mnie wrażenie jaknajlepsze. We trzech analizowaliśmy sytuację krajową i objeżdżali miejscowości historyczne. Zwiedziliśmy Krzemieniec, Wiszniowiec, Poczajów i pobrzeża Horynia. Dobrze nam było razem. Miejscowości te nadawały się na teatr do zasnuwania dla Polski wido-

ków na przyszłość. W Jakimowcach przeszkadzali goście i karty. Zabawiłem tam dni kilka, w ciągu których za pośrednictwem Zygmunta zetknąłem się z Soterem Witwickim, czy Witowskim, mieszkającym w Roztokach, wsi ogromnej, górzystej, położonej nieopodal od granicy. Soter ów miał stosunki z kontrabandzistami, znał się z nimi i podjął się ułatwić mi przeprawę za dni kilka. Jak się to odbywa, pojęcia nie miałem. Szukałem zrazu drogi innej przy pomocy ułanów pułku wozneseńskiego, który z Hajsyna wysłany został na granicę i rozlokowany wzdłuż takowej po wsiach, kwatera pułkowa w Radziwiłowie. W celu tym do Radziwiłowa jeździłem i Bolesława Popowskiego odszukałem o milę stamtąd, w wiosce pogranicznej, na kwaterze u dzierżawcy nazwiskiem Jabłonowski czy Jabłoński, kawalera, człowieka młodego. Kwaterowało tam kilku innych jeszcze oficerów i rotmistrz ów, o którym powyżej wspomniałem. Zostałem u Bolesława na noc. Zwieczora preferans był na stole. Grze asystował bez brania w niej udziału szlachcic jakiś, słuszny, barczysty, wąsaty, łysawy — jak się zdaje, właściciel majątku. Preferans ciągnął się jeno do kolacji, po kolacji szlachcic ów pokazał odniechcenia niby książkę i zaproponował głośne onej czytanie. Bolesław na mnie jako na dobrego czytelnika wskazał. Książka były to nieznane mi jeszcze *Wieczory pielgrzyma* przez Stefana Witwickiego. Odczytałem parę rozdziałów początkowych, w których autor chłoszcze zawzięcie Francuzów. Szlachcic zapytał, jak się to nam podoba. Jednozgodnie chwaliliśmy autora. Szlachcic głos zabrał i jął się Witwickiego krytykować za poglądy tak ogólne, jak szczegółowe. Krytyka jego wychodziła z punktu obywatelskiej pomiędzy narodami równości, mocno przez Witwickiego szarpanej, i zasilaną była argumentami i rozumowaniem, świadczącemi, że człowiek ten umiał i myślał dużo. Zafrapowało mnie to mocno. Rozmowa przeszła na materję inną. Rotmistrz zaprosił nas nazajutrz na musztrę, zapowiadając, że ćwiczyć będzie żołnierzy i konie w skakaniu przez barjerę. Poszliśmy spać. W dniu następnym rano mieliśmy widowisko, które nas rozweseliło wielce. Szwadron uszykował się frontem rozwiniętym; przed szeregiem, w odległości kroków półtorastu położono na ziemi słomą obwiniętą barjerę; rotmistrz zakomenderował: „po jednemu od prawego“; jeźdźce

wysuwali się jeden za drugim; pięć koni skoczyło i z każdego jeździec spadł.

— Stój! — zagrzmiała komenda rotmistrza.

— Hm... to dobrze... — odezwał się szlachcic i wezwał nas na przechadzkę pomiędzy łany zbożowe. Szliśmy powoli, gawędząc, aż w punkcie pewnym szlachcic się zatrzymał, rękę wyciągnął i, wskazując otoczone tumanem sinawym bory, powiedział nam, że to Galicja.

— A w Galicji?... ktoś zapytanie rzucił.

— Ha, dobijają się ludziska swobody...

Wywiązała się stąd rozmowa o wypadkach, z której on wziął asumpt do streszczenia teorji demokracji republikańskiej. Wyłożył jasno i zwarł w uroczyście wyrzeczonych wyrazach:

— Bóg i lud!

Później dowiedziałem się, że była to dewiza Mazziniego. Wówczas nie wiedziałem o tem. Wyrazy te wywarły na mnie wrażenie objawienia, albo zstąpienia na mnie Ducha Świętego. Przejrzałem niby. Dla rozstrzelonych a mostami sylogistycznemi powiązanych przekonań moich znalazł się wyraz konkretny. Włożył mi takowy w głowę szlachcic jakiś nieznajomy. Nie spotkałem się z nim od chwili tej nigdy w życiu i nie wiem, jak się nazywa. Może on — ale nie... Chciałem go przyrównać do również nieznajomego, na drodze spotkanego generała Dannenberga, który miał przekonania dwojakie: inne własne, inne służbowe. Uwaga ta sceptyczna przychodzi mi na myśl dziś; wówczas atoli, kiedym miał lat dwadzieścia cztery i wierzył ludziom na słowo, wyrazy te zapadły mi w duszę głęboko i stały się w niej światłem polityczno-filozoficznem.

O stanie rzeczy w Galicji mniejwięcej wiedziałem ze źródła pewnego, bo od Marcina Tarnowskiego, pułkownika, który w Podberezcach dostawał sposobem przekradanym gazety lwowskie, dosyłane mu z Seredca od Turkuła. Powziąłem lepsze aniżeli w Kijowie i w Niemirowie wyobrażenie o gwardji narodowej i radach narodowych. Przedstawiały się mi one nie jak wojsko polskie i nie jak rząd polski, za co uchodziły w oddaleniu. Uważałem je, jak zresztą uważali wszyscy, sami Galicjanie nawet, jako prolog do dramatu, który się odegrać musi koniecznie. Przewaga imaginacji młodzieńczej nad rozumem przewidywać mi nie dawała długości międzyaktu pomiędzy

prologiem a akcją samą. Wydawało mi się, że nie będzie wcale spuszczenia kurtyny, i dlatego rwałem się zagranicę.

Nie pamiętam dokładnie daty, w której do Roztoków przyjechałem. Było to w lipcu chyba, przypominam bowiem sobie, że zboża jeszcze na pniu stały, tylko owsy wczesne półkopkami się po polach znaczyły i ułani snopy kradli. Z Roztoków wyjechałem do Krzemieńca w towarzystwie Sotera; z Krzemieńca wieczorem wracając, Soter od punktu pewnego jechać kazał stępem, pokaszlując i pochrząkując w sposób szczególny od czasu do czasu i oglądając się. Noc była księżycowa pierwszej kwadry. Nagle na chrząknięcie chrząknięcie odpowiedziało; Soter kozakowi, co powoził, konie zatrzymać kazał; spoza krzaka przy drodze wysunęła się postać chłopska i do bryczki przystąpiła. Pomiędzy nią a Soterem nastąpiła krótka słów zamiana, z której się dowiedziałem, że chłopu na imię Fed'. Ten ostatni, mowę do kozaka zwracając, odezwał się tonem upominającym:

— Ale, słuchaj... ty... ani słówka...

— Bodajby mnie krzyż ten pobił — odrzekł kozak, palce na krzyż składając, — jeżeli słóweczko pisnę...

— No... — Soter do mnie.

Jam mu dłoń uścisnął, z wózka wyskoczyłem; on zawiniątko moje podał Fediowi, który, zapytawszy, czy niema czego więcej, do worka je wrzucił.

Więcej nie posiadałem nic. Do Jakimowiec przyjechałem z tłumokiem sporym, w którym miałem garderobę, bieliznę, pościel i kilkanaście dzieł matematycznych. Z książkami matematycznemi woziłem się, jak ksiądz z brewjarzem, i zaglądałem do nich często, często bowiem po głowie mi się snuły zadania i formuły, wymagające zaglądania do reguł, mówiących o funkcjach i szeregach, o znakach i figurach, o przypuszczeniach i podstawieniach. W Jakimowcach rozstałem się z tem wszystkiem. Surduty, frak, kamizelki etc., jakoteż i książki poleciłem Zygmuntowi sprzedać i wyręczone stąd pieniądze obrócić na fundusz zakładowy, służyć mający do założenia bibljoteki obiegowej w krzemienieckiem. Nie wiem, czy się to zrobiło. Ze sobą zabrałem jeno dwanaście koszul webowych i innych części bielizny potrosze, tyle, ile potrzeba było, ażeby nie brakło i nie ciężyło. Fed' worek z zawiniątkiem mojem na plecy sobie zarzucił:

— Chodźmy...

Poszliśmy.

Myślałem, że idziemy do granicy. Myśmy się udali do wsi jakiejś. Gdyśmy weszli na podwórko jednej z chat, Fed' przemówił do mnie:

— Miesiąc niebawem zajdzie, spocznijcie sobie tymczasem...

Ukazał mi miejsce pod gruszą na koziołku do strugania obręczy, sam do chaty wszedł; po chwili wyniósł wódki we flaszce i chleba kawałek. Wódki się napiłem, za chleb podziękowałem, powieczerzałem bowiem należycie w Krzemieńcu. W pół godziny później Fed' zjawił się w towarzystwie młodego, smukłego parobka i wezwał mnie do pochodu. Przez ogród wydostaliśmy się w pole i puściliśmy się krokiem szybkim, zrazu wyprostowani, następnie wpół zgięci. Przechodziliśmy przez zasiewy różne, tu hreczka, ówdzie proso lub jęcznień, przemknęliśmy się przez drogę i wpadli w las, w którym Fed' kazał mi siebie za połę trzymać, spowodu że w lesie ciemność, choć oko wykól, panowała. Gdym go za połę ujmował, zapytałem pocichu:

— Daleko jeszcze do granicy?

— My zagranicą już. — odparł. Ale tu jeszcze na legra[1] natknąć się można...

Gdyśmy lasem kawał spory uszli, Fed' z akcentem triumfu odchrząknął i głośno się odezwał:

— O, tu już sobie zakurzyć możemy...

Pod drzewem usiadł, fajeczkę nałożył, ognia do hubki wykrzesał i woń bakunu w powietrzu się rozległa. Jam siedział obok niego. Mówiliśmy ze sobą, nie pamiętam o czem, bodaj czy nie o tytoniu, którego ładunek spory nieśli w worach przewodnicy moi ze sobą. Posiedziawszy trochę, ruszyliśmy dalej i doszliśmy niebawem do chaty leśnika, którego Fed' rozbudził, konia mu zaprząc kazał i, parobka z tytoniem w chacie zostawiwszy, powiózł mnie drożyną leśną. Drożyna wyprowadziła nas w pole. W polu dzień świtać począł. Rozwidniło się na dobre, gdyśmy wjechali do wsi, rozrzuconej poniżej dworu pokaźnego, stanowiącego wraz z ogrodem obszernym pejzaż

---

[1] Jegra — strzelca austrjackiego.

ponętny. Przed bramą zatrzymaliśmy się. Fed' zawiniątko moje wyjął i poprowadził mnie do stojącej wyżej aniżeli dwór oficyny ze schodami i gankiem.

— Śpią wszyscy — odezwałem się, gdyśmy na ganek weszli.

— A... pan nie śpią... — odrzekł Fed'.

Jakoż, jak skorośmy wyrazy te ze sobą zamienili, drzwi się otworzyły i we drzwiach ukazał się jegomość siwy, na twarzy czerwony, żwawy, i witać się jął Fedia, jak dobrego znajomego.

— A co tam przynosisz dobrego? zapytał.

— A o... — odrzekł, na mnie wskazując i karteczkę mu od Sotera wręczając.

Jegomość, zukosa na mnie okiem rzuciwszy, dalej z Fediem mówił. Wypytywał go o jakiegoś starego, o coś jeszcze, wreszcie się odezwał:

— Gazety mam gotowe. Poczekaj.

Za drzwiami zniknął i wnet się znów zjawił ze sporym pakietem w ręku.

— Pisma niema? — Fed' na to, pakiet biorąc.

Nie pamiętam, co jegomość odpowiedział; po odpowiedzi zapytał:

— Cóż tam słychać?

— Cóż? Zawsze jedno... Moskali tyle, że nie daj Boże... Dni temu trzy w Krzemieńcu z puszek walili, aż się ziemia trzęsła.

— Napijesz się wódki... co?... Chodź ze mną.

Weszli do środka, chwilę sporą ich nie było, po chwili wyszli; Fed' jegomościa żegnał i, do mnie się zwracając, zdrowia dobrego mi życzył. Ja co rychlej po sakiewkę do kieszeni sięgnąłem i rubla mu podałem.

— Nie... — odparł, cofając się.

— Za fatygę...

— Co to za fatyga!...

— Na pamiątkę...

Uśmiechnął się i ręką machnął.

— Więc bodaj pół rubla — nalegałem, zmieniając sztukę monety jedną na drugą.

— Schowajcie hroszi dla siebie, wam będą potrzebne.

To jabym wam dać powinien, bo ja, choć chłop, ale wiem, pocoście tu przyszli. Niech wam Pan Bóg pomaga...

Taką mi chłop ten odprawę dał. Uścisnąłem mu serdecznie rękę i uczułem się dogłębi wzruszonym. W milczeniu patrzałem za odchodzącym i, gdy za wrotami znikł, zwróciłem oczy na jegomości, w którym się Turkuła domyślałem dlatego, żem słyszał, jak go Fed' „jaśnie wielmożnym" tytułował. Jaśnie wielmożny wyglądał na człowieka dobrodusznego i uprzejmego. Po odejściu przewodnika mego do mnie się zwrócił i do izby, mającej pozór kancelarji gospodarskiej, za sobą wprowadził.

— No cóż?... jakże. Coś za jeden?. Pocoś przybył?

Powiedziałem mu nazwisko moje, dodając, że służyćbym pragnął sprawie publicznej.

Nazwisko nic Turkułowi nie mówiło; na wyrażenie zaś pragnienia mego zapytał:

— Umieszże pisać?

Zdziwiło mnie to zapytanie. Mnie, com studjów uniwersyteckich słuchał i edukację wyższą ukończył, wydawało się, że umiejętność pisania napisaną jest na obliczu mojem.

— Jakto? — odrzekłem.

— Czy umiesz pisać? — powtórzył.

— Trochę...

— Zobaczymy...

Posadził mnie przy stole przed arkuszem papieru czystego, dał mi do ręki pióro i dyktować począł. Nakreśliłem wymówione przezeń wyrazy. On arkusz z przede mnie wziął, popatrzył i rzekł:

— Uhm... nieźle... Uczyłeś się?

— Nauki uniwersyteckie ukończyłem.

— Cóż stąd?

— Więcem się pisać nauczył...

— Eh... — odparł tonem lekceważenia. Uniwersytety wasze... czego one uczą?

— Przecie... — bąknąłem.

— Potrafisz napisać co z konceptu własnego?

— Potrafię...

— Zobaczymy. Napisz do mnie list w interesie jakim, albo bez interesu, jak ci się podoba, ot tak, bylebyś koncept swój pokazał.

Pomyślałem chwilkę, list napisałem; treści onego nie pamiętam, ale pamiętam, żem zaczął takowy od „Wielmożny Mości Dobrodzieju“ i zakończył formułą: „Mam zaszczyt“ etc. Turkuł, odczytując pisanie moje, zmarszczył się i powiedział:

— Wszystko ujdzie, z wyjątkiem początku i końca. U nas niema teraz wielmożnych dobrodziejów ani zaszczytów. Wypędziliśmy to. Jesteśmy obywatele i równi. Pisać należy: „Obywatelu“, a kończyć: „Cześć i pozdrowienie“.

— Nie wiedziałem...

— To się dowiedz, a tymczasem napijemy się kawy.

Przy kawie, która mi się wyborną wydała, zastanawiał się, do czegobym się przydać w zakresie służby publicznej mógł. Co do wstąpienia do szeregów gwardji narodowej zawadzała obcokrajowość moja i pozostawała jeno droga jedna: przy Radzie Narodowej. Rady narodowe funkcjonowały po miastach obwodowych i posiadały sekretarjaty. Turkułowi się wydawało, że w sekretarjacie Rady Narodowej złoczowskiej umiejętność moja pisania spożytkowaną być może.

— Pomyślimy o tem — rzekł i zapytał, czy nie mam w Galicji ze znajomych kogo.

Nikogo nie znałem, ani listów polecających do nikogo nie miałem z wyjątkiem karteczki, w którą mnie na wypadek wszelki zaopatrzył Franc. Małachowski. Była ona wystosowaną do Leona Wróblewskiego, właściciela Czortkowa, który posiadał niegdyś wpobliżu Krzemieńca majątek. Poznałem się z nim w lat dwanaście później, obecnie jednak, nie pojmując, dlaczegoby Wróblewski miał być lepszym aniżeli Turkuł lub kto inny, nie produkowałem karteczki Małachowskiego. Postanowionem więc zostało, że w Złoczowie o zajęcie kołatać będę. Turkuła „pomyślenie“ znaczyło, że rady czyjejś pierwej zasięgnąć chce. Domyśliłem się tego z rozmowy, jaką w obecności mojej miał z synem, młodym człowiekiem lat trzydziestu z okładem, eksoficerem z armji austrjackiej. Zgodzili się, że poczekać potrzeba na przyjazd kobiety jakiejś, którą po imieniu nazywali. Nastąpić to miało za dni parę.

Dni kilka przeto spędziłem w Seredcu z Turkułami, ojcem i synem; polowaliśmy raz na zające; wieczorami z młodym na kaczki chodziłem; rozprawialiśmy dużo o polityce; obydwa okazywali się demokracją do szpiku kości przejęci; za pokarm

umysłowy służyły mi gazety, zresztą bowiem w domu, z wyjątkiem kalendarza, książki nie było ani jednej. Bez książek nudziłem się setnie. Jako przerwa nudów trafił się przyjazd kwestarza, będący dla mnie nowością pod względem tak zachowania się zakonnika, jako też sposobu, w jaki traktowanym był przez Turkułów. Nie mieli go oni za boże poszycie i drwili z niego, stary zwłaszcza, bez miłosierdzia; on to przyjmował z uznaniem, nacechowanem obleśnością legawca. Dziwiło mnie to, oburzało nawet do stopnia pewnego, aczkolwiek bowiem w domu rodziców moich księża nie byli honorowani, nie byli jednak poniewierani. Szanowano w nich pierwiastek moralny, którego przedstawicielstwo przekazały im tradycje dziejowe. Wyroby dziejowe nie przetwarzają się odrazu i nie usuwają z dziś na jutro. Przywykłem więc do tego, że okazywano im szacunek, i raził mnie ów człek w habicie, który potakiwał z uśmiechem przymówkom żartobliwym, wytykającym stanowi kapłańskiemu oszustwo. Nie bawiło mnie to; zajmowało jednak jako nowość.

Na trzeci czy czwarty pobytu mego w Seredcu dzień przyjechała oczekiwana kobieta. Była to jedna z Turkuła córek, zamężna, wydana nie wiem za kogo. Uderzyła mnie pięknością swoją, prześliczna była. Los mój zajął ją żywo; okazywała mi uprzejmość życzliwą i, co się służby mojej tyczy, rozporządziła, ażeby brat jej zawiózł mnie do Sasowa i przedstawił Starzyńskiemu, prezesowi Rady Narodowej złoczowskiej. Wedle rozporządzenia jej stało się. Stary Turkuł napisał list i odczytał mi takowy. List rozpoczynał się od: „Kochany hrabio“, a dalej w takim sensie: „Luboć tytuły zniesione są, ale ty dla mnie zawsze hrabią jesteś i hrabią pozostaniesz“ etc.

— Bo to widzisz — tłumaczył mi Turkuł, ustęp wstępny wygłosiwszy, — durniów sztuką podchodzić należy...

— Czemuż Starzyńskiego, kiedy dureń, na prezesa wybrano? — zapytałem.

— Dlatego, że hrabia.

— Hrabstwa zniesione — wtrąciłem.

— Uhm...— mruknął z przydechem, ręką machnął i dalej czytał.

„Uhm“ owe przenikało głośno i gorąco wyznawaną demokracją Turkułów. Poznałem się na tem odrazu. Uderzył mnie ton wyznawania, jaskrawość onego. Z Turkułem młodym po-

jechaliśmy do Sasowa. Starzyński przyjął nas uprzejmie, z powagą wielkiego pana i zaopatrzył mnie w list do sekretarza rady, noszącego nazwisko niemieckie. Powróciliśmy do Seredca, stąd niezwłocznie ruszyłem do Złoczowa. Przed wyjazdem Turkuł stary skazówki i informacje mi udzielał, i nagle zapytał?

— A jakie ty masz pieniądze?

Posiadałem złoto rosyjskie, półimperiały, stosownie też na zapytanie odpowiedziałem:

— Ile?

Wymieniłem ilość, która dosyć pokaźną była.

— Ph... bąknął. Toż cię orżną na zmianie. Ale zmienić ci mogę na cwancygiery, chcesz?

— I owszem... — odrzekłem — niewszystko jednak: srebra tyle ciążyłoby mi zbytecznie.

— Ile chcesz...

Wydobyłem sztuk pięć.

— Tyle tylko? Zmieniać byś mógł pięć razy tyle przynajmniej. Zagwarantowałoby cię to przeciwko oszukaństwu żydów.

Nie chciało mi się zmieniać ilości znaczniejszej, wiedziałem bowiem, że złoto jest złotem i posiada wartość w sobie, a zatem strata na zmianie spotkaćby mnie mogła w takim jeno razie, gdybym się dopilnować nie umiał. Kursu wprawdzie nie znałem, ale była to rzecz do dowiedzenia się łatwa. Jakoż zapytałem o to Turkuła.

— Kurs — odrzekł — jest taki a taki, ale żydzi ci tyle nie dadzą. Orżną cię, powiadam...

Ażeby mieć monetę krajową na pierwsze potrzeby, zmieniłem półimperjałów dziesięć. Jakież było zdziwienie moje, gdy się pokazało, że wekslarze o cwancygierów parę wyżej płacili. Przed orżnięciem mnie przestrzegał, a sam orżnął. Wyjechałem od niego wozem chłopskim najętym i zajechałem do hotelu, nazwę — jeżeli się nie mylę — Szperla noszącego. W hotelu tym na piętrze Rada Narodowa zasiadała. W chwili przybycia mego, nad wieczorem, drzwi jej były zamknięte. Wziąłem numer, zeszedłem nadół do obszernej sali jadalnej i, czekając na godzinę, w której się wieczerzę jada, przechadzałem się wzdłuż i wszerz. W sali panował zmrok, znajdowałem się w niej sam jeden. Przechadzka doprowadziła mnie do okna

otwartego, na ulicę wychodzącego. Zatrzymałem się. Zaciekawiał mnie widok snujących się żołnierzy austrjackich. Po niejakimeś czasie o słuch mój uderzył odgłos bębna, znamionujący wojsko maszerujące. Odgłos stawał się corazto wyraźniejszy, z czego wywnioskowałem, że się wojsko zbliża. Jakoż w chwil kilka później do łopotu marszu wybębnianego dołączył się tupot taktowy chodu miarowego i oddział wojska na oczy mi się nasunął, ale wojska wyglądającego nie tak, jak żołnierstwo austrjackie. Zaledwie miałem czas domyślić się, że to gwardja narodowa, aliści zagrzmiały wyrazy donośnie i czysto po polsku wygłoszonej komendy:

— Pluton... stój!...

Drgnąłem. Wyrazy te całe moje moralne i fizyczne dogłębi wzruszyły jestestwo. Uczułem, jakby mnie coś rozsadzało wewnętrznie. Skupiłem całą siłę woli mojej na jakąś ze sobą samym walkę, na pohamowanie wybuchu, i łzy mi z oczów lunęły. Łzy mi się lały, a jam słuchał komendy dalszej:

— Za broń!... Prezentuj broń!... i t. d.

Było to jakby naumyślnie dla mnie. Wyczekałem i, gdy się oddział rozprzągł, udałem się spiesznie do numeru mego, niosąc w sobie płacz, który mi pierś rozdymał. W numerze pozostałem z godzinę. Po uspokojeniu się zeszedłem znów nadół; zastałem salę oświeconą i gośćmi napełnioną. Ci piwo pili, owi rozbratle spożywali. Wyszukałem stolik, przy którym mniej aniżeli przy innych ludzi siedziało, usiadłem, jedzenie sobie podać kazałem i przysłuchiwałem się gwarowi rozmów, jaki zapełniał salę. Słuchając, oczami powodziłem. Zadowolenie sprawiał mi widok min butnych ludzi, żywo rozprawiających. Jeden ze stolików otaczali oficerowie od huzarów, przy innych widzieć się dawali żołnierze w granatowych z wyłogami amarantowemi mundurach. Domyśliłem się w tych ostatnich gwardzistów narodowych. Porównywałem tych z tamtymi; znajdowałem, co się zacięcia rycerskiego tyczy, różnicę ogromną. Takiej zamaszystości żołnierskiej, jak Polacy, nie wytwarza naród żaden inny. Patrząc na nich, dusza się mi radowała. Oddawałem się studjom artystycznym; czyniłem to swobodnie, nikt bowiem na osobę moją uwagi nie zwracał. Opuściłem salę, gdy się gości rozeszła połowa większa.

Nazajutrz obejrzałem przedewszystkiem miasto, w któ-

rem uwagę moją zwrócił na siebie nietyle zamek niegdyś Sobieskich, przerobiony na koszary, co akcent cywilizacyjny, który mi się w oczy rzucił. Domy piętrowe, ulice i place brukowane, ogród spacerowy. Dziś, kiedym się napatrzył miastom na Zachodzie, Złoczów wydałby mi się inaczej; wówczas atoli przybywałem wprost z krainy, w której osady miejskie dwa razy od Złoczowa większe i nie wiem ile razy pod względem handlowym ważniejsze, Bałta naprzykład, bruku na lekarstwo nie posiadały, budynków zaś wspaniałość rozumiały pod postacią stajen, przysposobionych tak, ażeby się znalazło miejsce i na konie i na ludzi. Przypomniałem sobie Bracław, Hajsyn, Olhopol, Lipowiec, Winnicę, Humań i inne, i inne miasta nasze: wszystkie one gasły wobec Złoczowa.

Około dziewiątej powróciłem do hotelu. Rada Narodowa była otwarta. Przedstawiłem się sekretarzowi i oddałem mu list prezesa.

Powiedzieć na miejscu swojem zapomniałem, że Turkuł, udzielając mi rad i skazówek, doradził przybranie nazwiska, osłaniającego nazwisko moje własne. Wymagała tego ostrożność. Rząd austrjacki okiem niechętnem widział przybywającą spod panowania rosyjskiego młodzież i, chwytając się pozoru pierwszego lepszego, aresztował, a nawet wydawał takową. Podejrzewano, że rząd austrjacki z rosyjskim porozumiewał się w tej mierze, zwracając uwagę szczególną na indywidua, wskazywane mu zza kordonu jako niebezpieczne. Nie było pewności, że ja wskazanym nie będę. Dlatego też zmodyfikowałem nazwisko moje w ten sposób, żem zatrzymał imię moje pierwsze jako imię, imię zaś drugie na nazwisko przerobiłem i nazwałem siebie Zygmunt Fortunat. Turkuł odrzucił *t* ostatnie. Zrobiło się Zygmunt Fortuna. Pod nazwiskiem tem Starzyński dał mi list polecający.

Sekretarz, list odczytawszy, oświadczył mi, że sekretarjat Rady Narodowej składa się z dwóch urzędników: z sekretarza i pisarza, i na więcej miejsca niema. Przyjął mnie jednak uprzejmie i życzliwie, zapytał, gdzie mieszkam, a gdy się dowiedział, że w hotelu, zarządził natychmiast przenosiny moje na strażnicę gwardji narodowej. Czynił to, jak powiadał dla bezpieczeństwa mego.

— Na strażnicy — słowa jego — będziemy cię bronili,

obywatelu; w hotelu zaś, gdyby cię przyaresztowano, anibyśmy o tem wiedzieli...

Na strażnicę odprowadził mnie pisarz, młodzieniec słuszny, szczupły, rudowłosy, chłopak jakiś poczciwy. Zamieszkałem w izbie na piętrze, w której i on mieszkał. I tak zostało. Wszedłem w bezpośrednią z gwardją narodową styczność; warta się co dwadzieścia cztery godziny zmieniała, zabierałem znajomości co dzień to nowe, jadałem w hotelu, dokąd mnie odprowadzał i skąd przyprowadzał zawsze z gwardzistów jeden; na przechadzkę sam nie wychodziłem nigdy, opiekowano się mną gorliwie, ale — tak trwać nie mogło. Nowość położenia przestała być nowością bardzo prędko, a to tem bardziej, żem wskazany był na próżnowanie, które mnie zgoła nie bawiło. Zajęcie moje główne polegało na czytaniu gazet. Pochłaniałem je, jakoteż broszury i pisemka ulotne, pojawiające się w czasie owym w ilości wielkiej. Druk był wolny — korzystano z tego, używano i... nadużywano. Prasa wytworzyła istny chaos, w którym się rozpoznać nie umiałem. Huczało niby w ulu, a w huku tym nutę dominującą stanowił rewolucjonizm demokratyczny polski, mający na celu wojnę z Rosją. Wyrazem onego była Rada Narodowa, która zawiadowała gwardją narodową. Rada wyobrażała niby rząd, gwardja niby siłę zbrojną. Wytwarzał się stąd dualizm, obok tego bowiem rządu i tej siły zbrojnej stał rząd austrjacki, zupełniejszy, lepiej zorganizowany, tolerujący Radę Narodową, ale uważający ją za rodzaj wrzodu, zawadzającego w organizmie państwowym. Stosunku ich przeto wzajemnego nie wiązała harmonja. Różnica celu, widoków, działania objawiała się na kroku każdym i wyrażała przez to, że Rada Narodowa wypowiadała głośno, co myśli i do czego zmierza, rząd zaś austrjacki zachowywał milczenie zagadkowe. Pierwsza grała kartami otwartemi i miała w ręku młódki same, drugi grę swoją, pełną atutów i figur, starannie osłaniał.

Nie przypominam sobie dokładnie, jak długo w Złoczowie bawiłem. Przypominam sobie atoli, że mi zawadzało próżnowanie, które nastąpiło po pełnem ruchu i pracy życiu, jakie pędziłem przed przekroczeniem granicy. Uskarżałem się na to; odpowiadano mi, że stan ten będzie miał kres swój niebawem, że się gwardja przeistoczy w wojsko i szeregi onej otworzą się

dla mnie. Gwardją narodową złoczowską z tytułem instruktora dowodził emigrant z Francji przybyły. Tytułowano go kapitanem. Schodziłem się z nim wieczorami w sali hotelu, w której zgromadzali się regularnie wszyscy złoczowianie z miasta i z obwodu. Zgromadzenia bywały mniej lub więcej liczne; najliczniejsze odbyło się w dni kilka po przybyciu mojem, w dniu posiedzenia plenarnego Rady Narodowej, na które z okolicy zjechało się obywatelstwa sporo. Asystowałem onemu od początku do końca, przysłuchując się z zajęciem żywem obradom, prowadzonym bardzo porządnie. Przedmiotu rozpraw nie pamiętam, był on urozmaicony, rzecz szła o kwestyj kilka, zapisanych w porządku dziennym, które rozstrzygano skolei. Numer ostatni zajmowały petycje. Wraziło mi się to w pamięć spowodu, że autorem jednej był obecny na posiedzeniu ksiądz jakiś siwy, który mi wykładał treść i rację żądania swego. Chodziło mu o dziesięciny kościelne.

— Przywracamy Polskę — tłumaczył —, a zatem i dziesięciny przywrócić powinniśmy... Przyznajemy się do demokracji; demokracja istnieć nie może bez sprawiedliwości... Oddaj, co komu należy... Kościołowi należą się postanowione przez przodków naszych dziesięciny: szanujmy przodków naszych wolę...

W sprawie tej, gdy ona skolei wytoczoną została, głos między innymi zabierał ksiądz młody, ognisty, nazwiskiem Szersznik, który się przeciwko dziesięcinom oświadczył, dowodząc z zapałem, że Polakom, świeckim i duchownym, myśleć należy nie o dziesięcinach, ale o karabinach.

— O karabinach, o wojnie, o chrzcie krwawym, bez którego Polski nie wyzwolimy... O wojnie myślmy przedewszystkiem, obywatele!... — wołał — wszystko inne na później odłóżmy... Karabinów nam potrzeba, karabinów gwardji narodowej brak!

W sprawie tej zabierało głos mówców kilku. Ksiądz stary nie odzywał się. Poruszona przez księdza Szersznika materja stała się przedmiotem rozmów w sali nadole, gdy obywatele wieczorem stoliki obsiedli. Przy stoliku, przy którym wieczerzę spożywałem, kapitan, dowódca gwardji, wykładał teorję użycia kosy. Nazwisko jego w chwili tej w pamięci mi się obudziło. Nazywał się Suzin [1], służył przed laty siedemnastu w wojsku

---

[1] Suzin Kalikst, w r. 1830 porucznik 8 pułku piechoty.

polskiem, w piechocie; opowiadał o kosynierach, o sposobie używania na polu bitwy bataljonów kosynierskich. Słowa jego przekonywały mnie. Słuchałem wykładu kapitana z uwagą natężoną, którą przerwał pisarz Rady Narodowej.

Od czasu jakiegoś krążyła pogłoska, jakoby policja austrjacka poszukiwała w Złoczowie kogoś, wskazanego jej przez policję rosyjską. Mówiono mi o tem. Nie było pewności, że wskazany ów nie jestem ja. Na złodzieju czapka gore. Nie miałem ochoty najmniejszej przez pomyłkę nawet, przez nieporozumienie jakieś do kozy się dostać, zwłaszcza że miałem przy sobie dokumenty moje, metrykę i dyplom, których niszczyć nie chciałem, a któreby mnie zdradziły. Radzono mi na wieś wyjechać. Rada ta wydała mi się zdrową, przyjąłem ją, o wykonanie jeno chodziło. Owóż przerwanie uwagi mojej, jakiego dopuścił się pisarz, miało wykonanie owo na celu. Wezwał mnie, ażebym szedł z nim, i zaprowadził mnie do stolika nieopodal, przy którym siedział lat trzydzieści kilka liczyć mogący, nieznajomy mi człowiek.

— Obywatel Edgar Zwierzchowski — odezwał się pisarz, nieznajomego mi wskazując, — ofiaruje ci u siebie na wsi gościnę.

— Bardzo mi będzie miło... — podchwycił tonem uprzejmym Zwierzchowski.

Zająłem obok niego miejsce i zawiązała się pomiędzy nami rozmowa, która z tego wyszła punktu, że Zwierzchowski powiedział, że rok miniony cały na Ukrainie spędził.

— Znasz, obywatelu, Ostrożany? — zapytał.

— Ostrożany nad Tykiczem, ze stawem ogromnym — odparłem.

— Te same... Majątek stryja mego...

— Przejeżdżałem tamtędy.

— Stryja mego nie znasz?

— Nie...

— A Markowskich?...

— Panna Justyna... w złotych okularach...

— Tych samych...

Markowscy mieszkali w sąsiedztwie Krasnopółki i znani mi byli zdaleka, z widzenia, bardziej zaś jeszcze ze słyszenia, dużo się bowiem mówiło o ich domowych, zakulisowych sto-

sunkach, nadających się jako materjał treściwy i wdzięczny do plotek sąsiedzkich. Plotki te odezwały się echem w Złoczowie i posłużyły do zbliżenia mnie do Zwierzchowskiego. Zaprosił mnie do siebie serdecznie; tego jeszcze dnia po wieczerzy ze Złoczowa wyjechałem.

Zwierzchowski mieszkał w Pleśnianach, wsi, która była własnością jego. Przy nim mieszkała matka, Dulska z domu; brat zaś młodszy, Juljan, dzierżawił niedaleko stamtąd wioskę Strutyn.

Rozpatrzenie się nazajutrz w domu Zwierzchowskiego sprawiło mi coś nakształt ulgi. Ujrzałem się wobec książek. Książek od chwili przekroczenia granicy nie widziałem. Nie spotykałem się z niemi ani w Seredcu, ani w Złoczowie. Mnie, przywykłemu pozostawać z niemi w stosunkach ścisłych a ustawicznych, zawadzało to mocno. Pogarnąłem się przeto z uradowaniem do bibljoteki, doborem swoim świadczącej o ukształceniu właściciela. Pod rękę wpadła mi Lamartine'a *Histoire des Girondins,* która w momencie owym była nowością. Rzuciłem się na nią, jak zgłodniały na jadło. W księgozbiorze przeważały dzieła treści historycznej, francuskie i niemieckie, po większej części takie, z któremi u nas spotkać się trudno było. Rozkoszowałem. W gospodarzu znalazłem człowieka wiedzy obszernej, sądu jasnego i umysłu krytycznie a pesymistycznie nastrojonego. Korzystałem od niego wiele, mianowicie zaś co się tyczy rozpoznania stanu rzeczy w Galicji, o czem nie mogłem sobie w Złoczowie jasnego urobić pojęcia. Ze Zwierzchowskim mówiłem o tem dużo — nie mówiłem prawie o czem innem.

Galicja znajdowała się w położeniu niewesołem. Stronnictwu narodowemu, które przyjęło zasady demokratyczne i zajęło stanowisko przewodnie, brakło zogniskowania, wytycznej i krwi zimnej. Braki te obezwładniały je wobec działalności rządu, który tolerował, wyczekiwał, nie pozostawał jednak w bezczynności. Dzięki zakulisowym zabiegom jego spod ziemi niejako wysunęło się i stanęło stronnictwo świętojurskie, potężne, bo mające naczele swojem człowieka zdolnego, biskupa Jachimowicza, i w szeregach kler cały ruski, pozostający w bezpośredniej z ludem styczności. Czego Polacy chcieli, tego ono nie chciało; co oni kleili, to ono rozklejało; i działało skutecznie, miało bowiem za sobą moralne, a w potrzebie i faktyczne po-

parcie władzy, pozostającej na gruncie w całokształcie swoim w niczem nienadwerężonym. Władza przedstawiała siłę i siła ta nie zaniechiwała wyzyskiwania okoliczności na korzyść własną. Wymownie świadczył o tem fakt uwolnienia i uwłaszczenia ludu, który, przez szlachtę dokonany, poszedł na rachunek woli cesarskiej, uroczyście zapomocą manifestu wyrażonej. Fakt ten w połączeniu z postawą, jaką przybrało stronnictwo świętojurskie, sprawiał to, że rady narodowe wraz z gwardją narodową znajdowały się w powietrzu niby. Krzątanie się ich całe wyglądało na maskaradę kontuszową i mundurową, na komedję, odegrywaną we Lwowie, gdzie zasiadała Rada główna, jakoteż w miastach obwodowych i powiatowych, w których czynnemi były rady obwodowe i powiatowe. Istota czynności ich gorączkowej polegała na sprawianiu hałasu wielkiego, pochodzącego stąd jeno, że takowy sprawiać było można, i dającego w rezultacie owoc Umarłego morza, zachwycający oko kształtem i barwami, ale za dotknięciem rozsypujący się w popiół.

Gdyby stronnictwo narodowe było silnie zogniskowane, gdyby posiadało wyraźne wytyczne i dostateczną krew zimną, byłoby, ponieważ w marcu nie zdołało władzy zagarnąć, nie przybierało później postawy wyzywającej. Postawa ta nie miała sensu wiele. Galicji w r. 1848 potrzeba było samorządu. Wynikało to tak dalece z natury rzeczy, że dążyła do takowego, dążyła niestety bezwiednie i zataczając się niby pijana. Stronnictwo narodowe do niczego dojść nie mogło, nie posiadając władzy w ręku, to znaczy: nie wyrzuciwszy z kraju władzy rządowej i nie zastąpiwszy jej narodową. Nie było to rzeczą niemożliwą, wymagało jednak znacznego wysiłku energji, ujętej w karby rozumu zdrowego i trzeźwego.

— Czyżby się na to naród zdobyć nie miał?... — zawołałem, gdy mi Zwierzchowski rozum, jako warunek *sine qua non* przedstawił...

— Skąd?.. — odrzekł. Przed laty siedemdziesięciu sześciu Austrja zawinęła nas w powijaki niemowlęce i w powijakach tych trzymała... Gdyby się nam dziś samorząd w ręce dostał, nie wiedzielibyśmy, co z fantem tym począć... W szkołach nas ogłupiano i ogłupiono... Jakże więc chcesz, ażebyśmy znaleźli rozum na przewodnika energji potrzebny... Skąd go weźmiemy?

Czy przychodzi na zawołanie?... Oto Węgrzy, którzy się w odmiennych aniżeli my warunkach rewolucji doczekali, radzą sobie jakotako; my zaś bawimy się w Rady narodowe, które same rad potrzebują, i w gwardję narodową, która się stroi w wyłogi i kaszkiety czerwone, a karabinów nie ma kupić za co...

Węgrami gazety zajmowały się wówczas mocno. Madjary się corazto wyraźniej na czoło czynności rewolucyjnych wysuwali i corazto bardziej uwagę na siebie zwracali.

Zwierzchowski woził mnie do Lwowa. Zabawiliśmy tam dni kilka. Rozpatrywałem się i przysłuchiwałem. Lwów zajął mnie wielce; wyglądał świątecznie w przystrojeniu sztandarów i proporców, mało że nie na każdej powiewających kamienicy. Kolor czarnożółty znikał wobec barwności białoczerwonej, rozrzucającej się szeroko. Mundury polskie snuły się przed oczami ustawicznie. Chodziłem za miasto, gdzie gwardja narodowa, piechota i jazda, ćwiczenia odbywała. Na widok ten serce mi rosło. Wieczorami zaś miasto rozbrzmiewało od muzyk i śpiewów, a nie grano czego innego, nie śpiewano czego innego, jak marsza Dąbrowskiego, mazurka o Dwernickim, „Bartoszu, Bartoszu, hej, nie traćwa nadziei!..“ i t. p. Wszystko to mnie w zachwyt wprawiało. Napatrzyć się, nasłuchać dosyć nie mogłem. Pragnienie wlokło mnie do szeregów gwardji narodowej, do których koniec końcem, za krajowca się zapomocą zgwałcenia formalności podawszy, wstąpićbym mógł i byłbym wstąpił, gdyby mnie nie powstrzymywała chwiejność podstawy, na jakiej wszystko to stało, a która, niby wahadło, przechylała się raz na drogę rewolucyjną, znów na legalną. Tik-tak — tak-tik: droga rewolucyjna — droga legalna. Ta ostatnia nietylko dla mnie ponęty najmniejszej pod mundurem nawet polskim nie posiadała, ale pojąć nie mogłem, do czegoby prowadziła. Z Austrji, znając państwa tego dzieje i istnienia onego rację, nie spodziewałem się dla Polski pociechy żadnej. Na drodze legalnej wprawdzie Galicja wskórać coś w postaci folg mogła. Ależ mnie Galicja w oderwaniu od całości przedrozbiorowej miernie obchodziła. Obchodziła mnie ona jako punkt wychodni czynności natychmiastowej, polegającej na kuciu żelaza póki gorące, co droga legalna usuwała w dal, okiem się dojrzeć niedającą. Mówię o oku mojem. Jam nie widział nic w tej dali, w której wyznawcy drogi legalnej światełka jakieś ukazywali, i dlatego,

rozpatrzywszy się w sytuacji, do tego doszedłem wniosku, że, ażeby z niej punkt wychodni zrobić, potrzeba jej ręce z powijaków austrjackich rozwiązać, czego narazie dokonać niesposób inaczej, jak zapomocą wywrócenia Austrji.

— Ano... — powiedziałem sobie: — do Włoch ruszę.

W czasie, kiedy jeszcze — przypominam sobie — Włosi Peschierę oblegali, Peschiera mi się była ćwiekiem w głowę wbiła. Gdyby nie tak daleko i nie trudności podróży, najeżonej przeszkodami dla człowieka bez paszportu, byłbym się pod sztandary Karola Alberta zaciągnął w zamiarze przyczynienia się z mojej strony do obalenia Austrji.

Nie mnie jednemu tylko rzeczy takie po głowie się snuły. Podobnie myślących było więcej. Z momentu onego powstało podanie o Arturze Gołuchowskim, który jakoby do Włoch się wybrał ze sztućcem gwintowanym, z lornetką i z postanowieniem zastrzelenia Austrjaków dziesięciu, twierdząc, że gdyby każdy tak zrobił, z armji austrjackiej po miesiącu nie pozostałoby ani łapy. Nie wiem, czy Gołuchowski zamiaru tego dokonał. Ja o czemeś podobnem myśleć nie mogłem. Zamiast do Włoch jechać, powróciłem do Pleśnian i zabawiłem tam do jesieni, nie wiedząc, co z figurą swoją począć. U Zwierzchowskiego było mi niby w domu własnym. Do czytania miałem po uszy. Jeździłem w sąsiedztwo. Byłem na balu w Złoczowie i tamże na przyjęciu, jakie miasto urządziło dla udającego się do rodziny generała Dwernickiego, którego oglądałem wówczas po raz pierwszy i ostatni w życiu. Znakomity ten wojownik nie wyglądał obiecująco. Wzrostu małego, gruby, nasępiony, miał minę człowieka ze snu nierozbudzonego. Obywatelstwo mu się prezentowało; był przy nim pułkownik, który za niego przemawiał i na przemowy odpowiadał. Dwernicki przejazdem jeno w Złoczowie się zatrzymywał, zjadł śniadanie czy obiad i dalej pojechał. Mówiono o nim dużo; opowiadano o nieporozumieniach pomiędzy nim a Bemem, który we Lwowie przebywał; winszowano sobie, że Galicja posiada człowieka, na którego liczyć może jako na wodza przyszłego armji narodowej. W sensie tym do Dwernickiego przemawiano i przemawiano w szczerości ducha, ku temu bowiem, ażeby do armji dojść, skierowanemi były dążności i pragnienia wszystkie, bez

względu na to, że osiągnięcie celu tego pod dozorem austrjackim było niepodobieństwem czystem.

W Pleśnianach czytałem, uczyłem się; w Strutynie polowywałem od czasu do czasu. Zachodziła obawa, ażebym się nie wykierował u braci Zwierzchowskich na rezydenta wedle modły starej. Byłoby to nie nastąpiło, byłbym się bowiem doczekał represji, nastanie której wymiotło z Galicji wszystkich tego co ja pokroju obywateli, gdybym się był zawczasu nie salwował. Nie mogłem iść do Włoch — poszedłem na Węgry. Jak skoro mnie wieść doszła, że po tamtej stronie Karpatów na wojnę się przeciwko Austrji zanosi, natychmiast wybierać się począłem. Wybieranie się nie zabrało czasu dużo. „Wstaw, pidperesawsia“[1]. Obstalowałem sobie w Złoczowie buty i na uszycie onych jeno czekałem. Zwierzchowski puszczać mnie naoślep nie chciał. Na szczęście, dowiedzieliśmy się o zawiązaniu w Krakowie i Lwowie komitetów, pertraktujących z rządem węgierskim o legjony polskie.

Legjony!

Wyraz ten miał dla mnie urok, działający magicznie. Urok ten — zapewne — byłby mnie nie pociągnął, gdyby nie przeświadczenie, że legjony nie będą wojskiem od parady, jak gwardja narodowa. Ponęty dodawała mu wojna, wojna prawdziwa, wojna przeciwko Austrji, bez udziału której nie byłyby się rozbiory dokonały i którą — wedle przekonania mego — z drogi Polsce usunąć należało. Od przekonania tego nie wyzwoliłem się dziś, kiedy krzyżyk siódmy na grzbiecie dźwigam, niedopieroż wówczas, w epoce rozkwitu młodości mojej, kiedy krzywdy Polsce wyrządzone oburzały mnie dogłębi, a niewola jej czoło mi paliła. Nie skutkowały przedstawienia ani perswazje żadne, zapomocą których ten i ów próbował od zamiaru mnie odprowadzić, a przynajmniej do czekania, aż się rzeczy wyklarują, namówić. Wydawało mi się, że obecność moja na Węgrzech wojnę nieuniknioną uczyni.

Butów się doczekałem i niezwłocznie do Lwowa ruszyłem. Odwoził mnie Zwierzchowski młodszy celem ułatwienia mi wyszukania komitetu, który jawnie nie występował. Komitet wynaleźliśmy bardzo prędko. Było to najwyraźniejsze biuro

---

[1] Wstał, opasał się (przysłowie rus.).

werbunkowe, albo raczej zaciągowe, nie werbowało bowiem, przyjmowało i kwalifikowało ochotników. Składało się z trzech ludzi: ze słusznego a wąsatego kapitana, z suchego, chudego, kaszlącego i fajkę na długim cybuchu palącego jegomościa jakiegoś i z lekarza. Ochotnik oświadczyć był powinien, że przychodzi z własnej, dobrej a nieprzymuszonej woli, i że kosztem własnym na Węgry pojedzie. Wówczas kapitan brał go pod stojącą pod ścianą miarę, a lekarz rozebrać się kazał i opatrywał. Kto miarę trzymał i zdrowym na ciele się okazał, tego jegomość kaszlący do regestru zapisywał i wydawał mu karteczkę z pieczęcią, świadczącą, jako się na żołnierza kwalifikuje. Wytrzymałem próby te i kartkę dostałem. Wraz ze mną przedstawiło się kilku, a pomiędzy nimi dwóch, z których jednemu do miary brakło cala czy więcej, drugi zaś, chłop setny, urlopnik, oświadczył, że jechać nie ma za co. Pierwszy narzekał, aż się rozpłakał, drugi dopytywał się:

— No i jakże to będzie?... Jak to można, żebym nie pojechał, kiedy egzercyrkę na palcach umiem i Niemców bić chcę?...

Tak mnie ujął, żem koszta podróży jego na siebie wziął.

Co do podróży, takowa tamże w biurze ułożoną została. Jeden z ochotników zaproponował mi, ażebym do formującego się towarzystwa podróżnego należał. Komplet towarzystwa składać się miał z osób dwunastu, potrzebnych do zapełnienia bryki żydowskiej. Przyjąłem propozycję z ochotą. Dwunastu się nas wnet zebrało. Umówiliśmy się o czas i o punkt zborny. W godzinie oznaczonej zeszliśmy się wszyscy i ruszyli.

Towarzystwo nasze składało się ze stanów i klas różnych: urlopnik był chłopem, ja szlachcic, studentów paru, krawczyk, ekonom, czeladnik ogniomistrza, który ze sobą rakiety zabrał, muzykant z fletem, aptekarz. Podróż odbywaliśmy wesoło. Muzykant przygrywał, jeden ze studentów śpiewał zawzięcie. Przejeżdżaliśmy podgórzem, okolicami prześlicznemi, z których atoli żadna nie zanotowała się mi w pamięci tak, ażebym ją w opisie odtworzyć zdołał. Z noclegów przypomina się mi jeden w Przemyślu, gdzie spotkał nas młody jakiś o minie zawadjackiej człowiek i, powitawszy słowami: „Hej, bracia, jedziecie Niemców bić!“, ofiarował się nam na przewodnika.

— Dam wam nocleg demokratyczny i zaprowadzę was na jedzenie demokratyczne — oświadczył.

Nocleg dał nam niezły: w stajni, na słomie; co się jednak jedzenia tyczy, wolałbym był lepsze, zwłaszcza czystsze.

Droga wypadała nam na Gorlice, rodzinne gniazdo moje. Zbierała mnie chętka dowiedzieć się o rodzinie, której nie znałem. Odłożyłem to jednak na później, a raczej nie czułem w sobie ochoty prezentowania się krewnym, nie wiedząc, czy mi uwierzą na słowo, że pradziad ich jest pradziadem moim. Zapytałem jeno o właściciela miasta. Powiedziano mi nazwisko moje. W Gorlicach aniśmy nocowali, ani popasali.

Nie pamiętam, gdzie brykę żydowską zmieniliśmy na wóz drabiniasty, zaprzężony w cztery konie w lejc, powożone z konia przez Mazura. Wozem tym ostrośmy jechali i dojechali do granicy. Było to wieczorem. Znaleźliśmy się na drożynie górskiej, na której z krzaków postać jakaś niewidoma wygłosiła do nas przemowę, wyrzucając nam, że się łączymy z Madjarami przeciwko Słowianom.

— Stul pysk! — odpowiedział jej jeden z grona naszego.

Nie wiem, kto przewodnika wyszukał, przewodnika górala, który prowadził nas ścieżkami i przeprowadził tuż obok strażnicy pogranicznej. Widzieliśmy strażnika, stojącego z bronią u nogi. Uszliśmy staj parę i wydostali się na drogę, przez las prowadzącą. Czeladnik od ogniomistrza jął się rakiety puszczać, a myśmy krzyczeli:

— Niech żyje wolność...

Znajdowaliśmy się na wolnej ziemi węgierskiej.

Student na gardło całe „Bartoszu, Bartoszu!..“ śpiewał, muzykant mu na flecie wtórował. Ognie sztuczne puszczając, śpiewając i grając, szliśmy przez las i zatrzymali się przed karczmą, z której nam żyd arendarz wyniósł wina halbę. Piliśmy, podając halbę z ręki do ręki, rozpytaliśmy się o drogę i pociągnęli dalej. Niebawem ukazała się nam wieś, jeżeli się nie mylę, Komarnik. W karczmie, w izbie szynkowej zastaliśmy słomy pełno, a na słomie pokotem uśpionych ochotników, co nas wyprzedzili. Było ich ze dwudziestu. Spali. Hałas, jakiśmy czynili, nie rozbudził żadnego. Chodziło nam o to, ażeby języka dostać. Żyd wskazał nam izbę, zajętą przez dwóch podróżnych, co bryczką własną przyjechali i u których świeciło się jeszcze.

Do izby tej wszedłem. Na dwóch łóżkach, wygodnie zasłanych, pod kołdrami czerwonemi leżeli dwaj jegomoście z fajkami w rękach, jeden wieku średniego, czerwonorudy, oblicza marsowego, drugi młodziutki, blondyn jasny. Rudy przyjął mnie opryskliwie i na zapytanie, jakie mu zadałem, odpowiedział, żebym sobie precz szedł, bo mu spać nie daję. Wyszedłem, posililiśmy się; żyd i dla nas słomy naniósł i na słomie, w objęciach snu twardego doczekaliśmy się dnia następnego.

Z datami nie znajduję się w porządku. Nie pamiętam, był li to koniec września, czy początek października. Lat od momentu tego upłynęło tyle. Młodość minęła, pamięć stępiała. Przypominam sobie jeno, że pogoda sprzyjała nam stale, pogoda jesienna, pyszna, we dnie nawet słońce mocno przygrzewało, a poranki mgłą ziemię owijały.

Na noclegu była mowa o forszpanach (podwodach), aleśmy dalej iść musieli piechotą. Ruszyliśmy w liczbie zwiększonej — głów trzydzieści zgórą, i zaciągnęli na noc do miasteczka Zboro. U wnijścia do miasteczka spotkała nas banda cygańska, która nas powitała marszem Rakoczego i grając poprzedzała do oberży. Tłum dzieci towarzyszył nam przez ulice. Przed oberżą czekało na przybycie nasze Węgrów kilkunastu; z tych jeden przemawiał do nas po polsku w imieniu krainy węgierskiej i zaprosił nas do izby obszernej na odpoczynek i wino. Węgrów przybywało corazto więcej. Izba się zapełniła. Służba nakryła stół długi. Podano wieczerzę pamiętną dla mnie tem, żem po raz w życiu pierwszy spożywał gulasz węgierski. Przy wieczerzy były przemowy, spełnialiśmy toasty i po raz pierwszy zabrzmiały mi w uszach okrzyki: *eljen a Lengyel, eljen a szabadsag!*[1] Przemowy wygłaszano w dwóch językach: po polsku i po łacinie.

Nazajutrz, podczas kiedyśmy czekali na obiecane nam forszpany, jawiło się kobiet kilka i jedna z nich oznajmiła nam, że mają z nami do pomówienia. Zebraliśmy się około pań tych. Były to wszystkie Polki w Zboro zamieszkałe. Powtórzyć nie potrafię rozmowy, jakąśmy z niemi mieli, pamiętam jeno, że opuściły nas rozrzewnionych, widzenie się bowiem z nami zakończyły ofiarowaniem nam wyszytego przez nie sztandaru

[1] Niech żyją Polacy, niech żyje wolność.

dla legjonu polskiego. Była to scena wzruszająca. Kobiety płakały i nam łzy za powiekami z trudnością przychodziło zatrzymywać. Odchodząc, niektóre żegnały nas krzyżem na drogę, na walkę.

Forszpanów nie doczekaliśmy się. Trzeba było dalej jeszcze piechotą ciągnąć.

W pochodzie ze Zboro do Preszowa doznałem w połowie drogi znużenia tak silnego, żem się ledwie wlókł. Przystawałem i odpoczywałem. Koledzy wyprzedzili mnie i do miasta weszli na jakich godzin parę przed nadejściem mojem. Spotkanie wspaniałe i huczne, jakiem ich Preszowianie uczcili, odbyło się w nieobecności mojej. Rozdano im kwatery u mieszkańców. Ja, spowodu żem się spóźnił, nie wiedziałem nawet o tem, zaszedłem do hotelu pierwszego, jaki mi się przedstawił, i kazałem sobie numer dać. Wydało mi się, żem zachorował, takiego doznawałem bolu w kościach i pałania w ciele. Położyłem się, zażądałem herbaty. Żądanie to sprowadziło do łóżka mego gospodarza i gospodynię, dopytywali się i naradzali; wkońcu podali mi ziółka jakieś apteczne. Herbata w r. p. 1848 była jeszcze w Preszowie nieznaną. Ziółka posłużyły mi. Wstałem nazajutrz zdrów jak ryba i wypoczęty zupełnie. Na miasto wyszedłszy, spotkałem jednego z kolegów, od którego dowiedziałem się, że mamy już dowódcę w osobie przybyłego przed nami ze Lwowa kapitana Matczyńskiego. Udałem się na kwaterę jego, przedstawiłem się mu; dobre wrażenie sprawiła na mnie postać kapitana, człowieka młodego jeszcze, o obliczu otwartem, jasnem, wyrazem rycerskości i inteligencji nacechowanem. Opowiedziałem mu powód spóźnienia mego.

— Zmaruderowałeś... — rzekł. Na pierwszy raz, to ujdzie. Wiedz jednak, że w marszu przyzostawać nie można... Tylna straż z maruderami nie żartuje...

Do urzędu mnie odesłał i tam mi bilet kwaterunkowy dano. Kwatera dostała mi się u Słowaka, starego ekshuzara, który mnie gościł i podejmował z serca całego, opowiadając o czasach dawnych i stosunkach swoich rodzinnych.

W Preszowie pozostawaliśmy przez dni dwa; w trzecim, wypłaciwszy nam pierwszy żołnierski żołd, wyprawiono nas dalej podwodami. I już do Pesztu samego forszpany nam dawano. W podróży tej uderzył mnie jeno zaprząg u wozów, który

bywał bądź po cztery konie, bądź po cztery woły wzdłuż, para w dyszlu, para na przodzie. Jechaliśmy częściej kłusem aniżeli stępem. Woły kłusowały narówni z końmi, a przedstawiały się oku inaczej aniżeli nasze; rosłe, smukłe, lekkie, ozdobione rogami ogromnemi, a wspaniale rozłożonemi, dotrzymywały koniom sprawy i nie znać na nich znużenia było. I Węgrzy się inaczej aniżeli ludzie nasi prezentowali. Typ całkiem odmienny, uakcentowany odzieżą, jakiej nie widywałem: spodnie szerokie, koszule krótkie, do pasa jeno, nieokrywające ciała nad pasem, a zaopatrzone w rękawy szerokie i długie, które się do ramienia zataczają; na grzbiecie kurta granatowa z guzami wielkiemi, na opaszki zazwyczaj zarzucona; na głowie kapelusz z kryzą wywróconą, przyozdobiony we wstążki i pióra kogucie lub pawie. Ruch każdy Węgra cechuje zamaszystość, tryskająca w klątwach z ust, niby z rogu obfitości sypanych.

Nas na kroku każdym spotykała uprzejmość, w okazach nierzadko do zachwytu dochodząca.

— *Lengyel baraton... Lelkem, galambom...* — wyrazy te nam się ustawicznie o uszy obijały; znaczą one: „Polaku przyjacielu... duszko, gołąbku“.

Karmiono nas, pojono, goszczono, pieszczono przez drogę całą i na Koszyce, Miszkolc, Gyöngyös i Gödöllö dostawiono do Pesztu, a raczej do Budy, gdzie przed nami otworzyły się drzwi koszar, zwanych Drei Haasen Kaserne.

Mglisto w pamięci rysuje mi się stolica Węgier. Wypadki zatarły w umyśle moim zarówno fizjognomję jej, jak wrażenia, jakie na mnie wywarła. Wypadki następowały szybko jedne po drugich; niektóre z nich zwracały się do nas bezpośrednio, przedstawiwszy się nam pod postacią sprawy legjonów, nagle zakwestjonowanej. Sprawa ta znajdowała się na drodze układów pomiędzy rządem węgierskim a wysłaną przez komitet krakowski delegacją, naczele której stał Józef Wysocki.

Zdobycie Wiednia przez Windischgrätza sprowadziło do Pesztu generała Bema. Rząd węgierski rad był obecności wojownika tego znakomitego; że zaś był to Polak, więc w sprawie legjonów nie omieszkał odwołać się do niego. Bem się odrazu stanowczo przeciwko takowym oświadczył. Zdaniem jego, z Polaków inny a daleko lepszy zrobić można było użytek. Radził rozrzucić ich po szeregach nowotworzącej się armji węgierskiej,

w którejby oni, żołnierze z urodzenia, służyli jako zaprawa. Zdanie to trafiło do przekonania rządu, który jednak, umówiwszy się już z delegacją o legjony, luboć nie na piśmie jeszcze, uważał za rzecz godziwą i słuszną kwestję tę oddać pod rozstrzygnienie nasze, przedstawiając ją w formie zapytania: czy chcemy legjonów, czyli też wolimy wstępować do szeregów węgierskich z podwyższonemi, jeżeli kto stopień jaki posiada, stopniami, wszyscy zaś inni w stopniach podoficerskich? Rzecz ta zajmowała nas przez dni kilka; rozprawy w koszarach wrzały ustawicznie. Były to właściwie nie rozprawy, albowiem ogół oświadczał się za legjonami, ale nastrajanie na ton corazto wyższy oburzenia, jakie śród nas wywołało zdanie Bema. Oburzenie to potęgowały wieści, zapewne fałszywe, jakoby Bem na rząd o zaniechanie formacji legjonów nalegał. I prysnęła spośrodka nas raca. Młody chłopak jeden, nazwiskiem Kołodziejski, wpadł na pomysł usunięcia przeszkody zapomocą zastrzelenia Bema. Z zamiarem tym nie zwierzył się nikomu. Z pistoletem nabitym w zanadrzu udał się do mieszkania generała, posłuchania zażądał i myśl swoją uskutecznił. Strzelił i chybił. Aresztowano go natychmiast.

Wiadomość o wypadku tym, która się w chwili jednej po mieście rozeszła, wywarła na nas wrażenie przykre, — przykre dla dwóch powodów: tak dla tego, że zamach sam przez się nie znajdował uznania, jakoteż dla tej racji, że przypuszczaliśmy, iż rząd węgierski zechce za wybryk jednego odpowiedzialność zwalić na wszystkich i legjonów odmówić. Stało się atoli inaczej. Formacja legjonów postanowioną została. Wiadomości tej udzieliła nam delegacja, oznajmiając oraz, że, co się dowództwa tyczy, rząd żąda, ażebyśmy sami sobie wodza obrali. Umowa przyznawała nam: sztandar i mundur narodowy, komendę w języku polskim, nierozrywanie legjonu dla przydzielania części onego do korpusów różnych armji węgierskiej i prawo obywatelstwa węgierskiego. We względzie uzbrojenia, wyżywienia i żołdu przysługiwały nam prawa ogólne, dla siły zbrojnej postanowione. Po odczytaniu umowy delegacja się oddaliła, i my wnet przystąpiliśmy do wyboru wodza. Odrazu postawionym został kandydat na godność tę jedyny: Józef Wysocki. Jakiś człek siwy, jąkając się, mówił o nim, opowiadał zalety jego we względzie znajomości rzeczy wojskowej i nie wywołał opozycji

ani objekcji żadnej. Wysocki obranym został jednogłośnie. Zachodziła jeszcze kwestja organizacyjna, tycząca się mianowicie rozdawnictwa stopni. Niektórzy chcieli, ażeby się to odbywało, jak w gwardji narodowej, drogą wyborów. Wniosek ten atoli nie utrzymał się. Kwestję tę pozostawiono do rozstrzygnięcia Wysockiemu samemu.

Zawiązanie się legjonu nastąpiło, jak miarkuję, w pierwszej połowie miesiąca listopada; organizacja dokonała się nazajutrz po wyborze naczelnika. Rząd nadał Wysockiemu stopień majora; Wysocki do sformowanych pierwotnie dwóch kompanij piechoty, odznaczonych numerami: pierwsza i druga, zamianował oficerów i podoficerów, pochodzących bądź z wojska polskiego albo austrjackiego, bądź też z gwardji narodowej. Naczele pierwszej stanął Konstanty Matczyński, naczele drugiej — Ignacy Czernik. Wyprowadzono nas na podwórze, ustawiono w szeregi wedle wzrostu, podzielono kompanję każdą na osiem części równych i do części każdej przydzielono podoficera. Po dokonaniu tego odbył się akt wyborczy, przez nas nieprzewidywany. Chodziło o gefrejterów — o szeregowców, starszujących w razach, gdy sekcja, podzielona na dwie części, powołaną jest do pełnienia służby w dwóch miejscach, jakoteż przy rozprowadzaniu wart. Jest to stopień wojskowy najniższy. Na stopień ten wybór zostawiono nam samym i nakazano dokonywać takowy sekcjami. Kiedy na sekcję moją, która była drugą, kolej przyszła, wybraliśmy gefrejtera jednego; co do drugiego atoli zaszło chwilowe wahanie się, z którego sekcję wyprowadził jeden z wyborców w ten sposób, że się odwrócił, na mnie wskazał i powiedział:

— Co tam się mamy namyślać długo!... Wybierzmy oto obywatela tego.

Nazwisko moje nawet znanem mu nie było. Kandydaturę wszakże moją przyjęto i mnie na gefrejtera wybrano. Dostałem awans w pierwszym dniu służby dzięki wypadkowi czystemu, awans, bez którego byłbym może szeregowcem pozostał do końca wojny.

W dniu tym rozdano nam płaszcze i buty, dano broń i lederwerki, i ćwiczono nas w obrotach przedpołudniem i popołudniu, w dniu następnym toż samo, dalej znów toż samo i tak póty, aż nam uszyto mundury i czapki: mundury białe

z czerwonemi wyłogami, czapki czerwone czworograniaste z daszkiem i barankiem. Kiedyśmy mundury dostali, byliśmy już cale nieźle podmusztrowani, i legjon wystąpić mógł paradnie na ceremonję poświęcenia sztandaru. Ceremonja dokonała się przed Muzeum Starożytności, dokąd maszerowaliśmy przez Budę, przez most na Dunaju i przez główniejsze ulice Pesztu. Wystąpienie nasze ściągnęło tłumy ludności. Chodniki wszystkie bitkiem były nabite, na placu zaś przed Muzeum spektatorowie zajmowali dachy domów. Sztandar poświęcał arcybiskup prymas; za matkę chrzestną służyła pani Ruczkay, siostra Koszuta. Przyszliśmy przy odgłosie bębnów naszych; odprowadzała nas, sztandarem już osłoniętych, muzyka wojskowa, a od Muzeum do koszar towarzyszyło nam jedno, ciągnące się, nieustające, zachwytem nabrzmiałe: *eljen a Lengyel!* Był to moment uroczysty i w najwyższym stopniu wzruszający.

Moment ów mnie osobiście niekoniecznie dopisał. Nakazano nam wystąpić w tornistrach. Jam tornister mój upakował jak do pochodu, i włożył do środka wraz z efektami, które w nim być powinny, koszul dwanaście. Koszule cienkie z łatwością się pomieściły, ale że były płócienne, we znaki się mi dały. Od ciężaru bielizny zbolały mnie ramiona i krzyże tak dalece, żem ustał spowrotem. Za przyjściem przeto do koszar, natychmiast koszul się pozbyłem: pozostawiłem sobie trzy, resztę sprzedałem kupcom, którzy oblegali koszary, spowodu że każdy z nas do zbycia coś miał przed wymarszem na linję bojową.

Wymarsz nastąpił w dni parę po poświęceniu sztandaru.

Tu daty szykować się mi poczynają. Wymarsz z Pesztu nastąpił w d. 27 lub 28 listopada, albowiem rocznicę 29 obchodziliśmy nad Cissą, dostawszy się nad brzegi rzeki tej koleją żelazną, która w czasie owym dochodziła do Solnoka i była jedyną w tym kierunku. Dziś kraina ta zasnutą jest kolejami. Dla mnie i dla ogromnej większości kolegów moich jazda koleją żelazną stanowiła nowość. Trafiło się mi to ówczas po raz pierwszy. Anim jeszcze osobliwość taką oglądał kiedy, z wyjątkiem na rysunku. Zastanawiała też mnie i dziwiła. W Solnoku wsadzono legjon na statek. Płynęliśmy z biegiem wody do wieczora i zatrzymaliśmy się na noc we wsi jakiejś. W tejto wsi nazajutrz przed zaambarkowaniem się wcelu płynięcia

dalej Wysocki, kazawszy nam sformować koło, opowiedział o zdarzeniu, nad którem upłynęło lat osiemnaście, i o znaczeniu onego, zachęcił nas do naśladowania walecznych z czasów owych i wskazał nam nadzieję, która urzeczywistni się dla tych tylko, co dla niej pracę i poświęcenie łożą. Na przemowę tę odpowiedzieliśmy okrzykiem stosownym. Dzień był mglisty i posępny. Płynęliśmy do Szentes, stamtąd forszpanami powieziono nas do Aradu.

Arad leży nad wpadającą do Cissy rzeką Marosz, rozdzielającą miasto na Stary i Nowy Arad. Rzeka wygina się z północy na południe, formując kolano, ochwytujące w półkole Arad stary, rozrzucający się na brzegu lewym. Naprzeciwko wznoszą się wały i mury twierdzy. Twierdza ta nabierała znaczenia wielkiego spowodu wojny przeciwko Kroatom, która obok wojny przeciwko Austrji trapiła Węgry ogromnie. Znajdowała się ona w rękach austrjackich i stanowiła wraz z Temeszwarem punkty oparcia dla Kroatów na szachownicy cissko-dunajskiej. Konieczność nakazywała odebrać ją. W tym teżto celu zostaliśmy do Aradu wysłani. Przykomenderowano nas do korpusu oblężniczego dlatego, ażeby zasilić takowy żywiołem militarnym, na którym mu brakło, składał się bowiem z pospolitego ruszenia, przydatnego do rzeczy wielu, ale nie do boju. My zaś — stanowiliśmy już wojsko. Legjon składał się z inteligencji, w połowie ze studentów ze szkół galicyjskich, w połowie ze studentów zza kordonu; rzemieślnicy i oficjaliści wchodzili do onego w części nieznacznej i ginęli w masie studenckiej. Żywioł taki bywa, gdy się z nim naczelnicy obchodzić nie umieją, niesforny, ale musztrę i służbę pojmuje z łatwością wielką i idzie w ogień z akcentem. Obmusztrowanie parutygodniowe starczyło nam za rok ćwiczeń. Brakło nam jeno biwakowej i obozowej wprawy, i tego instynktu radzenia sobie, jakie posiada żołnierz nawykły do pochodów. To się nabywa. Jakoż później, gdyśmy się znaleźli w polu, prędko z doświadczenia nauczyliśmy się korzystać ze wszystkiego, czego do utrzymania bytu potrzeba. W Aradzie było to rzeczą zbędną. Postawiono nas na kwaterach. Mieszkańcy się o spoczynek nasz i jadło troszczyli. Nas obchodziła służba i tylko służba: tęśmy odrazu poznali i pełnili z gorliwością ochoczą i z rozumieniem rzeczy, jak wojsko regularne.

Słusznie też zaliczono nas do regularnych, narówni z bataljonem szeklerów, którzy wraz z nami stanowili jądro siły zbrojnej, oblegającej Arad.

Przybyliśmy do Aradu w deszcz. Na spotkanie nasze wyjechał pułkownik Mariassi ze sztabem i muzyką, ale się parada nie powiodła. Nam do kwater pilno było; zajęliśmy takowe, rozgościli się, trochę osuszyli i zabieraliśmy się do spoczynku, kiedy podoficer służbowy obiegł kwatery z rozkazem, ażebyśmy bez tornistrów, ale w lederwerkach i z bronią wystąpili przed kwaterą kapitana. Godzina mogła być dziewiąta. Rozkaz ów niemiłe na mnie sprawił wrażenie, czułem się bowiem nietylko, jak wszyscy, znużony, ale trapił mnie rozstrój jakiś wewnętrzny. Miałem powody uważać siebie za chorego. Wybrałem się jednak. Na szczęście deszcz padać przestał, niebo atoli okrywały chmury, noc była ciemna i chłodna. Zebraliśmy się przed kwaterą kapitana, zeszykowali i, połączywszy się z kompanją drugą, ruszyli ulicami miasta ku rzece. Przez rzekę przewieziono nas promem i zaprowadzono do szopy jakiejś długiej, pod którą przestaliśmy godzin ze dwie, jeżeli nie więcej. Nie wiedzieliśmy zgoła, co za cel ma to wodzenie nas ponocne. Dowiedzieliśmy się wreszcie. Prowadzono nas na szturm, albo raczej na podchwyt twierdzy. Zalecono nam zachowywanie się ciche, rozdano drabiny do spuszczania się w rowy i pochodnie, które miały być na wałach zapalone; nauczano nas, jak mamy się spuszczać, jak włazić, co czynić, jak w razie niepowodzenia cofać się na sygnał; wezwano wreszcie dwunastu na ochotnika, których prowadzić miał Władysław Poniński, były oficer od dragonów austrjackich, porucznik w kompanji pierwszej. Na wyzwanie to wysunął się legjon cały. Poniński dwunastu na chybił trafił wybrał i odszedł z nimi. Po chwili i nas ruszono. Pochód nasz odbywał się żmudnie: co chwilaśmy się zatrzymywali. Prowadzono nas błoniem, ciemność nieprzebita otaczała nas dokoła; nie widzieliśmy nic, ani obok siebie, ani przed sobą; maszerowaliśmy rotami od prawego. Wreszcie przesunął się mimo nas Matczyński, szepcąc podoficerom do ucha rozkaz do formowania frontu. Jak skoro rozkaz ten dokonanym został, ujrzałem pod nogami mojemi coś nakształt otchłani otwartej. Był to rów forteczny. Zalecono nam drabiny spuszczać i, nie spiesząc się, wchodzić na

takowe. Wkrótce znaleźliśmy się na dnie rowu. Cisza głucha panowała szeroko. Przeszliśmy dno rowu, przystawili drabiny do wału; na tę, co sekcji mojej służyła, wszedłem pierwszy, wspinałem się ze szczebla na szczebel; — zestąpiłem już z najwyższego, stopami opierałem się o mur a dłoniami o murawę, odziewającą wału spadek zewnętrzny, gdy nagle wał cały wzdłuż oświecił się płomykami i napełnił trzaskotem broni ręcznej. Przy świetle płomyków widzieć się dawały oblicza żołnierzy austrjackich, przyłożone do łóż karabinów i patrzące na nas zgóry. Lufy, zdawało się, wylotami głów nam dotykały. Przy twarzy przelatywały mi podmuchy gorące, a powonienie napełniła woń dymu prochowego.

Austrjacy przyjęli nas ogniem w odległości takiej, jaka zachodzi pomiędzy wierzchołkiem a podnóżem wału fortecznego. Pokazało się, że na przyjęcie nasze przygotowani byli, że czekali na nas. Nie było co przeto o darciu się na wał myśleć. Znaleźliśmy się w położeniu krytycznem wielce. Należało się ratować ucieczką szybką.

Dziś nie wiem i natychmiast po rozprawie tej sprawy sobie zdać nie umiałem, jakim sposobem dostałem się na rowu stronę przeciwną. Przypominam sobie jeno wyrzekania na krótkość drabin i głośne jednego z legjonistów odmawianie psalmu: „Kto się w opiekę...“. Przyświecała nam w rowie ciągłość strzelania austrjackiego. To zapewne pomocą wielką było. Nie błądziliśmy poomacku. Za rowem słyszeć się dał sygnał do odwrotu. Ruszyliśmy kupą i wkrótce znaleźliśmy się poza doniosłością strzałów karabinowych. W chwili tej huknęło pierwsze działo, a ponad głowami naszemi przeniósł się, niby od stada szpaków pochodzący, świst mętny a ostry. Dniało już. Huki i świsty powtarzały się razporaz. Oficerowie uszykowali nas. Posuwaliśmy się krokiem zdwojonym. Obok nas, na prawo i na lewo, biegły bataljony pospolitego ruszenia, które za każdym z wałów strzałem działowym na ziemię padały, zrywając się następnie i biegnąc dalej.

Wrażenie tej pierwszej potrzeby, w której chrzest bojowy otrzymałem, było wrażeniem zdziwienia raczej, aniżeli czego innego. Nie mogę powiedzieć, żem strachu nie doznał; strach istotny jednak opanował mnie na krótką chwilę, w momencie czynności, z której sobie sprawy zdać nie umiem, w rowie.

Pozbyłem się go, jakem się skoro z rowu wydostał. Jak przyszedł, tak odszedł i powróciło zdziwienie, ciekawością podszyte, które mi kazało uwagę na to, co się działo, zwracać. Pod wpływem jego pozostawałem nad rowem, w rowie, na wale i następnie w czasie odwrotu. Kiedyśmy się zaczepnie do rowu zbliżali, bolały mnie krzyże, łamało mi w kościach, paliła gorączka; wszystko to ustało wraz z rozpoczęciem akcji. Ozdrowiałem zupełnie, ale na tak tylko długo, pókiśmy na kwatery nie wrócili. W jednej ze mną sekcji znajdował się Wilhelm Acht, prowizor aptekarski. Ten stan mój poznał, dał o nim komu należy znać, i tegoż dnia jeszcze nocowałem nie na kwaterze, ale w szpitalu.

Nie wiem, jaka mianowicie napadła mnie choroba. Nie pytałem o to. Pragnieniem mojem było, ażeby przeminęła jaknajrychlej, jakoż pragnienie to ziściło się. Leżałem dni kilka bez pamięci; następnie pamięć wróciła, siły powracały szybko i nadeszła rekonwalescencja, w czasie której często z okna szpitalu przypatrywałem się widnym w dali wałom fortecznym, mianowicie zaś w momentach, kiedy forteca do miasta kule, granaty i bomby rzucała. Widok ten zajmował mnie szczególnie w nocy, kiedy pociski wydrążone, zakreślając w powietrzu łuki ogromne, ciągnęły za sobą ogony ogniste. Raz o zmroku spostrzegłem przeciągającego ponad miastem gołębia białego; zainteresował mnie, nie wiem dlaczego; okiem go ścigałem i nagle gołąb zmienił się w puch biały, który się rozprysnął i opadać począł. Sprawił to zapewne oddech pocisku, który dotknął ptaka biednego. Wzruszyło mnie to. Gołąb ten przypomniał mi gołąbków moich, rodziców, którzy nie wiedzieli nawet, co się ze mną dzieje. Serce mi się ścisnęło. Opanował mnie żal, który, jak żal każdy, pocisnął, osłabł i ustąpił.

W szpitalu odwiedzali mnie koledzy. Najczęściej przychodził jeden, zbliżony ze mną z tej racji, że był rodem z Wołynia. Nazwisko jego z pamięci mi wypadło. Ten razu pewnego wpadł i tonem uradowania wielkiego zawołał:

— Ułani!..

Wytłumaczył mi następnie, że postanowioną została formacja szwadronu ułanów, do czego możność dało przybycie partji ochotników z Pesztu. Namawiał mnie, ażebym się do jazdy zapisał. Chciało mi się tego, że atoli zamiarem moim

było w rzemiośle wojennem się kształcić, dlatego ochocie milczenie nakazałem i z piechotym się nie wypisał.

Wyjście moje ze szpitala nastąpiło w porze zimowej. Śnieg ziemię okrywał, rzekę lód ściął, mrozy pociskały. Naznaczono mi kwaterę w domu Serba z Wojewodyny[1], nazwiskiem Sawa Simicz, adwokata, gorącego Węgrów nieprzyjaciela. Przyjął mnie tak, jak człowiek z musu gości przyjmuje: grzecznie, ale zimno. Mówił ze mną po niemiecku. Po obiedzie podszedłem do półki z książkami i, wziąwszy książkę jedną, przeglądać ją począłem, zastanawiając się i myślą odczytując ustępy niektóre. Była to Raicza *Istorja raznych sławeńskich narodow, naipacze Bolgar, Chorwatow i Serbow.* Serb zukosa patrzał na mnie, wreszcie się odezwał:

— Zdaje się, jakbyś pan czytać to umiał...

Odczytałem ustęp jeden głośno.

— A... — zawołał. — I rozumiesz?

— Rozumiem...

Stało się to wstępem zbliżenia się pomiędzy nim a mną, które wprędce zmieniło się w serdeczne. Czas cały, gdym na służbie nie był, spędzałem na rozmowach z Simiczem, który mi szczególnie opowiadał o historycznych narodu serbskiego prawach, znanych mu na palcach. Historja plątała się z literaturą, fakty dziejowe z pieśniami. Serb czytywał mi i tłumaczył śpiewy zbioru Wuka Karadzicza. Często wytaczała się na stół polityka i zdarzenia chwili obecnej. Z rozmów tych, odtworzonych na tle fantastycznem, wysnułem następnie powieść p. t. *Szandor Kowacz.* Wówczas ani mi się śniło coś podobnego. Słuchałem jeno uważnie i pilnie, notowałem sobie nawet rzeczy różne, uczyłem się: noty zgubiłem, a z tego, czegom się wyuczył, pozostał mi tylko w pamięci początek pieśni jednej:

Gorom jezdi kralewitiu Marko,
Gorom jezdi i gorom biesiada,... etc.

U Sawy Simicza na święto Trzech Króli wedle stylu starego zebrało się Serbów kilku, podzielających przekonania jego polityczne; na stół wystąpiło trzydziestoletnie wino nie-

---

[1] Wojewodina, serbskie województwo należące do r. 1849 razem z Banatem do Węgier.

gotyńskie, jedli, pili, śpiewali, „słowem weselili“ się. I ja tam byłem, wino piłem, po brodzie mi ciekło i w gardło szło. Wielce mi pobratymce ci nasi do gustu przypadali. Różniliśmy się jednak w zdaniu. Oni utrzymywali, że z Austrją trzymają dlatego, że spodziewają się, iż przy jej pomocy butę madjarską okiełznać zdołają i sobie prawa narodowe zapewnią. Jam się ich przekonać starał, że Madjary dzięki samemu stosunkowi liczebnemu, w jakim do nich pozostają, jakoteż dzięki idei wolności, za którą walczą, nie są w stanie ciemiężyć ich; że niebezpieczniejszą jest dla nich idea państwowa austrjacka, aniżeli węgierska, nie tak jak tamta rozległa, nie tak potężna, niemająca takiego nazewnątrz oparcia, a zatem z natury rzeczy skłonniejsza do zastosowania w obrębie państwowym równouprawnienia narodowościowego. Tłumaczyłem to i przedkładałem. Oni mi opowiadali żale i pretensje swoje, których słuszności nieuznawać nie można było. Austrjacy czynili im obietnice wielkie. Oni wierzyli; ja nie. Rzecz prosta, że wobec władz węgierskich kryli się z sentymentami i wierzeniami swojemi, i możnaby ich podejrzewać o stosunki ze stroną przeciwną. Wydawało mi się, że to do mnie nie należy. Dyskutowałem z nimi, zwierzeń ich słuchałem, alem to zachowywał dla siebie, rad zdarzeniu, oznajomiającemu mnie o rzeczach, które mnie żywo zajmowały. Miesięczny blisko pobyt w domu Sawy Simicza był rodzajem wstępu do studjów nad Słowiańszczyzną południową, którym się oddawałem później. Ze wstępu tego wyszedł najprzód bezpośrednio *Szandor Kowacz*, następnie pośrednio: *Uskoki*, *Narzeczona Harambaszy*, *Dachijszczyzna*, *Rotułowicze*. W stronę tę zwróciła się uwaga moja. Słowiańszczyzna południowa stała się dla niej magnesem.

Simicz był człowiekiem familijnym, miał żonę i dzieci, które zrazu patrzały na mnie spod oka, następnie jednak nietylko się ze mną spoufaliły, ale okazywały mi życzliwość wielką. Pani Simicz nie puszczała mnie na służbę inaczej, jak z wyładowaną jadłem i przysmakami torbą.

Służba nasza w Aradzie była forpocztową. Oblężeniem dowodził pułkownik Mariassi, nienader w rzemiośle wojskowem biegły. Oblężenie też stało się porządnem za przybyciem dopiero Wysockiego i zmieniło się w blokadę, mającą na celu wzięcie twierdzy głodem. Wymagał tego brak wojska, z któ-

remby można było roboty oblężnicze prowadzić. Landszturm, składający się z chłopów w kożuchach bez rękawów, uzbrojonych w kosy, widła, strzelby myśliwskie lub pistolety, nie nadawał się do służby regularnej. Jak na toż jeszcze po przybyciu naszem odesłano do Siedmiogrodu, gdzie Bem dowództwo naczelne objął, bataljon szeklerów. Wojsko przeto regularne reprezentowaliśmy jedynie my: ludzi trzystu zgórą piechoty i szwadron jazdy. Nadsyłano nam potrosze honwedów, dobrze uzbrojonych, ale zgoła niewyrobionych. I z nimi nie można było przedsięwziąć czego innego, jak niedopuszczania do fortecy żywności. Wcelu tym opasano ją baterjami i wartami. Działa strychowały wały kulami pełnemi; z moździerzy posyłano do środka pociski wydrążone, granaty i bomby. Warty baczyły na to, ażeby twierdza nie miała żadnej ze światem zewnętrznym komunikacji, i wcelu tym szykowały się w trzy linje: w pierwszej zewnętrznej szyldwachy, w drugiej placówki, w trzeciej grangardy[1]. Patrole i ronty krążyły ustawicznie. Zmiana warty odbywała się co godzina.

Łańcuchy szyldwachów na noc podsuwano pod fortecę na odległość jak można najbliższą, tak że w ciszy nocnej słychać było stąpanie Austrjaków po wałach. Przy zmianach następowała zazwyczaj wymiana połajanek pomiędzy szyldwachami naszymi a austrjackimi. Ci ostatni, stosując się do przepisów regulaminu, przepuszczają patrol głośnem, na nutę do wycia podobną wyśpiewywanem wołaniem: *Patrol vorbei*! Nasi przedrzeźniali wołanie to z dodatkami, na które tamci z wałów odpowiadali obelgami. Byliby do siebie strzelali, gdyby wolno było. Bez strzelania atoli nie obchodziło się ze strony austrjackiej. Stanowiło to dodatek do wycieczek, jakie garnizon czynił od czasu do czasu celem zadawania oblegającym szkody, burzenia bateryj i zagważdżania dział. Wycieczki zdarzały się rzadko, na punkty przez legjon zajmowane ani razu, ale zato oblężeni urządzali nam często niespodzianki w rodzaju tej, o której opowiem. Razu pewnego w nocy wypadła na mnie kolej prowadzenia patrolu. Szedłem naczele dwóch żołnierzy od szyldwacha do szyldwacha, zdając hasło i zapytując, co zaszło, i zbliżyłem się do posterunku zajętego przez żołnierza nazwi-

---

[1] Posterunki polowe.

skiem Gorecki, chłopaka, co się zowie, tęgiego. Ścieżka prowadziła przez pagórek, na którym zatrzymać się musiałem dla odpowiedzenia na zapytanie szyldwacha: — Stój! kto idzie? Zaledwiem celem dania odpowiedzi usta otworzył, na wałach łysnęły dwa błyski i padły dwa huki, — ja wraz z towarzyszącymi mi żołnierzami obsypani zostaliśmy śniegiem od stóp do głowy. W tejże chwili odpowiedziałem: — Patrol! — Górecki zaś głośno i dobitnie zawołał:

— Patrol stój! podoficer naprzód!

Przyjęcie patrola przez szyldwacha nie doznało nietylko przeszkody ani zwłoki najmniejszej, ale najmniejszej przerwy w regulaminowem zdawaniu hasła.

Austrjacy z wałów wystosowali do nas klątwy i obelgi, które są nie do powtórzenia. Nie powiodło się im. Za dnia wyrychtowali w punkt ten dwa działa kartaczami nabite wcelu zmiecenia patrola z pagórka, na którym wyśledzili zatrzymywanie się onego zwyczajne. Nie zmietli. Zirytowało ich to; bardziej zaś jeszcze zirytować ich musiała krew zimna, z jakąśmy niespodziankę tę przyjęli. Na zapytanie: „Stój, kto idzie?“, odpowiedź: „Patrol“ czekać na siebie kazała najwyżej jedno oka mgnienie, pomimo że pomiędzy zapytanie a odpowiedź wpadło dwa naboje pełne kartaczów. Szczęściem dla nas kanonierowie celowali trochę za nisko, i dlatego kartacze, zamiast nas obsypać, sprawiły jeno zawieruchę śniegową.

Forteca sprawiała nam od czasu do czasu zawieruchy ogniowe, otwierając przeciwko miastu palbę działową. Pociski sięgały rynku, nawet przenosiły takowy. Raz w nocy granat mimo znaczne oddalenie padł na dom Sawy Simicza, przebił dach i sufit, i pękł w sieni. Rodzina spędziła noc tę w piwnicy. Mieszkańcy poopuszczali domy, pod doniosłością strzałów położone, i z domów tych rzadko który nie był postrzelany. Austrjacy usiłowali miasto spalić. Udało się im raz pożar wzniecić. Wykomenderowano nas do gaszenia ognia. Gasiliśmy takowy pod gradem pocisków, które nas żarem obsypywały. Dokazaliśmy jednak swego. Ogień pochłonął domów kilka, ale się na miasto nie rozlał.

Oblężenie ciągnęło się. My, jako wojsko, korzystaliśmy na niem pod tym względem, żeśmy się wprawiali w służbę, forpocztową zwłaszcza. Nudziło nas to jednak. Poza służbą

i poza musztrą pozostawało czasu dużo, z którym nie było co począć. Jam miał na rozporządzenie moje bibljoteczkę Simicza, w której znajdowałem rzeczy ciekawych dla mnie dużo. Kolegom brakło resursu podobnego, zabijali czas, jak mogli: jedni w karty grali, drudzy dyskutowali. Materjał obfity do dyskusyj podawała różnica, jaka zachodziła pomiędzy kompanją pierwszą a drugą, różnica nietylko numeru, ale coważniejsza tego, że pierwsza składała się przeważnie z wychodźców z Królestwa, druga — z Galicjanów. Kongresowiacy za lepszych się aniżeli Galicjanie mieli i naodwrót. Powstawały stąd sprzeczki i spory, w których udziału nie brałem dla przyczyny bardzo prostej: nie należałem ani do jednych ani do drugich. Z Rusi naddnieprskiej znajdowałem się sam jeden w piechocie. Byli jeszcze i inni, ci atoli częścią przeszli do jazdy, częścią pozostali w Peszcie, skąd po zajęciu stolicy przez wojska austrjackie wysłani zostali do komitatów [1] północnych, gdzie formowali piechotę i jazdę: pierwszą pod dowództwem Idzikowskiego, drugą — Tchórznickiego, i mieli się z nami połączyć kiedyś. Ze znajomych atoli nie miałem tam nikogo z wyjątkiem Faustyna Dobrzyńskiego. Widywałem go w Odesie; pochodził z rodziny muzyków, sam atoli nie grał na instrumencie żadnym. Oprócz niego z żadnym z kolegów nie łączyły mnie wspomnienia, dalej, jak podróż ze Lwowa do granicy, sięgające. Dlatego zapewne trzymałem się nauboczu, nie biorąc udziału w dyskusjach, które, zawiązawszy się na gruncie pochodzenia, zaogniały się stopniowo i rozdrażnienie sprowadzały przy okazji pierwszej lepszej. Okazje trafiały się rozmaite. I tak. Nie mieliśmy zrazu oficerów więcej, jak po dwóch w kompanji: kapitana i porucznika. Funkcję podporuczników pełnili podoficerowie. Gdy tych podporucznikami zamianowano, awansowano na miejsce ich czterech spomiędzy gefrejterów. Sprawiło to niezadowolnienie. Każdy sądził się być zdolnym do zajęcia stanowiska podoficerskiego i każdy czuł się pokrzywdzonym, że nie on na stanowisko to wysokie powołanym został. Spowodu tego było gadaniny wiele. Zdarzył się atoli powód ważniejszy.

---

[1] Komitat — okręg administracyjny na Węgrzech pod władzą nadżupana, powiat.

Do kompanji pierwszej zaciągnęło się kilku paniczów, czy też mających się za takowych. Jeden z nich miał ze sobą lokaja, i lokaj ów, stanąwszy wraz z panem w szeregach, pełnił dalej funkcję swoją w odniesieniu nietylko do pana, ale i do przyjaciół jego. Pomiędzy nim a nimi nastąpiło zajście jakieś, zajście drażliwe, które się oparło o kapitana Matczyńskiego. Nie znając istoty zajścia, nie wiem, po czyjej racja była stronie. Wiem atoli, jak się sprawa rozstrzygnęła. Matczyński postawił lokajowi ultimatum takie, że z szeregów wypędzony zostanie, jeżeli nie pozwoli skóry sobie obić. Ze strony kapitana było to nie co innego, jeno w rodzaju swoim amatorstwo. Lokaj dogodził onemu, skórę sobie obić pozwolił, w szeregach pozostał i rozpowiedział o tem, co go spotkało. Wypadek ten wywołał oburzenie ogromne, zresztą jaknajzupełniej słuszne, w żadnym bowiem razie Matczyński nie miał prawa, ani nawet na drodze układów dobrowolnych, wymierzać niedopuszczalnej w legjonie kary cielesnej. Obity w szeregach pozostać nie mógł — wypędzono go; zarazem jednak zachwiało się stanowisko Matczyńskiego. Legjon domagał się usunięcia go. W celu tym wybraną została delegacja, która udała się do Wysockiego i powróciła z odpowiedzią, że sprawa ta zgóry załatwioną została: Matczyński z legjonu wystąpił; miejsce jego naczele kompanji zajął porucznik Józef Jagmin, Litwin, typ w tym rodzaju co Sienkiewicza Podbipięta, ale nie nabożny.

W zajściu tem trzymałem się nauboczu dlatego, że bardziej zajmowały mnie śpiewy serbskie, aniżeli dyskusje. Przytem żal mi było za Matczyńskim, który służbę doskonale znał i naczele kompanji dzielnie wyglądał. Stało się jednak; to zaś, co się stało, stanowiło wróżbę niedobrą z tej racji, że było precedensem na drodze sejmikowania w szeregach. Legjon obradował i delegację wybierał. Początek był dany. Wywołać on mógł za sobą szereg obrad i delegacyj, bardzo na linji bojowej w obliczu nieprzyjaciela niebezpiecznych, — i byłby wywołał, gdyby legjon dłużej pod Aradem pozostał. Środek na to zaradczy znalazł się w wymarszu, który nastąpił przy końcu stycznia, czy w początkach lutego r. 1849.

Do Aradu, w przemarszu z Banatu do północnych Węgier, przyciągnął korpus generała Jana Damianicza, składający się z kilku bataljonów piechoty, kilku szwadronów jazdy

i dwóch bateryj artylerji polowej. W skład piechoty po największej części wchodzili honwendzi; nie brakło atoli i regularnej, reprezentowanej przez bataljonów parę, z tych jeden pułku imienia Waza. Jazda cała byli to stare huzary; dowodził nimi pułkownik Piketti, naczele zaś szwadronów znajdowali się oficerowie, po większej części Niemcy, o których nie można było wiedzieć, jakby się znaleźli, gdyby im przyszło wobec armji austrjackiej stanąć. Przybywali z Banatu, gdzie się wojna toczyła przeciwko Racom[1] i miała charakter poskramiania w imieniu korony węgierskiej buntu, podniesionego przeciwko władzy prawowitej. W dalszym onej rozwoju prawowitość zakwestjonowaniu uległa, tak że zachodziło pytanie, czy nie znajduje się ona po stronie armji austrjackiej? Z tego powodu rzeczą było wątpliwą, co o niej trzymają Niemcy, oficerowie od huzarów.

Korpus Damianicza pozostawał w Aradzie dni kilka. Chodziły pogłoski o szturmie do twierdzy. Na pogłoskach się jednak skończyło. Ku niemałemu uradowaniu naszemu dowiedzieliśmy się, że legjon do korpusu przydzielony został i że nas czeka pochód. Piechotę przykomenderowano do brygady Leiningena. Godzina wymarszu wybiła. Ruszyliśmy.

Cieszyło nas to powszechnie, mnie nie wyłączając, pomimo żem się dzięki Simiczowi znajdował w położeniu wyjątkowem. Inni się nudzili i kwasili, ja nie. Zajęcia miałem poddostatkiem, przyjaciół znalazłem i długo jeszcze mógłbym się położeniem, jakie się dla mnie urobiło, zadowalniać. Nęciła mnie jednak nowość wojny w polu i dla niej, luboć nie bez żalu, rozstałem się z rodziną, z którą nie łączyło mnie nic, chyba zaciekawienie się moje do rzeczy, które jej na sercu leżały. Simiczostwo i dzieci żegnali mnie ze łzami i z błogosławieństwem. Simicz na stronę mnie wziął i pocichu powiedział:

— Wojna źle się dla was obrócić może: w razie takim... pamiętaj, dom mój dla ciebie zamkniętym nie będzie... Rozumiesz?... — dodał z gestem znaczącym.

Nie potrafię dzień po dniu opowiedzieć wiernie pochodu,

---

[1] Racowie, Raszcowie, Raszanie prawosławki Serbowie, zamieszkali w krajach należących przed 1849 do Węgier.

który przerzucił nas z Aradu do Szentes nad brzegiem Cissy. W pochodzie tym przyszło się mi po raz pierwszy w kotle przy ognisku zupę dla sekcji gotować. Osoliłem zupę tak, że była nie do jedzenia. Przechodziliśmy przez wsie ogromne i zamożne, przez Madjarów zaludnione. Po chatach dostatek. Stawaliśmy po kwaterach, na których z gospodarstwem rozmówić się nie było można inaczej, jak na migi. Przyjmowano nas rozmaicie, w miejscach jednych uprzejmie, w innych niekoniecznie, odpowiadając: *nincs lelkem*, *nincs galambom* [1], na zapytanie o *kenyér* (chleb), *hus* (mięso), *bor* (wino), *szalonna* (słonina). Znajdowało się atoli to wszystko. Ze zwyczajów, jakie się mi w oczy rzuciły, zauważyłem przedewszystkiem próżniactwo mężczyzn. Węgier, w kożuchu ogromnym, na opaszki narzuconym, niczem się nie trudniąc, spędza zimę całą pod piecem. Kobiety się krzątają, uprzątają, warzą i chleb raz na miesiąc pieką. Ciasto na chleb miszą z mąki pszennej, z kukurydzianą zmieszanej, nadając bochenkom rozmiary, przenoszące o wiele chleby prądnickie. Chleby takie, świeże, bardzo są smaczne, sczerstwiałe jednak tak twardnieją, że je siekierą rąbać potrzeba. Słonina odegrywa u Węgrów rolę ważną w ich życiu, służy bowiem do przypraw, jako jadło, do smarowania włosów i ciała, przytem stanowi bogactwo gospodarskie. Gospodarz, mający córki, przysposabia dla nich wiano w połciach słoniny, papryką natartej i wędzonej, pod strychem na pokaz rozwieszonej. Wieś cała wie, ile która z dziewcząt na wydaniu połciów słoniny warta. Chałupa każda składa się z dwóch izb, sieniami przedzielonych. Z sieni wychodzi się na podwórze i na ogród, i wchodzi do izby na prawo i do izby na lewo, pośrodku zaś wznosi się kuchnia murowana z fajerkami, albo z ogniskiem, służąca wyłącznie do gotowania jadła. Izby ogrzewają się zapomocą dużych, krągłych, mających kształt stożka ściętego pieców, otoczonych dokoła niskim przymurkiem, na którym się rodzina wygrzewa przez zimę. Piec zajmuje kąt ode drzwi; pod ścianą zaś stoi łóżko paradne, wyścielone pierzynami i poduszkami pod sam sufit i okryte kapą wyszywaną lub haftowaną. Na łóżku tem nikt zazwyczaj nie sypia. Do spania służą łóżka inne, ustawione jedno za drugiem pod ścianą od

---

[1] Niema duszko, niema gołąbku.

podwórza. Mebli reszta składa się ze stołów i stołków pospolitych.

Wsie, jak mówiłem, są ogromne, liczące mieszkańców po kilka tysięcy głów. Otaczają je pola rozległe; do obrabiania takowych wieśniacy mają w pusztach chałupy, w których zamieszkują od wiosny do późnej jesieni. Wsie takie posiadają kościoły z zegarami lub bez zegarów. Zegar stanowi niejako świadectwo zamożności osady. We wsi z zegarem znajduje się rynek, oberża i sklepów kilka; chałupy wyglądają porządnie, szeregując się w odstępach równych jedna obok drugiej, przy ulicach długich, szerokich i prostych, każda wgłębi ogrodzonego wysoko podwórza, każda z ogrodem dużym.

Szentes (wym. Sentesz) liczy się za miasto, jest jednak wsią. Charakter miejski nadają mu żydzi, zamieszkujący w większej aniżeli gdzieindziej ilości. Leży nie nad Cissą, ale nad ramionami jej, opływającemi porosłe trzciną i łoziną trzęsawiska, przez które do rzeki szosa doprowadza. Szosa ta była przedmiotem dozoru naszego.

Dla wyjaśnienia rzeczy opowiem w kilku słowach, w jakiej zimową porą wojna węgiersko-austrjacka znajdowała się fazie.

W jesieni jeszcze wojska austrjackie zajęły Peszt i zwróciły się frontem operacyjnym ku Cissie, zalewając kraj cały na prawym brzegu rzeki tej położony. Dowodził niemi feldmarszałek książę Windischgrätz. Dlaczego wódz austrjacki po zajęciu Pesztu nie przerzucił się na lewy brzeg Cissy, jest to tajemnicą, która ponoś rozjaśnioną nigdy nie będzie. Czy nie uważał za rzecz stosowną prowadzić kampanji zimowej? Czy liczył na nieład rewolucyjny? Rząd węgierski, osiedliwszy się w Debreczynie, zajął się z energją wielką organizacją sił zbrojnych i planowaniem kampanji wiosennej. Fabryki broni i ludwisarnie rozwijały czynność gorączkową, bataljony honwedów, szwadrony jazdy i baterje artylerji stawały, niby wyrastające z ziemi grzyby, i ściągały się w korpusy, w których się z gorliwością wzorową ćwiczyły w mustrze i obrotach. Do planów wezwani zostali ludzie kompetentni i urabiali takowe pod okiem rządu. Kompetentnych trafiło się dwóch: gen. Vetter i przybyły w ciągu zimy pod przebraniem Henryk Dembiński. Chodziło najprzód o rozstrzygnięcie pytania, jaką prowadzić wojnę:

odporną czy zaczepną? Zgodzono się na tę ostatnią. Chodziło następnie o to, jak ją prowadzić? Szyk bojowy austrjacki przedstawiał się pod postacią trójkąta z wierzchołkiem w Peszcie, z podstawą, idącą od Solnoka do Kapolny. W Solnoku, na lewym brzegu Cissy, usypali Austrjacy szaniec przedmostowy i zamierzali przeprawić się w tym punkcie. Tu się opierało prawe ich skrzydło. Ruch zaczepny ze strony węgierskiej polegał na tem, ażeby wojska austrjackie atakować na skrzydle prawem lub lewem. Zdania rozchodziły się w tym względzie. Dembiński był za tem, ażeby atakowanem było skrzydło prawe.

Kampanja rozpoczęła się od wykonywania planu przeciwnego i w tymto celu korpus Damianicza zajął Szentes, położony niżej aniżeli Solnok i pozwalający działanie zaczepne prowadzić zapomocą obchodzenia prawego skrzydła przeciwników. Ruchu tego próbowano dwukrotnie, raz z Szentesa, wkrótce po przybyciu naszem, drugi raz z Czibakhazy, wsi położonej pomiędzy Szentesem a Solnokiem. I raz i drugi zwróciliśmy się z marszu napowrót. Z Szentesa Cissę przechodziliśmy po lodzie; doszliśmy jeno do Czongradu i byliśmy nazajutrz znów w Szentesie, gdzie stałem kwaterą u żydów i wieczora pewnego przez godzin kilka przysłuchiwałem się ciekawej rozmowie filozoficznej pomiędzy gospodarzem a jakimeś żydem wędrownym, który piechotą przyszedł i piechotą odszedł, a miał minę włóczęgi. Oś rozmowy stanowił Spinoza. Wyprawa z Czibakhazy uskuteczniła się w warunkach fatalnych. Przeprawiliśmy się przez rzekę po nowozbudowanym moście, maszerowaliśmy dzień cały, na noc stanęliśmy obozem. Dzień był chłodny; z południa padać począł deszczyk, który nas przemoczył nawskroś; wieczorem wziął mróz. Przy ogniskach sposobu nie było ani się odegrzać, ani osuszyć. Spędziliśmy noc, próbując się zagrzać zapomocą cieplika, jaki wydzielają ciała ludzkie. W celu tym kładliśmy się jeden obok drugiego i okrywali płaszczami, kładzionemi jeden na drugi. Nazywa się to „spać w maszynkę“. Sposób ten dostarczył nam spoczynku trochę. W dniu następnym gdyśmy w kierunku odwrotnym maszerowali, powtórzyła się pogoda dnia poprzedniego, ale w spotęgowaniu; zrana odwilż, następnie deszczyk drobny i gęsty, nad wieczorem mróz, ale tęgi, taki, że zlodowaciały na nas poły od płaszczów. Zatrzymano nas w obozie na błoniu, na-

przeciwko Czibakhazy i kazano biwakować. Zabraliśmy się do rozpalania ognisk. Drzewo mokre palić się nie chciało. Rozpacz ogarniała. Po drugiej stronie rzeki leżała wieś, na moście stała warta i odpychała każdego, co się z obozu wymykał. Gdy ściemniało się, żołnierstwo tłumnie do mostu się rzuciło, wartę strąciło i wieś zalało, cisnąc się do chałup, w których miejsca nie było. Około godziny dziesiątej odezwały się bębny. Kazano nam w pochód iść. Woleliśmy to, aniżeli pozostawanie w obozie. Ruszyliśmy w marsz, śnieg gęsty padać począł. Wykomenderowano mnie na kwatermistrza kompanji. Ruszyłem razem z kwatermistrzami od ułanów i, oni konno, ja piechotą, zaszedłem z nimi do Török Sz. Miklosz, gdzie zakwaterowałem się z sekcją w domu, w którym na katafalku, w otoczeniu światła spoczywał nieboszczyk. On spoczywał na katafalku, my zaś, gdzie który przyległ. Spaliśmy tak twardo, żeśmy nie słyszeli eksportacji zwłok, co się bez księdza, służby kościelnej, śpiewów i ruchu nie obyło zapewne. W Török Sz. Miklosz wypoczęliśmy należycie. Nastąpiły potem marsze i kontrmarsze.

Wspomnienia moje przedstawiają mi je mętnie spowodu, żeśmy odbywali pochody przy niepogodzie ustawicznej i myśleliśmy nie o czem innem, jeno o spoczynku. Przypominam sobie wszakże moment jeden, o którym zapomnieć trudno. Nocowaliśmy i, zdaje się, dniówkęśmy odbyli we wsi jakiejś dużej. Rozeszła się pomiędzy nami wiadomość, że do korpusu naszego przydzielonym został bataljon dziewiąty honwedów, zwany od czapek czerwonych „rotkaplerami“ albo po węgiersku *vörösziplkosz*. Bataljon ten, pochodzący z Koszyc, wsławił się kilku czynami odwagi, które mu rozgłos nadały. Słyszeliśmy o nim i byliśmy onego ciekawi, a mogliśmy ciekawość wrychle zaspokoić, albowiem bataljon we wsi nocował i miał w kolumnie marszowej miejsce zająć. Gdy nas do pochodu za wieś wyprowadzono i na placu obok drogi postawiono, domyśliliśmy się, że rotkaplery będą mimo przechodzili. Czekaliśmy na nich z bronią do nogi, i kiedyśmy tak czekali, na drodze ukazała się jakaś kobieta stara, za rękę przez dziewczynę młodą prowadzona. Kobieta zbliżyła się; spostrzegliśmy, że jest ślepa; podeszła przed front nasz, rękę wyciągnęła, po piersiach palcami stojącego przed nią żołnierza pogładziła, wpół się odwróciła i ramiona i oblicze dogóry wznosząc, zawołała:

— Boże, dziękuję ci, żeś mi pozwolił przed śmiercią dotknąć się do żołnierza polskiego...

Wyrazy te wygłosiła po polsku. Zaledwie przebrzmiały, słyszeć się dał na bębnach wybijany marsz i ukazało się na drodze czoło kolumny bataljonowej rotkaplerów. Dziewczyna staruszkę pociągnęła; obie śpiesznie przez drogę przeszły. Nie widzieliśmy ich więcej. Uwagę naszą całą pochłonęli rotkaplery.

Sławny hufiec ten nie posiadał miny obiecującej, nie przedstawiał się mąż w męża. W szeregach pod względem doboru ludzi panowała rozmaitość wielka co do wzrostu, tuszy i wyrazu twarzy. Przeciągali mimo nas rotami. Obok człowieka słusznego szedł mały, obok pięknego mizerak; zauważyłem jegomościa jakiegoś krótkiego a krępego, w dużych srebrnych okularach, starannie uczesanego, w czapeczce czerwonej nabakier, który pod tornistrem i z karabinem na ramieniu miał minę mordercy serc niewieścich w małem miasteczku, za żołnierza przebranego. Inny znów wyglądał niby ksiądz wywłoka. Większość składała się z chłopaków gołowąsych, uginających się pod ciężarem flinty. Szli krokiem niepewnym, chwiejnym. Powitaliśmy ich okrzykiem:

Eljen a vöröszipkosz!

Odpowiedzieli nam: *Eljen a Lengyel.* Okrzyk ten miał w sobie coś jakby nieszczerego, z przerwami się ciągnął i skonał. Słowem, rotkaplery zrobili na nas wrażenie nieosobliwe. Wyobrażaliśmy ich sobie inaczej, bardziej po rycersku. Pochody dalsze odbywaliśmy z nimi i niebawem znaleźliśmy się w tej samej Czibakhazie, która się nam wyprawą niefortunną upamiętniła.

Postawiono nas na kwaterach ciasnych, karmiono niekoniecznie dostatecznie i męczono służbą forpocztową. Sekcja moja dzieliła mieszkanie z sekcją węgierską z bataljonu Wazów, w której Cygan jeden dla niewiadomej mi racji polubił mnie, przynosił niewiadomo skąd ryby i żywił mnie niemi. Staliśmy na miejscu przez dni trzy. Pierwszą noc spędziłem na forpocztach, drugą na strażnicy we wsi, na trzecią zamierzałem wyspać się, lecz wpoprzek zamiarowi temu stanął rozkaz, który nas wieczorem przez most przeprowadził i na noc całą w pochód wyprawił. Była to dla mnie niespodzianka cale niemiła. Czułem się znużony, z sił wybity. Maszerować jednak musiałem, ma-

szerowałem, potrząsając tornistrem i przekładając karabin z ramienia lewego na prawe, z prawego na lewe, celem ulżenia krzyżom i ramionom, które mnie bolały, och! bolały. Przytem senność mnie trapiła. Usypiałem idąc i przebudzałem się nagle, gdym padać miał. W ciagu nocy raz tylko udzielono nam spoczynku krótkiego, który mnie podrażnił jeno. Upadałem ze znużenia i ze snu tak długo, aż ranek zaświtał.

Brzask dzienny odsłonił przed nami w oddaleniu panoramicznem miasto rozrzucone szeroko, a oddzielone od nas spadzistością, która ze strony naszej wdół schodziła i na przeciwnej pod górę się wznosiła, formując dwa, jedno za drugiem, rozległe płaskowzgórza, okryte, jak oko sięgnie, zoranemi i upulchnionemi rolami. Na prawo płynęła Cissa, na lewo w perspektywie dalekiej widniały laski; zresztą horyzont na wsze strony otwarty ogniskował się niejako w gromadzie domów, spośrodka której wystrzelały wieże kościołów. Zatrzymano nas i frontem do miasta szykować poczęto.

— Bitwa!...

Wyraz ten po szeregach się przesunął. W chwili tej zapomniałem, że kiedykolwiek byłem znużony, zbolały i senny. Otrzeźwiałem odrazu. Uwagę moją zajęła wjeżdżająca na pozycję artylerja, konie działa niby pługi po zoranej ciągnęły roli. Zająłem się następnie skowronkami, co się w powietrzu nad głowami naszemi rozszczebiotały. Posuwać się nam naprzód kazano; uszliśmy kroków paręset, i w ciszy porankowej zabrzmiał huk wystrzału działowego. Po wystrzale tym w przestankach krótkich zabrzmiał wystrzał drugi i trzeci. Znów zapanowała cisza. Posuwaliśmy się z oczami na miasto zwróconemi. Zrazu nie widać było nic, nagle zamajaczyły ławy ruchome i rozwinęły się w linję długą na płaskowzgórzu przeciwległem, mając nas przed sobą, miasto za sobą. Po szeregach naszych rozległo się wołanie: „stój!“. Była to chwila, w której się Damianicz, na widok wojsk regularnych w szyku stojących, zawahał. Honwedów część ogromnie większa po raz pierwszy w ogień iść miała. Miał więc niejaki do nieufania im powód, i spowodu tego zawahał się, a nawet rozkaz do odwrotu dał, ale rozkaz ten odwołał natychmiast na przedstawienie Wysockiego, który rezultat bitwy na swoją wziął odpowiedzialność.

Wnet przeto adjutanci roznieśli po kolumnach wyraz: „Naprzód!“ w połączeniu z poleceniem rozsypania przed frontem tyraljerów.

W tyraljery wysłano z bataljonu naszego dwie sekcje z prawego skrzydła. Wysunęliśmy się, w łańcuch rozwinęli i w chwili tej zawiązał się ze strony jednej i drugiej ogień działowy. Pospieszaliśmy naprzód, zrazu wdół, następnie podgórę, na płaskowzgórze przeciwległe, na które jak skorośmy wbiegli, wnet przyjęciśmy zostali salwami broni ręcznej, sypanemi z rozwiniętych na front szeregów austrjackich na odległość taką, że dokładnie widne nam były oblicza przeciwników. Gwizd kul, podobny do psykania ós, uszy nam napełnił. Biegliśmy naprzód, strzelając i nabijając, nabijając i strzelając. Austrjacy raz jeszcze do nas ognia bataljonami dali; myśmy im w odpowiedź na to „hura!“ huknęli i z bagnetami pochylonemi na nich skoczyli.

Atak nasz nanicby się zdał, gdyby za nami w też pędy krokiem zdwojonym nie pospieszały kolumny. Zdaje się, że generał austrjacki nie przewidywał takiej ze strony naszej rezolutności. Wobec niej nakazał odwrót śpieszny. Piechota pędem ruszyła do miasta, artylerja poniosła się wstecz; nam się wstrzymać kazano, z prawego naszego skrzydła Wysocki pochwycił bataljon trzeci honwedów i, naczele onego stanąwszy, poprowadził naprzód celem usadowienia się z nim w mieście.

Znajdowaliśmy się w momencie tym na wysokości Solnoka, przy rowie, przez który przechodziła droga. Na lewo od nas stało bataljonów dwa, z których jeden na pochyłości wznoszącej się w polu mogiły formował czerwoną plamę. Byli to rotkaplery.

Niebawem znów nam naprzód iść kazano, wskazawszy za wytyczną lasek. Miasto zostawialiśmy na prawo; posuwaliśmy się po roli zoranej, w której stopy nam grzęzły. Było nas wszystkiego bataljonów trzy. Gdyśmy mogiłę minęli, padać obok nas poczęły kule działowe, które w gruncie miękkim tonęły. W kierunku, skąd one przychodziły, ukazała się oczom naszym smuga błyszcząca jazdy austrjackiej, złożonej z kirysjerów i dragonów. Ku nim i ku strzelającym do nas działom zmierzaliśmy powoli. Nagle od strony lasku pojawiło się coś nakształt grządki makowej, sunącej się po ziemi. Złudzenie to sprawiły proporce ułanów naszych. Płynęli niby; grządka makowa kraśniała, na-

raz znikła. Na miejscu jej wzbiła się kurzawa, — kurzawa zrazu wionęła, wnet jednak w miejscu się zatrzymała. Domyśliliśmy się, a raczej odczuli, co się stało. Ułani uderzyli na jazdę austrjacką. Widok ten pchnął nas niejako naprzód. Bataljon ruszył bez komendy biegiem po roli zoranej. W piersiach oddech się nam pragnieniem pośpiechu zatykał. Pragnęlibyśmy lecieć, lotem pomoc nieść, widzieliśmy bowiem dysproporcję ogromną sił, jaka zachodziła pomiędzy naszym szwadronikiem a dwoma dywizjonami, to jest czterema szwadronami jazdy ciężkiej. Nagle mimo nas wichru pędem przeniosły się dwa szwadrony huzarów. Odetchnęliśmy, jakby nam ciężar z serca spadł, i na miejscuśmy stanęli. Dwa inne bataljony zatrzymały się także. Na miejscu, gdzie spotkanie jazdy nastąpiło, widzieliśmy po niejakimeś czasie uwijanie się kawalerzystów pojedyńczych, wzbijających kurzawę, która nam dokładnie rozpoznać, co się tam dzieje, nie dawała.

Niebawem rzecz się wyjaśniła.

Po złamaniu Austrjaków przed miastem i po zajęciu przez prawe nasze skrzydło miasta a zagrożeniu przez lewe drogi odwrotu do Czegledu nie pozostawało wojskom austrjackim, jak szukać śpiesznego wycofania się z matni. Do uskutecznienia tego nadawała się dolina rzeczki Zagyva (czytaj Zadwa), wpadającej w Solnoku do Cissy. W dolinę tę skierowano piechotę, artylerję i pociągi; jazda zaś z dwoma działami zajęła pozycję wcelu osłaniania odwrotu. Dla uzupełnienia zwycięstwa należało Węgrom jazdę austrjacką atakować. Zadanie to przypadało huzarom. Z huzarami atoli ten zaszedł wypadek, że jak skoro się wojska do boju uszykowały, opuścili ich oficerowie wszyscy prawie z tej racji, że się bić nie mogą przeciwko wojskom cesarskim. Musiano na polu bitwy zastąpić ich podoficerami. Gdy przeto potrzeba szarży nadeszła, zapytany pułkownik Piketti odpowiedział, że nie wie, czy huzarów prowadzić można, chyba iżby ułani im drogę pokazali. Z tegoto powodu posłano ułanów i, gdy oni uderzyli, huzary za nimi poszli. Była to przeto szarża wysnuta z potrzeby nietyle militarnej, co politycznej. Ułani nasi posłużyli za przynętę i byliby zginęli, gdyby przynęta nie poskutkowała. Jazda austrjacka w miejscu ich czekała. Dowódca onej, widząc szwadronik do ataku idący, odezwać się miał:

— To warjaci, albo Polacy...

Dragoni i kirysjery pomiędzy siebie ich wpuścili, otoczyli i rąbać się jęli pałaszami. Położenie stało się dla nich w stopniu najwyższym krytyczne. W chwili tej wpadli huzary, ułanów wyzwolili, dragonów i kirysjerów zmięli i zachwycili wszystko, co z doliny Zagyva wydobyć się nie mogło. W ręce ich, z wyjątkiem działa jednego, wpadła artylerja cała, jaszczyki i pociągi wszystkie. Uzupełniło to zwycięstwo. Wymknęła się jeno piechota, i to nie w całości. Kompanij kilka w szańcu przedmostowym broń złożyło; w mieście w niewolę część jakąś wzięto. Zdobycz defilowała przed nami. Huzary uprowadzali działa, jaszczyki i wozy, krzycząc *eljen!*, i pokazując szable we krwi skąpane. Na wozach wieziono pojmanych oficerów austrjackich. Na jednym okrakiem siedział major od kirysjerów w hełmie i kirysie. Był to człek ogromnie wąsaty i niezmiernie marsowaty. Przejeżdżając mimo legjonu, zgóry na nas z wyrazem wzgardy w oczach patrzał. Z żołnierzy naszych niektórzy pokazywali mu granie palcami na nosie.

Uciecha pomiędzy nami zapanowała wielka.

VI

NA WĘGRZECH

Zwycięstwo przez nas pod Solnokiem odniesione ogromny na dalsze wojny węgierskiej losy wywarło wpływ. Nastąpiło ono d. 2 marca 1849, w dni trzy po bitwie pod Kapolną, stoczonej pod dowództwem Dembińskiego. Bitwa ta, luboć dla oręża węgierskiego niepomyślna, wielką miała pod tym względem doniosłość, że siły orężne węgierskie po raz pierwszy wystąpiły w skupieniu i działały wedle planu. Plan operacji na lewe skrzydło austrjackie był dziełem Dembińskiego. Atak na Solnok w stosunku do onego miał znaczenie dywersji i dał w rezultacie triumf, — triumf żołnierza młodego nad starym, ruchawki nad wojskiem regularnem; dał zatem w rezultacie dowód, że ruchawka z powodzeniem mierzyć się może z wojskami regularnemi. Wyniknęła stąd korzyść moralna, która w wojnach tego rodzaju nie jest bez znaczenia. Honwedzi pod Kapolną utrzymali spoistość militarną, pod Solnokiem odnieśli zwycięstwo świetne. Wojsko młode, które pod Szwehat rozbiegło się i w potyczkach, staczanych w jesieni, placu dotrzymywać nie umiało, wojskiem się nareszcie poczuło: poczuło ufność samo do siebie, ufność wzbudzało w tych, co mu przewodniczyli. Była to wygrana wielka.

Rzec wypada słówko o wojsku węgierskiem.

Rewolucja na rozporządzenie swoje dostała garstkę wojska regularnego, wynoszącą nie więcej, jak 16.000 ludzi. Sejm postanowił organizację milicji pod nazwą Obrony krajowej — honwedów, rodzaju gwardji narodowej ruchomej, z tem wszakże, że nie wybierała ona sobie oficerów. Tych ostatnich mianował rząd. Pobór do honwedów odbywał się wedle reguł rekrutacji zwyczajnej. Młodych ludzi przeznaczano do piechoty, jazdy

i artylerji, organizowanych wedle modły, przyjętej w armji austrjackiej. Jazda dzieliła się na szwadrony, pułki, brygady, dywizje; artylerja na baterje po dział osiem; piechota zatrzymywała podziały austrjackie, ale pod zmienionemi nieco nazwami. Za jednostkę organiczną przyjętym został bataljon i z bataljonów, dzielących się na cztery kompanje, formowano półbrygady, brygady i korpusy. Półbrygada przeto odpowiadała pułkowi, korpus dywizji. Korpusów siła normalna wynosiła 12.000 głów i składała się z dwunastu bataljonów piechoty, dwóch pułków jazdy, dwóch bateryj artylerji pieszej i jednej konnej. Do korpusów przydzielało się po kompanij parę saperów-pontonierów, bez parków — rozumie się. Z korpusów tworzyły się armje, którym przewodniczyli wodzowie naczelni.

Pisząc z pamięci, nie ufam sobie tak dalece, ażebym podawać miał ogólną armji węgierskiej siłę. O sile tej sądzić jeno mogę wedle nazwisk generałów korpuśnych, jakie mi się o uszy obijały. Obijały mi się o uszy nazwiska następujące: Görgey, Klapka, Damianicz, Aulich, Gaspar, Kmety, Perczel. Dwaj ostatni mieli dowództwo na południu przeciwko Racom i nie wiem, jakiemi rozporządzali siłami. Pominąwszy przeto ich, pominąwszy garnizony po miastach i w Komornie, pominąwszy Siedmiogród, który pod dowództwem Bema stanowił komendę oddzielną, na Węgry właściwe przypadało korpusów pięć, czyli w przybliżeniu 60.000 wojska, przeznaczonego do działania w polu otwartem. Korpus nasz stanowił część onego.

Po zwycięstwie pod Solnokiem spodziewaliśmy się drugiej w dniu tym samym bitwy. W Czegledzie, w odległości dwóch stacyj koleją żelazną, stała brygada austrjacka. Widzieliśmy, jak równocześnie ze strzałami sygnałowemi do Czegledu pomknęła lokomotywa. Uszykowano nas przeto na drodze żelaznej, wysłano podjazdy, dowódcy szkłami horyzont badali; gdy słońce przygrzało, pokazywały się nam miraże; nieprzyjaciel atoli nie pokazał się. Bitwa skończyła się około dziewiątej rano. Przestaliśmy na pozycji do pierwszej zapewne. Słońce dogrzewało, pragnienie paliło; gasiłem je w kałuży, w której zwłoki psa mokły; wreszcie poprowadzono nas do miasta na kwatery. Zajęliśmy kwatery po Austrjakach i jedliśmy obiady dla nich przyrządzone. Liczyli oni na to, że nas pobiją i wrócą. Stało się inaczej. Zachowała się mi w pamięci zupa, którą spo-

żyłem: była tak opapryczoną, że chłodziłem sobie gębę winem, wodą i wiatrem. Mięsa nie jadłem, spowodu że na podwórze domu przez drogę przyprowadzono z pobojowiska konia z nogą złamaną, zabito go, ze skóry odarto i na mięso ćwiertowano. Myśl o mięsie końskiem apetytu mnie pozbawiła.

Nazajutrz po bitwie przeprowadzono nas napowrót na lewy brzeg Cissy i postawiono w obozie obok usypanego przez Austrjaków szańca przedmostowego. W obozie tym przyłączyły się do nas dwie kompanje legjonu, co się w północnych Węgrzech sformowały; w obozie tym posunięty zostałem o stopień wyżej za to, żem w ciągu bitwy zajął miejsce zabitego Trylowskiego, który sekcją dowodził. Awansowałem na podoficera. Spoważniałem. Legjon nasz wzrósł do rozmiarów bataljonu pełnego i spowodu odznaczenia się pod Solnokiem wszedł do składu półbrygady wzorowej, sformowanej z bataljonu dziewiątego (rotkaplery) i trzeciego honwedów, z bataljonu pułku Waza i z bataljonu polskiego. W obozie pozostawaliśmy dni parę; ruszyliśmy wreszcie w pochód dalszy w północnym od Solnoka kierunku, zatrzymywaliśmy się po dni parę tu i ówdzie i przerzuciliśmy się wkońcu na Cissy brzeg prawy. Nastąpiło to w Tissa-Füred. Na brzegu prawym Węgrzy usypali obszerne szańce przedmostowe, które byłyby służyły w razie, gdyby Austrjacy zaczepnie działali. Przeszliśmy je i przez Poroszlo wydostaliśmy się na trakt, którym miesięcy temu cztery przejeżdżaliśmy forszpanami jako ochotnicy, to jest na trakt kapolniański, ten sam, który, według planu Dembińskiego, służyć miał za oś operacyjną.

Na trakcie tym w Gyöngyös miasto owację legjonowi sprawiło. Gdyśmy przez ulice przeciągali, obsypywano nas kwiatami; kobiety nam kokardy do płaszczów przypinały. Ludność w sposób ten wywdzięczała się nam za Solnok. Okrzyki *eljen a Lengyel!* towarzyszyły nam aż za miasto. Wpobliżu Gyöngyösu, we wsi dużej staliśmy na kwaterach przez dni kilka, po upływie których część korpusu naszego z Wysockim naczele udała się w pochód drogą do traktu głównego równoległą i gdy się około dziewiątej rano na spoczynek zatrzymała, uszów naszych doszły odgłosy wystrzałów działowych. Echa dochodziły od strony prawej. Wnet nam pod broń stawać kazano i poprowadzono nas naprzód krokiem pospiesznym.

Wystrzały dochodziły corazto wyraźniej. Wysocki ze sztabem zatrzymywał się od czasu do czasu i nastawiał lunetę, badając widnokrąg. O! jakże mi się chciało przez lunetę ową spojrzeć. Zachciewało się tego samego i kolegom moim, ile razy bowiem do szeregów zbliżał się A. Grochowalski, ze sztabowców jeden, zawsze zarzucanym był pytaniami o to, co w lunecie widać.

— Widać Austrjaków — odpowiadał.

— Dużo?

— Policzymy ich niebawem...

Gdyśmy minęli wieś jakąś, kazano nam szyk z pochodnego w bojowy zmienić i kolumny łańcuchem tyraljerów osłonić.

— Majorze... tyraljery... — odezwał się wnet Jagmin do dowódzcy bataljonu Czernika, palce do salutowania podnosząc i studenta proszącego profesora o wyjście z klasy postawę przybierając.

— Pluton pierwszy z kompanji pierwszej w tyraljery! — odrzekł major.

— Pluton pierwszy... naprzód!... marsz... marsz!... — zawołał Jagmin głosem triumfu.

Wystąpiliśmy z frontu, uszliśmy krokiem zdwojonym kroków kilkadziesiąt, i dwie sekcje od prawego, to jest pierwsza i moja, rozsypały się w łańcuch. Ruszyliśmy biegiem; Jagmin za nami rezerwę prowadził i na gwizdawce sygnały dawał. Natrafiliśmy na rozlegające się po dwóch stronach drogi ogrody przedmiejskie. Przez płoty wskoczyliśmy do ogrodów. W miarę jakeśmy się posuwali, huk bitwy, składający się ze strzelaniny działowej i karabinowej, ogarniał nas corazto mocniej. Przebiegaliśmy z ogrodu do ogrodu, aż stanęły przed nami mury miejskie. Słyszeć się dał sygnał zborny. Zbiegliśmy się na ulicy, gdzie nas Jagmin rotami uszykował i, poza siebie się nie oglądając, naprzód poprowadził. Grzechot ognia broni ręcznej wrzał ustawicznie. Przechodziliśmy mimo domów pozamykanych; z jednego wyszedł człowiek z konewką oburącz trzymaną, pragnienie mnie paliło, konewkę schwyciłem, do ust przyłożyłem, piłem, piłem, nie wiedząc, że piję wino; oddałem i za plutonem pobiegłem. Pluton właśnie wkraczał na rynek wojskiem napełniony. Wgłębi stało dział parę zaprzężonych i oddział huzarów, bliżej bataljony piechoty. Zatrzymaliśmy się u wnijścia. Widok oczom naszym przedstawił się w rodzaju swoim oryginalny. Na rynek adjutant

wodza naczelnego przyniósł rozkaz zdobycia mostu, zamaskowanego domami piętrowemi. Wykonania rozkazu tego próbował bataljon ten i ów; co który poszedł, to wrócił, powitany kartaczami, któremi Austrjacy z dwóch bateryj, krzyżujących ogień, strzelali. Pomiędzy bataljonami próbującemi znajdował się jeden niemiecki strzelecki, w kapelusikach z piórami koguciemi. Ten cofnął się ostatni i ściągnął na siebie ze strony Węgrów wyrzuty ostre, na które niemniej ostro Niemcy odpowiadali.

— Idźcie wy! — wołali jedni na drugich, z dodatkiem obfitym obelg.

Z szeregów niemieckich wyskoczyła kobieta i perorowała, podnosząc karabin i wskazując na oblicze swoje dymem prochowym uczernione.

Wrzała kłótnia, która, kto wie, jakiby obrót wzięła, gdybyśmy się pomiędzy spór wiodące bataljony nie wsunęli. Jak skorośmy się pokazali, w chwili tej spór ustał, z jednej strony zabrzmiał okrzyk wielki: *eljen a Lengyel!* z drugiej: *es leben die Polen!* Jagmin zakomenderował:

— Krok podwójny, marsz... marsz!...

Gdyśmy pomiędzy bataljonami przechodzili, okrzyki wciąż grzmiały, a do wiwatów dołączały się wołania węgierskie *eliure!* i niemieckie *vorwärts!* tłumaczące się po polsku przez: naprzód! Wrzawa stała się ogromna, a tem większa, że Grochowalski, zgromadziwszy obok domu, przy którym przechodziła ulica na most, doboszów kilkudziesięciu, bębnić im kazał marsz do ataku. Wrzawa ta niosła nas niby; spłynęliśmy po niej, w ulicę weszli, spoza domów się wynurzyli, w kolumnę do ataku pod kartaczami sformowali i na most skoczyli, odstraszając saperów austrjackich, którzy, pomost zerwawszy, koło słupów majstrowali. Most przebyliśmy po belkach. Na przeciwnej stronie wnet Jagmin w tyraljery nas rozsypał i, gdyśmy się naprzód posuwali, z lewej naszej strony strzelać poczęły działa, które poszluzem baterje austrjackie brały. Działa te na pozycję wprowadził Wysocki. Artylerja austrjacka niezwłocznie pozycję swoją opuściła. Wkrótce potem bataljony węgierskie jęły się rzeczkę przechodzić. Most naprawiono. Za piechotą poszła artylerja, za artylerją jazda. Zawiązaniu się boju na nowo przeszkodziła spóźniona dnia pora. Wojska atoli na pozycjach do wieczora pozostawały, a z niemi i pluton nasz na szosie, którą zdobył.

Jagmin powracać ani myślał. *J'y suis, j'y reste.* O zmroku nadjechał adjutant Wysockiego z rozkazem odprowadzenia plutonu do kolumny. Jagmin mu na to:

— Nie słucham rozkazów ustnych... przywieź mi rozkaz na piśmie...

Adjutant odjechał i rozkazu na piśmie nie przywoził. Nie wiem, co się Jagminowi po głowie roiło. Czynność jego od chwili wprowadzenia tyraljerów w ogrody była ustawicznem regulaminu gwałceniem, regulaminu, który dla niego był sumą mądrości, ewangelją, pacierzem codziennym. Wbrew pacierzowi temu od kolumny się oddalił, z oczu ją stracił i wykonał na most atak. Zapał go uniósł, o regulaminie zapomniał i wyobrażał snadź sobie, że stanowiska zdobytego opuszczać się mu nie godzi. Trzymał się na takowem do ostatka, tak że wojska węgierskie zeszły, ciemno się zrobiło i my pozostaliśmy sami.

— Wracajmy, poruczniku — odzywał się do Jagmina to ten, to ów.

— Na rozkaz czekam — odpowiadał.

Bez rozkazu ruszyć się nie chciał. Przyszło jednak nakoniec do tego, że sam zmiarkował, że jeżeli bez rozkazu na piśmie stanowiska zdobytego opuszczać nie wypada, to nie wypada bez rozkazu plutonu w oderwaniu od bataljonu trzymać. Cel trzymania tego przedstawiał się niekoniecznie jasno. Co my na szosie tej do czynienia mieli po nocy, o głodzie i bez snu? Nie wiem, czy pytania te zadawał sobie Jagmin, ale na myśl mu przyszło co innego. Wydało się mu, że komenda zwierzchnicza przeciwko obowiązkom swoim wykroczyła. Obruszyło go to. Wzdychał i głową wstrząsał; wreszcie, ulegając naleganiom naszym, odwrót nakazał: pluton frontem ustawił, w prawo zwrócił, rotami ruszył i prawem ramieniem naprzód na most poprowadził. Za mostem od czasu do czasu zatrzymywały nas warty, my zaś na strażnicach rozpytywaliśmy o korpus Damianicza. Odnalezienie onego nie było rzeczą łatwą. Do bataljonu dobiliśmy się późno w nocy: ogniska w obozie już były pogasły, żołnierze spali, podjadłszy sobie zapewne; my aniśmy się przy czem ogrzać, ani co przekąsić nie mieli. Ległem, pamiętam, na ziemi, usypiać począłem, zmarzłem, zerwałem się i zoczyłem panią Młodecką, markietankę, przechodzącą z pakunkiem na plecach.

— Co tam pani niesiesz?...

— Tokaj...

— A wódka?

— Właśniem po wódkę do miasta poszła; wódkim nie dostała, trafił mi się zato tokaj... prawdziwy tokaj...

— Czy tokaj grzeje? — zapytałem.

— O! i jak jeszcze...

Kupiłem butelkę i wypiłem ją duszkiem.

Nazajutrz Jagmin ku niemałemu zdziwieniu swemu dowiedział się od oficera służbowego, że aresztowanym jest. Była mowa o oddaniu go pod sąd. Skończyło się jednak na tem, że do południa bez pałasza pozostawał i podobnoś reprymendę od Wysockiego dostał. Sztuka uszła mu na sucho dzięki Węgrom, przyświadczającym jednogłośnie heroizmowi polskiemu. Reputacja nasza w armji rosła.

Bitwa, której epizod jeden opisałem powyżej, stoczoną została d. 2 kwietnia pod Hatvań. Rozpoczęła ona sobą szereg bitew, z których każda zwycięstwem była. We dwa dni po niej potykaliśmy się pod Tapio-Biczke, pamiętnej mi tem, że mi obuwie opadło, przyszedłem na plac boju boso i w boju boso figurowałem. Zawadzało mi to w marszu; w bitwie anim wiedział, że stąpam po ziemi stopami, wystawionemi na obrażenia wszelakie. Pod Tapio-Biczke mieliśmy nie most, ale groblę długą do zdobycia, i zdobywanie onej nakazanem zostało w sposób zupełnie taki, jak pod Hatvań, to jest, adjutant przywiózł rozkaz bataljonom, posuwającym się łąkami ku trzęsawiskom, któremi w odwrocie osłonili się Austrjacy i bronili grobli celem zabezpieczenia sobie odwrotu. Ustawili naprzeciw niej artylerję i piechotę. Po otrzymaniu rozkazu trzy bataljony ku niej się zwróciły. Na prawo od nas maszerowali rotkaplery; ci kroku przyspieszyli, z kolumny dywizjonowej sformowali się sekcjami, wydłużyli się i biegiem poszli, bez względu na to, że ściągnęli na siebie ogień piekielny. Zawierucha kartaczów i kul karabinowych nie wstrzymała ich. Poszli, przez groblę się przeparli i na stronie przeciwnej kupą na piechotę austrjacką się rzucili. Za nimi w tropy biegliśmy my. Do nas już nie strzelano. Bataljon rotkaplerów ucierpiał srodze. Grobla usiana była zabitymi i rannymi, których ilość niemała leżała po jednej stronie w wodzie, po drugiej w po-

krzywach i błocie. Ścigaliśmy czas jakiś armję nieprzyjacielską, której pociągi w ręce nam wpadły. Jeden z wozów prowadził jeden z kolegów moich, Kwiatkowski.

— Niema tam butów? — zawołałem.

Kwiatkowski cisnął mi parę dużych berlaczów pilśniowych. Natychmiast je wzułem; że zaś stopy były dwa razy przynajmniej większe aniżeli stopy moje, musiałem je przeto poprzywiązywać sznurkami w kostce i kolanach i sporządziłem sobie w sposób ten obuwie lekkie i wygodne. Służyło mi ono jednak niedługo. W bitwie następnej, która we dwa dni później pod Isaszegh nastąpiła, w kawałki się rozpadło, i ja znów boso pozostałem.

W bitwie pod Isaszegh legjon złożył dowód waleczności rzeczywistej.

Bój zawiązał korpus Klapki przeciwko wojskom austrjackim, które pozycję silną z natury wzmocniły okopami. Węgrzy musieli się z lasów wydostawać. Damianicz dostał w ciągu marszu inwitację wysłania sił głównych na linję bojową i odłamania od takowych paru bataljonów, celem wykonania demonstracji na lewem skrzydle austrjackiem. Korpus przeto pomaszerował drogą, co się odłamywała w lewo, a z kolumny pochodnej oddzielono bataljon nasz i bataljon Waza, szwadron huzarów i pół baterji artylerji, i poprowadzono nas w prawo. Droga, przechodząca lasami, nie była bardzo utartą. Naczele ze sztabem licznym jechał Damianicz w towarzystwie Wysockiego. Wynurzyliśmy się z lasu w pozycji górzystej. U stóp naszych rozwijała się w dali panorama bitwy, okurzona białawemi dymami, nabrzmiała hukiem. Ramy jej stanowiły lasy, półkolem szerokiem pole bitwy schwytujące, a dalej w prawo widniały pola zielone, łączące się z horyzontem. Lasy, z których wyszliśmy, ciągnęły się poza nami w dwie strony. Na prawo od nas poczynał się wąwóz, za którym rozlegały się wypasy, porosłe rzadko drzewami. Ze strony tej, z której widok wybiegał na miejsca otwarte, spodziewano się nadciągnięcia korpusu węgierskiego pod dowództwem Gaspara.

W stronie tej, jak skorośmy z lasu wyszli, zamajaczyły kolumny jakieś. Posuwaliśmy się bardzo powolnie — krok za krokiem, zatrzymując się co moment. Damianicz i Wysocki przez lunety rozpatrywali się w okolicy; po chwili generał

wysłać kazał podjazd na prawo wcelu dotarcia do pokazujących się w dali kolumn i — ponieważ wątpliwości nie było, że to Gaspar, — wskazania im kierunku pochodu. Pluton huzarów ruszył. My zaczęliśmy się posuwać znów. Tuż obok legjonu jechali Damianicz i Wysocki. Przypatrywałem się Damianiczowi z ciekawością, widywałem go bowiem dotychczas zdaleka, w przezroczu niby. Obecnie miałem go przed sobą. Mogłem studjować postać człowieka, co był nam wodzem i jako taki obchodził nas żywo. Damianicz był wzrostu dużego, barczysty, nos miał lekko orli, wejrzenie i wyraz oblicza marsowy, na piersi mu spływała długa, czarna broda, nadająca akcent twarzy jego do śniadości ogorzałej. Przedstawiał on sobą typ Serba tej rasy, do której należał, wedle portretów sądząc, Karageorgi. Miał na sobie atyllę węgierską, duże palone buty, przy boku pałasz, na głowie czako nabakier nieco przechylone.

Posuwaliśmy się krok za krokiem. Naraz na prawo ukazał się pluton spowrotem. Powracał, ale — jak? Huzary w rozsypce pędzili, co koń wyskoczy; pędzili naoślep; kilku najechało na Wazów i potratowało ludzi w bataljonie. Jednemu czako z głowy spadło i trzymało się na szyi, na podpince, potnik spod siodła się wysunął i wlókł się za koniem w powietrzu. Pędzili z okrzykiem:

— *Nemet!* [1]

Zamiast spodziewanego korpusu Gaspara nadciągał niespodziewany korpus Schlika: bataljonów dwanaście czy piętnaście piechoty ze stosowną ilością jazdy i artylerji.

Niespodzianka ta tłumaczyła się sama przez się: korpus Schlika szedł wprost na skrzydło i tyły walczącej armji węgierskiej. Dla dokonania tego potrzeba mu jeno było zająć las. Postać rzeczy stawała się groźną w stopniu tak wysokim, że Damianicz osłupiał na koniu, twarz mu zbladła, czoło zmarszczył i po chwili milczenia odezwał się:

— Co teraz, to nie wiem, co czynić...

Słyszałem wyrazy te po niemiecku wygłoszone.

— Ale ja wiem — odparł Wysocki.

I, do nas mowę zwracając, głosem przez nos zawołał:

— Do lasu! W tyraljery się rozsypać! Lasu bronić!

---

[1] Niemcy.

Noga wasza ani jedna niech stamtąd nie wyjdzie, jeżeli Austrjacy las zajmą.

Zwrócono nas na miejscu przez „lewo wtył, zwrot!“, równie jak Wazów; ruszyliśmy w las i rozsypali się w tyraljery, Wazowie na lewo, my na prawo. Dokonaliśmy tego na długiej a wąskiej polanie, za którą stanowisko rezerwa nasza zajęła. Austrjacy poczęli nas granatami macać. Granaty wielki sprawiały hałas, łamiąc gałęzie i pękając z wywoływaniem ech. Przeszedłszy polanę, posuwaliśmy się łańcuchem i niebawem zawiązaliśmy palbę, jak skoro ukazały się nam szeregi tyraljerów austrjackich. Las napełnił się grzechotem nieustającym. Naparliśmy Austrjaków aż do wylotu lasu; Austrjacy naparli nas do polany, którąśmy w odwrocie przebiegli i za którą znów się sformowali i naprzód ruszyli. Powtórzyło się to razy trzy. Trzy razy polanę przebiegaliśmy pod ogniem, ochoty sobie okrzykiem „hura!“ dodając. Rozprawa ta ciągnęła się od jedenastej przedpołudniem do dziewiątej wieczorem. Strzelaliśmy jedni drugim we łby na odległość niekiedy kroków kilku, tu i ówdzie szeregi przeciwne schodziły się i bagnetami kłuły. Co do mnie nie potykałem się na bagnety i, jako podoficer, odpowiedzialny za porządek bojowy sekcji, nie strzelałem. Strzeliłem raz tylko. W odwrocie szedł obok mnie żołnierz nazwiskiem Nowakowski — obejrzał się i zawołał:

— Podoficerze!...

Jam się obejrzał skolei i rzutem mimowolnym z karabina się złożyłem. Rzut ów spowodował żołnierz austrjacki, który w odległości kroków kilku mnie na cel wziął. Strzeliliśmy równocześnie, ale nie z równem powodzeniem. Jam trafił, on — nie. Widziałem, jak się wywrócił biedak i ujrzałem w chwili tej nadbiegających żołnierzy kilkunastu. Puściliśmy się z Nowakowskim biegiem; Austrjacy ścigali nas i strzelali. Niebawem Nowakowski jęknął „oj-oj!“ i za rękę mnie uchwycił. Prowadziłem go czas jakiś, aż potknął się i wpadł w dół liściem zeschłym napełniony. Zostawiłem go tam i za powrotem widziałem trup jego.

W lesie tym gęsto nasze i austrjackie padały trupy. Bój był zawzięty i uparty. Broniliśmy lasu szczerze i wkońcu, gdy się już ściemniło, cofnęliśmy się. Ogień ustał. Ściągaliśmy się do rezerwy, spoglądając ku polanie, która w cieniu przyoblekła

się dla nas powłoką zagadkową. Nagle wysunęła się na nią masa ciemna.

— Austrjacy... — przesunęło się po szeregach naszych szeptanie.

Wydało się nam, że widzimy przed sobą kolumnę piechoty i upewniliśmy się w tem, gdy w kolumnie owej bębny się ozwały. Na odgłos bębnów ogniaśmy dali. Kolumna nam ogniem nie odpowiedziała. Pokazało się, że był to bataljon węgierski, nam na pomoc przysłany. Wysocki nadaremnie przez dzień cały kołatał o podtrzymanie nas siłami świeżemi. Z pola bitwy kompanji jednej oderwać nie można było. Stało się to możliwem wieczorem dopiero, kiedy nadciągnął oczekiwany korpus Gaspara.

Bataljon przybyły zluzował nas. Ukazano nam drogę leśną, poszliśmy nią i, z lasu wyszedłszy, zatrzymaliśmy się pod wsią jakąś. Po drodze spotykaliśmy koła połamane, wozy powywracane. Przez dzień cały nic w ustach nie mieliśmy. Nie czuliśmy jednak głodu ani pragnienia. Opanowało nas uczucie pognębiające, byliśmy bowiem przekonani, że bitwa, w której wzięliśmy udział, przegraną przez nas została. Przekonanie to powstawało w nas stąd, żeśmy się cofnęli. Nie rozpalaliśmy ognisk, nie sporządzali jadła: jak kto stał, tak się na ziemię zwalił, przygnieciony ciężarem znużenia, które się domagało spoczynku. Na mnie powtórzyły się fenomeny bitew pod Solnokiem i pod Tapio-Biczke, w których w pierwszej odzyskałem siły mdlejące od znużenia, w drugiej zapomniałem o braku obuwia. Po bitwie czułem się znękany i spostrzegłem, że berlacze opadły mi z nóg. Pilśń nie wytrzymała ocierania się o pieńki i rośliny kolące. Pozostałem znów boso; nogi miałem pokaleczone, na rękach i płaszczu plam krwawych pełno. Nie to mi jednak dokuczało najmocniej, ale przegrana, która mi niby na sumieniu ciążyła. Cofnęliśmy się — zeszliśmy przed nieprzyjacielem z pola. Fakt ten w duszy mi nurtował i wywoływał zapytanie: cóż dalej będzie?

Zapytanie to rozstrzygnęło się niebawem. O wschodzie słońca przyjechał adjutant Wysockiego i przywiózł wiadomość, że bitwa została wygraną i wygraną dzięki nam. Nie puściliśmy Schlika. Usiłowania jego przejścia przez las rozbiły się o piersi nasze. We dwa bataljony zatrzymaliśmy korpus, którego siła

równała się sile mocnej dywizji. Armja austrjacka znajdowała się w pełnym odwrocie na Peszt. Otrzymała trzy ciosy jeden po drugim: pod Hatvań, pod Tapio-Biczke i oto obecnie, pod Isaszegh, — czoła już stawić w stanie nie była.

Pod Isaszegh pozostawaliśmy dni dwa czy trzy, zażywając dobrze zasłużonego spoczynku. Staliśmy obozem, który upamiętnił się mi Świętami Wielkanocnemi, obchodzonemi bez bab i placków, ale zato z pieczenią sarnią. Żołnierze nasi zdobyli jedną z sarn, uciekających ze zwierzyńca właściciela Gödölö. Mieliśmy tedy pieczeń i jaja; dzieliliśmy się jajkiem wedle zwyczaju i wygrzewaliśmy się na słońcu. Słońce i piasek, na którym staliśmy, sprawiły, jak się zdaje, to, że mi się wygoiły pokaleczone w bitwie nogi. Dostałem trzewiki jakieś przechodzone; w marszu więc dalszym nie figurowałem już boso.

Marsz dalszy rozpoczął się dla nas defiladą przed Koszutem, podczas kiedyśmy przez Gödölö przeciągali. Szliśmy ze sztandarem rozwiniętym. Na widok sztandaru naszego Koszut głowę odkrył i pochylił się ukłonem kornym. Myśmy mu „niech żyje“! krzyknęli; on nam ręką dziękował, nie za okrzyk, rzecz prosta, ale za dowody waleczności, jakie legjon w bitwie każdej składał.

Od Gödölö kierunek pochodu naszego zmienił się. Dotychczas wytyczną naszą był Peszt; odtąd stał się Komorn. Do Pesztu udał się jeden z korpusów, inne zaś wzięły w prawo i drogami różnemi zmierzały do twierdzy tej dziewiczej. Korpus Damianicza zajmował w pochodzie skrzydło lewe. Operacja ta dwa miała na widoku zadania: spotkanie i odrzucenie wstecz wojsk świeżych austrjackich, które z Czech i Morawy na teatr wojny śpieszyły, i poniesienie odsieczy Komornowi, oblężonemu od początku wojny. Celem rozwiązania dwojakiego zadania tego stoczyliśmy bitew trzy: pod Wacowem, pod Nagy-Szarlo i pod Komornem.

Pod Wacowem bił się tylko korpus nasz i odniósł zwycięstwo zupełne. Legjon szturmował do miasta — wziął je. W ręce nasze wpadło jeńców wojennych dużo, jeńców, pochodzących z pułków galicyjskich, którzy w liczbie znacznej do legjonu się zaciągali. Było to dla nas z korzyścią spowodu, że szeregi nasze mocno się przerzedziły; z szeregów zaś austrjac-

kich jedyny, jaki się trafił zasiłek, odnosił się do utarczek, w których udział brały trzecia i czwarta kompanja przed połączeniem się z nami, i polegał na trzydziestu Rusinach dezerterach z szeregów austrjackich. Nie byli to jeńce, sami bowiem przeszli. Jeńcy, wzięci w Wacowie, należeli do brygady, dowodzonej przez gen. Jabłonowskiego, który wielką, co się legjonu tyczy, okazywał zawziętość. Powtarzali nam oni słowa generała tego:

— Każę Maćkom moim — powiadał — po kieliszku wódki dać, to oni Polaków tych zjedzą...

Pod Wacowem nie powiodło się biedakowi. Jabłonowski uprowadził wojska pobite, generał Götz bowiem, który tam naczelnie dowodził, zginął. Po bitwie mieliśmy dniówkę. Od Aradu po raz pierwszy wpadły mi w ręce gazety. Jąłem się czytania z chciwością i dowiedziałem się, że na miejscu Windischgrätza dowództwo naczelne nad siłami zbrojnemi austrjackiemi na Węgrzech objąć ma gen. Welden. Dzienniki podawały go za znakomitość w rzeczach wojskowych i wyrażały nadzieję, ba pewność, że naprawi, co Windischgrätz zepsuł i sprowadzi zwycięstwo pod sztandary austrjackie.

Nad bitwą pod Nagy-Szarlo zatrzymam się dłużej nieco spowodu, że łączą się z nią osobiste wspomnienia moje, które mi się w pamięć mocno wraziły. Zaczynają się one od wigilji spotkania, od nocy z 18 na 19 kwietnia. Przeszedłszy rzekę Gran na wysokości Ipolysag, zatrzymano nas na noc we wsi jakiejś, której nazwy nie pamiętam, i rozstawiono kompanjami całemi po stodołach. Nakazaną nam była czujność wielka. Rozstawiono warty i posyłano patrol za patrolem pod dowództwem podoficerów. Około północy budzi Jagmin mnie i następującą daje mi instrukcję:

— Pójdziesz drogą przez wieś aż do kościoła murowanego; przy kościele weźmiesz się w lewo, droga wyprowadzi cię za wieś; za wsią na drodze spotkasz szyldwacha naszego, weź się znów w lewo; linją szyldwachów dojdziesz do karczmy, od karczmy wrócisz do wsi i na strażnicy raport zdasz... Ale — dodał — pamiętaj sobie, od szyldwacha idź w lewo, gdybyś bowiem poszedł w prawo, zaszedłbyś aż do korpusu Klapki...

Zanotowałem w pamięci sobie owe „w lewo“ i, stanąwszy naczele sekcji mojej, ruszyłem do kościoła, dalej od kościoła za wieś; kołowrot minąłem, idę drogą w czystem polu, idę i szyld-

wacha nie spotykam. Trzymając się instrukcji ściśle, nie wracam, pomimo że mi się wydaje, iż odchodzę ode wsi za daleko.

— Co u licha!... — odezwał się z żołnierzy któryś — gdzież ten szyldwach?

I jam sobie zapytanie to sam zadawał, ale instrukcja brzmiała wyraźnie. Powinienem był iść aż do spotkania szyldwacha. Szedłem więc, uszedłem drogi sporo, nie wiem ile, szyldwacha nie spotykałem; ale zato po niejakimeś czasie pokazały się mi ogniska obozowe. Zastanowiło mnie to. Nie rozumiałem, coby to znaczyć miało; przypomniałem sobie jednak o korpusie Klapki i przypuściłem, że skutkiem jakicheś niepojętych dla mnie powodów do obozu korpusu tego doszedłem. Zamajaczyło się mi w myśli, że pod obozem tym spotkam szyldwacha, za którym tak daleko gonię. Poprowadziłem przeto sekcję moją wprost ku ogniskom; doszliśmy, weszli i nagle żołnierze i ja równocześnie spostrzegliśmy się, że się znajdujemy w obozie austrjackim. Austrjaków poznaliśmy po butach i spodniach. Piechota węgierska nosi tak zwane „bagańcze". Żołnierze, co przy ogniskach siedzieli i leżeli, na bagańczarzy nie wyglądali zgoła. Przytem Węgrzy do nakrywania głowy używali kepi, ci zaś mieli czaka. Rzecz była niewątpliwa. Obróciłem się, ręką skinąłem: żołnierze skinienie moje zrozumieli i broń z ramion spuścili. Skinąłem znów, na lewo wtył wykonali i ruszyli drogą tąż samą, którąśmy przyszli. Wynieśliśmy się wnet poza obręb obozu i znaleźliśmy się znowu w szczerem polu. Szliśmy śpiesznie w milczeniu. Milczenie przerwaliśmy nie prędzej, aż nam ognie z oczów znikły. Czy to byli Austrjacy w rzeczy samej? — na myśl mi przyszło. Niepewny byłem, czy mi się nie wydało? Wracając na drodze pode wsią, spotkałem szyldwacha.

— Stój, kto idzie? — huknął.

Zamieniłem z nim wyrazy regulaminowe i zapytałem:

— Czyś był tu, kiedy ze wsi wychodziłem?

— Byłem i widziałem ciebie — odrzekł —, ale na ustęp poszedłem... i...

Na rację taką nic nie było do odpowiedzenia. Przeszedłem łańcuch szyldwachów, od karczmy wróciłem i wysłuchać musiałem z ust Jagmina reprymendę surową za to, żem się w karczmie zabawić musiał. Jako żywo do karczmy anim zaglądał.

Alem się tłumaczył nadaremnie. Jagmin tego był przekonania, że się Austrjacy mnie i podkomendnym moim przywidzieli.

Nie przywidzieli mi się oni zgoła. Wyprawione nad ranem podjazdy skonstatowały obecność ich i, jak skoro na dzień się zanosić poczynało, do boju nas szykowano. Poranek był mglisty i chłodny. Kolumny zwolna posuwały się naprzód, i gdy się na prawem skrzydle odezwały pierwsze wystrzały działowe, uczułem drżenie, którego sobie wytłumaczyć nie umiałem. Ponieważ w bitwach poprzednich nie drżałem, wydało mi się, że to przeczucie śmierci. Zwróciłem się przeto do żołnierzy sekcji mojej i przemówiłem do nich w sposób następujący:

— Zdaje się, że się wywrócę tym razem... Wiedzcież, że w kieszeni prawej na dnie mam pakiecik, a w pakieciku tym kilka banknotów austrjackich i kilkadziesiąt sztuk półimperjałów... Gdybym zabity został, lepiej niech się to dostanie wam, aniżeliby dostać się miało Węgrom, albo, broń Boże, Niemcom...

Wkrótce potem nadjechał Wysocki, w dobrym był humorze, mówił:

— Bitwa zapowiada się dla nas pomyślnie... Klapka Niemcom na karki wsiadł. Niebawem i na was kolej przyjdzie. Widzicie — dodał odniechcenia niby, palcem wskazując, — tę wieżę kościelną... Na wieżę tę wprost maszerujcie... Jest tam wieś; tę potrzeba, ażebyście zdobyli koniecznie.

Majorowi Czernikowi dyspozycje dał i odjechał. Major tyraljerów wykomenderował, nie z Jagminem jednak, pomimo że się prosił; tyraljerzy się rozsypali; niebawem wieś się pokazała, otoczona ze strony tej częstokołem; tyraljerzy do częstokołu doszli, zatrzymali się, kolumna pośpieszyła; żołnierze szeregu pierwszego naporem silnym częstokół wywrócili i przychwycili kolumnę austrjacką w momencie, kiedy ona, z ulicy wiejskiej wyszedłszy, szykowała się. Z gromkiem „hura!“ i z bagnetem pochylonym skoczyliśmy wnet na nią. Zboku zaatakowana kolumna się wstecz rzuciła — my za nią. Ona wpadła w ulicę — i my w ulicę. Parliśmy przed sobą kupę, gnaną strachem panicznym i wywracającą bataljony, które przez wieś przechodziły. W sposób ten spędziliśmy bataljonów trzy. Żołnierze austrjaccy ratowali się nietylko wzdłuż ulicą, ale także przez zagrody i ogrody, drogę sobie za wieś przez takowe skracając. Niebawem ulica się oczyściła; legjoniści się na nią

ściągać poczęli i w momencie pewnym wypadło mi tak, że idąc sam, zobaczyłem przed sobą Faustyna Dobrzyńskiego, przytulonego do słupa obok furtki, prowadzącej do domu jakiegoś, i strzelającego wgłąb podwórza. Strzelał, nabijał i znów strzelał.

— Co ty, Fasiu, robisz? — zapytałem, podchodząc.

— Taką mam satysfakcję Austrjakom w d...y strzelać! — odrzekł.

Do środka zajrzałem. Przedstawił się mi widok taki: żołnierze austrjaccy zatarasowali sobą sami wyjście do ogrodu, stłoczyli się i przedstawiali gęstą masę ludzi zwróconych do furtki plecami.

Poszedłem dalej. Legjon zgromadził się po drugiej stronie wsi na placu, rozciągającym się od kościoła do smętarza, a odgrodzonym od pola rowem, porosłym licyną [1]. Major na placu tym przed rowem uszykował nas w rozwinięty front bataljonowy. Skrzydło prawe opierało się o smętarz, lewe nie dochodziło do drogi, przechodzącej mimo kościoła. Austrjacy poczęli granaty ciskać, przygotowując sobie w sposób ten atak, mający na celu odebranie nam wsi. Ruszyły niebawem kolumny. Żołnierze, co do nas z austrjackich przeszli szeregów, pokazywali nam widnego w dali jeźdźca na koniu srokatym i powiadali:

— To Jabłonowski...

Mieliśmy więc przeciwko sobie swoich — pułki galicyjskie, Maćków, co nas za wódki kieliszek zjeść mieli.

Bataljon jeden wysunął się naprzód i na nas ruszył. Przypatrywaliśmy się mu zdaleka, aż zabrzmiała komenda majora:

— Bataljon baczność! rotami ognia! rota prawa i lewa w sekcjach zaczynaj!

Jam obok smętarza na ścieżce, co przez rów przechodziła, stał i na następstwo komendy tej patrzał. Strzelanie nasze szło z licyny; pod niem kolumna austrjacka szła chwilę, zatrzymała się, rozprzęgła i w rozsypce wstecz rzuciła. Oficerowie płazowali żołnierzy, usiłując w szeregach ich utrzymać. Nie pomagało to. Bataljon cofnął się w nieładzie, a u nas werbel

---

[1] Licyna zam. glicynja, roślina z rodziny strąkowatych.

na bębnach zabrzmiał i strzelanie ustało. Powtórzyło się toż samo dwa razy jeszcze. Pchane w ogień bataljony ognia wytrzymać nie mogły. Ostatnimi, co się w sposób ten cofnęli, byli grenadjerzy w bermycach. Austrjacy ataków zaniechali, jak skoro na prawo od nas, na smętarzu, pokazały się czerwone dziewiątego bataljonu czapki. Czytałem następnie w sprawozdaniach urzędowych, że w rozprawie tej udział wzięło 10.000 Polaków. Za Polaków sprawozdawca wziął zapewne rotkaplerów spowodu czapek czerwonych. Ale i w razie takim nas z rotkaplerami nie było więcej jak 1.200; Nagy-Szarlo jednak, klucz pozycji w boju tym, myśmy sami wzięli, bronili i obronili. Austrjacy trupami zalegli przed rowem pole, które grenadjerzy usieli bermycami, a sponad rowów powoli usuwał się wał dymu, który się nad wałem licyn sformował.

W dalszym tejże samej bitwy ciągu wypadło nam tyraljerami przejrzeć lasek pewien. Jagmin tym razem w tyraljery się wyprosił. W lasku tym znajdowaliśmy żołnierza austrjackiego pod każdym niemal krzakiem. Broń składali i w niewolę się oddawali. Znaleźliśmy jeńców tego rodzaju do 300. Jagmin wykomenderował mnie z trzema żołnierzami do odprowadzenia ich do tylnej straży. Byli to Czesi. Jeden z nich opowiadał mi o marszach forsownych, jakie odbywać musieli, o tem, że w nocy do Nagy-Szarlo przyszli, i o tem, że przyprowadził ich Welden. Znakomity generał ów na wstępie samym na głowę pobity został. Ścigaliśmy wojska austrjackie do późnego wieczora i nocowali na polu bitwy. Przeczucie mnie omyliło, nie zginąłem, ale pieniądze z kieszeni... ktoś mi wyjął. Opatrzyłem się w dniu następnym, w rozkosznej, przez Niemców zamieszkałej wsi, w której dla żołnierzy sekcji mojej zafundowałem obiad. Gdy do płacenia przyszło, znalazłem kieszeń pustą i ratować się musiałem pożyczką.

We dwa dni później, przy zmienionej pogodzie, stanęliśmy o południu we wsi jakiejś i rozłożyliśmy się tak, jakbyśmy nocować mieli. Postawiono nas na kwaterach ciasnych; wieczorem jednak wystąpić kazano i w pochód poprowadzono. Powietrze nasiąknięte było wilgocią chłodną. Po godzinie marszu zatrzymano nas; nadjechał Wysocki i przemówił do nas w te słowa:

— Idziemy do Komorna, przechodzić mamy pod donio-

słością bateryj austrjackich; zostawiam jednak do woli waszej: iść w nocy, albo też czekać dnia...

— Idźmy! idźmy!... — odezwały się głosy.

— Uprzedzam was — ciągnął dalej —, że na drodze do przechodzenia będziecie mieli trzy wody.

— Głębokie? — ktoś zapytał.

— Po kolana.

— Idźmy! idźmy! — wołano.

— To dobrze, żeście się na marsz nocny zgodzili — rzekł Wysocki. Węgrzy zapytywani zgodzili się także. W Komornie osuszycie się na kwaterach wygodnych...

Ruszyliśmy i niebawem brnąć nam przyszło przez wodę, nie po kolana wszakże, ale po pas. Po pierwszej nastąpiła druga, po drugiej trzecia, czwarta, piąta, szósta, siódma. Rozpacz nas ogarniała. Klapaliśmy się noc całą; nad ranem zaledwie wybrnęliśmy z wylewów rzeki Neutry czy Wagi, zdarzających się zazwyczaj na wiosnę na nizinach, otaczających Komorn od północy. O dnia świtaniu przemokli i zziębli stanęliśmy na stoku twierdzy, przed jedną z bram do środka prowadzących. Poranek był mglisty i chłodny.

Stanęliśmy i stali w oczekiwaniu na kwatery, dzwoniąc zębami i przypatrując się chodzącym po wałach szyldwachom, których płaszcze całe i wyglądanie dobre irytację w nas wzbudzały. Zazdrościliśmy im. Minęła godzina jedna, druga, o kwaterach słychać nie było. Cierpliwość nasza z granic wychodziła, objawiając się w głośnych na Węgrów i na Wysockiego narzekaniach. Pierwszych pomawiano o niewdzięczność, drugiego o niedbalstwo. Wreszcie nadchodzi oficer jakiś i oznajmia nam nie kwatery, ale biwaki, i zapowiada, że dostawią nam niebawem drzewa i jadła. Powściągane do tego momentu oburzenie nagle z siłą wielką wybuchło.

— Nie chcemy — wołać ze stron wszystkich poczęto — drzewa ani jadła. Dymisja... dymisja! Dziękujemy Węgrom za służbę!

Major i oficerowie napróżno przemawiali, starając się ułagodzić rozjątrzenie. Perswazje żadne nie zdały się na nic. Bunt huczał. Mowcy improwizowani głosy jeden po drugim zabierali, jak zapewne dziać się musiało w czasach dawnych w Polsce, w kołach owych rycerskich, w których się wojska

konfederowały celem wymuszenia na władzy żołdów lub hibern. Umiarkowańsi odzywać się nie mogli. Postanowionem zostało podanie się o dymisję, wybrano delegację i doczekano się kwater. Około dziesiątej ten sam oficer, co nam biwaki oznajmił, powrócił z rozkazem prowadzenia nas na jedno z przedmieść i rozstawienia po domach.

Dostaliśmy w rzeczy samej kwatery wygodne. To atoli nie ułagodziło oburzenia, na które złożyły się nietylko wypadek ten ostatni, ale i wspomnienia rozmaite poprzednie, połączone z tem, żeśmy się obdarli, jak nędzarze ostatni. Na grzbietach łachmany, na głowach czapki przy ogniskach powypalane, na nogach u jednego łapcie, u drugiego nic. Od dwóch zgórą miesięcy marsze i bitwy ustawiczne przyprowadziły nas do stanu pożałowanie wzbudzającego. Wydawało się nam, że Węgrzy powinniby względem nas większą okazywać troskliwość. Mieliśmy do nich pretensję wielką, niemniejszą atoli do Wysockiego.

Podzielałem uczucia te, nie w zupełności jednak. Należałem do tej mniejszości, która, uważając wojnę za stan anormalny, uwzględniała braki wszelkiego rodzaju, na jakie wojska wystawiane bywają. Znałem wojnę z historji, z opisów, z opowiadań ojca. Nie oświadczyłem się przeto za podaniem się o dymisję, starałem się nawet odprowadzić od zamiaru tego. Perswazje wszakże moje i innych skutku nie osiągnęły. Delegacja do Wysockiego poszła i podanie złożyła, oświadczając mu stanowczo, że od żądania nie odstąpi. Wysocki podanie przyjął. Wieczorem dostaliśmy rozkaz stawienia się nazajutrz rano bez broni przed kwaterą pułkownika.

O godzinie oznaczonej legjon zgromadził się i, uszykokowany we front bataljonowy, czekał. Wysocki wyszedł.

— Formuj koło! — odezwał się komenda.

Zaszliśmy skrzydłem prawem i lewem i otoczyli Wysockiego, który wystosował do nas przemowę osnowy następującej:

— Podaliście się, koledzy, o dymisję. Wiem, że uczynili to niewszyscy. Tym, co się podali, mam do powiedzenia to tylko, że niech się zgłaszają do Krobickiego, a on dymisję udzieli każdemu i każdego dymisjonowanego z kontroli wykreśli. Tym zaś, co pozostają, oświadczam, że oszczędzać ich nie będę ani w marszach, ani w boju, i na dowód zapowiadam, że jutro przechodzić mamy Dunaj pod ogniem nieprzyjacielskim... Niech

więc się i ci namyślą. Chociażby pozostać miało dziesięciu tylko, i tych dziesięciu w ogień poszlę. Dymisji nie odmówię nikomu!

Po przemowie tej szeregi rozwiązano. Wróciliśmy gromadkami na kwatery.

W dniu następnym na miejscu temże samem stanęliśmy pod bronią. W szeregach nie brakło żołnierza ani jednego.

Przeszliśmy Dunaj po moście na tratwach, który się pod nami pogłębiał, i debuszowaliśmy w szańcu przedmostowym, ściskanym przez przykopy austrjackie. Austrjacy dniem przedtem jeszcze się w przykopach znajdowali, szaniec ostrzeliwali i pociski do twierdzy rzucali. W nocy park oblężniczy uprowadzili i czekali na nas w sile tysięcy czterdziestu. Uszykowano nas do boju, do tego boju, którego epizod jeden, tyczący się szarży jazdy, opowiedziałem w powieści *Szandor Kowacz*. Szarża ta odbyła się w oczach naszych. Jazda austrjacka złamała jazdę węgierską i ta ostatnia, przybiegłszy w ucieczce bezładnej nad Dunaj, zwróciła się, sformowała, naprzód poszła i jazdę austrjacką rozbiła. Zanim to nastąpiło, oczekiwaliśmy w karebataljonach[1] na atak jazdy. To nas ominęło. Biliśmy się dzień cały w tysięcy dwanaście przeciwko czterdziestu i nocowali na polu bitwy, spodziewając się wznowienia takowej nazajutrz. W nocy nadciągnął korpus Aulicha. Bitwa się jednak nie wznowiła. Wojska austrjackie cofnęły się — poszliśmy za niemi; zabraliśmy im cały park oblężniczy, który oni rzucili, i — zwróciliśmy się wstecz z drogi pochodu, który szedł w kierunku Wiednia.

Mieliśmy Wiedeń przed sobą i nie poszliśmy tam.

Zwrócenie się nasze z drogi historja zapisała na karb Węgrów jako ogromny, militarny i polityczny zarazem, błąd. Czemuśmy nie poszli za wojskami, zdezorganizowanemi zwycięstwami, jakieśmy nad niemi razporaz odnosili, znękanemi i zdemoralizowanemi? Tłumaczy się to tą racją, że Węgry nie prowadziły wojny zaczepnej, nie mogły przeto wyprowadzać onej z granic krainy, objętej cieniem korony św. Szczepana, a od chwili abdykacji cesarza Ferdynanda na rzecz Franciszka Józefa ogłoszonej za rzeczpospolitą. Rzeczpospolita się umiarkowaną w pomyślności nawet okazywać chciała: bronić swego, nie pożądać cudzego. Spodziewano się w sposób ten wyzwać

---

[1] Karebataljon — bataljon ustawiony w czworobok.

umiarkowanie ze strony Austrji, doprowadzić do układów i wytworzyć pewien *modus vivendi*, któryby dogadzał stronom, tak jednej, jak drugiej. Zachodziło tu albo zaślepienie, albo też obwołanie respubliki nieszczere: albo nie zdawano sobie sprawy z tego, że pomiędzy rzeczpospolitą węgierską a monarchją austrjacką dojście do porozumienia na drodze układów niemożliwem jest; albo też formę republikancką użyto w znaczeniu straszaka, mającego na celu skłonienie dworu cesarskiego do ustępstw na rzecz królestwa węgierskiego. W razie tym i w razie owym zwrócenie się z drogi do Wiednia, która otworem stała, było błędem fatalnym.

Zwycięskie hufce skierowano do Budy wcelu zdobywania zamku, obsadzonego przez załogę austrjacką. Znaczenia militarnego nie miało to najmniejszego. Kilka bataljonów w Budzie obezwładnionych Austrjakom nie pomagało, Węgrom nie szkodziło na teatrze wojennym. Chodziło niby o uczynienie zadość uczuciu patrjotycznemu: o wyzwolenie stolicy z nieprzyjaciela, zagrażającego z Budy Pesztowi. Byłoby to nastąpiło samo przez się; zresztą na cel ten wystarczał korpus jeden, ludzi tysięcy osiem, dziesięć. Zamiast tego zwrócono armję całą. Szliśmy swobodnie i spokojnie prawym Dunaju brzegiem, okolicami prześlicznemi; gdy zaś u celu stanęliśmy, wprowadzono nas odrazu na pozycję, w której bataljon pełnił funkcję rezerwy w odniesieniu do grangard, wysyłających placówki, dostarczające szyldwachów. Ten rodzaj służby był nam doskonale z praktyki znany, pełniliśmy więc ją należycie, podczas gdy baterje na górach ustawione wyłomy w murach biły. Zamek bronił się ostro, odpowiadając baterjom węgierskim i strzelając we wszystkie strony, gdzie jeno wypatrzył możność szkodzenia przeciwnikowi; bombardował Peszt i Budę, ostrzeliwał przesmyki wszystkie.

Położenie zamku nie odpowiadało zgoła warunkom obrony skutecznej. Wznosił się na wzgórzu otoczonem górami, z których każda prawie nad nim dominowała. Otaczały go mury. Stroną jedną zwrócony był w pole, drugą dotykał miasta, z trzeciej miał u stóp swoich Dunaj. Przystęp do rzeki zapewnił sobie zapomocą palisad; od miasta oddzielała go jeno szerokość ulicy zabudowanej, ku której prostopadle dochodziło ulic kilka zdołu, gdzie się rozlegała Buda, dogóry, gdzie się

bieliły mury w krenele[1] zaopatrzone. Obrony zewnętrznej żadnej. Od strony miasta do zamku można było na kroków półtorasta podejść i z górnych pięter domów do środka zaglądać. Raz wypadło nam ze strony tej wartę trzymać. Ustawiliśmy się na ulicy poprzecznej i wysłaliśmy jedną z placówek w pobliże zamku, placówka zajęła stanowisko na poddaszu jednej z kamienic. Przez otwory w dachu obserwacje czyniła, i obserwacje szły doskonale, póki z dachu wystrzał nie padł. Któremuś z żołnierzy wydało się to rzeczą niemożliwą patrzeć z krwią zimną, jak się za murami Austrjacy krzątali. Wypalił i ściągnął na dach wystrzałów kilka kartaczami. Stanowisko opuścić trzeba było. My z ulicy poprzecznej dozorowaliśmy ulice, prostopadle do zamku prowadzące. Szyldwachy nasi wyglądali spoza węgłów domów i czynić to musieli z ostrożnością całą, albowiem z murów zamku czyhali na głowy nasze strzelce celni i palili, jak skoro się która wytknęła. Nie zabili, ani nawet nie skaleczyli nam nikogo, pomimo żeśmy ich drażnili w ten sposób, że od czasu do czasu któryś z nas przez ulicę w poskokach przebiegał. Oswoiliśmy się ze śmiercią do tego stopnia, żeśmy z niej sobie żarty stroili. Na żartach tych źle wyszedł młody jakiś podoficer węgierski, który przyprowadził patrol i któremu uciechę ogromną sposób przebiegania naszego przez ulicę sprawiał. Zachciało się i jemu spróbować sposobu tego: rozkiwał się, dał susów parę i w łeb trafiony zwalił się na środku ulicy.

Legjon stał obozem u stóp góry winnicami okrytej, Weinberg, jeżeli się nie mylę, zwanej, opierając się o rów w chłopa głęboki, szeroki i usypany na dnie większemi i mniejszemi kamieniami. Z rowu tego i z kamieni robiliśmy użytek w rodzaju swoim ciekawy. O każdej dnia porze oglądać tam było można legjonistów donaga rozebranych, trudniących się tłuczeniem kamieniem mniejszym na większym fałdów w bieliźnie. W fałdach tych schronienie znajdowały seciny żyjątek, dokuczających rodzajowi człowieczemu. Mordowaliśmy je bez miłosierdzia, tak jak one bez miłosierdzia mordowały nas. Tysiące wszy pobitych zostawiliśmy w rowie u stóp Weinbergu. Pozostawaliśmy tam tydzień, dłużej może, to jest do przedednia

---

[1] Krenele, — strzelnice.

szturmu do zamku. Wzięcia w szturmie udziału odmówił nam los. W głównej kwaterze zapomocą karteczek ciągniono bataljony, które na pierwszy ogień iść miały. Karteczka nasza nie wyszła; że zaś z jednej strony wypoczynek się już nam należał, z drugiej dzięki mnogości zgłaszających się do legjonów jeńców wojennych otwierała się możliwość podniesienia legjonu do wyższej liczebnej i organizacyjnej potęgi, wyprawiono nas przeto na reorganizację do Miskolcza. Wyruszyliśmy z obozu, przeprawili się przez Dunaj i stanęli w Peszcie na kwaterach, nie na długo — na noc jedną.

Przy zajmowaniu kwater zdarzyła się mi scena oryginalna. Dostałem bilet kwaterunkowy na sekcję całą, udałem się wedle adresu wskazanego i z łatwością odszukałem kamienicę wspaniałą, w której nam gospodarz nocleg obowiązany był dać. Odszukanie kamienicy z łatwością przyszło, ale gospodarza ani sposób. Dom, na apartamenty podzielony, zdołu dogóry zajęty był przez lokatorów, których się kwaterowanie nas nie tyczyło. Każdy odpowiadał, że to nie do niego należy i każdy prawie o właścicielu domu odzywał się jaknajgorzej. Nazywano go harpagonem i szwarcgelberem.

— Gdzież on?... — zapytywałem.

Nikt z tych, z którymi się najpierwej spotkałem, mieszkania jego wskazać mi nie umiał. W domu apartament jeden zajęty był przez niewiasty, znajdujące się w przeciwieństwie z westalkami. Te, jak skoro się dowiedziały, o co chodzi, wskazały mi w podwórzu izdebkę na tyłach, ciaśniutką i ciemną, — tam gospodarza odszukałem.

— Oto bilet kwaterunkowy... — przemówiłem, podając mu papier.

Udawał zrazu, że nie rozumie, co to znaczy. Wytłumaczyłem mu. Wówczas się żachnął, pokazał mi ciupkę i zawołał:

— Gdzież tu panów pomieszczę!...

— A kamienica!... — rzekłem.

— Kamienica należy nie do mnie, ale do lokatorów... Czyż lokatorów wyrzucać mogę!

— Rób pan, co chcesz, a pomieszczenie nam daj!

— Ależ ja nic zrobić nie jestem w stanie.

Tej treści rozmowa ciągnęła się pomiędzy nami, pókim z cierpliwości nie wyszedł.

— Do ratusza cię poprowadzę! — krzyknąłem.

— Dobrze — odrzekł — dobrze, pójdę i w ratuszu wytłumaczę się...

Ruszyliśmy we dwóch; na dworze panował już zmrok. Kiedyśmy uszli drogi połowę może, na zamku błysnęło i kula w dali gwizdnęła. Niemiec (Niemiec to był bowiem) drgnął i zatrzymał się.

— Chodźmy — ponagliłem.

— Dobrze — odrzekł.

Weszliśmy niebawem na ulicę, przy której ratusz stał, i gdyśmy kroków parę dziesiątków zrobili, wzdłuż ulicy przeniosła się kula działowa.

— Nie — odezwał się gospodarz — nie pójdę dalej.

— Czy ratusz daleko? — zapytałem.

— O... — odrzekł, ręką wskazując.

— Chodźmy więc...

Zrobił kroków kilka; kula druga się przeniosła, rzucił się wstecz. Jam go za kołnierz ułapił.

— Chodź!

— Nie pójdę. Nie... nie.

Szarpnął się. Trzymałem mocno. Za kulą trzecią na kolana się osunął i na wezwanie moje, poparte groźbą tasaka, który obnażyłem, jął się obiecywać mi — jak to się mówi — góry złote.

— Znajdę dla panów pomieszczenie.

— Wygodne?

— Izbę obszerną.

— Z pościelą.

— Skądże ją wezmę!

— Dasz nam słomy.

— Dam.

— I wieczerzę?

— Ach! — jęknął.

Kula gwizdnęła. Dodał z pośpiechem:

— Dam...

— Porządną?... zupę, rostbratel z krumpirami, jarzynę, wino?

Powtarzał za mną wszystko, com wymieniał.

— Wracajmyż... — odezwałem się — ale pamiętaj so-

bie: w razie niedotrzymania obietnic, pod karami cię do waroszhazy [1] zaprowadzę...

— Dotrzymam — przyrzekał, trzęsąc się.

Jakoż w rzeczy samej słowa dotrzymał. Izbę obszerną dla nas wynalazł, słomy sprowadził i wieczerzę sutą zafundował.

W dniu następnym o świcie znajdowaliśmy się w pochodzie do Miskolcza. Mnie wykomenderował Jagmin na kwatermistrza kompanji pierwszej, na czem zyskałem to, żem jechał podwodą wraz z kwatermistrzami kompanij innych, a pod zawiadownictwem starego Sikorskiego, podporucznika, który spowodu znajomości języka węgierskiego pełnił funkcję furjera bataljonowego, a zarazem i kwatermistrza legjonu. Jako furjer rozporządzał wozem i końmi, stanowiącemi inwentarz legjonowy. Na wóz ten dostać się — był to fawor, którym nie szafował hojnie. Zazwyczaj w drogę się wybierał tak, że nie widziano, jak wyjeżdżał. I tym razem pojechał przodem; myśmy go dopędzili na etapie; kwateryśmy porobili, kredą na drzwiach ponaznaczali i, na nadciągnięcie kolumny oczekując, udaliśmy się do oberży, stojącej przy trakcie. W oberży, w obszernej sali jadalnej było pełno i gwarno. Oficerowie różnych broni i stopni jedli, pili i kurzyli. Przy jednym ze stołów zoczyłem Sikorskiego; że zaś naprzeciwko niego miejsce było wolne, miejsce to przeto zająłem i odrazu uwagę moją zwrócił na siebie siedzący obok niego żołnierz młody, legjonista, wyglądający jak człowiek ze świata innego. Świat nasz charakteryzował się trudami i znojem, wypisanemi na odzieży i na obliczach; on zaś miał na sobie płaszcz nowiutki, czapkę nowiutką, był biały, rumiany, pulchny i delikatny — istny paniczyk. Wziąłem go za ochotnika, co się świeżo zaciągnął, i to samo zaciekawiało mnie do niego; zaciekawiała jednak bardziej jeszcze grzeczność i troskliwość, jaką go opryskliwy Sikorski otaczał. Zapytanie, ktoby to był, urodziło się samo w umyśle moim. Nie zapytywałem o to ani jego, ani Sikorskiego; kazałem sobie wina czy piwa podać i zawiązałem z tym ostatnim rozmowę jakąś obojętną. W ciągu rozmowy stary do mnie się nachylił i, gestem ucho moje do ust swoich ściągnąwszy, wsunął mi w słuch wyrazy:

---

[1] Waroszhaza — ratusz.

— Czy wiesz, kto to?

— Nie wiem...

— Dziewczyna... Wysockiego kochanka... wykradła się.

Każdy z wyrazów tych wstrząsał mną. Dziewczyna dla ludzi młodych jest zawsze osobliwością, cóż dopiero, gdy zjawiała się ona jako kochanka wykradziona Wysockiego, — Wysockiego! którego o wszystko z wyjątkiem romansów podejrzewać było można. Spojrzałem na żołnierza zukosa i zrozumiałem, dlaczego on taki delikatny, pulchny i biały. Sikorski szeptał mi dalej:

— Powiedziałem ci o tem pod wielkim sekretem, ażebyś mi pomagał w pilnowaniu jej... Broń Boże, gdyby się kto do niej dobrał... Miejże ty na nią oko...

Zachowałem sekret ten dla siebie, ale tegoż dnia jeszcze dowiedziałem się, że był to jeden z tych sekretów, o którym wszyscy wiedzą. Wiedzieli o nim huzary nawet. Kochanka Wysockiego stała się przedmiotem rozmów i zalotów. Pod adresem jej szło niemało spojrzeń morderczych, kręceń wąsów, pobrzękiwań szablami, podzwaniań ostrogami, słówek słodkich i cukierków. Usiłowania wielkie miały na celu zbałamucenie jej. Opowiadano, że Sikorski, pełniąc funkcję cerbera, zamyka ją na noc i sypia wpoprzek na progu. W usiłowaniach tych udziału nie brałem dlatego bodaj samego, żem uczuwał niemożliwość spółzawodniczenia z huzarami i ułanami. Ani o tem myśleć mogłem ja — piechur obdarty i brudny.

Zdziwienie moje było niemałe, gdym się w Miszkolcu dowiedział, że kochankę Wysockiego wymyślił Sikorski, że była to nietylko nie kochanka, ale nawet nie dziewczyna. Stary farsę urządził. W farsie tej wszakże niewszystko było zmyśleniem. Prawda tyczyła się wykradzenia. Chłopiec wykradł się, albo raczej uciekł z więzienia. Dowiedziałem się o tem dużo później — bodaj czy nie w Turcji już, pozostawał bowiem w legjonie pod nazwiskiem zmienionem; prawdziwe zaś nazwisko jego było: Kołodziejski, ten sam, co do Bema strzelał. Rząd węgierski, jak o tem na swojem mówiłem miejscu, aresztował go; miano mu proces wytoczyć, zanim atoli do procesu przyszło, Austrjacy Peszt zajęli, Kołodziejskiego w więzieniu znaleźli i w więzieniu go trzymali, nie wiedząc zapewne, co z fantem tym robić. Zamach na życie Bema w oczach ich

za zbrodnię nie uchodził może. Kołodziejski w więzieniu doczekał się powrotu Węgrów i, korzystając z zamieszania, jakie sprawiła nagła rządu zmiana, ucieczką się salwował. Nie wiedziałem i mało kto z nas wiedział, że to on. W szeregach naszych służył starszy brat jego. Nazwisko prawdziwe wziął w Turcji dopiero. Bem wszelako o obecności jego w legjonach wiedział i przebaczył mu, przebaczył z powodu, jak się zdaje, tego, że sam w Siedmiogrodzie organizował legjony polskie.

Po przybyciu do Miszkolca spotkała mnie niespodzianka, która mi sprawiła przyjemność wielką. Nazajutrz po przybyciu kazano legjonowi bez broni wystąpić przed kwaterą Wysockiego, już generała. Wystąpiliśmy, uszykowaliśmy się; generał miał do nas przemowę krótką, której sens był ten, że organizacja nasza rozszerza się na trzy bataljony, że bataljon nasz dostaje numer bataljonu pierwszego, że drugi jest zorganizowany i ilość pewna podoficerów z bataljonu pierwszego przechodzi w stopniach oficerskich do trzeciego, dowodzonego przez majora Englerta. Odczytano podoficerów awansowanych listę — zabrzmiało mi w uszach nazwisko moje. Było to zrządzenie losu, wszyscy bowiem, cośmy oblężenie Aradu i kampanję wiosenną odbyli, zasłużyliśmy się jednakowo. Każdy z nas złożył jednakie męstwa, wytrzymałości i roztropności dowody. Odgadnąć trudno, jakiej się sztab przy wyborze do awansu reguły trzymał, — może kartki ciągnął. Dosyć, żem awansowany został. Po odczytaniu listy głos zabrał stojący obok Wysockiego nieznajomy mi oficer.

— Koledzy — odezwał się — do bataljonu trzeciego awansowani, należy nam przedewszystkiem znajomość ze sobą zabrać. Jestem major Englert.

Podeszliśmy do niego. On nam dłonie uprzejmie ściskał i każdego zosobna o nazwisko zapytywał.

— A teraz, kiedyśmy się poznali, proszę was do kwatery mojej — przemówił do nas.

Poszliśmy razem. Po drodze rozmyślałem, jaką to będzie moja przed frontem mina. Powód do rozmyślania tego dawał smutny odzieży mojej stan, smutny od stóp do głów. Nie miałem na sobie nic całego. Trzewikom brakowało podeszew; w spodniach nogawice jeno wyglądały jakotako; płaszcz podarty i popalony zastępował mi mundur, który się rozpadł

w kawały; spod czapki przeglądały włosy na głowie. Karabin do spółki z lederwerkami i tornistrem maskował w części te niedostatki. Maska ta atoli nie przysługiwała oficerowi. Byłem też zakłopotany na serjo i myślałem, jakby przydały się teraz te pieniądze, które mi po bitwie pod Nagy-Szarlo zginęły, gdy na kwaterze majora obiły się o uszy moje wyrazy następujące:

— Obowiązany jestem wypłacić wam, koledzy, na uekwipowanie się oficerskie po (nie pamiętam ile)...

I wyliczył należność każdemu z nas zosobna.

Jeszcze z nami o służbie i mustrze słów kilka zamienił i pożegnał nas „dowidzenia".

Wprost od majora udałem się do sklepów z bielizną, odzieżą i obuwiem; kupiłem sobie buty, koszulę, inekspryma-ble, spodnie, kitlę, czapkę, sprawunki te zawiązałem w chustkę, poszedłem do łazienek, kazałem sobie do kąpieli przynieść sporą spirytusu dozę, i przy pomocy mydła oczyściłem się całkowicie. W łazienkach porzuciłem odzież dawniejszą; wyszedłem stamtąd w odzieży nowej i całej. Czułem się odrodzony niby. Kupiłem sobie następnie pałasz z pendentem, zamówiłem u krawca mundur, zaopatrzyłem się w bieliznę, nabyłem płaszcz — przeobraziłem się.

W Miskolczu pozostawaliśmy dwa miesiące blisko. Legjon zreformował się, powiększył i fizjognomję zmienił. Piechota pod dowództwem pułkownika Idzikowskiego, który w Nanaszu, zdaje mi się, zorganizował bataljon drugi, liczyła bataljonów trzy; jazda rozrosła się na dwa pułki, każdy po szwadronów cztery: pierwszym dowodził Tchórznicki, drugim Poniński (obecnie generał w służbie włoskiej); dowództwo nad obydwoma było przy Tchórznickim, oficerze z roku 1831, żołnierzu typowym, kawalerzyście pełnym przywar i zalet, przywiązanych do człowieka przyrosłego do konia i szabli. Był to obraz hipocentaura nowożytnego, przyozdobionego w czerwony, do ogórka podobny nos i obdarzonego głosem chrapliwym, którym w boju do żołnierzy wołał:

— Kto się boi, niech się za mego siwka schowa!

Pułk pierwszy miał kaski białe i mundury granatowe z wyłogami białemi, drugi kaski czerwone i wyłogi czerwone.

Piechocie zmieniono mundury z białych na granatowe;

bataljony podzielono na kompanij pięć: cztery linjowe, piąta strzelecka.

Zorganizowano artylerję pieszą i konną, po półbaterji tej i tej. Sformowano oraz kompanję saperów.

Do szeregów wszedł żywioł odmienny od tego, jakim był poprzedni. Zapełnili je eks-żołnierze z wojska austrjackiego. Inteligencja weszła do kadrów. Stopnie oficerskie niższe dostały się nam, podoficerom wysłużonym, wyższe oficerom z wojsk polskiego i austrjackiego. Pomiędzy nimi trafiały się postacie godne pendzla i pióra. W oczach mi stoi kapitan Piotrowski, krępy brunet, wychowanek szkoły konstantynowskiej, wysadzający się przy komendzie na głos ostry i nauczający, że:

— Na komendę „marsz!“ noga z d..y jak piorun powinna wyskoczyć!

Ćwiczenia odbywaliśmy codziennie: bataljony pierwszy i drugi w komplecie pełnym, trzeci w półkomplecie, spowodu że szeregi onego uzupełnione być miały jeńcami, z nadesłaniem których zwlekano. Z racji tej kompanje bataljonu naszego liczyły w szeregach nie więcej, jak po sześćdziesięciu ludzi. Do ćwiczeń to wystarczało. Kadry oficerskie i podoficerskie znajdowały się w komplecie.

Ćwiczenia wszakże nie zabierały czasu całego. Zaznaliśmy nieco życia garnizonowego w towarzystwie tak pomiędzy sobą, jakoteż nazewnątrz szeregów wojskowych. Dnie upływały nam wesoło. Staliśmy na kwaterach u obywateli, którzy okazywali nam uprzejmość wielką i szczerą; jadaliśmy po restauracjach; zgromadzaliśmy się na kawę w cukierni; po karczmach wieczorami tańczyli szeregowi, oficerów zapraszano na wieczorki; pułk pierwszy ułanów dawał bal dla obywatelstwa: bal powiódł się świetnie; zabrzmiała mi na nim w uszach produkcja literacka — jeden z oficerów od ułanów deklamował *Wachmistrza Dorosza* W. Pola. Cygani słyszeć się dawali z popisami muzycznemi po restauracjach, kawiarniach, spacerach i placach. Marsz Rakoczego i czardasze rozbrzmiewały od rana do wieczora, a tu i ówdzie improwizowały się tańce pod niebem otwartem: Węgrzy tańczyli czardasza, Polacy krakowiaka i oberka. Dziwiła mnie ilość znaczna kobiet ze sfery ludowej, należących do narodowości polskiej. Mówiły narzeczem mazowieckiem i brały udział szczery w pohulankach żołnierskich.

W takim rzeczy stanie nastąpiło to, co nastąpić było powinno. Gdzie jest młodzież wojskowa i młodzież płci niewieściej, tam się kleją romanse. O romansach też dużo było mowy. Opowiadano o powodzeniach, doznawanych przez kolegów moich od jazdy i piechoty. Zachciało się też i mnie na drodze tej szczęścia spróbować. W celu tym, upatrzywszy sobie mieszkającą w rynku Węgierkę ponętną, przechadzałem się często przed oknami jej, usiłując przybierać właściwą w razach podobnych minę. Zdarzył mi się z racji tej wypadek fatalny. Fensterparada moja wypadła w dzień targowy; chciałem się przemknąć zgrabnie przez szereg przekupek i zaczepiłem pałaszem o garnek z mlekiem, garnek się wywrócił, mleko lunęło, jam odskoczył na jaja, które pod stopą moją zgniecione zostały. Za mleko i za jaja zapłaciłem i jużem więcej na fensterparadę nie występował. W sposób ten wyraziła się pierwsza i jedyna awantura romansowa, do której wmieszaną była osobistość moja. Los, jaki jaja spotkał, mógłby być losem serca pięknej Węgierki. Serce to, jeżeli pękło, to nie z mego powodu. Dziewczyna ta, jeżeli przy życiu pozostaje, jest dziś staruszką i śmiać się musi, ile razy wspomnienia wywołują jej przed oczy oficera polskiego, dla miłości jej oblanego mlekiem i depcącego jaja.

Parę innych jeszcze wspomnień do pamięci mi się ciśnie.

Zbieraliśmy się w cukierni; właścicielem onej był Szwajcar, człowiek uprzejmy i zamożny, który w Miskolczu posiadał dużą winnicę i dobrze zaopatrzoną piwnicę. Piwnica znajdowała się w winnicy; winnica zaś leżała za miastem, na pochyłości góry, u stóp której przepływa śród głębokich a urwistych brzegów jeden z prawobrzeżnych przytoków Cissy, zwany Rima, łączący w sobie charakter potoku górskiego z charakterem rzeczki średniej wielkości. Na szosie przebywa się ją po moście murowanym. Dla skrócenia drogi do winnic rzuconą była na słupach wąska, wysoka a długa, w jedną zaopatrzona poręcz kładka, która się trzęsła pod stopami przechodniów. W okolicach górskich kładki podobne zdarzają się często. Ze Szwajcarem często mówiliśmy o uprawie winogron, o winnicach i winie, i on razu pewnego kilku nas zaprosił do piwnicy swojej celem pokazania osobliwości tej ludziom, którzy nic podobnego nie widzieli. Udaliśmy się tam w dniu

i godzinie oznaczonej w towarzystwie właściciela, który nam za przewodnika służył. Przeszliśmy kładkę i ścieżynami, dogóry się wspinającemi, dostaliśmy się do winnicy, u spodu której stał dachem okryty budynek, mający zzewnątrz i wewnątrz pozór altany ogrodowej, zaopatrzonej w sofy, krzesła, stół okrągły na środku i stolików parę pod pełnemi okien ścianami. W jednej ze ścian znajdowały się duże, kute drzwi. Były to drzwi, prowadzące do piwnicy, wykopanej, jak się kopią tunele. Zstępowało się do niej po schodach paru. Szwajcar, dawszy każdemu z nas do ręki lampeczkę szklanną do picia, drzwi otworzył i, poprzedzając nas ze świecą, wprowadził pomiędzy ustawione szeregami beczki. Szeregi ciągnęły się długo. Szwajcar od czasu do czasu zatrzymywał się, opowiadał o genealogji i zaletach wina, zawartego w pewnej beczek ilości, u jednej z nich szpuncik, w górnej połowie dna znajdujący się, odtykał, i z otworu tryskał płyn, któryśmy zbierali w lampki. W sposób ten z wykładem łączył się przykład. Sprawdzaliśmy opowiadane zalety win, kosztując z beczek wedle porządku wieku takowych. Zaczęliśmy od młodych i szli stopniowo ku corazto starszym. Lampki małe Szwajcar nie więcej jak w części czwartej napełniał; kazał nam je podnosić, do światła nastawiać, grę koloru uważać i pić smakując. Powtarzało się to jednak często, tak często, żem ja, nie czując z natury do win pociągu, wychylał zaledwie lampkę piątą, a na pięć cztery na beczki ukradkiem wylewał. Nie szemrało więc mi w głowie. Nie szemrało w głowie i towarzyszom moim, którzy spełniali lampki z religijną dla wysoce szlachetnego trunku czcią. Jednego zastanowiło to, odezwał się:

— Wino doskonałe i lekkie. Czuć je w gębie, ale nie w głowie.

— Odłóż pan uwagę tę na później — odparł Szwajcar.

W piwnicy podchmielenie czuć się nie dawało zgoła, pomimo żeśmy przekosztowali wszystko, co do kosztowania było, i każdy z nas, z wyjątkiem mnie, wypił nie mniej jak butelkę wina kapitalnego. Gdyśmy próbowanie owo skończyli, gospodarz, wyprowadziwszy nas do izby, wezwał, ażebyśmy na sofach i krzesłach spoczynku zażyli.

— Czyżeśmy zmęczeni! — odezwał się ktoś.

— Chodzi nie o zmęczenie, ale o to — odpowiedział —, iżby nam trudno było na kładkę trafić...

— Oho! — zawołał Jan Zamoyski, imiennik wielkiego hetmana, mąż dzielnie potykający się z kieliszkiem i koleżka dobry.

— Usiądź pan — wezwał go gospodarz.

— Miałbym na kładkę nie trafić? Cóżem ja wypił? Naparsteczków kilkanaście!... Pijałem tyle i trafiałem, gdziem trafić zamierzył Pójdę.

— Nie żartuj pan — upomniał go Szwajcar.

— Pójdę! Kto ze mną?

— Ja! — odpowiedziałem.

Za przykładem naszym nie poszedł nikt. Ruszyliśmy we dwóch, ja przodem, Zamoyski za mną; idąc podżartowywaliśmy sobie z tych, co zostali: wprędce wszakże, mimo żem najtrzeźwiejszy był, uczuwać począłem następstwa kosztowania, które w Zamoyskim wyrażało się zapomocą bełkotania. Prawił coś o jakicheś Jankach, Frankach, o Krakowie, skąd był rodem, i winie *Cracoviae educatum*, *Varsoviae bibatum*, o różnych innych jeszcze, tym podobnych i tym niepodobnych rzeczach, aż doszliśmy nareszcie do kładki. Wszedłem na takową i na środku będąc, a czując, jak się pode mną chwieje i widząc wgłębi przelewające się po kamieniach nurty Rimy, przyszło mi na myśl zapytanie: jak też tędy Zamoyski przejdzie? Nie oglądałem się jednak. Gdym do końca kładki doszedł, usłyszałem za sobą krechtanie pijane, klątew kilka i plusk wody wielki. Błysnęło mi w myśli przypuszczenie, że Zamoyski do rzeki wpadł. Nie oglądałem się wszakże. Udałem się wprost na kwaterę moją, nie wiedząc, jak się to stało, żem zaszedł i zasnął. W parę godzin później przebudziłem się i dopierom przypomniał sobie, że Zamoyskiego na kładce wypadek spotkał. Zimno mi się zrobiło. Zerwałem się i w chwil kilka później wchodziłem na podwórze domu, w którym kwaterował Zamoyski. Pierwszym przedmiotem, jaki mnie uderzył, była odzież jego, rozwieszona do suszenia. Do izby wpadłem i ujrzałem go, śpiącego snem kamiennym. Zapytywałem go później o losy, jakie go spotkały, a mianowicie, jak się uratował. Nie wiedział o niczem. Domyślał się wpadnięcia do wody z tego, że się potłukł i zamoczył. Dziwiła mnie i oburzała obojętność, z jaką go własnym jego zostawiłem losom. Prawda — sam tęgo cięty byłem. Koledzy, co z nami piwnicę Szwajcara zwiedzali, w winnicy się przespali i bez wypadku powrócili.

Do Miskolcza przybywali nam codziennie ochotnicy, którzy na dwie podzielić się dadzą kategorje: bez pretensyj i z pretensjami. Pierwsi wstępowali do szeregów, drudzy domagali się stopni wysokich. Ten ostatni rodzaj sprawiał Wysockiemu ambarasu niemało i niemało też tworzył mu nieprzyjaciół. Przypominam sobie dwóch mianowicie: jeden się tytułował porucznikiem, drugi kapitanem. Składali się nominacjami Mieczysława Woronieckiego, który zasłynął walecznością niezrównaną, a w chwili przybycia swego na Węgry zamierzył był organizować legjon polski. W celu tym w Węgrzech północnych (w Munkaczu, zdaje się) zgromadził około siebie kilkunastu, czy też kilku ludzi, przepisał dla nich umundurowanie, podawał im nominacje i sam pojechał, ażeby u rządu wystarać się o uznanie dzieła zawiązanego. Uznania nie uzyskał i nie wrócił. Niektórzy z nominatów posprawiali sobie wedle przepisu mundury i dwaj z nich w mundurach na grzbiecie i z nominacjami w zanadrzu zjawili się w Miskolczu, domagając się przyjęcia do legjonów w stopniach przez Woronieckiego im nadanych. Czyż można było żądanie podobne uwzględnić? Wstąpić biedacy musieli do szeregów z głębokiem w sercach rozżaleniem. Porucznik awansował na podoficera, kapitan na sierżanta w kompanji piątej bataljonu trzeciego, i kapitan zwłaszcza, nazwiskiem Baczyński, nie znajdował wyrazów dosyć dosadnych na malowanie Wysockiego ze strony ujemnej.

Podobnych zdarzało się więcej. Stoi mi w oczach kawalerzysta jeden, figurka wzrostu małego, ostry, cięty, o wąsiętach dogóry zakręconych, który tonem znawcy głębokiego krytykował organizację jazdy i wykładał, jak co robić potrzeba, ażeby było, jak należy. Widziałem go w szlifach oficerskich — potrafił się wkręcić na instruktora i uchował minę ostrą do pierwszej bitwy, po której spokorniał okrutnie.

Niektórzy przybywali w charakterze amatorów w celu nieokreślonym. Spotkałem się z jednym, co się nazywał Miłkowski i mienił się być z Gorlic, a więc krewny mój. Nosił na sobie mundur gwardji narodowej. Był to człek barczysty, brodaty, na jedno oko ślepy. Widziałem go dwa razy: w momencie zapoznania się i przy kartach. Następnie z oczów mi znikł.

Pojawiali się także awanturnicy, rycerze przemysłu i szulerzy z profesji.

Jeden wszakże przedstawił się oryginalnie. Był to kapitan prawdziwy, dezerter z wojska rosyjskiego, rodem z gubernji kałuskiej. Spotkałem się z nim przypadkiem. Przez ulicę przechodząc, zoczyłem dwóch ludzi, ułana i jegomościa jakiegoś w surducie z kołnierzem futrzanym, rozmawiających ze sobą językiem, w dźwiękach którego słyszeć się mi dały dźwięki mowy rosyjskiej. Zatrzymałem się. Poznałem, że ułan język rosyjski niemiłosiernie kaleczy, albo raczej tworzy język jakiś dla interlokutora jego niezrozumiały. Wmieszałem się, zapytując po rosyjsku, o co idzie. Jegomość uradowany do mnie się zwrócił:

— O, jakżem rad — zawołał — że się przecie rozmówić mogę!...

Przedstawił mi położenie swoje. Był w sztabie, zrobił podanie, na które coś mu odpowiedziano, ale on nie wie co. Ułan obecny, podawszy się za władającego językiem rosyjskim, podjął się wytłumaczyć mu odpowiedź sztabową. Tłumaczył i nie wytłumaczył.

— Wykładam Moskalowi jak na dłoni, no i... gadaj d..o do biskupa, kiedy biskup sam jak d..a...

Ułan mały, wąsaty, miniasty, uwagę moją zajął rezolutnością, z jaką mówił wyrazy powyższe. Brzmiała w nich nieograniczona pewność siebie.

— Mówisz, kolego, do niego językiem, którego on nie rozumie.

— Właśnie też!... Ja do niego po moskiewsku...

— Czyż po moskiewsku? — wtrąciłem.

— No, a jakże... — odrzekł i zapytał: — A skądeś kolego?

— Z Podola — odparłem.

— A ja z Litwy. Nazywam się Akord.

— Akord? — podchwyciłem tonem zdziwienia, nie słyszałem bowiem, ażeby ludzie nosili nazwisko podobne.

— Akord — powtórzył dobitnie. — No i po moskiewsku mówię przecie...

— Zapewne jednak z litewska — zauważyłem. — O cóż chodzi?

Chodziło o to, że Rosjanin złożył podanie, żądając, ażeby do szeregów legjonu przyjęto go w stopniu kapitana. Odpowiedziano mu, że żądaniu temu uczynić zadość niesposób, raz dla

braku miejsca, powtóre dlatego, że po polsku nie umie, wkońcu dla tej racji, że oficerowi ze służby rosyjskiej przyszłoby się z trudnością nałamać do praw, jakiemi się rządzi legjon. Ofiarowano mu stopień podoficera nadliczbowego.

— Czort pabieri! — burknął, gdym mu, wedle słów Akorda, odpowiedź tę wytłumaczył. — Jaż kasy nie ukradł, ażeby mnie degradowano. Kapitanem jestem i kapitanem być mi należy.

— Porządek u nas taki...— rzekłem.

— Wot poriadok!... — odrzekł tonem rezygnacji filozoficznej, i dodał: — Zjeśćbym coś chciał, a porozumieć się nie umiem.

Ponieważ właśnie na obiad szedłem, więcem się mu za przewodnika i tłumacza ofiarował. Akord nas pożegnał. Udaliśmy się razem do restauracji w mieście najporządniejszej i zajęliśmy miejsce przy stoliku, stojącym obok stołu dużego, przy którym krzesła poręczami o krawędzie poopierane znaczyły, że nakrytym jest dla towarzystwa, które sobie miejsce przy nim zamówiło. Kazaliśmy podać zupę. Zapytałem, dlaczego on szeregi rosyjskie opuścił.

— Dla riespubliki — odrzekł. — Słyszałem, że tu respublika, ot... i uciekłem.

Począł mi opowiadać, którędy i jak przechodził, gdy w sali pokazał się Wysocki, poprzedzający kilku oficerów sztabowych. Wysocki skierował się ku nam i, gdy nas mijał, skłoniłem się mu. Kapitan z krzesła się zerwał wyprostował się, ręce wzdłuż szwów od spodni wyciągnął i oczami generała przeprowadzał. Wysocki miejsce swoje zajął, on stał wciąż. Szepnąłem mu raz i drugi:

— Siadaj.

Za połym go nawet pociągnął.

Stał, jak słup.

Nie usiadł, aż Wysocki, spostrzegłszy się, że on dla niego stoi, ręką skinął.

Usiadł wyprostowany i zakłopotany. Ledwie nieledwie udało mi się do upamiętania go przywołać, a wówczas do ucha się mi nachylił i następujące mi w słuch wsunął wyrazy:

— Wot, je...ona mat'!.. tak gienierał, a tak ja... Wot riespublika...

Żadnego już opowiadania z niego wyciągnąć nie było można. Wymawiał od czasu do czasu nazwiska: gienierał Diembinski i gienierał Wysocki, dodawał klątwę charakterystyczną, ale rozmowność stracił.

Sala corazto bardziej napełniała się gośćmi, weszło dam kilka; jeden z kątów onej zajęła orkiestra, w której kobieta na skrzypcach grała. Gdy się orkiestra odezwała, kapitan drgnął i zawołał:

— Wot je...na mat', riespublika...

Po obiedzie rozstaliśmy się. Więcej go już nie widziałem. Nie wiem, co się z nim dalej stało.

Pod koniec pobytu naszego w Miskolczu bataljon nasz wyprawiono na kwatery do dużej wsi pobliskiej, leżącej nad szosą, do Koszyc prowadzącą. Staliśmy tam tygodni parę. Pobyt nasz we wsi onej upamiętnił mi się tylko imieninami porucznika Brazewicza, Litwina, który nas, oficerów kompanji swojej, na obiad zaprosił i ugościł, dzieląc się z nami zwykłym obiadem swoim. Był to człowiek bardzo zacny i bardzo oszczędny — dusił kota. Kazał zupę wodą rozprowadzić: mieliśmy przeto po pełnym talerzu zupy cienkiej i po czwartej części porcji mięsa i chleba; w stosunku takim samym dostało się nam wino do wypicia za zdrowie solenizanta; na zaokrąglenie zaś uczty zaprowadził nas porucznik do ogrodu i ofiarował deser w postaci wisien na drzewach. Osobliwość przyjęcia tego na tem polegała, że Brazewicz czynił to z akcentem takim, jakby podejmował nas hojnie. Zapraszał i zachęcał:

— Jedzcie, koledzy, jedzcie..., nie żałujcie sobie...

Wyglądało to na drwinę, a pochodziło z serca. Dzielił się z nami bez nadwerężania kota, mającego w przekonaniu jego znaczenie świętości nietykalnej. Legjon w szeregach swoich posiadał dwóch takich: jego i Jagmina, — obydwa zacni, waleczni, ale... oszczędni. Różnili się postawą i obszarem wiadomości. Jagmin poza regulaminem książek innych nie znał. Brazewicz czytywał o tyle, że umotywować umiał zasady demokratyczne, które wyznawał. Waleczność jego nie była taką ślepą, jak tamtego, i troskliwość o kompanję, którą dowodził, nie dochodziła do bezwzględności. Jagmin z kompanją swoją obchodził się jak matka z dzieckiem; upominał się, kłócił o nią; o żołnierzy dbał, o wszystkich razem i każdego zosobna, był

ich opiekunem, rzecznikiem, lekarzem; lekarzem dlatego, że posiadał lekarstwo doświadczone, jedno na choroby wszystkie a to: wódkę z popiołem. Każdemu, co się na ból głowy, ból żołądka, ból w kościach, lub na co innego poskarżył, radził:

— Kieliszek wódki z popiołem. Jeżeli nie poskutkuje odrazu, napij się raz drugi i trzeci.

Skuteczność lekarstwa tego na tej polegała zasadzie, że choroby wszelkie rodzaj ludzki trapiące pochodzą z zanieczyszczenia żołądka. Ponieważ zaś rondle popiołem się czyszczą, a zatem i na żołądek popiół jest skutecznym.

Bezwzględność jego w troskliwości o kompanję swoją w ten między innemi manifestowała się sposób, że, gdy się w takowej zdezelował karabin jaki, Jagmin kradł karabin dobry w kompanji innej i na miejscu onego stawiał zdezelowany. Dowodził on kompanją pierwszą w pierwszym bataljonie. Postać to oryginalna.

Pod koniec pobytu naszego w Miskolczu krążyć pomiędzy nami poczęły wiadomości o wznowieniu wojny, która co do Austrji uważaną być mogła za skończoną faktycznie. Kraina węgierska oczyszczona była z wojsk austrjackich, trzymających się jeszcze w twierdzach niektórych, w Temeszwarze naprzykład. Przedstawiało się atoli podobieństwo pomocy rosyjskiej. Co do tej jednak zdania się różniły w sferach rządzących i wywoływały wahanie się we względzie przedsiębrania kroków zapobiegających. Jedni utrzymywali, że jest ona nieprawdopodobną: jakiżby bowiem Rosja powód miała ratowania Austrji? Czyż Mikołaj I nie miał na Sobieskim przykładu i dowodu, jak się dwór rakuski za pomoce tego rodzaju odwzajemnia? Ci, co objekcje takie czynili, tego byli zdania, że Węgry zająć się powinny wyłącznie uregulowaniem stosunków wewnętrznych, nie sprawiając sobie dystrakcyj przypuszczeniami niemożliwemi. Zdanie to wszelako nie przemagało. Koszut przypuszczał możliwość pomocy rosyjskiej i wobec możliwości tej przychylił się był spoczątku do planu, nakreślonego przez Dembińskiego, który doradzał: wkroczenie do Galicji, zajęcie prowincji tej i obrócenie resursów onej na stawienie czoła wojskom rosyjskim zapomocą silnego zwrotu zaczepnego, przenoszącego wojnę

na grunt posiadłości rosyjskich. Śmiały i zuchwały plan ten miał początek wykonania. Rząd postanowił organizację armji północnej, złożonej z dwóch korpusów, pod naczelnem dowództwem Dembińskiego. Jeden z korpusów tych, do którego wcielonym został legjon polski, nad granicą stanął; drugi, gen. Kazinczy, ku niemu od Debreczyna ciągnął; Dembiński kwaterę główną założył w Bardyjowie i na miejscu się znajdował, czyniąc przygotowania do operacji, rozpocząć się mającej, jak skoro Kazinczy pod ręką się znajdzie. My znajdowaliśmy się w pogotowiu, pomimo że bataljonowi trzeciemu ludzi jeszcze brakło. Plan ten zburzył się nagle. Dnia 16 czerwca Dembiński otrzymał rozkaz, zabraniający mu surowo wkraczania do Galicji, a to spowodu, że do Galicji wkroczyły wojska rosyjskie. Był to powód racjonalny. Plan opierał się na zajęciu krainy, zajęcie więc takowej przez wojska nieprzyjacielskie obalało podstawy. Dembiński do dymisji się podał; dowództwo armji północnej powierzonem zostało Wysockiemu.

Objęcie dowództwa przez Wysockiego nastąpiło w chwili naglącej i w warunkach bardzo trudnych: w momencie, kiedy wojska rosyjskie trzema naraz drogami, na każdej w sile o trzy razy przewyższającej siłę korpusu stojącego w Bardyjowie, przechodziły przez Karpaty. Stawienie czoła korpusowi, idącemu na Bardyjów, znaczyło wystawienie się na otoczenie. Nie było dnia jednego, godziny jednej do stracenia. Wysocki oskrzydlony już z Lewoczy, jak skoro na miejsce przybył, niezwłocznie odwrót nakazał i wycofać się potrafił z matni, w którą był już prawie wpadł.

Legjon natychmiast na linję bojową wyruszył, z wyjątkiem rezerw jazdy i czterech kompanij bataljonu trzeciego. Z tego ostatniego wystąpiła tylko pod dowództwem kapitana Horodyńskiego kompanja pierwsza o sile dwiestu zgórą ludzi; cztery inne, co do kadrów kompletne, liczyły w szeregach ludzi zaledwie tyle, ile potrzeba do pełnienia służby strażniczej. Dostały więc polecenie konwojowania magazynów do Pesztu, magazynów złożonych z efektów, należących do uzbrojenia, uekwipowania i odzienia żołnierskiego. Sformował się więc park, nad którym dowództwo powierzone zostało choremu w momencie owym podpułkownikowi Czernikowi; bataljonem dowodził ma-

jor Englert; mnie z tej racji, żem kwatermistrzował, będąc podoficerem, dostała się funkcja kwatermistrza.

Ruszyłem przodem, pełniłem funkcję moją należycie i nie przytrafiło mi się nic osobliwego, z wyjątkiem etapy najpierwszej na drodze z Miskolcza do Pesztu. Na etapie tej, gdym kwatery porobił i pozaznaczał, zaszedłem w oczekiwaniu na nadejście kolumny do oberży celem przyjęcia posiłku. Zastałem izbę gościnną napełnioną po brzegi gośćmi płci obojej, przeważnie kobietami i dziećmi. Były to rodziny, uciekające wgłąb kraju przed wkroczeniem wojsk rosyjskich. Zaledwie przy jednym ze stołów miejsce dla siebie znalazłem i ledwie nieledwie jadła się doprosiłem. Kiedym talerz wypróżniał, do izby wszedł siwy jakiś wojskowy, okiem powiódł, mnie zoczył i, do mnie się zbliżając, po polsku przemówił.

— Nie znajdzie się tam, kolego, obok ciebie miejsce dla mnie?

Posunąłem się. Przybysz usiadł i odezwał się:

— Głodnym jak pies... Obyż jedzenia dostać...

Jedzenie sobie podać kazał i zawiązał ze mną gawędkę, rozpoczynając takową od zapytania:

— Cóż tam u was słychać?

Odpowiedziałem, że odprowadzamy do Pesztu magazyny.

— A z linji bojowej? — dodał.

— Słyszałem, że Wysocki nocami maszeruje, we dnie spoczywa...

W rzeczy samej w Miskolczu mieliśmy wieści podobne.

— Hm — mruknął nieznajomy. — Sposób to niekoniecznie dobry ze względu na znużenie, jakie marsze nocne sprowadzają. Żołnierz się nie wysypia.

— Śpi w dzień — wtrąciłem.

— To nie to. Posilnym rzeczywiście jest tylko sen nocny. Nocami się maszeruje w konieczności nie do uniknienia, a konieczności tej Wysocki uniknąć mógł, dałem mu bowiem skazówki.

Wyraz ostatni tknął mnie. Od początku podejrzewałem w nieznajomym oficera wyższego, wyraz zaś ów podejrzenie moje zwrócił na drogę pewną.

— Czy nie mam zaszczytu — zacząłem — mówić z generałem Dembińskim?

Nieznajomy głową na znak potwierdzenia skinął i prawił dalej.

Wyraz „Dembiński“, dosłyszany przez tych, co najbliżej siedzieli, poszedł poszeptem z ust do ust, zza stołu do stołu podawany. W stronę naszą zwracały się spojrzenia z sali całej. Gdy generał wstał, wnet otoczony został przez kobiety, które się zwróciły do niego z prośbami, zapytaniami i wynurzeniami, tyczącemi się położenia, wytworzonego przez wkroczenie wojsk rosyjskich. On, ku drzwiom się posuwając, odpowiadał z uśmiechami uprzejmemi. Jakaś piękna, młoda dama wyraziła mu obawy swoje co do kozaków.

— Cóż pani kozacy złego zrobić mogą! — odpowiedział.

Jam się za nim przez tłum przeciskał, odprowadzałem go do pojazdu, którym był prosty wózek węgierski, w koni parę zaprzężony. Obok bryczki stał młody jakiś, bardzo przystojny oficer. Dembiński mnie głowy skinieniem pożegnał, do oficera słów kilka po polsku przemówił, obydwa na wózek wsiedli i odjechali.

Nie przypominam sobie, na której etapie zastaliśmy oczekującą na nas partję ochotników, liczącą ludzi sześćset zgórą, wszystko eks-żołnierze z szeregów austrjackich. Kompanje się uzupełniły. Bataljon w komplecie z wyjątkiem kompanji pierwszej, znajdującej się na linji bojowej, wkroczył do Pesztu.

W Peszcie pozostawaliśmy nie dłużej, jak dni trzy. W stolicy panował spokój. Publiczność zajmowała się teatrem i koncertami. Nie czuć się dawała zawieszona nad krainą węgierską groza wojenna. Wyprawiono nas koleją żelazną w drogę tę samą, którą przejeżdżaliśmy siedem miesięcy temu. Przed wyruszeniem każdy z oficerów do wytrzymania miał oblężenie rodzaju osobliwego. Kolej żelazna zabierała żołnierzy, ale nie zabierała kobiet, — kobiet, których przy kompanji każdej było conajmniej czterdzieści. Przy przemarszu jeszcze ze wsi pod Miskolczem do Miskolcza w oczy mi to wpadło. Szosą ciągnęło wojsko, a obok wojska polem tłum niewieści z węzełkami na plecach. Tłum ten doszedł do Pesztu; składał się on z tak zwanych frajerek, kochanek żołnierskich, z mazowiecka mówiących. Gdybyśmy dalej byli piechotą pociągnęli, byłby pociągnął i on. Kolej drogę mu zagrodziła. Major nakazał kapitanom niedopuszczenie do wagonów więcej, jak po dwie wiwandjerki na kom-

panję, wybierając co najzdrowsze i najsilniejsze, i zobowiązując je do prania oficerom bielizny. Wybrano przeto po dwie: reszta z płaczem i lamentem zwróciła się do oficerów, prosząc i błagając, po rękach całując, u nóg się ścieląc. Chciały rzeczy niemożliwej. Zostało to biedactwo w Peszcie na zaprzepaszczenie. Ciekawym do zanotowania szczegółem jest ten, że każda, na zapytanie, skąd przyszła, odpowiadała:

— Ze Sąca (z Sącza)...

Miałżeby Sącz być rozsadnikiem frajerek?

Wyruszyliśmy koleją do Solnoka, aleśmy do Solnoka nie dojechali. Wysadzono nas na jednej ze stacyj pomiędzy Pesztem a tem miastem i poprowadzono najprzód do Kecskemetu, następnie do Kereszturu, a może najprzód do Kereszturu, następnie do Kecskemetu. Staliśmy tam na kwaterach tygodni parę. Była to okolica, w której koncentrowały się nowozrekrutowane wojska i formowały armję, nad którą dowództwo miał gen. Perczel. Robiło się to z pośpiechem gorączkowym. Armja owa liczyła ludzi tysięcy dwadzieścia kilka, w części czwartej uzbrojonych w dzidy zamiast karabinów. Zabrakło już dla piechoty broni palnej, formowano więc tak zwanych „pikinierów“, których bataljony przydzielano do półbrygad, w broń palną zaopatrzonych. Ćwiczono ich na łeb na szyję. I myśmy odbywali ćwiczenia ustawiczne, ale tę mieliśmy zgóry wyższość, że żołnierz w szeregach naszych potrzebował jeno oswoić się z komendą w języku polskim, naco wystarczało muszter kilka. Oczekiwaliśmy wymarszu celem połączenia się z legjonem, o którym, gdzieby się obracał, pojęciaśmy nie mieli. Nagle dostajemy zawiadomienie, że Perczel wcielił nas do korpusu swego.

— Jakim tytułem?

Zdziwiło nas to i poruszyło. Rozporządzenie to sprzeciwiało się układowi z rządem, mocą którego legjon dzielonym być pomiędzy korpusy węgierskie nie miał. Zebraliśmy się w koło oficerskie i udaliśmy się do majora; major odesłał nas do podpułkownika Czernika; ten ostatni na przedstawienie nasze odpowiedział, że dostał rozkaz wyraźny; gdyśmy zaś nalegali na niego, ażeby Perczelowi niestosowność i nieprawność rozkazu wytłumaczył, oświadczył, że się tego nie podejmie, albowiem obowiązek żołnierza polega na słuchaniu, ale nie na rezonowaniu.

— W takim razie my sami do Perczela pójdziemy...

— Idźcie!... — odrzekł opryskliwie.

Wybraliśmy spomiędzy siebie delegację i udaliśmy się do generała. Do wybranych należałem i ja. Perczel przyjął nas, ale, jak skorośmy mu żądanie nasze wypowiedzieli, wpadł w gniew srogi, palcem nam nakiwywał, wypominał z naciskiem złośliwym sejmiki polskie i zagroził rozstrzeliwaniem, zaczynając od delegatów. Gdy się wygadał, odpowiedzieliśmy mu:

— Wystawialiśmy się, generale, w bitwie każdej na rozstrzelanie, więc się pogróżki tej nie lękamy... Służymy na mocy specjalnego z rządem układu i domagamy się dotrzymania warunku... Inaczej służyć nie chcemy...

— Idźcie z legjonem waszym do djabła!... — krzyknął.

Umitygował się jednak po odejściu naszem, z Czernikiem się porozumiał i rozkaz odwołał.

W dni parę później ruszyliśmy z korpusem całym w pochód. Droga, którąśmy przechodzili, prowadziła nizinami podmokłemi. Brodziliśmy po trzęsawiskach, na których wodę miejscami okrywała śniedź czerwona. Dnie były upalne, lipcowe. Na trzęsawiskach tych pozbyłem się nagniotków, alem się zato nabawił febry, napastującej mnie co dzień trzeci. Doszliśmy wreszcie do Solnoka i tam, ku wielkiemu uradowaniu naszemu, złączyliśmy się z legjonem, który droga odwrotu aż tu doprowadziła.

Kiedyśmy się pod Solnokiem znajdowali, sytuacja Węgier znajdowała się w stanie nie rozpaczliwym, ale bardzo kłopotliwym, wymagającym tego, czego się wymaga od kapitana i majtków na okręcie burzą miotanym. Rząd w Peszcie zagrożony przeniósł siedlisko swoje do Szegedyna. Siły zbrojne pozostawały pod naporem dwóch ciśnień, idących jedno od północy, drugie od zachodu. Od północy następowały wojska rosyjskie i parły Görgeya, który, ucierając się zaszczytnie i niezawsze niepomyślnie, ustępował za Cissę na szachownicę, zaznaczoną wytycznemi: Debreczyn, Wielki Warażdyn i Arad, i ściągał do siebie korpusy w stronie tej operujące. Od zachodu szła armja austrjacka pod wodzą feldmarszałka Haynaua. Ta na drodze pochodu swego miała Komorn, w którym zamknął się Klapka; Komorn minęła, pozostawiając przy nim korpus obserwacyjny, zajęła Peszt bez przeszkody i znalazła się wobec musztrujących się w okolicy keczkemeckiej zaciągów Perczela i korpusu Wysockiego, doprowadzonego w całości pod Solnok, a prowadzą-

cego za sobą część sił rosyjskich, które się na wysokości Pesztu zatrzymały.

W Solnoku siły zbrojne węgierskie skoncentrowały się w armję, mającą za zadanie specjalne stawienie czoła Haynauowi.

W sposób ten powstały dwie armje: północna i południowa; pierwsza pod Görgeyem, dowództwo drugiej powierzonem zostało Messarosowi, który przyjął je pod warunkiem, że szefem sztabu przy nim będzie Dembiński. Jedna od drugiej pod względem wartości bojowej różniła się znacznie. Armja północna składała się z korpusów w ogniu wypróbowanych; w południowej — większości ogromnej pole bitwy znanem jeno było ze słyszenia. W skład jej wchodziły bataljony pikinierów; hufce zaś, w broń palną zaopatrzone, były zaledwie obmusztrowane nieco. Najpewniej pod względem przymiotów żołnierskich przedstawiał się korpus Wysockiego; innym zaś za zaprawę służyły bataljony pojedyńcze, bądź honwedów przykomenderowanych z korpusów, co kampanję wiosenną odbywały, bądź też legjonów cudzoziemskich, a mianowicie: legjonu niemieckiego, który się umundurowaniem od wojsk węgierskich nie różnił, i legjonu włoskiego, ściągającego na siebie oczy odzieżą odmienną, bardziej zaś doborem ludzi rosłych i pięknych. Ludzi tych dobrali Austrjacy, legjon włoski bowiem był to dawniejszy bataljon grenadjerów, pozostawiony w Budzie dla obrony zamku. Bataljon ów, gdy Węgrzy z drabinami do szturmu poszli, broń przez mur wyrzucił i wdzierających się honwedów przyjął marszem Rakoczego, odegranym przez orkiestrę pułku włoskiego [1].

Taką była piechota. Z jazdą działo się nielepiej. Szwadrony huzarów w huńkach białych i kapeluszach ufności nie

---

[1] Załoga, zostawiona przez Austrjaków do obrony zamku w Budzie, składała się z dwóch bataljonów kroackich, jednego polskiego (z pułku Mazzucheli) i jednego włoskiego. W czasie szturmu Kroaci bronili wnijścia przez wyłom, Polacy i Włosi dwóch punktów, ku którym Węgrzy z drabinami szli. Włosi broń wyrzucili. Polacy raz ognia dali, następnie odstąpili i broń do nogi wzięli; Węgrzy się na nich z bagnetami pochylonemi rzucili i byliby wymordowali, gdyby ich oficerowie nie zasłonili. Kroaci, zza wyłomu zepchnięci, w domach się pozamykali i bronili się wściekle. Z bataljonów kroackich ani jeden człowiek przy życiu nie pozostał. Węgrzy się nad nimi okrucieństw dopuszczali. Zamek królewski zrabowany został. (Nota T. T. Jeża).

wzbudzały. Śród nich odznaczały się dwa szwadrony czikosów i jeden Roza Szandor, — pierwsze sformowali pastusi stadnin stepowych; bili się dzielnie, władali zręcznie batogami, któremi przy spotkaniu Austrjakom oczy wybijali, i linewkami, któremi jeźdźców z koni ściągać umieli. Roza Szandor był to rozbójnik przed rewolucją wsławiony; postawił on szwadron, ale z huzarów jego pociechy nie było; używano ich do pędzenia za wojskiem bydła. Śród kawalerji do armji tej przydzielonej ufności najwięcej wzbudzały pułki nasze ułańskie, prowadzone przez oficerów doświadczonych i posiadające w szeregach żołnierzy wyrobionych, po największej części eks-austrjackich. Słowem, piechota i jazda w armji tej do życzenia pozostawiały dużo, bez porównania więcej, aniżeli artylerja, która, nie wiem dla powodu jakiego, była i liczna, i jeżeli nie zupełnie, to cale dobra i dostatecznie w amunicję zaopatrzona. W linji bojowej rozwinąć się mogło bateryj dwadzieścia kilka, obsługiwanych, jak należy. Stosunkowo legjon polski artylerji posiadał mało: pół baterji pieszej i pół konnej. Tą ostatnią dowodził Władysław Bentkowski.

Bataljon nasz pod Solnokiem po przyłączeniu do niego odkomenderowanej w Miskolczu kompanji znalazł się w pełnym komplecie — ludzi osiemset bezmała. Jam był w kompanji piątej strzeleckiej.

Spod Solnoka przenieśliśmy się pod Czegled, gdzie leżeliśmy obozem dni kilka, i skąd jazda czyniła wyprawę rekonesansową, celem odgadnięcia zamiarów przeciwnika. Obóz mieliśmy wygodny — w lesie. Żołnierze pobudowali nam z gałęzi szałasy.

Szałas przydał się mi ogromnie do odbywania paroksyzmów febry, na którą leczył mnie Szpaczek, lekarz nasz bataljonowy, jeden z ochotników, co z Galicji do Miskolcza napływali. Zażywałem chinę. Mimo to febra wracała. W lesie napadł mnie paroksyzm silny. Leżałem bez pamięci w gorączce i, gdy mnie takowa opuściła, dźwignąłem się, z szałasum się wysunął i znalazłem się wobec widowiska, które mnie zajęło. Ustawione bębny reprezentowały stolik zielony, który otaczało grono liczne, złożone z oficerów od piechoty i jazdy, i zabawiało się djabełkiem czy faraonem do puli. Gra szła raźnie. Uczestnicy onej, podając karty jeden drugiemu, ciągnęli kolejno. Ten przegrywał, ów

wygrywał; siedziałem za Łuczyńskim, bataljonowym adjutantem naszym: temu karta nie służyła, przegrywał ustawicznie. Dwie czy trzy koleje obeszły i on do puli płacił. Irytowało go to; w tem pojawił się podoficer służbowy, odsalutował i głośno się odezwał:

— Podporucznika Łuczyńskiego major prosi.

Łuczyński się zerwał. Ktoś zauważył:

— Rękę stracisz.

— Ano — Łuczyński na to, oglądając się, — zajmij miejsce moje — rzekł do mnie.

— Kiedyż ja grać nie umiem — odparłem.

— Nauczysz się. Filozofja niewielka...

Śledząc za grą, poznałem, że w rzeczy samej, niewielka to filozofja. Zająłem więc Łuczyńskiego miejsce; gdy kolej na mnie nadchodziła, ciągnąłem, i w rękach moich karta zmieniła zwyczaj. Wygrywałem. Szczęście sprzyjało mi szalenie, tak że podczas kiedy inni ostatki z pugilaresów i sakiewek wytrząsali, jam zgartywał z bębna banknoty, cwancygiery, dukaty nawet, z których ułan jeden, nazwiskiem Jan Tyszkiewicz, trzosik, na gołem ciele noszony, wypróżnił. W krótkim czasie wygrałem tysiąc kilkaset złotych reńskich. Zawadzało mi to. Ponieważ szczęścia spróbowałem przypadkowo, uśmiech ten przeto fortuny uważałem za nieprawy i grałem dalej wcelu przegrania. Byłbym zapewne celu tego dopiął, gdyby mnie od gry wezwanie do majora nie oderwało. Wezwanie przyniósł Matuszyński, kolega mój z kompanji piątej. Kiedym, ustąpiwszy miejsce moje komuś innemu, wstał i kroków kilka postąpił, Matuszyński pochwycił mnie pod ramię jedno, brat jego pod drugie, w las prowadzili, perswadowali i prosili, ażebym gry zaniechał. Major nie wzywał mnie wcale. Był to ze strony ich podstęp, którego dopuścili się nato, ażeby mnie do zabastowania przyprowadzić. Osłabiony po paroksyzmie opierać się im nie mogłem; gniewać się nie było za co: do gry przeto nie powróciłem i wygrana cała przy mnie została. Nie zachęciła mnie ona. Część znaczna wygranej z rąk moich wyszła następnie, alem graczem nie został. Wypadek niemirowski stał mi w pamięci zawsze; zresztą do kart nie czułem pociągu najmniejszego, — uważałem je za stratę czasu obrzydliwie głupią.

W obozie pod Czegledem zdarzyła się sprawa, której istota z pamięci mi wypadła całkowicie. Nie wiem, o co cho-

dziło, przypominam sobie jeno, że kwestja polegała na interpretacji zasad demokratycznych, i z racji tej do pułkownika, dowódcy piechoty, którym był Idzikowski, wezwanym został korpus oficerski. Pułkownika Idzikowskiego widywałem dotychczas zdaleka. Był to mąż wzrostu dużego, tuszy dobrej, okazały, mający wygląd żołnierski i sposób mówienia utkany konceptami, które w szeregach powtarzano. Gdyśmy go otoczyli, jął się nam istotę demokracji wykładać i rozpoczął wykład od następujących mniejwięcej wyrazów:

— Krocset djabłów!... czy myślicie, żem nie demokratą?... Z was żaden z parobkami z misy jednej kartofel nie jadał, a jam jadał... i smakowały mi lepiej, jak pulardy z truflami...

W rodzaju tym ciągnął dalej, powiedział przypowiastek parę i pożegnał nas. Przemówienie to nie zbudowało i nie przekonało nikogo, nie osłabiło jednak powagi pułkownika, opierającej się na tem, że go powszechnie uważano za człowieka w rzemiośle wojskowem biegłego. Niekażdemu ze śmiertelników sądzono być wszechstronnym — znać zarazem i rzemiosło wojskowe i zasady demokratyczne.

Przy końcu miesiąca lipca ruszyliśmy spod Czegledu w pochód traktem na Nagy-Körös i Felegyhaza, prowadzącym do Szegedynu. W marszu niepokoiło nas jeno słońce, które przypiekało i które sprowadziło na nas ulewę z gradem. Powietrze się oziębiło. Zmoknięci i zmarzli stanęliśmy pod tą stolicą prowizoryczną na polu, przysposobionem na pole bitwy. Jak okiem zasięgnąć, ciągnęły się mniejsze i większe szańce polowe. Wojska się w nich rozstawiły. Nam wypadło miejsce na lewem skrzydle, opierającem się o samotnie śród pól wznoszący się domek, otoczony obmurowaniem wysokiem i przylegający do ogrodu pełnego drzew owocowych. Przed nami rozlegały się łany zbożem i kukurydzą obsiane, a na lewo widniało coś, w czem po rozpatrzeniu się bliższem rozpoznać się dała szubienica, — murowana, wyglądająca nakształt bramy gotyckiej. Domek był mieszkaniem kata. Żołnierze w marszu mają zwyczaj do mieszkań ludzkich zaglądać. Gdy się wieść rozeszła, kto mieszkanie to zajmował, z żołnierzy ani jeden do wrót zamkniętych nie zapukał. Wrota owe nie otworzyły się przez czas cały pobytu naszego w szańcach, osłaniających Szegedyn od strony zachodniej.

Pobyt nasz w szańcach tych przeciągnął się bodaj czy nie tydzień cały. Nie wymagał on ustawicznego pogotowia bojowego, albowiem i żołnierzom i oficerom udzielano pozwolenia udawania się do miasta pod lada pretekstem. Razu pewnego przybiega do mnie podoficer od ułanów, Wołyniak, ten sam, co mi w Aradzie, w szpitalu, oznajmił o formowaniu jazdy, i wzywa mnie, ażebym do miasta jaknajprędzej szedł.

— Poco? — pytam.

— Nie powiem... Niespodzianka... Chodź! zobaczysz.

Dopytywałem się. Mówić nie chciał, ale wzywał w sposób tak nalegający, żem się majorowi zameldował i z nim razem do miasta udał. Wprowadził mnie do jakiegoś z podwórcem domu i na podwórcu w oczy mi się rzucili żołnierze rosyjscy, odziani w mundury pułku ułanów wozneseńskich. Zdziwiło mnie to; zdziwienie moje pod postacią zapytania wyraziłem.

— Chodź dalej — odpowiedział mi przewodnik — zdziwisz się bardziej jeszcze.

Wprowadził mnie po schodach do izby i ujrzałem Rulikowskiego, oficera z pułku wozneseńskiego, który czasu onego wraz z Bolesławem Popowskim i innymi należał do zmowy, zawiązanej w pułku tym przeze mnie. Zmowa tyczyła się wojny przeciwko Polakom, upadała więc sama przez się, gdy do takowej nie przyszło. Rulikowski jednak, człowiek młody i ognisty, nie mógł się pogodzić z sumieniem własnem, gdy wystąpił przeciwko Węgrom. Zamierzył przejść. Celem uskutecznienia zamiaru tego skorzystał ze sposobności pierwszej, jaka się mu nadarzyła. Wysłano go z podjazdem; dotarł do wsi jakiejś i we wsi tej, zwierzywszy się księdzu, za pośrednictwem jego przesłał do czat węgierskich karteczkę z wezwaniem, ażeby go zabrano. Wkrótce wpadł oddział huzarów, otoczył probostwo i wziął do niewoli podjazd cały, ani się domyślający podstępu. Rulikowski, do sztabu dostawiony, zadeklarował, że służyć chce w legjonie polskim. Odesłano go też do legjonu wraz z ułanami, karteczka zaś jego w aktach sztabowych pozostała. Nieszczęsna karteczka! Na podstawie jej Rulikowski rozstrzelany został.

Łatwo wyobrazić sobie uradowanie moje, z jakiem powitałem pierwszego z okolic moich rodzinnych przybysza, z którym znałem się osobiście. Rulikowski był nieswój niby, zmie-

szany i niespokojny. Wojna brała obrót niepomyślny, uważał więc postępek swój za niewczesny. Mocno był zakłopotany.

— Co to będzie? — pytał.

— A cóż! — odrzekłem. — Lękasz się zginąć?

— Zginąć mniejsza. Gdybym nie zginął jednak?

Pytania tego nie zadawałem sobie, nie umiałem przeto odpowiedzieć na nie. Uspokajałem, jak mogłem i umiałem, Rulikowskiego, który do rezerwowego szwadronu wraz z komendą swoją przydzielony, później dopiero do pułku wcielonym być miał.

Dzień widzenia się z nim był przededniem wymarszu naszego z okopów. Nazajutrz od rana nakazano nam być w pogotowiu bojowem, domyślaliśmy się i spodziewali bitwy; około czwartej czy piątej jednak popołudniu spostrzegliśmy się, że w okopach rozległych pozostajemy sami jedni; równocześnie kazano nam ku miastu się cofnąć. Przez Szegedyn przeciągnęliśmy krokiem zwyczajnym, nie domyślając się niczego. Zagadka rozwiązała się nam dopiero nad brzegiem Cissy wobec dwóch mostów na łyżwach, z których jeden, złamany już, z wodą płynął, drugi zaś otaczali pontonierzy z narzędziami do zrywania. Na ten ostatni weszliśmy. Ponieważ maszerowaliśmy prawem skrzydłem naprzód, ja zaś we froncie rozwiniętym bataljonu zajmowałem miejsce na skrzydle lewem, szedłem przeto ostatni i widziałem, jak za mną deski z pomostu do wody rzucano. Na brzegu przeciwnym, zapomocą zajścia prawem ramieniem naprzód, uszykowaliśmy się frontem równolegle do rzeki. Na lewo od nas znajdowała się gromadka jeźdźców, a na jej czele siwy jakiś jegomość, w którym z łatwością rozpoznałem Dembińskiego, dalej zaś trochę widzieć się dawał szańczyk, a na nim działo jedno.

Jak skoro bataljon uszykował się, wnet major do Dembińskiego podszedł i ten do niego słów kilka, ręką na rzekę wskazując, rzekł. Major powrócił i odezwał się:

— Kazał generał bataljonowi odejść, zostawiając na brzegu pluton i oficera roztropnego...

Wymówiwszy wyraz ostatni zmiarkował się, że był to wyraz zbyteczny, za język się więc ugryzł i dodał:

— Ij, co tam! Zostanie pluton ostatni, dziesiąty i oficer, co nim dowodzi.

Rzekłszy to, zakomenderował:

— Pluton dziesiąty, stój! Inne plutony w prawo! Bataljon! krok podwójny, maarsz marsz!

Bataljon rotami drogą podgórę ruszył; major, na mnie palcem kiwnąwszy, udzielił mi półgłosem instrukcji, wedle której powinienem był wybrzeża osadzić, uważać pilnie, co się na rzece dzieje, nie przepuszczać na brzeg lewy nikogo, pozostawać aż się dobrze ściemni i wówczas pluton odprowadzić drogą, która mnie zaprowadzi do obozu.

Major odjechał. Pozostałem sam. Obejrzałem się: i Dembińskiego już nie było. W szańczyku widziałem oficera na wale stojącego, kanonierów siedzących i lont kurzący się, a nieopodal stamtąd przodek zaprzężony z furwerami na siodłach.

Do obsadzenia wybrzeża skorzystałem z wierzb grubopiennych, ciągnących się wzdłuż. Pluton ustawiłem za wierzbami, po żołnierzu za każdą. Dokonawszy tego, zwróciłem uwagę na rzekę. Most jeden spłynął już; drugi z pomostu ogołocony łamał się; woda go częściowo unosiła, pontonierzy się w czółenkach uwijali, tu coś odrywając lub odrębując, ówdzie popychając tratwy ku środkowi prądu. Czynność ta zajęła mnie mocno. Przypatrywałem się jej, póki ukończoną nie została. Gdy zaś pontonierzy, most z wodą puściwszy, zwrócili się z czółenkami wgórę rzeki i za firanką wierzbin z oczów mi znikli, zwróciłem spojrzenie na szańczyk. W szańczyku ani działa, ani kanonierów nie było. Wynieśli się tak, żem nie spostrzegł tego. Zdawało mi się, że i mnie wynieśćby się można, ale rozkaz wyraźny trzymał pluton, póki się nie ściemni zupełnie. Zostawiłem więc żołnierzy za wierzbami, sam zaś, ująwszy pałasz pod pachą, rozpocząłem przechadzkę nad brzegiem, idąc od żołnierza ostatniego na prawo do żołnierza ostatniego na lewo i zatrzymując się od czasu do czasu dla obejrzenia krajobrazu, przedstawiającego się pod postacią Szegedyna przy słońca zachodzie. Tu dachy blaszane połyskiwały, ówdzie okna zaczerwienione iskrzyły się, spośrodka domów wystawały dogóry ciężkie, w baszty i krenele zaopatrzone zamku starego mury. Zajmowało mnie to i wspomnienia w duszy budziło, wspomnienia najprzód miast, potem ludzi, wkońcu tych ludzi sercu memu najbliższych a tak oddalonych, co mnie wyhodowali i wychowali. Łzawo mi się niby zrobiło. Przestałem się do krajobrazu węgierskiego przyglądać. Oddałem my-

ślenie moje całkowicie wspomnieniom lat dziecinnych moich. Słońce się corazto bardziej ku zachodowi chyliło — aż zaszło, zapadło się poza zamek stary i zmrok na rzekę schodzić począł. Zmrok od wspomnień mnie oderwał. Spojrzałem na niebo — na niebie szarzało; zwróciłem oczy na rzekę, na której z mostów śladu już nie było: z wodą poszły, znikły; rzeka płynęła cicho, spokojnie, przybierając corazto wyraźniej połysk szkła w cieniu i tonąc już w mroku w oddaleniu. Mrok ów, zwyczajnie jak mrok, budzący pojęcie tajemniczości, zaciekawił mnie. Puściłem wzrok w lewo, z biegiem rzeki, — tam nic nie było; zwróciłem oczy w prawo i po niejakimeś czasie wydało się mi, że widzę tam czarny jakiś, ruchomy punkt. Jąłem się w punkt ten wpatrywać. Ruszał się w rzeczy samej. Coby to być mogło? Niedługo mi potrzeba było czasu, ażeby się domyślić. Wiedziałem, że nieopodal od zajmowanego przeze mnie stanowiska wpada do Cissy rzeka Marosz i że ujściu jej towarzyszą z prawej strony nie do przebycia trzęsawiska, pod osłoną których nieprzyjaciel mógł bezkarnie przygotowania do przeprawy przez Cissę czynić. W przygotowaniach tego rodzaju rolę niemałą odegrywają tratwy — rodzaj promów —, służące do przerzucenia na brzeg przeciwny znacznego oddziału wojska. Uczyniłem w myśli przypuszczenie, że musi to być to, i ruszyłem wnet wzdłuż wierzb, zalecając żołnierzom baczność, przygotowanie broni do strzelania i czekanie na rozkaz mój. Niebawem przekonałem się, że przypuszczenie moje z rzeczywistością się zgadza. Na tratwie znajdowali się żołnierze w ilości, o ile zmiarkować mogłem, bataljonu. Na głowach chwiały się im pióropusze, po czem poznałem strzelców. Tratwę prąd rzeki unosił w stronę naszą. Wyczekałem, ażeby minęła żołnierza naszego, na prawo stojącego, i wygłosiłem rozkaz do strzelania dowolnie. Wnet spoza wierzb jeden po drugim padać poczęły strzały. Przechodząc od żołnierza do żołnierza, upominałem:

— Wytrzymuj na celu dobrze! Nie spiesz się. Prochu nadaremnie nie psuj!

Nie zdaje się, ażeby prochu na wiatr poszło dużo. Żołnierze strzelby o wierzby opierali, na celu wytrzymywali i palili w kupę. Kule musiały trafiać, widziałem bowiem w kupie tej zamieszanie, wicie się na miejscu, kurczenie się niejako, połączone z okrzykami jękliwemi i rozkazującemi. A żołnierze

nasi palili, palili. Ogień spoza wierzb szedł rzadki, ale ustawiczny. Wreszcie tratwa oddalać się poczęła. Jam ognia przerywać nie kazał; strzelanina odkonwojowała Austrjaków aż na brzeg przeciwny i wówczas dopiero zaniechać jej kazałem, kiedy się wojsko z tratwy wysypało. Musiało tam być sporo rannych i zabitych. Nie mogłem dojrzeć tego w ciemności wieczornej. Później dopiero — o wiele później — z opisów historycznych wojny węgierskiej dowiedziałem się, że w rozprawie tej ranionym został Benedek, wówczas generał brygady, który oddział ów prowadził osobiście. Z racji tej dostał on miano generała-bohatera. Był to początek jego karjery, jutrznia wielkości jego. Pasowałem go wieczora onego na wodza naczelnego w przyszłości i w sposób ten przyczyniłem się do zguby Austrji w r. 1866, a zatem i do zaprowadzenia w niej konstytucji. Nie żałuję tego, żem tych dla państwa rakuskiego smutnych kolei stał się przypadkowym a mimowolnym sprawcą. W chwili tej tegom się ani domyślał. Kazałem strzelania zaprzestać, poczekałem jeszcze, aż się ściemniło zupełnie, ściągnąłem pluton na drogę i odszedłem [1].

Droga prowadziła po pochyłości wgórę. Zanim szczytu wzgórza dosiągnąłem, zawiązała się pomiędzy brzegiem jednym a drugim kanonada działowa. Kule i granaty przenosiły się nad głowami naszemi. Granaty nasze, padając na miasto i pękając, oświecały takowe światłem błyskawicznem, w którem fantastycznie się przedstawiały budowle, mury i przesuwające się nad brzegiem wojska. Oglądałem się i przypatrywałem temu. Trudno wyobrazić sobie coś bardziej malowniczego. Na górze przeszliśmy przez jakiś wał; około północy dostaliśmy się do stanowiska bataljonu naszego w obozie.

Od wieczora tego rozpoczęła się bitwa, która trzy dnie trwała i polegała całkowicie na ogniu działowym. Artylerja miała głos główny. Nazajutrz około południa bataljon nasz postawiono w pierwszej linji bojowej. Stanęliśmy za wałem, usypanym przeciwko wylewom Cissy i dotykającym pod ką-

---

[1] Raporty urzędowe austrjackie zdarzenie to podają inaczej. Według nich Benedek na brzeg lewy jakoby wysiadł, i bataljon, którym dowodził, cofnął się na brzeg prawy wskutek kilku rozpaczliwych ataków węgierskich. Austrjacy brzegu ani dotknęli. Węgrów ani jednego nie było. (Nota T. T. Jeża).

tem prostym wału, który się wzdłuż Maroszy ciągnął. Mieliśmy wał przed sobą i wał na prawo. Na pierwszym, na lewo nieco od stanowiska naszego, wznosiła się mogiła, która Dembińskiemu służyła za obserwatorjum militarne. Na szczycie jej stał z lunetą w ręku, śledząc ruchy wojsk nieprzyjacielskich. Widziałem go tam przez dzień cały. Zdaje się, że Austrjacy dostrzegli go, albowiem na mogiłę zwróciła się kul działowych zawierucha istna, uderzały w spód i z boków, trafiały w wał, za którym staliśmy, odbijały się i przenosiły nas rykoszetami wielkiemi. Zachwycał mnie widok tego generała starego. Na kule nie zważał zgoła. Od czasu do czasu przybywali do niego na koniach spienionych adjutanci. On się do nich obracał, ręką dawał znak, ażeby na mogiłę nie wjeżdżali, słuchał, co oni mówili, mówił do nich, uśmiechał się dobrodusznie i tabakę zażywał. Na noc zeszedł. Kazano nam gęsto wystawić straże, na stanowisku pozostać, kompanję jedną pod bronią trzymać, a innym pozwolić się położyć i spać, ale tak jak w szeregu stały i z bronią w ręku. Oficerowie kolejno dyżur odprawiali, bacząc, ażeby żołnierze i oficer każdy na swojem znajdował się miejscu.

Kiedy w nocy dyżur wypadł na mnie, chodzić począłem przed stojącym i leżącym frontem, i przechadzka ta wyprowadziła mnie poza bataljonu skrzydło prawe, aż do wału nad Maroszą. W rowie wału tego wydało mi się, że ktoś leży. W rów zeszedłem. W rzeczy samej, leżało osób dwie, płaszczami z głową nakrytych. Kto to był? Byłem przekonany, że dwaj z szeregów bataljonu naszego żołnierze wykradli się wcelu przespania się spokojnie. Huknąłem na nich; gdy jednak na hukanie głuchymi się okazali, kopnąłem nogą raz i drugi:

— A nuże, wstawaj!...

Na kopnięcie spod płaszcza wysunęła się głowa siwa i o słuch mój obiły się wyrazy zapytania:

— A co tam?

— Ach! przepraszam — zawołałem. — Myślałem, że to który z żołnierzy naszych.

— No dobrze, dobrze.

I głowa się płaszczem okryła.

Był to Dembiński, szef sztabu armji południowej. Obok niego noc w rowie spędzał wódz naczelny Messaros. Ta ich główna kwatera znaną być musiała adjutantom i dowódcom

korpuśnym, alem ja o niej nie wiedział i dlatego dopuściłem się względem starego generała niegrzeczności, której, ściśle rzecz biorąc, nie powinienem się był względem szeregowca dopuszczać. Ale... *à la guerre comme à la guerre.*

Nazajutrz o świcie Dembiński znów się na mogile znajdował. O południu zluzował nas bataljon pierwszy i ten ucierpiał więcej, aniżeli nasz, który miał kilku rannych; z pierwszego zaś zabitych odnoszono, i to zabitych od kul karabinowych. Tak zginął Janiszewski, postrzelony w udo: żartował z rany otrzymanej i nagle skonał. W oczach moich frajerce, co żołnierzowi obiad przyniosła, kula nogi obie urwała. W nocy zauważyłem znaczny bataljonów węgierskich ruch. Spodziewaliśmy się zmian stanu rzeczy w dniu następnym; cały dzień jednak upłynął, jak poprzedni. Pojedynek artylerzycki ciągnął się dalej. Aż trzeciej nocy niespodzianie nakazano nam pochód.

Nakaz ten poszedł stąd, że się w Mako, a więc poza nami, przeprawił przez Marosz korpus rosyjski. Była to dla nas niespodzianka. Na szachownicy, osłaniającej przeprawę tę, operował Görgey, który, uwiadomiony o rozprawie pod Szegedynem, powinien był uwiadomić o niemożliwości utrzymania drogi do Mako. Nie uczynił tego. Gdyby się był Dembiński w porę przypadkiem nie dowiedział, bylibyśmy we dwa wzięci ognie.

Zamiar Dembińskiego na tem polegał, ażeby Austrjaków przez Cissę puścić i zgnieść. Zamiar ten nie powiódł się. Zamiast onego nastąpił odwrót pośpieszny. W nocy wyminęliśmy wojska rosyjskie i zatrzymaliśmy się nazajutrz o południu, spokojni już o tyły nasze. Zatrzymanie się to w porę dla mnie nastąpiło, napadł mnie bowiem paroksyzm febry, która, przerwana dzięki chinie, znów wróciła. Maszerowaliśmy krainą spustoszoną, teatrem wojny domowej. Wsie i miasta leżały w gruzach; na każdym niemal kroku widzieć się dawały ślady pogorzeli. Na drugi dzień pochodu w nocy spotkał nas wypadek, którego znaczenia nie zrozumieliśmy odrazu. Zbudził nas nagle huk i tętent w obozie. Zerwaliśmy się. Kazano nam pod bronią stanąć. Mówiono o napadzie kozaków. Staliśmy pod bronią do rana i pokazało się, że jeździe naszej całej konie się od kołków poodrywały i uciekły. Kilkadziesiąt szwadronów pozostało na piechotę. Rozesłano na wsze strony w step celem odszukania koni; piechotę zaś i artylerję ustawiono w szyku

bojowym, oczekując lada moment ataku nieprzyjaciela, który za nami zbliska ciągnął. Godziny jednak upływały — nieprzyjaciel się nie pokazywał. Wreszcie huzary odszukali konie przy stertach siana w stepie i przypędzili. Nastąpiło rozbieranie ich pomiędzy szwadrony. Godziny znów upływały i nieprzyjaciel nie atakował. Wydawało się to dziwnem, tem bardziej że w wigilję dnia tego legjon polski, który szedł w straży tylnej, stawił czoło straży przedniej austrjackiej, legjon zaś włoski z zasadzki w kukurydzach zgromił szwoleżerów. Po rozebraniu koni ruszyliśmy w pochód dalej. Tajemnica, dlaczego nas Austrjacy nie atakowali, wyjaśniła się później. I im konie w nocy uciekły. Sprawiło to trzęsienie ziemi, które konie przestraszyło.

W dniu następnym wyruszyliśmy o świcie i znajdowaliśmy się w marszu pełnym, kiedy około ósmej rano zatrzymać się nam kazano. Po półgodziny może stania w miejscu dostał się do nas, z powietrza niby, wyraz: Bem.

Bem nadjechał z rozkazem ministerjalnym, oddającym mu nad armją naszą dowództwo naczelne. Dowództwo objął, i w miejscu, w którem armję spotkał, postanowił bitwę stoczyć. Powiadają, że Dembiński, zdając mu władzę, odwodził go od postanowienia tego, przedstawiając niestosowność onego strategiczną i taktyczną. Armja szła do Aradu celem połączenia się z armją północną i nic jej na przeszkodzie nie stało. Takim był wzgląd strategiczny, o którym słówko rzeknę później. Co się warunków taktycznych tyczy, to przedstawiały się tak: do boju rozwijać się należało tyłem do Temeszwaru, fortecy znajdującej się w rękach austrjackich. Przytem cały park rezerwowy, wiozący amunicję zapaśną tak dla artylerji jak dla piechoty, wysłany był przodem i oddalenie jego od armji wynosiło mil trzy. Artylerja posiadała ładunków tyle tylko, co w jaszczykach, a i piechota zaopatrzoną dostatecznie nie była. Niektóre bataljony strzeleckie nawet nabojów w ładownicach więcej nie miały, jak po kilkanaście. Przedstawienie tego stanu rzeczy nie wpłynęło na zmianę postanowienia Bema, tak że Dembiński powiedzieć mu miał:

— Kiedy masz robić głupstwo, róbże je sam!...

Armja z uniesieniem radości przyjęła wiadomość o objęciu dowództwa przez Bema. Poczęto wnet do boju nas szykować.

Stanowisko bataljonowi naszemu dostało się przy szosie, nad kanałem Bega, obok mostu murowanego, na kanale zbudowanego. Stanęliśmy na lewo od mostu i na rozkaz Bema zeszliśmy do kanału, w którym wówczas zamiast wody dno okrywało błoto, tworzące kałużę, podmywającą pochyłe, murawą okryte brzegi. Nad kanałem owym bataljonowi usiąść kazano. Rozkaz ten dogodził mi wielce, albowiem w chwili tej właśnie febra mnie trząść poczęła. Usiadłem i położyłem głowę na kretowinie. Zaledwiem legł, tuż nad głową huknął mi wystrzał, tak nagle i niespodziewanie, żem od drgnięcia podskoczył ciałem całem. Nad kanałem rozwinęła się baterja węgierska. Bitwa się rozpoczęła. Dalej nieco na prawo odezwała się półbaterja polska, a dalej strzelanina działowa zabrzmiała na linji długiej i wyzwała odpowiedź ze strony przeciwnej, wyrażającą się pod postacią kul, granatów, szrapnelów, padających na nas w obfitości znacznej. Te ostatnie zrazu przenosiły nas w kanale schronionych, następnie w kanał nurzać się poczęły, wbijając się bądź w murawę, bądź w błoto. Mnie ziębienie opuściło, miejsce onego zajęła gorączka. Leżąc na kretowinie, czułem upał pragnienia, dla zaspokojenia którego, dźwignąłem się, zsunąłem, nad kanałem nachyliłem i, kiedym czapką wodę czerpał, w kretowinę wpadła i schowała się kula dwunastofuntowa. Gdybym się był chwilkę spóźnił, w kretowinie tej byłaby została głowa moja. Febra mi życie uratowała. Niemasz tego złego, coby na dobre nie wyszło. Wkrótce potem Bem, który na szosie na koniu stał, kazał dowodzącemu nami w dniu tym, spowodu choroby majora, kapitanowi Horodyskiemu przeprowadzić bataljon ze strony mostu lewej na prawą. Uczynił to w tym zapewne celu, ażeby nas spod ognia usunąć. Kiedyśmy przez szosę przechodzili, po raz w życiu mojem pierwszy Bema zobaczyłem. Stał na środku szosy, na gniadym siedząc koniku, patrzał na nas, jakeśmy przed nim rotami defilowali. Przede mną o kroków kilkanaście biegł dobosz z bębnem na ramieniu, młody, szykowny chłopak; kula gwizdnęła, dobosz głową kiwnął; Bem z przekąsnym w głosie akcentem zawołał:

— A dobosz, huncwot!... kulom się kłaniasz?

Dobosz się wyprostował, kroków kilka postąpił i runął, kulą w sam łeb trafiony.

Na prawej stronie mostu, z miejsca mego na lewem skrzy-

dle bataljonu miałem możność przypatrywania się Bemowi, ilem chciał. Używałem też. Oglądałem się ustawicznie. Na szosę i obok padały kule i granaty. Bem ani zważał na nie. Konik jego tylko, gdy granat przed pęknięciem kręcił się na miejscu i burczał, szyję ku onemu wyciągał i uszami strzygł. Po niejakimeś czasie Bem z kieszeni od atylli chustkę białą wyjął i do policzka przycisnął. Na chustce pokazała się krew. Co chwila przyjeżdżali do niego adjutanci, rozkazy brali i odjeżdżali. Pomiędzy nimi zauważyłem jednego, chłopa setnego, w fezie z kutasem na głowie, siedzącego na koniu skarogniadym, którego prowadził nie na munsztuku, ale na trenzli, zaopatrzonej w cugle jedwabne. Później się dowiedziałem, że był to Iliński Aleksander, inaczej Skinder-bej, następnie Skinder-pasza. W oczach moich Bem, raniony czerepem od granata w obojczyk, z konia spadł i w karecie, która wnet nadjechała, odwieziony został.

Położenie nasze na stronie prawej mostu pogorszyło się w stosunku do tego, jakie było na stronie lewej. Tam nie straciliśmy człowieka ani jednego; tu nastał moment morderstwa prawdziwego. W szeregi nasze wpadała kula po kuli, wpadał granat po granacie; zabitych i kaleczonych padało naraz po kilku. Zdarzyło się to w kompanji piątej. Żołnierzy opanowało przerażenie paniczne; rzucili się kupą pod most, a gdym się temu oprzeć chciał i szabląm im drogę zagradzał, wywrócili mnie, w błoto udeptali i pod most się pogarnęli. Kilkunastu uciekło. Potrzeba ich było ugłaskiwać, uspokajać, ośmielać, każdego niemal za rękę do szeregu prowadzić, z każdym jak z dzieckiem pomówić:

— Czegoż się lękasz?... Cóż? Zginiesz dziś, czy umrzesz za lat kilka: czyż to nie jedno?

W sposób ten przywróciliśmy porządek w przepołowionym prawie przez śmierć i przez ubytek tych, co rannych odprowadzali, bataljonie. Zawierucha kul i granatów od nas się odwróciła. Swobodniej się nam niby zrobiło. Odetchnęliśmy w oczekiwaniu wypadków dalszych, które się w ten przedewszystkiem wyraziły sposób, że około trzeciej czy czwartej godziny po południu baterje nasze jedna po drugiej zamilkać poczęły. Stało się to w momencie przybycia na pole bitwy korpusu wojsk rosyjskich pod generałem Paniutinem. Nie pomogła pomyślna na prawem skrzydle naszem szarża jazdy, w której się odwagą

i zimną krwią odznaczył Wład. Bentkowski, dowódca półbaterji konnej. Rozwiniętych przez Rosjan czterdzieści dział, wówczas kiedy działa nasze odpowiadać nie mogły, poniosły zniszczenie i trwogę w szeregi żołnierstwa młodego. Bataljony pikinierów pierwsze, za ich przykładem inne, w rozsypce pole bitwy opuszczać poczęły. Rozsypka szła od skrzydła prawego ku lewemu i nie ogarnęła nas dlatego zapewne, żeśmy, w kanale stojąc, nie widzieli, co się na polu bitwy dzieje. Aż nad kanałem pojawił się na koniu jakiś nieznany nam, słuszny, chudy jegomość, słów kilka z Horodyskim zamienił i, głos podnosząc, do nas przemówił:

— Bracia! — odezwał się. — Spodziewam się, że uratujecie honor imienia polskiego.

Jegomością owym był, jakeśmy się później dowiedzieli, Władysław Zamoyski. Zjawił się on na teatrze wojny w charakterze asystenta politycznego, reprezentującego księcia Adama Czartoryskiego. Narazie nie wiedzieliśmy, co to za jeden, ani skąd się wziął. Słowa przezeń wyrzeczone sprawiły na nas wrażenie. Dostaliśmy wiadomość o bitwie przegranej. Horodyski, wyprowadziwszy nas z kanału, uszykował frontem rozwiniętym przed mostem i, zakomenderowawszy: „Na lewo wtył, zwrot!“, uprowadzać począł bataljon polem szerokiem, na którem na prawo widniały się wzgórza, na lewo trzęsawiska, za nami zaś siniały we mgle lasy. Pole to w dali usiane było trzodą ludzką, pośpieszającą ku lasom. W kierunku tym, w szyku takim, w jakim wojska na placu parady maszerują, posuwaliśmy się i my. Wkrótce za nami przez most przeniósł się pędem, ze szczękiem i tętentem, szwadron jazdy austrjackiej zatrzymał się, uszykował i na nas ruszył.

— Bataljon stój! Na lewo wtył, zwrot! — zagrzmiał głos komendy.

Horodyski kazał następnie wziąć broń na „tuj!“. Szwadron stanął, a w ślad za nim przez most przeszło pędem dział dwa i szwadronów dwa jeszcze. Działa się naprzód wysunęły i odprzodkowały. W chwili tej Horodyski bataljonowi zwrot wtył wykonać kazał i zakomenderował:

— Krok podwójny! marsz marsz!!

Działa kartaczami raz, drugi, trzeci i czwarty plunęły, zaprzodkowały, a szwadrony tymczasem naprzód posunęły.

Bataljon uszedł kroków kilkaset. Znów stanął, do jazdy frontem się zwrócił i broń na „tuj!“ wziął. Przed szwadrony wyjechała artylerja.

Powtórzyło się to razy trzy na przestrzeni kilometrów paru. Jazda wreszcie zaniechała ochoty rozbicia nas. Rozbiliśmy się sami. W lesie, jak skorośmy weszli do onego, bataljon stopniał. Po czasie niedługim na drodze pozostali oficerowie sami. Żołnierze, co przed chwilą pod kartaczami wobec jazdy taki świetny dowód odwagi złożyli, rozbiegli się. Odwaga ich przechodziła w dniu tym smutnym — w dniu bitwy pod Temeszwarem 9 sierpnia 1849 r. — przez fazy różne. Zrazu nie zarysowała się wyraźnie, potem zeszła niżej zera, następnie zajaśniała w sposób imponujący, wkońcu rozbiła się o ponętę mchów i liści, które zwabiły do siebie ludzi znękanych fizycznie i moralnie.

Znękanie czuć się dawało wszystkim nam, mnie mianowicie, w którego organizmie nurtował jeszcze paroksyzm febry, manifestujący się pragnieniem w gardle i bolem w krzyżach, bokach, kościach wszystkich. Ledwiem się wlókł. Przysiadałem, wstawałem i znów szedłem. Przychodziło mi na myśl pozostać, na liściach się położyć i dać się Austrjakom wziąć. Wstawałem jednak i szedłem dalej, unoszony niejako w tłumie żołnierzy broni różnej, który drogą płynął. Na drodze przydałem się niesionemu na płaszczu rannenu jednemu. Dźwigali go ułani i on sam był ułanem. Po oznakach poznałem w nim oficera. Twarz miał bladą, w oczach i na ustach świecił mu uśmiech łagodny, kobiecy prawie, harmonjujący z jasnopłowemi włosami, które mu głowę okrywały. Nadszedłem na spór ostry pomiędzy tymi, co go nieśli, a żołnierzami węgierskimi o wóz. Jedni drugim wóz ów wydrzeć chcieli. Ułani, ujrzawszy mnie, do mnie się zwrócili o pomoc, tłumacząc, że na wóz ten, będący własnością legjonu, złożyć chcą rannego porucznika. Zainterwenjowałem. Powaga moja oficerska zaimponowała snadź Węgrom. Wóz się dostał ułanom i ci wnet zawinęli się około usłania na nim legowiska dla rannego. Poszedłem dalej. Bardzo mi się chciało z woza tego dla siebie skorzystać. Poszedłem jednak piechotą, oddawszy żołnierzowi, co mi posługiwał, pałasz, płaszcz i wszystko, co mi ciężyło. Wlokłem się. Dopędziło mnie huzarów kilku; jeden z nich konia osiodłanego

luzem prowadził. Zatrzymali się. Ten, co konia luzem prowadził, kiwnął na mnie i siedzenie na koniu mi ofiarował. Przyjąłem ofiarę z radością. Gdym się na siodle znalazł, doznałem sensacji takiej, jakbym się do raju dostał. Pamiętam maść konia — bułaną. Jechałem na nim dopóźna w nocy. We wsi jakiejś zsiadłem; za wsią nade drogą przespałem się i szedłem dalej, wciąż z tłumem bezładnym; żywiłem się chlebem i winem; noc drugą na drodze przespałem, a w dniu następnym dostałem się do Lugosza mimo baterji dział, ustawionej przed miastem na pozycji, i mimo warty, która mi wskazała punkt zborny legjonu.

Przegrana 9 sierpnia przez nas bitwa pod Temeszwarem należy do rodzaju bitew decydujących. Rozstrzygnęła ona losy wojny. Przegraliśmy ją z kretesem. Jest co do niej jedna do zanotowania osobliwość, ta mianowicie, że na dział dwieście armja nasza nie straciła w bitwie tej działa ani jednego.

VII

W TURCJI. NA MORZU

O bitwie pod Temeszwarem dużo było w czasie swoim sądów. To rzecz pewna i na to zgodzić się muszą wszyscy, że nie sprowadziły jej racje natury czysto militarnej. Działały tu pobudki inne. Jakież mianowicie?

W dniach pierwszych sierpnia sprawa węgierska znajdowała się w stanie krytycznym, ale nie rozpaczliwym. Akcja wojenna prowadzoną i doprowadzoną być jeszcze mogła jeżeli nie do zwycięstwa, to przynajmniej do kapitulacji honorowej. Trzęsawiska Maroszy stanowiły oś operacyj, które się same niejako narzucały. Rozdzielały one wojska nieprzyjacielskie; wojska zaś węgierskie, parte na północy i na południu, podążały do skoncentrowania się. Nic nie przeszkadzało i przeszkodzić nie mogło połączeniu się 50 do 55 tysięcy żołnierza doskonałego pod Görgeyem z 60 tysiącami pod Messarosem względnie Dembińskim. Droga do Aradu do dnia bitwy pod Temeszwarem stała dla nich otworem. Armje austrjacko-rosyjska pod Haynauem i rosyjska pod Paszkiewiczem, pierwsza na lewej, druga na prawej stronie Maroszy, nie przechodziła każda oddzielnie siły 80 tysięcy głów. Można było w sto tysięcy zwrócić się na tę lub na ową i, pobiwszy jedną z nich, albo wojnę prowadzić dalej, albo też wytworzyć szansę zakończenia takowej na drodze układów. Ale trzeba się było skoncentrować w Aradzie. Był to warunek *sine qua non* postawienia się poważnie wobec okoliczności trudnych, była to droga zbawienia jedyna.

Któż drogę tę zamknął? Kto armję z traktu bitego do Aradu zepchnął na trakt do Lugosza?

Gdyby był Bem bitwy pod Temeszwarem nie stoczył!

Nacóż ją staczał?

Odpowiedź na pytanie to dotknąć każe smutnej a tak pospolitej historji zawiści, lęgnącej się w sercach ludzi, zajmujących stanowiska wysokie.

Wojna wyprowadziła na czoło narodu dwóch wojowników, w Węgrzech Görgeya, w Siedmiogrodzie Bema. Bem, przewagą liczebną sił świeżych przygnieciony, wołał o pomoc z Węgier. Rząd mu pomocy udzielić nie mógł; zażądał pomocy od niego: pomocy imienia, otoczonego aureolą, i genjusza, znajdującego radę śród trudności największych. Dla imienia i genjusza postawiono Bema naczele młodej armji południowej. Na imieniu się nie zawiedziono. Armja przyjęła wodza tego z uniesieniem. Genjusz jednak? I genjuszby się nadał, gdyby Bem nie wiedział, że po przybyciu do Aradu zetknie się z Görgeyem w charakterze spółzawodnika o godność wodza naczelnego armij połączonych. Albo Görgey, albo Bem?... Dwoistość tę pytania usunąć mogła jeno bitwa wielka, wygrana. Bitwa się nastręczała właśnie. Bem uchwycił się sposobności tej, bez względu na nic. Czy wierzył w gwiazdę swoją?... — Zdaje się. Inaczej wytłumaczyć sobie niesposób postawienia się do boju tyłem do fortecy nieprzyjacielskiej i bez amunicji zapaśnej. Wygląda to na żakostwo militarne. Bitwa pod Temeszwarem zakończyła wojnę zamachem jednym. Armja sześćdziesięciotysięczna naraz sparaliżowaną została. Pozostał Görgey na czele 50—55 tysięcy ludzi, słabszy i od Haynaua i od Paszkiewicza. Ułatwiło mu to złożenie broni pod Vilagos; dało mu to pretekst do zakończenia wojny w sposób sromotny. Nie mógł wobec sił przeważających, idących na niego z dwóch stron, wojny prowadzić dalej — to pewne. Mógł jednak — potargować się, i jeżeli Austrja wisielców łaknęła, ofiarować jej na szubienicę siebie, zastrzegając bezpieczeństwo dla ludzi, co zaszczytnie nazwiska swoje na kartach historji węgierskiej i ogólnej zapisali.

Bez oburzenia głębokiego o czynie tym wspominać niesposób. Poniża on ludzkość i wystawia Austrji świadectwo drapieżności, piętnującej ją w historji. Dodać wszelako należy, że gdyby nie przegrana pod Temeszwarem, gdyby nie Bem, byłoby do tego nie przyszło. Zawiść wodza jednego sprzęgła się z małodusznością drugiego na uilustrowanie karty jednej

dziejów szubienicami. Na usprawiedliwienie Görgeya podają przekonania jego, przeciwne republikanizmowi Koszuta. Republikanizm nic tu do czynienia nie ma. W wypadku tym zachodzi kwestja ludzkości bez barwy politycznej.

Ściśle zresztą rzecz biorąc, Görgey do składania oręża bezwarunkowo, do oddawania się Austrji na łaskę i niełaskę, z zastrzeżeniem dla siebie życia i pensji dożywotniej, zmuszonym nie był. Armja południowa, acz dotkliwie zraniona, istniała jeszcze. Tłumy te, co przez dni dwa płynęły spod Temeszwaru do Lugosza, do Lugosza zawinęły i formowały się na wyznaczonych dla korpusu każdego punktach zbornych. Stawały bataljony, szwadrony i baterje — pierwsze przepołowione, drugie zdziesiątkowane, trzecie w całkowitości. Armja ta, osłabiona i ucieczką bezładną zdemoralizowana, nie mogła sama przez się pod sztandary węgierskie sprowadzić zwycięstwa; posłużyć atoli mogła do kombinacji układów jako militarno-polityczny argument. Dowodem tego jest to, że Austrjacy po zwycięstwie nie ścigali jej; — czemu? Czemu za biegnącymi w rozsypce rozbitkami nie wyprawili dywizji, którąby im w Lugoszu oprzeć się nie dozwoliła? Czy Austrjacy — jak utrzymują niektórzy — o rozsypce tej nie wiedzieli? Wiedzieli; nie wiedzieć nie mogli o tem, na co oczy ich patrzały. Ale się oglądali na Görgeya, któryby się na nich rzucić mógł i który posiadał przytem jeszcze jeden sposób w ręku, a sposobem tym było: połączenie armji północnej z armją w Lugoszu, to znaczy, zajęcie drogi odwrotu, na której dyktator (Görgey w chwilach ostatnich dyktaturę wziął) nie byłby zniewolonym wydawać kolegów w ręce oprawców.

Nie uczynił tego wszystkiego.

My w Lugoszu, nie niepokojeni przez nieprzyjaciela, pozostawaliśmy dni dwa. Żołnierze do szeregów ściągali się. Brakło wielu. W bataljonach naszych szeregi zeszczuplały ogromnie. W kompanji mojej, która przed bitwą znajdowała się w komplecie, stanęło pod bronią ludzi sześćdziesięciu zaledwie. To samo działo się z bataljonami honwedów. Opanowało nas zniechęcenie, ale gotowość do spełnienia rozkazów nie opuszczała. Zapytanie jednak, co dalej będzie, było przedmiotem naszej troski i rozmów, które przybrały charakter niepokoju wówczas dopiero, gdy, niby piorun z nieba pogodnego, spadła na nas wiadomość o złożeniu broni pod Vilagos.

— Koniec już, koniec!... — odezwał się głos ogólny. Koniec ów atoli wyrazić się nie mógł w ten sposób, ażebyśmy i my broń złożyli i na łaskę i niełaskę się oddali, a to dla tej prostej i naturalnej racji, że przedstawiała się nam możliwość usunięcia się spod mściwego ramienia zwycięzcy. Swoboda człowiekowi miłą jest. Droga do Turcji stała przed nami otworem. Droga ta w oczach nam stanęła. Mówić o niej poczęliśmy głośniej, coraz głośniej, aż stała się przedmiotem obrady ogólnej, w której udział wzięliśmy wszyscy w obozie obecni. Wszyscyśmy się zgadzali, że nie pozostaje nam nic innego, jak wskazać się zamiast dobrowolnej niewoli na wygnanie dobrowolne. Walkę dalszą uważaliśmy za niemożliwą i zdziwienie nasze było niemałem, gdy na podniesieniu jakiemeś — na beczce zdaje się — pojawił się sierżant kompanji mojej, ów Baczyński, o którym wspominałem w ciągu opowiadania mego, i głosem donośnym wyraził opinję przeciwną. Według niego nietylko walka dalsza, ale walka zwycięska możliwą jeszcze była. Przenieść ją należało do Siedmiogrodu.

— Upadliśmy skutkiem zdrady i niedołęstwa przewodników... — wołał. — Zdradzono nas... Zdradził Koszut, Görgey, Wysocki (do Wysockiego miał ansę, więc go nie omijał, zdrajców wyliczając)... Zdradzili wszyscy... Ale jest człowiek wielki, genjalny, który nas z upadku dźwignąć chce i dźwignie... Jemu się oddajmy i, gdzie on pójdzie, za nim idźmy... Nie upadajmy, bracia, na duchu, kiedy na duchu nie upada Bem... Precz z Koszutem, z Görgeyem, z Wysockim, niech żyje Bem!...

Wykrzyknik ostatni odgłosu nie wywołał, pomimo że mówca wezwanie swoje wypowiedział z ogniem i przekonaniem. Krępa, barczysta, krótka, dużą gęstą brodą ocieniona postać mówcy z podniesienia znikła. Wyjście do Turcji udecydowanem zostało. Co do mnie byłem za niem i jako żołnierz zniechęcony i jako człowiek przez febrę trapiony. Czułem się chory.

Do Lugosza dowlókłem się bez pałasza, płaszcza, torby i tłumoczka, w tem jeno, com miał na sobie. Żołnierz, co mi usługiwał, przyszedł i przyniósł te efekta, którem mu powierzył. Tłumoczek mój z bielizną i odzieżą, z notatkami i zapiskami rozmaitemi przepadł. Posiadałem jednak w pugilaresie paręset reńskich banknotami węgierskiemi i miałem za co kupić sobie konia z osiodłaniem do odbywania pochodu ku

granicy. Huzary sprzedawali konie. Trafił mi się tęgi, kary mierzyn siedmiogrodzki, którego za tanie nabyłem pieniądze. Do pochodu z bataljonów poformowano kompanje, pozostałem przeto za szeregiem, jako oficer nadkompletny. Oficerów nadkompletnych znalazło się dużo. Do dowodzenia kompanjami stanęli ochotnicy. Ci uszczuplony legjon poprowadzili, inni zaś pociągnęli przy kolumnie, trzymając się po kilku gromadkami, sformowanemi na podstawie tego powinowactwa moralnego, które ludzi do ludzi zbliża.

Gromadka, do której wszedłem, składała się z Zimy Franciszka, Jastrzębskiego Ludwika, Dobrzyńskiego Faustyna, Zamoyskiego Jana i mnie. Wszyscyśmy byli konno, jechaliśmy razem i stanowiliśmy towarzystwo pomocy wzajemnej w tej podróży, której powód był nam dotkliwie znany, cel zaś tonął w dali niedojrzanej, we mgle zagadkowości. Byliśmy jednak młodzi. Z wyjątkiem Zamoyskiego żaden z nas nie dźwigał na grzbiecie lat więcej jak dwadzieścia pięć. Spoglądaliśmy przeto z ufnością w przyszłość zagadkową.

Droga prowadziła nas okolicą górzystą na Karansebes, mimo Mehadji do Orsowy. Orsowa leży nad Dunajem. Przeprawa jednak w miejscu tem nie zależała od władz tureckich ze względu na to, że na prawym brzegu Dunaj aż do ujścia Timoka podmywa posiadłości serbskie. Zachodziła więc tu trudność, któraby nam niemało kłopotu sprawiła, gdyby nie usunął jej Władysław Zamoyski. Dzięki staraniom jego rząd serbski udzielił nam pozwolenia przeprawy i przejścia przez terytorjum serbskie pod warunkiem złożenia Serbom broni. Warunek ten nie obejmował oficerów. Układ dokonanym został tak szybko, że, jak skorośmy do Orsowy przyszli, natychmiast rozpoczęło się przeprawianie najprzód piechoty, następnie jazdy. Żeśmy konie posiadali, czekać przeto musieliśmy na kolej naszą do późnej nocy. Brak statków przewozowych nie pozwalał przeprawy uskutecznić szybko. Jeden barkas wielki i para łodzi służyły do przewożenia nas partjami. Przewoźnicy Serbowie odbierali żołnierzom broń.

Spędziłem w Orsowie dzień cały, to po ulicach, to nad brzegiem się włócząc. Na ulicy zdarzył mi się wypadek oryginalny, świadczący o pospolitości fizjognomji mojej. Idę i widzę zdaleka nieznajomego mi, typem ukraińskim nacechowa-

nego ułana, który w miarę zbliżania się do mnie uśmiecha się corazto uprzejmiej, wreszcie przemawia:

— Skądżeś się tu wziął?... Jak się masz?...

W objęcia swoje mnie bierze, całuje, do piersi przyciska i nagle odpycha ze słowami:

— Tfu!... A przecie on na rękach moich umarł!...

— Kto? pytam.

— Postępski — odpowiada. Taki był do ciebie, kolego, podobny! Gdyby nie umarł... Ale umarł... na rękach moich.

— Skąd-że on był?

— Z Podola, skąd i ja...

— I ja z Podola...

— No proszę... — ułan na to. — Jakże się nazywasz?

Powiedziałem imię i nazwisko moje.

— A ja, Józef Czajkowski.

W sposób ten z Czajkowskim, z którym się później zbliżyłem, zabrałem znajomość. Był on emigrantem z r. 1831; z Francji przybywał.

Nad brzegiem, śród oczekujących na przeprawę wozów i wózków, wpadł mi w oczy Rulikowski. Podszedłem do niego. Otaczali go żołnierze z pułku wozneseńskiego. Rozmawiał z nimi, a treść rozmowy stanowiło zapytanie: czy się za Dunaj przeprawiać, czyli też do pułku wracać? Żołnierze za powrotem byli i nalegali; nalegał szczególnie służący Rulikowskiego, chłopak ze wsi, z której on sam pochodził. Ten z płaczem pana swego po rękach i nogach całując, zaklinał:

— Nie idźmy na czużynę...

Rulikowski, zoczywszy mnie, kazał żołnierzom i służącemu odejść i, usiadłszy ze mną pod wózkiem, który był wózkiem jego, o radę zapytał:

Odradzałem mu stanowczo. On mi ze szczegółami opowiedział sposób, w jaki przejścia dokonał.

— Czyż — zapytałem — żołnierzom wydaje się, że napadnięci zostali niespodzianie?

— Przekonani są o tem i nieinaczej świadczyć będą przed sądem wojennym.

— Jakże się wytłumaczysz z tego, żeś się do legjonu zaciągnął?

— Przymusem... Tem, że mi do wyboru dano: legjon

albo niewolę. Nie byłem zresztą na linji bojowej,... nie biłem się...

Tłumaczenie to wydało mi się rzeczą śliską. Rulikowski myślał inaczej.

— Chociażby... — mówił. — W takim nawet razie karą najsurowszą, jaka mnie spotkać może, będzie degradacja. Zdegradują mnie: cóż? Posłużę lat kilka jako prosty żołnierz, dosłużę się, odstawkę wezmę i do swoich powrócę. Emigracja przeraża mnie...

Usiłowałem przerażenie wyperswadować mu, przedstawiając, że gorszego spotkać go nie może innego nic, jak to co nas.

— Wszakże się my na emigrację nie wybieramy na wieki...

— Ale kto wie, na jak długo...

Widząc, że wymowa moja nie przekonuje go, radziłem mu, ażeby się do Wysockiego udał i u niego rady zasięgnął. Posłuchał mnie — poszedł. W godzinę później do wózka jego powróciłem. Żołnierze konie zaprzęgali.

— Cóż — zapytałem — u Wysockiego byłeś?...

— Byłem.

— No?

— Mówił to samo, co ty.

— Wybierasz się więc za Dunaj?

— Nie... Jadę spowrotem. Zdecydowałem się. Żołnierze zdradzić mnie nie mogą, a ja się będę na sądzie trzymał. Dowodów przeciwko mnie niema.

Wydania kartki przez sztab Görgeya nie przewidywał. Wracał z ufnością. Ufnością tą i mnie natchnął. Przy pożegnaniu serdecznem poleciłem mu, ażeby rodzicom moim o mnie znać dał, ażeby im opowiedział, gdzie i jak mnie widział.

Kartka go zgubiła. Opowiadano mi, że gdy mu na sądzie kartkę pokazano, zbladł, zmieszał się i przyznał. Prezydujący sądu insynuował mu zaparcie się pisania tego. W zmieszaniu nie zrozumiał i przy przyznawaniu obstawał. Rozstrzelano biedaka.

Kolej przeprawiania się na mnie nadeszła w nocy. Wszedłem na barkas, prowadząc konia za sobą, i, jak skorom się ulokował, wnet zbliżył się do mnie Serb, żądając, ażebym mu pałasz oddał.

— Jam oficer — rzekłem.

— Gdybyś był sam Bóg, to mi szablę oddać musisz — odrzekł.

Rady nie było. Noc nie pozwalała na składanie dowodów. Pałasz odpiąłem i Serbowi wręczyłem. Ten sam los spotkał Zimę i wszystkich oficerów od piechoty, którzy spowodu koni, za dnia się przeprawić nie mogli i przeprawiali się po wszystkich, na ostatku samym. Upewniono nas, że pałasze reklamować będziem mogli. Na brzegu przeciwnym wskazano nam obóz. Ulokowaliśmy się w takowym na chybił trafił i nazajutrz dopiero rozpatrzyliśmy się w położeniu.

Przeprawiono nas pod miasteczko Tekieh, położone nad Dunajem u stóp gór, towarzyszących biegowi rzeki. Obóz nasz rozciągał się na błoniu, przylegającem do ogrodów, śród których pomiędzy rowami prowadziła do miasteczka ścieżka. Rano rozdano nam żywność. Po przyjęciu posiłku wybraliśmy się po szable nasze. W miasteczku Wysocki nam poświadczenie udzielił i na mocy poświadczenia tego gruby, w stroju narodowym major, wyznaczony przez rząd do czuwania nad nami, odesłał nas do szopy, pod którą, na kupie, zrzuconych było szabel seciny.

— Poznawajcie i weźcie sobie wasze... — rzekł do nas urzędnik przez majora nam dodany.

Odszukać swoje trudno było, Szukaliśmy więc nie swoich, ale najlepszych. Wybraliśmy, poprzypasywali się i do obozu wrócili. Zima nam nie towarzyszył. Dla sprawunku jakiegoś przyzostał w miasteczku i o mało tego życiem nie przypłacił, kiedy bowiem sam wracał, pomiędzy ogrodami, spoza rowu wyskoczył Serb jakiś i, przykładając mu pistolet do piersi, przemówił tonem rozkazu:

— Oddaj szablę...

Zima w chwili napaści uśpiał szablę obnażyć. Zapewne rzecz byłaby się tragicznie skończyła, gdyby słyszeć się nie dało silne gwizdnięcie, na które napastnik odskoczył i w ogrodach znikł. Na ścieżce ukazał się major na koniu.

Wogóle Serbowie nie okazywali nam życzliwości szczególnej. Ludność miejscowa krzywem na nas patrzała okiem i okradała nas niemiłosiernie. Przedmiot, na który przedewszystkiem łakomstwo się jej zwracało, stanowiły rzemyki

ze sprzączkami. Jak tylko Serb rzemyk zwędzić mógł, nie omieszkał tego uczynić. Rząd wydawał nam żywność regularnie i w ilości dostatecznej. Czuwał nad nami oddział zbrojny milicji krajowej, który posłużył nam za konwój w przechodzie przez Serbję do granicy tureckiej.

Oddział ten nie miał łatwego do rozwiązania zadania. Wsie, przez któreśmy przechodzili, nie wszystkie odrazu przepuścić nas chciały. W miejscu jednem mieszkańce wystąpili ze strzelbami i powitali nas ogniem, od którego koń jeden zranionym został. Ledwie nieledwie dowódcy oddziału udało się mieszkańców ułagodzić. Biada była maroderom. Jeden na gruszkę czy śliwę w polu wlazł i z drzewa trupem spadł. Trzymaliśmy się też kupy.

Z Tekieh wyszedłszy, przeciągaliśmy przez Nową-Orsowę, fortyfikację nadbrzeżną, która w czasach owych, równie jak naprzeciwko leżąca ufortyfikowana wysepka na Dunaju, obsadzoną była przez garnizon turecki. Po raz pierwszy zdarzyło mi się widzieć Turczynki i wojsko padyszacha. Turczynki ukazały się zdaleka, na wysepce; w płaszczach różnobarwnych i zasłonach białych siedziały w kuczki rzędem długim — wyraźnie nam się przypatrywały. Żołnierzy widziałem zbliska. Uderzyło mnie i zadziwiło obuwie oficerów: pantofle na nogach. Nie przypuszczałem żołnierzy w pantoflach.

Przed Kladową przebywaliśmy las, i w lesie na polanie ukazała się nam studnia, tryskająca wodą przeczystą. Zatrzymaliśmy się przy niej gromadką naszą. Jam z wody skorzystał, celem popicia chiny, której Szpaczek dał mi proszków kilka. Zażyłem, popiłem. W chwili tej podszedł do nas wieśniak Serb, niosąc czapkę pełną śliwek nawpół dojrzałych. Do śliwek tych poczułem pociąg nieprzeparty. Kupiłem. Zima mi uwagę zrobił, że, zajadłszy chinę śliwkami, mogę się na świat tamten wyprawić, i okazał intencję przemocą mnie kupna pozbawić. Alem ja okazał gotowość bronienia nabytku mego ręką orężną. Zima mi ustąpił; jam śliwki co do jednej zjadł; zrazu nie czułem nic; wjeżdżając jednak do Kladowy, poczęło mi się robić słabo, coraz słabiej, tak żem się ledwie na siodle trzymał. Dojechaliśmy do kawiarni. Przed kawiarnią chciałem z konia zsiąść; lecz jak tylkom do zsiadania strzemię wypuścił i nogę podniósł, wnet mi się w oczach zaćmiło, przytomność straciłem i na ziemię runąłem.

Przytomność odzyskałem na sofie, na ganku kawiarni, w otoczeniu kolegów, pomiędzy którymi znajdował się dr Szpaczek. Ten ostatni zapytał mnie o powód zemdlenia.

— Zażyłem chinę, napiłem się wody i zjadłem czapkę pełną śliwek — odrzekłem.

— Kiedy tak... — zawołał doktór gniewnie, ręką machnąwszy, — giń̇że, durniu!...

Obelgę tę przyjąłem i — nie zginąłem. Zadeklarowało się mi rozwolnienie silne — febra mnie na lat kilka opuściła. Opuściłaby mnie może była bez śliwek. Nie wiem. Podaję fakt, jak się stał, nie wyciągając z niego wniosków lekarskich żadnych. Wątpię nawet, ażeby china w połączeniu ze śliwkami nawpół zielonemi skutecznem na febrę lekarstwem być miała.

W Kladowej postawiono nas na kwaterach. Mieszkańce okazywali nam życzliwość, wynagradzającą sowicie tę nieżyczliwość, jaka nas w Tekieh i w górach spotkała. Stamtąd konwój doprowadził nas do granicy i puścił. Na gruncie tureckim zostaliśmy sami sobie zostawieni. Nikt na nas nie czekał, nikt nie spotkał i nikt nam nie przewodniczył. O drogę nawet do Widynia dopytać się nam trudno było, spowodu że we wsiach, do których zachodziliśmy, nie znajdowaliśmy mieszkańców, rozumiejących przemówienia nasze. Okolica ta zaludnioną była przez Rumunów. Do Widynia jednak doszliśmy i znaleźliśmy wszystko na przyjęcie nasze przygotowane. Ulokowano nas pod namiotami, nad Dunajem. Na pięciu dostaliśmy namiot jeden.

Pamiętnem pozostanie mi uczucie bezpieczeństwa osobistego, jakiego doznałem, gdym się pierwszej nocy pod namiotem do snu układał. Na widnokręgu łyskało, jak to się zdarza wieczorami w dniach gorących. Pierwsze łyśnięcie wydało mi się błyskiem wystrzału działowego; oczekiwałem huku i gwizdu kuli. Przeświadczenie, żem się omylił, sprawiło mi zadowolenie wielkie. „Mogę noc tę przespać spokojnie“ — pomyślałem sobie i dziwiłem się temu, że tak w rzeczy samej jest, że z połysku tego kula nie wyjdzie i na łeb mi nie spadnie. Od dziewięciu miesięcy noc pierwsza spokojna. Zasnąłem smacznie, o! jak smacznie.

W obozie pod Widyniem obstawieni wartą wojskową przestaliśmy tygodni nie pomnę ile. Turcy dawali nam żywność w naturze: mięso, ryż, jarzyny, sól, chleb. Z ryżem nie wiedzieliśmy, co robić: zsypywaliśmy go do worka i wkońcu czyniliśmy

zeń domieszkę koniom do obroku. Wiktuały inne kupowaliśmy za gotówkę, której u jednego było więcej, u drugiego mniej. Mienialiśmy banknoty węgierskie. Wprędce jednak nadszedł moment, w których papiery te spadły do zera. Brać ich nie chciano. Znaleźliśmy się bez grosza. Przydały się nam wówczas konie. Posprzedawaliśmy je korzystnie i mieliśmy znów pieniądze na drobne wydatki, na które wyciągali nas przekupnie Bułgarowie, napełniający co rano obóz wołaniem: „mliako“ „raki“, „wino“. Przy pokupkach tych obznajomiliśmy się z „pariczkami“ monetą turecką wartości pół centima, reprezentowaną przez blaszki, które z dłoni otwartej wiatr zdmuchiwał.

Widyń napełniał się wychodźcami, przybywającymi codziennie. W obozie obok nas stanął legjon włoski; w mieście zaś, na kwaterach lokowali się mężowie stanu i generałowie węgierscy, których nie ogarnęła kapitulacja wilagoska. Pojawił się Koszut; przybyli Dembiński, Messaros, Perczel, Kmety i inni, i inni, wreszcie Bem, który z Lugoszu udał się do Siedmiogrodu i z Siedmiogrodu przez Małą Wołoszczyznę dostał się do Widynia.

Do miasta — fortecy chodzić nam wolno było. Warty, co obóz otaczały, stały dla formy tylko i nie sprzeciwiały się zgoła przekraczaniu przez nas łańcucha tam i napowrót. W mieście jednak, zaspokoiwszy ciekawość pierwszą oglądania grodu tureckiego, nie znajdowaliśmy nic, coby wzbudzało interes jaki. Ulice wąskie i puste, mury wysokie, osłaniające mieszkania o progach dla nas zakazanych, rynki i bazary oryginalne, lecz pozbawione wystawności, nęcącej oko, meczety, których architektura uwagi do siebie nie przykuwa, kawiarnie, w których rozmowa się nie klei, dla umysłu strawy żadnej, książki ani jednej, gazety ani na lekarstwo: oto, cośmy w Widyniu znaleźli. Domyślaliśmy się wprawdzie tajemnic ciekawych, odkrywanie których zająćby mogło czas i wyobraźnię, ale nikt z nas do eksploracji tego rodzaju ochoty nie czuł. Owoc zakazany, jakim jest życie wewnętrzne tureckie, przyjmowaliśmy w znaczeniu owocu zakazanego przez sam szacunek dla zwyczajów i obyczajów narodu, który nas gościnnie przyjmował i przed mściwością zwycięzcy osłonił. W tajemnicach tych rolę intrygującą odgrywała płeć niewieścia. Patrzyliśmy na kobiety zdaleka, jak się przesuwały w całunach niby: w niezgrabnych feredżijach, w osła-

niających im oblicza jaszmakach, w klapiących na nogach pantoflach. Dlatego też do miasta zaglądaliśmy jeno, czas cały spędzając w obozie na — niczem. Pod namiotami niektóremi grano w karty. Do namiotu naszego karty nie weszły. Wysypialiśmy się przeto i wylegiwali za wszystkie czasy; część dnia upływała na przyrządzaniu jadła, część na rozmowach o tem, co było, i o tem, co być może. Zima i Jastrzębski Galicjanie, Dobrzyński Wołyniak, Zamoyski Krakowiak, ja Podolak mieliśmy do udzielania jedni drugim wiadomości o stronach naszych rodzinnych. Nastręczały się przytem przedmioty zajęcia zzewnątrz, spowodu że pobyt nasz na gruncie tureckim wywołał kwestję dyplomatyczną. Gabinety wiedeński i petersburski domagały się wydania nas.

Sprawa ta, która żywo zajęła była opinję publiczną w Europie, a publicystyce dostarczała przez ciąg kilku miesięcy obfitego nader materjału, o nas słabem odbijała się echem. Do Widynia przybył generał austrjacki (Hauslap, jeśli się nie mylę, na imię mu było): przybył z wezwaniem do powrotu poddanych austrjackich. Rozeszła się przez niego zapewne puszczona pogłoska, że ci, co dobrowolnie nie powrócą, wydani zostaną i losy ich smutne będą. Pogłoska ta rozeszła się i przebrzmiała. Hauslap do powrotu zwerbował ilość pewną, ale ze znajomych moich, a jak się zdaje i z legjonu polskiego nikogo. O wydaniu, jako o żądaniu gabinetów, krążyła pomiędzy nami mowa. Żądanie wydawało się nam rzeczą naturalną. Byliśmy jednak o losy nasze spokojni, — spokojni tak dalece, że na propozycję przyjęcia islamizmu odpowiedzieliśmy milczeniem.

O propozycji tej w czasie swoim rozpisywano się szeroko. Pozostały po niej ślady na kartach dziejowych, na których figuruje ona w przystrojeniu heroicznem. Czytałem o tem dużo później. Wówczas atoli, kiedy nas propozycja przechodzenia na wiarę proroka spotkała, anim się domyślał, że nieprzyjęcie jej jest ze strony naszej czynem na szczególne w dziejach zasługującym zanotowanie. Stało się to bowiem niezupełnie tak, jak historja wedle aktów dyplomatycznych zapisała. Wedle aktów owych Turcja, naciskana przez gabinety wiedeński i petersburski o wydanie niedobitków z wojny węgierskiej, niepopierana przez gabinety zachodnie, w Koranie

szukała sposobu osłonięcia gości swoich. Przyjęcie islamizmu odradza i przeistacza człowieka. Zostawszy mahometanami, przestawaliśmy być powstańcami węgierskimi. Wybieg ten prawny obalał żądanie wydania nas. Wysoka Porta postawiła nam jakoby alternatywę następującą: „Albo zostaniecie wydanymi, albo przyjmiecie zbiorowo islamizm“. Owóż myśmy o tem nic nie wiedzieli. Historja notuje modły, odbywane wcelu uproszenia u Najwyższego odwrócenia od nas plagi i wzmocnienia w nas wytrwałości w wierze przodków. Nie wiem, czy się modły podobne odbywały. Ksiądz Niewiadomski, kapelan pierwszego pułku ułanów, który w r. 1831 sam ułanem był, odprawiał msze, ale odprawiał je zwyczajnie, bez akcentu szczególnego; chodzili na nie ci, co się do nabożeństwa poczuwali, inni nie chodzili; jam wiedział o nich ze słyszenia. Nie słyszałem jednak o modłach, tyczących się specjalnie sprawy zmiany wiary. Propozycja ta przyszła do nas pod postacią wezwania do służby w wojsku tureckiem. Obiecywano nam podwyższenie stopni o jeden wyżej. Podporucznik przyjmowanym miał być w stopniu porucznika, porucznik — kapitana i t. d. Braliśmy to w znaczeniu przynęty, na którą złakomiło się kilku, słabszych sercem i umysłem. Ogół w większości ogromnej nie złakomił się, nie spowodu przywiązania do wiary przodków, ale dla tej racji, że szeregi wojska tureckiego nie odpowiadały tym przekonaniom, za które walczył. Turcji byliśmy za użyczony nam przytułek wdzięczni głęboko; aleśmy ją z historji znali i wiedzieli o identyczności sprawy naszej ze sprawą podległych jej ludów. Ten był powód istotny, dla którego przynęta nie działała na nas. Co do mnie, ani mi w myśli postało podobieństwo awansowania na kapitana w razie nawet takim, gdybym awansować miał jako chrześcijanin i katolik. Chodziło nie o to, ale o to, że były to szeregi tureckie, ciążące zmorą niewoli na Serbach, Bośniakach, Czarnogórcach, Bułgarach, Grekach. Odepchnęliśmy przeto w sposób milczący zmianę wiary, raz dlatego, że w zmianie tej nie tkwił żaden motyw zasadniczy we względzie samej wiary, powtóre dlatego, że przedstawioną ona była jako warunek awansu w szeregach, służba w których nie miała dla nas uroku najmniejszego. Woleliśmy ryzyko niepewnej, zagadkowej przyszłości. Zdaje się, sądząc wedle nastroju, jaki śród nas panował, iżbyśmy pro-

pozycję odepchnęli byli w takim nawet razie, gdyby przedstawioną nam była pod postacią alternatywy, którą historja na rachunek heroizmu naszego zapisała. Ale — powtarzam — pod postacią tą propozycja przedstawioną nam nie była. Sprawa inaczej wygląda w aktach dyplomatycznych, inaczej w rzeczywistości. O negocjacjach, jakie się spowodu tego pomiędzy gabinetami toczyły, wiedzieli zapewne Koszut, polscy i węgierscy generałowie; najlepiej poinformowanym być o nich musiał Wład. Zamoyski, który sam jeden śród nas na wolnej pozostawał stopie i znosił się bezpośrednio z agencją polską ks. Czartoryskiego (M. Czajkowski) w Konstantynopolu; ale my nie wiedzieliśmy o tem nic zgoła. Propozycję odepchnęliśmy tak prosto i naturalnie, jakby np. kowal nie przyjął wezwania do sporządzenia kamizelki. Z rzemiosłem naszem żołnierzy wolności nie zgadzały się islamizm i szeregi tureckie. W szeregach tych przeczylibyśmy sami sobie.

Z punktu tego zapatrywaliśmy się na renegacje, jakie się śród nas zdarzały, nawet i na renegację Bema. Przy okazji tej doszła nas wiadomość o możliwości wojny pomiędzy Turcją a Rosją, klującej się spowodu naszego. W sposób ten usprawiedliwiano przejście Bema na łono kościoła mahometańskiego. Inaczej — powiadano — nie mógłby dowództwa w armji tureckiej dostać. Nie usprawiedliwiało go to jednak w mniemaniu naszem. Przykład Bema nie pociągnął nikogo, pomimo że możliwość wojny nie była dla nas obojętną, — przeciwnie. Podobała się nam ona i od momentu owego gotowiśmy byli udział w niej wziąć, ale — nie w szeregach tureckich, nie pod sztandarem księżyca, nie w charakterze żołnierzy sułtańskich. Charakter ów wstrętem nas przejmował i dlatego nie oddziałał na nas ani rzucający się nam w oczy przykład bohatera spod Ostrołęki i z Siedmiogrodu, ani doszły do nas na skrzydłach wieści przykład autora powieści kozaczych [1]. Staliśmy twardo w charakterze naszym, bez szczególnego ze strony naszej wysiłku. Przykłady dwóch osobistości wydatnych osunęły się po nas bez śladu i bez innej śród nas propagandy, jak ta, która od nasze samych pochodziła. Zmiana religji nie z przekonania, lecz dla interesu jakiegokolwiek, wydawała się nam rzeczą ohydną.

---

[1] Przykład Michała Czajkowskiego, Sadyk-paszy.

Przez czas cały pobytu naszego w Widyniu z generałów naszych nie widziałem nikogo. Mówiono o nich. Każdego z nich otaczało grono znających się z nimi bliżej. Każdy z nich miał sztab. Że zaś żaden z nas pięciu do sztabu nie należał, trzymaliśmy się przeto zdala, bez styczności z Bemem i Dembińskim, i w styczności z Wysockim o tyle, że wobec władz tureckich pełnił funkcję naczelnika Polaków. Przez ręce jego przechodziły rachunki, tyczące się utrzymania naszego. Od niego dostaliśmy stany służby. Za jego wreszcie pośrednictwem Koszut ofiarował legjonowi dwanaście dekoracyj, postanowionych przez sejm węgierski. Z rozdawnictwem dekoracyj tych zaszła historja zabawna. Chodziło nie o to tylko, ażeby dać, ale i o to jeszcze, ażeby ochotników do przyjęcia znaleźć. Nie było to rzeczą łatwą, spowodu że legjonistów przejmował surowy duch republikański, wedle którego dekoracje są to bawidełka dziecinne, a oraz znaki serwilistyczne. Ci przeto, którym je proponowano, odmawiali. Odmówiłem i ja. Byłem, jak się pokazało, ostatnim, którego propozycja spotkała, jakoteż ostatnią była dekoracja, która do dania była. Ten, co mi ją zaproponował, wyszedł z trudności w sposób następujący:

— Kiedy ty przyjąć nie chcesz, to wezmę ją chyba ja — rzekł.

I pierś swoją krzyżem węgierskim przyozdobił.

W miesiącu październiku przeniesiono nas z obozu do miasta na kwatery.

Nam pięciu dostała się kwatera na przedmieściu u Bułgara, trudniącego się garncarstwem. Rozdawnictwo żywności zamieniono na tak zwane „relutum“, to znaczy, wypłacano nam wartość porcyj i racyj w gotówce. Wypłaty otrzymywaliśmy z rąk Idzikowskiego regularnie i rzetelnie, i musieliśmy sobie sami kupować wiktuały. Było to dla nas wygodniejszem z tego względu, że, zakładając menaże składkowe, czyniliśmy oszczędności, dzięki którym każdy mógł mieć po piastrów parę gotówki w kieszeni, ten na zaspokajanie potrzeb drobnych, ów na karty. Gra w karty rozwielmożniała się w życiu próżniaczem, jakieśmy pędzili.

Życie to możeby mnie jeżeli nie do rozpaczy, to do kart doprowadziło, gdyby nie nastręczyło mi się zajęcie, które umysł mój zaprzątnęło.

Zamieszkanie u Bułgara podniosło dla mnie koniuszek zasłony, okrywającej narodowość tę. Zaciekawiłem się do niej. Gospodarz nasz, człek prosty, posłużył mi do porównywania sfery, do której należał, ze sferą odpowiednią narodu naszego. W sposób ten wyraził się początek studjów moich nad Słowiańszczyzną południową. Zawiązały się one bezwiednie, bez powziętego zgóry zamiaru i bez materjału przygotowawczego innego, jak ten, który w Aradzie u Sawy Simicza zdobyłem, a z którego notatki wraz z tłumokiem pod Temeszwarem zaginęły. I tamto przypadek i to przypadek. Ten ostatni nie rokował plonu bogatego, od garncarza bowiem nauczyć się i dowiedzieć mogłem bardzo niewiele. Z rozmów z nim jednak uczyłem się potrosze języka, oswajałem ucho z akcentem mowy bułgarskiej, poczynałem ją rozumieć. Przytem porównywałem a porównywałem szczegół każdy życia Bułgara ze szczegółem odnośnym życia mieszkańca ziemi mojej rodzinnej. Znajdowałem podobieństwa i różnice, i notowałem je w umyśle. Na drodze tej w umyśle moim gromadził się nieznacznie materjał, z którego użytek przedstawiał się mi pod postacią nie inną, jak tą, że kiedyś, gdy do domu powrócę, będę miał o czem swoim opowiadać. W celu tym czyniłem spostrzeżenia i spostrzeżeniami objąć się starałem horyzont corazto obszerniejszy. Z punktu kwatery mojej obserwowałem przedmieście całe i z ciekawością szczególną włóczyłem się po targowicy, gdy w dnie targowe zapełniała się przekupniami i przekupkami. Nic nie kupowałem, kupować bowiem nie miałem za co. Przypatrywałem się i przysłuchiwałem; łowiłem uchem dźwięki, okiem wyrazy oblicza, szczegóły odzieży, ruchy, gesty. Odkrywałem niejako świat nieznany, pociągający mnie ku sobie tem zwłaszcza, że znajdowałem w nim powinowactwo ze światem, ku któremu zwracałem się myślą i sercem.

W czasie jednej po targowicy przechadzki spotkałem ułana na kulach, tego samego, dla którego pod Temeszwarem wóz zabezpieczyłem. Spotykałem go i przedtem, nie znałem się z nim, ale wiedziałem, jak się zowie. Nazywał się Włodzimierz Kozłowski. Chodził o kulach spowodu ran, niepozwalających mu jeszcze o sile własnej chodzić. Jak skoro mnie na targowicy zoczył, wnet się do mnie z prośbą zwrócił:

— Kolego, ratuj!

— Cóż to? — zapytałem...

— Obroń mnie od przekupek, które mi spokojnie przejść nie dają...

Chodziło o to, że przekupki przemocą prawie wtykały mu w ręce ta owoce, inna jarzyny, owa jaja i inne artykuły handlu drobnego. Pochodziło to stąd, że wedle zwyczaju miejscowego kaleka każdy ma prawo do pobierania daniny. Jałmużna uważa się jako obowiązek. Cnoty ewangeliczne biorą (brali w czasie owym) Bułgarowie w znaczeniu literalnem i pełnią je względem tych, co na chleb sami zapracować nie mogą. Kozłowski wszedł na targowicę o kulach, przedstawił się przekupkom jako kaleka, a więc przekupki dawały mu, co która miała; że się zaś od brania bronił, więc go do brania zmuszały, przemawiały do niego i krzyczały. Ramię mu podałem, spośrodka bab litościwych wyprowadziłem i o rany go zaczepiłem.

— Ano... — odrzekł — goją się. Niebawem będę mógł znów do bitwy stanąć i znów oberwać.

— Czy koniecznie? — zapytałem.

— A, bo ja mam taki pech. Stanąłem do bitwy raz, oberwałem; wylizałem się, stanąłem po raz drugi i znów oberwałem. Taki pech...

— A jam — odrzekłem — stawał razy piętnaście i nie oberwałem ani razu.

— Twój pech inny, mój inny...

Rozstaliśmy się. Widywałem go następnie zdaleka, często w towarzystwie młodego Fredry (Jana Aleksandra), który sztabów się trzymał i którego z widzenia zdaleka znałem. Anim przeczuwał, że Kozłowski pchnie mnie na drogę karjery literackiej, niezaznaczającej się wówczas zgoła.

Pobyt nasz w Widyniu zakończył się z końcem pory pięknej jesiennej. Jesień była przecudna. Taką ona zazwyczaj na porzeczu Dunaju dolnego bywa.

Nie przypominam sobie daty, w której opuściliśmy Widyń. Nastąpiło to po dniach zadusznych, w Widyniu bowiem jeszcze słyszałem jaukanie i kukanie kobiet na cmentarzu i oglądałem zwyczaj stawiania w miseczkach nieboszczykom jadła na grobach. Jadło to znika — psy je sprzątają; w przekonaniu jednak ludu dusze zmarłych przychodzą i spożywają takowe. Ha!... — wiara... Po dniach przeto zadusznych rozdzielono nas. Wło-

chów wyprawiono do Gallipoli: rząd piemoncki reklamował ich i zabrał; nas, to jest Węgrów i Polaków, poprowadzono do Szumli.

Dzień wymarszu zapowiedział się dobrze. Poranek jesienny złociło słońce. Zebraliśmy się pod miastem, na błoniu, na którem miałem widowisko rzewne dzięki obrazowi, jaki w wyobraźni mojej wywołało. Stanął mi w oczach dawny, jakby wskrzeszony hetman polski. Na dzielnym koniu w suto szamerowanej czamarze, w aksamitnej, kipiącej, na prawe ucho przesuniętej, rogatej czapie wyjechał Dembiński. Nos jego czerwony, nasępiczony, brwi nachmurzone i broda siwa przypadały, jak raz, do odzieży i konia. Nie mogłem się dosyć napatrzyć szlachcicowi temu, odważnemu jak Zawisza Czarny, a kłótliwemu jak procesowicz zaściankowy. Przypatrywałem się mu, aż odjechał; a odjechał, kiedyśmy i my ruszyli. Pochodowi naszemu przewodniczył pasza, mający pod rozkazami swojemi dwa szwadrony jazdy, która nas konwojowała. Ruszyliśmy z miejsca bardzo porządnie, pomiędzy dwoma łańcuchami flankierów; oddział jazdy nas poprzedzał, oddział jazdy szedł za nami. Prowadzono nas, jak się prowadzą zazwyczaj jeńce wojenni, faktycznie bowiem i prawnie, w sensie dyplomatycznym, pozostawaliśmy w niewoli tureckiej. Turcja nas pod wartą trzymała w oczekiwaniu na rozstrzygnięcie kwestji losu naszego, która, wywoławszy wmieszanie się gabinetów paryskiego i londyńskiego, stanęła na gruncie sprawy europejskiej. Zapewne przeto wymarszowi naszemu przypatrywać się musieli agenci dworów i zawiadomili władze swoje o porządku, w jakim nas Turcy poprowadzili.

Niechby jednak przypatrzyli się byli wieczorem dnia tegoż samego. Z porządku śladu nie pozostało. Prawda, że trapił nas deszcz, który padać począł z południa, zasunął niebo chmurami i sprawił ciemność taką, żeśmy się porozrywali i pogubili.

Puściliśmy się w pochód ugrupowani w towarzystwa, które się przedtem dobrały. Oficerom sztabowym dawano podwody; oficerowie subalterni garnęli się do nich, na wozy ich składali zawiniątka swoje i przysiadali się niekiedy. Nas pięciu przygarnął do siebie płk. Czernik. Obok woza jego szliśmy i z nim na kwaterach stawali. W dniu pierwszym, w czasie słoty od towarzystwa mego oderwałem się i zgubił. Starałem się odszukać je, ale nadaremnie. Grzęznąc w błocie wyżej ko-

stek, szedłem naoślep. Dobiłem się do wsi jakiejś, w której mi ciemność absolutna rozpoznać się nie dawała. Takich jak ja zbłąkanych było więcej. Kręciliśmy się tam i sam, szukając każdy swoich. Szukanie nadaremne doprowadziło mnie do tego, żem znużony i zmokły pragnął dachu bodaj jakiego. Poomacku niemal natrafić mi się udało na coś, do wrót czy drzwi podobieństwo mającego. Wszedłem i spadłem. Wyleźć chciałem; lecz wpadnięcie nie wyżej jak po kolana i daszek jakiś nad głową zachęciły mnie do pozostania i zapomocą stąpania ostrożnego rozpoznawania miejscowości. Po woni miarkując, wydawało mi się, że się znajduję w chlewie. Macając i posuwając się dostałem się do drewnianej w zamieć ściany, pod którą uczułem pod nogami grunt suchy i słomę. Usiadłem pod nią w zamiarze spędzenia tam nocy. Po niejakimeś czasie o uszy moje obiły się głosy za ścianą prowadzonej rozmowy i kiedym ku stronie tej oczy zwrócił, ujrzałem wydobywający się przez szczelinę smużek świetlany. Przyłożyłem do szczeliny oko. Za ścianą znajdowała się izba chłopska podziemna, służąca Bułgarom do ukrywania się w czasie przeciągu wojsk. Gdy wojsko nadciąga, wieś ludna pustoszeje nagle; mieszkańce, w połowie zwłaszcza niewieściej, kryją się po katakumbach maskowanych chlewami, oborami, zagrodami. Chałupa każda niemal za czasów panowania tureckiego posiadała taki niewtajemniczonym nieznany schron. Katkow [1] turecki nazwałby to intrygą bułgarską. Niewola uczy intrygowania w sposób podobny. W izbie tej dostrzegłem rodzinę całą, złożoną z kobiet, dzieci i mężczyzn. Nie zdradzałem obecności mojej. Przespałem się w chlewie i nazajutrz, odszukawszy Czernika, jużem się więcej w podróży nie gubił.

W podróży dalszej pogoda nam sprzyjała. Ciągnęliśmy na Plewnę, Łowczę [2], Tyrnowę [3] i Dżumę. Mieszkańce obowiązani byli żywić nas i żywili bardzo dobrze. W domach wieśniaczych przyrządzano dla nas potrawy, o których chłop nasz pojęcia nie ma: potrawki z drobiu lub jagnięciny, pilafy, ciasta na-

---

[1] Michał Katkow, literat i dziennikarz rosyjski, popularyzujący po r. 1864 rządową politykę antypolską.

[2] Łowczą nazywa T. T. Jeż miasto okręgowe w Bułgarji Lowecz (Loveč).

[3] Tyrnowa, bułg. Trnova.

kształt strudlów, zupy różne. Po miastach podawano chleb świeży; po wsiach do jedzenia każdego pieczono placki w popiele. Przyjęcie najwspanialsze spotkało nas w Łowczy u mieszczanina Bułgara. Gościnny gospodarz zastawił dla nas ucztę prawdziwą, obfitą, doskonale przyrządzoną i wybornemi winami uakcentowaną. Wyszedłem na niej źle dzięki kolegom moim, którzy, z Czernikiem się zmówiwszy, spoić mnie zamierzyli, a to dlatego, żem się chwalił, że w ciągu wojny węgierskiej nie byłem pijany ani razu. Dolewali mi wina; gdy zaś wino niebardzo skutkowało, zmusili mnie do napicia się wódki grzanej. W Bułgarji jest zwyczaj grzaną wódką zakrapiać jadło. Trzeba się do tego przyzwyczaić. Na mnie, nienawykłego do mieszania wina z wódką, połknięcie alkoholu ciepłego podziałało nakształt emetyku. Wytrzeźwiłem się odrazu. Koledzy zamiaru nie dokonali.

Tu i ówdzie zatrzymywaliśmy się na dniówkę. Dniówka w Tyrnowie upłynęła nam najmilej z racji przechadzki po okolicy prześlicznej i odwiedzin w monasterze, w którym mnisi, pokazując pamiątki i ciekawości różne, oprowadzali nas i gościnnie soczewicą i winem podejmowali.

Co się pamiątek tyczy, pokazywano nam w okolicy Łowczy krzyż na szczycie wysokiej, stromej a urwistej góry. Bułgar woźnica na krzyż ów uwagę naszą zwrócił. Był on osobliwością przez samo to, że stał.

— Turcy go nie zrzucili? — zapytałem Bułgara.

— Zrzuciliby, ale nie mogą.

— Czemu?

— Matka Boska krzyż ten postawiła na znak, że wiara chrześcijańska silniejsza od muzułmańskiej.

I opowiadał, że Turcy krzyż ów zwalić usiłowali, z harmat do niego strzelali, jest bowiem zapowiedź taka, że póki go nie zwalą, póty panowanie ich w kraju bułgarskim pewnem nie jest. I cóż? Krzyż się utrzymał, Turcy ustąpili. W czasie owym wiara w zapowiedź tę miała wszystkie charakterystyczne znamiona przesądu. Na wyzwolenie Bułgarji nie zanosiło się zgoła.

Wiara w kierunku tym zamanifestowała się przed nami, w czasie pochodu tego, w tym jednym wypadku. Wszędzie indziej Bułgarowie zdawali się nie rozumieć prawa do bytu niezależnego. Ani myśleli o nim. Nas się z ciekawością dopyty-

wali, co nas do Turcji sprowadziło, i gdyśmy im o wojnie i powodach onej opowiadali, dziwili się temu mocno. Dziwiło ich to mianowicie, żeśmy poczynali bez króla. Wydawało się im, że wojny toczyć mogą tylko królowie pomiędzy sobą; że stanowi to specjalność ich. Wojna przeto węgierska była dla nich nowiną wielką. Słyszeli o niej, słyszeli o Koszucie i brali Koszuta za króla.

— Bre, bre — odzywali się, głowami kiwając, gdyśmy im tłumaczyli istotę rzeczy.

Tłumaczenie nasze miało znaczenie siania ziarn na gruncie dziewiczym. Nie działo to się w intencji szkodzenia Turcji: przychodziło samo przez się. Przedstawialiśmy się narodowi uciśnionemu jako żywy przykład walki o wolność, jako podnieta aspiracyj zagłuszonych przez niewolę. Historyk dziejów odrodzenia się Bułgarji zapominać nie powinien o fakcie przejścia Polaków z Widynia do Szumli pod wartą turecką.

Warta owa nie dozorowała nas nader gorliwie. Od pierwszego noclegu jużeśmy flankierów zboku nie widzieli, a i szwadrony maszerowały często drogą inną, aniżeli my. Regularnie jeno na mostach, przez któreśmy przechodzili, oficerów kilku stawało i liczyło nas. Powtarzało się to razy kilka. Chodziło im o to, ażeby znać dokładnie, ilu nas jest. Liczyli przeto; za każdym jednak razem wypadała im cyfra inna. Skończyło się na tem, że liczeniu pokój dali.

Przed wkroczeniem do Szumli powtórzyło się to, co przy wyjściu z Widynia. Uszykowaliśmy się na drodze w kolumnę, oddział jeden jazdy wystąpił naprzód, drugi zajął nam tył, po bokach wyciągnęły się łańcuchy flankierów. W porządku tym wprowadzono nas do miasta i zakwaterowano w koszarach. Oficerowie sztabowi dostali kwatery w mieście.

W koszarach jednak kwaterowaliśmy niedługo. Nazajutrz po przybyciu naszem oficerom wszystkim, którzy tego chcieli, rozdano mieszkania prywatne. Myśmy się o takowe zgłosili i dostaliśmy u Bułgara izbę z kominem, z zaklejonemi papierem oknami i bez mebli innych, jak rogóżka na podłodze. Zainstalowaliśmy się tam, zaprowadziliśmy sobie „mangał“, to jest misę dużą, w której na popiele układają się węgle, służące do ogrzewania izb i gotowania jadła, kupiliśmy naczynia i zagospodarowaliśmy się. Koszary wszelako stanowiły dla nas

punkt zborny do odbierania relutum i załatwiania spraw. Ze spraw najpierwsza, jaka się nastręczyła, tyczyła się wyboru naczelnika, albo raczej przedstawiciela naszego wobec władz tureckich. Funkcję tę pełnił dotychczas Idzikowski. Objawiło się jednak przeciwko niemu niezadowolnienie jakieś, pochodzące nie ode mnie, ani od przyjaciół moich. Nie wiem, o co to i komu poszło, dość że się niezadowolnienie objawiło, i Idzikowski, wezwawszy nas wszystkich, przemówił do nas w te słowa:

— Oto niektórzy niezadowolnieni są ze mnie. Bóg widzi, że robię wszystko, ażeby wszystkich zadowolnić. Ponieważ jednak niektórzy są ze mnie niekontenci, wybierzcie więc sobie naczelnika innego.

Myśmy na to milczeniem odpowiedzieli.

— Wybierajcie... no!... wybierajcie! — nalegał.

— Wybierajcie! — odezwał się Rudnicki, który Idzikowskiemu niby za adjutanta, niby za *alter ego* służył, człek miniasty i rezolutny.

Na wezwanie kilkakrotne, głos jeden z tłumu odezwał się: „Miłkowski“, drugi: „Zima“, trzeci, „Zima“, czwarty: „Miłkowski“ i t. d. Dwa te nazwiska powtarzały się i powtarzały.

— A! co tam marudzić mamy! — zawołał Rudnicki. Niech będzie pułkownik Idzikowski! Kto przeciwko pułkownikowi ma co, niech wystąpi! No? Nie występuje nikt! Więc pułkownik Idzikowski wybrany!

Przeciwko wyborowi temu protestacji nie było. Niespodzianka, jaka pod postacią wywoływania nazwisk naszych na Zimę i na mnie spadła, nie zastała nas w usposobieniu przyjęcia zaszczytu tego. Przytem nikt do Idzikowskiego na serjo pretensji nie miał i Idzikowski na serjo stanowiska się nie zrzekał. Przeciwnie, chciał, jak się zdaje, zapomocą wyboru wzmocnić je i o mało — o mało nie wypadło inaczej.

Na kwaterze naszej dobrze się nam działo. Było nam i niegłodno i niechłodno. Zajmowaliśmy się kuchnią sami, urządziwszy pomiędzy sobą kolej. Kto się na kolei znajdował, powinien był nietylko gotować, ale w izbie porządkować i czyścić. We względzie tym wytworzyło się śród nas współzawodnictwo. Jeden sadził się nad drugiego; wymyślaliśmy potrawy i sposoby przyrządzania takowych. Nie pomnę, który z nas kupił dwie kury, obiecując przyrządzić je po węgiersku. Chodziło

jednak przedewszystkiem o zarżnięcie kur. Żaden z nas nie chciał się operacji tej podjąć. Nam, cośmy na bagnety uderzali, do uśmiercenia kur serca zabrakło. Po długich wreszcie wahaniach się, zdecydował się na to Zamoyski: z nożem i kurami na ganek wyszedł, gardło poderżnął jednej i na śnieg ją rzucił, poderżnął drugiej i toż samo uczynił i — obie uciekły. Musieliśmy je łapać i Bułgarki o spełnienie nad niemi wyroku prosić.

Dokuczały nam nudy straszliwe, któreśmy odpędzali wszelkiemi możliwemi sposobami: szyciem, struganiem, włóczeniem się po mieście, odwiedzaniem kolegów, przyjmowaniem odwiedzin, wreszcie redagowaniem dziennika. To ostatnie, nie pomnę, któremu z nas pierwszemu na myśl przyszło, bodaj czy nie Jastrzębskiemu, który o literaturze rad rozprawiał i wielkim był zwolennikiem nieznanego mi podówczas autora, Józefa Dzierzkowskiego. Jastrzębski znał utwory jego i bardzo je chwalił. On też, zdaje się, powziął myśl założenia dziennika, którego redakcja mnie się dostała. Wziąłem się tedy do pisania. Jam pisał, egzemplarz jeden całkowicie układał i następnie dyktował do kopjowania na rąk kilka. Skopjowanie kilkakrotne dawało w rezultacie egzemplarzy dwadzieścia do trzydziestu. Zamoyski podjął się kolporterki. Roznosił dziennik i sprzedawał, mieliśmy przeto stąd i zatrudnienie i dochodzik. Dziennik nasz [1], tytuł którego i treść artykułów z pamięci mi wypadły, ściągnął na siebie uwagę pełniącego przy nas funkcję obrońcy politycznego Władysława Zamoyskiego, i ten nadsyłał nam materjał do wiadomości politycznych. Trwało to, nie pamiętam jak długo: póty, pókiśmy na kwaterze stali. Dzięki dziennikowi temu, wszedłem w stosunek z ludźmi, którzy mi, że się tak wyrażę, nadali w emigracji polskiej stanowisko.

Gromada nasza w Szumli składała się przeważnie z inteligencji, mieszczącej w łonie swojem przedstawicieli przekonań i prądów, jakie się w łonie społeczeństwa polskiego urobiły tak w kraju, jak na wychodztwie. W większości swojej była ona

---

[1] *Dziennik Emigracji*, pismo to, pisane w Szumli, znajduje się w Bibljotece Rapperswilskiej, rps 1634; przechowywane tam numery pisma obejmują okres od 26 VII do 29 XI 1850. Miłkowskiego nie było już wówczas w Szumli, pismo redagował Fornunat Strowski.

szarą gromadą. W gromadzie tej atoli wydzielały się osobistości, nacechowane charakterem politycznym wybitnym, wyobrażające zasady, zamiary i cele. Jak w parlamencie, jak w zbiorowiskach wszelkich, istniały w niej strona prawa, lewa i środek. Na prawicy stanowisko przewodnie zajmował przedstawiciel hotelu Lambert, siostrzeniec księcia Adama Czartoryskiego, hr. Władysław Zamoyski; na lewicy rola ta przypadała Wysockiemu, członkowi Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, eks-członkowi Centralizacji. Wysocki jednak nie pełnił jej ze względu na położenie wychodztwa w Szumli, któremuby pomocy najmniejszej nie przyniósł, gdyby je do zorganizowania się w Towarzystwo Demokratyczne powołał. Turcy zapewne nie patrzyliby na to okiem przyjaznem. Nie wypadało mu wywieszać sztandaru na gruncie niewoli, nacechowanej charakterem opieki. Nie poruszał przeto tej sprawy, jak ze strony swojej dla powodów tychże samych Wł. Zamoyski nie stawiał sprawy hotelu Lambert, nie zawiązywał Towarzystwa Trzeciego Maja. Względy te obowiązywały nas wszystkich, nie w takim wszelako jak Zamoyskiego i Wysockiego stopniu. Ludzie na świeczniku niestojący działać mogli w kółkach poufnych, w duchu tym lub owym, bez narażania losów wychodztwa.

Jakoż jedno z kółek takich zawiązało się w sekcję Towarzystwa Demokratycznego Polskiego. Zawiązali je Żarski i Franciszek Sokulski, emigranci z r. 1831, inżynierowie, ludzie wykształceni i bardzo zacni. Koło nich grupowali się młodsi. Kiedym do kółka tego wszedł, znalazłem już w niem Walentego Lewandowskiego, młodzieńca z sercem gorącem i szczerem, Konstantego Łękawskiego, syna księdza ze Stanisławowa, przezwanego Czarnym Ułanem, Żabickiego, jeszcze kogoś i jeszcze kogoś. O Towarzystwie Demokratycznem miałem wyobrażenie niejakie, ale mętne, ogólnikowe. Sympatja mnie ciągnęła ku niemu. Gdym się przeto z kółkiem zetknął, gdym z Sokulskim i Żarskim znajomość zabrał, gdy mi oni zasady i cele Towarzystwa jasno wyłożyli, przylgnąłem do nich duszą całą. Inicjował mnie głównie Łękawski, człowiek, co pod pozorem dobroduszności i prostoty posiadał jasny na rzeczy pogląd i wiedzę rozległą. Był on ode mnie o lat dziesiątek starszy i miał przeszłość: należał do robót politycznych w Galicji przed rokiem 1846 wraz z Szajnochą, Bielowskim, Smolką, Ziemiał-

kowskim, Schmittem Henrykiem i in. Łękawski mieszkał razem z Żarskim i Sokulskim. Chodziłem do nich często; dowiadywałem się o rzeczach, które mi były obce, a mianowicie: o stosunkach emigracyjnych, o osobistościach na wychodztwie wydatnych, zwłaszcza o Heltmanie i Mierosławskim. Ten ostatni zajmował mnie szczególnie jako żołnierz, Sokulski i Żarski zdolności jego podnosili wysoko. Koniec końcem do sekcji wstąpiłem, członkiem Towarzystwa Demokratycznego Polskiego zostałem w Szumli r. 1849. Wytyczyło to dla mnie drogę na przyszłość; w teraźniejszości zaś stało się lekarstwem na nudy i ochroną przed następstwami próżniactwa, które kolegów moich gromadami całemi zapędzało do kart i kieliszka. Gdyby nie dziennik i nie Towarzystwo Demokratyczne, możebym się z nudów rozegrał i rozpił.

Pomiędzy tymi, co nas odwiedzali, osobistość jedna na osobną zasługuje wzmiankę. W r. 1846 w Krakowie zamordowany został komisarz czy sędzia śledczy, Zajączkowski, który się odznaczał szczególnie nieludzkiem więźniów politycznych traktowaniem. Sprawca morderstwa tego odszukanym być nie mógł. Owóż sprawca ów, którego nazwisko utaję, spowodu że zajmuje obecnie śród obywatelstwa stanowisko poważne i o zdarzeniu tem sam nie mówi, u nas bywał i, jak się rzecz stała, opowiadał. Był on wówczas studentem, mieszkał na stancji, słyszał o znęcaniu się nad więźniami Zajączkowskiego i w oburzeniu powziął zamiar zastrzelić go. Wcelu dokonania zamiaru tego kupił sobie pistolet, nabił i z pistoletem w kieszeni wieczora pewnego udał się do mieszkania sędziego, żądając widzenia się z nim. Zajączkowskiego w domu nie było.

— Kiedy przyjdzie? — zapytał.

— Za pół godziny, za godzinę może — odpowiedziano.

W oczekiwaniu na upływ godziny poszedł student na planty. Na plantach nikogo. Przechadzał się samotnie czas jakiś, aż w końcu przeciwnym alei dostrzegł światełko, które się ku niemu zbliżało. Szło dwóch ludzi; jeden z latarką przodem, drugi styłu. W tym ostatnim, idąc mimo, poznał student Zajączkowskiego. W chwili tej pistolet podniósł, strzelił i uciekł. Udał się pędem na stancję. Rozebrać się i do łóżka pójść było dziełem momentu jednego. Położywszy się jednak, zasnąć nie mógł, rozmyślał i z rozmyślania wyrodziło się zapytanie: czy

zastrzelił, jeżeli zaś zastrzelił, to... nie Zajączkowskiego może? Po nocy mógł wziąć kogo innego za niego. Myśl ta dręczyła go do rana; gdy zaś dzień zaświtał, nie śmiał na miasto wyjść, ażeby się o omyłce nie dowiedzieć. Około dziesiątej wszedł do niego z kolegów jeden.

— Czy wiesz, co się stało? — zapytał

— Co?... — odrzekł sprawca głosem od wzruszenia wewnętrznego drżącym.

— Sprzątnął ktoś Zajączkowskiego...

— Zajączkowskiego! — krzyknął, koledze się na szyję rzucając.

Sprawca ten dlaczego sprawcą został? — z jakich pobudek zbrodni się dopuścił? W zapytaniach tych tkwi racja, dla której prawodawstwa w krajach ucywilizowanych zbrodnie polityczne mierzą miarą wyszukaną, inną aniżeli zwyczajne, bez uwzględnienia pobudek. Sprawca ów, chłopak nawylot zacny i szlachetny, jest dziś obywatelem, używającym szacunku powszechnego.

Czas na kwaterze upływał nam jakotako. Nieznaną mi jest racja, która spowodowała powołanie do koszar nas wszystkich. Musieliśmy się przenieść i urządzić sobie życie inaczej. W koszarach dawano nam jadło gotowe, przez kucharzy tureckich sporządzane; odpadła więc część zajęcia gospodarska. O redagowaniu dziennika ani myśleć było można. Sekcja Towarzystwa Demokratycznego nie dostarczała zajęcia ciągłego. Zajęliśmy miejsca swoje w sali ogromnej, do której przylegała sala druga i trzecia, napełniona po brzegi eks-legjonistami. Sypialiśmy pokotem na siennikach, na podłodze. Sienniki na dzień zwijały się i do siedzenia służyły. Pośrodku miejsca było dosyć. Olbrzymie, miedziane mangały ogrzewały sale dostatecznie. Pod względem materjalnym nie brakło nam na niczem. Trapiły nas nudy — próżniactwo: brak książek, brak strawy umysłowej. W salach tu, tam, ówdzie, wszędzie dniami całemi w karty grano.

Karty stanowiły ucieczkę jedyną. Niektórzy szukali rady na to.

Władysław Bentkowski napisał komedję, dobrał aktorów, urządził w koszarach teatr; sztukę jego grano razy parę: dostarczyło to rozrywki na wieczorów kilka i materjału do krytyki, a zatem do rozmów.

Idzikowski ogłosił wykłady teorji sztuki wojskowej. Wykłady te zrazu zajęły, wprędce atoli zobojętniały. Zaprzestano na nie chodzić. Spowodu tego ksiądz Niewiadomski, który regularnie niedzieli każdej mszę w koszarach odprawiał, w kazanie, wygłoszone wobec stojącego przed nim naczele nabożnych Idzikowskiego, taki wsunął ustęp:

— Próżnujecie, w karty gracie, czas drogi marnotrawicie: a czemu nie chodzicie na wykłady pułkownika Idzikowskiego? Pułkownik Idzikowski wprawdzie sam umie niewiele, zawsze jednak więcej niż wy...

Łatwo sobie wyobrazić minę pułkownika, gdy słowa te obiły się o uszy jego. Po kazaniu tem wykłady ustały. Próżniactwo potęgowało rozkładające przymioty swoje. Oficerowie sztabowi, po kwaterach stojąc, bronili się onemu łatwiej. Nam obrona przychodziła z trudnością, z którą w dniu każdym walczyć trzeba było. Tych, co w karty nie grali, nudy pędziły do szynków, trzymanych przez Bułgarów. Krążące po mieście patrole tureckie sprowadzały od czasu do czasu eks-legjonistów w stanie nietrzeźwym.

Razu pewnego w stanie tym przyprowadzono Baczyńskiego, owego z Lugosza mówcę, coto Koszuta, Görgeya i Wysockiego o zdradę oskarżył i do Siedmiogrodu legjon wzywał. Nie było to osobliwością żadną i niktby na to uwagi nie zwrócił, gdyby stąd nie wywiązała się sprawa wielce drażliwa. Baczyński się nietylko spił, ale po pijanemu awanturę zrobił. I to jeszcze byłoby niczem. Lecz w spiciu się i w awanturze udział wziął wyznawca proroka, milazim (podporucznik) turecki. Patrol wraz z Baczyńskim i milazima przyprowadził, jednego wpuścił pomiędzy nas, drugiego mirałaj (pułkownik) odesłał na odwach i, gdy się wytrzeźwił, kazał kijami obić. Po dokonaniu egzekucji odniósł się do Idzikowskiego z żądaniem, ażeby i Baczyński kijami obity został. Idzikowski myślał zrazu, że to żarty, wprędce jednak poznał, że pułkownik nie żartuje, zapowiedział bowiem, że w razie, gdybyśmy żądaniu temu zadość nie uczynili, on każe Baczyńskiego przemocą wziąć i egzekucję nad nim żołnierzom tureckim dokonać. Gdy ultimatum to do wiadomości naszej doszło, pomiędzy nami zawrzało.

Co tu począć?

Sprawą tą zajął się Zamoyski; zajęli się Wysocki, Dem-

biński, Koszut nawet. Udawali się do paszów, z których jeden był komendantem twierdzy, drugi gubernatorem. Zabiegów tych owoc był ten, że Zamoyski przyszedł do nas i oświadczył, iż starania wszelkie spełzły na niczem.

— Pozostaje jeszcze jeden środek — mówił. — Wybierzcie, panowie, spomiędzy siebie delegację i udajcie się do generała Bema. Bem ma u Turków zachowanie; może interwencja jego, jeżeli się takowej podjąć zechce, odwróci od nas tę sromotę. Gdyby i to nie pomogło, w razie takim nie zostaje nam, jak pójść za przykładem Karola XII w Benderach. Zabarykadujemy się i będziem się orężnie bronili.

Patrzałem na Zamoyskiego gdy wymawiał słowa ostatnie. Postać jego wysoka i chuda, twarz pergaminowa, oczy szklane zajaśniały blaskiem chwilowym. W wyrazach czuć się dało ciepło. Człowiek ten, od którego chłodem wiało, przeistoczył się niby, wypiękniał. Przeistoczenie trwało niedługo. Powrócił do delegacji i radził się z tem spieszyć. Gdy odszedł, myśmy natychmiast do wyboru przystąpili. Postanowiono wybrać delegatów dwóch: ktoś wymówił nazwisko: Kozieradzki, ktoś drugi wymówił nazwisko moje — zostaliśmy wybrani przez aklamację.

Podczas kiedy się wybór odbywał, miałem przed oczami sprawcę kłopotu, Baczyńskiego. Ogolił brodę wspaniałą, spokorniał, miał minę pożałowanie wzbudzającą. Nawarzył piwa, któreśmy pić musieli wszyscy.

Z Kozieradzkim udaliśmy się niezwłocznie do Bema. Po raz pierwszy stanąć miałem wobec tego człowieka znakomitego. Znakomitość jego olśniewała mnie niejako. Dla ludzi wielkich żywiłem kult, wolałem jednak i dotychczas wolę patrzeć na nich zdaleka. Szedłem tedy do Bema w usposobieniu napoły bojaźliwem. Ośmieliło mnie atoli przyjęcie, jakiego nam udzielił.

Bem powitał nas bardzo uprzejmie i posadził na sofie obok siebie. Interes, który nas do niego sprowadził, był mu znany; uznał wstręt nasz do wydawania kolegi pod kije, przyrzekł zrobić ze strony swojej wszystko, co w jego będzie mocy celem odwrócenia zesromocenia w Baczyńskim nas.

— Turkom się dziwić nie trzeba — mówił. — Mają zwyczaje swoje i nie rozumieją naszych.

Po załatwieniu sprawy odchodzić chcieliśmy. On nas jed-

nak zatrzymał, podać kazał zwyczajem tureckim kawę i fajki, i wdał się z nami w gawędkę. Rozpytywał nas o służbę w legjonie, o bitwy, w których braliśmy udział. Na wspomnienie moje o bitwie temeszwarskiej i o tem, żem się na niego czas cały pozostawania jego na szosie patrzał, zaczął o bitwie tej mówić. Powiadał, że miał w niej pod dowództwem swojem wojska za dużo.

— Młodego... — wtrąciłem — nieostrzelanego...

— To nic... — odparł. — Wojsko każde dobrze prowadzone dobrem jest. Ale go było za dużo...

Wykładał następnie, że siłą wojska normalną jest tysięcy trzydzieści, że w tysięcy trzydzieści pokonać można przeciwnika trzy i cztery razy liczebnie silniejszego. Trzeba się tylko umieć ruszać. Należy, ażeby wódz wojsko swoje całe trzymał w garści i rzucał niem, jak piłką. Mówił dalej, że w garści najłatwiej trzyma się korpusik czterotysięczny, korpusik bowiem taki dopuszcza najdokładniejsze zestosunkowanie broni i posiada rzutkość największą.

— Dobry generał cuda naczele czterech tysięcy dokaże — słowa jego.

Słowa te stosowały się do niego samego.

Mówił z ożywieniem i z akcentem takim, jakby miał przed sobą nie poruczników, ale oficerów wyższych. Wyraził nadzieję, że się wojna na Węgrzech wznowi, „jak skoro się huzary oporządzą“, i pożegnał nas obietnicą, że się sprawą Baczyńskiego gorliwie zajmie.

Zewnętrzność Bema nie zwiastowała tej żywości i potęgi ducha, jakiej był wcieleniem. Postać jego przedstawiała obraz nędzy cielesnej. Wzrostu średniego, chudy, mizerny, twarz miał brzydką i bliznami poznaczoną. Bliznę największą, mającą pozór plastra do policzka przylepionego, pozostawiła mu próba z prochem. Nos mały, śpiczasty, wyglądał jakby wykąszony. Oczy nawet blaskiem nie świeciły. Skądże się w tem nędznem ciele brała energja taka? Żołnierze, co pod nim służyli, uwielbiali go, — bożyszczem stawał się dla nich: na wezwanie jego wydobywali ze siebie siły nadludzkie. Pozostawił też po sobie wspomnienia, które się w legendy zmieniły.

Przyrzeczenia Kozieradzkiemu i mnie danego dotrzymał: sprawą się gorliwie zajął i odwrócił od nas sromotę, od skóry Baczyńskiego plagi.

W koszarach pozostawaliśmy do kwietnia roku 1850. Odgadnąć trudno, do czegoby doprowadziło pozostawanie dłuższe. Próżniactwo dojadało, dogryzało. Mnie opanowała tęsknota za krajem i rodziną taka, że zbierała mnie ochota wracać i oddać się rządowi rosyjskiemu na łaskę i niełaskę. Powstrzymywała mnie jednak myśl o Syberji. Zostać tam zesłanym i zmarnieć — nie wydawało się mi kompensatą wygnania do Turcji. Pomiędzy dwoma złami wybierając: Syberja czy Turcja? — Turcja była bezwarunkowo lepszą; nielepszą atoli w razie, gdyby mi zagrażała kara inna jaka: wygnanie nie tak dalekie a czasowe, „sałdaty“ z wysługą lub coś podobnego. Na tobym się zaryzykował dla zapewnienia sobie na później pobytu na ziemi rodzinnej. Nie wiedziałem jednak, na co liczyć. Potrzebowałem poradzić się z kimeś. Powiedziałem o tem Łękawskiemu, rzecz wytoczyła się przed Żarskiego i Sokulskiego, i stanęła na tem, że gdybym się dowiedział, iż mi nie zagraża kara zbyt surowa, mogę być społeczeństwu pożyteczniejszym w kraju, aniżeli zagranicą. Jak tu się jednak o tem dowiedzieć? Sposobu na to nie było innego, jak do władzy właściwej o powrót do kraju podanie zrobić. Postanowienie to powziąłem i na sposobność dokonania onego czekałem. Turcja przecie coś z nami zrobi, wiecznie nas w koszarach trzymać nie może.

„Oczekiwanie godziny ukraca“. Czas upływał mi na słodkich o rodzinie rojeniach, jakoteż na gapieniu się, inaczej: postrzeżeniach, jakie mi same w oczy wpadały. Stykałem się ze swoimi, z Turkami i z Bułgarami.

O swoich pisałem już, dodam więc jeszcze rysów parę zapamiętanych. Na niektórych spostrzegać się dawały następstwa nudów pod postacią absolutnego opuszczenia się. W oczach mi stoi osobistość jedna, młody człowiek wzrostu słusznego, którego znałem pamiętnym o siebie, eleganckim nawet, zmieniony do niepoznania. Kupił sobie na zimę kożuch długi, w kożuchu tym pies oddarł mu styłu szmat futra baraniego; oń przez zimę całą chodził, wlokąc szmat ów oddarty za sobą. Inni nałamali się do spędzania dni na sposób turecki, w kawiarniach. Na ławach zasiadali, fajkę lub nargile palili i kawę popijali. Ten i ów brał się do opjum lub haszyszu. Na urabianie się stanu smutnego wpływał brak kobiet. Polki pomiędzy nami nie było ani jednej, z wyjątkiem markietanki, która handelek

swój prowadziła dalej, kobiety prostej i chciwej. Za Polkę uchodziła żona majora D., Słowaczka, stworzenie młode i prześliczne, ale bez taktu i powagi, — ptaszek. Węgrów kilku było z żonami, ci jednak nam się nie udzielali. Majorowa D. — tyle było wosku i świeczki. Zdarzył się jej wypadek, który, przez męża rozgłoszony, ośmieszył ją. Turczynki, jak wiadomo, głów sobie na wzór Żydówek nie golą; golą się jednak, taki u nich zwyczaj, gwoli któremu są po miastach golarki specjalne, dokonywujące operacji tej w łaźni, w dniach i godzinach pewnych na wyłączny płci niewieściej użytek oddawanej. Bogate kąpią się i golą w haremach. Pani D., nie wiedząc o niczem, udała się razu pewnego do łaźni, i Turczynki, jak skoro spostrzegły, że nieogolona, przemocą na niej operacji tej dokonały. Przytrzymały i ogoliły. Biedna kobieta z płaczem wróciła do domu. Mąż o awanturze tej rozpowiedział i pani D. dzięki ośmieszeniu temu na wziętości nie zyskała — wpływ jej towarzyski zeszedł do zera.

Z Turkami do czynienia nie mieliśmy wiele. Życie ich domowe dla nas nie istniało. Zetknięcia się z nimi, okrom oficjalnych, ograniczały się na kawiarni, gdzie bywało niekiedy co widzieć, ale nigdy o czem mówić. Widowiska polegały na pokazywaniu niedźwiedzi i małp, na produkowaniu się Cyganów z tańcami, składającemi się z ruchów i wykrzywiań się lubieżnych, na rzucaniu się o ziemię Bułgarów, udających niedźwiedzi i t. p. Raz zdarzyło się widowisko nadzwyczajne. Pojmano szajkę Cyganów, trudniących się zabijaniem podróżnych nieostrożnych, sądzono ich i na powieszenie w bramach miasta wskazano. Szajka liczyła członków tyle, co bram, więcej jeden. Tego przeto jednego nadliczbowego powieszono na jaworze, przed drzwiami najbardziej uczęszczanej kawiarni. Wisiał przez dni kilka; dzieci zabawiały się potrącaniem i obracaniem trupa; ludzie dojrzali przypatrywali się mu poważnie.

Z ludnością bułgarską styczność, acz dorywcza, była jednak częstą. Za przewodnika służył interes. Kupowaliśmy u nich artykuły różne i na drodze tej zabieraliśmy z nimi znajomości mniej lub więcej ścisłe. Rozmowy snuły się niezmiennie około racji pobytu naszego. Poufność dochodziła do tego, że Bułgarzy zwierzali się nam z aspiracyj swoich. Jeden odkrył mi

tajemnicę wyrazów, używanych przez nich celem zamaskowania znaczenia istotnego myśli.

— Kiedy przy Turczynie powiedzieć chcę „pasza“, mówię „jabłko“... i t. p. Podstawek innych nie pamiętam.

Do domów bułgarskich dostawać się nam było trudno. Wchodziliśmy jednak i wglądali w życie ich rodzinne, urządzone na wzór i podobieństwo tureckiego. Kobiety oddzielone i upośledzone; na ulicach pokazywały się w feredżijach i jaszmakach; w feredżijach jednak czarnych, dla odróżnienia od Turczynek, noszących płaszcze kolorowe. W domach wszakże można je było bez osłon oglądać. Widziałem Szumlanek kilka uderzająco pięknych; brzydkiej nie zdarzyło się mi spotkać żadnej. Nie słyszałem, ażeby się pomiędzy Bułgarką a którym z Polaków zawiązała intryga miłosna. Ani „momica“ (dziewczyna) ani „bułka“ (mężatka młoda) żadna do legjonisty nie przylgnęła. Świadczy to, że ludność trzymała się od nas zdaleka; świadczy to oraz o wyodrębnianiu się narodowości, zepchniętej do obrębu ogniska domowego, pozostającego pod strażą kobiety, czuwającej nad tem, ażeby się do onego nie wciskały żywioły niebułgarskie. W sposób ten bułgarskość srodze uciskana, uciskowi się oparła i uchowała się. Broniła się i obroniła tak muzułmanizmowi, jakoteż wszelkiemu wtrętowi obcemu: greckiemu, ormiańskiemu, rumuńskiemu, gdy się nadarzył polski, i polskiemu.

Bułgarzy zajmowali część miasta oddzielną; stanowili tak zwaną „mahałę“ (gmina, przedmieście), której domy łączyły się jedne z drugiemi zapomocą przechodów tajemnych. Racja urządzania się takiego tkwiła w panowaniu tureckiem. Przechody tajemne miały na celu ucieczkę w razie alarmu. Intryga! Ludność ujarzmiona na baczności się miała; w sobie się zamykała i uciekała. Inaczej w czasie owym Bułgarzy nie bronili się. W sposób ten wyrażała się obrona ich bierna, do najprostszej swojej sprowadzona ekspresji. Bułgarja nie posiadała wówczas ani szkół (szkółki urządzali Grecy), ani piśmiennictwa, ani opinji publicznej, ani niczego, czemby się sama przed sobą świadczyła. Męska ludności jej połowa „pariczki“ (pieniądze) zbierała, żeńska gniazda rodzinnego doglądała; gdy zaś gniazdo zagrożenie spotykało — uciekała, płód z sobą uprowadzając. Tak czynią kuropatwy.

Wspomniałem o zbieraniu „pariczek“. We względzie tym do zanotowania jest gorliwość, z jaką się Bułgarzy zbieraniu temu oddawali. Na bogaceniu się koncentrowali całą swoją nazewnątrz działalność. Okazywali się chciwymi; zbierali i dokładali grosz do grosza, i dochodzili nie do fortun olbrzymich, na co im nie pozwalały gospodarcze i ekonomiczne warunki w kraju, pozbawionym komunikacyj, ale do zamożności znacznej i ogólnej, spólnej wsiom i miastom. Po wsiach nie rzucała się ona w oczy; wieśniacy kryli się z nią, i widzieć ją tylko było można w naczyniach miedzianych, zapełniających chałupy i ziemianki, w pościeli, odzieży i sposobie żywienia się. Po uważniejszem atoli rozpatrzeniu się w bycie wiejskim odkrywały się: trzody bydła, owce, kozy, konie, zasiewy, winnice, zboża po jamach chowane i „pariczki“, częścią niewidzialne, w części zaś występujące na widok publiczny pod postacią ubrania głów i piersi kobiecych. Po miastach, zapewniających większe aniżeli wsie bezpieczeństwo dla osób i mienia, pozwalano sobie na wystawność większą. Kilka w Szumli domów urządzonych było z całym przepychem wschodnim, polegającym na kosztowności kobierców, miękkości dywanów, misterności naczyń stołowych i bogactwie przedmiotów zbytku. Kawę podawano na podstawkach złotych, perełkami wysadzanych; osadę bursztynów do cybuchów osypywały kamienie drogie; różańce, które wschodniowcom służą do przesuwania paciorek w palcach i maskowania w sposób ten próżniactwa, spajały klamerki, w których połyskiwały brylanty prawdziwe.

Obok tego — ciemnota. Widziałem Bułgarów piszących, ale nie widziałem czytających. Czując do książek skłonność, poszukiwałem takowych i nie odkryłem — ani jednej. We względzie tym Szumla przedstawiała się pod postacią pola dziewiczego. Nie jaśniał na niem najskromniejszy kwiatek wiedzy, miejsce której zajmowały wyobrażenia i wiadomości, osłonięte mgłą legendową. Wiedza ogólna nie wychodziła poza granice katechizmu elementarnego, szczególna polegała na tem, co do słuchu doszło. Na polu tem w r. 1850 wszystko jeszcze do zrobienia było, z wykluczeniem abecadła, stanowiącego w czasie owym w zakresie naukowym zdobycz ogromnie ważną i na drodze postępu krok pierwszy naprzód. Bułgarzy po bułgarsku już pisać mogli, do czytania jeszcze nic nie mieli.

Szumla uważaną była za jedną z najsilniejszych warowni tureckich. Tak było w rzeczy samej. Siła jej polegała przedewszystkiem na położeniu w otoczonej w półkole wyżynami kotlinie, której strona jedna, mianowicie wschodnia, przedstawiała się pod postacią płaszczyzny szerokiej. Przez płaszczyznę przechodziła droga do Warny. Ze strony tej miasto otaczał niekoniecznie w porządku utrzymywany rów, do którego przystępu broniły wzniesione na płaszczyźnie a ostrzeliwujące się wzajemnie mniejsze i większe fortyfikacje. Fortyfikacje te stanowiły całość jedną z ostrogami i redutami, na wyżynach zbudowanemi i dróg do Szumli z Ruszczuka i Dżumy prowadzących broniącemi. Nie była to przeto forteca w ścisłem wyrazu tego znaczeniu, ale obóz oszańcowany, do zdobycia trudny spowodu przeszkód, jakie położenie topograficzne obsaczeniu stawiały. Od południa osłaniała takowy góra stroma; od zachodu i północy przystępu niedopuszczały drogi przepaściste.

Miasto samo, położone w kotlinie, dzieliło się, jak wszystkie wogóle miasta w Turcji europejskiej, na tak zwane „mahały“ (przedmieścia, gminy). Gmina ormiańska wciskała się w wąwóz najgłębiej, sięgając prawie źródeł strumienia, przepływającego w głębokim parowie przez Szumlę i stanowiącego jedno z ramion rzeczki Prawadi, która pod Warną do limanu wpada. Nad strumieniem wyciągnęła się mahała ormiańska; tej czepiała się żydowska; dalej gromadziły się osłonięte gliną oblepionemi, wysokiemi płotami domy tureckie; po nich następowały bułgarskie. Jedne zajmowały połać południową, drugie północną; dzieliły je wierzchem na strumieniu zabudowane i wonią niekoniecznie miłą miasto napełniające garbarnie, od których uliczka wyprowadzała na rynek. Rynek, dosyć obszerny, otaczały sklepiki, kawiarnia, meczet; przed meczetem studnia murowana toczyła kilkoma kurkami mosiężnemi wodę do żłobu kamiennego. Studni podobnych Szumla posiadała kilka. Sklepiki ciągnęły się rzędem, wzdłuż chodnika przykrytego ostrzeszkiem. Wgłębi na niskim stole, z nogami podgiętemi, na kilimku lub skórze baraniej siedział kupiec, oczekujący na kupujących, którzy do wnętrza sklepiku nie wchodzili, lecz się zatrzymywali przed otwierającą się zgóry nadół okiennicą, pełniącą dzięki podpórce, co jej położenie horyzontalne nadawała, funkcję lady sklepowej. We dnie targowe rynek zapełniał się przekupniami

i przekupkami, ze wsi pobliskich przybywającymi. Zawsze jednak znaleźć na nim można było przekupniów sprzedających wiktuały, mianowicie zaś takich, którzy na piecyku kamiennym przenośnym przyrządzali z mięsa siekanego pulpety smażone. Roiło się przy nich od much. Na środku rynku stała budka zamknięta z okienkiem. W budce siedział lekarz i aptekarz zarazem, Turek stary, który przez okienko rad pacjentom udzielał i lekarstwa im sprzedawał.

Kilka z rozchodzących się od rynku ulic zajmowały tak zwane „esnafy“ — cechy rzemieślnicze: jedną szewce, drugą krawce, trzecią kuśnierze i t. d. — pracownia obok pracowni. Robotnicy, siedząc na stołach na sposób turecki, w oczach przechodniów szyli i krajali. Majstrowi fachu pewnego nie wolno było na ulicy przez fach inny zajętej pracowni zakładać. Tak chciał porządek turecki i dla porządku tego w ulicy przeznaczonej dla esnafu np. kotlarskiego panował dniami całemi hałas nie do opisania. Rzemiosła stosowały się do narodowości: krawiectwo, szewstwo, kuśnierstwo prowadzili Bułgarzy, kotlarstwo Ormianie, kowalstwo Cygani, rusznikarstwo, płatnerstwo, tokarstwo stanowiły właściwości Turków. Wyroby delikatniejsze, jak jubilerstwo, rznięcie pieczęci i t. p., nie podlegały regule ogólnej; wszelako Bułgarzy nie zajmowali się fachami temi; znajdowały się one przeważnie w ręku Ormian. Ormianie również trudnili się handlem bławatnym, handlem tytoniu i galanterji. Turcy chleb piekli; Bułgarzy sklepy korzenne utrzymywali. Turcy trzymali kawiarnie; Bułgarzy zakładali szynki, które nie posiadały upoważnienia legalnego. Tolerowano je narówni z cerkwiami pod warunkiem, ażeby nie posiadały oznak zewnętrznych.

Budowli pokaźnych w Szumli nie było innych, tylko koszary wojskowe: jedne dla piechoty, drugie dla jazdy, trzecie dla artylerji. Przedstawiały się one okazale.

W koszarach dla piechoty spędziliśmy zimę, nie wiedząc o losie naszym, który się rozstrzygnął na drodze dyplomatycznej pomiędzy Turcją, Anglją i Francją z jednej a Rosją i Austrją z drugiej strony. W układach tych atoli Rosja główną odegrywała rolę. Od niej zależało wszystko. Myśmy jednak, pomimo że to o nas chodziło, nie wiedzieli o niczem. Dowiedzieliśmy się wreszcie w miesiącu marcu 1850 r. Wysoka Porta

w sprawie wychodztwa polsko-węgierskiego wysłała była do Petersburga posła nadzwyczajnego w osobie dyplomaty zręcznego i człowieka gładkiego, Fuada-effendiego, późniejszego paszy i wielkiego wezyra. Fuad-effendi burzę wojenną zażegnał i za powrotem do Konstantynopola wyprawionym został w charakterze komisarza do Szumli, wioząc nam wyrok. Wyrok wypadł bardzo łagodnie. Naczelnicy nasi wskazani byli na internowanie w Azji; nam zwrócono wolność i pozostawiono do wyboru: albo pozostać w Turcji, albo też udać się na Zachód. Zachód atoli okazał się względem nas niełaskawym. Z wyjątkiem Anglji żadne inne państwo granic swoich otworzyć nie chciało dla tych, co na Węgrzech walczyli; pozostawała nam przeto do wyboru Turcja albo Anglja. Rząd turecki ochotników, coby się do wyjazdu do Anglji zgłosili, obowiązywał się wyprawić kosztem własnym. Decyzję tę oznajmiono nam; oznajmiono oraz, że komisarz turecki będzie nas zapytywał każdego zosobna. Wyznaczono nato dzień i godzinę; zebraliśmy się, uszykowali i defilowali w koszarach po jednemu przed Fuad-effendim, który każdego zapisywać kazał i każdemu zapytanie zadawał?

— Turcja czy Anglja?...

Gdy na mnie kolej przyszła, odpowiedziałem:

— Anglja...

Odłączyłem się od gromadki mojej. Towarzysze, z którymi się od wyjścia z Węgier razem trzymałem, w Turcji pozostawali. We względzie tym opinja śród wychodztwa podzieloną była. Za pozostaniem w Turcji przemawiały racje praktyczne, tyczące się tak sposobu do życia, jakoteż widoków politycznych. W krainie niewyeksploatowanej i na przeludnienie niechorującej łatwiej znaleźć zarobek; państwo, będące Rosji nieprzyjacielem naturalnym, przedstawiało się jako nasz naturalny sprzymierzeniec. Kwestję tę przedstawiano nam z tej jeszcze strony, że na gruncie tureckim nastręcza się nam do spełnienia misja cywilizacyjna, odnosząca się do podległych berłu sułtana ludności słowiańskich. Propaganda ta szła od Zamoyskiego, luboć i przeciwnicy przekonań jego politycznych znajdowali, że pozostanie w Turcji bezpieczniejszem jest, aniżeli udawanie się na Zachód. Tu kawałek chleba pewny prawie; tam zaś śmierć z głodu miała za sobą szans tyle, co prze-

ciwko sobie. Mimo to wszystko wybrałem Zachód, właściwie zaś Anglję, a to dla powodów następujących: walka o życie nie trwożyła mnie, — owszem czułem w sobie ochotę do stanięcia do niej i zmierzenia się z tym wrogiem, który egzystencje ludzkie druzgoce; naturalność nieprzyjaźni i przymierza w polityce wydawała mi się rzeczą wątpliwą i niepewną; nie liczyłem na nią; misja cywilizacyjna przedstawiała się mi pod postacią drażliwą z tego względu, że stawiała nas pomiędzy rządem tureckim, któremu za osłonięcie nas opieką swoją winniśmy byli wdzięczność, a uciskanemi i ciemiężonemi przezeń ludnościami słowiańskiemi, znajdującemi się w odniesieniu do niego w położeniu takiem samem, jak my w odniesieniu do mocarstw, co Polskę opanowały; zmuszało nas to albo do niewdzięczności, albo do przeniewierstwa. Wydawało mi się przytem, że cywilizacyjna wartość moja własna wymaga dokończenia, uzupełnienia, uakcentowania. Nastręczała mi się po temu sposobność: jakże z niej nie korzystać?... Do racyj powyższych przyłączyła się jeszcze jedna. Był nią zamiar powrotu w progi rodzinne. Wydawało się mi, że przeniósłszy się na Zachód, zatrę za sobą ślad udziału w wojnie węgierskiej; gdybym zaś tego nie dokonał, znajdę łatwiej aniżeli w Turcji sposobność dowiedzenia się o losie, jakiby mnie czekał w razie powrotu. Względy te spowodowały mnie do oświadczenia Fuadowi-effendiemu, że życzeniem mojem jest do Anglji jechać.

Życzeniu temu zadość się stało dnia 1 czy 2 kwietnia r. 1850.

Ochotników do Anglji znalazło się 150—180: oficerów kilkudziesięciu, reszta szeregowi.

Internowanych wyprawiano partjami. Wszyscy, z wyjątkiem Bema, przeznaczeni zostali do Kutahji. Bemowi nie pomogło przyjęcie islamizmu. Wysłano go do Alepu, a islamizm tę mu korzyść przyniósł, że go zaliczono do służby czynnej i wypłacano mu żołd marszałkowski. Zaliczenie do służby było nominalne; żołd atoli był rzeczywisty i pozwolił Bemowi popłacić długi, jakie zostawił w Paryżu. A miał tego ponoć niemało. Wierzyciele przeto jego wyszli na islamizmie dobrze, i oni jedni tylko, albowiem krok ten, polityczny rzekomo, okazał się w polityce krokiem fałszywym. Bem tedy odjechał osobno. Do partji drugiej należeli Koszut, Wysocki i generałowie węgierscy, z którymi jechać nie chciał Dembiński. Kłótliwy ten

szlachcic gromady się trzymać nie lubił; że zaś nie chciano, czy też nie wypadało odwozić go statkiem oddzielnym, przyłączono go przeto do partji naszej z tem, ażeby w Bosforze przesadzić generała na parowiec, obsługujący wybrzeża azyjskie.

Do partji naszej przyłączono i takich, co mieli prawo i ochotę do Francji się udawać. Byli to albo zaopatrzeni w paszporty obywatele francuscy, albo osobistości, co w wojnie węgierskiej nie brały udziału czynnego. Do tych ostatnich należał przedstawiciel hotelu Lambert, hr. Wł. Zamoyski [1]. Paszportowych pomiędzy nami znajdowało się kilku: Brazewicz, Żarski, paru jeszcze emigrantów z r. 1831 i, nie wiem z jakiej racji, Szumlański z Galicji, młody człowiek, nazwiska którego zapomniałem, z Królestwa, i innych paru, niepochodzących z emigracji dawniejszej. Tym zapewne protekcja wstęp do Francji otworzyła.

W dniu wyjazdu z Szumli na dworze panowała niepogoda. Śnieg topniejący padał i wiatr wichrzył. Nie bez żalu rozstawałem się z kolegami, z którymi wiązały mnie wspomnienia przygód wojennych, razem przebytych. Jeden z nich, mianowicie Edward Dunajewski, stryjeczny tych, z których jeden jest obecnie biskupem krakowskim, a drugi zawiaduje finansami Austrji, wsunął mi w rękę trzy jermeliki srebrne, a kiedym się przyjąć takowe wzbraniał, prosił, namawiał i perswadował:

— Weź! weź! Przyda się to tobie. Z czemże w podróż się puszczasz?

W rzeczy samej w podróż puszczałem się zaopatrzony wcale niedostatnio. W zawiniątku posiadałem bielizny trochę. Odzieży do zmiany nie miałem, ta zaś, co mi grzbiet okrywała, składała się z surduta bajowego, z spodni mundurowych, z obuwia przydeptanego, kapelusza przenoszonego i płaszcza wojskowego. Zresztą nic. Zapas cały pieniężny, jaki posiadałem, stanowiło piastrów trzydzieści, t. j. franków sześć, które rząd turecki na odjezdnem wypłacić nam kazał. Było to mniej aniżeli szczupło, luboć bowiem Turcja opłacała za nas koszta podróży, ale się na tem kończyło. Na końcu podróży czekał początek pobytu w Anglji, a na ten sześciu franków było za mało. Datek Dunajewskiego uczynił mnie panem franków dwudziestu kilku.

---

[1] Wł. Zamoyski posiadał paszport francuski.

I to jeszcze było nie za wiele, zważywszy, że i w podróży trafić się mogły wydatki nadzwyczajne.

Marszruta wyznaczoną nam była następująca: Warna, Bosfor, Malta, Gibraltar, Anglja. Do Malty odsyłał nas rząd turecki statkiem, wchodzącym do składu floty wojennej; stamtąd jechać dalej mieliśmy okrętem wynajętym.

Przejazd z Szumli do Warny na podwodach i koniach wierzchowych, sposobem rekwizycji ze wsi sprowadzonych, zabrał czasu dni dwa i pół przy niepogodzie ustawicznej. Prowadzono nas pod eskortą wojskową i nie wpuszczono do Warny, którą, ażeby się do portu dostać, dokoła obejść nam kazano. Zdaje się, że w chwili przybycia naszego wrota miejskie zamknięto i z miasta nie wypuszczano nikogo. Na brzegu znaleźliśmy się sami. Łodzie na nas czekały; wnet nam kazano wsiadać, i łodzie jedna po drugiej, napełnione wychodźcami, popłynęły ku fregacie, stojącej na kotwicy w odległości kilometrów paru od brzegu. Port warneński nie jest portem osłoniętym i nie posiada dla statków przystani. Wiatry północno-wschodnie, wschodnie i południowo-wschodnie mają do niego przystęp otwarty szeroko. Jeden z wiatrów tych zapewne panował w momencie przybycia naszego; morze było wzburzone, bałwany się wzdymały, łodzie z trudnością do okrętu przybijały; dla niejednego z nas morze i okręt były nowością po raz pierwszy w życiu oglądaną.

Dla mnie nie były one nowością. Przemieszkiwałem w Odesie lat trzy. Alem nie odbywał podróży morskiej, w warunkach zwłaszcza takich, jakie się nam w Warnie przedstawiły. Na pokład dostaliśmy się zmokli, zziębnięci i zgłodniali. Wskazano nam kajutę. W kajucie było ciepło. Członki przeniknęło uczucie błogości. Rozdano nam jadło: na głowę po chlebiku, garść oliwek i cebuli. Spożyłem porcję moją z apetytem. Niebawem w okręcie czuć się dało drżenie i kołysanie, które wywierać poczęło na mnie wpływ opisać się niedający. Doznawałem wrażenia takiego, jakby mi się regularnie razporaz wewnątrz pod piersiami robiła próżnia i jakby do próżni tej chłód wchodził. Ckliło mnie i nudziło. Wyniosłem się cożywiej na pokład i, jak tylkom się do bortu okrętu dostał, oddałem wnet morzu chleb, oliwki i cebulę. Następnie rwać mi wnętrzności poczęło. Wysiłki, jakie czyniłem do wyrzucenia z żołądka

tego, czego w żołądku nie było, sprawiały mi przykrość niewysłowioną. Rady sobie dać nie mogłem. Czułem się bardzo nieszczęśliwym. Z utęschnieniem spoglądałem ku znikającym w pomroku wieczornym brzegom; z wyrzutem, jaki samemu sobie czyniłem, patrzałem na wzdymające się i pianę, co niby grzywa biała wyglądała, toczące bałwany. Gdybym do Szumli wrócić mógł, wróciłbym. Klamka jednak zapadła. Okręt płynął, drżąc od maszyny parowej, prując fale spienione, przewalając się zboku nabok i wydając woń wstrętną oliwy stęchłej, wysoko nagrzewanej. O! czułem się nieszczęśliwym, a pociechą moją jedyną było, żem się śród również nieszczęśliwych znajdował. Choroba morska dotknęła nas wszystkich, z wyjątkiem tych, co podróże na morzu odbywali, i jednego, który morza przedtem nie widział, znalazł się na niem jednak odrazu jakby w żywiole swoim. Był to Jan Mikułowski, rodem z Polesia wołyńskiego, młody człowiek, bardzo chudy i niesłychanie dowcipny. Poznałem się z nim i zbliżyłem w Szumli; na Węgrzech służył w artylerji. Jego jednego choroba morska ominęła, również jak Dembińskiego i Zamoyskiego, którzy od czasu do czasu na pokład wychodzili. Przechadzaniu się ich swobodnemu przeszkadzało jeno silne kołysanie się okrętu, przewalającego się w dwóch naraz kierunkach: ztyłu naprzód i zboku nabok. Nie na wszystkich jednak choroba morska działała z siłą jednakową. Nazajutrz liczba ofiar onej zmniejszyła się znacznie, a gdy naszedł wieczór dnia drugiego podróży naszej, cierpiących było już kilku zaledwie. Do liczby ich należałem i ja. Mnie choroba nie opuszczała i, jeżeli mi wnętrzności nie szarpała, to wprawiała mnie w stan niemocy, połączonej z niemożnością przybrania pozycji i znalezienia sobie miejsca. Czym stawał, czym leżał, zawsze mi było źle. Dembiński, przechodząc mimo mnie i ulitowawszy się utrapieniu memu, odezwał się:

— Połóż się nawznak na osi okrętu...

Poszedłem za radą jego. Nie pomogło to mi ani trochę.

Załogę statku stanowili Turcy pod dowództwem kapitana Izet-Beja, człowieka suchego, jednookiego i okrutnie krzykliwego. Często słyszeć się dawał głos jego, nabrzmiały tonem gniewu. Przebiegał z końca w koniec okrętu, rozkazy dając i gniewając się ustawicznie; na majtków krzyczał, w kark ich

bił, sternikowi pięści zaciśnięte pokazywał. Urosło stąd pomiędzy nami mniemanie, że kapitan z okrętem rady sobie dać nie umie, że drogę zgubił i odnaleźć jej nie może. Jednemu przywidziała się skała, o którą bylibyśmy się rozbili, gdyby nie on, co ją wskazał. W dniu trzecim wreszcie rano wjechaliśmy do Bosforu; przepływaliśmy mimo wybrzeży czarownych, widzieliśmy krajobrazy cudne, śniegiem przysypane; jawił się wkońcu oczom naszym widok Konstantynopola. Cóż jednak? Przekonałem się, że widoki najpiękniejsze wrażenia nie wywierają na człowieka chorobą morską znękanego. Inni się zachwycali; jam obojętnie patrzał na wspinający się ku górze gród Konstantyna, na budowle, minarety, cyprysy, na cypel Starego Seraju, na wszystko słowem, co, razem wzięte, stanowi jeden z najpiękniejszych na kuli ziemskiej obrazów.

Fregata rzuciła kotwicę przy wnijściu do portu, opodal nieco od skupionych w takowym okrętów. Na pokładzie pojawiło się urzędowych osobistości kilka, nie wiem kto. Podpłynęło kaików kilka. Zamoyski podobno na ląd wysiadał. Grono nasze opuścił Dembiński z Korzelińskim i jeszcze z kimeś. Z nas żadnemu wylądowywać nie wolno było. W godzin kilka później kotwicę podniesiono, koła warknęły, ruszyliśmy dalej; mnie znów choroba, która na chwilę sfolgowała była, opanowała. Zdaje się, żem wkońcu pozostał sam jeden pod wpływem choroby morskiej. Widoczniem się na marynarza nie rodził.

Z podróży z Bosforu do Malty, która trwała dni pięć, nic z wyjątkiem choroby w pamięci mi nie pozostało. Nie przypominam sobie ani Dardanelów, ani Archipelagu, ani wybrzeży Peloponezu. Wiatr ustawicznie utrzymywał okręt w stanie rozkołysanym i na pokład wychodziłem dla zachwycenia świeżego powietrza w płuca, nie zaś dla zwracania uwagi na przedmioty na oglądanie zasługujące. Uwaga moja zbudziła się, gdyśmy w Malcie do portu zawinęli. Z morza wzburzonego wpłynęliśmy nagle w zatokę zaciszną, zamkniętą, zabudowaniami otoczoną. Zrobiło się mi odrazu lżej. Przez dni kilka nic w usta wziąść nie mogłem; naraz apetyt się obudził i do zaspokojenia onego nastręczyła się wnet okazja. Fregatę turecką otoczyły łódki maltańskie: jedne próżne, drugie z rozmaitemi na sprzedaż artykułami. Ten przywoził korale, ów wyroby galanteryjne, inny pomarańcze, inny znów wiktuały. Kupiłem sobie

chleba bochenek i śledzi wędzonych kilka. Nigdy mi jadło równie nie smakowało. Pożarłem chleb i śledzie z łapczywością zwierzęcą.

W porcie maltańskim opuścił nas Zamoyski ze świtą swoją. Po odjeździe jego dowiedziałem się, że obiecał starać się dla nas o pomieszczenie w armji belgijskiej. Wielu na to liczyło, spodziewając się odpowiedź i wskazówki znaleźć w porcie angielskim. Nie wiedziałem, co o tem myśleć; zdawało mi się, że to rzecz możliwa. Wraz z Zamoyskim opuścili nas i ci, co posiadali paszporty do Francji. Wybraliśmy pomiędzy sobą najstarszego stopniem, któryby nas wobec władz i w interesach naszych reprezentował. Był nim Edward Dzwonkowski, major ze służby węgierskiej, rodem z Galicji. E. Dzwonkowski, dla nieznajomości języków innych jak polski i niemiecki, obejść się nie mógł bez pomocnika tłumacza. Zrazu przybrał sobie Szumlańskiego, który mówił po francusku i trochę po angielsku; gdy atoli Szumlański odjechał, do wyboru pozostał Mikułowski albo ja. Mikułowski, przezywający się podówczas Duryczem, nie nadawał się. Przybrał on względem demokracji, do której przyznawaliśmy się wszyscy, zwłaszcza zaś ci, których nie zdobiły tytuły oficerskie, ton drwiący. Z racji tej mnie się dostała godność adjutanta, powołanego do porozumiewania się z ludźmi w zastępstwie Dzwonkowskiego. Funkcja ta zgoła uciążliwą nie była, ani na Malcie ani później.

Na Malcie rząd angielski ofiarował nam gościnność na dni kilka. Zostaliśmy ulokowani w gmachu kwarantanny, niezajętym w momencie owym spowodu pomyślnego stanu zdrowia w okolicach, z których okręty do Malty przybywały. Dla oficerów wydzielono pokoje frontowe z balkonem i z obszerną salą jadalną, szeregowców umieszczono w skrzydle; karmiono nas wyśmienicie; na stole pojawiały się dania, oglądane w życiu naszem po raz pierwszy, jak np. karczochy; nie wiedzieliśmy, jak się wziąść do nich. Nie pozostawaliśmy jednak długo. Na trzeci dzień przybycia ambarkowano nas na statek żaglowy, wynajęty do Southampton. Był to okręt, przeznaczony do wożenia zboża i nieprzyrządzony zgoła dla pasażerów. W tylnej części znajdowała się kajuta kapitańska, pomieścić mogąca osób najwyżej ośm, dziesięć może; w kajutach przednich mieszkali majtkowie; pozostawał magazyn, który zajmował

cały pod pokładem środek, niewyższy jak wysokość człowieka wzrostu miernego. Służył on do zsypywania zboża; światło dostawało się doń zgóry przez otwór, zamykany ciężką zatułą, i otwór ów był zarazem oknem i wnijściem. Wchodziło się po schodkach. Pułap, który był pokładem, opierał się na potężnych poprzecznych i podłużnych belkach. Środek zajmował słup gruby: był to maszt główny, który od dna okrętu, przez podłogę magazynu i przez pokład wybiegał nazewnątrz, gdzie przesuwały się po nim poprzecznice żaglów, zdobiły go haki i obwijały powrozy, utrzymujące łączność pomiędzy nim a dwoma innemi pomniejszemi masztami, wznoszącemi się jeden w tylnej, drugi w przedniej części okrętu. Magazyn znajdował się w bezpośredniej z kajutą kapitańską komunikacji zapomocą umieszczonych w przepierzeniu, niskich a wąskich drzwiczek, i nie posiadał żadnych podróżnikom wygodę zapewniających warunków. Naga podłoga — oto wszystko. Nie wiem z jakiego tytułu — może z tytułu gościnności — brakowi temu, któryby się nam dotkliwie czuć dał, zapobiegł rząd angielski wyspy Malty, ofiarując na użytek nasz i na własność pościel, która nam w kwarantannie służyła. Pościel składała się z materaca, prześcieradeł, kołdry wełnianej i poduszki, wszystko w gatunku dobrym. Ze wszystkiem tem przewieziono nas na statek, na którym ulokowaliśmy się w magazynie, z wyjątkiem kilku, co wraz z Dzwonkowskim zajęli kajutę kapitańską. Do grona tego nie należałem. Rozesłałem materac mój w kącie pod ścianą na podłodze, w szeregu materaców kolegów innych, jeden obok drugiego ciągnących się wzdłuż dwóch boków okrętu. Niektórzy, uwiązując prześcieradła do belek, formowali sobie hamaki wiszące. Nade mną w sposób ten zawiesił legowisko swoje J. Mikułowski. Przysposabialiśmy się do podróży całomiesięcznej, powiadano nam bowiem, że tyle mniejwięcej czasu zajmie przepłynięcie statkiem żaglowym z Malty do Southamptonu.

Z Malty wyprawiono nas z uprzejmością, z jaką wyprawiają zazwyczaj podróżnych gospodarze gościnni. O gościnności tej wspomnę jeszcze później przy sposobności, która się zdarzyła niebawem.

Zapomniałem nazwisko okrętu i nazwisko dowodzącego nim kapitana. Przypominam sobie jeno, że kapitan był Wło-

chem, jakoteż z Włochów składała się załoga cała, licząca ludzi ośmiu czy dziewięciu. W liczbie tej jeden funkcjonował jako kucharz, jeden zaś starszował i odznaczał się zamaszystością marynarską. Na imię mu było Jovanni. On instalacji naszej w magazynie prezydował, rad i skazówek życzliwie nam udzielał, na majtków hukał, rozkazy im głosem grzmiącym dawał — wszędzie go pełno było: na pokładzie i pod pokładem.

Dnia 10 czy 12 kwietnia (1850) wypłynęliśmy z portu maltańskiego. W porcie, ze stron wszystkich osłoniętym, panowała cisza zupełna. Uczuwać się nie dawał podmuch wiatru najmniejszy. Okręt żaglowy byłby wyjść nie zdołał, gdyby go nie wyciągnęły łodzie, wiosłami się posiłkujące. Łodzie nas holowały aż na pełne morze, na którem odrazu dostaliśmy się pod wiatr. Okręt się kołysać począł. Majtkowie rzucili się do żagli, rozwinęli takowe, i ruszyliśmy szlakiem mokrym. Do wieczora Maltęśmy z oczu stracili, zwłaszcza że mgła nas otoczyła. Nadeszła noc. Wiatr się wzmagał.

Zająłem legowisko moje, które znajdowało się tuż obok drzwiczek prowadzących do kajuty kapitańskiej.

Powiadano mi, kiedym się na chorobę morską uskarżał, że choroba ta przemija po odbyciu jednej dłuższej podróży i że na statku żaglowym uczuwać się nie daje tak mocno, jak na parowym, a to dla tej przyczyny, że w tym ostatnim łączą się dwa ruchy: kołysanie, będące dziełem wiatru, i drżenie, pochodzące od maszyny. Spodziewałem się przeto spokoju. Ale! Jak skoro się kołysanie rozpoczęło, natychmiast mnie choroba opanowała. Nabrałem jednak doświadczenia trochę. Nie rozstawałem się ani na chwilkę z cytryną, którą wąchałem, gryzłem i smoktałem, starając się przytem o ile możności leżeć nawznak. W sposób ten cierpień nie usuwałem, alem je sobie umniejszał trochę. Leżeć atoli ustawicznie niepodobieństwem było dlatego bodaj, że pod pokładem tworzyła się zaducha. Dla odetchnięcia powietrzem świeżem wywlekałem się od czasu do czasu na pokład; musiałem jednak czasu więcej spędzać pod pokładem, usiłując spać. Sen, jakem się przekonał, jest jedyną skuteczną na chorobę morską prezerwatywą. Na nieszczęście nie jest on na zawołanie; z drugiej znów strony zależnym jest od warunków, śród których cisza i spokój należą do główniejszych. Niestety, ani jeden, ani drugi nie istniał dla nas. Prze-

chodzący przez magazyn maszt sprawiał pod naciskiem wiatru skrzypienie takie, że się nieraz wydawało, jakby wiązania okrętu łamały się i pękały. Słyszeć się dawał niekiedy trzask, który nagle budził nas wszystkich, — na równe zrywaliśmy się nogi. W warunkach takich spędzona noc pierwsza upłynęła bezsennie, ale nie bezkorzystnie. Poznaliśmy istotę skrzypów i trzasków, którą nam nazajutrz wytłumaczył dokładnie Jovanni i zaręczył, że okręt nie ponosi stąd szkody najmniejszej.

Wiatr dął w żagle, które majtkowie często nastawiali w kierunku raz takim, znów innym. Zmiana ta kierunków poznać nam dawała, że lawirujemy, o czem jeszcze dowiadywaliśmy się z kompasu, wskazującego płynięcie raz na północ, znów na południe, nie zaś na zachód, jak należało. Wiatr zachodni spychał nas wstecz z drogi naszej. Sztuka cała polegała na tem, ażeby się za daleko zepchnąć nie dać. Kapitan trzymał statek na wysokości, leżącej nieopodal od wybrzeży afrykańskich wysepki Pantellarji, która się nam ukazała nazajutrz po opuszczeniu Malty. Mieliśmy ją w oczach przez dzień cały. Spodziewaliśmy się, że przez noc oddalimy się od niej. Nazajutrz pokazała się znów i wciąż w oczach stała, raz bliżej, znów dalej, niekiedy tak blisko, żeśmy na górach śród krzaków wyróżniali ścieżki, co się na pochyłości wiły. Tu i ówdzie spostrzegać się dawały strażnice wojskowe. Pantellarja w czasach owych służyła za miejsce zesłania dla przestępców tak politycznych jak zwyczajnych i z tego powodu otaczała ją nieprzystępność. Przybijać do niej nie wolno było statkom innym, jeno rządowym neapolitańskim, należała bowiem do Królestwa Obojej Sycylji, pozostającego pod panowaniem smutnej pamięci Ferdynanda II, przezwanego „królem Bombą“. Myśmy jeno patrzeć na nią mogli. Patrzyliśmy. Przedstawiała się zielono, ale pusto. Patrzyliśmy na nią długo: nikła bowiem w cieniach wieczornych nato tylko, ażeby nazajutrz rano pokazać się znów. Powtarzało się to dzień po dniu. Opływaliśmy ją dokoła, mając ją dnia jednego na prawo, drugiego na lewo. Wkońcu zapytywaliśmy siebie i Jovanniego:

— Czyż od tej Pantellarji przeklętej nie odpłyniemy nigdy?...

— Odpłyniemy, gdy wiatr się zmieni... — odpowiadał Jovanni.

Wiatr to słabł, to wzmagał się, był jednak wciąż przeciwny. Dnia pewnego wzmógł się mocno, fale wzdymał wysoko, wodę pienił, w masztach świstał i jęczał, na niebie chmury pędził, i chmury, przesuwając się, deszczem bluzgały. Statek kołysał się i na boki przewalał. Próbowałem na pokład wychodzić; lecz na pokładzie ustać nie można było, a przytem obecność nasza zawadzała majtkom, którzy z żaglami ustawicznie do czynienia mieli. Pozostawałem więc na legowisku mojem, walcząc z chorobą i obojętnie przyjmując skrzypienie i trzeszczenie, z którem się nakoniec, równie jak wszyscy towarzysze moi, oswoiłem.

Nadszedł wieczór, pociemniało; zawieszono lampę i zasunięto otwór zwierzchu zatułą. Jovanni zapowiedział nam, ażebyśmy dla nieprzeszkadzania majtkom w manewrach na pokład w nocy nie wychodzili. Wyciągnąłem się, wzywając snu na pomoc. Wezwaniu memu zadość się stało. Mimo huk wichru, łoskot uderzających o statek bałwanów i trzeszczenie spotęgowane zasnąłem mocno. Nagle obudziło mnie wstrząśnięcie silne. Poprawiłem się na pościeli, myśląc, że wstrząśnięcie to jest następstwem silniejszego szarpnięcia masztu przez wiatr. Zamknąłem powieki; lecz je wnet otworzyłem, o słuch mój bowiem uderzył odgłos niezwykły: brzęk tłukącego się szkła.

— Coby to być mogło?... — pomyślałem.

W chwili tej drzwi od kajuty kapitańskiej otworzyły się i odezwał się głos Łuniewskiego (kapitana):

— Polecajcie się Bogu, bracia: rozbiliśmy się...

Zrobił się śród nas ruch. Słyszeć się dawały pytania i odpowiedzi. Ktoś zatułę odsunął i jeden po drugim po schodkach na pokład wybiegał. Jeden — jeden tylko z wybiegających, ułan jakiś, płakał i narzekał głośno. Jam na posłaniu usiadł i ubierać się począł, mówiąc o rozbiciu z zawieszonym nade mną w hamaku Mikułowskim, który wiadomość tę przyjmował z krwią zimną i nie ruszał się wcale. Wzuwałem buty. Mikułowski się odezwał:

— Butów przecie nie wkładaj.

— No jakże? — odparłem.

— Ciężko ci będzie pływać, gdy się do wody wysypiemy.

Słuszna ta uwaga do przekonania mi trafiła. Ubierania się zaniechałem i uspokoiłem się, w chwili tej bowiem ci, co na

pokład wybiegli byli, wracać poczęli, a na schodkach pojawił się Jovanni i zawołał głosem donośnym:

— Spokój! na pokład nie wychodzić! manewrom przeszkadzacie!

Rzekłszy to, zatułę zasunął.

Nie pomnę, kto z kapitańskiej kajuty wyszedł i toż samo powtórzył.

Z pokładu dochodziły odgłosy krzątania się pośpiesznego, tupania, oznaczającego bieganie, brzęku łańcuchów, stuków jakby od uderzenia młotami, rąbania wreszcie.

— Co to rąbią? — rzucano śród nas zapytanie.

Powszechnem było mniemanie, że zrzucają maszt, skrzypienie którego mocniejszem się aniżeli poprzednio wydawało. Rąbanie zawzięte trwało czas jakiś, poczem nastąpiło przesuwanie, połączone z okrzykami, zapomocą których majtkowie przy robocie ciężkiej takt znaczą i ochoty sobie dodają. Nie wiedzieliśmy, co to się robi, czuliśmy jeno podrzucanie okrętu, które się powtarzało regularnie w pewnych czasu odstępach. Okręt podnosił się, nagle upadał i uderzał o coś twardego. Po każdem uderzeniu takiem następował trzask, sprawiający wrażenie łamiących się desek czy belek.

Hałasy na pokładzie ustały. Ktoś zatułę wierzchnią odsunął. Towarzysze moi jeden po drugim poczęli z magazynu wychodzić. Poszedłem za innymi i ja, i oczom moim przedstawił się widok taki: na środku pokładu miejsce, które zajmowała łódź ratunkowa *(canot de sauvetage)*, opróżniło się, a przy jednym z bortów, przy lewym, stała skupiona gromadka towarzyszy moich. W ciemności nic innego widzieć nie mogłem. Zbliżyłem się do gromadki w momencie właśnie, kiedy Dzwonkowski tłumaczył, że kapitan spuścił na morze łódź celem wysłania takowej po ratunek. Sytuacja nasza nie jest rozpaczliwa. Osiedliśmy na skale, przypuszczać atoli należy, że okręt do rana dotrzyma. Kapitan nie wie, w jakim mianowicie znajdujemy się punkcie; domyśla się, że być musimy na brzegach afrykańskich: wysłanie przeto łodzi koniecznem jest, ażeby nie stracić chwili czasu i, jak skoro dzień zaświta, pomocy zawezwać. Dodał Dzwonkowski, że kapitan zaleca nam spokój i dla natchnienia nas takowym wyprawia majtków i Jovanniego, sam zaś z nami zostaje.

— To — zakończył — powinność jego: ze statku rozbitego zejść ostatnim.

Przysunąłem się do bortu. Był on w części zrąbany, a u spodu, na wodzie trzymała się majtkami zapełniona łódź, na której błyszczała latarka. Kapitan domagał się, ażeby z załogą ktoś z nas pojechał, a to dla dopilnowania i ponaglania pomocy, gdy się takowa odszukać da. Kto jechać miał? Dzwonkowski. Dzwonkowski tedy, wezwawszy ze sobą nie pomnę kogo, do łodzi się spuścił, a za nim, z okrzykiem: „Żonę mam i dzieci“, skoczył niejaki Kamiński, znany mi z widzenia i z tego, że po węgiersku umiał. Mało brakło, żeby Kamiński ów do wody był nie wpadł, w chwili bowiem jak skoczył, łódź ruszała już. Odpłynęła i, jak skoro odpłynęła, wnet nam z oczów znikła, unosząc na wzburzonych falach załogę całą — z wyjątkiem kapitana. W łodziśmy go nie widzieli, byliśmy przeto najpewniejsi, że pozostał z nami i że w tłumie pociemku dojrzeć go nie możemy. Przekonanie to uspokajało nas, wiadomem nam bowiem było, że okręty, w takiem jak nasz znajdujące się położeniu, wznoszące się na falach i opadające na kamień, pękają, otwierają się, wodą się napełniają i że wodę pompować potrzeba. O pompowaniu mieliśmy wyobrażenie słabe. Spuszczaliśmy się we względzie tym na kapitana, w pogotowiu przeto robienia wszystkiego, co on nam wskaże, pozostawaliśmy na pokładzie, w oczekiwaniu na skazówki jego. Skazówek atoli nie dawał nikt.

Snadź potrzeby niema — było pomiędzy nami mniemanie powszechne.

W przeświadczeniu tem zeszedłem nadół. Pod pokładem latarnia wisząca rzucała światło na pustkę. Nie było nikogo. Posłania porozrzucane świadczyły o pośpiechu, z jakim wynosili się ci, co zajmowali takowe. Tu i ówdzie leżało zawiniątko rzucone — snadź ten i ów myślał o rupieciach swoich. Zwróciłem się ku posłaniu memu i — jakiemże było zdziwienie moje, gdym spostrzegł obecność Mikułowskiego w hamaku.

— Durycz! — zawołałem (taki Mikułowski pseudonim przybrał).

Na wołanie odpowiedziało mi milczenie.

Zajrzałem do środka. Mikułowski spał.

Spał!

Zdziwiło mnie to ogromnie. Bądźcobądź, ażeby spać w momencie takim, posiadać było potrzeba dużo krwi zimnej.

Zbudziłem go.

— Cóż tam słychać? — zapytał.

Opowiedziałem jak rzeczy stały.

— Wszystko więc polega na tem — odrzekł —, ażeby okręt do dnia dotrzymał.

Wtem statek o kamień się uderzył.

— O! — odezwał się — tak jeszcze razy parę, a będziemy się kąpali... Trzeba to będzie postronek jaki wyszukać i sporą deskę sobie upatrzeć.

To mówiąc, powoli się ubierał, z hamaku wylazł; razem wyszliśmy na pokład, na którym spotkała nas wiadomość o nieobecności kapitana.

— Gdzie on? co się z nim stało? czy się utopił?

— Uciekł, huncwot! Do łodzi się tak, że go nikt nie spostrzegł, spuścił i odpłynął...

Pozostał wszakże z majtków jeden, który spał w chwili, kiedy okręt na skale osiadł; spał zaś długo i mocno dlatego, że się był spił, jak bela. Niewielka atoli była z niego pociecha, był to bowiem kucharz, nieznający się na manewrach ratunkowych zgoła. Zamiast przeto udzielenia skazówek takich, jakieby się szczególnie przydały, udzielił innych. Pokazał skład napojów gorących. Dzięki jemu w rękach towarzyszy moich pojawiły się butelki rumu i brandy; sami pili i drugich częstowali; paru znajdowało się już takich, którym się język plątał; wogóle jednak na pokładzie panowała trzeźwość, i trzeźwość ta zapanowała wszechwładnie, gdy ktoś dał znać, że do środka okrętu dostaje się już woda.

— Pompa... Do pompy! — słyszeć się wnet dały okrzyki.

Rzuciliśmy się do pomp. Szło nam z niemi zrazu niełatwo, doszliśmy atoli sposobu i, pozakładawszy drągi, pompowaliśmy wodę na potęgę. Nastąpiło to w chwili, kiedy dzień świtać poczynał.

Rozbiliśmy się d. 19 kwietnia o godzinie drugiej w nocy — tego samego dnia, miesiąca i o tejże samej godzinie, o której rok temu, przed bitwą pod Nagy-Szarlo wlazłem był z sekcją moją do obozu austrjackiego. Zapytałem więc siebie, czy nie jest to dla mnie dzień feralny? Nie było wszelako czasu na

rozwiązywanie zagadki tej. Moja i nas wszystkich uwaga zwróconą była na pompy, które w ciągłym utrzymywaliśmy ruchu i z których woda obficie się lała, co świadczyło o przybywaniu onej do środka okrętu w ilości znacznej. Gdzieś u spodu albo zboku deski się rozeszły i szczelina otworzyła. Okręt się nabok przechylił, trzymała go naprężona mocno lina od kotwicy. Fale go wciąż podnosiły i o skały nim tłukły, a bałwany o boki uderzały. Nadobitek złego rozwinął się z żagli jeden i dmący weń wiatr powiększał naprężenie się liny, tak że się ta wkońcu zerwać mogła. Zrozumieliśmy niebezpieczeństwo. Ażeby zapobiec onemu należało żagiel zwinąć; ale — jak? Nikt z nas czynności tej dokonać nie umiał. Zwróciliśmy się z przedstawieniami mimicznemi do kucharza, ten wszelako głową jeno kręcił i kiwał. Nie pozostawało co innego, jak samym próbować. Próbował ten i ów; próba jednak powiodła się ułanowi, nazwiskiem Bogumił Jakubson; ten na maszt się wdrapał, do żagla dostał — żagiel ująć i związać potrafił. Bodajto ułani.

Dzień świtał; coraz się to jaśniej i jaśniej robiło, i rozpoznaliśmy wkońcu, że znajdujemy się nieopodal od wybrzeża jakiegoś. Odległość, od oka sądząc, wynosiła niewięcej, jak dwa do trzech kilometrów. Ląd przedstawiał się pod postacią wybrzeża płaskiego, piaszczystego, ciągnącego się wgłąb kraju ku płaszczyźnie zielonej; na horyzoncie zarysowywały się góry. Otucha w nas wstąpiła. Umiałem pływać trochę, powiedziałem więc sobie: „może dopłynę“. Nadzieja, która nie opuszczała wówczas nawet, kiedy nas ciemność otaczała, wiatr szalał, morze huczało i ucieczka kapitana zaznaczyła ogrom niebezpieczeństwa, — spotęgowała się na widok lądu. Oddzielało nas od takowego morze wzburzone. Bałwany spienione jeden za drugim biegły i na brzeg się wtaczały. Wyobrażałem sobie, jak jeden z bałwanów tych mnie na piasek zaniesie. Spodziewaliśmy się przytem powrotu łodzi naszej i przybycia łodzi innych, liczyliśmy bowiem na to, że Dzwonkowski o nas nie zapomni. Lecz dzień świtał, wreszcie zrobiło się już całkiem jasno, na horyzoncie nic się widzieć nie dawało.

Pokazali się na brzegu ludzie. Jeden po drugim przybywali, w kuczki siadali i siedzieli. Rozpoznaliśmy w nich Arabów. Obecność ich była znakiem, że gdzieś wpobliżu osady

ludzkie się znajdują. Przypuszczaliśmy, że w osadach tych mieszkańce rybołowstwem się trudnią, że wiedzą o nas i niebawem na ratunek nam przybędą. Czas atoli upływał i nie przybywał nikt, a tu położenie nasze corazto się pogarszało: woda już wnętrze statku zalała, okręt się bowiem położył — trzymała go jedynie kotwica na kamieniu —, lina w najwyższym stopniu naprężona lada moment urwać się mogła. Wołaliśmy do siedzących na brzegu ludzi, dawaliśmy im znaki; ale wołanie nasze pokrywał huk morza, a znaków oni rozumieć się nie zdawali. Ktoś wynalazł tubę morską i przez nią przemówił do Arabów — po polsku. Nie zdało się to na nic.

Pomiędzy nami znajdował się jeden — nazwisko jego z pamięci mi wypadło — człowieczek zabawny, cichy i tajemniczością się otaczający. Podawał się on za emisarjusza generała Kniaziewicza (n. b. już podówczas nieżyjącego) i powiadał, że był przezeń do Persji wysyłany, że pozostawał w porozumieniu z szachem perskim i miał od tegoż polecenie werbowania Polaków i formowania z nich stowarzyszenia wojskowego w rodzaju zakonów wojennych; pokazywał pod sekretem dokumenty jakieś i rozdawał ordery. Chował to wszystko w walizce, której strzegł jako oka w głowie. Żartowano z niego; on jednak na żarty milczeniem i uśmiechem odpowiadał, przy swojem obstawał, twierdził przytem, że posiada wszystkie języki wschodnie, a zatem perski i arabski. Spowodu twierdzenia tego do niegośmy się o przemówienie do Arabów zwrócili. Nie odmówił. Podano mu tubę. Z walizki na której siedział, wstał, tubę do ust przyłożył i zawołał:

— *Czok su! giel burda!*

Znaczyło to po turecku: Dużo wody, chodź tu.

— Ależ mów do nich po arabsku — powiadano mu.

— To po arabsku — odpowiedział.

— Język arabski od tureckiego różni się przecie...

— A różni się.

— Ty jednak przemawiasz po turecku.

— Po arabsku — odrzekł z uśmiechem dobrotliwym i na walizce swojej usiadł.

Przemawianie nie sprowadziło następstwa żadnego. Gdyby się do ludzi tych dostać można. Komuś na myśl przyszła łódka, zawieszona styłu okrętu i służąca do komunikacji portowej.

Łódka ta zabrać nie mogła ludzi więcej, jak pięciu. Spuszczono ją. Wsiadło do niej trzech i odpłynęli. Kierowali się do brzegu; wiatr unosił ich wbok. Śledziliśmy za nimi oczami — niebawem z oczów nam znikli: mieliśmy ich za zgubionych — nie wiem, jak się na brzeg wydostali.

Wreszcie ktoś na falach zoczył punkt czarny.

— Łódź!... — słyszeć się wnet dało wołanie radosne.

Wytężyły się wzroki nasze. W rzeczy samej była to łódź, — zdawało się nam zrazu, że nasza. Posuwała się szybko. Gdy się zbliżała, poznaliśmy, żeśmy się omylili. Była ona od naszej o połowę mniejsza; prowadziło ją majtków czterech, którzy wiosłowali; piąty zaś, gruby, słuszny, do czerwoności rudy, brodaty, pośrodku stał, w boki się wziął i ku nam spoglądał. Nie rozumieliśmy, co to znaczy, skąd się łódź ta wziąć mogła. Przybiła jednak; z wioślarzy jeden hakiem okrętu naszego się chwycił, a majtek rudy na pokład wskoczył. Wskoczył, obejrzał się i coś do nas po angielsku przemówił. Ktoś mu coś po polsku odpowiedział. Majtek palcami liczbę ośm, a gestem łódź swoją wskazał. Zrozumieliśmy, że wskazanie to jest inwitacją, nie kwapiliśmy się atoli z przyjęciem takowej, dlatego bodaj, że było nas stu kilkudziesięciu i nikt z nas pierwszeństwa w ratowaniu się brać nie chciał. Majtek chwilkę, zgóry na nas spoglądając, czekał; nagle pierwszego, co się mu pod ręką znajdował, za kark pochwycił, podniósł, poniósł i do łodzi wrzucił. Niezwłocznie zrobił to z drugim, z trzecim; czwarty się nieść nie dał, innych popychał; ośmiu zabrał, sam do łodzi wskoczył i odpłynął. Widzieliśmy, jak pierwszą partję tę na brzeg wysadził i wnet spowrotem ruszył. Nim łódź powtórnie przybiła, zaszło śród nas zdarzenie, które na zanotowanie zasługuje.

Towarzystwo nasze składało się z oficerów, podoficerów i szeregowców. Zaszła kwestja, tycząca się porządku, w jakim należało na ląd wysiadać, — kwestja drażliwa, nie było bowiem pewności najmniejszej, że się nie potopią ci, co na powrót łodzi czekać będą. Czekać trzeba było najmniej pół godziny, a statek dlatego jeno na dno nie szedł, że się o kamień opierał, i dlatego tylko się nie rozpadał, że trzymały się jeszcze wiązania główne. Rozpadnięcie się lada chwila nastąpić mogło. Kwestja porządku zatem była kwestją życia w tym razie. Dotknął jej

ktoś. Nie wiem, z jakiego wyszła ona punktu; w dalszym rozwoju swoim przedstawiła się tak, że szeregowcy za pośrednictwem jednego spomiędzy siebie oświadczyli, że oni pierwsi na łódź iść nie chcą, a to dlatego, że z nich, ludzi prostych i „nienauczonych“, ojczyzna wielkiego spodziewać się nie może pożytku.

— Zginiemy, to zginiemy... szkoda niewielka...

Rozrzewniło mnie to. Do sporu się wmieszałem, perswadując, że z „nauczonych“ bywa pożytek, bywa i szkoda większa, aniżeli z ludzi prostych. Spór skończył się na tem, ażeby wyróżnienia nie czynić, ale iść na łódź, jak się zdarzy: kto się z brzegu znajdzie, ten niech będzie pierwszy. Tak się też stało. Gdy łódź powróciła, wsiadło drugich ośmiu; gdy zaś odpłynęła, ukazała się łódź nasza, ale sama. Powrócił Dzwonkowski z uwiadomieniem, że się przez noc całą na pełnem trzymali morzu: o świcie dopiero dostali się do miasteczka jakiegoś i znaleźli w takowem ambarkacyj kilka, które udzielenia pomocy odmówiły. W miasteczku został kapitan z Kamińskim nibyto w celu wykołatania łodzi bodaj jednej.

Z przybyciem łodzi naszej, zabierającej po szesnastu ludzi, ratunek poszedł śpiesznie. Liczba nasza na pokładzie corazto się umniejszała. Jam się znalazł w partji ostatniej. Gdyśmy do lądu dobijali, okręt nasz rozłamał się, i na tem miejscu, gdzie sterczał, pozostały jeno deski i beczki pływające. Ratunek o pół godziny późniejszy byłby już zapóźny — wyławiać by nas w wodzie trzeba było.

Nigdy nie zapomnę chwili, w której z łodzi na brzeg skoczyłem. Czułem, jakbym się wielkiego jakiegoś ciężaru pozbył; zrobiło mi się lżej, swobodniej. Nieopodal towarzysze gromadą stali. Pośpieszyłem do gromady tej, która formowała koło. Środek koła zajmował majtek rudy, który się czegoś jakby oglądał i, nas zoczywszy, ramię podniósł. Z ust jego wyszło kilka tonem rozkazującym rzuconych wyrazów. Wyrazów niezrozumieliśmy; zrozumiałym wszakże dla nas były gest i przykład. Ręką skinął, na kolana padł, czapkę zdjął i głośno modlitwę odmawiać począł. Cała gromada nasza uklękła. On się modlił głośno. My pocichu dziękowaliśmy Bogu za ratunek. Trwało to niedługo. Rudy Anglik wstał, czapkę dogóry podniósł i, wywijając w powietrzu takową, krzyknął:

— Hep hep hep... hura!...

Zawtórowaliśmy mu.

Okrzyk ten trzy razy powtórzył, poczem do łodzi swojej się zwrócił. Dziękować mu chcieliśmy; do niegośmy się cisnęli, on jednak nasze okazy wdzięczności przyjmował w sposób, któryby w żadnem, mającem o przyzwoitości jakietakie wyobrażenie, towarzystwie cierpianym być nie mógł. Garnęliśmy się do niego; on się od nas kułakami i nogami bronił, roztrącał nas i potrącał; na łódź wskoczył, z łodzi nam pożegnanie skinieniem dłoni przesłał i — tyleśmy go widzieli. Później dowiedzieliśmy się, że przybył on z koczowiska załogi statku handlowego angielskiego, który na dzień przed nami rozbił się na temże samem wybrzeżu o mil parę na zachód. Kapitan, zoczywszy w parażach tych maszty, domyślił się, co zaszło, i wnet łódź swoją wyprawił.

Łódź nasza na miejscu rozbicia czyniła poszukiwania za prowizjami głównie. Niewiele co jednak złowić się dało. Nikomu z nas zresztą jeść się nie chciało. Pozostawaliśmy pod wrażeniem uczucia do opisania trudnego. Co do mnie, gdym się na ziemi znalazł, doznałem potrzeby uciekania od wody, ruszyłem więc natychmiast wgłąb lądu, przebiegłem wpoprzek wybrzeże piaszczyste, doszedłem do płaszczyzny zielonej i zatrzymałem się. Płaszczyznę porastały trawą podszyte krzewy laurowe. Wpatrzyłem się w trawę. W oczy rzucił mi się kwiatek jakiś błękitny. Widok kwiatka tego do łez mnie poruszył. Rozpłakałem się — czego? Wydał mi się on zapewne rękojmią, podobną do tej, jaką dla Noego była tęcza. Płakałem i uśmiechałem się do niego, wdzięczącego się z trawy do mnie. Jak to trwało długo i jak się skończyło, nie pamiętam.

Zajęliśmy się instalacją. Ze statku rozbitego zwieziono żagle, które się udało od pływających masztów odczepić. Poczęliśmy, wybrawszy na płaszczyźnie zielonej miejsce odpowiednie, budować sobie szatry. Ci szatry stawiali, owi miejscowość rozpoznawali. Czynność tę odbywaliśmy pod okiem Arabów, którzy w liczbie osób kilkunastu przypatrywali się nam z ciekawością i na nasze zaczepki mimiczne odpowiadali na migi, nie tak atoli, ażeby pomiędzy nami do porozumienia jakowegoś dojść mogło. Zdaje się, żeśmy z zapasów okrętowych dostali posiłek jakiś, — nie pomnę tego. Co innego

w pamięć mi się wbiło, a mianowicie nadejście nad wieczorem człowieczka jakiegoś, wzrostu małego, który przybył w charakterze protektora naszego. Przychodził z miasteczka pobliskiego, noszącego nazwę Kalibja, w którem pełnił funkcję reprezentanta konsularnego wszystkich mocarstw europejskich, to jest był konsulem angielskim, francuskim, hiszpańskim, neapolitańskim, austrjackim, rosyjskim etc., etc. był przytem krawcem, szewcem, stolarzem, ślusarzem etc., etc., a także adwokatem i lekarzem, i do tego wszystkiego spółziomkiem naszym. Polak!

Kalibja, luboć nad morzem w bejostwie tunetańskiem leży, portu jednak nie posiada. Przystęp do miasteczka tego uniemożliwia ciągnąca się równolegle do brzegów ława kamieni podwodnych, tak że przystań nawet nie przynosi korzyści handlowych. Przystań zresztą jest licha, na wszystkie wiatry otwarta. Okręty zdaleka omijały wybrzeże to niebezpieczne, nie wchodząc z onem w styczność, chyba w takim, jaki nas spotkał, wypadku. Od czasu do czasu rozbijały się tam statki, i dla ewentualności tej potrzebnym był w Kalibji reprezentant mocarstw. Reprezentanci tego rodzaju, zwani agentami konsularnymi, pensyj nie pobierają: żyją z handlu, przemysłu i z wizowania papierów. Że zaś w takiem jak Kalibja miasteczku dochody ze źródeł tych przedstawiały się bardzo chudo, złakomić się przeto na nie mógł jeno człowiek wykwalifikowany tak wszechstronnie, jak spółziomek nasz.

Nie wiem, jaka go na brzegi te burza zapędziła, zapomniałem nazwiska jego; postać atoli jego, niby żywa, w oczach mi stoi. Wszedł; usłyszawszy mowę polską, stanął zdumiały, uśmiechnął się następnie i ofiarował nam usługi swoje w języku polskim. To ostatnie zdziwiło nas. Otoczyliśmy go i on nam powiedział, że nas pod protekcję swoją bierze.

— Ale... pod jaką? — zapytał — pod jaką?

Nie zrozumieliśmy tego, aż wytłumaczył nam, że jest wszechkonsulem.

Wybraliśmy opiekę angielską. Pozostawaliśmy pod takową przez dwa tygodnie na wybrzeżu afrykańskiem.

W kilka dni później z Tunisu przybył oficer, przedstawiciel władzy bejowskiej, który obozował z nami, po razy kilka dziennie przebierał się w mundury rozmaite, czuwał, ażeby nam

na niczem nie zbywało i zapowiedział przybycie fregaty, mającej nas na Maltę odwieźć.

Czas schodził nam na wylegiwaniu się na piasku i przechadzkach w okolicy. Nie mogliśmy się zbytecznie od obozu oddalać z obawy Arabów, którzyby ceremonji nie robili, gdyby który na osobności w ręce im wpadł. Przechadzki urozmaicało nam polowanie z sokołami na przepiórki i kuropatwy. Była to pora, w której przepiórki z ciepłych krajów do Europy wracają. Arabowie łowią je żywcem secinami. Myśliwy niesie spętanego na lewem ręku sokoła, w prawem zaś ręku niesie kij długi i kijem tym w krzaki laurowe i jałowcowe szturcha. Zapomocą szturchania płoszy przepiórkę, na którą, jak skoro się zrywa, rzuca sokoła i ten ją wnet chwyta. Długi, lekki, do pęt przywiązany sznurek uciec mu przeszkadza. Myśliwy przepiórkę do torby chowa, z sokołem na ręku dalej idzie i w krzaki kijem szturcha. W sposób ten w przeciągu godzin paru pojmać można przepiórek trzydzieści, czterdzieści. Kiedy niekiedy trafia się kuropatwa, która także porządkiem tym samym do torby się dostaje. Przepiórki, ogromnie w porze tej tłuste, idą w umyślnie na ten cel przyrządzanych kojczykach w handel na Maltę, do Włoch, aż do Francji. Na polowaniach tych zapędzaliśmy się do pól uprawnych, obsadzonych kaktusami, i spotykaliśmy Arabów, przechodzących w stroju Adama, z burnusem na ramieniu.

W ciągu pobytu naszego na wybrzeżu tunetańskiem nie przytrafiło się nam nic osobliwego. Dochodził nas niekiedy zdala huk grzmotowy, miało to być lwa ryczenie; powiadano, że lew wpobliżu cielęta z zagród chwyta; nas nie odwiedzał. Czas upływał nam spokojnie. Pogoda sprzyjała stale z wyjątkiem nocy jednej, w której burza szatra nam pozrywała i padał deszcz grubokroplisty a obfity. Deszczowi byliśmy wdzięczni, spowodu że na rozporządzenie nasze nie było wody innej, jeno ta, co się zbierała w dołach piaszczystych i formowała jeziorek parę na okrytej krzewami płaszczyźnie. Służyła nam ona do picia i do gotowania, jakoteż do prania. Z żalem widzieliśmy ją znikającą powoli. Deszcz zasilił jeziorka, które wszakże byłyby nie wytrzymały działania słońca majowego, i dlatego, równie jak dlatego, że się już nam w tem od świata oderwaniu nudzić poczynało, pragnęliśmy rychło pobytu na-

szego na ziemi afrykańskiej zakończenia. Zachodził powód jeszcze jeden, dla którego pobyt ów miłym nam nie był. Polegał on na tem, że w oczach ustawicznie stała nam Pantellarja. Och! ta Pantellarja. Dojadłaż nam ona. Opływaliśmy ją przez dni dziewięć i następnie przez dwa tygodnie zgórą stożkowa jej postać z ócz nam nie schodziła. Widzę ją dziś jeszcze przez pryzmat lat kilkudziesięciu.

Na brzegu afrykańskim mieliśmy do załatwienia sprawę z kapitanem statku rozbitego. Chodziło o wydanie mu świadectwa, opiewającego, jako do niego nie mamy pretensji najmniejszej. Pretensji o rozbicie się mieć nie mogliśmy żadnej, ale byliśmy na niego w stopniu najwyższym oburzeni za ucieczkę, dokonaną wbrew nietylko sumienności, ale także prawom, jakie marynarzy zobowiązują. W obliczu praw tych był to występek haniebny. Wiedzieliśmy o tem i niektórzy z nas odgrażali się, że mu się we znaki dadzą.

— Potrzeba go opisać, oskarżyć! Niech się on nam na oczy nie pokazuje!

On się jednak pokazał W dni kilka po rozbiciu przyszedł do nas taki skromny, pokorny i proszący, że do srożenia się na niego serca nam zabrakło. Ujął nas tem, że powiedział, że jest ojcem i synem, żywicielem matki starej i rodziny drobnej:

— Gubiąc mnie, zgubicie ich, panowie... — powiadał.

Cóż winne były matka, żona i dzieci jego?

Konsyderacja ta złagodziła wrogi sentymentów naszych względem uciekiniera tego nastrój. Wystawiliśmy mu świadectwo nie pochwalne, takie atoli, które go wobec sądu oczyszczało. Oświadczyliśmy, że do niego pretensyj nie mamy. Nie świadczyż to, że w gronie naszem nie było ludzi zawziętych?

Po załatwieniu się z tem sprawa żadna inna spokoju nam nie zamąciła. Rząd bejowski dostarczał nam żywności, tak pod względem jakości, jak ilości zadowalniającej. Czekaliśmy na przybycie fregaty i doczekaliśmy się. Wieczora pewnego oznajmiono nam, że się będziemy ambarkować nazajutrz; jakoż nazajutrz o świcie w obozie naszym pojawiły się wielbłądy z przewodnikami. Zjawił się i spółziomek nasz wszechkonsul. Gdyby

nie on, bylibyśmy nie wiedzieli, co czynić mamy. Dzięki jemu odbyły się w porządku należytym przenosiny nasze z koczowiska do Kalibji na grzbietach wielbłądów i z Kalibji na fregatę, która była statkiem żaglowym i czekała na nas na kotwicy o mil kilka od brzegu. Dostaliśmy się do niej — rzecz prosta — łodziami.

VIII

W ANGLJI

Przejazd z Kalibji do Malty, który zajął dni dwa i noc jedną, odbył się bez wypadku. Pora nam służyła. Lekki wiaterek posuwał fregatę, na której ta zachodziła osobliwość, że dowodził nią nie marynarz, ale pułkownik od jazdy, człowiek gładki, wytworny, posiadający języki europejskie, a mianowicie francuski i włoski, i rozmiłowany w literaturze arabskiej. Chciał o niej z kimeś z nas mówić, aż na mnie natrafił. Ze mną jednym po francusku rozmówić się mógł. Pytałem go; on mi rozpowiadał nietylko o tem, co było, ale o tem, co jest, i o tem także, co będzie, i wmówił we mnie, że literatura ta znajduje się na drodze rozwoju, poręczającego jej zajęcie stanowiska takiego, jakie zajmowała w wiekach średnich. Były to dla mnie rzeczy zupełnie nowe i bardzo ciekawe. Na rozmowach z pułkownikiem czas mi chyżo i mile upływał. A tymczasem fregata, żaglami szeleszcząc, posuwała się naprzód i w dniu drugim nad wieczorem wpłynęła do tego samego portu, który, zdawało się na zawsze, miesiąc bezmała temu żegnałem.

Na powitanie nasze tłumy ludu na brzeg wyległy. Aleśmy śród tłumy te nie szli. Odwieziono nas znów do gmachu kwarantanny i zakwaterowano, jak poprzednio. Wieczorem po wieczerzy sutej udaliśmy się na spoczynek do łóżek, któreśmy zajmowali dawniej. Gościnność angielska nietylko nie osłabła, ale się wzmogła, co się pokazało nazajutrz. Oznajmiono nam, że możemy miasto i osobliwości onego zwiedzać i, jeżeli to nam przyjemność sprawi, po osób kilka przyjaciół naszych na obiady zapraszać. Tyczyło się to stołu oficerskiego. Czyż można gościnność posunąć dalej? Nie nadużywaliśmy jej, — a zresztą i nadużywać nie mogliśmy: skąd bowiem jacy „przyjaciele

nasi“ na Malcie wziąć się mieli? Sprzyjali nam wszyscy; niceśmy atoli o przyjaźniach szczególnych nie wiedzieli. Rzadko przeto zdarzała się okazja zaproszenia kogo, i to nie inaczej, jak spomiędzy tych, co nas odwiedzali w porze przedobiadowej. Trafiło się to razy kilka, pomiędzy innymi zaś z baronem de Sallis, frenologiem, który w celach naukowych, specjalnie frenologicznych, po Wschodzie podróżował i z podróży do Szwajcarji, ojczyzny swojej, wracał.

Baron zajął nas uprzejmością i rozmownością swoją; że zaś kilka języków, a pomiędzy niemi francuski i niemiecki posiadał, więc się z wielu z nas rozmówić mógł. Przyjął on nasze na obiad zaproszenie. Przy stole w rozmowie prym wiódł i przy deserze, zeszedłszy na przedmiot studjów swoich, wykładał nam zasady główne nauki Lavatera. Wywiązała się stąd dykusja. Ten i ów z objekcjami występował. Baron odpowiadał, tłumaczył, wreszcie doświadczenie zaproponował, wzywając, ażeby kto pozwolił mu na głowie swojej określić charakter. Zwrócił się do kogoś, ten odmówił; odmówił drugi i trzeci; zaproponował wreszcie mnie, jam się zgodził.

— Ale — odezwał się — uprzedzam, że w słowach moich pochlebstwa nie będzie: powiem otwarcie, co i jak znajdę...

Rzekłszy to, głowę mi obmacał i takie wygłosił zdanie:

— Zdolności intelektualne znaczne, fantazji dużo, odwaga i determinacja ogromna. Temu panu powierzyłbym miljony i byłbym o nie zupełnie spokojny.

Taka opinja pochlebna zachęciła szczególnie jednego z kolegów, niejakiego Sk., podporucznika od ułanów i byłego dependenta przy adwokacie w Lublinie. Posunął do pana de Sallis z głową swoją. Ten ją palcami obmacał i rzekł:

— Łgarz, samochwalca, szuler i pijak.

Sk. wstecz się niby oparzony rzucił. Gniewać się jednak nie mógł. Opinję frenologa w żart obrócił i dobra harmonja, jaka w ciągu obiadu panowała, szwanku nie doznała. Dodać wszakże należy, że baron, jeżeli się omylił co do mnie, to ani trochę co do Sk., który te wszystkie, jakie mu przypisywał, posiadał przymioty. Pijakiem wówczas jeszcze nie był; rozpił się jednak później.

Innych gości naszych nie pamiętam, a nie zapamiętałbym i tego, gdyby zdarzenie powyżej opisane w pamięć mi go nie wryło.

Czas upływał nam dobrze. Mieliśmy na rozporządzenie nasze dzienniki, książki, kilka pokoi obszernych i jasnych, balkon, z którego widok rozlegał się na miasto, okolicę, zatokę i zabudowania przyległe; wszystko to w skład kwarantanny wchodziło. Do zabudowań przyległych przybyli pielgrzymi marokańscy, powracający z Mekki. Było tego dużo — głów z półtorasta, mężczyzn i kobiet. Oddano im skrzydło całe, składające się z izdebek, poprzedzonych podwórkami, wychodzącemi na brzeg morski. Zajęcie ich polegało na przesiadywaniu nago w kucki na brzegu godzinami całemi. Siedzieli i w wodę się wpatrywali. Od czasu do czasu ten i ów, płci jednej lub drugiej, podnosił się, naprzód się pochylał i do wody wskakiwał; popływał, wracał i miejsce dawne zajmował. Trudnili się oraz mordowaniem baranków egipskich.

Pozostawaliśmy na Malcie przez dwa bezmała tygodnie. Nie krępowały nas reguły kwarantanny, zwiedzaliśmy więc miasto La Valette i okolice. W okolicach uderzającą jest szczególnie roślinność sztuczna, podtrzymywana zapomocą ziemi rodzajnej, sprowadzanej z Afryki. Gdyby nie to, na wyspie chwastyby nawet nie rosły, wyspę bowiem całą stanowi wysterczająca z wody skała olbrzymia, twarda i biała. Białość jej na ulicach miasta oczy przy blasku słonecznym zrywa. Dzięki dosypywaniu ziemi afrykańskiej udają się na niej zboża, trawy pastewne, jarzyny, drzewa, pomarańcze mianowicie, zdobiące w miejscach niektórych rowy forteczne. Gaje pomarańczowe były dla nas przedmiotem podziwu, zwłaszcza żeśmy trafili na porę pełnej owoców dojrzałości.

Miasto wyglądem zewnętrznym nie różni się od miast włoskich. Domy o dachach płaskich, na dachach tarasy, z których wieczorami słyszeć się dają śpiewy i muzyka. Gmachów kilka starożytnych nadają La Valecie ton historyczny, przypominając zakon Kawalerów Maltańskich. Zwiedzaliśmy katedrę św. Jana i pałac mistrzów. Po upływie tylu lat odtworzyć nie umiem wrażenia, jakiego doznałem w tych minionej sławy przybytkach. Nie musiało być ono jednak ani silne ani osobliwe. Oglądałem obojętnie pamiątki przeszłości i dzieła sztuki. Bardziej nad to zajmowała mnie ludność miejscowa, przedstawiająca typ szczególny rasy mieszanej, powstałej ze zlania się krwi greckiej, włoskiej i arabskiej. Ludności pod

względem wdzięków nie wyszło to na dobre. Maltańczyków pełno we wszystkich morza Śródziemnego portach; rozpoznać się dają z łatwością po silnym, krępym wzroście, po śniadej cerze i po rysach oblicza spłaszczonych. Kobiety nieładne. Na wyspie rodzinnej chodzą w fartuszkach na głowie: są to zasłony z czarnej jedwabnej kitajki, które niewiadomo do czego służą, ani to bowiem wdzięku strojowi dodają, ani też gorąca nie umniejszają. Rzuciła się mi w oczy księży katolickich ilość ogromna. W mieście nie rozminąć się z nimi. Widzisz ich na kroku każdym, zakonnych i świeckich, a wszystkich ze świadectwem dobrego bytu na postaciach, oblanych jak przepiórki afrykańskie i zadowoleniem oddychających. Na Malcie w życiu swojem po raz pierwszy zdarzyło mi się oglądać jezuitów. Dobroczyńcom tym naszym przypatrywałem się z ciekawością, podziwiając elegancję, z jaką noszą trzewiki glansowane, w klamry zaopatrzone, pończochy czarne, łydkami suto wypełnione, sutanny stylu podpinane, pasy z fontaziami i kapelusze wyginane. Żywo mnie zajmowała ta arystokracja pokory i posłuszeństwa, to przedstawicielstwo zrzeczenia się świata i ponęt jego, prezentujące się tak połyskująco i pulchnie. Na Malcie tego huk. Większej ilości księży nie widziałem w Krakowie nawet.

Gościnność angielska w równej mierze do końca dotrzymała, na końcu zaś wyraziła się tem, że wyprawiła nas w podróż dalszą na ogromnym wspaniałym parowcu kompanji ostindyjskiej. Na parowcu tym było nam, jak lepiej być nie może. Oficerów ulokowano w klasie drugiej, żołnierzy w trzeciej. Zawadzał nam zrazu stół angielski; rychło jednak nawróciliśmy się na wiarę mięsiw niedopieczonych, piwem zakrapianych. Nie chorowałem, nawykłem już potrosze do podróży morskiej, a przytem pogoda nam napodziw sprzyjała: najlżejszy wiatr wody nie marszczył.

Z Malty ruszyliśmy traktem wodnym wprost do Gibraltaru. Zrazu widniały nam na lewo wybrzeża afrykańskie; wybrzeża te z oczuśmy stracili, i na drugi dzień dopiero nad wieczorem ukazał się nam ląd na prawo. Ląd ów wyraźniał coraz-to bardziej, aż przedstawił się pod postacią ustępów górskich, złoconych zukosa promieniami zachodzącego słońca. Był to widok prześliczny. Kształty górskie odbijały się na tle mieniącego się barwami seledynową i pomarańczową nieba. Oparty

o bort okrętu przypatrywałem się długo tej panoramie ruchomej, aż ją noc oponą ciemną okryła. Statek grzmiał i pomykał. Spać poszedłem. Nazajutrz obudziła mnie cisza, która nastąpiła nagle. Domyśliłem się, żeśmy do portu zawinęli i że port ów jest nie inny, jak Gibraltar, którego oglądania byłem bardzo ciekawy. Zerwałem się tedy i pospiesznie na pokład wybiegłem. W półświetle dnia świtającego ujrzałem przed sobą zielenią zdołu dogóry okryte wysokie w kształcie stożka wzgórze, w którem ani się domyślać można jednej z najsilniejszych na kuli ziemskiej warowni. Wzgórze to ma najniewinniejszy w świecie pozór. Zapragnąłem przypatrzyć się mu zbliska.

Uczynieniu zadość pragnieniu temu nie przeszkadzało nic, staliśmy bowiem w Gibraltarze godzin kilka. Statek węgli nabierał; nam wolno było miasto zwiedzić pod warunkiem opłacenia łodzi tam i spowrotem. Nie pamiętam, ile mnie sztuka ta kosztowała. Oddałem wszystko, com posiadał, tak, że po powrocie z Gibraltaru nie posiadałem szeląga złamanego w kieszeni. Alem warownię zwiedził, warownię z tego osobliwą względu, że szturmem nie do zdobycia jest. Dostać jej można głodem lub podstępem. Obronność jej polega na tem, że nigdzie dokoła na odległość strzału działowego nieprzyjaciel pozycji zająć nie może, w punkcie bowiem każdym zasypie go grad spadających mu na łeb pocisków, miotanych przez ustawione jedna nad drugą baterje. Wzgórze od dołu do szczytu obwija w ślimak droga i na drodze tej leży tak miasto, jak forteca. Tworzy to kondygnacje. Każda kondygnacja wyższa panuje nad niższą, tak że dla zdobycia twierdzy należałoby najpierwej zdobyć kondygnację najwyższą — co uskutecznić się nie da pierwej, aż możliwem się stanie przewożenie wojska balonami. Na to, zdaje się, poczekać jeszcze czas jakiś potrzeba.

Opuściliśmy Gibraltar około dziesiątej rano, może później trochę. Wpłynęliśmy na ocean, który atoli czuć się nie dawał spowodu zapewne roztargnienia, jaki sprawiał widok wybrzeży, raz umykających wdal, znów zbliżających się, tak że kiedyśmy południowo-zachodni cypel Portugalji (St. Vincent) opływali, zdawało się, iżby z okrętu na ląd skoczyć można. Portugalja przedstawiła się inaczej aniżeli Hiszpanja. Rozwijała się ona w szeroką, gładką, zieloną równinę, która wydawała się być zbożem zasianą. Przypomniało mi to ukraińskie

nasze łany. Następnie, dalej ku północy, kraina garbacieć poczęła, widoki się urozmaicały, płynęliśmy od brzegów w oddaleniu niejakiem, wieczorem straciliśmy brzegi z oczów i gdy dobrze ściemniało, majtkowie zwrócili uwagę naszą na punkt, mający pozór kuli światełkami nabijanej.

— Co to?...

— To Lizbona...

Danem mi było oglądać jeno światła Lizbony.

W dniu następnym powitaliśmy i pożegnali zdaleka przylądek Finisterre i wydostaliśmy się na pełny ocean. Ocean teraz dopiero uwagę moją na siebie zwrócił. Uderzyła mnie fizjognomja inna, aniżeli fizjognomja mórz śródziemnych. Czuć się niejako dawała masa ogromna wody, zostawiona samej sobie. Masa ta znajdowała się w ruchu ustawicznym, pomimo że powierzchni jej nie muskał wietrzyk najlżejszy. Ocean oddychał niby. Łono jego, gładkie a zwierciadlane, to się podnosiło, to opadało wydęciami i wdęciami szerokiemi. Nie były to bałwany ani fale; było to powolne i dziwnie poważne kołysanie się toni, idące skądeś zdala i zgłębi, i budzące do tajemnic dali i głębi owej ciekawość. Głąb jednak tajemnice dla siebie ukrywa. Wydobywają się z niej jeno rzeczy znane, które atoli mnie zajmowały mocno. Obok statku ukazał się rekin i płynął narówni z parowcem, nieopodal od jednego ze skrzydeł: wydawało się, jakby mu war wody bitej kołem statku parowego przyjemność sprawiał. Nad wieczorem w niejakiem od nas oddaleniu widzieć się dała bijąca od czasu do czasu fontanna. Od czasu też do czasu wyskakiwały z wody ryby latające. Przedmioty te zajmowały mnie żywo, żywiej aniżeli obraz bezmiaru, za przedstawiciela którego ocean uznawanym jest powszechnie. Obraz ów nie wywierał na mnie wrażenia szczególnego: nie widziałem w nim bezmiaru, ale ogromne, granicami horyzontu zamknięte koło, któremu za środek służyła osoba moja. Złudzenia pozbawiała mnie świadomość rzeczy. Bezmiar widziałem wgórze, za temi błękitami, które się w nocy gwiazdami iskrzyły; co się zaś oceanu tyczy, znałem niestety granice jego i, gdym nań patrzył, granice te na niewidziane przed oczami mi stały.

Granice wkońcu w rzeczywistości się ukazały. Na prawo zamajaczyły wybrzeża Francji; niebawem wpłynęliśmy do ka-

nału La Manche; brzegi na prawo, brzegi na lewo; zbliżyliśmy się ku tym ostatnim i wsunęli w przesmyk, oddzielający wyspę Wight od lądu stałego Anglji.

O! jakże mi się wyspa Wight rozkoszną wydała. Wydała mi się taką dlatego może, że zaznaczała kres podróży. Maskuje ona port southamptoński, do któregośmy zmierzali. Od jej traw aksamitnych, drzew cienistych i przeglądających spośrodka drzew domów eleganckich, oczów oderwać nie mogłem. Wszystko to się do mnie wdzięczyło, uśmiechało i dawało rodzaj pewien zadowolenia, któregobym opowiedzieć nie umiał. Chciało mi się na wyspie tej pozostać. Marzyłem o tem. Rzeczywistość tymczasem prowadziła mnie do portu, do którego okręt wszedł i przy grobli się zatrzymał.

W ostatnich dniach marca, czy w pierwszych kwietnia wsiadłem na okręt w Warnie; w ostatnich dniach maja wysiadłem z okrętu w Southampton. Na morzu pozostawałem dni dwadzieścia pięć. Odbyłem podróż znojną i trudną. Rozbitek w wojnie, rozbitek w podróży, bez grosza w kieszeni, bez odzienia innego, tylko to, jakie na grzbiecie miałem, stawałem nakoniec u celu. U celu?... Nie myślałem, że cel ów jest nowym punktem wyjścia. Wydawał się mi on dojściem i radował mnie wielce.

W chwili, jakeśmy do doku przystawali, odezwały się w mieście dzwony jakąś melopeą średniowieczną. Nuta muzyki tej dzwonowej w uszach mi do dnia dzisiejszego dzwoni.

Na brzegu stało ludzi dużo. Ze statkuśmy wyszli i, co ze sobą począć, nie wiedzieli. Nadeszli jednak jegomoście jacyś, jęli się do nas przemawiać, któryś się po francusku odezwał i porozumienie nastąpiło za pośrednictwem mojem. Po francusku mówiłem ja jeden i Mikułowski drugi, ale koledzy akceptowali mnie. Służyłem więc Dzwonkowskiemu za tłumacza-adjutanta i dzięki funkcji tej brałem udział we wszystkich dowodach uprzejmości, jakie jemu, jako komendantowi naszemu, Anglicy składali. Z dowodów tych najpierwszy w ten wyraził się sposób, że nam kwaterę dano w najparadniejszym w mieście hotelu. Zażenowało mnie to. We wspaniałych apartamentach, śród hotelowych gości, wobec posługi wyfrakowanej, wyglądałem jak plama w moim ciemnobronzowym, prze-

szarzanym surducie bajowym, w spodniach wojskowych, w butach przydeptanych i w bieliźnie pranej w Afryce a służącej za schronienie żyjątkom, nieużywającym reputacji dobrej. Wychodziłem jednak z rozbicia. To mnie tłumaczyło i usprawiedliwiało. Przyjąłem więc sytuację, jaka się nastręczyła, pomimo iżbym wolał był podzielać losy towarzyszy moich, umieszczonych w jakimeś lokalu publicznym, w którym było im dobrze, luboć nie mieszkali paradnie. Musiałem paradę znosić, po kobiercach deptać, w łóżku wygodnem sypiać i do wykwintnie zastawionego stołu zasiadać. Podejmowano nas po królewsku.

Zajmował się nami p. Andrews, mer miasta Southampton, Anglik typowy, człowiek zacności wielkiej: był on jakimeś fabrykantem. Pomagało mu osób kilka, pomiędzy innymi redaktor dziennika miejscowego *Southampton's Times*, p. F. Nazwisko jego z pamięci mi wypadło, zdaje się jednak, że się od litery F. zaczynało.

Jak skorośmy rozlokowani zostali, nasunęło się wnet samo przez się pytanie: „Cóż dalej będzie?“ Na cudzym jechaliśmy wózku i spowodu braku środków własnych, jakoteż nieznajomości stosunków i języka, wysiąść z niego nie mogliśmy. Takich, co zapasiki pieniężne posiadali, znajdowało się pomiędzy nami kilku zaledwie. Ogół był bez grosza. Pytanie przeto powyższe miało dla nas znaczenie ogromne. Zadałem je panu Andrews, z którym rozmawiałem za pośrednictwem tłumacza, a tłumaczem był syn jego. Pan Andrews odpowiedział:

— O przybyciu waszem byłem uprzedzony i wezwany, ażebym o takowem dał niezwłocznie znać księciu Czartoryskiemu. Znać dałem, na odpowiedź czekam.

Wspominałem, że, kiedyśmy się na Malcie z Zamoyskim rozstawali, Zamoyski obiecał wystarać się dla nas o wstęp do szeregów armji belgijskiej. Odpowiedź pana A. wydała się, jakby z obietnicą tą w związku pozostawała. Nadzieje i widoki wielu w tym się zwróciły kierunku. Co się mnie jednak tyczy, nie uśmiechała mi się służba w wojsku pokojowa, a przytem powrót do domu ćwiekiem mi we łbie tkwił i z powrotem tym łączyły się zamiary i zobowiązania, jakie w Szumli, jako członek Towarzystwa Demokratycznego, pobrałem: Sokulski i Żar-

ski dali mi adresy przebywającej w Londynie Centralizacji[1] i zaopatrzyli w listy do takowej. Nie czepiałem się przeto nadziei służby belgijskiej; zachowywałem ją sobie jako rezerwę; chciałem przedewszystkiem z Centralizacją się skomunikować. Jak tu jednak komunikować się, nie mając czem listu opłacić? Odłożyłem więc to na później. Zdarzenia tymczasem rozwijały się porządkiem swoim. Mer oznajmił nam, że statkiem najpierwszym przybędzie do Southampton młody książę Władysław Czartoryski, a redaktor Dzwonkowskiego i mnie na obiad do siebie zaprosił.

Obiad ów pamiętnym mi pozostanie.

Towarzystwo składało się, oprócz nas dwóch, z pana, pani i dzieci dwojga: dwóch córeczek lat 8 i 10, prześlicznych i wesołych. Pan mocno język francuski kaleczył, pani mniej, z dziewczątkami porozumieć się było można. Nim do stołu podano, pomiędzy temi ostatniemi a mną zawiązała się poufałość, która do tego doszła, że panienki mi na kolanach siadały i za szyję mnie obejmowały. Przeszkadzało to prowadzeniu rozmowy z gospodarzem domu. W ciągu rozmowy wypadło raz tak, żem panienki od siebie odsunąć musiał i podczas kiedym coś redaktorowi wykładał, uczułem na plecach swoich, w okolicy kołnierza, ledziuchne paluszkami dotykanie. Obejrzałem się. Oczom moim przedstawił się widok taki. Z panienek jedna stała i w paluszkach trzymała wesz. Ze sposobu, w jaki się jej przypatrywała, poznałem, że o żyjątku tem ani słyszała nawet. Przyglądała się onemu ze zdziwieniem i na kobierzec rzuciła. Skipiałem. Obrócenie się jednak moje odwróciło jej od pleców moich uwagę; jam z krzesła wstał; dziewczęta jedna jednej, druga drugiej ręki mi się czepiła: rzecz przeminęła niepostrzeżenie.

Na obiady, na herbaty zapraszano nas ustawicznie. Dało to mi sposobność poznania odrazu charakteru znamiennego gościnności angielskiej, polegającej na przyjmowaniu człowieka obcego za członka rodziny na cały trwania gościny czas. Pozatem obcy jest obcym; jak skoro jednak w charakterze gościa próg przekroczył, w chwili tej do rodziny należy, w nią się

---

[1] W r. 1849 Centralizacja Towarzystwa Demokratycznego Polskiego zmuszona była przenieść się z Paryża do Londynu.

niejako wciela i wychodzi z niej za progiem. W domu jednym zdarzyło mi się, że panny dorosłe ze mną się jak z bratem obchodziły, oprowadzały mnie po sypialnych pokojach swoich, pokazując osobliwości rozmaite, tyczące się zatrudnień, zabaw, strojów nawet. Jedna z nich chwaliła mi się sukienką błękitną i powiadała, że jej w niej ładnie, dlatego że blondynka.

— Nie wolałabyś pani być brunetką? — zapytałem.

— Och!... nie... — odpowiedziała przeciągle.

Nadjechał wreszcie ks. W. Czartoryski i stanął w tym samym co Dzwonkowski i ja hotelu. Był to w czasie owym człowiek młodziutki. Zrobił na mnie wrażenie paniątka, radego przedewszystkiem temu, że je Pan Bóg stworzył, ale niewiedzącego wiele o świecie bożym. Uśmiech z oblicza, zaznaczonego bardzo wyraźnie rysami semickiemi, nie schodził mu przez czas cały konferowania z nami. A czas to był krótki. Konferencja rozpoczęła się od tego, że młody książę po pokitosie[1] nam ofiarował, skończyła się zaś na tem, że przedstawił nam alternatę: albo jechanie do Ameryki, albo robienie, co się nam spodoba. Wyboru innego nie było. Ci, coby do Ameryki jechali, mieli podróż opłaconą i dostawali kwotę pewną na opędzenie potrzeb w pierwszej chwili pobytu w Stanach Zjednoczonych. Innym dostać się miała szczupła jakaś zapomoga.

Nie dowiadywałem się wówczas, dziś przeto nie wiem, z jakich na wydatki te źródeł fundusze czerpane były. Zdaje mi się, że jeżeli nie rząd angielski, to Towarzystwo Historyczno-Literackie Przyjaciół Polski, złożone z członków arystokracji angielskiej i pozostające pod prezydencją lorda Dudley-Stuart, łożyło na nie. Bądźcobądź wydatki były znaczne, wynosiły najmniej funtów szterlingów 2.000.

Młody książę odjechał bardzo prędko — w Southampton nie nocował nawet — i wnet po odjeździe jego wypłacono nam zapomogę, którąśmy przez nawyk wojskowy „handgeldem“ nazwali. Nie pamiętam, ile handgeld ów wynosił, w każdym razie funta niecałego. Bądźcobądź jednak ucieszył on mnie ogromnie. Znalazłem się przy pieniądzach nakoniec i niezwłocznie napisałem do Centralizacji list, opisując, co zaszło i zapytując o radę.

---

[1] Pokitosy — papierosy znanej wówczas marki.

Po odjeździe księcia mieszkańcy rozebrali nas na kwatery do czasu odejścia do Nowego Jorku statku, który miał za dni kilka wyruszyć. Dzwonkowskiego i mnie wziął do siebie p. Andrews. Dzwonkowski jednak z gościnności mera nie korzystał, złożył bowiem komendę, która już racji nie miała, i pożegnał nas, jam przeto sam u niego pozostał. Pojawiło się paru jegomości jakicheś, z których jeden nazywał się Kleczyński. Ci się śród nas kręcili i do Ameryki namawiali; namawiali usilnie, przedstawiając za oceanem złote góry, w Europie zaś niechybną śmierć z nędzy. Propaganda szła żywo i gorliwie, i gdy ją dziś przypominam sobie, mimowolnie przychodzi mi na myśl: czy nie pozostało z niej ziarenko jakie, z którego plon wystrzelił później pod postacią emigracji chłopskiej do Ameryki? Kwestja ta dyskutowała się wówczas na polu publicystycznem. Stronnictwa rewolucyjne oświadczały się przeciwko naszemu do Nowego Świata wyjazdowi, stronnictwa umiarkowane dokładały usiłowań całych celem wypchnięcia nas z Europy. Jaka w tem była racja? Kleczyński i komp. przedstawiali nam korzyści ogromne, a dla tem większego przekonania fundowali piwo i grog. Wyglądało to na werbunek formalny.

Co do mnie, jam o Ameryce ani myślał, jeżeli nie dla czego innego, to dla samej podróży morskiej. Zachodził jednak powód inny jeszcze, podług mnie ważniejszy. Wyszedłem z kraju wcelu służenia krajowi, utrudniłbym sobie przeto dojście do celu tego, gdybym, wyniósłszy się z Polski, wyniósł się jeszcze i z Europy. Interesy europejskie są polskiemi i naodwrót. Na gruncie europejskim ojczyźnie mojej przydać się na co mogę; na amerykańskim zaś?... Z racji tej argumenty propagatorów nie trafiały do przekonania mego. Postanowiłem bądźcobądź w Europie pozostać.

W postanowieniu tem utwierdziła mnie odpowiedź, jaką otrzymałem od Centralizacji. W imieniu jej pisał Stanisław Worcell. Z punktu zasadniczego przedstawiał on rzecz tak samo, jakem myślał; z punktu korzyści osobistych powiadał, że jak w Europie, tak w Ameryce pracą na życie zarabiać potrzeba, pracą, która łatwiejszą i zyskowniejszą jest w Ameryce dla rzemieślników i wyrobników, ale niebezwarunkowo. Rzemieślnik i wyrobnik i w Europie przy ochocie i wytrwa-

łości nie ginie. Tu i tam przygotować się należy na wielkie w pierwszych chwilach trudności. Przysyłał mi przytem list polecający od jednego z przyjaciół, członka stronnictwa chartystów[1], z tem, ażebym, gdybym w Southampton zostać chciał, do niego się z żądaniem skazówek, porady i pomocy zgłosił.

Ochotników do Ameryki znalazło się pomiędzy nami dużo, połowa większa. Propaganda się powiodła. Nie jechali ci jeno, co pieniądze posiadali. Ci, za przykładem Dzwonkowskiego, z Southampton się powynosili zawczasu, tak że, gdy statek z wychodźcami do Ameryki odpłynął, z Polaków w mieście pozostałem sam jeden. U mera na kwaterze bardzo dobrze mi było, ale mieszkać u niego dalej nie mogłem. Zgłosiłem się do chartysty. Był to w jakimeś przedsiębiorstwie przemysłowem urzędnik, człowiek młody, przyzwoity i ujmujący. Zajął się on mną natychmiast i wyszukał dla mnie pomieszkanie skromne, schludne i bezpłatne. Żywić się już jednak musiałem kosztem własnym i z handgeldem, z którego sobie koszulę kupiłem, ciągnąć długo nie mogłem. Przyjaciel starał się dla mnie o zajęcie jakieś. Zajęcia potrzebowałem niezwłocznie, inaczej bowiem obstać nie byłem w stanie; co zaś gorzej, gdyby się to przeciągnęło i resztki handgeldu mi zabrało, nie miałbym za co dostać się do Londynu, gdzie, śród przemieszkujących tam Polaków, wynalezienie zajęcia wydawało się mi możliwszem, aniżeli w Southampton. Upłynęło dni kilka. Obliczyłem się z kasą. Posiadałem tyle, ile na opłacenie podróży potrzeba było i sześć pensów więcej. Nie było co wahać się. Na dworzec się udałem, bilet kupiłem, do wagonu wsiadłem i wysiadłem w Londynie z *six-pence'm* w kieszeni. *Six-pence* jest to mniejwięcej złotówka polska. To niebardzo wiele; więcej jednak aniżeli to, z czem do Southampton zawinąłem.

W Southampton czas od wyjazdu kolegów do Ameryki spędzałem na pisaniu pamiętników moich i studjowaniu mapy Londynu. Pisanie nie zdało się na nic; studjowanie przydało się o tyle, że, wyszedłszy w Londynie z dworca kolei, umiałem się zorjentować. Worcell mieszkał na Thanet-Street, Burton Crescent: zgóry przeto wiedziałem, że, ażeby się do niego

---

[1] Chartyści — stronnicy radykalnej reformy politycznej i społecznej w Anglji XIX w.

dostać, przejść potrzeba Tamizę po London-Bridge i iść na Oxford-Street. W kierunku tym ruszyłem, na most trafiłem: puściłem się dalej, zbłądziłem; lecz, dzięki rozstawionym na ulicach policemenom, nie to drogę odnalazłem, ale do drzwi domu, w którym Worcell mieszkał, doprowadzony zostałem. Zapukałem. Zastałem Worcella w domu, a u niego jednego z kolegów moich, Bezego, który z Southampton wnet po wylądowaniu wyjechał. Paląca dla mnie, com ani co jeść, ani nigdzie mieszkać nie miał, kwestja bytu, niezwłocznie się na stół wytoczyła i rozstrzygnęła w połowie.

— Dziś do Hamburga wyjeżdżam — odezwał się Beze —, a mam mieszkanie do końca miesiąca zapłacone. Chodź i mieszkaj.

Do końca miesiąca było dwa tygodnie.

Trafiło mi się więc — „ślepej kurze ziarnko".

Beze mnie na mieszkaniu swojem, które nieopodal na Willmot-Str. leżało, zainstalował. Na dwa tygodnie zapewniony miałem dach nad głową. Stanowiło to dla mnie wygraną wielką. Zasnąłem spokojnie z postanowieniem rozpoczęcia starania się o zajęcie od dnia następnego i przyjęcia zajęcia takiego, jakie się trafi, chociażby najcięższego. Worcell dał mi adresów parę, między innemi Józefa Rustejki, Bartochowskiego i in. Zamierzyłem kołatać tu, tam i wszędzie, byleby się zmóc i biedzie nie dać. Zasnąłem z myślą o postanowieniu mojem, a myśląc o niem, wróciłem się wstecz, ku przeszłości, — ku tej niezbyt dawnej przeszłości, kiedy troska o chleba kawałek tak była ode mnie daleką. Stanęli mi w oczach rodzice i rodzina, krewni i przyjaciele. Poczułem głębokie powrócenia do nich zachcenie; poczułem potrzebę dania im znać o sobie. Myśl ta być musiała snu mego osłodą, z nią bowiem się obudziłem i natychmiast do pisania listu do rodziców zasiadłem.

Napisanie listu podobnego w czasach owych było przedsięwzięciem, nad którem pomyśleć należało. Dojście listu na miejsce przeznaczenia zależało od treści onego. Sądziłem przeto, że na treść w tym razie dobrać nie mogę nic lepszego, jak obwinianie siebie i przepraszanie rodziców. W tym też sensie pismo ułożyłem: obwiniałem siebie, przepraszałem rodziców, wyrażałem żal spowodu lekkomyślności, jakiej się dopuściłem i za którą los ukarał mnie rzuceniem na obczyznę; donosiłem przy-

tem, żem z wojny wyszedł cało, żem się rozbił na morzu i że się w Londynie znajduję. List ów wyrządził mi przysługę wielką, o której później wspomnę; tymczasem zaś — wyprawić go nie miałem za co. *Six-pence'a* nie posiadałem już, chleba sobie nawet kawałka kupić za co nie miałem.

Rozpocząłem starania o zajęcie. Wedle adresów, jakich mi Worcell udzielił, zakołatałem wszędzie, i każdy, do kogom się zgłosił, obiecał losem moim się zająć. Przyjęcie jaknajserdeczniejsze spotkało mnie ze strony Rustejki, człowieka w moim wieku, do którego zbliżyło mnie koleżeństwo uniwersyteckie. Rustejko był słuchaczem Uniwersytetu dorpackiego, uwikłał się w sprawy poznańskie, znalazł się na emigracji i na bruku londyńskim niesłychanie szybko wyuczył się po angielsku. Dodawał mi on otuchy i nadziei, opowiadając o kolejach, jakie sam początkowo przechodził. Trudno mu było; przetrzymał jednak złe czasy i wykołatał sobie lekcyj parę. Mieszkał wespół z kolegą, nazywającym się, jeżeli mnie pamięć nie zawodzi, Zawadzkim, który także jakieś z czegoś dochody ciągnął. Trzymał się ich jeszcze niejaki Maszadro, elegant warszawski. Widać jednak po nich było, że wszyscy oni „ciągną djabła za ogon“ i że zarobkują nie więcej, jak tyle tylko, ile do niedoznawania głodów wielkich potrzeba. Rustejko obiecał mi pytać się i dowiadywać o jakieś dla mnie zatrudnienie.

Rozpoczęło się dla mnie oczekiwanie na owoce zabiegów moich.

„Oczekiwanie godziny ukraca“... — powiadają poeci.

O! jakże się mnie godziny powoli wlokły, od momentu zwłaszcza, jakem ostatniego pensa na chleb wydał. Niecierpliwość mną niekiedy owładała. Myślałem, że tak być nie powinno i nie może. Jakto! żeby dla mnie kawałka chleba nie było? Myślałem o swojem przy stole miejscu, znajdującem się za morzem, za górami, za rzekami. Nie jadłem dzień cały, wody dużo piłem i spać poszedłem z nadzieją w sercu, że jutro coś przecie do jedzenia dostanę.

Nazajutrz czytałem mój do rodziców list i obszedłem kolejno wszystkich, co się dla mnie o zajęcie starali. Niektórych w domu nie zastawałem, więcem wracał. Dzięki odległościom londyńskim zajęło mi to dzień cały i wieczorem znów poszedłem do łóżka napojony, ale nie nakarmiony. Karmiła mnie jednak nadzieja.

— W dniu trzecim coś zjem przecie... — powiedziałem sobie.

Zawiodłem się. W dniu trzecim nie jadłem znów, jedzeniem bowiem nazwać nie można tego, żem, po mieście chodząc, pasł oczy i powonienie widokiem pieczywa w piekarniach i odorem mięsiw w jadłodajniach. To ostatnie, jak powiadają, karmi w pewnej mierze. Pokarm ten przyjmowałem; innego — nie. Przyjęcie pokarmu należyte spotkało mnie w dniu czwartym, i to z okoliczności następującej. Przed południem byłem w Centralizacji, z którą miałem do pomówienia w rzeczy powrotu mego do domu. Zastałem ją w komplecie, składającym się wówczas z trzech członków: Stan. Worcella, Wojciecha Darasza i Jana Kantego Podoleckiego. Rozmówiliśmy się: oni mi dawali informacje, instrukcje i skazówki, tyczące się tak funkcji, jaką w kraju pełnić miałem, jakoteż sposobu, w jaki mi się potrzeba było z Londynu wydostać. Co do tego ostatniego rady innej nie było, jak zgłosić się do ambasady rosyjskiej; chodziło jeno o to, ażeby ambasada nic o stosunkach moich z Centralizacją nie wiedziała. Był to warunek konieczny. Zdawało się, że sam zbieg okoliczności czyni onemu zadość. Skądby ambasada o stosunkach moich jakichkolwiek wiedzieć mogła? Co za figura ze mnie była? Nie pamiętam, który z członków Centralizacji adres mi dał, i ja, według adresu tego, udałem się wcelu przedstawienia się do powrotu. Nie śpieszyłem się. Po drodze pasłem oczy i powonienie, przypatrywałem się chlebom i rostbifom, przy studni każdej wodę piłem i zaszedłem około trzeciej, może czwartej. W ambasadzie spotkało mnie przyjęcie, na jakie zasługiwałem: mroźne i odstręczające. Jakiś białowłosy czerwony jegomość, zapytawszy mnie, com za jeden, zapytał następnie, czego sobie życzę, a gdym mu powiedział, że pragnę do kraju wracać, odrzekł krótko, że się tem ambasada nie zajmuje. Prosiłem go o informacje: informacji żadnej udzielić mi nie chciał. Odpowiedzi jego były suche, krótkie, gniewne, wreszcie się ode mnie brutalnie odwrócił i nie pozostawało mi nic innego, jak odejść, z czem przyszedłem. Nie miałem i nie mam pretensji do niego. Pod względem każdym należało mi się przyjęcie podobne, a względem najbliższym była powierzchowność moja żebracza i głód z oczów mi patrzący. Worcell zamówił sobie, ażebym mu o rezultacie znać dał. Trafiłem do niego na herbatę.

— A no, i cóż? — zapytał.

Opowiedziałem, co zaszło, i pożegnać go chciałem.

— Zostań... herbaty się napijemy.

Odmówić siły nie miałem.

Worcell jął się tartynki masłem smarować i na talerzu układać. Czynił to systematycznie i biegle, tocząc przytem rozmowę jakąś, która mnie mniej, aniżeli widok tartynek zajmowała. Gdy czynność tę skończył, zadzwonił. Dziewczyna wniosła dwa kotleciki baranie, stanowiące obydwa razem szczupłą na człowieka jednego porcję.

— Podzielimy się — rzekł do mnie.

Znów mi do odmówienia sił zabrakło. Zjadłem kotlecik jeden i chleba kromkę do tego, następnie wypiłem dwie z tartynkami filiżanki herbaty. Byłbym zjadł i wypił pięć, sześć — dziesięć razy tyle. Apetyt mnie rozpierał. Potrafiłem jednak nad sobą zapanować i, z wyjątkiem kotleta, niedopuścić się nadużycia innego. Od Worcella poszedłem wprost do siebie, rozebrałem się prędko i spać się położyłem.

Zaświtał dzień piąty. W dniu tym byłem najprzód u Bartochowskiego, metra tańców, który, od lat kilkunastu w Londynie mieszkając i w rozlicznych sferach towarzystwa stosunki mając, łatwiej aniżeli kto inny mógł zajęcie znaleźć. Był to przytem człowiek dobry i uczynny, byle uczynność nie do jego odnosiła się kieszeni.

— Cóż, bracie... — powitał mnie. — Szukam, pytam... Może... może co się znajdzie: dotychczas nie znalazłem jeszcze nic.

— Tu tak o pracę trudno! — wtrąciłem.

— A? cóż chcesz! Praca? Praca jest tu tem, co gdzieindziej jałmużna. Do tego tu doszło. Jeszczeż ciężka łatwiejby się znalazła.

— Jabym się i najcięższej jął... — podchwyciłem.

— Naprzykład: w dokach ciężary nosić?

— Nosiłbym...

— Ot gadasz, bracie... — odparł i wykładać mi zaczął, że do tego trzeba się od dzieciństwa wprawiać, albowiem w ten jeno sposób muskuły w biodrach nabierają elastyczności odpornej i znoszą ciśnienie. Wprawa... wprawa, bracie... — mówił dalej — tak w tem, jak we wszystkiem, jak w tańcach, naprzy-

kład... *Entrechat* nauczyć się i świetnie wykonać możesz; bez wprawy atoli nie potrafisz antrszatami przez salon przejść...

I, zawinąwszy sobie na rękę szlafrok, w pantoflach, przez pokój się z rogu w róg w susach przesunął.

— O... To jednak nic. Ja ci tak mogę, bracie, godzinę, dwie godziny suwać i potu nawet nie poczuję, wówczas kiedy tancerz niewprawny zziaja się za skokiem dziesiątym. To samo i z ciężarami w dokach. Co mi o tem gadasz! At. Ale poczekaj trochę... bądź cierpliwy: coś się znajdzie.

Cierpliwość moja zależała nie ode mnie, ale od żołądka mego, na który wczorajsze u Worcella jadło podziałało w sposób drażniący. Głód mi dokuczał srodze. Rady sobie dać nie mogłem. Nie zważając przeto na to, co Bartochowski o wprawie wykładał, wprost od niego udałem się do doków na rekonesans. Z trudnością niejaką przyszło mi odnaleźć je. Włóczyłem się poprzednio po Londynie dużo, w tę atoli stronę, poniżej London-Tower, nie zachodziłem. Znalazłem wkońcu. Zwiedzałem tę w rodzaju swoim osobliwą konstrukcję w tym jedynie celu, ażeby podpatrzyć, w jaki sposób odbywa się tam czynność wnoszenia i wynoszenia towarów. Zrazu doznałem uczucia zawodu, dowiedziałem się bowiem, że w częściach dziewięciu dziesiątych mechanika zastępuje ramiona ludzkie. Ciężary ze statków wydostają i do statków spuszczają windy, wywożą i wwożą taczki, rozwożą wagoniki na kolejach wąskich, do noszenia zaś służą nosidła *(crochets)*, które sobie tragarze na ramionach zawieszają. Zdekoncertowało mnie to. Czyniąc atoli poszukiwania i obserwacje dalej, odkryłem możliwość zużytkowania i siebie. Noszono worki z czemeś. Chciałem się niezwłocznie roboty jąć, ale nie wiedziałem, jak do niej przystąpić. Zresztą późno już było; miejsca wszystkie widziałem zajęte; dzień mój nie mógłby się i za połowę liczyć. Odłożyłem więc rzecz tę do dnia następnego, postanowiwszy sobie wstać przed świtem i przyjść do doków najpierwszy, ażeby na siebie uwagę pracodawcy jakiego zwrócić. Że zaś przezorność jest cnotą w polityce, przewidziałem, że mi rozmówić się trzeba będzie, to jest, zamienić frazesów kilka, których po angielsku wypowiedzieć nie umiałem. Frazesów tych nauczyć mnie mógł Rustejko. Z doków przeto, układając sobie frazesy i, myśląc o zarobku jutrzejszym, do niego się udałem. Przychodzę i zastaję jego i Zawadzkiego przy herbacie.

— Napijesz się herbaty z nami?...

— I owszem... — odrzekłem, przy stole siadając i na bochenek cały chleba okiem łakomem zukosa spoglądając.

Do chleba nietylko kotletów, ale masła nawet nie było. Nie obchodziły mnie jednak dodatki te. Chleb ów uwagę moją pochłonął całkowicie, błogosławiłem wewnętrznie wypadkowi, co się mi z nim spotkać pozwolił, miałem bowiem na względzie pracę jutrzejszą, do której dzień o głodzie spędzony nie byłby przygotowaniem odpowiedniem, zwłaszcza że o głodzie dzień jutrzejszy w pracy ciężkiej spędzić miałem. Tragarzom nie płaci się zgóry. Co do pracy więc tej, przewidywanej i spodziewanej, zacząłem odrazu Rustejkę o potrzebne mi rozpytywać frazesy. Notowałem takowe. W trakcie tego dostałem filiżankę herbaty i kromkę chleba. Kromkę spałaszowałem wnet i ukroiłem sobie drugą, po drugiej trzecią. Rustejko drugą mi filiżankę herbaty nalał. Jam popijał i jadł, jadł, a jedząc, zmiarkowałem się, że krzywdę dwóm ludziom wyrządzam. Pohamowałem się nieco. Popatrzyłem na jednego i na drugiego. Zawadzki nosem czmychał i miał minę człowieka zgorszonego; w oczach zaś Rustejki, zdawało mi się, jakby świeciło niezadowolenie czy zadziwienie.

— Ha!... stało się — pomyślałem. — Pal djabli!

Znów się do pożerania chleba wziąłem; zjadłem wszystko. Zawadzki nosem czmychał; wkońcu się odezwał:

— Na jutro na rano do herbaty znów chleba kupić trzeba będzie.

— To się kupi. — Rustejko mu na to.

Jam się wymawiania frazesów angielskich uczył i nie rozumiałem niby, że słowa Zawadzkiego były przymówką pod adresem żarłoctwa mego. Byłby się na przymówkę tę nie zdobył, gdyby wiedział, skąd żarłoctwo moje pochodzi.

Nadzieja roboty w złoty wprawiła mnie humor. Nazajutrz, jak zamierzyłem, wstałem przed świtem i przy świetle jutrzenki do doków zmierzałem. Szedłem ochoczo. W dokach stanąłem w chwili budzącego się ruchu i kiedym zaszedł na miejsce, w którem spodziewałem się robotę dostać, poczęły się szynki otwierać i snuć postacie zaspane. Czekałem. Niebawem się robotnicy ukazali. Zauważyłem, że każdy do szynku wchodził. Na okrętach odbywało się mycie pokładów. Tu i tam odzywały się dzwonienia i okrzyki. Wreszcie szynki się wypróżniły i robota

rozpoczęła. Pokazało się, że na miejscu, na którem takowej oczekiwałem, dla mnie nie było nic. Widocznie, co do noszenia było, przeniesiono w dniu wczorajszym. Ruszyłem dalej wzdłuż kanału i natrafiłem niebawem na czynność, do miary uzdolnień moich przypadającą. Noszono belki ze statku na ląd. Czynność ta tylko co rozpoczęta była. Wbiegłem na statek, obejrzałem się; zoczyłem człowieka, co stał przy jednym końcu belki, czekając, ażeby drugi przy drugim stanął. Pospieszyłem do tego końca i nachyliłem się. Towarzysz mój nachylił się także. Podjęliśmy we dwóch belkę na ramiona i już ją nieść zacząłem, gdy nagle zjawił się przede mną robotnik, który mnie zatrzymał i zrobił gest, oznaczający zamiar zdjęcia mi z ramienia belki. Jam ją ramieniem otoczył; on szarpnął, przybierając względem mnie minę gniewną i przemawiając do mnie wyrazami, których nie rozumiałem. Zajście to trwało chwilkę. Zdecydowany byłem nie ustępować i byłbym nie ustąpił, gdyby partner mój nagle belki nie rzucił tak, żem się zatoczył i upadł. Wrzawa, jaka stąd powstała, sprowadziła jegomościa jakiegoś, któremu robotnicy coś opowiadali, palcami na mnie wskazując. Czekałem, aż się jegomość ów do mnie zwróci, ażeby mu frazesy, jakich się od Rustejki wyuczyłem wypowiedzieć. Zwrócił się do mnie, nie dla wysłuchania frazesów jednak, ale — ażeby mnie za ramię ująć i ze statku wypchnąć.

Złotych nadziei moich gmach odrazu runął. Pokręciłem się w dokach jeszcze; lecz nic już nie znalazłem, a nawet nie szukałem niczego. Próba zraziła mnie; przytem w łopatce od szarpnięcia czułem ból dotkliwy, jakby tam co pękło. Byłem do dźwigania ciężarów uniezdolniony. Spacerowałem więc sobie, oglądałem doki; od doków odszedłem i błądzić począłem po ulicach Londynu, myśląc o tem, czy na ulicy nie znajdę czego. Gdybym *six-pence'a* znalazł!... Z tego punktu wychodniego fantazja moja wznosić się poczęła stopniami corazto wyżej i wyżej. Zamarzyłem o półkoronie, o funcie, o dziesięciu, stu, tysiącu funtach, o stu tysiącach funtów. Przecież ludzie gubią, — gubią tacy, co mają na zbytki. Przeniesienie zbytku na mnie sprowadziłoby jeno równowagę pomiędzy tym, co ma nadto, a mną, niemającym za co kupić sobie chleba kawałka. O, gdybym znalazł... Fantazja moja dalej jeszcze poszła. Marzyć począłem o kasach bogaczów i o czapce niewidymce. Głód jest złym doradcą. Gdyby w chwili tej, kiedym z doków wypchnięty po ulicach stolicy

Anglji bez celu się błąkał, baron de Sallis do sumienia mego zajrzał, zmodyfikowałby znacznie dobrą opinję, jaką o mnie z guzów na głowie powziął.

Dzień ów całkowicie zeszedł mi na błąkaniu się po mieście. Zwiedzałem ulice paradne i parki. W parkach myśl o znalezieniu prześladowała mnie mocniej, aniżeli na ulicach. Zaglądałem pod krzaki. No — i trafiło się mi, żem znalazł. Stało się to w Hydeparku, w ulicy jednej pobocznej. Gdym szedł zadumany, zoczyłem jadącą konno naprzeciwko mnie parę, mężczyzna i kobieta. Droga w miejscu tem schodziła wdół. Zdaleka zauważyłem, że kobieta niepewnie jakoś na siodle się trzyma i kiedym się z nią zrównał, pochyliła się tak, że towarzyszący jej jegomość z konia zeskoczył, ręce do niej wyciągnął i ona się mu w ramiona osunęła, zostawiając za sobą na koniu siodło nabok przekręcone. Pospieszyłem z pomocą. Pomoc moja przydatną się okazała pod tym mianowicie względem, żem konia damy przesiodłał i należycie spoprężył. Beze mnie by się to — jak się zdaje — nie było zrobiło. Dama przy pomocy mężczyzny napowrót wsiadła, na siodle się usadowiła, *all-right*, rzekła i wdzięcznym uśmiechem i skinieniem głowy uznanie mi swoje wyraziła. Jegomość, do wsiadania się zabierając, pół korony mi ofiarował. Cofnąłem się w oburzeniu. Jegomość pół korony do kieszeni włożył, na koń wsiadł i z siodła mi *thank you* rzucił. Dama się do mnie znów uprzejmie uśmiechnęła. Odjechali.

Znalazłem tedy półkoronę, to jest dwa szylingi i pół, i nie wziąłem. Dlaczegom nie wziął? Nie rozumiałem, jakbym ją wziąć mógł — za przysługę damie.

Nad wieczorem przychodziły mi na myśl kotlety Worcella i herbata Rustejki, alem już do nich nie szedł. Nadużycie, jakiegom się u Rustejki z chlebem dopuścił, ciążyło mi na duszy wyrzutem sumienia. Perswadowałem je jednak sobie. Nazywałem to omyłką. Liczyłem na robotę, na zarobek i na to, że się mu herbatą i chlebem wywzajemnię. Zawiodłem się. Mojaż wina? Czyż nie zrobiłem wszystkiego, ażeby robotę dostać?... Do domu wróciłem wieczorem późnym i spałem. Tak mi upłynął głodu dzień szósty.

O następnych nie mam do powiedzenia wiele. Upływały one jeden po drugim napozór monotonnie, w rodzaju wrzenia wewnętrznego, jakie się odbywało w duszy mojej. Nie mogłem

się zgodzić z tem, ażeby to było rzeczą godziwą, że ja jeść nie mam co. Oburzało mnie to i pobudzało do snucia bądź przypuszczeń i nadziei przesadnych, bądź żalów niewczesnych, bądź doktryn zaczepnych. Gorączka mnie paliła. Wody wypijałem bez miary i nie ustawałem w krążeniu po Londynie, zatrzymując się przed wystawami jadeł wszelkiego rodzaju, zajmującemi mnie szczególnie. Rozrzewniał mnie w sposób osobliwy widok ciastek z owocami. Przypatrywaniu się im poświęcałem czasu najwięcej. Jadła jednak nie zajmowały mnie wyłącznie: interesowały i dzieła sztuki. Zwiedzałem British-Museum, National Gallery i St. Paul Church. W pierwszem uwagę moją pochłaniały okazy, świadczące o pierwocinach cywilizacji, napisy na kamieniach, papirusy, sarkafogi etc.; w drugiej zafrapował mnie szczególnie jeden z pejzażów Salvatora Rosy; w trzecim wpływ osobliwy wywierał na mnie widok grobowców: zazdrościłem tym, co pod kamieniami spoczywali, i z punktu zazdrości tej snułem rojenia, z któremi w głowie z kościoła wychodziłem.

Kościół św. Pawła leży nieopodal od mostu londyńskiego. Odległość ta sprawiła snadź, żem razu pewnego z kościoła na most doniósł zazdrość względem umarłych i zachciało mi się umrzeć coprędzej. „Umrzeć, marzyć“... — mówiłem do siebie, jak Hamlet. Śmierć wydała się mi niesłychanie ponętną, — a żem rozmyślał, więc ten nastrój ducha motywowałem sobie. Obliczyłem dnie głodu; naliczyłem dziewięć, i w tych siedem, w których, jak w czterech ostatnich, oprócz wody nic innego w usta nie wziąłem. Nic mi nie mówiło, że dni takich nie upłynie cztery jeszcze i cztery jeszcze. Tego nawet pewny byłem, a to dla tej racji, żem zabiegów, jakie celem dostania zajęcia zrazu czyniłem, zaniechał zupełnie. Tylem się ludziom nanaprzykrzał, że się już więcej naprzykrzać nie chciałem. Groził mi przeto ciąg dalszy głodu, na który rady nie było, a którego następstwo nieochybne przedstawiało się mi wyraźnie: zanik sił, gorączka i śmierć. Zanik sił i gorączkę czułem, że je noszę już w sobie. Wyprowadziłem stąd wniosek, że do grobu zmierzam drogą prostą i że na niej czekają mnie cierpienia, które mi się wydawały zbytecznym drogi tej ornamentem. Cierpienia nadaremne! Do łamania się z niemi nie czułem w sobie ochoty najmniejszej. Naco?... Nielepiejże zamachem jednym i raz na zawsze nietylko cierpień, ale i kłopotów wszelkich się pozbyć?... Zapytanie to zawierało

odpowiedź w sobie; pozostawał przeto jeno wybór rodzaju śmierci. Nie zabawiało mnie to długo. Porównywań pomiędzy powieszeniem się, poderżnięciem sobie gardła, otruciem się, przebiciem, skoczeniem z wysokości, etc., etc., nie czyniłem. Życzeniem skoczyłem odrazu do oręża palnego. Chciało mi się w łeb sobie strzelić — rozstrzelać się, jak na żołnierza przystoi; ale — skąd tu było pistolet wziąć? Gdybym pistolet kupić miał za co, tobym o samobójstwie ani pomyślał. Musiałem przeto sposób ten odebrania sobie życia odrzucić i chwycić się tego, jaki mi się sam nastręczał. Pod stopami płynęły mętne Tamizy nurty.

— Tak... — rzekłem sobie.

Most londyński posiada po bokach przystawki półokrągłe, zaopatrzone w szerokie ławki kamienne, którym za poręcz służy barjera murowana. Na jednej z ławek tych usiadłem i następnie, ukląkłszy na niej, studjować się jąłem warunki. Rzucenie się do rzeki w miejscu tem sprowadziłoby skutek niewątpliwy, gdyby nie uwijające się w kierunkach rozmaitych parowce i łodzie, któreby następstwo rzucenia się zniweczyć mogły. Niestosowną mi się więc wydała pora dzienna. Najstosowniejszą była noc, a do nocy pozostawało godzin kilka. Jak czas ten zabić? Powziąłem był zrazu zamiar na ławce czekać; lecz zamiaru tego wnet zaniechałem, a to dla tej racji, że przyszli mi na myśl rodzice i rodzina. Serce mi się ścisnęło. Westchnąłem i pomyślałem sobie, iżby ich zawiadomić należało, to jest, potrzebaby do nich list z pożegnaniem napisać. Napisać — jak? Człowiek, co kawałka chleba kupić sobie nie może, i pisać listów nie ma za co. Trudność ta wszakże nie do przełamania nie była. Słyszałem o czytelni polskiej, utrzymywanej w lokalu Towarzystwa Historyczno-Literackiego Przyjaciół Polski, 10 Duke-Str. Słyszałem, że na usługi czytających znajdują się tam pióra, atrament i papier. Nigdym do czytelni owej nie zachodził; teraz dopiero, przypomniawszy sobie o instytucji tej, postanowiłem skorzystać z niej: list napisać, następnie do domu zajść i papiery moje: metrykę, dyplom z Liceum odeskiego i dymisję z wojska, do listu przyłączyć, zaopatrując wszystko to w adres, pod którymby dokumenty te dojść mogły rąk rodziny mojej. Ułożywszy to sobie w głowie, wprost z London-Bridge udałem się na Duke-Street. Czułem w sobie taki

spokój, takie zadowolnienie i taką swobodę, jakbym kłopotów żadnych nigdy nie zaznał i pragnień nijakich nie miał. Dobrze mi, lekko, niegłodno nawet było.

Na Duke-Str. znalazłem się w obszernej, szafami obstawionej izbie, w której pośrodku stał stół długi czarny — na stole dzienniki, kałamarze i pióra; papieru nie spostrzegłem.

— Trzeba widać o papier prosić: kogo? — pomyślałem sobie.

Zająłem za stołem miejsce, obejrzałem się. Przy stole znajdowało się osób kilka. Na miejscu naczelnem siedział jegomość jakiś lekko siwiejący i prosto się a po żołniersku trzymający; obok mnie, na lewo, brunet jakiś krępy, z plecami wydętemi nieco, w gazecie zatopiony; naprzeciwko spostrzegłem Kleczyńskiego, który w Towarzystwie Przyjaciół Polski funkcję żandarma sprawował i żandarmską miał postać. Przede mną leżał *Kurjer Warszawski*, z którym spotykałem się w życiu mojem po raz pierwszy. Z ciekawością organ ten prasy do ręki wziąłem, oczami prędko kolumny naczelne przebiegłem i uwagę zatrzymałem na ogłoszeniach o flakach i rakach. Flaki i raki zajęły mnie żywo, a tak dalece, że nie zważałem na rozmowę, która, przed przybyciem mojem zawiązana, w ciągu dalszym się toczyła. Nie obchodziła mnie ona, aż odezwał się pobocznik mój z lewej strony. Słowa jego wywarły na mnie wrażenie osłupiające. Brzmiały one, jak następuje:

— Nie rozumiem, dlaczego ochotnika do pracy znaleźć nie mogę. Prawda, praca to ciężka, ale wiem, że pomiędzy ziomkami naszymi są tacy, co bardzo potrzebują.

— Hm... chleb lekki wolą — odrzekł jegomość, naczelne siedzenie zajmujący, Karol Szulczewski, jak się dowiedziałem później. — Cóż to za praca? — zapytał — przy kamieniach litograficznych zapewne?

— Uh-hm... — odmruknął zapytany. — Ciężka... Kto jednak potrzebuje, ten nie przebiera. Lepiej kamienie tłuc, aniżeli głodem przymierać, albo rękę wyciągać.

Kleczyński coś o Ameryce mówić zaczął; ja zaś z kołataniem w sercu gwałtownem czyniąc na sobie wysiłek celem powściągnięcia wybuchu uniesienia, co mi pierś rozpierało, do sąsiada się zwróciłem i przemówiłem:

— Jeżeli mi pan zaufa, to ja panu przedstawię... kogoś... co się... pracy najcięższej podejmie...

— Bardzo panu wdzięczen będę — odpowiedział mi sąsiad.

— Jakże? gdzie? kiedy? — zacząłem.

On z kieszeni bocznej wyjął pugilares, z pugilaresa kartę litografowaną i podając mi takową, dodał:

— Czekać na panów będę jutro o dziesiątej rano.

Na karcie adresowej wyczytałem nazwisko: Nowosielski, i kwalifikację: litograf.

Opisać nie zdołam wzruszenia, jakie mnie opanowało. O zamiarze samobójstwa odrazu a tak zupełnie zapomniałem, jakby on w myśli mojej nie postał nigdy. Raki i flaki zajmować mnie przestały; *Kurjera Warszawskiego* czytać nie mogłem; dosiadywać na miejscu nie byłem w stanie. Zerwałem się i czytelnię opuściłem. Przez ulicę nie szedłem, alem biegł. Popędziłem wprost do siebie. W izdebce jednak duszno mi było. Znów na miasto wyszedłem. Chciałem się z kimeś wiadomością radosną podzielić: z kim? Z Worcellem? z Rustejką?... Stałem się przesądny. Od iścia do pierwszego wstrzymywało mnie wspomnienie kotleta, od drugiego — chleba sposobem nadużycia zjedzonego. Kto wie, azali losy za nadużycia te nie pokarały mnie głodem w ciągu jednym czterodniowym? — Kto wie, azali nie spowodu owych z doków wypchnięty zostałem?... Lękałem się dawania powodu najmniejszego — cienia powodu. Więcem dopóźna po mieście chodził, powróciwszy, spać nie mogłem, — dotychczas sypiałem wybornie; wstałem bardzo rano i wybrałem się zanadto wcześnie, tak że godzinę zapewne całą szyldwachowałem przed drzwiami domu, przez Nowosielskiego mi wskazanego. Gdy dziesiąta bić zaczynała, jam próg przekroczył i wkrótce potem znalazłem się w pracowni litograficznej. Nowosielski przy oknie pracował. Gdym wszedł, odwrócił się i wysłuchał następujących słów moich:

— Przyprowadzam panu pracownika w osobie mojej własnej.

— Domyślałem się tego wczora jeszcze — rzekł.

— Proszęż rozporządzać mną.

— Proszę chwilkę poczekać, przebiorę się jeno.

Zdziwiło mnie to trochę, byłem bowiem przekonany, że zatrudnionym będę w zakładzie litograficznym, na miejscu, pod dyrekcją samegoż Nowosielskiego. Nowosielski sobie ręce

umył, zdjął następnie fartuch i bluzę, włożył surdut, wziął kapelusz i rzekł do mnie:

— Proszę.

Wyszliśmy na miasto. Na ulicy odezwał się:

— To niedaleko.

Chciałem się czegoś o rodzaju roboty dowiedzieć.

— Będę przy kamieniach? — zapytałem.

— To się pokaże — odpowiedział.

— Praca jednak, jakeś pan powiadał, ma być ciężka.

— Ciężka, zapewne... Dla leniwca ciężką jest praca każda. Jam tak zapowiedział umyślnie.

Wszystko to dla mnie zagadkowem trochę było. Zagadkowość jednak niebawem rozstrzygniętą została. Wpobliżu bursy i banku angielskiego weszliśmy, na jednej z bocznych a równolegle do Tamizy idących ulic, do domu, a w domu tym do pracowni, zaznaczonej na drzwiach blachą z napisem: *W. Hawlett, paperhanger and decorator*. Składała się ona z dwóch izb obszernych: jednej, zastawionej sprzętami w nieładzie, drugiej większej, jasnej lecz niekoniecznie czystej, w której stały stoły i stoliki wysokie z blatami pochyłemi i stołki do siadania również wysokie. Ściany dokoła zawieszone były okrawkami tapetów. Przy stołach siedziało i pracowało ludzi trzech; z tych jeden za wejściem naszem wstał i z wielką Nowosielskiego powitał uprzejmością. Był to człowiek lat zgórą trzydziestu, wzrostu średniego, szczupły, nacechowany na obliczu wyrazem szczerości i dobroci. Nowosielski mu mnie przedstawił.

— A?... — odezwał się, okiem mnie od stóp do głowy mierząc. — Dobrze... Umiesz pan rysować?

Zapytanie to zaskoczyło mnie znienacka.

— Tro-chę... u-miem. — odpowiedziałem z wahaniem.

— Zobaczymy.

Posadził mnie przy stoliku, położył przede mną deseń, deseń przykrył papierem przeźroczystym, dał mi w rękę ołówek zatemperowany i dawszy mi znak, ażebym rysunek skalkował, ode mnie się odwrócił i z Nowosielskim gawędkę zawiązał. Wziąłem się do kalkowania z gorliwością, na jaką jeno zdobyć się mogłem. Kreśliłem zygzaki i wykrętasy z zapałem i zacięciem. Siedziałem nad robotą z godzinę, skończyłem wreszcie, rysunek zdjęłem i podałem.

— Bardzo dobrze! bardzo dobrze — zawołał p. Hawlett, dzieło moje rozpatrując.

Pokazał rysunek innym i inni przyznali mu wartość przez pana Hawlett wygłoszoną.

— Idźmyż teraz na obiad — rzekł, do Nowosielskiego się i do mnie zwracając.

Obiad! Obiadu rzetelnego nie jadłem od chwili wyprowadzenia się z domu mera w Southampton, od dziewięciu zaś dni żadnego zgoła. Potrzebowałem też powściągnąć w sobie wzruszenie, jakie we mnie usłyszenie wyrazu tego wywołało. Obiad?. Nie złudzenież to? Obiad będę jadł, obiad rzeczywisty i regularny!

Złudzeniem to nie było. Zasiedliśmy we trzech w jednej z tych restauracyj angielskich, urządzonych w sposób taki, że stolik każdy znajduje się w osobnej, deskami oszalowanej i na drzwiczki zamykanej klatce. Stoliki podłużne ustawione są po dwóch stronach izby prostopadle do ścian. Pośrodku ulica. Przy jednym ze stolików takich ujrzałem nareszcie przed sobą bifsztyk spory, soczysty, kartofle, chleb i piwa kufel jeden na nas trzech. W Anglji panuje — panował za czasów onych — zwyczaj pijania z jednego kufla. Po bifsztyku — nastąpił plumpudding. Spożyłem sumiennie wszystko, co mi się dostało i posiliłem się nakoniec. Maszyna, która się już rozluzowywać poczynała, odzyskała spoistość na nowo. Obiad ów pamiętnym mi jest i pamiętnym do śmierci będzie. Zachowuję za niego panu Hawlett wdzięczność niewygasłą.

Przy obiedzie dowiedziałem się, jakim jest rodzaj zatrudnienia mego. Byłem pół chłopcem do posług, pół robotnikiem w zakładzie wyrobu deseni do tapetów na obicia pokojowe. Chłopcze obowiązki moje na tem polegały, ażebym przychodził do pracowni na godzinę przed innymi, to jest o ósmej rano, i przez ten czas zamiótł, pouprzątał, wody nanosił, świece przygotował i na kominku, gdy chłody nadejdą, zapalił; nadto należało do mnie, gdy potrzeba wypadnie, za posyłkę służyć i do fabryki robotę odwozić, lub takową z fabryki albo z warsztatu przywozić. Robotnicza funkcja moja tyczyła się kalkowania deseni na papier przeźroczysty i przenoszenia takowych z papieru na bloki i blaty drewniane, na których je następnie do drukowania przysposabiano. Przysposabianie nie u nas się

odbywało. Dla niego to trzeba było bloki i blaty wozić, ku czemu służył wózek na dwóch kołach, do którego powinienem się był zaprzągać i — wio!... Dzień roboczy trwał od ósmej do szóstej, z godzinną przerwą na obiad. Spółtowarzysze moi szli na obiad o dwunastej, wracali o pierwszej, ja zaś odchodzić miałem prawo po ich powrocie dopiero. Wynadgrodzenie, jakie mi pryncypał wyznaczył, wynosiło szylinga dziennie, płatnego wieczora każdego.

Przyjąłem bez objekcji najmniejszej warunki wszystkie. Po powrocie z obiadu kalkowałem do wieczora i o szóstej szedłem do domu z szylingiem w kieszeni. Zarobiłem nareszcie — zarabiałem. O! jakże mnie to cieszyło. Do domu idąc, doznawałem tego, co w przenośni nazywa się: nieczuciem ziemi pod sobą.

No — i uratowałem się od śmierci głodowej. Chodziłem do pracowni regularnie, pełniłem obowiązki moje należycie. Ulice Londynu widywały mnie codziennie prawie zaprzężonego do wózka, wożącego bądź bloki i płyty, bądź też zwitki papierowe. Najczęściej wypadało mi bywać w warsztacie pewnym stolarskim, z którym pracownia nasza pozostawała w stosunkach ustawicznych. Majster przyjmował mnie zawsze bardzo uprzejmie, piwem częstował, rozpytywał, wreszcie zaproponował mi, ażebym u niego w warsztacie stanął, obiecując mi na początek wyższe aniżeli u p. Hawletta wynadgrodzenie dzienne. Wynadgrodzenie pomijając, stolarka przedstawiała przyszłość pewniejszą, aniżeli paperhangerka. Rozumiałem to, jednakże propozycji nie przyjąłem. Dla Hawletta czułem wdzięczność, raz za obiad, którego mu zapomnieć nie mogłem, powtóre za poczciwe i przyjacielskie obchodzenie się ze mną. Zajmowałem w pracowni stanowisko najpośledniejsze: stanowisko to nie ciążyło mi, upośledzenie czuć mi się zgoła nie dawało. Robiłem swoje; inni robili, co do którego należało; zresztą byliśmy sobie równi. A nie było nas wielu — czterech wszystkiego: pryncypał, dwóch rysowników i ja. W czynności, jaka się w pracowni naszej odbywała, szczyt doskonałości stanowiła kompozycja desenia nowego. Z rysowników jeden celował w tem; drugi zaś, którego nazwisko (Higs, Hips, czy jakoś inaczej) z pamięci mi wypadło, trzymał środek pomiędzy celującym a mną; był to chłopak wesoły, gadatliwy, bezzęby, szepleniący i okazujący mi życzliwość wielką. Będę go nazywal X.

Wynadgrodzenie, jakie pobierałem, wystarczało na opłacanie pomieszkania, na chleb do herbaty lub kawy codziennie i mięso od czasu do czasu, na opranie bielizny i świecę. Z pierwszego zarobionego szylinga wziąłem kwotę, potrzebną na opłacenie porta do listu do rodziców, czekającego od dni kilku. Był to wydatek nadzwyczajny. Do zwyczajnych dołączał się jeszcze podatek, jaki soboty każdej płaciłem w sekcji Towarzystwa Demokratycznego, a także i tytoń, od którego nie odzwyczaił mnie niedostatek. Miałem przeto na życie, ale nad to na nic więcej, ani na przyjemność żadną, ani nawet na dokupienie bielizny i odnowienie odzieży i obuwia. Lato całe i zimę przechodziłem w surducie bajowym, sfabrykowanym w Szumli. Buty szumelskie i spodnie w Miskolczu kupione zmieniłem nierychlej jak w jesieni, a to dzięki odkryciu się źródła dochodów nowego.

W pracowni czas od wożenia roboty zbywający obracałem na kalkowanie, kalkowałem i kalkując próbować zacząłem tworzenia deseni nowych. Razu pewnego p. Hawlett, płacąc mi, dał mi naraz szylingów kilka i powiedział, że jest to przypadająca na mnie część ze sprzedaży desenia kompozycji mojej. Zachęcał mnie przytem do komponowania i udzielił we względzie tym wskazówek praktycznych kilka. Komponowałem przeto i od czasu do czasu, a im dalej tem częściej, dostawał mi się do płacy zwyczajnej dodatek, który mi pozwolił ogarnąć się nieco. Surdut jeno — surdut bajowy, zdawało się, jakoby uwiekowieczniał się na grzbiecie moim. Składałem na sprawienie sobie odzieży zwierzchniej, lecz nigdym doskładać w stanie nie był. Nie dotrzymywałem szylingów w kieszeni. Fundusz zakładowy rozchodził się, zanim takowy dopełnić mogłem. Prawda, żem się karmił lepiej, — pozwalałem sobie na mięso codziennie. W okolicy pracowni mojej znajdował się zakład, który bifsztyki i kotlety przyrządzał z przynoszonego przez klientów mięsa surowego. Płaciło się za to fardynga ($^1/_4$ pensa) od porcji. Codziennie przeto rano, do roboty idąc, kupowałem sobie mięsa kawałek i w kieszeni trzymałem je do obiadu; o godzinie pierwszej szedłem do zakładu, oddawałem prowizję swoją do przyrządzenia, odczytywałem gazetę, posilałem się i do roboty wracałem. W sposób ten na obiedzie każdym zyskiwało się oszczędności pensów parę. Oszczędność w domu

na kawie i herbacie przychodziła sama przez się, jako następstwo zwyczaju angielskiego, dzięki któremu gospodyni, wynajmująca pokoje umeblowane, obowiązaną jest lokatorowi na ogniu własnym jadło przyrządzać. Lokator dysponuje i ona mu przy końcu tygodnia podaje rachunek *(bill)*, zaznaczając w takowym artykuły wedle ceny sklepowej, a nie licząc ani ognia, ani fatygi, ani posługi. Redukuje to wydatki na jadło do minimum. Jam z redukcji tej co do obiadu korzystać mógł w niedzielę tylko; herbatę, kawę i cukier kupowałem sobie sam; pozostawały więc do rachunku chleb, masło i kiedy niekiedy jaja lub szynka. Niedostatku nie doznawałem i byłbym rychło do surduta przyszedł, gdyby nie — książki. „Ach! te książki zbójeckie!". Nasiąkła skorupa za młodu i — sprawienie surduta umykało w sferę tych pragnień, które — zdawało się mi — nie urzeczywistniają się nigdy.

Działo mi się więc jakotako. Czas upływał na pracy, dnie podobne były jeden do drugiego, i jeżeli trafiło się zdarzenie jakie, to przychodziło ono zzewnątrz i przechodziło, nie ocierając się nawet o mnie. Do rodzaju tego zdarzeń zaliczyć należy plagi, jakie feldmarszałek Haynau, mściciel Austrji na Węgrzech, dostał w browarze Barklay and Perkins. Stało się to wpobliżu pracowni naszej. Przy otwartem oknie siedząc, słyszałem hałas, jaki na ulicy tuż obok zbiegowisko ludu sprawiło. Ktoś z nas wyszedł wcelu dowiedzenia się, co zaszło; powrócił jednak, przynosząc wiadomości tak mętne, żem się niczego domyślić nie mógł. Wieczorem dopiero, do domu wracając, z plakatów wyczytałem, że na mścicielu Austrji zemścili się robotnicy browarniani, że go batogami osmagali, odzież na nim podarli, wąsy mu powyrywali, oczy mu popodbijali, po błocie go ciągali. Zaiste dzikie to i drapieżne zwierzę spotkała kara zasłużona. Za karę tę dzienniki austrjackie odpowiedzialność na polskich i węgierskich wychodźców zwalały. To nieprawda! W Anglji wiedziano o wieszaniu generałów węgierskich i o ćwiczeniu kobiet we Włoszech, świadomość ta była powodem, że feldmarszałka nieprzyjemność spotkała; z wychodźców ja jeden znajdowałem się od miejsca wypadku najbliżej, alem nie wiedział o niczem.

I czas mi upływał spokojnie, aż doczekałem się Nowego Roku (1851). Poprzedzająca takowy wigilja Bożego Narodzenia

jest świętem, obchodzonem w Anglji, jak u nas, ucztą wieczorną, nie rybną wprawdzie, lecz niemniej obfitą i zaznaczoną zwyczajami pewnemi, przez tradycję uświęconemi. Pomiędzy zwyczajami jeden szczególnie na wzmiankę zasługuje. Nad drzwiami przechodniemi zawiesza się gałązkę ostrokrzewu, zdobną w jagódki czerwone. Biada pannie, co się mężczyźnie pod gałązką tą pojmać da! Pod gałązką tą mężczyźni mają prawo wycałowywania panien i z prawa tego korzystają. Wyradzają się stąd zasadzki, ucieczki, gonitwy, śmiechy — zabawa, przyczyniająca się do urozmaicenia gier, tańców i podniesienia nastroju wesołości jaką *Christmas* sprowadza.

— Zrobisz dla mnie to, o co cię prosić zamyślam? — odezwał się do mnie raz kolega mój X na dni kilka przed Bożem Narodzeniem.

— Jeżeli tylko mogę — odrzekłem

— Jak wigilję spędzisz? — zapytał.

— Ja?... — ramionami wzruszyłem. — Nijak... Spędzę ją, jak wieczór każdy inny...

— Nie zaprosił ciebie nikt?

— Nikt...

— A więc możesz prośbie mojej uczynić zadość, albowiem polega ona na tem, ażebyś *Christmas* spędził u rodziców moich. W imieniu ich zapraszam ciebie.

Ze strony mojej nie było racji żadnej do nieprzyjęcia zaprosin. Przyjąłem; X podziękował mi i jął się wywoływać:

— A toż się będziemy bawili!

W dni parę później zapowiedział mi, że mnie u rodziców jego niespodzianka czeka, a we wigilję wigilji prosił, ażebym przyszedł wcześniej nieco, jeżeli będzie pogoda służyła, a to dlatego, ażeby użyć przechadzki w parku.

Rodzice jego mieszkali bardzo daleko, na przeciwnym krańcu Londynu, na prawym brzegu Tamizy, nieopodal od nowozałożonego w dzielnicy tej parku Victoria. Wybrałem się tedy zawczasu i zaszedłem za dnia jeszcze. Kolega mój miał rodziców obojga: matkę prostą i poczciwie wyglądającą kobietę, i ojca, człowieka małego, dotkniętego kalectwem, które mu nogi powykrzywiało. Zajmował on jakieś w handlu stanowisko, był rachmistrzem, czy buchalterem, — nie wiem. Niespodzianka, jaką mi młody X zapowiedział, wyraziła się pod

postacią obecności w domu państwa X kolegi mego z wojny węgierskiej, niejakiego Przyłuskiego, młodego chłopca, który, nie wiem wskutek jakiego zbiegu okoliczności, z rodziną tą znajomość zabrał. Kolega X przedstawił mnie rodzicom i wnet obydwa panowie X, Przyłuski i ja wynieśliśmy się do parku, pędząc czas na przechadzce powolnej, na częstem spoczywaniu i na gawędce przechodzącej z przedmiotu na przedmiot. Od Przyłuskiego dowiedziałem się, że do składu rodziny wchodzą jeszcze panny, o których nic nie wiedziałem:

— Dwie słuszne i jeden podlotek.

Była to dla mnie niespodzianka większa, aniżeli obecność Przyłuskiego, i przykra nieco spowodu trzymającej się grzbietu mego bai. Począłem sobie w duchu gorzkie czynić wyrzuty za *Dzieła poetyczne* Byrona, *Partyzantkę* Stolzmana, *Fortyfikacje* Cormontaigna i parę książek jeszcze, nabytych kosztem surduta. Nie było jednak rady na to. Stało się.

Z parku powróciliśmy późnym zmrokiem do *parlour'u*, w którym zastaliśmy stół już nakryty i gałązkę ostrokrzewu zawieszoną na drzwiach, prowadzących po pokoju przyległego. Zapalono świece; jawiły się panny — jedna niczego sobie, druga brunetka bardzo przystojna. Wniesiono przystrojony w gałązki zielone i pozłótkę rostbif olbrzymi. Zasiedliśmy, jedli i pili, i wesoło nam było. Wesołość przeciągnęła się poza granice wieczerzy. Po wieczerzy nastąpiły zabawy różne, których nie pamiętam, jakiemi one były; pamiętam jeno, żem się tak rozochocił, że, podlotka nie wyjmując, każdą z panien całowałem na progu po razy kilka. Piliśmy późno herbatę; po herbacie, gdym się żegnał, państwo X. zamawiali sobie, ażebym odwiedzał ich często, i jam ich upewniał, że czynić tego nie omieszkam.

— Niedzieli każdej — rzekła pani.

— *O yes*... — odpowiedziałem.

Nazajutrz, o ósmej rano, zamiatałem i uprzątałem pracownię. X., pp. Hawlett i Powell, jak zwykle, przyszli o dziewiątej, o dwunastej atoli ci dwaj ostatni na obiad wyszli, X. zaś pozostał i zawiązał ze mną rozmowę, którą rozpoczął od zapytania, jak mi się na *Christmas* u rodziców jego podobało.

— Bardzo — odrzekłem.

— I kontent jesteś z wieczora wczorajszego?

— Bardzo... — powtórzyłem.

— A siostry moje podobały się tobie?

Odpowiedź tęż samą powtórzyłem raz jeszcze.

— Weź z nich którą... — odezwał się wręcz.

— Jakto? — zapytałem.

— No tak: jakże się dziewczynę bierze? Na żonę...

Znienacka zaskoczony nie umiałem się odrazu na stosowną zdobyć odpowiedź. Bąknąłem coś, ni to, ni owo, a X. mi na to:

— Mówię zupełnie serjo... Masz przed sobą przyszłość piękną, jako artysta *paperhanger and decorator*; siostry moje ciągną dochód z wyszywania przodów do kamizelek. Jeżeli swój *business* złączysz z *business'em* jednej z nich, będzie wam dobrze.

Sprawa stanęła jasno; ja zaś miałem czas z wrażenia pierwszego ochłonąć i wywinąć się w ten sposób, żem rzecz na delatę puścił. Tłumaczyłem koledze, że przed pomyśleniem o ożenieniu zgromadzić potrzeba fundusik jakitaki. On to uznał. Harmonja pomiędzy nami panowała zawsze dobra. Alem do rodziców jego więcej ani zajrzał.

Pozycja moja zmieniła się niebawem. W dni kilka później p. Hawlett przyszedł do pracowni wcześniej jak zwykle i, jak skoro próg przekroczył, wnet się do mnie z wymówkami zwrócił. Nie rozumiałem powodu onych, treść ich bowiem na tem polegała, że wyrzucał mi brak zaufania, jaki mu okazałem.

— Nie spodziewałem się tego po tobie — powiadał.

— Ależ czego? — zapytałem nareszcie.

— Nie powiedziałeś mi, żeś porucznik.

— No?

— I jam ci kazał izbę zamiatać i z wózkiem ciebie posyłałem.

Wytłumaczyłem mu wówczas, żem nie uczynił tego z umysłu i że wówczas, kiedym u niego zatrudnienie znalazł, gotów byłem jąć się zamiatania ulic lub bicia kamieni przy drodze. Dałem mu do zrozumienia, że mi wyświadczył dobrodziejstwo, za które czuję dla niego wdzięczność głęboką; prosiłem go przytem, ażeby porucznikostwo moje w rachunek zgoła nie szło.

Lękałem się miejsce z racji tej stracić!

P. Hawlett odpowiedział mi na to:

— Nie mogę ja ani porucznikostwa twego, ani twoich w rysowaniu dekoracyj postępów w rachunek nie brać. Jesteś od chwili tej artystą. Płacić ci będę pół korony [1] dziennie i dawać, jak dotąd dawałem, procent od sprzedaży modeli kompozycji twojej. Nie troszcz się już o izbę i o kominek, a przychodź o dziewiątej rano.

Uścisnąłem mu dłoń serdecznie. On przy biurku swojem usiadł i począł mi o stanie interesów swoich opowiadać. Podstawą pracowni była spółka pomiędzy Hawlettem a Powellem. Temu ostatniemu zagrażały suchoty i lekarze radzili mu przenieść się do Indyj. Gdyby do tego przyszło, nie pozostawałoby nic innego, jak interes zwinąć.

Zrozumiałem, że jest to dla mnie przestroga, ażebym przyszłości mojej do pracowni dekoracyjnej nie przywiązywał.

W czas jakiś później p. Hawlett oznajmił mi, że ma dla mnie propozycję pewną:

— Jaką? — zapytałem.

— Czy nie mógłbyś dawać lekcyj języka francuskiego?

— Mógłbym — odrzekłem po chwili namysłu.

Dał mi adres jakiejś kuzynki swojej, utrzymującej szkołę dziewcząt. Udałem się pod adresem wskazanym. Dyrektorka uprzedzoną już była. Umowa pomiędzy nami zawartą została w słowach kilku; za godzinę szylingów dwa; trzy godziny na tydzień; rozpoczęcie kursów w tygodniu następnym, w dniu i o godzinie, których nie przypominam sobie. Stawiłem się według umowy. Dyrektorka wprowadziła mnie do klasy, w której przy stole długim siedziało panienek lat dziesięciu-dwunastu z piętnaście, i do panienek przemówiwszy, a miejsce mi wskazawszy, sama wyszła. Zająłem miejsce swoje, odchrząknąłem, okiem powiodłem. Dziewczęta, niby w tęczę, we mnie się wpatrywały i, jak tylko gębę otworzyłem, jak tylko dźwięk wyrazu pierwszego z ust mi wyszedł, w chwili tej wszystkie, jakby na komendę śmiechem buchnęły. Zamilkłem. Po niejakimeś czasie zdawało się, że burza ucichła. Odezwałem się znów i wybuch śmiechu znów nastąpił. Powtórzyło się to razy trzy. Przekonałem się, że sam dziewczętom rady nie dam,

---

[1] Korona = 5 szylingów.

opuściłem więc klasę i wezwałem na pomoc dyrektorkę, która wysłała nauczycielkę mnie ku pomocy. W obecności nauczycielki szło jakotako; po wydaleniu się jej jednak burza się wznowiła, dziewczęta głowy pod stół chowały i śmiały się. Tak przeminęła godzina. Kiedym odchodził, dyrektorka przepraszała mnie i zaręczała, że tego więcej nie będzie.

Na lekcję następną uczenice moje odegrały z równym zapałem tenże sam koncert śmiechu.

Wyszedłem w połowie lekcji.

Dyrektorka w sieni mnie spotkała.

— Nic nie poradzę — przemówiła —, albowiem pan sam powód do śmiechu dajesz.

— Ja? — zapytałem zdziwiony.

— I sam powód ten usunąć możesz, jeżeli zechcesz.

— Zechcę... niezawodnie... — odparłem — bylem wiedział jaki...

— Ogol pan wąsy. Wąsy pańskie dziewczęta śmieszą.

W czasach owych wąsy w Anglji stanowiły przedmiot podziwu i szyderstwa.

Skłoniłem się dyrektorce w milczeniu i więcej już do szkółki tej nie powróciłem.

Troszczyć się jednak począłem o losy moje. Gdyby nie choroba Powella, miałbym byt zapewniony, tem bardziej że znajdować począłem coś nakształt uroku w dekoratorstwie: kreśliłem już i kombinowałem desenie z zamiłowania, w domu, z popędu własnego; tworzyłem je w imaginacji; stawałem się naprawdę artystą w tym zakresie rzemieślniczym. Byłem już płatny wcale dobrze. Już nawet mieć mogłem potrzebne na sprawienie sobie surduta fundusze. Nagle zmieniły się losy moje.

Niedzieli pewnej rano w mieszkaniu mojem pojawił się niespodzianie Kleczyński i oznajmił mi, że bank pewien na Lombard-Street wzywa mnie w interesie moim osobistym.

— W jakim? — zapytałem.

— Nie wiem — była odpowiedź. — Szulczewski otrzymał z banku list z prośbą, ażeby pana odszukał i wezwanie panu zakomunikował.

— Do kogóż się tam zgłosić mam?

— Powiedz jeno nazwisko swoje i dodaj, żeś przez Szulczewskiego przysłany.

— Cóżby to za interes mógł być?

— Pieniężny może — wtrącił Kleczyński.

Do domu, w którym mieszkałem, do pokoju obok od frontu sprowadził się przed tygodniami paru jeden z członków Centralizacji, Jan Kanty Podolecki. Po odejściu Kleczyńskiego zapukałem do niego, powiedziałem mu, co mnie spotkało, i razem poczęliśmy wnikać w znaczenie wezwania zagadkowego. Coby to być mogło? Prawdopodobieństwo przemawiało za pieniędzmi, gdybym się takowych skąd spodziewać prawo jakie miał. Nadszedł Worcell. I on w domyślaniu się udział wziął. Domysły i przypuszczenia nie doprowadziły do niczego i na rozwiązanie zagadki jutra czekać trzeba było.

Nazajutrz o dziewiątej byłem, jak zwykle, w pracowni i pójście na obiad zwlókłem umyślnie do pierwszej, ażeby godzinę wolną obrócić na zgłoszenie się do banku, do którego miałem jeno przejść na ulicę obok. W banku, zameldowawszy się wedle informacji Kleczyńskiego, wnet wezwany zostałem do jakiegoś człowieka młodego, który do mnie przemówił czystą polszczyzną. Był to Kassiusz z Poznańskiego.

— Imię i nazwisko pańskie? — zapytał mnie.

— Zygmunt Miłkowski — odpowiedziałem.

— Mam do dyspozycji pańskiej pieniądze.

— Jakie? — zapytałem.

— Pańskie...

— Skąd?... od kogo?...

— Tego panu powiedzieć nie mogę. Powiem jeno, żem był w Odesie i stamtąd przyjeżdżam.

— Ależ nie wiem, — odparłem — czy pieniądze te wziąć mogę...

— Wziąć je pan możesz z sumieniem najczystszem, to panu słowem honoru zaręczam... Są one pańską własnością.

— Ileż tego jest?

— Sto funtów... Są one do zupełnego i bezwarunkowego rozporządzenia pańskiego.

Mina moja głupią być musiała, Kassiusz bowiem zapewniać mnie się jął, że pieniądze te pochodzą ze źródła czystego i że mam do nich prawo zupełne.

— W razie takim — rzekłem wkońcu — proszę mnie je dać.

Kassiusz zmierzył mnie okiem odgóry dodołu i odrzekł:

— Radzę panu nie brać kwoty całej odrazu... Weź, ile teraz potrzeba, i bierz później w miarę, jak się potrzeba okaże.

— Dobrze — odpowiedziałem.

— Ileż więc dać panu teraz?

— Funtów... dziesięć...

Kassiusz wręczył mi czek i kazał z nim iść do banku angielskiego.

W banku dano mi dwa bilety po pięć funtów każdy.

Tajemnica pochodzenia posyłki tej wyjaśniła się mi później, nie w zupełności jednak. Nie wiem, kto pieniądze dał, dowiedziałem się jeno, co do dania onych pobudką się stało. List do rodziców przeze mnie pisany doszedł rąk nie ich, ale generała-gubernatora Bibikowa, który takowy publicznie słuchaczom Uniwersytetu Kijowskiego odczytać kazał, dodając do onego ze strony swojej komentarz stosowny. W liście tym jam się przed rodzicami obwiniał i o przebaczenie ich prosił. Posłużyło to Bibikowowi za asumpt do moralizowania młodzieży, świadcząc się żywym kolegi ich przykładem. Drogą tą i do rodziców moich wiadomość o tem, że żyję, doszła i wiadomość o mnie po kraju się rozeszła. Owóż w momencie tym ktoś z ludzi pieniężnych spotkał się w Odesie z Kassiuszem, z Londynu przybywającym i do Londynu wracającym, i wręczył mu sto funtów dla mnie. Podejrzewałem w ktosiu tym Juljusza Jeleńkowskiego, lecz on się do tego nie przyznawał. Dziękuję dawcy nieznanemu. Innego mi nic nie pozostaje po upływie lat tylu.

Do pracowni z dziesięciu funtami w zanadrzu powróciłem i, rysując, układałem sobie w myśli regestr sprawunków: koszule, inekspryma̧ble, chustki do nosa, skarpetki, kapelusz, surdut, surdut szczególnie, przedmiot pragnień moich gorących oddawna. O szóstej zmrokiem, do domu idąc, kupiłem przedewszystkiem kapelusz, potem coś jeszcze i coś jeszcze; zrobił się z tego pakiet, z pakietem tym do domu podążyłem celem powieczerzania i kontynuowania zakupek później. Wchodzę, przed Podoleckim staję i na zapytanie jego: „No i cóż?“ — odpowiadam:

— Pieniądze!

— Ij nie: żartujesz... — on na to.

Sięgam ręką w zanadrze, chcąc mu pięć funtów pokazać, i pięciu funtów nie znajduję. Szukam — niema. Jeden bilet bankowy zmieniłem; z tego reszta pozostała; drugi znikł. Obszukałem się we wszystkich dziurach, w jakie odzież moja bajowa obfitowała; nadaremnie jednak. Z domu wybiegłem; tą samą drogą, którą przyszedłem, wróciłem, przypatrując się na trotuarze, przy świetle lamp, papierkowi każdemu, — nie znalazłem. Przekonałem się jeno napewno, żem pięć funtów zgubił — pięć funtów na surdut przeznaczonych. Gniew mnie przejmował i wstyd mi było, wstyd tak dalece, żem w tygodni parę dopiero później zaczerpnął z banku pieniądze na uzupełnienie sobie przyodziewka.

W miesiącu marcu prosiłem pana Hawletta o udzielenie mi urlopu na tydzień.

Powód, dla którego urlop wziąłem, zniewala mnie opowiadanie moje cofnąć wstecz, celem wykazania innej życia mego strony. Zabiegi o chleb powszedni pochłaniały mnie całkowicie wówczas tylko, kiedym jeść nie miał co. Głodny o odwróceniu głodu myślałem i nie byłem w stanie zajmować się czem innem. Jak skoro jednak troska ta z głowy mi spadła, wnet zająłem się tem, co mi bliżej serca leżało: nauką i polityką.

Nauce nadałem kierunek, jaki w położeniu mojem i w warunkach, śród których się znajdowałem, sam przez się się nastręczał. Odbyłem studja matematyczne i praktykę wojskową. Tę ostatnią zwróciłem do teorji, teorję zaś wspierałem wiadomościami matematycznemi. Stało się to, jak powiadam, samo przez się. Rozporządzałem materjałem, oczekującym na zużytkowanie i domagającym się takowego. Poszedłem w kierunku tym: jąłem się studjować rzemiosło wojskowe przedewszystkiem i nadewszystko, gromadziłem w celu tym środki pomocnicze, kupowałem i pożyczałem książki, czytałem, notowałem, figury kreśliłem, pracowałem słowem nad strategją, taktyką, nad taktyką trzech broni, każdej zosobna i w połączeniu, nad fortyfikacją stałą i polową, budownictwem wojennem, nad historją sztuki, geografją i historją wojskową. Pracę tę, której oddawałem się z ochotą, prowadziłem, że się tak wyrażę, środkiem, wkluczając w nią wszystko, co do niej ze strony tej i owej bezpośrednio i pośrednio przystawało. Historja wojenna naprzykład łączyła się z historją ogólną, obejmującą kwestje

polityczne, społeczne, ekonomiczne, cywilizacyjne. Rozszerzało to znacznie zakres studjów moich, wyprowadzając takowe na pola różne, między innemi i na literackie, do którego skłonność w duszy mi pokutowała. Literatem nie byłem; za literata się nie miałem; do literatury atoli pociąg czułem nieprzeparty.

W studjach naukowych nie byłem pozbawiony wskazań odpowiednich. W Londynie zamieszkiwało w czasie owym ludzi kilku, których się radzić mogłem i którzy dobrej rady chętnie udzielali. Poznałem się ze Stolzmanem (Karol Bogumił), pułkownikiem od artylerji z r. 1831, autorem kilku treści wojskowej prac cennych, człowiekiem uczonym i zacnym; poznałem się z Nowosielskim (Feliksem), pułkownikiem od saperów z r. 1831, autorem broszury *O kształceniu umysłu i serca*, który się fachem inżynierskim nie zajmował, niemniej przeto jednak posiadał kompetencję zupełną do udzielania tym, coby się takowym zajmować chcieli, skazówek i rad; najpożyteczniejszą atoli dla mnie we względzie tym była znajomość z Michałem Domagalskim, studnią wiedzy wojskowej, żyjącą wiadomości, tyczących się rzemiosła militarnego, encyklopedją. Z Domagalskim zbliżyłem się i zaprzyjaźniłem; on mi autorów wskazywał, stronice cytował, formuły dawał, ułatwienia wszelkie podsuwał, czyniąc to w poczuciu obowiązku, nakazującego Polakom pogotowie ustawiczne do czynności orężnej. Domagalski brał to w znaczeniu literalnem: nietylko sam się ćwiczył, wprawiał, gimnastykował, ale gorąco i całkowicie udzielał się każdemu, co się do niego po skazówki zwracał. Ze mną szło mu gładko, raz dla ochoty, jaką okazywałem, powtóre dlatego, że ochota moja przedstawiała się pod postacią roli dobrze uprawionej.

Z Domagalskim zbliżyłem się spowodu kwestji, nad którą dyskutowało Towarzystwo Demokratyczne.

Towarzystwo Demokratyczne dzieliło się na sekcje, które, zbierając się zazwyczaj raz na tydzień, miały rozliczne do załatwiania sprawy administracyjne, sądowe, finansowe. Funkcjonowały one regularnie i porządnie tak długo, póki czynnościom ich we Francji, gdzie w każdem prawie mieście większem istniały, na przeszkodzie nie stanęła prezydentura Ludwika Napoleona. Ten ostatni, jak skoro prezydentem został, wnet Towarzystwo Demokratyczne Polskie rozwiązał i organ naczelny onego,

Centralizację, z granic Francji wypędził. We Francji przeto sekcje jawność zwinęły. Zgromadzały się i z Centralizacją stosunki utrzymywały, ale na drodze tajemnej. Jawność pozostawała przy sekcjach funkcjonujących w Anglji i nadała znaczenie wielkie sekcji londyńskiej, tak dlatego, że była ona liczną — liczyła członków do osiemdziesięciu —, jakoteż dla tej przyczyny, że w skład onej wchodziło osobistości kilka wydatniejszych, jak: Jan Nep. Janowski, Stolzman, płk. Ludwik Oborski, Domagalski, Alojzy Przezdziecki, Bartochowski i in., i nadawały akcent obradom, jakie się w łonie jej toczyły, obradom, odnoszącym się do kwestyj z zakresu konstytucyjno-rewolucyjnego. Dawanie kwestyj tego rodzaju Towarzystwu pod dyskusję należało do atrybucyj Centralizacji i stanowiło jedno z najważniejszych i z najpoważniejszych Towarzystwa zajęć. Licho wie, co o tem publicyści, literaci i historycy dzisiejsi piszą, malując tę życia emigracyjnego stronę barwami czarnemi, jakby się tam, jeżeli już nie wyraźnie zbrodnie knuły, to szaleństwa wytwarzały. Nie było to ani to, ani owo, ale bardzo porządne, zawsze przyzwoite i nierzadko rozumne rozważanie tematów, jakie wytwarza życie narodu. Jeden z tematów takich Centralizacja sekcjom rozsyłała; każda z sekcyj obowiązaną była nad nim obradować i rezultat obrad w postaci referatu, z dołączeniem lub bez dołączenia do onego protokółu, Centralizacji odesłać. Centralizacja opracowania te wszystkie kompulsowała i robiła z tego sprawozdanie ogólne, które z dołączeniem opinji własnej sekcjom zwracała. Wywiązywała się stąd dyskusja powtórna i doprowadzała do rezolucji, na którą Towarzystwo głosowało. Rozprawy te, to zajęcie umysłowe, to myślenie ustawiczne o dobru publicznem, wywierały wpływ wielce zbawienny pod względem tak moralnym, jakoteż intelektualnym. Każdy pracował w przekonaniu, że pracuje dla ojczyzny, na ołtarzu jej ofiarę składał i ofiarnością tą żył, a do dyskusji zbroić się musiał, więc czytał, uczył się, umysł sobie rozwijał.

Kiedym do Towarzystwa Demokratycznego wstąpił, Centralizacja dała pod dyskusję kwestję stopni wojskowych i awansów w armji rewolucyjnej. Do sekcji londyńskiej kwestja ta w postaci okólnika nadeszła. Sekretarz po załatwieniu się z protokółem z posiedzenia poprzedniego przystąpił do czytania

korespondencyj, w liczbie których znajdował się i okólnik. List każdy był przedmiotem dłuższej lub krótszej deliberacji z racji odpowiedzi, jaką udzielić należało; okólnik wywołał wniosek sekretarza, który, do ustawy się odwołując, proponował wybór komisji do przedstawienia kwestji w postaci referatu. Do komisji wybrano Domagalskiego i mnie. Wybrano trzech, — nie pamiętam kogo trzeciego, nie pamiętam oraz, jak to się stało, że my dwaj tylko nad referatem pracowali. A była to praca nielada. Studjować musieliśmy sprawę rozdawnictwa stopni i awansów w prawodawstwach wojennych wszystkich narodów, porównywać, analizować, wykazywać dobre i złe strony, dodatnie i ujemne następstwa, świadczyć się przykładami i autorami i wymotywowywać opinję własną. Trzeba więc było popracować bardzo serjo. Praca tego rodzaju odbywała się w sekcji każdej za kwestją każdą. Nie byłaż to w rodzaju swoim szkoła? — szkoła nauczania się wzajemnego?... Detraktorowie emigracji składają dowody lekkomyślności wielkiej, czyniąc zarzuty „głupoty, krzykactwa i niedołęstwa“ ludziom, co przekonania swoje usiłowali oświecać i oświecali je gruntownie a spokojnie. Na posiedzeniach sekcji londyńskiej bywałem soboty każdej i ani jedno z nich nie odbyło się burzliwie, pomimo że nieraz kwestje drażliwe przedmiot obrad stanowiły.

Redakcja referatu w kwestji stopni i awansów w wojsku mnie się w udziale dostała. Jam ją wniósł, gdy na nią kolej przyszła, i referat odczytał. Wywiązała się stąd dyskusja bardzo żywa, która zajęła posiedzeń kilka. System, jaki komisja proponowała, polegał na połączeniu wyborów z nominacją, z uwzględnieniem uzdolnienia fachowego, nabywanego w szkołach wojskowych, i doświadczenia, jakie długie pozostawanie w szeregach (wysługa lat) daje. Chodziło jej głównie o usunięcie przywilejów i faworytyzmu, i o obezpieczenie zdolności i zasług. Przeciwko systemowi temu, jako „niedemokratycznemu“, znalazła się w łonie sekcji opozycja, domagająca się wyborów stopni wszystkich bezwarunkowo. Opozycji przewodniczył Przezdziecki, który do Londynu przybył wprost z cytadeli warszawskiej, był bowiem jednym z tych, których z Galicji Gołuchowski Rosji wydał; Przezdziecki staraniom tylko żony Francuzki zawdzięczał, że na Sybir nie pojechał. Był to

człowiek zacności wielkiej, ale namiętny, a przytem wymowny. Broniłem, jako sprawozdawca, referatu od zarzutów, jakiemi on go obarczał. Redakcja moja uległa poprawkom i zmianom; zasada jednak utrzymała się tak przy głosowaniu nad paragrafami, jakoteż przy końcu, gdy wotowano na całość referatu.

W sposób ten zaznaczyło się najpierwsze moje na polu politycznem wystąpienie. Doznałem na niem powodzenia względnego i dzięki poczęści powodzeniu temu, bardziej atoli skłonnościom w naturze mojej tkwiącym i przekonaniom z domu wyniesionym, sprawy polityczne zajmowały mnie mocno. Śledziłem je w dziennikach przeważnie angielskich, a także francuskich i polskich. Z tych ostatnich dwa jeno do rąk mi się dostawały: *Goniec*, przez Bentkowskiego w Poznaniu redagowany, i *Demokrata Polski*, organ Centralizacji, który wychodził w Brukseli, redagował się atoli w Londynie. Rozczytywałem się w jednym i w drugim, i jeden z nich, a mianowicie *Goniec*, stał się tą podnietą, co mnie do ujęcia za pióro popchnęła. Wyczytałem w *Gońcu* niezgodną z istotą rzeczy wiadomość o *Gwiaździe* [1], podaną w sposób kompromitujący tych, co pismo to pracami swojemi zasilali. Wydało mi się potrzebnem sprostowanie błędów. Napisałem do redakcji *Gońca* list; redakcja list ten ogłosiła z datą „Londyn“ i z podpisem „Z. M.“; miałem tę satysfakcję, żem po raz pierwszy oglądał siebie w druku [2]. Czytałem i odczytywałem list ów — serce mi żywo biło. Sprawiało mi to niemałe wewnętrzne zadowolnienie, które się zwiększyło, gdy mnie Worcell zapytał:

— Czyś to ty list o *Gwiaździe* do *Gońca* pisał?

— Ja — odrzekłem.

— Spróbujże: napisz co do *Demokraty*.

Spróbowałem; napisałem artykuł o Rusi [3]; wezwany zostałem na posiedzenie redakcyjne, odczytałem pracę swoją

---

[1] *Gwiazda,* pismo zbiorowe, wydawane w Kijowie od r. 1847.

[2] Artykuł p. t. *Niewinność „Gwiazdy“, książki składkowej, wydawanej w Kijowie* ogłosił *Goniec Polski* w Poznaniu r. 1851 nr 10 i 11, z podpisem „G***“ a nie „Z. M.“.

[3] Artykuł T. T. Jeża *Lud rolniczy w Krajach Zabranych,* podpisany Z. F. M., ogłosił *Demokrata Polski* z 16 II i 23 II 1851; dalsze artykuły bez podpisu: *Szlachta w Krajach Zabranych* 4 V 1851, *Znaczenie rewolucyjne Rusi* 11 V 1851 i in.

i powtórnie miałem satysfakcję oglądania siebie w druku. Satysfakcję tę zamąciło surowe na posiedzeniu następnem upomnienie ze strony W. Darasza. Skarcił on mnie za to, żem się pod artykułem podpisał „Z. M.“ Wykraczało to przeciwko zwyczajom redakcyjnym: występowania wobec czytelników zbiorowo. Artykuły kierujące podpisywał tytuł pisma. Dowiedziałem się przy okazji tej, że należę do składu redakcji. Od momentu tego bywałem na posiedzeniach regularnie i pisywałem często. Rozpoczęło się to jakoś we wrześniu czy październiku r. 1850. Tematy wybierałem sobie sam. Zdarzało się jednak, że mi je zadawano. Raz Darasz polecił mi opracowanie rzeczy o usiłowaniach rewolucyjnych Włochów, polecając, ażebym dał do zrozumienia, że nie sami jeno Polacy niosą poświęcenia i składają ofiary na ołtarzu ojczyzny.

— My się — powiadał — zanadto chwalimy, podczas kiedy i inne narody narówni z nami cierpią i nad wyzwoleniem swojem pracują... Włosi nam pod względem niejednym za wzór służyć mogą.

Według dostarczonych mi przez Darasza źródeł skleiłem artykuł i artykuł ten odrzucony został. Wziął go do przerobienia Podolecki, który, jakem wyżej wspomniał, mieszkał ze mną w domu jednym, — drzwi obok drzwi.

Komitet redakcyjny stanowiła Centralizacja. Pozostawałem z nią przeto w stosunkach bliskich, które wszakże stopniowały się co do wchodzących w skład onej osobistości. Najdalej trzymałem się od Darasza, a to zapewne spowodu despotycznego, jaki go cechował, temperamentu. Twardy we względzie zasad, surowym był dla siebie i dla innych, i w postawie swojej, w zachowaniu, w sposobie bycia miał ten akcent, który poufałość chłodzi. W Centralizacji on faktycznie panował: Worcell i Podolecki ulegali mu bezwarunkowo. Darasz reprezentował Towarzystwo Demokratyczne w Komitecie Centralnym Demokracji Europejskiej, składającym się, oprócz niego, z Mazziniego, Ledru-Rollina, Rugego i Bratiana (Dymitra). Przy głowie otwartej i niezłomności zasad brakło mu talentu pisarskiego i zdrowia, zwłaszcza zaś tego ostatniego. Brak zdrowia przeszkadzał mu w pracy. Zaatakowane miał piersi. Dni jego były policzone: zmarł też młodo, ale przy śmierci jego w Londynie mnie już nie było.

Z członków Centralizacji najściślejsze łączyły mnie z Worcellem stosunki z powodów, które w ten chyba wyrazić się dadzą sposób, żeśmy odrazu do siebie przystali. Był to także człowiek zdrowia nietęgiego: szczupły, chudy, cierpiał na astmę chroniczną, która mu mało chwil wytchnienia dawała. Nie przeszkadzało mu to być przystępnym, uprzejmym i ujmującym. W towarzystwie jego doznawało się tego uroku, jaki wydziela się z ludzi, którzy, posiadając naukę rozległą, umieją z niej w obcowaniu z bliźnimi użytek właściwy robić. Umiał wiele; po ukończeniu liceum w Krzemieńcu nie zarzucał pracowania nad sobą; nie dawało się to jednak uczuwać, gdy się w towarzystwie jego było, pomimo że żadna dłuższa nieco z nim rozmowa nie obeszła się bez dotknięcia jakiejś kwestji naukowej. Zajmowały go: historja, archeologja, numizmatyka, szczególnie zaś fizyka, a w fizyce optyka, dla której predylekcję czuł. Lubił o tem rozprawiać, posiadał zdolność zainteresowania słuchacza i wyłożenia mu przedmiotu w sposób przystępny.

Jedną z racyj, która zbliżenie się nasze ułatwiła, była ta, że Worcell pochodził z Wołynia (był niegdyś właścicielem Stepania nad Horyniem), znał Ukrainę i Podole, i zachował wspomnienia osób i miejscowości, które i ja znałem. Wspomnienia te rozrzewniały go niekiedy, a rozrzewnienia świadczyły, że walki polityczne i zasady demokratyczne nie wystudziły mu serca, które biło dla ojczyzny, dla sprawy polskiej, dla rodziny, dla przyjaciół dawnych i nowych. Widywałem w oczach jego łzy, gdy o synu, którego od r. 1830 nie widział, mówił; z miłością wspominał o bracie; przedmiotem atoli przywiązania jego szczególnego był Mazzini. Worcell był w nim poprostu rozkochany. Człowiek ten imponował mu swoją pod względem tak intelektualnym, jak moralnym wyższością. Worcell miał dla niego rodzaj kultu, nie taił się z tem. Nie on zresztą jeden znajdował się w wypadku podobnym. Znałem Włochów, dla których był on bożyszczem i którzy szli na śmierć nie dlatego — jak mylnie twierdzą niektórzy —, że on ich posyłał, ale dla ślepej w niego wiary, dla uroku, jaki on wywierał. Znałem rozkochanych w nim Anglików. Nie dziw, że Worcell dostał się pod wpływ uroku tej indywidualności niepospolitej a potężnej, tego charakteru, na którym cienia skazy

nie było. Świadczyło to o Worcellu dobrze, uczucie jego bowiem było z ocenienia należytego pochodzącą czcią dla charakteru, rozumu i serca tego Włocha wielkiego.

Trzeci członek Centralizacji, Jan Kanty Podolecki, różnił się od kolegów swoich ogromnie. Był to wysoko uzdolniony próżniak, umiejący się dzielnie wypisać mową wolną i wiązaną, Pola przyjaciel i spółpracownik jego do *Szopki*, rodem z Podola galicyjskiego. Człowiek ten posiadał w sobie materjał do stworzenia arcydzieła poetycznego i byłby je stworzył, gdyby nad niem nie trzeba było pracować. Tworzył odniechcenia rzeczy krótkie i rzucał je. Do druku dostało się bardzo mało. Zachwycała mnie ballada jego p. t. *Hetman bosy*, którą on niekiedy z pamięci deklamował. Człek zwięzły, krępy, ciężki, dnie całe w łóżku spędzał, w łóżku gości przyjmował, zapamiętale fajkę kurzył i inaczej pisać nie mógł, jak przy ludziach. Gdy nikogo nie było, leżał; przy nim stał stół, na stole papier, kałamarz i pióro; on dumał i do pisania się niby zabierał, lecz nie pisał, aż zeszło się osób kilka i zawiązało gawędkę żywą. Goście rozmawiali; on w rozmowie udział brał i szybko na papierze, co miał do pisania, kreślił. Nieinaczej korespondencję załatwiał i do *Demokraty* artykuły tworzył. Zanotuję co do niego szczegół jeden, świadczący, w jakich Centralizacja dostatkach opływała. Członkowie jej pobierali od Towarzystwa pensyjkę, wynoszącą miesięcznie franków 60. W rękach ich koncentrowały się podatki i składki, które niekiedy do cyfry poważnej sześćdziesięciu tysięcy franków dochodziły, a płynęły ze źródeł rozmaitych, jawnych i tajemnych, dopuszczających możliwość nadużywania grosza publicznego. Nic chyba bardziej do nadużycia nie zachęcało, ba, nie zmuszało, jak Podoleckiego położenie. Pobierał on franków 60; pensyjka ta atoli nie starczyła mu, na tytoń zwłaszcza. Mieszkał i żywił się, ale kurzyć nie miał za co i niedostatkowi temu w ten zaradzał sposób, że fabrykował sobie tytoń z herbaty przegotowanej, którą suszył i z tytoniem prawdziwym mieszał. Wytwarzało się z tego coś woniejącego obrzydliwie i przenikającego odorem wstrętnym osobę Podoleckiego, jego odzież i mieszkanie. On się jednak chwalił, że wynalazł surogat, zastępujący tytoń wybornie. Co? — Niebardzo w dostatkach opływał! Zauważyć należy, że Centralizacja rozporządzała w czasie owym groszem publicz-

nym, wynoszącym franków kilka tysięcy i napływającym ustawicznie. Był to jednak — grosz publiczny... Worcellowi na życie dosyłała żona; Darasza zasilał brat lekarz, który w Algierze praktykował; Podolecki pobierał miesięcznie franków 60 i — fabrykował z herbaty tytoń.

Posiedzienia redakcyjne odbywały się zazwyczaj u Worcella, niekiedy u Darasza. Pismo wychodziło raz na tydzień, rzadko więc kiedy zdarzała się potrzeba schodzić się częściej. Czytały się artykuły kierujące, odczytywały nadsyłane i analizowały jedne i drugie. Przy analizie wytaczały się poglądy wielce dla mnie ciekawe na polityczne i społeczne zasady, równie jak na zadanie Towarzystwa Demokratycznego. To ostatnie streścić się da w sposób następujący słowami, wypowiedzianemi przez Podoleckiego w jednej z mów jego na obchodzie rocznicy listopadowej [1]:

„Po upadku powstania, którego chlubne rozpoczęcie w dzisiejszej święcim rocznicy — mówi J. K. P. —, Polska potrzebowała ogniska, gdzieby mogła zgłębić przeszłość, zbadać przyczyny chwilowej śmierci politycznej i obmyślić sposoby zmartwychpowstania, — bo to, co w życiu ludów ma kiedyś objawić się nazewnątrz, powinno wprzód przygotować się i dojrzeć we wnętrzu ich duszy; — a że naród, pozbawion wolności druku i mowy, musi pozostać biernym w takiej pracy, wypływały stąd dwa różne obowiązki, dwa powołania: jedno dla Emigracji, drugie dla Narodu. Emigracji przypadło roztrząsanie i rozwijanie społecznych zasad, jako warunków przyszłego bytu; Narodowi zaś wybór i przyswojenie z emigracyjnej pracy ku użytkowi swemu tego, co przystaje do rodzinnych obyczajów i potrzeb, a odrzucenie wszystkiego, co się nie zgadza z niemi“.

Tak, nie inaczej zadanie emigracji, i Towarzystwa Demokratycznego pojmowali ludzie, z którymi mnie losy w styczność wprowadziły. Pojmowanie takie do przekonania mi przypadało z tego zwłaszcza powodu, że w dążnościach ich nie widziałem darcia się do przewodniczenia lub naczelnikowania narodowi. Stanowiło to Towarzystwa Demokratycznego cechę, która je od innych towarzystw emigracyjnych wyraźnie wyróżniała. Towarzystwo Trzeciego Maja [2] stawiało króla *de facto*;

---

[1] Mowa na obchodzie rocznicy 29 listopada 1846 w Paryżu w *Demokracie Polskim*, Paryż 5 XII 1846, str. 101—102.

[2] Towarzystwo Trzeciego Maja, organizacja monarchiczna, na której czele stał ks. Adam Czartoryski.

Towarzystwo Wojskowe reklamowało przewodnictwo dla generała Rybińskiego[1]; Zjednoczenie[2], wahające się we względzie wyboru zasad, nie istniało już w porze owej; małoliczne gminy komunistyczne narzucały się z zasadami, których same nie rozumiały[3]; towiańszczyzna, której mistycyzm nie pociągał mnie zgoła, wywieszała sztandar z napisem: *in hoc signo vinces*; grono, z którego wyszedł zakon zmartwychwstańców, niosło Polsce katolicyzm jako warunek zbawienia; — jedno tylko Towarzastwo Demokratyczne uważało siebie za tymczasowego narodu wyręczyciela i, urabiając wnioski na podstawie zasad demokratycznych, przyznawało mu zgóry prawo przyjęcia, „co przystaje do rodzinnych obyczajów i potrzeb", odrzucenia, „co się z niemi nie zgadza". Podpisywałem się na to oburącz.

Że na niwie Towarzystwa Demokratycznego strzelały rośliny wybujałe, to rzecz inna. Tyczy się to osobistości pojedyńczych, nie zaś Towarzystwa, które, jak towarzystwo każde, nie posiadało sposobów na chełznanie ambicyj osobistych, a potrzebowało ludzi zdolnych. Ze zdolnymi miało kłopot. W momencie owym górował Mierosławski, którego podnosił i na widowni europejskiej stawiał piedestał poczwórny: proces berliński, powstanie poznańskie, naczelne dowództwo w Badeńskiem i naczelne dowództwo w Sycylji. Mierosławski mnie zachwycał. Widziałem w nim zdolności wszystkie i cnoty wszystkie, przedstawiał się mi on jako Mojżesz polski; oddawałem mu bezwarunkowo zaufanie moje całkowite. Był to bohater mój.

---

[1] Towarzystwo Wojskowe na emigracji skupiało się około gen. Macieja Rybińskiego, ostatniego w r. 1831 wodza naczelnego i prezesa Rządu Narodowego; przetrwało do r. 1863.

[2] Zjednoczenie Emigracji Polskiej było wyrazem idej „półśrodkowych". Od 1833 r. pracowały Komisje Korespondencyjne nad zgrupowaniem całej emigracji w jedno stronnictwo i nad wyborami do Komitetu Zjednoczenia, ale dopiero w r. 1843 udało się obrać Komitet taki w osobach Lelewela, Zwierkowskiego, Odyneckiego, później Worcella. W r. 1846 Zjednoczenie rozwiązało się; część członków przeszła do T. D. P., część do monarchistów.

[3] Radykalna organizacja „Lud Polski na emigracji" powstała w r. 1835, dzieliła się na gminy „Grudziądz" w Potsmouth, „Humań" na wyspie Jersey i „Praga" w Londynie, rekrutowała się z byłych żołnierzy i głosiła nauki Bucheza i St. Simona. Wpływ największy posiadał tu Z. Świętosławski. W r. 1846 gminy złączyły się z Towarzystwem Demokratycznem.

Uwielbiałem go: rozczytywałem się w tem, co spod pióra jego wyszło, i nigdy się dosyć nasłuchać nie mogłem opowiadań o nim. Miałem go za człowieka genjalnego; żałowałem mocno, że losy nie rzuciły go na Węgry, pewny bowiem byłem, że spółudział jego byłby rezultat wojny na naszą obrócił korzyść.

W czasie pobytu mego w Londynie, w stolicy Anglji przebywała ilość spora wychodźców narodowości rozmaitych, a mianowicie: Francuzów, Niemców, Włochów, Węgrów i Rumunów. Znałem ich niewielu: z Francuzów najbliżej Delescluza [1], zdaleka Ledru-Rollina i Feliksa Pyata; z innych bliżej nikogo; najczęściej, bądź u Darasza, bądź u Worcella, schodziłem się z Dymitrem Bratiano. Anglików wybitniejszych, z wyjątkiem Lintona, nie znałem bliżej. Widywałem ich na mownicy, na mityngach, na których, o ile mi czas pozwalał, bywałem, poznając dobrodziejstwo, jakie zapewnia społeczeństwu swoboda słowa. Słyszałem na mownicy Ledru-Rollina, którego wymowa wielkie na mnie sprawiła wrażenie; słyszałem Ludwika Blanc, który wykładał teorje społeczne.

Teorje społeczne mocno mnie zajmowały. Czytałem i notowałem Fouriera, St. Simona, Roberta Owena i innych, Cabeta etc. Dążności socjalne przebijały się wówczas i wydawały się groźniejsze, aniżeli dziś, spowodu że otaczała je zagadkowość, usunięta obecnie. Dzięki zagadkowości tej stronnictwo Ludwika Napoleona mogło Francję straszyć „widmem czerwonem“, będącem jednym z tych sposobów sztucznych, które bardzo zręcznie użyte zostały do postawienia tronu cesarskiego.

Zabieraniu rozleglejszych z cudzoziemcami znajomości przeszkadzały mi: z jednej strony brak czasu, pochłanianego pracą na chleb i naukę, z drugiej towarzystwo polskie, zaspokajające zupełnie potrzebę życia z ludźmi. Czasu zbywającego nie miałem prawie; gdy zaś zdarzyła mi się chwila swobodniejsza, szedłem do swoich.

Na wiosnę r. 1851 dowiedziałem się, że z Turcji przybywa do Anglji nowy transport uczestników wojny węgierskiej. Zawiadomioną o tem została Centralizacja, która powzięła zamiar zajęcia się nowoprzybywającymi celem zatrzymania ich

---

[1] Delescluze L. Ch., rewolucjonista francuski, ur. 1809, poległ jako jeden z przywódców komuny na barykadach w r. 1871 w Paryżu.

w Europie. Wymagało to zabiegów niemałych. Zatrzymać ich w Europie znaczyło: zapewnić im sposób życia — wynaleźć pracę dla dwustu pięćdziesięciu osób, taką bowiem była przybywających ilość.

Wiadomość ta żywo mnie zajęła. Przybywali koledzy moi. Zdarzyło się to w chwili właśnie, kiedy rąk moich doszła tajemnicza posyłka pieniężna. O! jakże jej błogosławiłem. Z uradowaniem przyjąłem propozycję Centralizacji jechania do Liverpoolu celem służenia kolegom moim za przewodnika i tłumacza. Centralizacja od siebie wyprawiała Worcella. Do nas dwóch przyłączył się Mikułowski, który z Southampton wyjechał był do Ameryki i stamtąd powrócił. Wziąłem u p. Hawlett urlop, o którym wyżej wzmiankowałem, i ruszyliśmy we trzech na dni parę przed przybyciem sygnalizowanego już w Kanale statku żaglowego, wiozącego emigrantów polskich.

W Liverpool stanęliśmy w jednym z drugo-, trzeciorzędnych może hotelów, będącym kwaterą główną założonego w tej metropolji handlu angielskiego Towarzystwa Wstrzemięźliwości. Właściciel onego posiadał znaczenie i wpływy niejakie, w sferach rzemieślniczych mianowicie. Wpływy te mogły nam być przydatne i przydały się w rzeczy samej. Za pośrednictwem właściciela hotelu trafił Worcell do osobistości wybitniejszych w mieście, do dziennikarzy i mowców, którzy się zawiązali w komitet, mający na celu zajęcie się losem przybyszów. Komitet ów odwołał się do opinji publicznej, zwołał mityng i powołał do życia komitety takież same w innych W. Brytanji miastach: w Manchester, Glasgowie, Edymburgu, Birmingham, Sheffield, Newcastle, etc. etc. Celem onych było wyszukiwanie dla wychodźców polskich pracy przy handlu, w rzemiosłach i w zakładach przemysłowych.

Na zawinięcie statku do portu czekaliśmy dni dwa. Worcell krzątał się pomiędzy Anglikami; Mikułowski i ja wyglądaliśmy z brzegu gości, których służba portowa zaznaczyła zdaleka wedle nieznanej w wykazach marynarskich flagi. Okręt wywiesił flagę polską. Zdaje się, że po raz pierwszy pojawiała się ona na wodach kanału św. Jerzego. Powszechne też wzbudziła zdziwienie. W porcie zgromadziło się ludzi dużo. Wysiadających ze statku, śród których znalazłem przyjaciół moich,

Zimę, Jastrzębskiego, Łękawskiego, Dobrzyńskiego i in., przyjmowano okrzykami powitalnemi.

Nowi ci przybysze doznali w Liverpoolu uprzejmości niemniejszej, jak my w Southampton, ze strony władz miejscowych i ludności. Dano im na przemieszkanie kilkudniowe lokal obszerny i zaopatrzono potrzeby ich. Znajdowali się oni w odmiennych aniżeli my warunkach z tego względu, że podczas kiedy nam postawioną została alternata: Ameryka albo głód, oni do wyboru mieli: jechać do Ameryki, lub w Europie szczęścia próbować. Nami się zaopiekowała czartoryszczyzna, znana wówczas pod nazwą Hotelu Lambert; im się czartoryszczyzna nie pokazywała, natomiast członek Centralizacji rady i wskazówki dawał, czyniąc zabiegi celem niepozostawienia na lodzie tych, coby w Anglji pozostać chcieli.

Zabiegi Worcella uwieńczył skutek pomyślny. Dziennikarstwo liverpoolskie poruszyło opinję publiczną; olbrzymie mityngi, na jednym z których Worcell przemawiał, dały opinji wyraz przez rezolucje odpowiednie; do Komitetu zgłaszać się poczęli handlarze, kupcy, rzemieślnicy, fabrykanci, żądając Polaków; komitety miast innych zapraszały wychodźców, ten pięciu, ów dziesięciu, dwunastu, piętnastu, zapewniając dla nich pracę i utrzymanie. Anglja bez interwencji oficjalnej rozbitków politycznych do szerokiej piersi swojej przygarnęła. Pamiętam jej to; chowam dla niej w sercu mojem wdzięczność i cześć, i zgodzić się nie mogę z tymi, co jej bezwzględnie interesowność i samolubstwo zarzucają. Jaki interes powodował nią, gdy gromadę tułaczy u ogniska swego sadzała i chlebem się z nimi dzieliła? W czem się w razie tym samolubstwo jej zamanifestowało? Nie obeszło się wprawdzie bez opozycji. Na jednym z mityngów z obecnych jeden odezwał się, że gdyby mógł, byłby prześwidrował i zatopił z Polakami okręt przedtem, zanim do brzegów angielskich przybił. Głosy takie jednak bez echa przebrzmiały.

Powiedzieć należy, że rezultat pomyślny nie przyszedł bez dotykających miłość naszą własną przykrości niejakich. I tak naprzykład. Na mityng wielki, który się po przybyciu wychodźców odbył, ich wszystkich zaproszono, zamówiwszy sobie kilku na estradę z tem, ażeby bodaj paru wystąpiło w mundurach. Zaproszenie było uprzejme; jakże onemu

zadość nie uczynić? Kilku znalazło się takich, co mundury zachowali, a między innymi Wołyński niejaki, major czy rotmistrz od białych ułanów, człek duży, widny i wąsaty. Tego na estradzie na widoku posadzono. Głos zabierający mówce często na niego wskazywali. Co oni prawili, poczciwy major nie wiedział; ale nie wiedział również, ani się domyślał, że jest okazem na wystawie, że pełni funkcję reklamy żywej. Nie była to rola nader miła.

Z przybyszów nie wszyscy w Anglji zostali. Część stosunkowo mniejsza aniżeli w transporcie pierwszym, udała się do Ameryki. Przed wyjazdem części tej, która liczyła osób niewięcej jak pięćdziesiąt, obradowaliśmy; odbyliśmy mityng polski. Na mityngu tym głos zabrać chciałem; rezolutności mi zabrakło; czułem w sobie popędy krasomówcze, alem się ich wygłosić nie odważył. Funkcja moja w Liverpoolu ograniczała się do roli cicerone przy kolegach, którzy w mieście angielskiem byli niby w lesie. Z czasów funkcji tej zanotowało mi się w pamięci zdarzenie jedno zabawne. Spotkałem na ulicy Polaków kilku w towarzystwie Anglika jakiegoś młodego; zatrzymałem się, zatrzymali się oni i zwrócili się do mnie z żądaniem, ażebym im za tłumacza posłużył.

— Anglik — powiadali — oprowadza nas, ostrygami, sucharkami i piwem częstuje, mówi do nas, nie rozumiemy co...

Oświadczyłem Anglikowi, że słowa jego współziomkom moim wytłumaczyć mogę.

— Ach, jakże to dobrze — zawołał. — Zapytajże ich pan, jakim oni pomiędzy sobą mówią językiem?

— Po polsku — odrzekłem.

— Bardzo dobrze. Zapytajże ich pan, czy się oni pomiędzy sobą rozumieją?

Jakżeby się nie rozumieć mieli!

Ja bo ich nie rozumiem zgoła...

W głowie mu się pomieścić nie mogło, ażeby pomiędzy sobą rozumieli się ludzie, których on nie rozumie.

Poglądy równie naiwne zdarzają się pomiędzy Anglikami częściej, jakby przypuszczać można.

W Liverpoolu zabawiłem dni kilka. W ciągu dni kilku wychodźców miasta rozebrały i oni pozawiązywali sekcje Tow. Demokratycznego po miastach, w których dotychczas Polaków

nie było. W sposób ten zawiązała się sekcja liverpoolska, manchesterska, sheffieldska, glasgowska, edymburska, etc., etc. Sekcje te przy wyborach, jakie niebawem nastąpiły, wprowadziły do Centralizacji na miejsce Podoleckiego jednego z uczestników wojny węgierskiej, Antoniego Żabickiego. Żabicki długo, długo potem członkiem Centralizacji pozostawał — i on ją pogrzebał.

Za powrotem do Londynu, do roboty u Hawletta powróciłem i nie opuściłem jej aż w tygodni kilka po otwarciu pierwszej wielkiej międzynarodowej wystawy, co, jeżeli mnie pamięć nie zawodzi, miało miejsce w miesiącu maju. Opuściłem Hawletta dla dwóch powodów: raz dlatego, że Powell do Indyj wyjechał, powtóre dlatego, że koledzy moi pojedyńczo przenosili się do Paryża i mnie się tam bardzo dostać zachciało. Jedno z drugiem składało się w sam raz. Hawlett powiadał mi, że interesa swoje powoli zwija; mnie zaś do Paryża ciągnęła ciekawość, połączona z tem przeświadczeniem, że w tem ognisku wszechświatowem dam sobie radę łatwiej, aniżeli gdzieindziej. Poprzedzili mnie: Zima, Jastrzębski i kilku innych jeszcze. Chodziło mi jeno o paszport. Bez paszportu ani myśleć było o prezentowaniu się na granicy francuskiej; nam zaś, uczestnikom wojny węgierskiej, pobyt we Francji wzbronionym był szczególnie. Zamiar mój przeto niełatwym był do uskutecznienia. Robiłem starania; byłbym jednak nie osiągnął rezultatu pomyślnego, gdybym wieczora pewnego, poszedłszy do Worcella, nie zastał u niego Zenona Świętosławskiego.

Zenon Świętosławski była to w rodzaju swoim osobistość ciekawa i oryginalna. Szlachcic z Ukrainy, wziął w r. 1831 w powstaniu udział i z kraju wyszedł. Ojciec jego, człek zamożny, celem uratowania od konfiskaty przypadającej na syna schedy wydziedziczył go pozornie. Dowiedziawszy się, że na wyspie Jersey przebywa, odesłał mu należność jego; że jednak wysepka ta, tak jak ją na mapie widział, wydała się mu malutką, radził mu przeto, ażeby ją sobie na własność kupił, a to dla tej racji, że mieć nie będzie sąsiadów i nikt mu się w granice nie worze. Zenon ojca nie posłuchał: nie Jersey, ale dom na Jersey kupił sobie; nabył drukarnię, z Angielką się ożenił i został komunistą. W drukarni swojej drukował prace własne, mające na celu odrodzenie ludzkości. Dobra wiara jego i zac-

ność granic nie miały. Owóż on mnie z kłopotu co do paszportu wyprowadził, wziąwszy na się wystaranie się mi takowego na Jersey. Zostałem więc ze strony tej zaspokojony. Pozostawało mi jeno czekać i — osobliwości Londynu zwiedzać, ażeby opuściwszy — jak mi się zdawało — na zawsze stolicę Wielkiej Brytanji, wrazić ją sobie w pamięć dokładnie. Zwiedzałem przeto muzea, galerje, instytucje; bywałem w teatrze i na koncertach; zachwycałem się grą na skrzypcach debjutującego w czasie onym Henryka Wieniawskiego; odwiedzałem często wystawę, której otwarciu towarzyszyła pogłoska o zamierzonym jakoby zamachu na życie królowej. Pogłoska ta to jeno sprawiła, że do Hyde-parku zbiegło się ludu tysiące. Nie byłem przy tem.

Paszport z Jersey nadszedł na ręce Worcella. Opiewał on na imię Bignet, *qui ne signe pas*, to znaczy: „niepiśmiennym jest". Po otrzymaniu onego, zabrałem resztę pieniędzy z banku i wybrałem się. Przy pakowaniu manatków moich zadziwiła mnie ilość znaczna książek, jaka się niechcący u mnie nagromadziła. Powoli, nieznacznie zebrało się tego tomów kilkadziesiąt. Anim się spodziewał czegoś podobnego! Musiałem na książki sporządzić pakę oddzielną i wysłać ją do Paryża osobno. Kupiłem sobie bilet do Paryża na Dunkierkę, a to dlatego, że w innych portach większą aniżeli w Dunkierce była czujność żandarmerji francuskiej, mającej na oku emigrację, która w Anglji przebywała i z którą liczyły się rządy Ludwika Napoleona. Statek od London-Bridge odchodził po północy. Godziny odjazdu wyczekiwałem u Worcella. Mówiliśmy o Francji, o stosunkach, jakie prezydentura Ludwika Napoleona wytworzyła; Worcell opowiadał o wizycie, jaką w tym samym, w którym znajdowaliśmy się pokoju, złożyli mu Ludwik Napoleon i Napoleon Hieronim (Plon-Plon), podczas kiedy, jako wygnańce, w Londynie przemieszkiwali i knowania polityczne snuli. Wyznawali oni wówczas republikanizm skrajnie i garnęli się skwapliwie do Polaków, naturalnych dążności republikańskich przedstawicieli. W czasie oczekiwania na porę odjazdu zdarzył mi się wypadek zabawny. Worcell zapytał mnie, czy na morzu choruję. Opowiedziałem mu, jak się ze mną we względzie tym rzeczy mają, i skutkiem opowiadania tego chorobę morską u niego odbyłem. Zato nie odbywałem jej na statku.

Wyjechałem o godzinie oznaczonej i o godzinie oznaczonej w Dunkierce wylądowałem. Przy odbieraniu paszportu zapomniałem był nazwiska paszportowego. Szczęściem uszło to. Zasłoniła mnie zaznaczona na dokumencie niepiśmienność. Na odejście pociągu do Paryża czekać było potrzeba godzin kilka: do Paryża przybyłem nazajutrz rankiem wczesnym.

— Paryż! Paryż!...

Wyraz ten zawierał w sobie uroków mnóstwo, przywiązanych do nazwy miasta, odgrywającego w świecie rolę środka ciężkości we względzie intelektualnym i moralnym. Nie bez wzruszenia niejakiego powiedziałem sobie:

— Jam przecie w Paryżu...

Powiedzenie to miało znaczenie zadowolnienia, jakie sprawia zerwanie owocu zakazanego. W warunkach zwyczajnych o pobycie w Paryżu ani marzyć mogłem. Do Paryża jeździli ze stron naszych sami magnaci tylko. Dla mnie był on nieprzystępnym i nieprzystępność owa zgwałcona potęgowała urok, jaki uczuwałem od chwili, jak na bruk paryski stąpiłem. Przed dworcem kolei wziąłem dorożkę i kazałem wieźć siebie, według adresu wskazanego, na Batignolles, do Zimy.

Poranek był posępny, dżdżysty. Mimo to, głowę z okna wysunąwszy, rozpatrywałem się w ulicach i znajdowałem w nich coś, coś — oryginalnego. Tak mi się wydawało. Zatrzymywałem oczy na przechodniach. O tej dnia porze nie było innych, jedno robotnicy, co do pracy śpieszyli. Płeć piękną reprezentowały przeważnie kucharki. Upatrywałem w nich coś sylfidycznego, nie przypuszczając, ażeby kucharka paryska stworzoną być mogła na obraz i podobieństwo kucharek zwyczajnych. W jednem atoli miejscu widok wstręt we mnie wzbudził. Spotkałem partję robotników w bluzach i kajdanach, przechodzącą pod eskortą żołnierzy. W Londynie nie widywałem nic podobnego.

Zima i Jastrzębski zajmowali pokój *au rez de chaussée*, wychodzący na ogródek. Zastałem ich w łóżkach. Zamieszkać chciałem z nimi, lecz miejsca nie było. Mieszkanie dla mnie znalazło się nieopodal, w domu zamkniętym, w którym na dole, naprzeciwko drzwi wchodowych, znajdował się we wieńce i kwiaty ustrojony posąg Matki Boskiej, ustawiony na podniesieniu, które spoczywało na kobiercu zaopatrzonym w klęczniki.

Ołtarz ów w sieniach zadziwił mnie trochę; podobał mi się atoli dom czysty i spokojny, a bardziej jeszcze pokoik mansardowy, schludny i tani, który do wynajęcia był. Nająłem takowy, złożyłem w nim tłómoczek i torbę i wnet z kolegami wybrałem się celem oglądania Paryża. Obiegaliśmy place, ulice, ogrody, zatrzymywaliśmy się przed budowlami i pomnikami, — spędziłem dzień w zachwycie ustawicznym. Nazajutrz nastąpił oglądania ciąg dalszy: chodziłem po muzeach i galerjach, podlegając wszędzie wrażeniom, których nie mącił cień krytyki najlżejszy. Zachwycałem się wszystkiem z naiwnością dziecinną.

Zachwyt ów notuję, nie wchodząc w szczegóły onego. Trudnoby mi nawet było w szczegóły po upływie lat tylu wchodzić. Przeminęło to, niby sen czarowny, sen, z którego budziła mnie rzeczywistość, przedstawiająca się w barwach zrazu obiecujących. Stan rzeczy w Paryżu, co się nas tyczyło, zastałem taki. Koledzy moi weszli w stosunek z emigrantem z r. 1831, Sągajłą, ten zaś znajdował się w porozumieniu z obywatelem z Podola Kalmem-Podoskim, który, wespół z Ksawerym Branickim, podjął się pamiętania o potrzebach życiowych i umysłowych młodzieży z wojny węgierskiej. Łożyli oni na utrzymanie tych, co nie posiadali środków własnych, i na zorganizowanie szkoły przygotowawczej, otwierającej wstęp do szkół wyższych i specjalnych francuskich. Było to bardzo pięknie. Koledzy mnie do Sągajły zaprowadzili. Poznałem w nim człowieka serdecznego i matematyka, znającego przedmiot swój nawylot, podległego atoli smutnej jednej chorobie, która wysoką jego wartość obniżała. Biedak pielęgnował zamiłowanie do kieliszka. Należał do pijaków tego rodzaju, co trzeźwymi być nie umieją. Od kieliszeczka upijał się i po kieliszeczku pił ustawicznie w domu i za domem. Republikanin nawylot, mistyk trochę, liczył na lud francuski, po którym spodziewał się przeobrażenia ludzkości gruntownego. Żona Francuzka — *une femme forte* — słuszna, grubokoścista i zuchwała, przekonania jego podzielała. Słyszałem ją odgrażającą się na Ludwika Napoleona. U Sągajły bywałem codziennie prawie, a to dlatego, że był na mnie łaskaw szczególnie i chodził ze mną tak w interesie założyć się mającej szkoły, jakoteż w interesach moich. Te ostatnie wymagały przedewszystkiem uregulowania mego w Paryżu położenia. Niepiśmiennym Bignetem pozostawać nie mogłem.

Nazwałem się nazwiskiem własnem, tak samo jak każdy z kolegów moich. Chodziło o to jeno, ażeby zasłonić przybycie z Londynu. Na cel ten służyło pogwałcenie prawdy, polegające na opowiadaniu o przyjeździe przez Niemcy, drogą lądową. Należało zgłaszać się do policji i stawać do protokółu przed urzędnikiem specjalnie dla emigracji polskiej trzymanym. Uczynili to koledzy moi i przekonani byli, że się im powiodło. Protokół obejmował zapytania zwyczajne, co do miejsca i czasu urodzenia, *curriculum vitae* etc., a także co do środków utrzymania. We względzie tym ostatnim każdy z nas upoważniony był na porękę Branickiego się powoływać. Udałem się do policji i ja. Towarzyszył mi Sągajło. Stanęliśmy przed urzędnikiem, który, powitawszy towarzysza mego uprzejmie, zwrócił się wnet do mnie i, wypytując mnie o wszystko, odpowiedzi moje zapisywał. Wkońcu o środki utrzymania zapytał:

— Hrabia Branicki ręczy za mnie.

— To dobrze — rzekł — to wszystko.

Zamienił następnie z Sągajłą parę frazesów uprzejmych; skłoniliśmy się mu i wyszli.

— Bogu dzięki — rzekłem na ulicy. — Toż chyba w Paryżu mam już spokój na długo zapewniony.

— O tak... — odrzekł Sągajło i dodał: — Poczekaj chwileczkę...

Do estaminetu wpadł, kieliszeczek wychylił i wyszedł.

Szliśmy dalej, rozmawiając; on co kwadrans jeżeli nie częściej do poczekania mnie wzywał i do estaminetu zachodził. Biedny człowiek a złote serce...

Za pośrednictwem Sągajły zabrałem z kilkoma dawnej emigracji członkami znajomość, między innymi ze sławnym J. B. Ostrowskim, znanym — spowodu że się na artykułach dziennikarskich „I. B. O.“ podpisywał — pod nazwą „Ibusia“. O Ibusiu słyszałem dużo i znałem go z niezmiernie ciętych artykułów polemicznych. Redagował on *Młodą Polskę*, organ stronnictwa wojskowego, i sekretarzował gen. Rybińskiemu, który służył za sztandar przez J. B. Ostrowskiego podnoszony i broniony. Na polu polemicznem była to pierwsza na emigracji potęga. Ale był na nią sposób. Gdy które z pism, przez Ibusia zaczepione, odciąć się chciało, powierzało napisanie odpowiedzi Ibusiowi samemu — rozumie się, za wynagrodzeniem. Ibuś sam

sobie najlepiej odcinać się umiał. Wiedziałem o tem; znanym mi był jego talent pisarski i jego znajomość rzeczy. Rozmowa z nim bardzo prędko zeszła na pole dziennikarstwa emigracyjnego. Ibuś wypowiadał swoją o dziennikach opinję i, w ciągu mówienia, odezwał się nagle:

— W *Demokracie* pojawiły się artykuły o Ukrainie...

Zimno mi się zrobiło.

— Nie podoba mi się artykułów tych ton — ciągnął dalej. Mało w nich ognia, zapału, za wiele rozumowania chłodnego. Pisane dobrze i ze znajomością rzeczy, ale nie porywają czytelnika. O Ukrainie poetycznej, dumami nabrzmiałej, krwią przesiąkłej, inaczej pisać należy.

Nie przyznałem się do artykułów tych autorstwa. Przyjąłem w milczeniu tę najpierwszą, jaka mnie spotkała, krytykę.

Sągajło zaznajomił mnie z kilku innemi jeszcze, mniej wybitnemi osobistościami; dalsze jednak znajomości zabieranie urwać się musiało nagle. Wszyscy, co z Anglji przybyli, a w liczbie ich i ja, dostali rozkaz wynoszenia się z Francji niezwłocznie, kosztem rządu. Komisarz policji każdemu z nas wręczył bilet do Londynu. Sągajłę zaalarmowało to mocno. Próbował uzyskać odwołanie rozkazu; udawał się w celu tym do policji — do dyrektora, i dowiedział się jeno, że do dyrektora policji wezwany Branicki zapytywanym był, czy w rzeczy samej bierze nas na utrzymanie swoje. Z okazji tej krążyła po Paryżu rozmowa Branickiego z panem Carlier.

— Czy to prawda — zapytał go jakoby ten ostatni —, żeś pan komunistą?

— Tak jest — odpowiedzieć miał Branicki.

— O... — odrzekł Carlier na to — gdyby w Paryżu takich jak pan komunistów było dziesięciu, rozpuściłbym niezwłocznie policji połowę.

Se non è vero... Powód wygnania był nam nieznany. Powiadano, jakoby wyszedł on z Hotelu Lambert, który zawiadomić miał rząd, że przysposabiająca się w Paryżu rewolucja sprowadziła doświadczonych w wojnie węgierskiej oficerów w tym celu, ażeby się oznajomili z punktami strategicznemi miasta i przewodniczyli następnie w boju. Za prawdę podania tego nie ręczę; prawdopodobieństwo jednak onego jest wielkie z tego bodaj powodu, że Hotelowi Lambert, który nas do

Ameryki wypychał, niemiłą być musiała obecność nasza w Paryżu.

Tak tedy — wyruszyłem do Londynu spowrotem. Jechałem tym razem na Boulogne. Przez Kanał przeprawiałem się małym parowcem przewozowym, napchanym Niemcami, którzy na wystawę podążali. Przejazd odbywał się w nocy. W kanale powitała nas jedna z tych burz, które, przychodząc nagle i niespodzianie, stanowią utrapienie marynarzy. Stateczek nasz wicher rzucał, wywracał, miotał, bałwany go zalewały, morze dokoła huczało i wrzało. Miałem tę satysfakcję, żem nie chorował, a przytem patrzał na cierpienia i przerażenia Niemców i Niemek, pewnych, że wybiła dla nich godzina ostatnia. Znałem cierpienia te i wiedziałem, że przerażenie racji słusznej nie ma, więc bawiły mnie kurcze, lamenty i modlitwy synów Germanji, stawających wobec niebezpieczeństwa urojonego inaczej, aniżeliśmy stawali wobec rzeczywistego. Jeden z nich do dzwonka sygnałowego się rzucił, chcąc dzwonić na gwałt i w sposób ten wołać o pomoc — w nocy, na morzu. Ryby chyba wołanie to usłyszeć mogły. Nad ranem burza ustała, zawinęliśmy spokojnie do portu w Hastings.

Za powrotem do Londynu, odwiedzając znajomych, zaszedłem do Hawletta i opowiedziałem mu, co mnie w Paryżu spotkało.

— Cóż zamierzasz? — zapytał.

— Muszę oglądać się za zajęciem jakiem — odpowiedziałem.

— Zostań u mnie, póki się co nie znajdzie. Będę się oglądał i ja...

Stanąłem więc znów w pracowni Hawletta do roboty, nie na długo jednak. Zajęcie mi się wkrótce trafiło, ale w zawodzie nie przemysłowym. Centralizacja zaproponowała mi wyprawę emisarską celem zawiązania stosunków z Rusią i przygotowania tam umysłów do przyłączenia się do akcji rewolucyjnej, przysposabiającej się we Francji na moment wyboru prezydenta nowego. Rzecz zamierzoną była na skalę szeroką. Punkt wychodni był taki: ażeby Francja jako rzeczpospolita utrzymać się mogła, potrzeba republikańską formę rządu uczynić w Europie ogólną. Sprawę tę prowadził Komitet Centralny Demokracji Europejskiej. Brała w niej udział Francja przez

Ledru-Rollina, Włochy przez Mazziniego, Niemcy przez Rugego. Liczni emisarjusze agitowali w krajach tych w imieniu i z poręki Komitetu Centralnego, który usiłował rozwinąć i dokończyć rozpoczęte a przerwane r. 1848 dzieło, — dzieło, mające na celu ogólne z więzów społecznych ludów i politycznych narodów wyzwolenie. Chodziło o to, ażeby na dane z Francji hasło dokonały ruchów rewolucyjnych Włochy i Niemcy; Francja spieszyć się zobowiązywała z pomocą wszędzie, gdzieby się tego potrzeba okazała, a to w imię solidarności rewolucyjnej. W imię tejże solidarności postanowionem zostało wyzwolenie Polski, pod warunkiem, ażeby się Polska do akcji ogólnej przyłączyła, to znaczy, ażeby się sama o siebie w duchu zasad demokratycznych i republikańskich upomniała. Należało ją do tego zgóry przygotować; należało powiedzieć jej, ażeby się na baczności miała. Zadanie to z natury rzeczy Centralizacji w udziale przypadało. Dlategoto Centralizacja wyprawiała emisarjuszy do każdego z trzech zaborów, do każdego dawnej Rzeczypospolitej działów. Do Galicji jechać miał Jastrzębski. Mnie zaproponowano Ruś, czyli, jak wówczas ją nazywano, Ukrainę: — przyjąłem. Przyjąłem propozycję z ochotą, z zadowolnieniem, z uniesieniem nawet. Nato, żebym ją w sposób ten przyjął, złożyło się racyj trzy: podzielałem przekonania, w duchu których wyprawiany byłem; spodziewałem się odwiedzić strony moje rodzinne, za któremi tęschnota dogłębi mnie niekiedy przejmowała; wreszcie miałem przed sobą w perspektywie niebezpieczeństwa, do których czułem pociąg wrodzony.

Centralizacja zaopatrzyła mnie w instrukcje, w klucz do korespondowania i w receptę do preparowania atramentu sympatycznego. Instrukcje polegały głównie na tem, ażeby Ukrainę osnuć siecią samoistnej, narodowej organizacji, opierającej się na demokratycznych wyzwolenia ludu wiejskiego z niewoli pańszczyźnianej zasadach i trzymającej kraj w pogotowiu do ruchu insurekcyjnego, nastąpić mającego w razie, gdy zamierzone we Francji, Włoszech i Niemczech ruchy rewolucyjne uwieńczy skutek pomyślny. Jak widzimy, tkwiło w tem w gruncie zastrzeżenie przeciwko hazardowi, a zarazem skojarzenie sprawy europejskiej ze sprawą polską na drodze spółdziałania politycznego. Była to pierwsza próba solidarności międzynarodowej, było to rzucenie pierwsze ziarna, które od czasu onego

w glebie pozostało i kiełkuje powoli. Rzeczą ważną i na zaznaczenie zasługującą jest to, że w przysposabiającej się wówczas czynności brali udział Niemcy, którzy niepodległość Polski uznawali, jako nieodzowny prawidłowego bytowania Europy warunek. Niemcy to uznawali! Czy opinja ta wygasła pomiędzy nimi doszczętnie? Z pokolenia, do którego należał Arnold Ruge, co mnie wyprawiał, żyje jeszcze Karol Vogt[1]. Opinja przeciwna przemaga w chwili, kiedy wspomnienia te piszę (r. 1885), i dziś jednak w pokoleniu nowem niewszyscy Niemcy podzielają zdanie Bismarcka i Hartmana, wskazujących Polaków dla dobra ludzkości na zagładę. Ziarna przez Komitet Centralny zasianego nie wywiał wiatr żaden z gleby europejskiej.

Przed wyruszeniem na wyprawę emisarską bawiłem w Londynie tygodni parę. Były to początki jesieni r. 1851 — koniec miesiąca sierpnia, czy początek września. Czas ten spędzałem w towarzystwie Darasza i Worcella. Z Worcellem pozostawałem nierozłącznie prawie; do Darasza dojeżdżać musiałem, dla ulżenia bowiem piersiom, którym szkodziły dymy i mgły londyńskie, przeniósł się był na wieś. Omawialiśmy zadanie, jakie do rozwiązania miałem; przytem dawali mi oni skazówki niektóre praktyczne, zaczerpnięte głównie ze sprawozdań nieboszczyka Teofila Wiśniowskiego, który w okolicach, będących celem wyprawy mojej, czynności prowadził i stosunki ponawiązywał.

---

[1] Karol Vogt (1817—1898), znakomity przyrodnik niemiecki, działacz i emigrant polityczny, otrzymał katedrę na uniwersytecie w Genewie. Był z T. T. Jeżem w przyjaznych stosunkach.

BIBLIOTEKA NAUKOWA
WDP
1
28831/2